

PIĄTA PORA ROKU

KAŻDA ERA MA SWÓJ KRES

N.K. JEMISIN

LAUREATKA NAGRODY
HUGO

NOMINOWANA
DO NAGROD
NEBULA I LOCUS

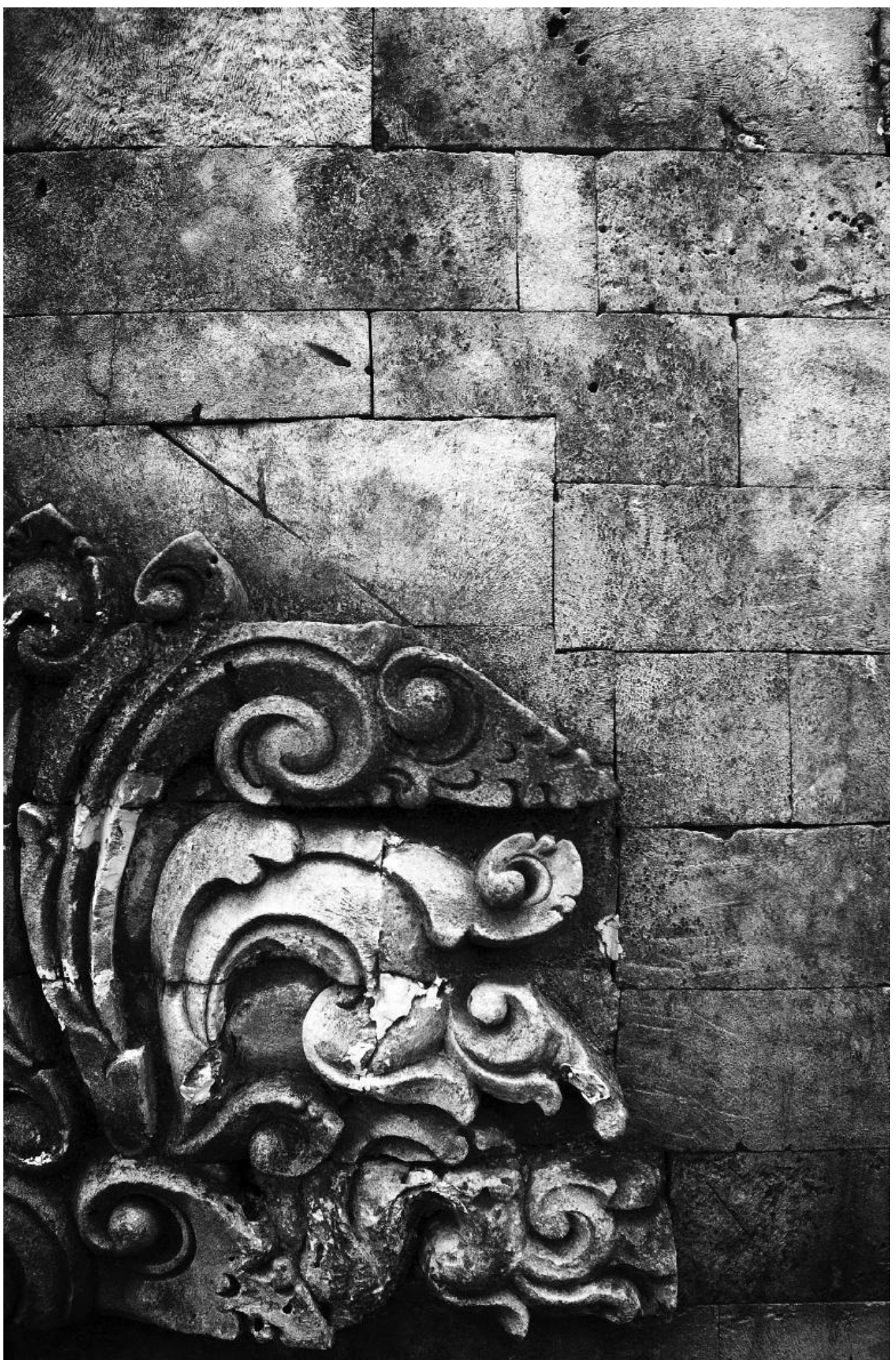
SON
imaginatio

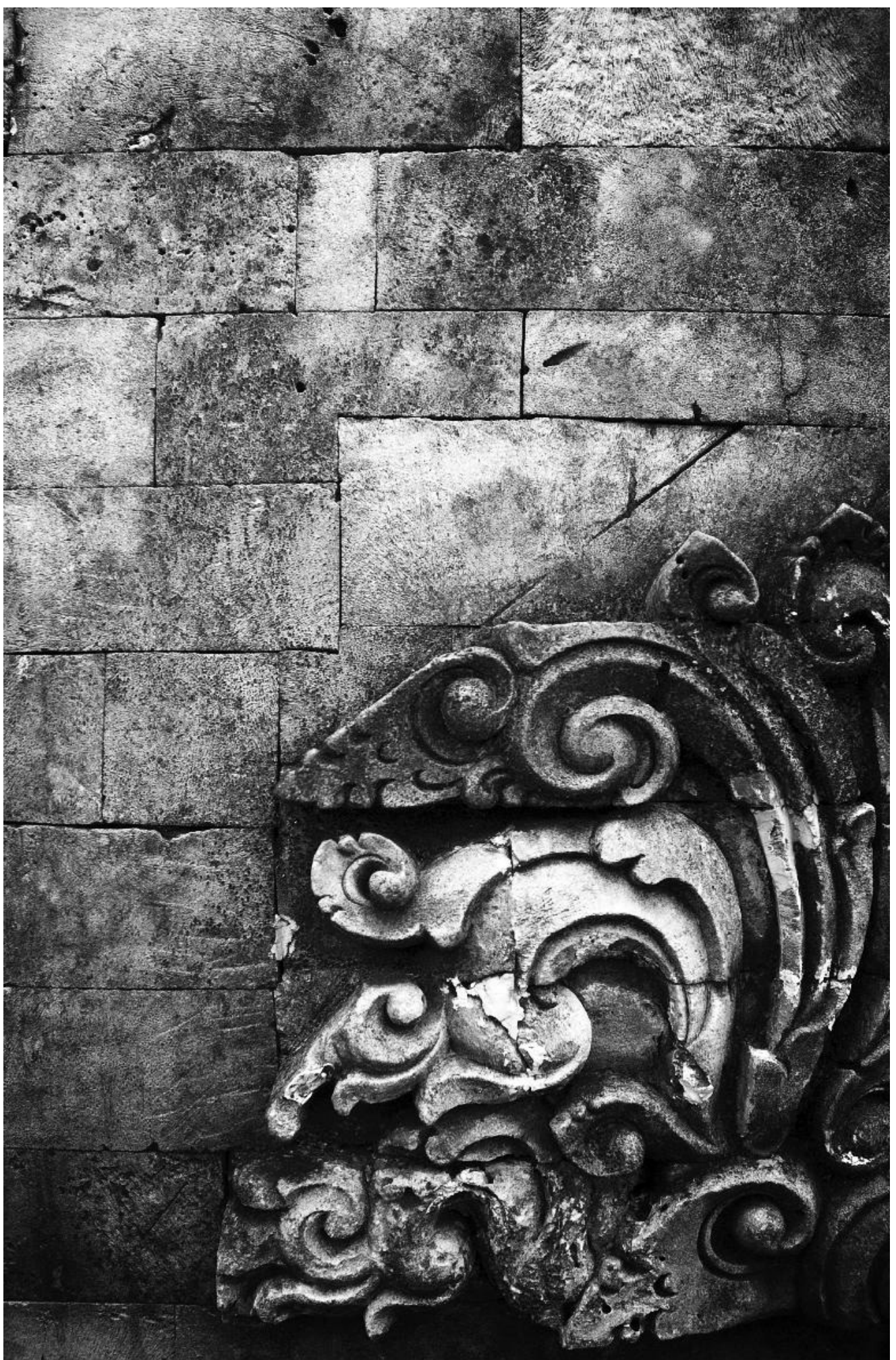
PIĄTA
PORA
ROKU

N.K. JEMISIN

TEUMACZENIE:
JAKUB MAŁECKI

KRAKÓW 2016





Musisz pamiętać, że koniec jednej historii to tylko początek kolejnej. Zdarzało się to już wcześniej. Ludzie umierają. Znika dawny ład. Powstają nowe społeczeństwa. Kiedy mówimy, że „świat się skończył”, zazwyczaj kłamiemy, bo sama planeta ma się dobrze.

Ale tak właśnie kończy się świat.

Tak kończy się świat.

Tak kończy się świat.

Po raz ostatni.

Dla wszystkich zmuszonych walczyć o szacunek, który innym jest okazywany bez pytania



PROLOG

JESTEŚ TUTAJ

Zacznijmy od końca świata, dobrze? Miejmy to z głowy i przejdźmy do ciekawszych rzeczy.

Najpierw osobisty koniec. Podczas nadchodzących dni w kółko będzie wyobrażała sobie śmierć swojego syna, próbując znaleźć sens w czymś tak bardzo sensu pozbawionym. Przykryje drobne, pokierszowane ciało Uchego kocem – oprócz twarzy, bo chłopiec boi się ciemności – i będzie siedziała obok, odrętwiała, obojętna na świat, który kończy się dookoła. W niej świat już się skończył, a przecież żaden taki koniec nie nastaje po raz pierwszy. Już wcześniej zdążyła się o tym przekonać.

W tamtej chwili, i później również, myślała: „Przynajmniej był wolny”.

Za każdym razem kiedy zdumiona, zszokowana strona jej osobowości zadaje to niby-pytanie, zgorzkniała i zmęczona strona jej osobowości odpowiada na nie słowami: „Nie, nie był. Wcale nie. Ale teraz będzie”.

Musisz jednak znać kontekst. Wróćmy do końca świata, tym razem na poziomie kontynentalnym.

Oto kraina.

Jest zwyczajna, jak większość innych krain. Góry, równiny, kaniony, rzeki i tak dalej. Niezwykłe są tylko jej rozmiary oraz dynamika. Kraina ta znajduje się w nieustannym ruchu. Niczym starzec leżący niespokojnie w pościeli wzdycha, marszczy się, pierdzi, przelyka i ziewa. Mieszkańcy nazwali ją oczywiście Bezruch. To kraina ciszy i gorzkiej ironii.

Bezruch miał inne nazwy. Kiedyś był podzielony na kilka osobnych części. Dziś jest olbrzymim, jednolitym kontynentem, ale pewnego dnia znowu się podzieli.

Już wkrótce.

Koniec zaczyna się w mieście: w najstarszym, największym i najwspanialszym mieście na świecie. Miasto nazywa się Yumenes i niegdyś było sercem imperium. Dziś nadal jest sercem wielu rzeczy, choć samo imperium trochę już przywiędło – jak to imperium.

Yumenes jest wyjątkowe wcale nie ze względu na swoje rozmiary. W tej części świata znajduje się wiele dużych miast, ułożonych obok siebie wzdłuż równika w wielką obręcz. W innych zakątkach kontynentu wioski rzadko rozrastają się w miasteczka, a miasteczka rzadko zmieniają się w miasta, bo trudno jest utrzymać rozwijającą się aglomerację przy życiu, kiedy Ziemia próbuje ją pożreć... Ale Yumenes pozostawało stabilne przez większość z dwudziestu siedmiu stuleci swego istnienia.

Jest wyjątkowe, ponieważ tylko tutaj ludzie ośmielili osiedlać się nie dla bezpieczeństwa, nie dla wygody, a nawet nie ze względów estetycznych, ale by zademonstrować odwagę. Ściany miasta to delikatne mozaiki, prawdziwe arcydzieła przedstawiające długą i krwawą historię jego mieszkańców. Wśród ciasno stłoczonych budynków stoją wysokie wieże przypominające palce z kamienia, ręcznie wykonane latarnie zasilane nowoczesnym cudem hydroelektryczności, delikatnie wysklepione mosty utkane ze szkła i zuchwalstwa, a także architektoniczne wymysły zwane balkonami, w swojej konstrukcji tak proste, a zarazem tak zadziwiająco lekkomyślne, że w całej zapisanej dotychczas historii nie ma wzmianki, by kiedykolwiek wcześniej je budowano. (Ale większość historii jest niezapisana. Pamiętaj o tym). Ulic nie brukuje się łatwo wymienialną kostką, ale gładką, niezniszczalną substancją, którą mieszkańcy nazywają asfaltem. W Yumenes nawet chałupy są budowane odważnie: to zwykłe budy

o cienkich ścianach, które mogłaby zmieścić byle wichura, nie mówiąc o trzęsieniu ziemi. A jednak stoją, niewzruszone, od pokoleń.

W sercu miasta znajduje się wiele wysokich budynków, więc raczej nie powinien dziwić fakt, że jeden z nich jest większy i bardziej okazały niż wszystkie pozostałe razem wzięte: to solidna konstrukcja o podstawie w kształcie gwiazdzistej piramidy zbudowanej z obsydianowych cegieł. Piramida jest najbardziej stabilną formą architektoniczną, a ta konkretna jest jak pięć piramid, bo dlaczego nie? A ponieważ jest to Yumenes, na szczycie piramidy znajduje się wielka kula geodezyjna, której szlifowane ściany przypominają przejrzysty bursztyn i która sprawia wrażenie nietrwałej, choć tak naprawdę każdy element tej konstrukcji służy jednemu celowi: podtrzymywaniu jej. Budynek wygląda na kruchy i właśnie o to chodzi.

Czarna Gwiazda jest miejscem spotkań przywódców Imperium, którzy zajmują się tam swoimi przywódczymi sprawami. To w bursztynowej kuli trzymają doskonale chronionego Cesarza Imperium. Przechadza się on po złotych korytarzach z dobrze maskowaną rozpaczą i robi wszystko, co mu każą, obawiając się dnia, kiedy jego panowie uznają, że jego córka lepiej nadaje się na ozdobę.

Tak naprawdę to żadne z tych miejsc i żaden z tych ludzi nie ma znaczenia. Wspominam o nich, aby nakreślić kontekst.

Oto jednak człowiek, który będzie znaczył bardzo wiele.

Możecie wyobrazić sobie, jak wygląda – na razie. Możecie też wyobrazić sobie, co myśli. Być może pomylicie się w swoich domysłach, ale istnieje pewne prawdopodobieństwo, że będziecie mieć rację. Wnioskując po jego późniejszych czynach, w tej chwili w jego głowie może się znajdować zaledwie kilka myśli.

Człowiek ten stoi na wzgórzu, niedaleko obsydianowych ścian Czarnej Gwiazdy. Może omieść stamtąd wzrokiem dużą część miasta, poczuć jego zapach, zatracić się w jego wrzawie. Jedną z biegnących poniżej asfaltowych uliczek spaceruje grupka młodych kobiet, pagórek leży bowiem w parku ukochanym przez mieszkańców Yumenes. („Pielęgnuj zieleni wśród czterech ścian”, mówi mądrość kamieni, jednak większość społeczności obsadza swoje miasta wyłącznie warzywami i roślinami użytkującymi glebę. Tylko w Yumenes dba się o piękny wygląd terenów zielonych). Kobiety śmieją się z czegoś, co powiedziała jedna z nich, a ich śmiech dociera z wiatrem do mężczyzny na wzgórzu. Mężczyzna zamyka oczy i chłonie ulotne tremolo ich głosów oraz mniej wyraźny pogłos kroków, który w jego sejsodach brzmi niczym uderzenia skrzydeł motyla. Nie sejszy wszystkich siedmiu milionów mieszkańców Yumenes; jest dobry, ale nie aż tak. Sejszy jednak większość z nich, są tam. Tutaj. Oddycha głęboko i staje się częścią Ziemi. Ci ludzie wędrują po jego włóknach nerwowych, ich słowa poruszają włosy na jego skórze, ich oddechy unoszą się w powietrzu, które wciąga do płuc. Są na nim. W nim.

On wie jednak, że nie jest i nigdy nie będzie jednym z nich.

– Czy wiesz, że pierwsza mądrość kamieni naprawdę była wyryta w kamieniu? – pyta swobodnym tonem. – Chodziło o to, żeby nie wpływały na nią aktualne mody i polityka. Żeby się nie zużyła.

– Wiem – odpowiada jego towarzysza.

– Hmm. Tak, zapominam, że prawdopodobnie byłaś przy tym, kiedy ją spisywano – wzdycha, patrząc, jak kobiety znikają za zakrętem. – Bezpiecznie jest cię kochać. Nie zawiedziesz mnie. Nie umrzesz. I z góry znam cenę.

Jego towarzyszka nie odpowiada. Mężczyzna nie oczekiwał tego, choć jakaś jego część miała na to nadzieję. Doskwiera mu samotność.

Nadzieja jest jednak nieistotna, podobnie jak wiele innych uczuć, o których wie, że prowadzą wyłącznie do rozpaczy. Dokładnie to już przemyślał. Czas rozterek minął.

– Przykazanie jest wyryte w kamieniu – stwierdza, rozpościerając ramiona.

Wyobraźcie sobie, że twarz boli go od uśmiechania się. Uśmiecha się od kilku godzin: zęby zaciśnięte, wargi rozchylone, oczy zmrużone tak, że widać kurze łapki. Sztuką jest uśmiechać się w taki sposób, aby inni uwierzyli. Ważne, aby zawsze angażować oczy; w przeciwnym wypadku ludzie będą wiedzieć, że ich nienawidzisz.

– Wryte słowa są absolutem.

Nie mówi do nikogo konkretnego, choć obok niego stoi kobieta – ktoś w rodzaju kobiety. Jej wygląd to tylko naśladownictwo, wyraz uprzejmości. Podobnie luźna sukienka, którą ma na sobie, nie jest wcale ubraniem. Część twardej substancji, z której się składa, ukształtowała po prostu w taki sposób, aby przypominała kruche, śmiertelne istoty, wśród których obecnie się porusza. Z daleka iluzja ta wydaje się na tyle przekonująca, że postać można uznać za stojącą nieruchomo kobietę – przynajmniej na chwilę. Jednak z bliska każdy obserwator zauważyłby, że jej skóra jest wykonana z białej porcelany – to nie metafora. Jako rzeźba byłaby piękna i być może zbyt realistyczna jak na miejscowe gusta. Większość Yumenesan nad wulgarną dokładność przedkłada przyjemną abstrakcję.

Kiedy postać odwraca się do mężczyzny – na powierzchni zjadacze kamieni poruszają się wolno, choć nie zawsze – ruch ten sprawia, że jej artystyczne piękno ustępuje miejsca czemuś zupełnie innemu. Mężczyzna już się do tego przyzwyczaił, ale mimo to nie patrzy na nią. Nie chce, żeby odraza zniszczyła tę chwilę.

– Co zrobisz, kiedy będzie już po wszystkim? – pyta. – Czy twoja rasa powstanie z gruzów i przejmie po nas świat?

– Nie.

– Dlaczego?

– Niewielu z nas na tym zależy. W każdym razie wy nadal tutaj będziecie.

Mężczyzna rozumie, że chodzi jej o cały gatunek. „Wy”, czyli ludzkość. Często traktuje go, jakby reprezentował wszystkich ludzi. On traktuje ją tak samo.

– Mówisz to z dużym przekonaniem.

Nie odpowiada mu. Zjadacze kamieni rzadko zadają sobie trud wyjaśniania tego, co oczywiste. Mężczyźnie jest to na rękę, ponieważ drażni go jej głos; nie wprawia powietrza w drżenie, tak jak głosy ludzi. Nie wie, jak to się dzieje, i go to nie obchodzi, ale teraz chciałby, żeby milczała.

Chce, żeby milczało wszystko.

– Koniec – mówi. – Proszę.

Następnie sięga przed siebie z całym opanowaniem, które świat z niego wyrwał, wyszarpał i wyplenił, oraz z całą wrażliwością, którą jego panowie zaszczepili w nim przez całe pokolenia gwałtów, wymuszeń i skrajnie niewłaściwych wyborów. Jego palce rozsuwają się i drżą, kiedy na mapie świadomości wyczuwa kilka pulsujących miejsc: to jego znajomi niewolnicy. Nie może ich uwolnić – przynajmniej nie w standardowym rozumieniu tego słowa. Próbował już i mu się nie udało. Może jednak sprawić, aby ich cierpienie posłużyło celowi większemu niż pycha jednego miasta i strach jednego Cesarza.

Sięga więc głęboko i dotyka brzęczącego, stukającego, ruchliwego, falującego, tętniącego miasta, spokojniejszego podłoża skalnego pod nim oraz kipiącej masy wrzącego ciśnienia jeszcze niżej. Następnie rozpościera ramiona, obejmując wielką, ruchomą płytę tektoniczną, na której spoczywa kontynent.

Na koniec sięga w górę. Po moc.

Chwyta to wszystko – pokłady ziemi, magmę, ludzi i moc – w swoje wyobrażone ręce. Wszystko. Trzyma to. Nie jest sam. Jest w nim cała Ziemia.

A potem wszystko to niszczy.

Oto Bezruch, który w stanie bezruchu nie znajduje się nawet podczas spokojnych dni.

Teraz marszczy się i drży dotknięty kataklizmem. Teraz pojawia się linia, długa niczym równik, biegnąca mniej więcej z zachodu na wschód i w swojej nienaturalności zbyt prosta, niemal idealna. Swój początek bierze w mieście Yumenes.

Rozcięcie jest grube i głębokie; biegnie do wnętrza planety. Wewnątrz ożywa magma: świeża, lśniąca, czerwona. Ziemia potrafi sama się leczyć. Ta rana szybko się zasklepi, a ocean wypełni blizną, dzieląc Bezruch na dwa kontynenty. Zanim to się stanie, rana rozjątrzy się jednak nie tylko gorącem, ale również gazem i gęstym, czarnym pyłem – wystarczy go, aby w ciągu kilku tygodni przysłonić niebo nad większością Bezruchu. Rośliny zwiędną, a żywiące się nimi zwierzęta pozdychają z głodu – po nich zdechną też te mięsożerne. Zima przyjdzie szybko, będzie sroga i potrwa długo, bardzo długo. Kiedyś oczywiście dobiegnie końca, jak każda zima, a świat powróci na swoje dawne tory. Kiedyś.

Kiedyś.

Mieszkańcy Bezruchu żyją w stanie nieustannej gotowości na katastrofę. Wzniesli mury, wykopali studnie i w świecie bez słońca z łatwością będą w stanie przeżyć pięć, dziesięć, a może nawet dwadzieścia pięć lat.

W tym przypadku „kiedyś” oznacza „za kilka tysięcy lat”.

Spójrz, widać już pierwsze chmury pyłu.

To wszystko dzieje się na poziomie kontynentalnym, natomiast w skali planetarnej powinniśmy wspomnieć o unoszących się ponad tym wszystkim obeliskach.

Kiedyś obeliski miały inne nazwy – było to w czasach, kiedy budowano je, rozmieszczano i wykorzystywano – ale nikt nie pamięta już ani nazw tych wielkich urządzeń, ani ich przeznaczenia. Na Bezruchu wspomnienia są kruche jak łupki. Dziś tak naprawdę nikt nie zwraca już uwagi na te przedmioty, choć są przecież olbrzymie, piękne i trochę przerażające: potężne, krystaliczne odłamki, które unoszą się wśród chmur, obracają wolno i dryfują po tajemniczych trajektoriach, znikając raz po raz, jakby nie były rzeczywiste – choć może być to tylko wynik zwyczajnej gry światła. (Nie jest). To oczywiste, że obeliski nie są niczym naturalnym.

Równie oczywiste jest to, że nie mają żadnego znaczenia. Wspaniałe, ale bezcelowe: ot, pomniki kolejnej cywilizacji zniszczonej przez niestrudzoną Matkę Ziemię. Na świecie istnieje dużo więcej takich kurhanów: tysiące zrujnowanych miast, miliony pomników bohaterów i bogów, których nikt już nie pamięta, kilkadziesiąt mostów prowadzących donikąd. Powszechnie wiadomo, że nie należy tych rzeczy podziwiać. Ludzie, którzy je budowali, byli słabi, i umarli tak, jak umiera wszystko, co słabe. Na pogardę zasługuje głównie to, że ponieśli klęskę. Ci, którzy zbudowali obeliski, okazali się po prostu większymi przegranymi niż inni.

Obeliski jednak istnieją, a ponieważ odgrywają pewną rolę w końcu świata, należało o nich wspomnieć.

Wróćmy do kwestii osobistych. Zejdźmy na ziemię, ha, ha.

Wspomniałem już o kobiecie, której syn nie żyje. Na szczęście nie mieszka ona w Yumenes, bo w przeciwnym razie byłaby to bardzo krótka opowieść. Bez twojego udziału.

Kobieta przebywa w mieście Tirimo. W języku Bezruchu „miasto” to jedna z form społeczności, ale ze względu na swoje rozmiary Tirimo ledwie zasługuje na tę nazwę. Leży w dolinie o tej samej nazwie, u stóp Tirimasów. Najbliższym źródłem wody jest pojawiająca się sezonowo odnoga rzeki, nazywana przez miejscowych Małą Tiriką. W języku istniejącym już tylko w lingwistyce „eatiri” oznacza ciszę. Tirimo znajduje się z dala od lśniących i stabilnych miast Równiakiady, dlatego ludzie budowali tutaj z myślą o nieuchronnych trzęsieniach. Nie ma tu zdobionych wież ani gzymsów, jedynie ściany wzniesione z drewna i tanich brązowych cegieł, wsparte na fundamentach z ciosanego kamienia. Zamiast asfaltowych dróg – trawiaste zbocza poprzecinane wydeptanymi ścieżkami; tylko niektóre z nich wyłożono okrągłakami lub płytami z drewna. To spokojne miejsce, choć kataklizm, który właśnie dotknął Yumenes, wywołała na południu sejsmiczne drgania, a te zrównają z ziemią cały region.

W mieście znajduje się pewien dom, który wygląda jak każdy inny. To zwykła jama wykopana w zboczu i dla ochrony przed wodą wzmocniona gliną oraz cegłami, zadaszona cedrem i darnią. Dystygowani mieszkańcy Yumenes śmieją się (śmiali) z tych prymitywnych chat – pod warunkiem, że w ogóle zniżają się (zniżali) do mówienia o nich – ale dla ludzi z Tirimo życie pod ziemią jest równie rozsądne, co bezproblemowe. Podziemne mieszkania, oprócz tego, że latem chłodne, a zimą ciepłe, pozostają też odporne na trzęsienia ziemi oraz burze.

Kobieta ma na imię Essun. Ma czterdzieści dwa lata. Przypomina większość kobiet z regionów środkowych: jest wysoka, ma proste plecy, długą szyję, biodra, dzięki którym z łatwością zdołała urodzić dwoje dzieci, i piersi, które z łatwością owe dzieci wykarmiły, a także duże, zwinne dłonie. Wygląda na silną i dorodną, co ceni się w Bezruchu. Jej twarz okalają twarde strąki włosów, grube jak jej mały palec i ciemne, rozjaśniające się dopiero na końcówkach. Według niektórych standardów jej skóra ma nieprzyjemny ochrowy odcień, a według innych – nieprzyjemny oliwkowy. Yumenesanie nazywają (nazywali) takich ludzi Środkowymi Kundlami, ponieważ mają w sobie wystarczająco dużo z Sanze, aby gestykulować, ale nie na tyle dużo, aby mówić.

Chłopiec był jej synem. Miał na imię Uche i niedługo skończyłby trzy lata. Był drobny jak na swój wiek, ale i rezolutny; miał duże oczy, słodki uśmiech i nos niczym guziczek. Nie brakowało mu żadnej z cech zaskarbiających dzieciom miłość rodziców od czasów, kiedy człowiek wyewoluował w coś względnie rozumnego. Był zdrowy, bystry i powinien dalej żyć.

A oto jama, w której mieszkali. Wygodna i cicha: członkowie rodziny mogli siadać tam wspólnie, rozmawiać, jeść, bawić się, przytulać albo wzajemnie się łaskotać. Essun lubiła opiekować się tu Uchem. Jest przekonana, że to tutaj został poczęty.

To tutaj jego ojciec pobił go na śmierć.

A teraz ostatni element niezbędny dla poznania kontekstu: dzień później, dolina otaczająca Tirimo. Dotarły tu już pierwsze echa kataklizmu, ale wstrząsy wtórne jeszcze się pojawiają.

Północna część doliny jest zdewastowana: połamane drzewa, pokruszone skały i unoszący się ponad tym wszystkim całun kurzu, który nie rozwiął się w nieruchomym, przesyconym siarką powietrzu. Tam, gdzie uderzyła pierwsza fala, nie przetrwało prawie nic: był to wstrząs z rodzaju tych, które rozbijają wszystko w gruz i proch. Są też trupy: małe zwierzęta, które nie zdołały się ukryć, ale także jelenie i inne duże okazy zmiażdżone przez skały podczas prób ucieczki. Są wśród nich ludzie, którzy mieli pecha i podążali akurat szlakiem handlowym w złą stronę.

Zwiadowcy z Tirimo, którzy przybyli tutaj, aby ocenić zniszczenia, nie weszli na hałdy gruzu, a jedynie obserwowali je ze zniszczonej drogi przez swoje oczydła. Dziwili się, że pozostała część doliny –

granice tego obszaru tworzyły niemal idealny okrąg kilka kilometrów wokół samego Tirimo – pozostała nienaruszona. Tak naprawdę nie było to zdziwienie. Patrzyli na siebie z niepokojem, bowiem każdy wie, co taki pozorny szczęśliwy traf oznacza. Szukajcie środka koła, głosi kamiennądrość. Gdzieś w Tirimo znajduje się rogga.

To przerażająca myśl. Jeszcze bardziej przerażające są jednak znaki nadchodzące z północy oraz fakt, że naczelnik Tirimo rozkazał swoim ludziom zebrać jak najwięcej świeżych ciał zwierząt rozrzuconych po nietkniętej kataklizmem okolicy. Mięso, które jeszcze się nie zepsuło, można ususzyć, a futra oraz skóry oczyścić i wygarbować. Tak na wszelki wypadek.

Zwiadowcy w końcu odchodzą, powtarzając w myślach słowa: „na wszelki wypadek”. Gdyby nie zajmowało ich to aż tak bardzo, być może dostrzegliby przedmiot leżący u stóp nowo uformowanego zbocza, wśród połamanych gałęzi jodły i pokruszonych otoczków. Przedmiot ten zwróciłby ich uwagę ze względu na swój rozmiar i kształt: to cętkowany, przypominający nerkę chalcedon o szarozielonej barwie, wyraźnie odróżniający się od rozrzuconego wszędzie dookoła jasnego piaskowca. Gdyby podeszli bliżej, zobaczyliby, że sięga im do piersi i ma długość ciała dorosłego człowieka. Gdyby go dotknęli, być może zafascynowałiby się jego gęstą fakturą. Przedmiot ten wygląda na ciężki i roztacza miedziany zapach przywodzący na myśl rdzę albo krew. Zaskoczyłoby ich, jak ciepły jest w dotyku.

Nikogo nie ma jednak w pobliżu, kiedy przedmiot stęka cicho i przepoławia się wzdłuż swej dłuższej osi, jakby równo przecięty. Towarzyszy temu głośny syk uwalnianego gazu, który sprawia, że ocalałe zwierzęta z pobliskiego lasu nagle szukają kryjówek. Niemal w tej samej chwili ze szczeliny wydobywa się światło – przypominające trochę ogień, ale trochę i ciecz – a na ziemi dookoła głązu lądują odłamki przypalonego szkła. Następnie przedmiot nieruchomieje. Chłodzi się.

Mija kilka dni.

W końcu coś rozpycha zewnętrzne ściany od środka i obiekt pełźnie metr lub dwa, a potem przystaje. Mija kolejny dzień.

Wewnętrzną stronę schłodzonego i rozpołowionego przedmiotu pokrywa pancierz z nieregularnych kryształów – niektóre z nich są białe, inne mają kolor krwi. W zagłębieniach obydwu części zbiera się rzadki, jasny płyn, choć większość wyciekła z geody na ziemię.

Istota, która znajdowała się w geodzie, leży twarzą do dołu, naga wśród skał: jest już sucha, oddycha z trudem. Powoli podnosi się z ziemi. Każdy ruch jest przemyślany i bardzo, bardzo wolny. Trwa to długo. Kiedy wreszcie udaje jej się wstać, istota rusza – powoli – w stronę geody i opiera się o nią. Następnie pochyla się – powoli – i sięga do środka. Nagłym, gwałtownym ruchem odłamuje kawałek czerwonego kryształu. To mały fragment, wielkości winogrona, postrzępiony niczym rozbite szkło.

Chłopiec – bo właśnie jego przypomina istota – wkłada to do ust i żuje. Robi to głośno: zgrzyt i chrobot niesie się echem po polanie. Po kilku minutach chłopiec przełyka. Zaraz potem zaczyna gwałtownie się trząść. Otula się swoimi ramionami i wydaje z siebie cichy jęk, jakby właśnie się zorientował, że jest nagi, że mu zimno i że to wszystko jest straszne.

Z trudem odzyskuje nad sobą kontrolę. Sięga do geody – teraz robi to już szybciej – i odrywa kolejną kiść kryształów. Układa je na powierzchni skorupy i kruszy. Grube plastry pękają mu w dłoniach, jakby były zrobione z cukru, choć są znacznie, znacznie twardsze. On tak naprawdę nie jest jednak dzieckiem, dlatego nie sprawia mu to trudności.

W końcu podnosi się chwiejnie z rękoma pełnymi mlecznych, krwistych kamieni. Przez chwilę wiatr mocno dmie, a jego skóra szczypie. Chłopiec kurczy się niczym nakręcana zabawka. Następnie przygląda się swojemu ciału. Kiedy się skupia, jego ruchy stają się coraz bardziej płynne i skoordynowane. Bardziej ludzkie. Jakby na potwierdzenie tego kiwa głową, być może z satysfakcją.

Odwraca się i rusza w kierunku Tirimo.

Musisz pamiętać, że koniec jednej historii to tylko początek kolejnej. Zdarzało się to już wcześniej. Ludzie umierają. Znika dawny ład. Powstają nowe społeczeństwa. Kiedy mówimy, że „świat się skończył”, zazwyczaj kłamiemy, bo sama planeta ma się dobrze.

Ale tak właśnie kończy się świat.

Tak kończy się świat.

Tak kończy się świat.

Po raz ostatni.

TY, POD KONIEC

Jesteś nią. Ona jest tobą. Jesteś Essun. Pamiętasz? Kobieta, której syn nie żyje.

Jesteś górotworem, który od dziesięciu lat żyje w tym małym, nic nieznaczącym miasteczku o nazwie Tirimo. Tylko troje ludzi wie, czym jesteś, a dwoje z nich sama urodziłaś.

No cóż. Teraz zostało już tylko jedno.

Przez ostatnie dziesięć lat wiodłaś jak najbardziej zwyczajne życie. Przyjechałaś do Tirimo; nikogo nie interesowało, skąd ani dlaczego. Byłaś dobrze wykształcona, zostałam więc nauczycielką w lokalnej szkole dla dzieci w wieku od dziesięciu do trzynastu lat. Nie jesteś ani najlepszą, ani najgorszą nauczycielką; dzieci zapominają cię, ale się uczą. Rzeźnik prawdopodobnie zna twoje imię, bo lubi z tobą flirtować. Piekarz raczej nie, bo jesteś cicha, a poza tym, jak wszyscy inni w tym mieście, uważa cię za żonę Jiji. Jija to kamieniarz z kasty Obrońców, urodzony i wychowany w Tirimo; wszyscy go znają i lubią, więc lubią też ciebie. Stanowi pierwszy plan obrazu przedstawiającego twoje życie. Ty jesteś tłem. Odpowiada ci to.

Jesteś matką dwójki dzieci, ale jedno z nich nie żyje, a drugie zaginęło. Być może też nie żyje. Wszystkiego tego dowiadujesz się, kiedy pewnego dnia wracasz po pracy. Dom jest pusty, dziwnie cichy, a twój mały chłopiec leży na podłodze, poobijany i zakrwawiony.

Natychmiast odcinasz się od świata. Nie chcesz tego robić. To po prostu zbyt wiele, prawda? Zbyt wiele. Dużo przeszłaś i jesteś bardzo silna, ale każdy ma swoje granice, nawet ty.

Mijają dwa dni, zanim ktoś do ciebie przyjdzie.

Spędzasz je w domu ze swoim zmarłym synem. Wstawiałaś z podłogi, korzystałaś z toalety, jadłaś coś z chłodni i wypijałaś resztki wody z kranu. To wszystko mogłaś robić bez myślenia, odruchowo. Zaraz potem wracałaś do Uchego.

(Za którymś razem przyniosłaś mu koc. Przykryłaś go po jego pokiereszowaną szyję. Taki nawyk. W rurach przestało szumieć; jest zimno. Mógłby się przeziębic).

Wieczorem następnego dnia ktoś puka do drzwi. Nie odpowiadasz. Żeby to zrobić, musiałabyś się zastanowić, kto to jest i czy powinnaś tego kogoś wpuścić. Myślenie o tym zmusiłoby cię również do zastanowienia się nad leżącym pod kocem ciałem twojego syna, a po co miałabyś to robić? Ignorujesz pukanie.

Ktoś wali w okno pokoju dziennego. Uparty. To też ignorujesz.

W końcu ktoś wybija szybę w tylnych drzwiach. Słyszysz kroki w korytarzu między pokojem Uchego a tym należącym do twojej córki, Nassun.

(Twoja córka, Nassun).

Kroki są coraz głośniejsze, aż w końcu się urywają.

– Essun?

Znasz ten głos. Młody i męski. Znajomy i kojący. To Lerna, syn mieszkających po sąsiedzku Makenbów, który zniknął na kilka lat i wrócił jako lekarz. Od pewnego czasu nie jest już chłopcem, przypominasz więc sobie, że powinnaś myśleć o nim jako o mężczyźnie.

Ups, myślenie. Natychmiast przestajesz.

Oddycha głośno, a ty czujesz jego przerażenie, kiedy zbliża się i dostrzega Uchego. Zdziwiałe, ale nie krzyczy. Nie dotyka cię też, ale podchodzi do Uchego i uważnie ci się przygląda. Próbuje zobaczyć,

co dzieje się w środku? Następnie odchyła koc, żeby lepiej przyjrzeć się ciału Uchego. Podciąga koc z powrotem, tym razem przykrywając twarz twojego zmarłego syna.

– On tego nie lubi – mówisz. Odzywasz się po raz pierwszy od dwóch dni. To dziwne uczucie. – Boi się ciemności.

Po chwili Lerna zsuwa brzeg koca poniżej oczu Uchego.

– Dziękuję – mówisz.

Lerna kiwa głową.

– Spałaś?

– Nie.

Lerna okrąża ciało i chwyta cię za rękę. Jest delikatny, ale stanowczy i nie poddaje się, kiedy początkowo nie chcesz się poruszyć. Pociąga po prostu mocniej i w końcu musisz wstać albo się przewrócić. Pozostawia ci tylko taki wybór. Wstajesz. Z tą samą delikatną stanowczością prowadzi cię w stronę drzwi.

– Możesz odpocząć u mnie – mówi.

Nie chcesz myśleć, nie protestujesz więc i nie odpowiadasz, że przecież masz własne łóżko. Nie tłumaczysz mu też, że nie potrzebujesz jego pomocy, co zresztą nie jest prawdą. Lerna prowadzi cię na zewnątrz, a potem dalej, wzdłuż ulicy, przez cały czas trzymając cię za łokieć. Przed domem czeka grupa ludzi. Niektórzy podchodzą do was i mówią coś, na co Lerna odpowiada; ty nic z tego nie słyszysz. Głosy to niewyraźny szum, którego twój umysł nie próbuje rozszyfrować. Lerna mówi do nich za ciebie i byłabyś mu za to wdzięczna, gdybyś mogła się zmusić, aby cię to obchodziło.

Prowadzi cię do swojego domu, który pachnie ziołami, lekarstwami i książkami, a następnie wskazuje duże łóżko zajmowane przez tłustego, szarego kota. Zwierzę przesuwa się, żeby zrobić ci miejsce, a potem przytula się do ciebie, kiedy już leżysz. Byłoby to przyjemne, gdyby jego ciężar i ciepło nie przypominały ci maleńkiego Uchego, który też tak z tobą sypiał.

Sypiał. Nie, zmiana czasu na przeszły wymaga myślenia. Sypia.

– Śpij – mówi Lerna, a ty z łatwością spełniasz jego polecenie.

Śpisz długo. W końcu się budzisz. Na tacy obok łóżka Lerna pozostawił ci jedzenie: rosół, pokrojone owoce i szklankę herbaty. Wszystko już wystygło. Jesz i pijesz, a potem udajesz się do łazienki. Spłuczka nie działa. Obok sedesu stoi wiadro z wodą, które Lerna postawił tam zapewne właśnie z tego powodu. Dziwisz się temu, a potem czujesz, że w twojej głowie zaczynają kiełkować myśli, dlatego walczysz, walczysz, walczysz, aby pozostać w błogiej, ciepłej nieświadomości. Nalewasz trochę wody do toalety, opuszczasz klapę i wracasz do łóżka.

We śnie jesteś w pokoju, kiedy Jija to robi. On i Uche są tacy, jakimi widziałaś ich po raz ostatni: roześmiany Jija trzyma Uchego na kolanie i udaje „trzęsienie ziemi”, a chłopiec chichocze, dla równowagi zaciskając uda i machając rękami. Nagle Jija przestaje się śmiać, wstaje – zrzucając przy tym Uchego na podłogę – i zaczyna go kopać. Wiesz, że było inaczej. Na brzuchu i twarzy syna widziałaś odciski pięści Jiji: siniaki złożone z czterech równoległych śladów. We śnie Jija kopie, bo sny są nielogiczne.

Zakrwawiony Uche śmieje się i macha rękoma, jakby to nadal była zabawa.

Budzisz się z krzykiem, a ten zmienia się w łzy, których nie możesz powstrzymać. Lerna wchodzi do

pokoju, próbuje coś powiedzieć, próbuje cię przytulić, i ostatecznie nakłania cię do wypicia mocnej, niedobrej herbaty. Znowu zasypiasz.

– Coś wydarzyło się na północy – mówi Lerna.

Siadasz na brzegu łóżka. On zajmuje fotel naprzeciwko. Pijesz ohydłą herbatę, a głowa boli cię bardziej niż na kacu. Czujesz się koszmarnie, ale pokój jest zaciemniony. Lena zapalił tylko połowę lamp. Po raz pierwszy zwracasz uwagę na dziwny zapach, którego dym z lamp nie zdołał przytłumić: siarczasty, ostry, gryzący. Ten zapach unosił się w pokoju przez cały dzień i stawał się coraz bardziej intensywny. Najbardziej wyraźnie czułaś go, kiedy Lerna był na zewnątrz.

– Od dwóch dni drogi zablokowane są przez ludzi zmierzających w stronę miasta – Lerna wzdycha i pociera twarz. Jest od ciebie młodszy o piętnaście lat, ale teraz tego po nim nie widać. Ma naturalnie siwe włosy, jak wielu Cebakich, ale to nowe zmarszczki na jego twarzy sprawiają, że wydaje się starszy; one oraz cienie pod oczami. – Był jakiś wstrząs. Silny, kilka dni temu. Tutaj nic nie poczuliśmy, ale w Sume... – Sume to sąsiednia dolina, oddalona o dzień jazdy konnej. – Całe miasto jest...

Kiwasz głową, choć tak naprawdę wszystko to już wiedziałaś, a przynajmniej domyślałaś się tego. Dwa dni temu, siedząc w swojej ziemiance wpatrzona w zwłoki syna, poczułaś, że coś zbliża się do miasta: drżenie ziemi, jakiego nigdy wcześniej nie sejszyłaś. Słowo „drżenie” jest jednak nieodpowiednie. Cokolwiek to było, mogło zawalić twoją chatę na Uchego, dlatego postawiłaś mu coś na drodze – swego rodzaju falochron wzniesiony z siły woli i odrobiny energii kinetycznej zaczerpniętej z samego wstrząsu. Nie wymagało to myślenia; mogłoby to zrobić niemowlę, choć pewnie nie poszłoby mu aż tak gładko. Fala uderzeniowa rozdzieliła się, ominęła dolinę z dwóch stron i popędziła dalej.

Lerna oblizuje wargi. Spogląda na ciebie, a potem odwraca wzrok. To on, jako jedyny oprócz twoich dzieci, wie, czym jesteś. Wie już od pewnego czasu, ale dziś po raz pierwszy musi się z tym zmierzyć. Ty sama nie potrafisz teraz o tym myśleć.

– Rask nikogo nie wpuszcza ani nie wypuszcza. – Rask to Innowator Tirimo, wybrany przez ludzi naczelnik. – Twierdzi, że nie jest to całkowite zamknięcie miasta, ale kiedy chciałem się udać do Sume, żeby zobaczyć, czy mogę jakoś tam pomóc, zabronił mi i wysłał na mur cholernych górników, aby wsparli Mocarnych po wysłaniu zwiadowców. Zaznaczył, że mają zatrzymać mnie w środku. – Lerna zaciska pięści i robi zgorzkniałą minę. – Na Cesarskim Trakcie są ludzie. Znajduje się wśród nich wielu chorych i rannych, a ten zacofany gnojek nie pozwala mi im pomóc.

– Przede wszystkim strzeżcie bram – szepczesz. Masz ochrypły głos. Po tamtym śnie o Jiji dużo krzyczałaś.

– Słucham?

Wypijasz trochę herbaty, żeby złagodzić ból.

– Mądrość kamieni.

Lerna patrzy na ciebie. Zna te słowa; wszystkie dzieci uczą się ich w szkole. Wszyscy wychowujemy się na opowieściach snutych przy ognisku przez mędrców i geodziarzy; ostrzegają one niedowiarków, kiedy pojawiają się znaki, i dają ludziom ocalenie, kiedy mądrość kamieni się sprawdza.

– A więc myślisz, że to się ziściło – wzdycha ciężko. – Ogień pod Ziemią... Essun, nie mówisz chyba poważnie?

Mówisz poważnie. Ziściło się. Wiesz jednak, że jeśli spróbujesz mu to wyjaśnić, nie uwierzy, dlatego kręcisz głową.

Zapada męcząca cisza. Po dłuższej chwili Lerna odzywa się cicho:

– Przywiozłem tu Uchego. Jest w szpitalu, to znaczy, ekhm, w kostnicy. Zajmę się, ekhm... przygotowaniami.

Powoli kiwasz głową.

Lerna waha się przez moment.

– Czy to był Jija?

Kiwasz raz jeszcze.

– Ty... ty widziałaś...

– Wrócił ze szkoły.

– Ach – znowu niezręczna cisza. – Ludzie mówią, że przed trzęsieniem ziemi opuściłaś jeden dzień w szkole. Trzeba było wysłać dzieci do domu. Nikt nie wiedział, czy jesteś chora, czy co...

Tak, no cóż. Prawdopodobnie cię wylano. Lerna bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze. Po takim ostrzeżeniu jesteś już prawie gotowa.

– Wstrząs nas nie dosięgnął, Essun. Ominął miasto. Połamał kilka drzew i roztrzaskał kawałek skały nad rzeką – rzeka płynie wzdłuż północnego krańca doliny, tam, gdzie nikt nie zauważył parującego chalcedonu. – Poza tym w mieście i wokół niego wszystko jest w porządku. Obszar tworzy niemal idealne koło.

Kiedys byś go okłamała. Kiedys miałaś powody, aby się ukrywać; miałaś życie, które chciałaś chronić.

– Ja to zrobiłam – mówisz.

Lerna rozluźnia szczęki, ale kiwa głową.

– Nigdy nikomu nie powiedziałem... – przez chwilę się waha. – Nie powiedziałem, że jesteś... no wiesz, górotworem.

Jest tak miły i uprzejmy. Słyszałaś wiele znacznie brzydszych słów na określenie tego, czym jesteś. On też, ale nigdy by ich nie powtórzył. Jija również nie zwracał uwagi na tych, którzy używali w jego obecności słowa „rogga”. „Nie chcę, żeby moje dzieci słuchały takiego języka”, powtarzał zawsze, i...

Uderza szybko. Gwałtownie pochylasz się, targana konwulsjami. Lerna natychmiast sięga po nocnik, którego nie użyłaś. Z twojego żołądka nic się jednak nie wydobywa, a torsje po chwili ustają. Ostrożnie bierzesz jeden, a potem drugi wdech. Lerna bez słowa podaje ci szklanekę wody. Chcesz odmówić, ale zmieniasz zdanie i bierzesz ją od niego. W ustach czujesz smak żółci.

– To nie ja – odzywasz się w końcu. Lerna marszczy brwi, bo myśli, że wciąż mówisz o wstrząsie. – Jija. On o mnie nie wiedział. – Myślisz. Nie powinnaś myśleć. – Nie wiem, jak to się stało, ale Uche... on jest mały, nie ma jeszcze nad sobą kontroli. Musiał coś zrobić i Jija zorientował się...

Że twoje dzieci są takie jak ty. Po raz pierwszy dopuszczasz do siebie tę myśl.

Lerna zamyka oczy i długo wypuszcza powietrze z płuc.

– A więc o to chodzi.

Wcale nie o to. Coś takiego nie powinno być powodem, dla którego ojciec morduje własne dziecko. Nic nie powinno.

Lerna oblizuje wargi.

– Chcesz zobaczyć Uchego?

Po co? Patrzyłaś na niego przez dwa dni.

– Nie.

Lerna podnosi się z westchnięciem, pocierając dłonią głowę.

– Idziesz powiedzieć Raskowi? – pytasz.

Spojrzenie, które ci posyła, sprawia jednak, że czujesz się jak gbur. Jest wściekły. To taki spokojny i rozważny chłopak; nigdy nie pomyślałabyś, że może być wściekły.

– Nic nie powiem Raskowi. Przez cały ten czas nie puściłem pary z ust i nie zamierzam robić tego teraz.

– W takim razie co...

– Idę odszukać Eran.

Eran to rzeczniczka kasty Obrońców. Lerna urodził się jako Mocarny, ale kiedy został lekarzem i przybył do Tirimo, przyjęli go do siebie Obrońcy; w mieście było już wystarczająco wielu Mocarnych, a Innowatorzy utracili prawo rzutu łuskami. Ty też oświadczyłaś, że należysz do Obrońców.

– Poinformuję ją, że nic ci nie jest, niech przekaże to Raskowi. A ty musisz odpocząć.

– Kiedy zapyta cię, dlaczego Jija...

Lerna kręci głową.

– Wszyscy już się domyślili, Essun. Potrafią czytać mapy. Oczywiście jest, że środek nienaruszonego koła znajduje się w tym sąsiedztwie. Wiedząc, co zrobił Jija, każdy bez trudu domyślił się przyczyn jego zachowania. Czasowo to wszystko się nie zgadza, ale nad tym nikt się już nie zastanawia – patrzysz na niego i powoli zaczynasz rozumieć, a on znowu oblizuje wargi. – Połowa z nich jest przerażona, ale pozostali cieszą się, że Jija to zrobił. Bo oczywiście trzylatek jest w stanie wywołać trzęsienie ziemi w odległym o tysiące kilometrów Yumenes!

Kręcisz głową, po części zdumiona złością Lerna, a po części niezdolna zrozumieć ludzi, którzy uważają, że twój słodki, radosny chłopiec mógłby – że byłby w stanie... – ale jednak Jija również tak pomyślał.

Znowu masz mdłości.

Lerna bierze kolejny głęboki wdech. Robi to przez cały czas trwania tej rozmowy; to przyzwyczajenie, które widziałaś u niego już wcześniej. W ten sposób się uspokaja.

– Zostań tu i wypoczywaj. Niedługo wrócę.

Opuszcza pokój. Słyszysz, jak celowo głośno zachowuje się przed domem. Chwilę później udaje się na swoje spotkanie. Nie zamierzasz odpoczywać. Zamiast tego wstajesz i idziesz do łazienki Lerna, gdzie opłukujesz twarz i nagle nieruchomiejesz, kiedy ciepła woda płynąca z kranu prycha i zmienia się w cuchnącą, czerwonobrazową breję. Gdzieś pękła rura.

„Coś wydarzyło się na północy”, powiedział Lerna.

„Nasze dzieci są unieważnieniem nas samych”, powiedział ci ktoś dawno temu.

– Nassun – szepczesz do swojego odbicia. W lustrze widzisz oczy, które odziedziczyła po tobie twoja córka: odrobinę zadumane i szare niczym popiół.

– Zostawił Uchego w ziemiance. Co zrobił z tobą?

Brak odpowiedzi. Zakręcasz kurek. Następnie mówisz szeptem, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego:

– Muszę iść.

Bo musisz. Musisz znaleźć Jiję, zresztą nie zamierzasz beczynn timer tu czekać. Ludzie z miasteczka wkrótce po ciebie przyjdą.

Wstrząs powróci echem. Słabnąca fala wzbierze na nowo. Pomrukiwanie góry zamieni się w grzmot.

Tablica Pierwsza, *O Przetrwaniu*, werset piąty

DAMAYA, PODCZAS MINIONYCH ZIM

Słoma jest tak ciepła, że Damaya nie chce spod niej wyjść. Ciepła jak kołdra, myśli, pogrążona w mętnym półśnie; albo jak koc, który prababcia uszyła jej kiedyś z kawałków różnych tkanin. Wiele lat temu, zanim zmarła, Babunia pracowała w milicji Brevardu jako szwaczka, musiała więc zdobyć te skrawki, wykonując prace wymagające użycia dodatkowego materiału. Koc, który uszyła dla Damai, jest ciemny i niejednorodny – granatowy, ciemnoszary, zielony – a skrawki układają się w pasy przypominające kolumny żołnierzy, ale ponieważ uszyła go Babunia, Damai nie obchodzi to, że jest brzydki. Wydziela słodki i lekko stęchły zapach, dlatego teraz łatwo jest sobie wyobrazić, że słoma – pachnąca starym nawozem, ale i czymś grzybowo-owocowym – to koc Babuni. Ten prawdziwy znajduje się na łóżku w pokoju Damai, gdzie go zostawiła. Na łóżku, w którym już nigdy nie zaśnie.

Słyszysz głosy dochodzące spoza sterty siana: Mama i ktoś jeszcze zbliżają się tu, rozmawiając. Słychać zgrzyt otwieranych wrót stodoły; wchodzą do środka. Kolejny zgrzyt i drzwi się zamykają.

– DamaDama? – woła Matka.

Damaya kuli się jeszcze bardziej i zaciska szczęki. Nienawidzi tego głupiego przezwiska. Nienawidzi radosnego i słodkiego sposobu, w jaki wypowiada je Matka, jakby było wyrazem czułości, a nie zwykłym kłamstwem.

Damaya nie odpowiada, a Matka stwierdza:

– Nie mogła wydostać się na zewnątrz. Mój mąż sprawdził wszystkie zamki.

– Niestety, takich jak ona zamki nie mogą powstrzymać.

Drugi głos należy do mężczyzny. Nie jest to głos ojca Damai, jej brata, naczelnika wspólnoty ani nikogo znajomego. Ten głos jest głęboki, zabarwiony akcentem, którego nigdy wcześniej nie słyszała; ostrym i ciężkim, z przeciąganymi samogłoskami i szorstkimi początkami oraz zakończeniami wyrazów. Brzmi mądrze. Krokem mężczyzny towarzyszy ciche dzwonienie i Damaya zastanawia się, czy niesie on ze sobą pęk kluczy. A może ma dużo pieniędzy w kieszeniach? Słyszała, że w niektórych zakątkach świata ludzie używają pieniędzy zrobionych z metalu.

Myśl o kluczach i pieniądzach sprawia, że Damaya kuli się w sobie: oczywiście słyszała, jak inne dzieci w szkole szeptały o handlu nieletnimi w odległych miastach z fazowanego kamienia. Nie wszystkie miejsca na świecie są tak samo cywilizowane jak Nomidlaty. Śmiała się wtedy z tych pogłosek, ale teraz wszystko się zmieniło.

– Tutaj – słychać głos mężczyzny, który stoi już niedaleko. – To chyba świeży ślad.

Matka wydaje z siebie odgłos obrzydzenia, a Damaya oblewa się wstydem, kiedy dociera do niej, że zauważyli ką, którego używa jako toalety. Mimo że za każdym razem przykrywała odchody sianem, potwornie tam śmierdzi.

– Załatwia się jak zwierzę. Nie tak ją wychowałam.

– Czy jest tutaj toaleta? – pyta handlarz dziećmi tonem uprzejmego zainteresowania. – Czy dała jej pani wiadro?

Następuje długa cisza, a Damaya dochodzi do wniosku, że tymi pytaniami mężczyzna udzielił Matce reprimendy. Ona sama nie zna tego rodzaju nagan. Mężczyzna nie podniósł głosu ani nie użył żadnego

przekleństwa. A mimo to Matka stoi nieruchoma i zszokowana, zupełnie jakby po wypowiedzeniu tych kilku słów mężczyzna uderzył ją w twarz.

W gardle Damai wzbiera śmiech i dziewczynka tłumi go, wciskając pięść do ust. Gdyby usłyszeli, jak śmieje się z zażenowania Matki, handlarz pomyślałby, że jest naprawdę okropnym dzieckiem. Ale czy byłoby to coś złego? Może rodzice dostaliby wtedy za nią mniej. Już samo to sprawia, że jeszcze bardziej chce się jej śmiać, ponieważ Damaya nienawidzi rodziców, nienawidzi ich, i cieszy ją wszystko, co może sprawić im ból.

Natychmiast gryzie się w rękę – mocno – i teraz nienawidzi już siebie. Nic dziwnego, że Matka i Ojciec ją sprzedają, skoro myśli w ten sposób.

Słyszysz zbliżające się kroki.

– Zimno tu – mówi mężczyzna.

– Gdyby było jeszcze zimniej, trzymalibyśmy ją w domu – odpowiada Matka, a Damaya znowu omal nie wybuchła śmiechem na dźwięk jej potulnego głosu.

Handlarz dziećmi ignoruje Matkę. Jego kroki zbliżają się, ale są... dziwne. Damaya sejszy kroki. Większość ludzi tego nie potrafi; sejszą tylko to, co silne, na przykład wstrząsy, ale nie coś tak delikatnego jak kroki. (Wiedziała to o sobie przez całe życie, ale dopiero niedawno zrozumiała, że to niepokojące). Trudniej wyczuwać poszczególne rzeczy bez bezpośredniego kontaktu z ziemią, kiedy wszystko jest przytłumione drewnianą konstrukcją stodoły i metalowymi gwoździami użytymi do jej budowy, ale mimo to, nawet z perspektywy strychu, Damaya wie, czego się spodziewać. Buch-buch, brzmi zwykle pojedynczy krok, a potem jego pogłos w głębi: buch-buch, buch-buch. Kroki handlarza dziećmi znikają jednak i nie wracają echem. Damaya nie sejszy ich, a jedynie je słyszy. Coś takiego nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło.

Teraz mężczyzna wchodzi po drabinie na strych, gdzie ona ukrywa się w sianie.

– Ach – mówi, docierając na górę. – Tutaj jest ciepłej.

– DamaDama! – w głosie Matki słychać teraz złość. – Schodź stamtąd!

Damaya nie odpowiada, tylko kuli się jeszcze bardziej. Handlarz jest coraz bliżej.

– Nie bój się – mówi tym swoim dudniącym głosem. Bliżej. Damaya czuje, że echo jego głosu biegnie przez drewno, ziemię, skałę i z powrotem. Bliżej. – Przyszedłem ci pomóc, Damayo Mocarna.

Kolejna rzecz, której nienawidzi: jej nazwisko użytkowe. Wcale nie jest silna, jej matka też nie. „Mocarna” oznacza tylko tyle, że jej żeńscy przodkowie mieli na tyle szczęścia, że przyłączyli się do wspólnoty, ale byli za mało wytworni, aby zająć w niej jakąś znaczącą pozycję. „W trudnych czasach Mocarni zostają na łodzi tak samo jak niezrzeszeni”, powiedział kiedyś jej brat, Chaga, żeby ją zdenerwować. A potem zaśmiał się, jakby to było zabawne. Jakby to nie była prawda. Oczywiście Chaga to Obrońca, jak Ojciec. Niezależnie od tego, jak trudne są czasy, wszyscy zrzeszeni lubią mieć takich ludzi w pobliżu na wypadek zarazy czy głodu.

Mężczyzna zatrzymuje się tuż przed stertą siana.

– Nie bój się – powtarza, tym razem ciszej. Matka jest na dole i prawdopodobnie go nie słyszy. – Nie pozwolę twojej matce cię skrzywdzić.

Damaya wzdycha.

Nie jest głupia. Mężczyzna to handlarz dziećmi, a handlarze dziećmi robią straszne rzeczy. Ponieważ jednak wypowiedział te słowa, a jakaś jej część jest już zmęczona nieustannym strachem i złością, Damaya powoli się prostuje. Wygrzebuje się z miękkiego, ciepłego siana i siada, spoglądając na mężczyznę przez zasłonę z włosów oraz brudnej słomy.

Człowiek ten wygląda tak samo dziwnie jak mówi i najwyraźniej pochodzi spoza Paleli, z daleka. Jego skóra jest niemal biała, papierowa; pewnie pali i unika silnego słońca. Ma długie, proste włosy, które

w połączeniu z odcieniem skóry mogłyby sugerować, że jest Arktykiem, ale ich kolor – głęboka czerń, jak ziemia w pobliżu dawnego wstrząsu – nie pasuje do tego wizerunku. Taką barwę spotkać można u mieszkańców Wschodniego Wybrzeża, ale oni mają włosy kręcone, nie proste, a oprócz tego czarna jest też ich skóra. Mężczyzna jest wysoki – wyższy i szerszy w ramionach niż Ojciec. Jednak podczas gdy szerokim ramionom Ojca towarzyszy też szeroka pierś i duży brzuch, ten człowiek zwęża się ku dołowi. Wszystko w nim wydaje się szczupłe i stonowane. Jakby nie przynależał do żadnej konkretnej rasy.

Najbardziej jednak zaskakują Damayę jego oczy. Są białe albo prawie białe. Dostrzega tylko ich białka i srebrnoszare okręgi pośrodku, które trudno odróżnić od bieli, nawet z bliska. W bezbarwnym półmroku stodoły źrenice handlarza wydają się duże i zadziwiające. Słyszała kiedyś o takich oczach: w legendach i mądrościach kamieni nazywano je „lodowobiałymi”. Spotyka się je rzadko i zawsze stanowią zły omen.

W tej samej chwili handlarz dziećmi uśmiecha się jednak i Damaya bez zastanowienia odwzajemnia uśmiech. Natychmiast obdarza tego człowieka zaufaniem. Wie, że nie powinna, ale to robi.

– Proszę, proszę – mówi mężczyzna, dalej po cichu, żeby Matka go nie słyszała. – DamaDama Mocarna, jak sądzę?

– Po prostu Damaya – odpowiada odruchowo.

Mężczyzna kłania się z wdziękiem i wyciąga dłoń.

– Zrozumiano. W takim razie czy dołączysz do nas, Damayu?

Damaya nie rusza się, a on nie sięga w jej stronę. Stoi tam, gdzie stał, cierpliwy jak głaz, z wyciągniętą ręką. Mija dziesięć oddechów. Dwadzieścia. Damaya wie, że będzie musiała z nim pójść, ale podoba jej się, że może się czuć, jakby miała wybór. W końcu podaje mu dłoń i pozwala, aby pomógł jej wstać. Mężczyzna nie puszcza jej ręki, kiedy ona strząsa z siebie tyle słomy, ile może, a potem przyciąga ją bliżej, tylko odrobinę.

– Jedną chwilkę.

– Hm?

Druga ręka handlarza pojawia się z tyłu jej głowy i przyciska dwa palce do nasady jej czaszki tak szybko i zręcznie, że Damaya nawet nie reaguje. Mężczyzna zamyka na chwilę oczy i ledwie zauważalnie drży, a potem wypuszcza powietrze i zwalnia uścisk.

– Najpierw obowiązki – stwierdza zagadkowo. Zaskoczona Damaya dotyka od tyłu swojej głowy, wciąż czując tam jego palce. – A teraz chodźmy na dół.

– Co mi zrobiłeś?

– To tylko taki mały rytuał. Coś, co pomoże mi cię znaleźć, gdybyś się zgubiła – Damaya nie rozumie, co to znaczy. – Chodź już, muszę powiedzieć twojej mamie, że jedziesz ze mną.

A więc to prawda. Damaya przygryza wargę, a kiedy mężczyzna odwraca się, żeby zejść po drabinie, powoli rusza za nim.

– No i tak – mówi handlarz, kiedy stają obok Matki. (Matka wzdycha na jej widok, być może z irytacją). – Gdyby mogła pani przygotować dla niej jeden czy dwa komplety ubrań na zmianę, coś do jedzenia na drogę i jakiś płaszcz, bo zaraz wyjeżdżamy...

Mama porusza się, zaskoczona.

– Wydaliśmy jej płaszcz.

– Jak to wydaliście? Zimą?

Mężczyzna mówi uprzejmym tonem, ale Matka wygląda na zmieszaną.

– Jej kuzynka bardzo go potrzebowała. Nie mamy całej szafy ładnych ciuchów, które moglibyśmy rozdawać. A poza tym...

Matka waha się, spoglądając na Damayę. Damaya odwraca wzrok. Nie chce wiedzieć, czy Matka żałuje wydania płaszcza. Przede wszystkim nie chce wiedzieć, że matka tego nie żałuje.

– A poza tym słyszała pani, że górotwory nie odczuwają zimna tak, jak inni – dokańcza mężczyzna, wzdychając ze znużeniem. – To mit. Podejrzewam, że widziała pani kiedyś córkę przeziębioną.

– Och... – Matka jest speszona. – Tak. Ale myślałam...

Że Damaya może udaje. To właśnie powiedziała jej tamtego pierwszego dnia, kiedy po powrocie ze szkoły zamknęli ją w stodole. Matka była wściekła, a po jej twarzy płynęły łzy, Ojciec natomiast siedział tylko w milczeniu, cały blady. Damaya ukrywała to przed nimi, stwierdziła Matka, ukrywała wszystko, udając, że jest dzieckiem, choć tak naprawdę jest potworem, bo to właśnie robią potwory; Matka zawsze wiedziała, że z Damayą jest coś nie tak, bo zawsze była taką małą kłamczuchą...

Mężczyzna kręci głową.

– Tak czy inaczej, będziemy potrzebować jakiejś ochrony przed chłodem. Przy Równikiadzie robi się trochę cieplej, ale zanim tam dotrzemy, minie kilka tygodni.

Matce opada szczęka.

– A więc naprawdę zabiera ją pan do Yumenes.

– Oczywiście, że... – Mężczyzna patrzy na nią. – Ach.

Spogląda na Damayę. Oboje spoglądają na Damayę, a ich wzrok wręcz ją kłuje. Dziewczynka nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Poprosiliście naczelnika wspólnoty, żeby mnie wezwał, choć byliście pewni, że przyjadę ją zabić – kończy mężczyzna.

Matka sztywnieje.

– Nie. To nie, ja nie...

Opuszcza ręce wzdłuż ciała. Następnie pochyla głowę, jakby było jej wstyd, ale Damaya wie, że to kłamstwo. Matka nie wstydzi się niczego, co zrobiła. Gdyby się wstydziła, po co miałyby to robić?

– Normalni ludzie nie mogą opiekować się... dziećmi takimi jak ona – stwierdza Matka bardzo opanowanym głosem. Zerka na Damayę i zaraz odwraca wzrok. – Prawie zabiła w szkole chłopca. Mamy jeszcze jedno dziecko, mamy sąsiadów, a poza tym... – Nagle prostuje się i unosi głowę. – A poza tym to obowiązek każdego obywatela, czyż nie?

– Tak, tak, wszystko się zgadza. Państwa poświęcenie uczyni świat lepszym – to zwykły frazes. W tonie głosu mężczyzny nie słyhać pochwały. Damaya spogląda na niego raz jeszcze, zdziwiona faktem, że nie zabija dzieci. To nielogiczne. I o co chodzi z Równikiadą? Te ziemie leżą bardzo, bardzo daleko.

Handlarz dziećmi spogląda na Damayę i jakimś sposobem rozumie, że ona nie rozumie. Jego twarz łagodnieje, co przy tak przerażających oczach powinno być niemożliwe.

– Do Yumenes – mówi mężczyzna do Matki i do Damai. – Tak. Jest młoda, zabieram ją więc do Osi. Tam nauczy się wykorzystywać swoją kłutwę. Jej poświęcenie również uczyni świat lepszym.

Damaya patrzy na niego, uświadamiając sobie, jak bardzo się myliła. Matka jej nie sprzedała. Ona i Ojciec po prostu ją oddali. Poza tym Matka wcale jej nie nienawidzi – ona się jej boi. Czy to robi jakąś różnicę? Być może. Damaya nie wie, jak powinna się czuć, wiedząc to wszystko.

A mężczyzna... mężczyzna wcale nie jest handlarzem dziećmi. Jest...

– Pan jest Stróżem? – pyta Damaya, choć teraz wie już na pewno. Mężczyzna znowu się uśmiecha. Nie sądziła, że Stróże tak wyglądają. Wyobrażała ich sobie jako wysokich, wyposażonych w broń i tajemną wiedzę wojowników o zimnych obliczach. Ten przynajmniej jest wysoki.

– Tak – odpowiada mężczyzna i bierze ją za rękę. Damaya dochodzi do wniosku, że chyba lubi dotykać ludzi. – Jestem twoim Stróżem.

Matka wzdycha.

– Mogę dać panu dla niej koc.

– Na pewno się przyda, dziękuję.

Po tych słowach zapada cisza. Kilka oddechów później Matka uświadamia sobie, że mężczyzna czeka, aż ona przyniesie koc. Kiwa głową i wychodzi ze stodoły, wyprostowana. Mężczyzna i Damaya zostają sami.

– Proszę – mówi mężczyzna, sięgając do ramion. Ma na sobie coś w rodzaju munduru: twarde naramienniki, długie i sztywne rękawy oraz nogawki, całość uszyta z bordowego materiału, który wydaje się twardy i szorstki. Jak koc Babuni. Mundur uzupełnia krótka peleryna, służąca raczej względem estetycznym niż praktycznym: mężczyzna zdejmuje ją i okrywa nią Damayę. Jest długa jak sukienka i ogrzana ciepłem jego ciała.

– Dziękuję. Kim jesteś?

– Nazywam się Schaffa Stróż Warrant.

Nigdy nie słyszała o miejscowości Warrant, ale musi ona istnieć, bo w przeciwnym razie jaki sens miałyby noszenie takiego nazwiska wspólnotowego?

– Czy Stróż to nazwisko użytkowe?

– Tak, pochodzi od kasty Stróżów – mężczyzna cedzi każde słowo, a policzki mu różowieją. – W normalnych warunkach wspólnoty nie mają z nas zbyt wiele pożytku.

Damaya marszczy czoło zdezorientowana.

– To znaczy, że kiedy Sezon się kończy, po prostu was wykopują? Ale...

Z różnych opowieści o Stróżach wie, że to świetni wojownicy i myśliwi, a czasami – często – również zabójcy. Wspólnoty potrzebują takich ludzi w trudnych czasach.

Shaffa wzrusza ramionami i odchodzi kawałek, żeby usiąść na belce starego siana. Damaya też ma za plecami taką belkę, ale nie siada, bo podoba jej się, że prawie zrównali się wzrostem. Nawet na siedząco mężczyzna jest od niej wyższy, ale już nie tak bardzo.

– Gorótwory Osi służą światu – mówi Shaffa. – Od dzisiaj nie będziesz mieć nazwiska użytkowego, ponieważ twoja użyteczność zależy od tego, kim jesteś, a nie od przynależności rodowej. Górotwór, nawet niewykształcony, już od urodzenia potrafi powstrzymać trzęsienia ziemi. Ze wspólnotą czy bez niej, jesteś górotworem. Jednak dzięki treningowi i wsparciu innych wykwalifikowanych górotworów z Osi możesz stać się użyteczna nie tylko dla pojedynczej wspólnoty, ale dla całego Bezruchu – mówiąc to, rozpościera ramiona. – Jako Stróż sprawujący opiekę nad górotworami postawiłem przed sobą podobny cel jaki, leży przed nimi. Dlatego też właściwym jest, abym dzielił los moich podopiecznych.

Damaya jest tego wszystkiego tak bardzo ciekawa, że nie wie, o co pytać najpierw.

– Czy masz... – urywa – innych, t-takich jak ja?

Nie potrafi powiedzieć nic więcej.

Schaffa śmieje się, wyczuwając jej podekscytowanie.

– Jestem obecnie Stróżem szóstki – odpowiada, kiwając głową i dając w ten sposób Damai do zrozumienia, że to właściwy sposób mówienia i myślenia o sobie. – Łącznie z tobą.

– I wszystkich ich przyprowadziłeś do Yumenes? Znalazłeś ich tak samo jak mnie?

– Nie do końca. Niektórych oddano mi pod opiekę, bo urodzili się w Osi, kilku przejąłem też po innych Stróżach. Zdarzyło się również, że znalazłem kogoś, po tym jak przypisano mnie do objazdów po tej części Nomidlatów – mówiąc to, Schaffa rozkłada ręce. – Kiedy twoi rodzice zgłosili fakt posiadania gorótwórczego dziecka naczelnikowi Paeli, ten zatelegrafował do Brevard, po czym przekazano informację do Geddo, a stamtąd wreszcie do ludzi z Yumenes, i to od nich dostałem telegram. – Mężczyzna wzdycha. – Całe szczęście, że dzień po nadejściu wiadomości pojawiłem się na stacji węzłowej w pobliżu Brevard. Gdyby nie to, otrzymałbym ją dopiero za dwa tygodnie.

Damaya zna Brevard, za to Yumenes kojarzy wyłącznie z legend, a pozostałe miejsca, o których wspominał Schaffa, to dla niej tylko słowa ze szkolnego podręcznika. Brevard jest najbliższym miastem

w okolicach Paleli, znacznie większym niż ona sama. To tam na początku każdego sezonu wegetacyjnego Ojciec i Chaga jeżdżą, żeby sprzedawać plony. Dopiero po chwili do Damai docierają słowa mężczyzny. Kolejne dwa tygodnie w tej stodole, gdzie trzęsłaby się z zimna i załatwiała swoje potrzeby w rogu. Ona też się cieszy, że Schaffa w porę dostał wiadomość.

– Masz wielkie szczęście – mówi mężczyzna, prawdopodobnie odczytując wyraz jej twarzy. Jego własna jest już opanowana. – Nie wszyscy rodzice postępują właściwie. Czasami nie trzymają dzieci w izolacji zgodnie z zaleceniami Osi oraz Stróżów. Czasami robią to, ale dostajemy wiadomość za późno i kiedy Stróż pojawia się na miejscu, dziecko jest zatłuczone na śmierć przez tłum miejscowych. Nie myśl źle o swoich rodzicach, Damayu. Jesteś cała i zdrowa, a to już całkiem dużo.

Damaya kręci się niespokojnie, nie chcąc przyjąć tego do wiadomości. Mężczyzna wzdycha.

– A czasami rodzice górotwora próbują ukrywać dziecko – kontynuuje. – Trzymają je u siebie, pozbawiając szkolenia i opieki Stróża. To zawsze źle się kończy.

O tym właśnie myślała przez ostatnie dwa tygodnie, od tamtego pamiętnego dnia w szkole. Gdyby rodzice ją kochali, nie zamknęliby jej w stodole. Nie wezwaliby tego człowieka. Matka nie powiedziała by tych wszystkich okropnych rzeczy.

– Dlaczego nie mogą... – zaczyna, ale nagle dociera do niej, że Schaffa powiedział to celowo. Chciał się przekonać, czy chodzi jej po głowie pytanie: „Dlaczego nie mogą po prostu ukryć mnie tutaj na zawsze?”. Teraz już wie. Damaya zaciska dłonie na otulającej ją pelerynie, a Stróż tylko kiwa głową.

– Po pierwsze dlatego, że mają jeszcze inne dziecko, a najbardziej łagodną karą za ukrywanie niezgłoszonego górotwora jest wydalenie ze wspólnoty.

Damaya o tym wie, ale nie dopuszcza do siebie tego faktu. Rodzice, którym zależy na dziecku, zaryzykowałyby, prawda?

– Twoi rodzice nie mogli ryzykować utraty domu, trzody i opieki nad dwójką dzieci. Postanowili ocalić chociaż część z tego. Największe niebezpieczeństwo leży jednak w tym, czym jesteś, Damo. Nie możesz tego ukryć, tak samo jak nie możesz ukryć faktu, że jesteś dziewczynką i mądrym człowiekiem.

Damaya czerwieni się, niepewna, czy to komplement. Mężczyzna uśmiecha się, i wtedy wie, że tak.

– Za każdym razem, kiedy ziemia się poruszy, usłyszysz jej wołanie – kontynuuje Schaffa. – W każdym momencie zagrożenia instynktownie będziesz sięgać do najbliższego źródła ciepła oraz ruchu. Ta umiejętność jest dla ciebie tym samym, czym pięści dla silnego mężczyzny. Kiedy pojawi się zagrożenie, oczywiście zrobisz to, co konieczne, aby się przed nim uchronić. A wtedy zginą ludzie.

Damaya krzywi się. Schaffa znowu przywołuje na twarz uprzejmy uśmiech. I wtedy dziewczynka przypomina sobie tamten dzień.

To było na placu zabaw, po obiedzie. Jak zwykle zjadła swój naleśnik z fasolą, siedząc przy stawie w towarzystwie Limi i Shantare, podczas gdy inne dzieci bawiły się albo rzucały się jedzeniem. W narożniku kilka dzieciaków pochylało się nad ziemią, coś na niej rysując i mrucząc do siebie – tego dnia był sprawdzian z geometrii. Następnie do ich trójki podszedł Zab i spoglądając na Damayę, powiedział:

– Pozwól mi od siebie ściągać.

Limi zachichotała. Jej zdaniem Damaya podobała się Zabowi. Damai Zab wcale się nie podobał, uważała, że jest okropny: zawsze ją zaczepiał, wyzywał albo szturchał tak długo, aż zaczynała krzyczeć, że ma przestać, bo w przeciwnym razie naskarzy na niego nauczycielce. Dlatego też odparła:

– Nie mam zamiaru pakować się przez ciebie w kłopoty.

– Nie wpakujesz się, jak dobrze to zrobisz. Po prostu przesuń kartkę...

– Nie – powtórzyła. – Nie zamierzam robić tego dobrze. Nie zamierzam w ogóle tego robić. Idź stąd.

Następnie odwróciła się do Shantare, z którą rozmawiała, zanim przeszkodził im Zab.

Zanim się zorientowała, leżała na ziemi. Zab ściągnął ją ze skały obiema rękami. Wywinęła koźła i wylądowała na plecach. Później – miała dwa tygodnie w stodole, żeby o tym myśleć – przypomniała sobie wyraz zdziwienia na jego twarzy, jakby chłopak nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo. W tamtej chwili wiedziała jednak tylko, że leży na ziemi. W błocie. Całe plecy miała mokre i brudne, śmierdziała trawą i zgnilizną, nawet jej włosy śmierdziały, a to był jej najlepszy mundurek i Matka na pewno się wścieknie, więc ona też była wściekła, dlatego nabrała powietrza i...

Damaya drży. „A wtedy zginą ludzie”. Schaffa kiwa głową, jakby słyszał jej myśli.

– Jesteś szkłem ogniogórskim, Damo – mówi bardzo uprzejmym głosem. – Jesteś darem Ziemi. Nie zapominaj jednak, że Ojciec Ziemia nas nienawidzi, a jego dary są niebezpieczne i zawsze mają swoją cenę. Jeśli weźmiemy cię do siebie, wykszolimy i otoczmy opieką oraz szacunkiem, staniesz się wartościowa. Jeśli jednak zostawimy cię samej sobie, rozerwiesz na strzępy pierwszą osobę, która ci się narazi. Może też być jeszcze gorzej i skrzywdzisz wiele osób.

Damaya przypomina sobie wyraz twarzy Zaba. Na moment powietrze wokół niej ochłodziło się, wirując niczym wypuszczony z ręki balon. Wystarczyło to, żeby trawę pod nią pokryła warstwa szronu, a na twarzy Zaba zamarzyły krople potu. Ona i on zastygli w bezruchu, patrząc na siebie nawzajem.

Pamięta wyraz jego twarzy. Odczytała z niej: „Prawie mnie zabiłaś”.

– To nie twoja wina – mówi Schaffa. – Większość tego, co mówią o górotworach, to nieprawda. Ty i twoi rodzice nie mieliście wpływu na to, że się taka urodziłaś. Nie bądź zła na nich ani na siebie.

Damaya wybucha płaczem, bo mężczyzna ma rację. Wszystko, co mówi, jest prawdą. Nienawidzi Matki za to, że ją tu zamknęła, nienawidzi Ojca i Chagi za to, że jej na to pozwolili, nienawidzi też siebie za to, że urodziła się taka i wszystkich ich zawiodła. A teraz Schaffa wie, jaka jest słaba i okropna.

– Ciii – mężczyzna wstaje i podchodzi do niej. Klęka, chwyta ją za rękę, a ona jeszcze mocniej zanosi się płaczem. Schaffa ściska jej dłoń, tak, żeby zaboląło; Damaya patrzy na niego przez łzy, próbując się cofnąć.

– Nie wolno ci, maleńka. Twoja matka zaraz tu wróci. Nigdy nie płacz, kiedy mogą cię zobaczyć.

– C-co?

Wygląda na zasmuconego – z jej powodu? – i dotyka jej policzka.

– To nie jest bezpieczne.

Damaya nie ma pojęcia, co to znaczy.

Mimo wszystko przestaje. Wyciera sobie policzki, a Schaffa zbiera kciukiem jedną łzę, którą przeoczyła, a potem kiwa głową.

– Twoja matka pewnie się zorientuje, ale dla innych wystarczy.

Wrota stodoły otwierają się ze zgrzytem i Matka wchodzi do środka, tym razem w towarzystwie Ojca. Ojciec zaciska szczęki i nie patrzy na Damayę, choć nie widział jej od czasu, kiedy Matka umieściła ją w stodole. Oboje spoglądają na Schaffę, który stoi obok Damai i skinieniem głowy dziękuje za przyniesiony przez Matkę koc oraz przewiązaną szpagatem paczkę.

– Napoiliśmy pańskiego konia – oznajmia chłodno Ojciec. – Chce pan obroku na drogę?

– Nie trzeba – odpowiada Schaffa. – Przed zmierzchem powinniśmy dotrzeć do Brevard.

Ojciec marszczy czoło.

– To trudny szlak.

– Tak. Ale przynajmniej nikt z waszej wioski nie wpadnie na pomysł, aby akurat przy tej drodze zasadzić się na nas i pożegnać Damayę w nieco bardziej grubiański sposób.

Do Damai dociera to dopiero po chwili: ludzie z Palei chcą ją zabić. Ale to niesprawiedliwe, prawda? Chyba nie mogą tego zrobić? Myśli o wszystkich ludziach, których zna. O nauczycielach ze szkoły. O innych dzieciach. O starszych paniach z zajazdu, które przyjaźniły się z Babunią, zanim zmarła.

Ojciec myśli to samo – marszczy czoło i otwiera usta, a Damaya wie, że chce powiedzieć: „Nie zrobiliby tego”. Powstrzymuje się jednak i nic nie mówi. Spogląda na Damayę, tylko raz, z udęconą miną, a potem znowu odwraca wzrok.

– Proszę – mówi Schaffa, wręczając jej koc. To koc Babuni. Damaya patrzy na niego, a potem na Matkę, ale ta nie odwzajemnia spojrzenia.

Płacz nie jest bezpieczny. Dlatego zdejmując pelerynę Schaffy i otulając się kocem, tak znajomo zatęchłym, szorstkim i cudownym, dziewczynka zachowuje niewzruszony wyraz twarzy. Schaffa zerka na nią i na znak akceptacji nieznacznie kiwa głową. Następnie bierze ją za rękę i prowadzi w stronę wrót stodoły.

Matka i Ojciec idą za nimi bez słowa. Damaya też nic nie mówi. Spogląda na dom i dostrzega kogoś w przerwie pomiędzy zasłonami, która zaraz znika. To Chaga, jej starszy brat, który uczył ją czytać, jeździć na osle i puszczać kaczki na stawie. Nie macha jej nawet na pożegnanie... ale nie dlatego, że jej nienawidzi. Teraz Damaya już to wie.

Schaffa pomaga Damai wsiąść na największego konia, jakiego w życiu widziała – to potężny, lśniący gniadosz o długiej szyi – i wskakuje na siodło tuż za nią, a potem owija jej nogi kocem, żeby nie odmroziła ich sobie ani nie pocierała. Ruszają w drogę.

– Nie oglądaj się – doradza jej. – Tak jest łatwiej.

Damaya nie ogląda się więc. Później zrozumie, że Schaffa również w tej kwestii miał rację.

Jeszcze później pożałuje jednak, że mimo wszystko tego nie zrobiła.

[nieczytelne] *lodowobiałe oczy, popiołowe włosy, nabrzmiąły nos, zaostrome zęby i rozwidlony język.*

Tablica Druga, *Prawda Niekompletna*, werset ósmy

RUSZASZ W DROGĘ

Wciąż próbujesz zdecydować, kim być. Ta, którą byłaś ostatnio, umarła razem z Uchem. Tamta skromna, cicha i zwyczajna kobieta na nic ci się już nie przyda. Nie w tak niezwykłych okolicznościach.

Nadal nie wiesz jednak, gdzie jest pochowana Nassun – jeśli w ogóle Jija zadał sobie trud pogrzebania jej. Dopóki nie pożegnasz się ze swoją córką, musisz pozostać matką, którą kochała.

Postanawiasz więc, że nie będziesz czekała na śmierć.

Bo wiesz, że niedługo przyjdzie po ciebie – może jeszcze nie teraz, ale wkrótce. Wprawdzie wielki wstrząs z północy ominął Tirimo, ale wszyscy wiedzą, że powinien był je zniszczyć. Sejsody nie kłamią, przynajmniej nie w przypadku czegoś o tak nieposkromionej, niszczycielskiej i oszołamiającej sile. Sejszyli to wszyscy, od dzieci po niedołączonych starców. A teraz, kiedy do Tirimo przybywają uciekinierzy z miast i wiosek, które nie miały tyle szczęścia – wszyscy oni zdążają na południe – ludzie stąd usłyszą rozmaite historie. Wyczują w powietrzu siarkę. Spojrzą w coraz dziwniej wyglądające niebo i potraktują to jako zły znak. (Słusznie). Być może naczelnik Rask wysłał wreszcie kogoś do miasteczka Sume, położonego w sąsiedniej dolinie. Większość mieszkańców Tirimo ma tam krewnych; przepływ towarów i ludzi pomiędzy tymi dwiema miejscowościami trwa od kilku pokoleń. Najważniejsze oczywiście są wspólnoty, ale jeśli nikt nie przymiera głodem, krewni również mogą coś znaczyć. Rask wciąż może pozwolić sobie na hojność – na razie. Być może.

A kiedy zwiadowcy powrócą i przyniosą wieści o zniszczeniach, które, jak dobrze wiesz, zastaną w Sume – i o ocalałych, których, jak wiesz, raczej nie znajdą – nie będzie można dłużej już zaprzeczać. Pozostanie tylko strach. A wystraszeni ludzie szukają kozłów ofiarnych.

Zmuszasz się więc do jedzenia, tym razem uważając, by nie myśleć o wszystkich tych posiłkach, które spożywałaś wspólnie z Jiją i dziećmi. (Niekontrolowane łzy byłyby lepsze niż niekontrolowane wymioty, ale reakcji na rozpacz się nie wybiera). Następnie po cichu wychodzisz z domu Lery przez tylne drzwi i wracasz do siebie. Nikogo nie widzisz. Wszyscy są zapewne u Raska i czekają na wiadomości albo polecenia.

W schowku pod dywanem znajduje się worek przeznaczony na czarną chwilę. Siadasz na podłodze w pokoju, w którym Uche został pobity na śmierć, i przetrząszasz jego zawartość, wyjmując wszystko to, czego nie będziesz potrzebować. Komplet znoszonych, wygodnych ubrań dla Nassun jest już zbyt mały; ty i Jija pakowaliście go jeszcze przed narodzinami Uchego i w swojej niedbałości zapomnieliście go uzupełnić. Tabliczka suszonych owoców spleśniała; być może nadal dałoby się ją zjeść, ale nie jesteś aż tak zdesperowana. (Na razie). W worku znajdują się również dokumenty potwierdzające prawo własności domu oraz inne, z których wynika, że ty i Jija nie macie zaległości podatkowych i oboje jesteście zarejestrowanymi członkami wspólnoty Tirimo oraz kasty Obrońców. Zostawiasz całą tę swoją finansową i prawną historię z ostatnich dziesięciu lat na kupce, razem ze spleśniałymi owocami.

Zwitek pieniędzy w gumowym portfelu – pieniądze są papierowe, bo jest ich dużo – okaże się bezużyteczny, kiedy ludzie zrozumieją, jak bardzo jest źle, ale do tego momentu pozostanie przydatny. Potem nada się jedynie na rozpałkę. Zatrzymujesz obsydianowy nóż do skórowania, na którego kupno nalegał Jija i którego najprawdopodobniej nigdy nie użyjesz – dysponujesz lepszymi, bardziej naturalnymi rodzajami broni. Będziesz jednak mogła go za coś prehandlować, a poza tym może posłużyć jako wizualny odstraszcacz. Buty Jiji też będzie można na coś wymienić, ponieważ są w dobrym stanie. Nigdy już ich nie założysz, bo wkrótce go znajdziesz i zabijesz.

Moment. Korygujesz tę myśl w taki sposób, żeby lepiej pasowała do kobiety, którą postanowiłaś być. Tak więc: znajdziesz go i zapytasz, dlaczego zrobił to, co zrobił. Jak mógł to zrobić. Co ważniejsze, zapytasz go również, gdzie jest twoja córka.

Zapełniasz worek z powrotem i wkładasz go do jednej ze skrzyń, których Jija używał do dostarczania przesyłek. Nikt się nie zdziwi, jeśli zobaczy cię z nią w mieście, ponieważ do niedawna robiłaś to bardzo często, pomagając Jiji w jego biznesie ceramicznym i kowalskim. W końcu ktoś zada sobie pytanie, dlaczego roznosisz towar, kiedy naczelnik jest prawdopodobnie o krok od wprowadzenia Prawa Sezonowego. W pierwszej chwili większość ludzi nie myśli jednak o takich rzeczach i tylko to się liczy.

Wychodząc, mijasz miejsce, w którym przez kilka dni leżał Uche. Lerna zabrał ciało, ale zostawił koc: na podłodze nie widać plam krwi. Mimo to nie patrzysz w tamtą stronę.

Twój dom jest jednym z kilku położonych pomiędzy terenami zielonymi a południowym murem miasta. Wybrałaś go, ponieważ stoi odosobniony na wąskiej, otoczonej drzewami działce. Do centrum miasta prowadzi prosta droga przez zieleni, co Jiji bardzo się podobało. To coś, o co zawsze się spieraliście: ty nie lubiłaś otaczać się ludźmi bardziej niż to konieczne, natomiast Jija był rozmowny i towarzyski, a ciszy nienawidził...

Niespodziewanie ogarnia cię przemożna, obezwładniająca wściekłość. Musisz się zatrzymać w progu swojego domu, oprzeć głowę o framugę i oddychać głęboko, bo w przeciwnym razie zaczniesz wrzeszczeć albo zadźgasz kogoś (siebie?) tym cholernym nożem. Albo, co gorsza, obniżysz temperaturę powietrza.

Okej. Myliłaś się. Nudności wcale nie są najgorszą reakcją na rozpacz.

Nie masz jednak na to czasu, nie masz siły, dlatego skupiasz się na innych rzeczach. Na czymkolwiek innym. Na drewnie framugi pod twoją dłoń. Na powietrzu, które teraz, będąc już prawie na zewnątrz, czujesz wyraźniej. Zapach siarki nie nasila się, przynajmniej na razie, co prawdopodobnie jest dobrym znakiem. Sejszysz, że w pobliżu nie ma szczelin w ziemi, a więc zapach dociera z północy, gdzie znajduje się wielka, zaogniona rana biegnąca od wybrzeża do wybrzeża – wiesz o niej, choć jak dotąd ludzie podróżujący Cesarskim Traktem słyszeli o niej jedynie pogłoski. Masz nadzieję, że stężenie siarki się nie zwiększy, ponieważ w przeciwnym razie ludzie zaczną się dusić i wymiotować, a po kolejnym deszczu skwaśnieje ziemia i pozdychają ryby w rzece...

Tak. Już lepiej. Po chwili opanowanie wraca i jesteś w stanie wreszcie oddalić się od domu.

Na ulicach widać niewielu ludzi. Rask musiał w końcu ogłosić oficjalne zamknięcie miasta. Bramy wspólnoty są zamknięte; widząc kilka osób poruszających się w pobliżu jednej z wież, dochodzisz do wniosku, że Rask przewencyjnie rozmieścił strażę. Nie powinno się to wydarzyć przed ogłoszeniem Sezonu, czyli Piątej Pory Roku, i osobiście przeklinasz ostrożność Raska. Na szczęście nie zrobił nic innego, co mogłoby utrudnić ci ucieczkę.

Rynek jest zamknięty – przynajmniej na razie – żeby kupujący nie robili zapasów, a sprzedawcy nie podnosili cen. Godzina policyjna zaczyna się o zmierzchu i wszystkie interesy, które nie są kluczowe dla funkcjonowania albo ochrony miasta, mają być zamknięte. Każdy wie, co robić. Każdy dostał swoje zadania, a większość z nich można wykonywać w domu: wyplatanie koszy na zapasy, suszenie i konserwowanie łatwo psującej się żywności, naprawianie narzędzi i łatanie odzieży. Wszystko to jest zgodne z cesarskimi zaleceniami oraz z zasadami mądrości kamieni, a oprócz względów praktycznych chodzi również o zajęcie czymś ludzi. Tak na wszelki wypadek.

Mimo wszystko, idąc wzdłuż granicy terenów zielonych – podczas zamknięcia miasta nikt tędy nie chodzi, nie z powodu żadnego zakazu, ale ponieważ takie momenty przypominają ludziom, że zieleni to nie tylko ładny skrawek ziemi porośniętej koniczyną i polnymi kwiatami, ale również potencjalne pole uprawne – dostrzegasz kilku mieszkańców Tirimo przebywających poza domem. To głównie Mocarni.

Jedna grupa ludzi buduje szopę i padok, wydzielając kawałek zielonego terenu dla żywego inwentarza. To ciężka praca i budownicy są w nią za bardzo zaangażowani, żeby zwrócić uwagę na kobietę niosącą skrzynię. Rozpoznajesz kilka twarzy – spotykałaś te osoby wcześniej na rynku albo w związku z interesami Jiji. Oni też posyłają ci spojrzenia, ale tylko przelotne. Znają cię i wiedzą, że nie jesteś nikim Obcym. W tej chwili są zbyt zajęci, żeby sobie uzmysłwić, że być może jesteś również matką roggi.

Albo się zastanawiać, po którym z rodziców twój zmarły roggga odziedziczył swoją klątwę.

W centrum miasta panuje większy ruch. Wtapiasz się między ludzi, idąc tym samym tempem co inni, odpowiadając skinieniem głowy na skinienia głowy i próbując nie myśleć o niczym, żeby wyglądać na obojętną, znudzoną. W okolicy biura naczelnika jest tłoczno: kapitanowie poszczególnych dzielnic i rzecznicy zamku przychodzą tam, żeby składać raporty o wykonanych pracach, a potem wracają z nowymi poleceniami. Inni wałęsają się w pobliżu, najwyraźniej licząc na jakieś wieści z Sume albo innych miejsc – nawet tutaj nikt się tobą nie interesuje. Bo dlaczego ktokolwiek miałby się interesować? W powietrzu unosi się smród pękniętej ziemi i otaczających miasto zniszczeń, jakich żaden żyjący człowiek nie widział na oczy. Wszyscy mają znacznie ważniejsze rzeczy na głowie.

W każdej chwili może się to jednak zmienić. Nie pozwalasz sobie na rozluźnienie.

Biuro Raska znajduje się w niewielkim budynku wciśniętym pomiędzy stajnie i spichlerze. Wspinając się na palce, żeby zobaczyć coś ponad głowami zebranych, dostrzegasz zastępcę Raska, Oyamara, który rozmawia na ganku z dwoma mężczyznami i kobietą uwalanymi zaprawą murarską i błotem. Pracują zapewne przy umacnianiu studni; to jedno z zadań, które zgodnie z mądrością kamieni należy wykonać na wypadek wstrząsu i które zalecają również procedury obowiązujące podczas zamknięcia miasta. Jeśli jest tu Oyamar, to znaczy, że Rask pracuje gdzieś indziej albo – znając go – śpi zmęczony po trzech dniach, które minęły od wstrząsu. Nie ma go w domu, bo tam ludzie zbyt łatwo mogliby go znaleźć. Jednak ponieważ Lerna gada tak dużo, wiesz, gdzie Rask się ukrywa, kiedy nie chce, żeby mu przeszkadzano.

Biblioteka w Tirimo jest śmiechu warta. Jedynym powodem, dla którego znajduje się w tym mieście, jest fakt, że dziadek męża którejś z poprzednich naczelniczek zrobił w tej sprawie dużą awanturę i pisał listy do gubernatora kwardonu tak długo, aż ten ufundował budowę biblioteki, żeby go uciszyć. Od śmierci tamtego starca z biblioteki skorzystało niewiele osób, jednak choć na zebraniach wspólnot wielokrotnie pojawiała się propozycja jej zamknięcia, nigdy nie uzyskano wymaganej do tego liczby głosów. Biblioteka tkwi więc w Tirimo: zaszczurzona stara buda nie większa od twojej ziemianki i zastawiona regałami pełnymi książek i zwojów. Dziecko mogłoby przejść pomiędzy nimi swobodnie, ale ty nie jesteś już dzieckiem ani nie jesteś szczupłą, dlatego musisz wśliznąć się bokiem i poruszać jak krab. Zabranie ze sobą skrzyni nie wchodzi w grę: zostawiasz ją zaraz za drzwiami. Nie musisz się obawiać, bo nikt tu nie zagląda – z wyjątkiem Raska, który leży skulony na niewielkim sienniku na tyłach budy, gdzie pomiędzy mniejszymi półkami jest akurat wystarczająco dużo miejsca, żeby się wyciągnąć.

Kiedy w końcu wychodzisz spomiędzy regałów, Rask budzi się z chrapnięciem i patrzy na ciebie, mrużąc oczy w taki sposób, jakby chciał nakrzyczeć na intruza. Zaraz jednak zaczyna główkować, bo jest rozsądnym człowiekiem; to dlatego mieszkańcy Tirimo go wybrali. Patrząc na niego, wyczuwasz moment, kiedy w jego oczach zmieniasz się z żony Jiji w matkę Uchego, w matkę roggi – w samego roggę.

Dobrze. To ułatwi sprawę.

– Nie zamierzam nikogo skrzywdzić – mówisz szybko, zanim zdąży krzyknąć, rzucić się do ucieczki albo zrobić cokolwiek innego, o czym myślał. Ku twojemu zaskoczeniu Rask tylko mruga, wciąż główkując, a wyraz paniki znika z jego twarzy. Mężczyzna siada, opiera się o drewnianą ścianę i przez dłuższą chwilę uważnie ci się przygląda.

– Domyślam się, że przyszedł tu nie po to, żeby mi to powiedzieć – mówi.

Oblizujesz wargi i próbujesz ukucnąć. To trudne, bo nie ma tam zbyt wiele miejsca. Musisz oprzeć tyłek o regał, a twoje kolana znajdują się bliżej Raska, niżbyś sobie tego życzyła. Nieznacznie się uśmiecha, widząc twoje zmagania, ale tylko przez chwilę, bo szybko przypomina sobie, czym jesteś, a w końcu marszczy czoło, jakby był na siebie zły za obydwie te reakcje.

– Czy wiesz, gdzie mógł się udać Jija?

Rask wykrzywia twarz. Mógłby być twoim ojcem, a jednocześnie ze wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek spotkałaś, sprawia wrażenie najmniej „ojcowskiego”. Zawsze chciałaś usiąść z nim gdzieś przy piwie, chociaż nie pasowałoby to do zwyczajnego, spokojnego wizerunku, jaki sobie wypracowałaś. Większość ludzi myśli o nim w ten sam sposób, choć powszechnie wiadomo, że Rask nie pije alkoholu. Na widok grymasu, jaki pojawia się teraz na jego twarzy, po raz pierwszy dochodzisz jednak do wniosku, że gdyby miał dzieci, byłby dobrym ojcem.

– A więc o to chodzi – odzywa się. Głos wciąż ma zaspany. – To on zabił chłopaka? Ludzie tak właśnie myślą, choć Lerna powiedział, że nie jest tego pewien.

Kiwasz głową. W rozmowie z Lerna też nie potrafiłaś powiedzieć tego na głos.

Rask przygląda się twojej twarzy.

– A chłopak był...?

Kiwasz głową ponownie, a Rask wzdycha. Zwracasz uwagę, że nie zapytał cię o to, czy ty też tym czymś jesteś.

– Nikt nie widział, w którą stronę udał się Jija – stwierdza, podciągając kolana wyżej i opierając na nich jedną rękę. – Ludzie rozmawiali o... o zabójstwie, bo to łatwiejsze, niż rozmawiać o... – Unosi ręce i opuszcza je w geście bezradności. – To w większości plotki, w których więcej jest wymysłów niż prawdy. Parę osób widziało, jak Jija załadowuje wasz wóz konny i odjeżdża z Nassun...

W twojej głowie rozpoczyna się gonitwa myśli.

– Z Nassun?

– Tak. A dlaczego... – Nagle Rask rozumie. – O cholera, ona też?

Próbujesz powstrzymać dreszcze. Zaciskasz pięści i nagle odnosisz wrażenie, że ziemia pod tobą przybliżyła się, a powietrze staje się chłodniejsze, ale szybko opanowujesz ogarniające cię frustrację, radość, przerażenie i złość.

– Nie wiedziałam, że ona żyje – wykrztuszasz z siebie po dłuższej chwili.

– Och – Rask mruga, a na jego twarzy znów dostrzegasz współczucie. – No tak. W każdym razie żyła, kiedy wyjeżdżali. Nikt nie wiedział, że coś jest nie tak, nikt niczego nie podejrzewał. Większość ludzi uznała, że ojciec próbuje po prostu nauczyć swoje pierwotne dziecko biznesu albo że stara się nie dopuścić, aby dziewczynka z nudów wpadła w jakieś kłopoty. A potem na północy wydarzyło się całe to gówno i wszyscy o tym zapomnieli aż do momentu, kiedy Lerna powiedział, że znalazł cię i... twojego chłopca. – Po tych słowach przerywa na chwilę, a potem dodaje: – Nigdy nie posądziłbym Jiji o coś takiego. Bił cię?

Kręcisz głową.

– Nigdy.

Być może gdyby wcześniej Jija zachowywał się agresywnie, łatwiej byłoby ci to teraz znieść. Mogłabyś się obwiniać za bierność albo złą ocenę sytuacji, a nie tylko za grzech wydania kogoś na świat.

Rask bierze głęboki oddech.

– Cholera. Po prostu... cholera. – Kręci głową i przeczesuje siwe włosy. Nie urodził się z siwizną, jak Lerna i niektórzy; pamiętasz go jako bruneta. – Chcesz go ścigać?

Odwraca wzrok, a potem znowu na ciebie spogląda. To, co dostrzegasz w jego oczach, to nie do końca nadzieja, ale wiesz już, co chciałby powiedzieć, gdyby był mniej taktowny. „Proszę, opuść miasto jak najszybciej”.

Kiwasz głową.

– Potrzebuję pozwolenia na przekroczenie bram.

– Nie ma sprawy – odpowiada, a potem dodaje: – Wiesz, że nie będziesz już mogła wrócić.

– Wiem. – Zmuszasz się do uśmiechu. – Wcale nie zamierzam.

– Nie dziwię ci się. – Rask wzdycha i wierci się w niewygodnej pozycji. – Moja... moja siostra...

Nie wiedziałaś, że ma siostrę. Zaczynasz jednak rozumieć.

– Co się z nią stało?

– To, co zazwyczaj – wzrusza ramionami. – Mieszkaliśmy wtedy w Sume. Ktoś się zorientował, czym była, i powiedział wielu innym ktosiom, a potem przyszli po nią w nocy. Nie pamiętam zbyt wiele, miałem tylko sześć lat. Po tamtym zdarzeniu moi rodzice i ja przenieśliśmy się tutaj. – Na jego twarzy pojawia się grymas przypominający uśmiech. – To dlatego nigdy nie chciałem mieć dzieci.

Ty też się uśmiechasz.

– To tak jak ja.

Ale Jija chciał.

– Rdzewiejąca Ziemia. – Rask zamyka na chwilę oczy, a potem nagle wstaje. Ty też to robisz, bo w przeciwnym wypadku twoja twarz znalazłaby się zdecydowanie zbyt blisko jego starych, poplamionych spodni. – Odprowadzę cię do bramy, jeśli chcesz już iść.

Jesteś zaskoczona.

– Chcę. Ale nie musisz tego robić.

Nie jesteś pewna, czy to dobry pomysł. Moglibyście wzbudzić większe zainteresowanie, niżbyś sobie tego życzyła. Rask kręci jednak głową: ma zaciśnięte szczęki i ponury wyraz twarzy.

– Muszę. Chodźmy.

– Rask...

Spogląda na ciebie i tym razem to ty mrużysz oczy. Tu nie chodzi o ciebie. Ludzie, którzy zabili jego siostrę, nie odważyliby się tego zrobić, gdyby postawił się im wtedy jak mężczyzna.

A może zabiliby też jego.

Idziecie wzdłuż Siedmiu Pór Roku – głównej ulicy miasta – aż do Bramy Głównej, a Rask niesie twoją skrzynkę. Jesteś podenerwowana; próbujesz sprawiać wrażenie spokojnej i pewnej siebie, mimo że czujesz się zupełnie inaczej. Gdybyś szła sama, nie wybrałabyś tej zatłoczonej drogi. Z początku Rask przyciąga uwagę i ludzie wołają go albo proszą o przekazanie jakichś wieści... a potem dostrzegają ciebie. Przystają machać. Przystają się zbliżać i zaczynają – z oddali, w kilkusobowych grupach – obserwować. A potem śledzić. To zwyczajna, małomiasteczkowa wścibskość, przynajmniej z pozorów. Słyszysz jednak, że ci ludzie również szepczą, czujesz, że się gapią, a to drażni cię w najgorszy z możliwych sposobów.

Kiedy zbliżacie się do bram, Rask macha do strażników. Kilkunastu Mocarnych, którzy w normalnych warunkach są górnikami albo farmerami, wałęsa się przed bramą bez żadnego planu. Dwóch siedzi w bocianim gnieździe na szczycie wieży, skąd obserwuje wejście do miasta; dwaj inni stoją przy judaszach. Pozostali, najwyraźniej znudzeni, rozmawiają ze sobą i żartują. Rask wybrał ich prawdopodobnie ze względu na ich gabaryty, ponieważ wszyscy są potężni, jak na Sanzeńczyków przystało, i wyglądają, jakby spokojnie mogli się obejść bez szklanych noży i kusz, które mają przy sobie.

Ten, który wystąpił, żeby przywitać Raska, jest najmniejszy z nich wszystkich – znasz go, ale nie pamiętasz, jak się nazywa. Uczyłaś w szkole jego dzieci. Widzisz, że on też cię pamięta, bo skupia na

tobie wzrok i lekko mruży oczy.

Rask zatrzymuje się i stawia skrzynkę na ziemi, a potem wyjmuje ze środka worek i ci go podaje.

– Wszystko w porządku, Karra? – zwraca się do mężczyzny, którego znasz.

– Było, aż do teraz – odpowiada Karra, nie odrywając od ciebie wzroku. Sposób, w jaki na ciebie patrzy, sprawia, że napinają ci się mięśnie. Kilku innych Mocarnych spogląda to na Karę, to na Raska, oczekując jakichś poleceń. Jedna kobieta jawnie się na ciebie gapi, ale reszta tylko rzuca z daleka ukradkowe spojrzenia.

– Dobrze to słyszeć – mówi Rask. Widzisz, że nieznacznie marszczy czoło, odczytując najwyraźniej te same sygnały co ty. – Powiedz, proszę, swoim ludziom, żeby na chwilę otworzyli bramę.

Karra nie odrywa od ciebie wzroku.

– Myślisz, że to dobry pomysł, Rask?

Rask rzuca mu groźne spojrzenie i staje tuż przed nim. Nie jest potężnym mężczyzną – to Innowator, nie Mocarny, choć teraz nie ma to już znaczenia – ale w tej chwili nie musi nim być.

– Tak – odpowiada głosem tak niskim i gardłowym, że zaskoczony Karra w końcu się do niego odwraca. – Tak właśnie uważam. A teraz otwieraj bramę, jeśli łaska. Jeśli nie jesteś zbyt zajęty.

Przypominasz sobie trzecią strofę z mądrości kamieni zatytułowanej *Struktury*: „Ciało zanika. Skuteczny przywódca opiera się na czymś więcej”.

Karra zaciska zęby, ale kiwa głową. Próbujesz sprawiać wrażenie zajętej zakładaniem worka na plecy. Ramiona są zbyt luźne. Jako ostatni przymierzał go Jija.

Karra i pozostali strażnicy ruszają się i podchodzą do zestawu przekładni umożliwiających podniesienie bramy. Zewnętrzne ściany Tirimo są zbudowane w większości z drewna. Miasto nie posiada tylu zasobów, żeby móc importować dobre kamienie i zatrudniać budowniczych, ale radzi sobie lepiej niż wspólnoty kiepsko zarządzane lub nowe, które w ogóle nie są jeszcze ogrodzone. Brama jest wykonana jednak z kamienia, ponieważ to ona zawsze stanowi najsłabszy punkt obronny. Wystarczy, jeśli strażnicy podniosą ją dla ciebie tylko trochę, dlatego po kilku chwilach – wypełnionych okrzykami mężczyzn ciągnących liny do tych, którzy wypatrują intruzów – nieruchomieje.

Rask odwraca się do ciebie, wyraźnie zakłopotany.

– Przykro mi z powodu... z powodu Jiji – mówi. Nie wspomina o Uchem, ale może to i lepiej. Musisz zachować trzeźwość myśli. – Cholera, z powodu tego wszystkiego. Mam nadzieję, że znajdziesz gnojka.

Kiwasz głową. Masz ściśnięte gardło. Tirimo było twoim domem przez dziesięć lat. Zaczęłaś myśleć o nim w ten sposób – jako o domu – dopiero po narodzinach Uchego, ale to i tak więcej, niż kiedykolwiek się spodziewałaś. Pamiętasz, jak ganiałaś Uchego po parku, kiedy nauczył się biegać. Pamiętasz, jak Jija pomógł Nassun zbudować latawiec, a potem wspólnie puścili go, bez większego powodzenia: jego szczątki wciąż znajdują się na drzewie gdzieś po wschodniej stronie miasta.

Nie jest jednak tak trudno, jak się spodziewałaś. Nie teraz, kiedy spojrzenia twoich byłych sąsiadów ślizgają się po twojej skórze niczym zjełczały olej.

– Dzięki – odpowiadasz, próbując powiedzieć mu w ten sposób wiele rzeczy, bo przecież nie musiał ci pomagać. Robiąc to, wyrządził szkodę sobie samemu. Strażnicy tracą do niego część szacunku i zaczną plotkować. Wkrótce wszyscy się dowiedzą, że jest kochankiem roggi, a to bardzo niebezpieczne. Naczelnik nie może sobie pozwolić na taką oznakę słabości w obliczu nadchodzącego Sezonu. W tym momencie dla ciebie liczy się jednak tylko jego życzliwość, której się nie spodziewałaś. Nie wiesz, jak na to zareagować.

Rask kiwa głową, również zakłopotany, i odwraca się, a ty ruszasz w stronę podniesionej bramy. Być może nie widzi, że Karra daje znak innemu strażnikowi i że wspomniana wcześniej kobieta wyciąga broń

i wymierza ją w ciebie. Później dojdiesz do wniosku, że gdyby Rask to zobaczył, być może powstrzymałby ją i zapobiegł temu, co się stało.

Za to ty ją dostrzegasz, głównie dzięki swojemu szerokiemu polu widzenia. A potem wszystko dzieje się zbyt szybko, żeby o czymkolwiek pomyśleć. Ponieważ nie myślisz, ponieważ przez cały ten czas próbowałaś nie myśleć, ponieważ myślenie sprawia, że przypominasz sobie, że twoja rodzina jest martwa, i wszystko, co oznaczało dla ciebie szczęście, jest teraz kłamstwem, ponieważ myślenie o tym sprawia, że pękasz i zaczynasz krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

i ponieważ kiedyś, w innym życiu, nauczyłaś się odpowiadać na zagrożenie w określony sposób sięgasz teraz po powietrze wokół siebie, przyciągasz je i mocno zapierasz się nogami, zakotwiczasz się, a kiedy kobieta strzela z kuszy i bełt pędzi w twoją stronę, chwilę przed dotarciem do celu strzała zmienia się w milion błyszczących, zamarznętych odłamków.

(„Niegrzeczna, niegrzeczna”, łaja cię głos w twojej głowie. To głos twojego sumienia, głęboki i męski. Natychmiast zapominasz o tej myśli. To głos z innego życia).

Życie. Spoglądasz na kobietę, która właśnie próbowała cię zabić.

– Co do... Kurwa! – Karra patrzy na ciebie, zdziwiony, że nie padłaś martwa na ziemię. Pochyliła się i zaciska pięści; wygląda, jakby zaraz miał zacząć podskakiwać z nerwów. – Strzelaj do niej! Zabij ją! Niech to Ziemia, strzelaj, zanim...

– Co ty odpierdalasz? – Rask odwraca się, widząc w końcu, co się dzieje. Za późno.

Pod twoimi stopami – i pod stopami pozostałych – rodzi się wstrząs.

Z początku trudno go wyczuć. Nie słychać ostrzegawczego brzdęku sesuny, który towarzyszyłby ruchowi ziemi, gdyby był on spowodowany właśnie przez ziemię. To dlatego ludzie tacy jak oni boją się takich jak ty: nie sposób przewidzieć tego, co zrobisz, ani się na to przygotować. Jesteś niespodzianką, jak nagły ból zęba albo zawał. Wywołane przez ciebie wibracje nasilają się szybko i można je teraz wyczuć za pomocą słuchu i dotyku, a nie tylko sejsod, ale w tym momencie jest już za późno.

Karra marszczy czoło, spoglądając na ziemię pod swoimi stopami. Kobieta z kuszą zastyga w trakcie ładowania kolejnego bełtu i rozszerzającymi się oczyma obserwuje drżącą cięciwę.

Stoisz otoczona wirującymi płatkami śniegu i fragmentami pierwszego bełtu. Wokół twoich nóg pojawia się półmetrowe koło szronu. Twoje loki falują lekko na przybierającym na sile wietrze.

– Nie możesz – szepcze Rask, patrząc z przerażeniem w twoją twarz. (Nie wiesz, jak w tej chwili wyglądasz, ale musi być źle). Kręci głową, jakby ten gest mógł wszystkiemu zapobiec, a potem wykonuje krok w tył, i jeszcze jeden. – Essun.

– Zabiliście go – mówisz. To nie są racjonalne słowa. Używasz liczby mnogiej, choć mówisz do jednego człowieka. Rask nie próbował cię zabić i nie miał nic wspólnego ze śmiercią Uchego, ale zamach na twoje życie wyzwolił w tobie coś pierwotnego, wściekłego i lodowatego. „Wy tchórze. Jesteście jak zwierzęta, które w dziecku widzą swoją ofiarę”. Jakaś część ciebie wie, że winę za śmierć Uchego ponosi Jija, ale on dorastał przecież w Tirimo. Skąd bierze się nienawiść, która skłania człowieka do zabicia własnego syna? Pochodzi od ludzi wokół ciebie.

Rask wzdycha.

– Essun...

I wtedy otwiera się ziemia.

Pierwszy wstrząs jest tak silny, że wszystkich zwala z nóg i kołysze każdym domem w Tirimo. Drżenie się nasila, a budynki trzeszczą i grzechoczą. Jako pierwszy zawala się zakład mechaniczny Saida: drewniana konstrukcja zsuwa się z fundamentów. Ze środka dochodzą krzyki, jednej kobiecie udaje się uciec chwilę przed tym, jak drzwi zapadają się pod ciężarem dachu. Przy wschodnim skraju miasta,

najbliżej otaczającego dolinę pasma górskiego, schodzi lawina skalna. Fragment wschodniego muru i trzy domy zostają pogrzebane pod mieszaniną błota, drzew i kamieni. Tylko ty wyczuwasz, że głęboko pod ziemią pękają gliniane ściany zbiornika wodnego, z którego korzysta miasto. Zbiornik zaczyna przeciekać. Przez kilka tygodni mieszkańcy nie będą wiedzieli, że właśnie w tym momencie wszystkich ich zabiłaś, ale zrozumieją to, kiedy wyschną studnie.

A przynajmniej ci, którzy przeżyją kilka następnych chwil. Otaczające twoje stopy koło szronu zaczyna się powiększać. Szybko.

Najpierw dosięga Raska. Mężczyzna próbuje uciec, ale jest zbyt blisko. Skraj twojego torusa chwytą go w połowie skoku, zamraża mu stopy, unieruchamia nogi i wspina się po kręgosłupie, aż w końcu, po upływie zaledwie ułamka sekundy, Rask upada na ziemię zupełnie sztywny i ze skórą siwą niczym jego włosy. Następny w kolejności jest Karra, który nadal wrzeszczy, żeby ktoś cię zabił. Kiedy kradnę mu ciepło, upada w połowie zamrożony, a jego krzyk się urywa; spomiędzy zaciśniętych zębów wydobywa się jego ostatni oddech i pokrywa ziemię szronem.

Przynosisz śmierć oczywiście nie tylko swoim byłym sąsiadom. Siedzący na murze ptak przewraca się, zamarznięty. Trawa skrzypi, ziemia dudni, a powietrze syczy, kiedy wydobywasz z niego całą wilgoć i materię... ale nad glistami nikt nigdy nie płakał.

Szybko. Powietrze wiruje wzdłuż całej ulicy Siedmiu Pór Roku, szeleszcząc gałęziami drzew, a każdy, kto znajduje się w pobliżu, rozumie, co się dzieje, i podnosi krzyk. Ziemia nie przestała się poruszać. Kołysziesz się razem z nią, ale ponieważ znasz jej rytm, łatwo jest ci utrzymać równowagę. Robisz to bez zastanowienia, ponieważ w twojej głowie zostało miejsce już tylko na jedną myśl.

Ci ludzie zabili Uchego. Ich nienawiść, ich strach, ich nieuzasadniona przemoc. Oni.

(On).

Zabili twojego syna.

(Jija zabił twojego syna).

Ludzie wybiegają na ulice i krzyczą, zdziwieni, że nie było żadnego ostrzeżenia, a ty zabijasz każdego, kto jest na tyle głupi albo wystraszony, żeby się do ciebie zbliżyć.

Jija. Oni są nim. Całe to zardzewiałe miasto jest Jiją.

Ocalenie dla wspólnoty – a przynajmniej dla większej jej części – przynoszą dwie rzeczy. Pierwsza to fakt, że większość budynków się nie zawaliła. Tirimo może i jest za biedne, żeby importować kamień, ale większość zatrudnianych w mieście budowniczych to ludzie na tyle przyzwoici i dobrze opłacani, że używają wyłącznie technik zalecanych przez mądrość kamieni: opierają budynki na wiszących konstrukcjach, a na środku umieszczają filary. Po drugie, linia uskoku doliny – którą właśnie rozrywasz myślami – biegnie tak naprawdę kilka kilometrów na zachód. Dzięki tym dwóm rzeczom Tirimo przetrwa – przynajmniej do momentu, kiedy wyschną studnie.

Dzięki tym dwóm rzeczom. I dzięki wołaniu przerażonego chłopca, którego ojciec wybiega właśnie z kołyszącego się budynku.

Natychmiast odwracasz się w stronę tego dźwięku, ulegając naturalnemu, matczynemu odruchowi. Mężczyzna mocno przytula dzieciaka. Nie ma przy sobie nawet worka na czarną godzinę: jedyne, co zdążył zabrać, to syn. Chłopiec w ogóle nie przypomina Uchego. A jednak patrzysz, jak wyrywa się, sięgając w stronę domu po coś, co mężczyzna tam zostawił (ulubioną zabawkę? matkę chłopca?), a potem, nagle, myślisz.

I hamujesz się. Och, okrutna Ziemi. Zobacz, co zrobiłaś.

Drżenie ustaje. Powietrze wokół ciebie znowu syczy, wchłaniając z powrotem wilgoć i temperaturę. Na ziemi i twojej skórze pojawia się skroplona para wodna. Huk w dolinie cichnie i słychać już wyłącznie krzyki, skrzypienie drewna oraz smutne wycie syreny alarmowej, która włączyła się z opóźnieniem.

Zamykasz oczy i obolała, roztrzęsiona, myślisz: „Nie. To ja zabiłam Uchego. Sprowadzając go na świat”. Łzy płyną ci po twarzy. A myślałaś, że nie umiesz płakać.

Nikt nie stoi już pomiędzy tobą a bramą. Strażnicy, którzy mogliby jej pilnować, uciekli – kilku nie zdążyło, tak jak Rask i Karra. Zarzucaś na plecy swój worek na czarną godzinę i kierujesz się w stronę wyjścia z miasta, ocierając twarz. Uśmiechasz się też i ogarnia cię gorzkie, bolesne uczucie. Nie potrafisz nie dostrzec w tym wszystkim ironii. Nie chciałaś czekać, aż przyjdzie po ciebie śmierć. Jasne.

Głupia, głupia kobieto. Śmierć zawsze tu była. Śmierć to ty.

Nigdy nie zapominaj, czym jesteś.

Tablica Pierwsza, *O Przetrwaniu*, werset dziesiąty

SJENIT, GŁADKA I BŁYSZCZĄCA

„Co za gówno”, myśli Sjenit za zasłoną uprzejmego uśmiechu.

Nie okazuje urazy. Nie zmienia pozycji na krześle ani o milimetr. Dłonie o czterech palcach upierścienionych odpowiednio karneolem, białym opalem, złotem i onyksem opiera na kolanach. Znajdują się pod biurkiem, gdzie Feldspar nie może ich zobaczyć. Mogłaby spleść je bez jej wiedzy. Nie robi tego.

– Jak wiesz, rafa koralowe są wymagające – Feldspar, która własne dłonie oplata wokół dużego, drewnianego kubka z bezpiecznikiem, uśmiecha się ponad jego brzegiem. Dobrze wie, co kryje się za uśmiechem Sjenit. – To nie są zwykłe skały. Korale są porowate, elastyczne. Rozbijanie ich w taki sposób, aby nie wywoływać tsunami, to bardzo trudna sztuka.

A Sjen mogłaby to zrobić z palcem w nosie. Mógłby zrobić to dwupierściennik. Mógłby zrobić to nawet żwir – choć prawdopodobnie nie bez skutków ubocznych. Sjen sięga po własny kubek z bezpiecznikiem, obracając drewnianą półkulę w palcach, żeby ukryć ich drżenie, i upijając łyk.

– Jestem wdzięczna za przydzielenie mi mentora, seniorko.

– Wcale nie. – Feldspar również się uśmiecha i pije bezpiecznik, unosząc przy tym najmniejszy upierścieniony palec. To pojedynek na dobre manieri, w którym zwycięża ten, kto przełknie gówno z najszerszym uśmiechem. – Jeśli to cię pocieszy, to nikt nie pomyśli o tobie źle.

Bo wszyscy wiedzą, o co tak naprawdę chodzi. Nie wymazuje to zniewagi, ale sprawia, że Sjen czuje się trochę lepiej. Przynajmniej jej mentor to dziesięciopierściennik. Fakt, że oceniono ją tak wysoko, również stanowi pocieszenie. Spróbuje więc zachować po tym jak najwięcej szacunku dla samej siebie.

– Ukończył ostatnio objazd po Somidlatach – stwierdza spokojnie Feldspar. Temat rozmowy wyklucza spoków, ale Sjen docenia wysiłki starszej kobiety. – Normalnie dalibyśmy mu więcej czasu przed kolejną wyprawą, ale naczelnik kwardonu nalegał, żeby jak najszybciej zrobić coś z zablokowanym portem w Allia. To ty się tym zajmiesz; on będzie tylko nadzorował twoją pracę. Jeśli nie będziecie musieli robić wielu objazdów, dotarcie tam w spokojnym tempie powinno zająć wam około miesiąca: nie ma pośpiechu, bo rafa koralowa nie stanowi palącego problemu.

Mówiąc to, Feldspar przez chwilę wygląda na prawdziwie zdenerwowaną. Naczelnik Allia – albo tamtejsza Rada – musiał być wyjątkowo irytujący. Od kiedy Feldspar została jej seniorką, jedynym wyrazem emocji, jaki Sjen u niej widziała, był delikatny uśmiech. Obie znają zasady: górotwory z Fulcrum – te cesarskie lub czarnokaftany, których, niezależnie od nazwy, raczej nie powinno się zabijać – zawsze muszą się zachowywać uprzejmie i profesjonalnie. Powinny emanować pewnością siebie oraz doświadczeniem. Nie mogą okazywać złości, ponieważ niepokoi to nieruchomych. Z tym że Feldspar nigdy nie zniżyłaby się do używania tak obraźliwego określenia jak „nieruchomi” – dlatego właśnie jest seniorką i sprawuje funkcję nadzorczą, podczas gdy Sjenit wciąż działa w pojedynkę. Jeśli chce stanowiska Feldspar, musi się wykazać profesjonalizmem. I kilkoma innymi cechami.

– Kiedy go poznam? – pyta Sjenit. Wypija łyk bezpiecznika, chcąc, żeby zabrzmiało to jak najbardziej swobodnie. Taka zwykła, przyjacielska pogawędka.

– Kiedy tylko chcesz. – Feldspar wzrusza ramionami. – Jego siedziba mieści się w budynku seniorów. Wysłaliśmy mu podsumowanie i prośbę o pojawienie się na tym spotkaniu – znowu wygląda na lekko zdenerwowaną. Cała ta sytuacja musi być dla niej straszna, po prostu straszna – ale możliwe, że nie

otrzymał wiadomości, ponieważ, jak już wspomniałam, dopiero dochodzi do siebie po ostatniej wyprawie. Nie jest łatwo samotnie pokonywać Góry Likesh.

– Samotnie?

– Wszyscy od pięciopierścieników w górę nie muszą już mieć partnera ani Stróża, kiedy wyruszają poza Fulcrum. – Feldspar upija łyk bezpiecznika, nieświadoma szoku, jaki jej słowa wywołują u Sjenit. – Uznaje się, że na tym poziomie jesteśmy już na tyle wykwalifikowani w górotwórstwie, że należy nam się odrobina samodzielności.

Pięć pierścieni. Ona ma cztery. To bzdura, że chodzi o znajomość górotwórstwa; jeśli Stróż ma wątpliwości co do tego, czy górotwór będzie stosował się do zasad, to nie daje mu pierwszego pierścienia, nie mówiąc już o piątym. Ale...

– W takim razie będziemy tylko ja i on.

– Tak. Doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji będzie to najlepsze rozwiązanie.

Oczywiście.

Feldspar kontynuuje:

– Znajdziesz go w Siedzibie Poczesności. – To kompleks budynków, w którym zamieszkuje większość wybitnych seniorów z Fulcrum. – Wieża główna, ostatnie piętro. Nasi najwyżsi stopniem seniorzy nie dostają kwater z widokiem na morze, bo jest ich bardzo niewielu, sam obecnie jest naszym jedynym dziesięciopierścienikiem, ale mogliśmy przynajmniej zapewnić mu tam trochę dodatkowego miejsca.

– Dziękuję – odpowiada Sjen, znowu obracając kubek w dłoniach. – Pójdę się z nim zobaczyć zaraz po naszym spotkaniu.

Feldspar milknie na dłuższą chwilę, a jej twarz staje się jeszcze bardziej nieprzenikniona niż zazwyczaj, co Sjenit odczytuje jako ostrzeżenie. W końcu seniorka oświadcza:

– Jako dziesięciopierścienik ma prawo odmówić uczestnictwa w każdej misji, która nie posiada statusu pilnej. Powinnaś o tym wiedzieć.

Moment. Palce Sjen przestają obracać kubek, a jej wzrok spotyka się ze wzrokiem starszej kobiety. Czy usłyszała właśnie to, co wydaje jej się, że usłyszała? Niemożliwe. Sjen mruży oczy, nie próbując dłużej ukrywać swojej podejrzliwości. Tak, to prawda. Feldspar wskazała jej rozwiązanie. Ale dlaczego?

Kobieta uśmiecha się ledwie zauważalnie.

– Mam szóstkę dzieci.

Ach.

W takim razie nie pozostaje już nic do dodania. Sjen bierze kolejny łyk i próbuje się nie krzywić, kiedy kredowy pył z dna kubka dostaje jej się do ust. Bezpiecznik jest odżywczy, ale nie wszyscy go lubią. Robi się go z mleka roślinnego, które zmienia kolor po dodaniu dowolnego składnika, nawet śliny. Częstuje się nim gości i serwuje podczas oficjalnych spotkań, ponieważ jest... no cóż, bezpieczny. To wyraz uprzejmości, który oznacza: „Nie zamierzam cię otruć. Przynajmniej na razie”.

Sjen wychodzi od Feldspar i opuszcza budynek administracyjny nazywany Głównym. Znajduje się on pośród mniejszych obiektów położonych wzdłuż granicy olbrzymiego, półdzikiego obszaru, na którym mieści się Ogród Pierścienia. Ogród ma powierzchnię kilku hektarów i biegnie przez Fulcrum szerokim pasem o długości kilku kilometrów. Jest tak wielki w stosunku do całego miasta – które też leży wewnątrz większej aglomeracji, Yumenes – że wygląda jak... no cóż. Sjenit dokończyłaby tę myśl słowami „jak dziecko w brzuchu kobiety”, ale dziś to porównanie wydaje się jej wyjątkowo groteskowe.

Rozpoznaje kilku mijanych juniorów. Niektórzy z nich tylko stoją albo siedzą w grupach, rozmawiając, podczas gdy inni wyciągają się na skrawkach zieleni i czytają, flirtują lub śpią. Życie upierścienionych jest proste, z wyjątkiem rzadkich i krótkich misji poza murami Fulcrum. Kilku żwirów, zebranych w równą kolumnę i nadzorowanych przez juniorów-ochotników, spaceruje brukowaną ścieżką, jednak nie

wolno im jeszcze korzystać z uroków ogrodu – to przywilej zarezerwowany wyłącznie dla tych, którzy zdali egzamin pierwszego pierścienia i których inicjacja została zatwierdzona przez Stróżów.

Jakby wywołała ich tą myślą – oto w zasięgu wzroku Sjen pojawia się kilka ubranych na bordowo postaci, które stoją na skrzyżowaniu ścieżek obok jednego z licznych stawów Pierścienia. Po drugiej stronie stawu, w otoczonej krzakami róży altanie, leży jeszcze jeden Stróż, sprawiający wrażenie, jakby słuchał młodego juniora, który śpiewa przed garstką siedzących nieopodal słuchaczy. Być może ten Stróż rzeczywiście go słucha; to się zdarza. Oni też czasami muszą się zrelaksować. Sjen widzi jednak, że Stróż wpatruje się w jednego z słuchaczy: to biały młodzieniec, niezwracający zbytniej uwagi na śpiewaka. Spogląda na swoje splecione dłonie. Dwa palce owinięte ma bandażem.

Sjen idzie dalej.

Zatrzymuje się przy Zakrzywionej Tarczy, jednym z wielu skupisk budynków, w których zamieszkują setki młodych górotworów. Wyciągając ze skrzyni kilka niezbędnych przedmiotów, cieszy się, że jej współlokatorek nie ma w pokoju. Już wkrótce dotrą do nich plotki na temat jej nowego zadania. Następnie wychodzi na zewnątrz i wreszcie kieruje się do Siedziby Poczesności. Wieża jest jedną z najstarszych budowli w Fulcrum, wzniesionych z ciężkich bloków białego marmuru: ich toporne, przysadziste kształty kontrastują z odważną i fantazyjną architekturą Yumenes. Masywne podwójne drzwi prowadzą do przestronnego holu, gdzie ściany i podłoga pokrywają sceny z historii Sanze. Sjen idzie spokojnie i kłania się seniorom, niezależnie od tego, czy ich zna, czy nie – przecież chce objąć stanowisko Feldspar – i pokonuje schody, zatrzymując się co jakiś czas, żeby podziwiać artystyczną grę cieni rzucanych przez wąskie okna. Tak naprawdę nie potrafi powiedzieć, dlaczego te wzory są tak wyjątkowe, jednak wszyscy twierdzą, że to wspaniałe dzieła sztuki, więc chce, żeby widziano ją, jak również je podziwia.

Na najwyższym piętrze, gdzie przez cały korytarz ciągnie się miękki dywan pokryty słonecznym wzorem w jodełkę, zatrzymuje się, żeby złapać oddech i nacieszyć się czymś szczerze: ciszą. Samotnością. Na korytarzu nie ma nikogo; nie widać nawet początkujących juniorów, którzy zajmują się tutaj sprzątaniami. Słyszała pogłoski, ale teraz wie już, że to prawda: dziesięciopierścienik ma całe piętro dla siebie.

Oto więc prawdziwa nagroda za mistrzostwo: prywatność. I możliwość wyboru. Trawiona pragnieniem, Sjen zamyka na chwilę oczy, a potem rusza w głąb korytarza i dociera do jedynych drzwi, przed którymi leży wycieraczka.

Ogarnia ją zwątpienie. Nic nie wie o tym człowieku. Zdobył najwyższą rangę, jaka istnieje w ich społeczności, co oznacza, że nikogo tak naprawdę nie obchodzi, co robi, pod warunkiem, że utrzymuje swoje kompromitujące zachowanie w tajemnicy. To człowiek, który przez większość życia był bezsilny; dopiero niedawno nadano mu autonomię i postawiono ponad innymi. Nikt nie zdegraduje go za coś tak błahego jak zboczenie czy przemoc. Nie jeśli jego ofiarą będzie zwykły górotwór.

To bezcelowe. Sjen nie ma wyboru. Wzdycha i puka do drzwi.

A ponieważ bardziej niż osoby spodziewała się jakiegoś sprawdzianu, jest zaskoczona, słysząc pełen irytacji głos, który dochodzi ze środka:

– Czego?

Zastanawia się, jak na to odpowiedzieć, kiedy rozlega się dźwięk stóp uderzających o kamienną podłogę – nawet z niego bije złość – a drzwi się otwierają. Mężczyzna, który spogląda na Sjen, ubrany jest w wymiętą szatę, ma rozczochrane włosy i przypominający mapę odcisk materiału na policzku. Jest młodszy, niż się spodziewała. Nie zupełnie młody – ma pewnie dwa razy więcej lat niż ona, czyli w okolicach czterdziestki. Sądziła jednak, że... no cóż. Spotkała w życiu tak wielu sześcio- i siedmiopierścieników po sześćdziesiątce i siedemdziesiątce, że dziesięciopierścienika wyobrażała sobie jako prehistorycznego starca. Spokojniejszego, bardziej poważnego i opanowanego. Jest jeszcze

coś: mężczyzna nie nosi swoich pierścieni, choć kiedy gestykuluje ze złością, na niektórych jego palcach widać jaśniejsze paski.

– Czego, do nieprzerwanych wstrząsów?!

Kiedy Sjen patrzy na niego w milczeniu, mężczyzna przechodzi na inny język – nigdy wcześniej go nie słyszała, choć odrobinę kojarzy jej się z mową mieszkańców wybrzeża. Pobrzmiewa w nim irytacja. Następnie dziesięciopierścienik przesuwając dłoń po włosach, a Sjen omal nie wybucha śmiechem. Jego włosy są gęste i kręcone – żeby zrobić modną fryzurę, długo należałoby je układać – a teraz wyglądają jeszcze gorzej.

– Powiedziałem Feldspar i pozostałym wścibskim baranom z rady doradczej seniorów, żeby dali mi święty spokój – oświadcza, przechodząc na płynny sanzeński i próbując opanować wściekłość. – Właśnie wróciłem z objazdu, a w ciągu ostatniego roku nie miałem nawet dwóch godzin, których nie musiałbym dzielić z koniem albo z nieznajomym, więc jeśli przysłaś tu, żeby przekazać mi kolejne rozkazy, to zamrozę cię, tak jak stoisz.

Sjen jest przekonana, że to tylko przenośnia. Nie powinien jednak jej używać: górotwory z Fulcrum nie żartują na temat pewnych rzeczy. To jedna z niepisanych zasad... ale może dziesięciopierścienik jest ponad zasady.

– Właściwie to nie rozkazy – odpowiada, a wyraz jego twarzy się zmienia.

– W takim razie nie chcę tego słuchać. Idź sobie, do ciężkiej rdzy.

Po tych słowach zaczyna zamykać jej drzwi przed nosem.

Z początku Sjen nie może w to uwierzyć. Co to za... Nie no, naprawdę? To zniewaga ponad zniewagi: nie dość, że musiała tu przyjść, to jeszcze ją obrażono.

Zatrzymuje drzwi stopą, pochyla się i mówi:

– Jestem Sjenit.

Z jego wściekłego spojrzenia wyczytuje, że nic mu to nie mówi. Mężczyzna nabiera powietrza, żeby zacząć krzyczeć, ona jednak nie chce tego słuchać, dlatego uprzedza go i ciągnie dalej:

– Na spaloną Ziemię, przysłałam tu, żeby się z tobą ruchać. Czy to warte jest przerywania twojego cennego snu?

Jakaś jej część jest przerażona tą furią i wulgarnością. Pozostała część odczuwa jednak satysfakcję, bo ten zardzewiały człowiek rzeczywiście zamyka usta.

A potem wpuszcza ją do środka.

Robi się niezręcznie. Sjen siada przy niewielkim stole w jego apartamencie – tak, to cały apartament z kilkoma umeblowanymi pokojami – i rozgląda się, podczas gdy mężczyzna nerwowo przestępuje z nogi na nogę. W końcu siada na skraju jednej z kanap. Sjen zwraca uwagę, że to ten dalszy skraj, jakby dziesięciopierścienik obawiał się usiąść bliżej.

– Nie sądziłem, że to będzie tak szybko – mówi, spoglądając na swoje splecione dłonie. – To znaczy, zawsze mówią mi, że jest taka potrzeba, ale to... Ja nie...

Wzdycha.

– A więc to nie jest dla ciebie pierwszy raz – stwierdza Sjenit. Prawo do odmowy udziału w misji zyskał dopiero z dziesiątym pierścieniem.

– Nie, nie, ale... – bierze głęboki oddech. – Nie zawsze wiedziałem.

– O czym?

Mężczyzna się krzywi.

– W przypadku kilku pierwszych kobiet... sądziłem, że są mną po prostu zainteresowane.

– Ty...

I nagle rozumie. Oczywiście, zawsze pozostawiano możliwość zaprzeczenia wszystkiemu; nawet Feldspar nigdy nie powiedziała wprost: „Twoim zadaniem jest w ciągu roku urodzić temu mężczyźnie dziecko”. Ogólnikowe stwierdzenia miały chyba ułatwić całą sprawę. Sjen nigdy nie widziała w tym sensu, no bo po co udawać, że chodzi o coś innego? Teraz jednak uświadamia sobie, że dla niego to nie było udawanie. Zdumiewa ją to. Czy to możliwe, że jest aż tak naiwny?

On spogląda na nią ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Tak, wiem.

Sjen kręci głową.

– Rozumiem.

To nieważne. Nie chodzi o jego inteligencję. Wstaje i rozpiną mu pasek od spodni.

– Tak po prostu? – pyta mężczyzna. – Ja cię nawet nie znam.

– Nie musisz.

– Nawet cię nie lubię.

Uczucie to jest wzajemne, ale Sjen powstrzymuje się przed wypowiedzeniem czegoś tak oczywistego.

– Miesiączka skończyła mi się tydzień temu. To odpowiednia pora. Jeśli tak wolisz, możesz po prostu się położyć, a ja wszystkim się zajmę.

Nie ma w tym wielkiego doświadczenia, ale to przecież nie tektonika płyt. Zdejmuje górną część munduru i wyciąga z kieszeni butelkę lubrykantu, wciąż prawie pełną. Mężczyzna spogląda na nią z przerażeniem.

– Właściwie najlepiej, jeśli w ogóle nie będziesz się ruszał. To i tak jest wystarczająco krępujące.

Dziesięciopierścienik wstaje, a właściwie wycofuje się. Poruszenie malujące się na jego twarzy... tak naprawdę nie jest zabawne. Widząc tę reakcję, Sjenit odczuwa jednak ulgę. Nie, nie tylko ulgę. Mimo swoich dziesięciu pierścieni to on jest tym słabym. Ona musi nosić dziecko, którego nie chce i które może ją zabić, a nawet jeśli nie, to na pewno na zawsze zmienić jej ciało, a może nawet życie, ale przynajmniej tu i teraz to ona ma władzę. Cała ta sytuacja jest... cóż, nie w porządku. Lecz w pewnym sensie lepiej, że to ona ma kontrolę.

– Nie musimy tego robić – bełkocze mężczyzna, wykrzywiając twarz. – Mogę odmówić. Wiem, że ty nie możesz, ale ja mogę. Dlatego...

– Nie odmawiaj – odpowiada, rzucając mu groźne spojrzenie.

– Co? Dlaczego?

– Sam powiedziałaś, że muszę to zrobić. Ty nie musisz. Ale jeśli nie zrobię tego z tobą, będę musiała zrobić to z kimś innym.

Feldspar powiedziała, że ma szóstkę dzieci. Ona jednak nigdy nie była szczególnie obiecującym górotworem. W przeciwieństwie do Sjenit. Jeśli nie będzie ostrożna, jeśli wkurzy nieodpowiednich ludzi albo pozwoli, żeby przyklejono jej łatkę „kłopotliwej”, zduszą jej karierę i przypiszą ją na stałe do Fulcrum, gdzie nie pozostanie jej nic innego jak tylko leżeć na plecach, słuchać męskich jęków oraz pierdnieć i rodzić kolejne dzieci. Będzie miała szczęście, jeśli skończy tylko z szóstką.

Dziesięciopierścienik patrzy na nią, jakby nie rozumiał, choć Sjen wie, że rozumie.

– Chcę mieć to już za sobą – mówi.

Wtedy ją zaskakuje. Spodziewa się po nim kolejnego bełkotu i protestów. Zamiast tego mężczyzna prostuje ręce wzdłuż ciała. Spogląda przed siebie i zaciska szczęki. Nadal wygląda śmiesznie w tym wymiętym ubraniu i z rozczochranymi włosami, ale na twarzy ma taki wyraz, jakby... zamierzał poddać się torturom. Sjen wie, że nie należy do największych piękności – przynajmniej nie według standardów Równiakiady. Ma w sobie zbyt dużo ze Środkowego Kundla. Z drugiej strony on też nie zachwyca: te włosy i skóra tak czarna, że niemal niebieska; poza tym jest drobny. Mierzy wprawdzie tyle, co ona, czyli

jest raczej wysoki, ale jego szczupła sylwetka nie wzbudza respektu. Jeśli wśród jego przodków byli jacyś Sanzeńczycy, to raczej dawno temu i najwyraźniej nie przekazali mu swoich fizycznych atrybutów.

– Mieć to za sobą – powtarza. – W porządku.

Zaciska zęby tak mocno, że mięśnie na jego twarzy niemal dygoczą. Poza tym... ach. Nie patrzy na nią, a Sjen odczuwa z tego powodu ulgę, ponieważ to, co maluje się na jego twarzy, to nienawiść. Widziała ją wcześniej u innych górotworów – to rdza, którą sama odczuwała w tych rzadkich momentach, kiedy mogła cieszyć się luksusem odosobnienia i niczym niezmaconej szczerości – nigdy jednak nie pozwoliła sobie na jej okazanie. Po chwili mężczyzna spogląda na nią, a ona próbuje się nie wzdrygnąć.

– Nie jesteś stąd – mówi do niej zimnym głosem. Sjen dochodzi do wniosku, że jest to pytanie.

– Nie. – Nie lubi znajdować się w pozycji odpowiadającego. – A ty?

– Och, owszem. Wychowano mnie z myślą o zakonie. – Na twarzy ściągniętej nienawiścią uśmiech wygląda dziwnie. – Ale nie tak, jak będzie to miało miejsce w przypadku naszego dziecka. Jestem potomkiem dwóch najstarszych i najbardziej obiecujących rodów z Fulcrum, tak przynajmniej mi tłumaczono. Miałem Stróża praktycznie od urodzenia.

Wsuwa ręce w kieszenie zmiętego ubrania.

– Jesteś dzikuską.

Tesłowa padają niespodziewanie. Przez sekundę Sjen zastanawia się, czy nie jest to przypadkiem jakieś nowe określenie na rogę, ale szybko rozumie, co tak naprawdę oznacza. Nie, to już przesada.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, ile masz pierścieni...

– Chodziło mi o to, że oni tak na ciebie mówią – mężczyzna uśmiecha się ponownie, a jego gorycz tak bardzo rezonuje z jej własną, że Sjen milknie zdziwiona. – Mogłaś o tym nie wiedzieć. Dzikusy, ci z zewnątrz, często nie wiedzą i często ich to nie obchodzi. Kiedy jednak górotwór przychodzi na świat w rodzinie, w której klątwa nigdy wcześniej się nie objawiła, tak właśnie o nim myślą. Jesteś dzikim błaznem w ich udomowionej trzódce o czystej krwi. Wypadkiem przy pracy. – Dziesięciopierściennik kręci głową, drży mu głos. – Co tak naprawdę oznacza, że nie potrafia przewidzieć twojego zachowania. Jesteś dowodem na to, że nigdy nie zrozumieją górotwórstwa, które nie jest nauką, ale czymś innym. I nigdy nie będą w stanie nas kontrolować. Nie do końca.

Sjen nie wie, co powiedzieć. Nie wiedziała o dzikusach, o byciu inną – choć teraz, kiedy o tym myśli, uświadamia sobie, że większość znanych jej górotworów pochodzi z Fulcrum. Poza tym zwróciła uwagę, jak czasem na nią patrzą. Myślała, że to dlatego, że oni są z Równikiady, a ona z Nomidlatów, albo dlatego, że zdobyła swój pierwszy pierścień wcześniej niż oni. Jednak teraz, kiedy usłyszała to, co usłyszała... zastanawia się, czy bycie dzikuską to coś złego.

Na pewno. Jeśli kłopot polega na tym, że dzikusy są nieprzewidywalne, to muszą udowadniać, że można na nich polegać. Fulcrum ma reputację, której nie chce utracić; to jedna strona problemu. Stąd wszystkie te treningi, mundury i niezliczone zasady, których należy przestrzegać, jednak pochodzenie również się liczy. Ale jeśli tak, to dlaczego właśnie ona się tu znalazła?

W pewnym sensie pochlebia jej, że pomimo bycia dzikuską została uznana za kogoś, kogo warto włączyć do linii genealogicznej. A potem zastanawia się, dlaczego jakaś jej część próbuje dostrzec w tym wszystkim pozytywną stronę.

Jest tak bardzo pogrążona w swoich myślach, że przepełnione rezygnacją westchnięcie wprawia ją w zdumienie.

– Masz rację – stwierdza rzeczowo dziesięciopierściennik, dochodząc najwyraźniej do wniosku, że to jedyny sposób, żeby doprowadzić sprawę do końca. Profesjonalne podejście pozwoli im zachować przynajmniej resztki godności. – Przepraszam. Jesteś... na zardzewiałą Ziemię! Miejmy to już za sobą.

Idą więc do jego sypialni, gdzie on rozbiera się i kładzie na łóżku, a potem przez jakiś czas próbuje się doprowadzić do stanu gotowości, jednak z mizernym skutkiem. Sjen sądzi, że to ryzyko związane z koniecznością robienia tego ze starszym mężczyzną, po chwili uświadamia sobie jednak, że seks po prostu nie wychodzi zbyt dobrze w sytuacji, kiedy nie masz na niego ochoty. Mężczyzna zachowuje spokojny wyraz twarzy; ona siada obok niego i odsuwa jego ręce. Wygląda na zawstydzonego, a ona przeklina, bo jeśli za dużo będzie o tym myślał, potrwa to cały dzień.

Kiedy zaczyna się nim zajmować, szybko reaguje, prawdopodobnie dlatego, że może zamknąć oczy i sobie wyobrazić, że jej ręce należą do tego, do kogo chciałby, żeby należały. Sjen zaciska zęby i siada na nim okrakiem, a potem ujeżdża go tak długo, że zaczynają boleć ją poobcierane uda i podskakujące piersi. Lubrykant pomaga tylko trochę. Mężczyzna nie sprawia jej tyle przyjemności co dildo albo jej własne palce. Jego fantazje okazują się jednak wystarczające, bo w końcu wydaje z siebie pełen napięcia jęk i jest już po wszystkim.

Kiedy Sjen zakłada buty, on wzdycha, siada na łóżku i spogląda na nią tak posępnie, że dziewczyna odczuwa cień wstydu z powodu tego, co z nim zrobiła.

– Możesz mi przypomnieć, jak masz na imię? – pyta.

– Sjenit.

– To imię, które nadali ci rodzice? – Kiedy na niego spogląda, jego usta wykrzywiają się w grymasie nieznacznie przypominającym uśmiech. – Przepraszam. Jestem trochę zazdrosny.

– Zazdrosny?

– Pochodzę z Fulcrum, pamiętasz? Mam tylko jedno imię.

Ach.

Mężczyzna przez chwilę się waha. Najwyraźniej to dla niego trudne.

– Możesz, ekhm, możesz mówić mi...

Sjen przerywa mu, bo zna jego imię, ale nie zamierza zwracać się do niego inaczej niż per „ty”, co powinno wystarczyć, aby wiedział, że mówi do niego, a nie do koni.

– Feldspar mówiła, że jutro mamy wyruszyć do Allia. – Zakłada drugi but i prostuje się, żeby dobrze ułożyć w nim stopę.

– Kolejna misja? Tak szybko? – wzdycha mężczyzna. – Powinienem był się domyślić.

Tak, powinien był.

– Masz się mną opiekować i pomóc mi w oczyszczeniu zatoki z koralu.

– Jasne. – On też wie, że to bzdury. Istnieje tylko jeden powód, dla którego wysyłają go razem z nią. – Wczoraj dali mi folder z podsumowaniem misji. Chyba w końcu go przeczytam. Spotkamy się przed stajnią w południe?

– To ty jesteś dziesięciopierściennikiem.

Mężczyzna pociera twarz dłońmi. Sjen jest go trochę żal – ale tylko trochę.

– Dobrze – odzywa się w końcu, powracając do formalnego tonu. – W takim razie w południe.

Sjen wychodzi, zmęczona, obolała i rozżłoszczona faktem, że ma na sobie jego zapach. Prawdopodobnie zjada ją stres i dręczy perspektywa odbycia miesięcznej podróży z człowiekiem, którego nie może znieść, a także robienia rzeczy, których nie chce robić na rozkaz ludzi, którymi coraz bardziej pogardza.

Ale tak właśnie zachowuje się człowiek „cywilizowany” – robi to, co lepsi od niego uważają za słuszne, i ma na uwadze rzekome dobro wspólne. Poza tym to wcale nie tak, że nic na tym nie zyska. Czeka ją rok niewygód, to prawda, ale przynajmniej nie będzie się musiała zajmować dzieckiem, bo zaraz po urodzeniu zostanie oddane do żłobka, ona zaś ukończy ważną misję pod zwierzchnictwem wykwalifikowanego seniora. Zdobędzie doświadczenie i reputację, które przybliżą ją do piątego

pierścienia. A to oznacza własne mieszkanie – koniec ze współlokatorami. Lepsze misje, dłuższe przerwy pomiędzy nimi, więcej swobody w życiu prywatnym. Warto się tego podjąć. Na Ziemiogień, tak: warto.

Powtarza to sobie przez całą drogę do pokoju. Następnie pakuje się, sprząta – chce żeby po powrocie czekał tu na nią porządek – i bierze prysznic, szorując każdy centymetr ciała tak długo, aż pali ją skóra.

Powiedzcie im, że pewnego dnia będą tak samo wielcy, jak my. Powiedzcie im, że są jednymi z nas, niezależnie od tego, jak ich traktujemy. Powiedzcie im, że muszą zasłużyć na szacunek, który inni otrzymują z góry. Powiedzcie im, że akceptacja wymaga zachowania pewnego standardu; tym standardem jest perfekcja. Zabijcie tych, którzy skrytykują to jako niesprawiedliwość, a pozostałym powiedzcie, że martwi zasłużyli na taki los swą słabością i zwątpieniem. Będą się wtedy przełamywać, dążąc do tego, czego nigdy nie osiągną.

Erlsset, dwudziesty trzeci cesarz Równikadowego Stowarzyszenia Sanzedu, trzynasty rok Sezonu Zęba. Komentarz nagrany podczas przyjęcia, niedługo przed utworzeniem Fulcrum

NIE JESTEŚ SAMA

Zapadła noc, a ty siedzisz pod osłoną wzgórza, w ciemności.

Jesteś bardzo zmęczona. Zabijanie tak wielu ludzi bardzo wyczerpuje. Co gorsza, nie wykorzystałaś całej mocy. Górotwórstwo opiera się na dziwnej matematyce. Bierzesz z otoczenia ruch, ciepło i życie, potęgujesz to wszystko w trudnym do wyjaśnienia procesie koncentracji, katalizy czy też rachunku prawdopodobieństwa i otrzymujesz z ziemi ruch, ciepło oraz śmierć. Moc wejściowa i moc wyjściowa. Utrzymanie w sobie tej mocy i niedopuszczenie do tego, żeby zbiorniki wodne w całej dolinie zmieniły się w gejzery, a ziemia obróciła się w gruz, wymaga wysiłku, od którego bolą cię zęby i oczy. Długo wędrowałaś, próbując spalić część tego, co w sobie zgromadziłaś, ale choć ciało masz już zmęczone i bolą cię stopy, pod skórą nadal czujesz tę energię. Jesteś bronią mogącą przenosić góry. Zwykły spacer nic tu nie da.

Mimo to szłaś, dopóki nie zapadła ciemność, a potem szłaś jeszcze trochę, a teraz jesteś tutaj, sama, skulona na skraju starego nieużytku. Jest zimno, ale boisz się rozpalić ogień. Bez ognia niewiele widzisz, ale też nic nie widzi ciebie: kobiety z workiem i nożem. (Nie jesteś bezbronna, jednak napastnik dowie się tego, dopiero kiedy będzie już za późno, a ty wolałabyś nikogo już dziś nie zabijać). W oddali widzisz ciemny łuk nadziemnej drogi wiszącej ponad równiną niczym jakiś żart. Dzięki uprzejmości Sanze wzdłuż nadziemnych dróg zazwyczaj stoją elektryczne latarnie, ale nie dziwi cię, że akurat ta nie jest oświetlona: nawet gdyby nie doszło do wstrząsu, zgodnie ze standardową procedurą Sezonu wyłączono by obiekty hydro i geo, które nie są kluczowe. Jesteś już zresztą za daleko, żeby wybrać okrężną drogę.

Masz na sobie kurtkę, a na polu musisz się obawiać jedynie myszy. Bez ognia nie umrzesz. Mimo braku płomieni i latarni widzisz stosunkowo dobrze. Niebo pokryły pasma skłębionych chmur przypominających grządkę w ogrodzie, który niegdyś uprawiałaś. Łatwo je dostrzec, ponieważ blask z północy zmienia je w warstwy czerwieni i cienia. Kiedy patrzysz w tamtym kierunku, dostrzegasz poszarpaną linię gór i odległy niebieskoszary błysk obelisku w miejscu, gdzie przebija on dywan chmur; nic ci to jednak nie mówi. Nieco bliżej przelatuje coś, co najprawdopodobniej jest stadem żerujących nietoperzy. Jest ich wiele, ale jak mówi kamiennądrość, „podczas Sezonu wszystko się zmienia”. Wszystkie żyjące stworzenia robią to, co muszą, aby przetrwać.

Źródło blasku znajduje się za górami, jakby słońce zaszło w niewłaściwym miejscu i tam już utknęło. Wiesz, co tak świeci. Wspaniale byłoby móc zobaczyć z bliska tę wielką, przerażającą wyrwę, która pluje ogniem w niebo, ale mimo wszystko nie chciałabyś tego doświadczyć.

I nie doświadczysz, ponieważ kierujesz się na południe. Nawet jeśli Jija nie wyruszył w tamtym kierunku, na pewno udał się tam, kiedy z północy nadszedł wstrząs. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

Oczywiście do człowieka, który zatłukł własne dziecko na śmierć, określenie „rozsądny” raczej nie pasuje. Do kobiety, która znalazła to dziecko i przestała myśleć na trzy dni... hmm, też nie bardzo. Nie masz jednak innego wyboru, jak tylko podążyć za swoim szaleństwem.

Sięgnęłaś do swoich zapasów i zjadłaś kromkę posmarowaną słoną pastą z akaby, którą schowałaś tam przed wiekami, kiedy miałaś jeszcze rodzinę. Akaba może długo wytrzymać, ale nie w nieskończoność, więc teraz, kiedy otworzyłaś już słoik, będziesz musiała zjeść ją podczas kilku kolejnych posiłków. Nie przeszkadza ci to, bo ją lubisz. Napiałaś się z menażki, którą kilka kilometrów wcześniej napełniłaś wodą ze studni przed zajazdem. Było tam kilkadziesiąt osób; niektórzy rozbili się wokół budynku, inni przystanęli tylko na chwilę. Na twarzach ich wszystkich widziałaś coś, co w myślach zaczynasz nazywać

„wolno narastającą paniką”. Ludzie zaczęli w końcu rozumieć, co oznaczają wstrząs, czerwona poświata i zachmurzone niebo: przebywanie w takiej sytuacji poza murami wspólnoty to na dłuższą metę wyrok śmierci – dla wszystkich z wyjątkiem tych, którzy okażą się wystarczająco brutalni albo zdeprawowani, aby zrobić to, co będą musieli zrobić. Ale nawet oni mają niewielką szansę na przetrwanie.

Obserwując twarze, ubrania, ciała i nerwowe zachowanie ludzi obozujących wokół zajazdu, doszedł do wniosku, że żaden z nich nie wierzy, że mógłby być zdolny do czegoś takiego. Żaden z nich nie wyglądał jak survivalowiec ani przyszły watażka. Spotkałaś tam normalnych ludzi: niektórzy z nich byli jeszcze brudni, po tym jak wygrzebywali się spod lawiny błota i zawalonych budynków, inni krwawili z nieopatrzonych, naprędcie obwiązanych ran. Byli tam podróżni odcięci od swoich domów i ocalali, których domy już nie istnieją. Widziałaś starca w brudnym, poszarpanym szlafroku, który siedział z zakrwawionym młodzieńcem ubranym jedynie koszulę; obaj patrzyli przed siebie zrozpaczonym wzrokiem. Widziałaś dwie kobiety, które obejmowały się i kołysały powoli, szukając w tym pocieszenia. Widziałaś mężczyznę w twoim wieku, który wyglądał na Mocarnego i spoglądał na swoje wielkie dłonie o grubych palcach, prawdopodobnie zastanawiając się, czy jest jeszcze wystarczająco młody i krzepki, żeby móc zapracować gdzieś na dach nad głową.

Na te tragiczne wydarzenia przygotowywały was mądrości kamieni. Nie ma w nich jednak ani słowa na temat mężów zabijających swoje dzieci.

Opierasz się o stary słup, który ktoś wbił w ziemię u stóp wzgórza – być może to pozostałość płotu – i odpływasz w sen, z rękoma w kieszeniach kurtki i wysoko podciągniętymi kolanami. Wtedy też powoli zaczynasz wyczuwać, że coś się zmieniło. Nie słyszysz nic oprócz wiatru i delikatnego szumu trawy. Żaden zapach nie przebija się przez siarkowy odór, do którego zdążyłaś się już przyzwyczaić. A jednak coś się zmieniło. Jest tam coś jeszcze.

Ktoś.

Otwierasz oczy, a jakaś część twojego umysłu sięga do ziemi, gotowa zabijać. Pozostała część drętwieje, bo kilka kroków od ciebie siedzi w trawie mały chłopiec.

Nie wiesz, kim jest. Jest ciemno. On jest ciemny. Zastanawiasz się, czy pochodzi ze wspólnoty Wschodniego Wybrzeża. Wiatr porusza jednak jego włosami i widzisz, że niektóre z nich są proste jak źdźbła otaczającej cię trawy. W takim razie może mieszkaniec Zachodniego Wybrzeża? Wydaje się, że włosy natarte zostały... pomadą albo czymś takim. Nie. Jesteś matką. To brud. Chłopiec pokryty jest brudem.

Wygląda na starszego niż Uche, ale jest młodszy od Nassun, musi więc mieć około sześciu albo siedmiu lat. Tak naprawdę nie jesteś jednak pewna, że to chłopiec; to potwierdzi się dopiero później. Na razie tylko się domyślasz. Siedzi lekko pochylony, co u dorosłego mogłoby wyglądać dziwnie, ale u dziecka, nienauczonego jeszcze, że należy siedzieć prosto, jest całkiem normalne. Patrzysz na niego przez chwilę. On patrzy na ciebie. Dostrzegasz delikatny blask jego oczu.

– Cześć – mówi. To głos chłopca, wysoki i wyraźny. Miałaś rację.

– Cześć – odpowiadasz. Znasz opowieści grozy, które rozpoczynają się w ten sposób: występują w nich bandy dzikich, żyjących z dala od wspólnot dzieci, które okazują się kanibalami. Trochę jednak za wcześnie na takie rzeczy, bo Sezon dopiero się zaczął. – Skąd jesteś?

Chłopiec wzrusza ramionami. Może nie wie, a może o to nie dba.

– Jak się nazywasz? Ja jestem Hoa.

To krótkie i dziwne imię, ale cały świat jest dziwny. Jesteś zaskoczona, że chłopiec tak się przedstawił. Jest na tyle młody, że być może nie ma jeszcze nazwiska wspólnotowego, ale powinien był odziedziczyć po ojcu nazwisko użytkowe.

– Tylko Hoa?

– Mhm. – Kiwa głową, obraca się i kładzie na ziemi jakiś pakunek, poklepując go, jakby chciał się upewnić, że jest bezpieczny. – Mogę tu spać?

Rozglądasz się, sejszysz i słuchasz. Porusza się tylko trawa, a w pobliżu nie widać nikogo oprócz chłopca. To nie wyjaśnia, jak podszedł tu w całkowitej ciszy – z drugiej strony jest mały, a z doświadczenia wiesz, że małe dzieci potrafią być bardzo ciche. Zazwyczaj oznacza to jednak, że coś knują.

– Kto jest tu z tobą, Hoa?

– Nikt.

Jest zbyt ciemno, żeby mógł zauważyć, że marszczysz czoło, a mimo wszystko reaguje na to, pochylając się do przodu:

– Naprawdę! Jestem sam. Widziałem przy drodze innych ludzi, ale oni nie byli fajni. Ukrywałem się przed nimi. – Na moment milknie, a potem dodaje: – A ciebie lubię.

Słodkie.

Wzdychając, wsuwasz ręce z powrotem do kieszeni i oddalasz się od źródła mocy. Chłopiec rozluźnia się odrobinę – tyle akurat widzisz – i kładzie się na gołej ziemi.

– Czekaj – mówisz, sięgając do torby. Rzucasz mu śpiwór. Hoa chwyta go i przez chwilę wygląda na zakłopotanego, a potem nagle rozumie. Zadowolony rozkłada śpiwór i zwiija się na nim jak kot. Nie tłumaczysz mu, że może wejść do środka.

Być może kłamie. Być może stanowi zagrożenie. Rano zostawisz go, bo nie potrzebujesz dziecka płaczącego ci się pod nogami – tylko by cię spowolniło. Poza tym na pewno ktoś go szuka. Jakaś matka, której dziecko nie jest martwe.

Teraz jednak możesz przez chwilę być człowiekiem. Opierasz się więc o słup i zamykasz oczy, żeby zasnąć.

Nad ranem z nieba pada popiół.

To tajemne, alchemiczne istoty. Przypominają górotwory, z tym że zamiast formacjami górskimi manewrują nieskończenie małymi drobinami materii. Oczywiście są w pewnym stopniu spokrewnione z ludźmi, których wygląd naśladują, jednak potrafią przyjmować również inne kształty. Nigdy nie wiadomo, jaką przybiorą postać.

Umbi Innowator Allia, Studium na temat istot czujących, Szósty Uniwersytet, ulica Cesarska 2323, Rok drugi Sezonu Kwasu

DAMAYA, ZMUSZONA DO POSTOJU

Pierwsze dni podróży z Schaffą przebiegają spokojnie. Nie nudno. Nudne bywają jedynie niektóre etapy, jak na przykład wtedy, kiedy Cesarski Trakt biegnie przez nieskończone pola kirgi i samiszetu albo kiedy miejsce pól zajmuje las tak ciemny i gęsty, że Damaya boi się odzywać, aby nie rozzłościć drzew. (W opowieściach drzewa zawsze są rozżłoszczone). Jednak nawet te monotonne okresy są dla Damai czymś nowym, ponieważ nigdy nie przekroczyła granic Paleli; ani razu nie towarzyszyła nawet ojcu i Chadze podczas wyjazdu na rynek do Brevard. Próbuje nie wyglądać jak kompletny kmiot i nie gapić się na każdą dziwną rzecz, jaką mijają, ale nie może się powstrzymać, choć czuje, że Schaffa śmieje się za jej plecami. Nie potrafi przejmować się jego śmiechem.

Brevard jest niespodziewanie tłoczne, ściśnięte i wysokie; kiedy wjeżdżają do miasta, Damaya pochyła się w siodle, obserwując budynki wznoszące się po obydwu stronach ulicy, i zastanawia się, czy nie poprzewracają się one na przechodniów. Nikt inny wydaje się nie zauważać, że budowle te są absurdalnie wysokie i tak wąskie, że na pewno wzniesiono je wedle jakiegoś zamysłu. Damaya widzi dziesiątki ludzi, choć słońce już zaszło i z tego, co wie, wszyscy powinni się już szykować do snu.

Nikt jednak tego nie robi. Kiedy mijają budynek oświetlony lampami olejnymi i wręcz dudniący śmiechem, Damaya nie może powstrzymać ciekawości i pyta, co to jest.

– To swego rodzaju gospoda – wyjaśnia Schaffa, a potem śmieje się, jakby Damaya zadała na głos pytanie, które właśnie ma w głowie. – Ale nie zatrzymujemy się tutaj.

– Bardzo tu głośno – stwierdza dziewczynka, próbując brzmieć rzeczowo.

– Tak, to też. Przede wszystkim jednak nie jest to odpowiedni lokal dla dzieci – odpowiada Schaffa, ale nie rozwija tego. – Jedziemy do miejsca, w którym nocowałem już kilka razy. Jedzenie jest tam przyzwoite, a łóżka czyste, no i raczej nie będziemy musieli szukać rano swoich bagaży.

I tak oto rozpoczyna się pierwsza noc Damai w gospodzie. Zdumiewa ją wszystko: jedzenie w pomieszczeniu pełnym obcych, posiłek smakujący zupełnie inaczej niż to, co przyrządzali jej rodzice czy Chaga, kąpiel w dużej miednicy ustawionej ponad ogniem zamiast w naoliwionej beczce zimnej wody w kuchni, a także łóżko dwa razy większe niż te, na których spali z Chagą. Łóżko Schaffy jest jeszcze większe – pasuje do niego, ponieważ sam Schaffa jest olbrzymi; Damaya wpatruje się w nie, kiedy mężczyzna przeciąga je pod drzwi. (Przynajmniej to jest znajome: czasami, słysząc plotki o bezwspólnotowych na drogach wokół miasta, Ojciec robił to samo). Schaffa musiał chyba dodatkowo zapłacić za ten większy mebel.

– Mój sen przypomina trzęsienie ziemi – wyjaśnia z uśmiechem, jakby to był jakiś żart. – Jeśli łóżko jest za wąskie, to z niego spadam.

Damaya nie ma pojęcia, co to znaczy, dopóki w środku nocy nie budzą jej jego jęki i chrząknięcia. Jeśli to koszmar, to naprawdę jakiś potworny, i przez moment dziewczynka zastanawia się, czy powinna wstać i go obudzić. Nienawidzi koszmarów. Schaffa jest jednak dorosły, a dorośli potrzebują snu – tak zawsze mówił Ojciec, kiedy ona lub Chaga zrobili coś, co go obudziło. Ojciec zawsze złościł się z tego powodu, a Damaya nie chce, żeby Schaffa się na nią złościł. Jest jedynym człowiekiem na całym świecie, który się o nią troszczy. Dlatego leży niespokojna i niezdecydowana, aż w końcu mężczyzna wykrzykuje coś niezrozumiale, brzmiać, jakby umierał.

– Obudziłeś się? – pyta go po cichu, bo oczywiście się nie obudził, ale robi to, kiedy tylko słyszy jej głos.

– Co się dzieje? – pyta ochryple.

– Ty... – Nie wie, co dalej. „Miałeś koszmar” brzmi jak coś, co mogłaby powiedzieć do niej Matka. Czy wypada mówić coś takiego silnym dorosłym takim jak Schaffa? – Wydawałeś odgłosy – kończy.

– Chrapałem? – w ciemności słycać jego przeciągłe westchnięcie. – Przepraszam.

Po tych słowach przekręca się na łóżku i przez resztę nocy jest już cicho.

Rano Damaya zapomina o tym, co się stało, przynajmniej na jakiś czas. Wstają i jedzą część tego, co postawiono w koszyku pod ich drzwiami, a potem zabierają resztę w dalszą podróż do Yumenes. W porannym świetle Brevard nie wygląda już tak przerażająco i dziwnie, być może dlatego, że widać sterty końskiego gówna w rynsztokach, małych chłopców z wędkami oraz ziewających stajennych, którzy noszą skrzynie i bele siana. Są tu młode kobiety wiozące na taczkach wiadra z wodą do podgrzania w lokalnej łaźni i młodzi, rozebrani do pasa mężczyźni, którzy szykują się do ubijania masła lub ryżu w szopach za wysokimi budynkami. Wszystko to jest znajome i pomaga Damai zrozumieć, że Brevard to po prostu większa wersja małego miasteczka. Jego mieszkańcy nie różnią się od Babuni czy Chagi, a poza tym dla nich Brevard jest prawdopodobnie tak samo zwyczajne i nudne, jak dla niej Palela.

Jadą przez pół dnia i zatrzymują się na odpoczynek, a potem jadą aż do wieczora, zostawiając Brevard daleko z tyłu. Wokół widać jedynie brzydkie, skaliste pobojuwisko, które ciągnie się całymi kilometrami w każdą stronę. Schaffa wyjaśnia, że w pobliżu znajduje się aktywna linia uskoku, która rujnuje te tereny przez kolejne lata i dekady, i dlatego właśnie miejscami ziemia jest tu odsłonięta i wypiętrzona.

– Jeszcze dziesięć lat temu te głazy nie istniały – stwierdza, wskazując olbrzymią stertę szarzielonych kamieni o ostrych krawędziach, które wyglądają, jakby były mokre. – Ale potem wydarzył się potężny wstrząs, dziewiątka. Tak przynajmniej słyszałem, bo sam miałem wtedy objazd w innym kwardonie. Patrząc na to wszystko, wierzę jednak, że tak właśnie było.

Damaya kiwa głową. Ojciec Ziemia wydaje się tu bliższy niż w Paleli – wprowadzie „bliższy” nie jest właściwym określeniem, ale dziewczynka nie wie, jakie byłoby lepsze. Być może „pod ręką”. A poza tym, poza tym... otaczające ich tereny wydają się... kruche. Niczym skorupka jaja pokryta drobnymi pęknięciami, których prawie nie widać, ale które dla kurczęcia w środku oznaczają pewną śmierć.

Schaffa trąca ją nogami.

– Przestań.

– Ale ja nic nie robię – odpowiada odruchowo.

– Słuchasz ziemi. To nie jest nic.

Skąd to wie? Damaya pochyla się w siodle, niepewna, czy powinna go przeprosić. Wierci się i opiera rękę na łęku, ale czuje się z tym dziwnie, bo siodło jest olbrzymie, jak wszystko, co należy do Schaffy. (Oprócz niej). Musi jednak zająć się czymś, żeby nie słuchać. Chwilę później Schaffa wzdycha.

– Chyba nie powinienem liczyć na nic więcej – w jego głosie Damaya wyraźnie wyczuwa rozczarowanie. – To nie twoja wina. Bez wyszkolenia jesteś jak... sucha podpałka, a w tej chwili mijamy buzujący ogień, który strzela iskrami. – Mężczyzna przez chwilę zastanawia się, a potem pyta: – Myślisz, że pomogłaby ci jakaś opowieść?

Bardzo by pomogła. Dziewczynka kiwa głową, próbując choćby częściowo ukryć entuzjazm.

– W porządku. Słyszałaś o Shemshenie?

– O kim?

Schaffa kręci głową.

– Na Ziemiogień! Te małe środkowe wspólnoty... Czy w tej waszej szkole niczego cię nie nauczyli? Domyślam się, że tylko mądrości kamieni i liczb, a tych drugich wyłącznie po to, żebyś wiedziała, kiedy

przycinać rośliny i tak dalej.

– Na nic więcej nie ma czasu – odpowiada Damaya, czując się w obowiązku bronić Paleli. – Dzieci ze wspólnot na Równikadzie nie muszą pewnie pomagać w polu...

– Wiem, wiem. Mimo wszystko szkoda. – Schaffa poprawia się w siodle. – Nie jestem mędrcom, ale opowiem ci o Shemshenie. Dawno temu, podczas Sezonu Zęba, czyli, hmm, czwartego Sezonu po utworzeniu Sanze, jakieś dwa tysiące lat temu, górotwór imieniem Misalem postanowił przeprowadzić zamach na Cesarza. Działo się to na długo przed ustanowieniem Fulcrum, a więc w czasach, kiedy Cesarz rzeczywiście coś robił. Większość górotworów nie dysponowała wtedy odpowiednim wykształceniem; podobnie jak ty działały, opierając się głównie na swoich emocjach i instynkcie – to znaczy te nieliczne, którym udało się dożyć dorosłego wieku. Misalem jakimś sposobem osiągnął nie tylko to, ale również sam się wytrenował. Posiadał wielką kontrolę, być może na poziomie cztero- albo pięciopięściennika.

– Kogo?

Znowu trąca ją nogami.

– To stopnie nadawane przez Fulcrum. Nie przerywaj.

Damaya czerwieni się i milknie.

– Misalem wykorzystał tę moc do zabicia mieszkańców kilku miast i miasteczek, a nawet paru osad bezwspólnotowych. Wymordował łącznie kilka tysięcy ludzi.

Damaya nabiera powietrza, wstrząśnięta tymi słowami. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że roggi... Urywa tę myśl. Ona sama jest roggą. Nagle przestaje lubić to słowo, które słyszała przez większość życia. To wulgaryzm i nie wolno jej go używać, nawet jeśli dorośli swobodnie rzucają nim na prawo i lewo – teraz słowo „rogga” wydaje się jednak jeszcze brzydsze niż dotychczas.

Górotwory... Świadomość, że z taką łatwością mogą zabić tak wielu ludzi, jest przerażająca. Damaya rozumie już, że to dlatego ludzie ich nienawidzą.

Jej. To dlatego ludzie nienawidzą jej.

– Dlaczego to zrobił? – pyta, zapominając, że miała nie przerywać.

– No właśnie, dlaczego? Może był trochę szalony. – Schaffa pochyla się, żeby mogła zobaczyć, jak robi zeza i porusza brwiami. Jest to tak zabawne i niespodziewane, że Damaya chichocze, a wtedy mężczyzna posyła jej porozumiewawczy uśmiech. – A może był po prostu zły. Tak czy inaczej, zbliżając się do Yumenes, przekazał mieszkańcom wiadomość, że jeśli nie wyślą Cesarza, żeby się z nim spotkał i zginął, obróci całe miasto w ruinę. Ludzie zasmucili się, kiedy Cesarz oświadczył, że spełni warunki Misalema, ale odczuli też ulgę, bo cóż innego mogli zrobić? Nie mieli pojęcia, jak walczyć z górotworem o takiej potędze. – Schaffa wzdycha. – Cesarz nie spotkał się jednak z Misalemem w pojedynkę: towarzyszyła mu kobieta. Miała na imię Shemshena i należała do jego straży przybocznej.

Damaya obraca się, podekscytowana.

– Musiała być naprawdę dobra, skoro ochraniała samego Cesarza.

– Oj tak, była świetną wojowniczką i należała do jednego z najznamienitszych rodów Sanze. Co więcej, była też Innowatorką, dzięki czemu wiedziała trochę o górotworach i częściowo rozumiała, na czym polega ich moc. Przed przybyciem Misalema zarządziła, aby wszyscy mieszkańcy opuścili Yumenes. Ludzie zabrali ze sobą zwierzęta i plony. Wycięli nawet drzewa i spalili je, podobnie jak domy, a potem ugasili ogień, pozostawiając jedynie zimny, mokry popiół. Bo to jest właśnie natura twojej mocy: przemiana kinetyczna, kataliza zmysłów. Nie przesuwają się góry samą siłą woli.

– Ale co to jest...

– Nie, nie – Schaffa przerywa jej spokojnym głosem. – Jest wiele rzeczy, których muszę cię nauczyć, ale o tym wszystkim dowiesz się dopiero w Fulcrum. Daj mi dokończyć.

Damaya niechętnie kapitułuje.

– Powiem tylko tyle: część twojej siły, kiedy nauczysz już się właściwie jej używać, będzie pochodzić z ciebie. – Schaffa dotyka jej potylicy, tak jak zrobił to wtedy w stodole, kładąc dwa palce powyżej linii włosów, a ona podskakuje, bo w tej samej chwili pomiędzy ich ciałami przeskakuje iskra. – Większość będziesz jednak musiała czerpać z innych źródeł. Jeśli ziemia porusza się albo ogień płonie tuż pod jej powierzchnią, możesz wykorzystać właśnie to. Powinnaś wykorzystać właśnie to. Kiedy Ojciec Ziemia drży, uwalnia tak dużo surowej siły, że biorąc z niej odrobinę, nie wyrządzasz krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu.

– A powietrze nie robi się zimne? – Damaya próbuje, naprawdę próbuje powstrzymać ciekawość, ale ta opowieść jest po prostu zbyt interesująca. A pomysł wykorzystywania górotwórstwa w bezpieczny sposób, bez krzywdzenia nikogo, wydaje się bardzo intrygujący. – Nikt nie umiera?

Wyczuwa potwierdzające ruchy jego głowy.

– Nie, kiedy używasz mocy ziemi. Ale oczywiście Ojciec Ziemia nigdy nie porusza się akurat w tej chwili, kiedy tego potrzebujesz. Jeśli w pobliżu nie ma takiej mocy, górotwór może sam poruszyć ziemię, jednak aby to zrobić, musi zaczerpnąć z otoczenia niezbędnego do tego ciepła i ruchu. Wykorzystuje wtedy wszystko, co się porusza albo jest ciepłe: ogniska, wodę, powietrze, nawet skały. Oraz, oczywiście, żywe istoty. Shemshena nie mogła usunąć z Yumenes ziemi ani powietrza, mogła natomiast usunąć wszystko inne – i zrobiła to. Kiedy ona i Cesarz spotkali się z Misalem przy obsydianowej bramie, byli jedynymi żyjącymi istotami w całym mieście, a samo miasto składało się wyłącznie z obronnego muru.

Damaya bierze głęboki oddech, próbując wyobrazić sobie Palełę pustą, ogołoconą z każdego krzewu i każdej kozy.

– I wszyscy tak po prostu sobie poszli? Bo im kazała?

– Bo kazał im Cesarz, ale tak: tak właśnie było. Yumenes było wtedy znacznie mniejsze, jednak mimo wszystko wymagało to wielkiego wysiłku. Mieszkańcy nie mieli natomiast dużego wyboru: mogli się zgodzić albo zostać zakładnikami potwora. – Schaffa wzrusza ramionami. – Misalem twierdził, że nie zamierza obejmować władzy po Cesarzu, ale jak ktokolwiek miałby mu uwierzyć? Człowiek, który grozi całemu miastu, aby osiągnąć to, co chce, nie powstrzyma się przed niczym.

Brzmi to logicznie.

– I nie wiedział o tym, co zrobiła Shemshena?

– Nie, nie wiedział. Kiedy dotarł na miejsce, ogień był już ugaszony, a mieszkańcy udali się w przeciwnym kierunku. Stając naprzeciw Cesarza i Shemsheny, Misalem sięgnął po moc niezbędną do zniszczenia miasta i nie znalazł tam prawie nic. Ani mocy, ani miasta, które mógłby zniszczyć. Kiedy próbował zrobić użytek z niewielkiej ilości ciepła, które miał do dyspozycji, Shemshena wbiła szklany nóż w sam środek jego mocy. Nie zabiło go to, ale dezorientowało na tyle, żeby dało się przełamać jego górotwórstwo, a reszty Shemshena dokonała za pomocą drugiego noża. W taki właśnie sposób powstrzymano największe zagrożenie, przed jakim stanęło Stare Imperium Sanze – przepraszam, „Równikiadowe Stowarzyszenie Sanze”.

Damaya aż drży z ekscytacji. Dawno już nie słyszała tak dobrej opowieści. Na dodatek jest ona prawdziwa – jeszcze lepiej! Nieśmiało uśmiecha się do Schaffy.

– Podobała mi się ta historia.

Schaffa dobrze opowiada. Ma głęboki, aksamitny głos. Damaya widziała w swojej głowie wszystko, o czym mówił.

– Podejrzewałem, że ci się spodoba. Tak właśnie narodzili się Stróże. Jeśli Fulcrum nadzoruje górotwory, to my nadzorujemy Fulcrum. Ponieważ wiemy, tak jak wiedziała Shemshena, że mimo swojej przerażającej mocy nie jesteście niezniszczalni. Można was pokonać.

Poklepuje jej dłoń opartą na łęku, a Damaya nie odwraca się, bo historia trochę przestała się jej podobać. Kiedy ją opowiadał, wyobrażała sobie siebie jako Shemshenę, która odważnie stawia czoła straszliwemu wrogowi i pokonuje go dzięki własnemu sprytowi i umiejętnościom. Słyszając słowo „was”, dziewczynka zaczyna jednak rozumieć, że Shaffa nie widzi jej w roli potencjalnej Shemsheny.

– Dlatego też my, Stróże, trenujemy – kontynuuje mężczyzna, być może nie dostrzegając, że Damaya nagle zeszywniała.

Znajdują się już głęboko w sercu pobojuwiska; po obydwu stronach drogi ciągną się po horyzont poszarpane głązy wysokie niczym budynki z Brevard. Ci, którzy zbudowali tę drogę, musieli właściwie wyłobić ją w skałach.

– Trenujemy – powtarza – tak samo jak Shemshena. Uczymy się tego, w jaki sposób działają moce górotwórcze, i poznajemy sposoby wykorzystywania ich przeciwko wam. Szukamy wśród was tych, którzy mogliby się stać następnymi Misalemami, i ich eliminujemy. Nad resztą roztaczamy opiekę. – Po tych słowach pochyła się, znowu się uśmiechając, ale tym razem dziewczynka nie odpowiada mu tym samym. – Jestem teraz twoim Stróżem i mam obowiązek zadbać o to, żebyś była przydatna, a nie niebezpieczna.

Kiedy Schaffa prostuje się i milknie, Damaya nie prosi go o opowiedzenie kolejnej historii, co zapewne jeszcze chwilę wcześniej by zrobiła. Ta, którą usłyszała, już jej się nie podoba. I nagle rozumie: on wcale nie chciał, żeby jej się spodobała.

Cisza utrzymuje się do momentu, kiedy pobojuwisko wreszcie zaczyna zanikać, a jego miejsce zajmują zielone pagórki. Nie ma tu gospodarstw, pastwisk, lasów ani miast. Widać jednak, że kiedyś ktoś tu mieszkał: Damaya dostrzega w oddali rozpadający się, porośnięty mchem obiekt, który mógłby być przewróconym silosem, gdyby silosy dorównywały rozmiarami gór. Są też inne kształty, zbyt równe i regularne, żeby można było uznać je za naturalne, ale też zbyt dziwne i zniszczone, żeby Damaya mogła je rozpoznać. Domyśla się, że to ruiny miasta, które musiało wymrzeć wiele Sezonów temu, skoro pozostało po nim tak niewiele. Na pochmurnym niebie za ruinami błyszczy atramentowy, wolno obracający się obelisk.

Sanze to jedyne państwo, które kiedykolwiek bez szkody przetrwało Piątą Porę Roku – udało mu się to aż siedem razy. Damaya uczyła się o tym w szkole. Siedem epok, podczas których ziemia pękała i wyrzucała w niebo popiół lub śmiertelne gazy, co dawało początek mrocznej zimie, ciągnącej się przez całe lata lub dekady. Pojedynczym wspólnotom często udawało się przetrwać Sezon, pod warunkiem, że były odpowiednio przygotowane. I miały szczęście. Damaya pamięta mądrość kamieni, której uczy się każde dziecko nawet w tak niewielkich zaściankowych miejscowościach jak Paleła. „Po pierwsze pilnuj bram”. Dbaj o zapasy. Przestrzegaj zasad i dokonuj trudnych wyborów, a może po zakończeniu Sezonu pozostaną jeszcze jacyś ludzie, którzy będą pamiętać, jak powinna funkcjonować cywilizacja.

Tylko raz przetrwało całe państwo, złożone z wielu współpracujących ze sobą wspólnot. Co więcej, rozkwitło wtedy, z każdym kataklizmem stając się większe i silniejsze. To dlatego, że ludzie w Sanze są silniejsi i mądrzejsi od innych.

Spoglądając na odległy, migoczący obelisk, Damaya myśli: „Mądrzejsi nawet od ludzi, którzy zbudowali coś takiego?”.

Tak, musieli być mądrzejsi. Sanze wciąż tu jest, natomiast obelisk to tylko kolejny radioaktywny odpad.

– Zamilkłaś – mówi Schaffa po pewnym czasie, poklepując ją po złożonych na łęku dłoniach, żeby wyrwać ją z zadumy. Jego ręce, dwukrotnie większe niż jej, dają ciepło i poczucie bezpieczeństwa. – Wciąż myślisz o tej opowieści?

Próbowała tego nie robić, ale oczywiście myślała.

– Trochę.

– Nie podoba ci się, że Misalem jest w niej złoczyńcą. I że bez Shemseny, która mogłaby cię kontrolować, ty również stanowisz potencjalne zagrożenie.

To nie jest pytanie.

Damaya przekręca się w siodle. Jakim cudem Schaffa zawsze wie, o czym ona myśli?

– Nie chcę być zagrożeniem – odpowiada cicho. A potem zdobywa się na odwagę i dodaje: – Ale nie chcę też być... kontrolowana. Chcę być... – Szuka odpowiedniego słowa, aż w końcu przypomina sobie coś, co jej brat powiedział jej kiedyś o dorastaniu. – Odpowiedzialna. Za siebie.

– Marzenie godne podziwu. Prawda wygląda jednak tak, Damayo, że nie jesteś w stanie się kontrolować. To nie jest twoja natura. Jesteś piorunem, niebezpiecznym, dopóki się go nie schwyta. Jesteś ogniem: ciepłym światłem w zimną, ciemną noc, ale też pożogą, która potrafi zniszczyć wszystko na swej drodze...

– Ja niczego nie zniszczę! Ja nie jestem taka!

To już zbyt wiele. Damaya próbuje się odwrócić, żeby na niego spojrzeć, ale traci równowagę i zaczyna zsuwać się z siodła. Schaffa natychmiast podciąga ją z powrotem, a jego stanowczy gest zdaje się mówić: „Siedź jak należy”. Damaya stosuje się do tego polecenia i sfrustrowana mocniej zaciska ręce na łąku. A potem, ponieważ jest zmęczona i wściekła, ponieważ po trzech dniach jazdy konnej boli ją tyłek i ponieważ całe jej życie legło w gruzach, a ona rozumie nagle, że nigdy nie będzie normalna, mówi więcej, niż zamierza:

– Zresztą nie musisz mnie kontrolować. Sama potrafię to zrobić.

Schaffa ściąga lejce, zatrzymując konia.

Damaya zamiera. Zaczęła się wymądrzać. Kiedy zachowywała się tak w domu, mama zawsze waliła ją po głowie. Czy Schaffa też ją teraz pobije? On jednak pozostaje uprzejmy jak zawsze:

– Naprawdę potrafisz?

– Słucham?

– Kontrolować się. To ważne pytanie. Właściwie najważniejsze. No więc: potrafisz?

Cichym głosem Damaya odpowiada:

– Ja... ja nie...

Schaffa znowu przykrywa jej dłonie własną. Sądząc, że zamierza zsiąść z konia, Damaya zdejmuje ręce z łąku, żeby on mógł go chwycić. Mężczyzna przytrzymuje jednak jej prawą dłoń na miejscu, wypuszczając tylko lewą.

– Jak cię odkryli?

Bez pytania wie, o co mu chodzi.

– W szkole – odpowiada nieśmiało. – Podczas przerwy obiadowej. Ja... Jeden chłopak mnie popchnął.

– Zabolało cię to? Byłaś wystraszona czy zła?

Damaya próbuje sobie przypomnieć. Ma wrażenie, że wydarzyło się to bardzo dawno temu.

– Zła. – Ale to nie wszystko. Zab był od niej większy. I zawsze ją zaczepiał. Kiedy ją popchnął, trochę zabolalo. – I wystraszona.

– Tak. To kwestia instynktu, który każe górotworowi uchronić się przed śmiertelnym zagrożeniem. To niebezpieczne. Moc, która w tobie tkwi, nie rozróżnia strachu przed urwisem od strachu przed wulkanem.

Dłonie Schaffy stają się cięższe, a uścisk silniejszy.

– Ta moc chroni cię zawsze tak samo, niezależnie od tego, jak potężne lub mało znaczące jest zagrożenie. Powinnaś wiedzieć, jak wielkie masz szczęście: górotwory często poznają swoją prawdziwą naturę, zabijając członka rodziny albo któregoś z przyjaciół. W końcu to ci, których kochamy, najbardziej nas krzywdzą.

Z początku Damaya sądzi, że Schaffa jest zdenerwowany. Być może myśli o czymś strasznym – o tym, co sprawia, że nocami jęczy i wzdycha. Czy ktoś zabił jego członka rodziny albo najlepszego przyjaciela? Czy to dlatego tak mocno przyciska jej rękę do łęku siodła?

– Scha... Schaffa – mówi, wystraszona. Nie wie, czego się boi.

– Ciii – odpowiada mężczyzna i układa swoje palce wzdłuż jej palców, a następnie napiera mocno, przyciskając kości jej dłoni do łęku. Robi to celowo.

– Schaffa!

To boli. On wie, że to boli. Ale nie przestaje.

– No już, już, uspokój się, mała. Już.

Kiedy Damaya skamle i próbuje mu się wyrwać – nacisk jego dłoni, zimny metal łęku i jej kości miażdżące tkanki pod spodem: to wszystko sprawia jej ból – Schaffa wzdycha i obejmuje ją wolną ręką w pasie.

– Nie ruszaj się i bądź dzielna. Złamię ci teraz rękę.

– Co...

Schaffa napina z wysiłku mięśnie nóg i przyciska ją swoją pierś, ale ona ledwie to rejestruje. Całą uwagę skupia na jego dłoni, swojej dłoni oraz mokrym trzasku, kiedy nagle pęka w niej coś, co zawsze było nieruchome; natychmiast ogarnia ją ból tak silny, że zaczyna krzyczeć. Zdesperowana i oszołomiona, drapie jego rękę wolną dłonią. On odsuwa tę dłoń i przyciska ją do jej uda, Damaya może więc wbijać paznokcie najwyżej w samą siebie.

Za zasłoną bólu czuje nagle chłodny, bezpieczny bezruch skały pod końskimi kopytami.

Nacisk stopniowo ustaje. Schaffa podnosi jej pękniętą dłoń i poprawia uchwyt, żeby lepiej widzieć obrażenie. Damaya wciąż krzyczy, głównie z powodu przerażającego widoku własnej dłoni wygiętej w sposób, w jaki nie powinna być wygięta: na skórze pojawiają się trzy nowe czerwone wybrzuszenia, a palce zaczynają sztywnieć.

Skała ją wzywa. Gdzieś tam, głęboko, znajduje się ciepło i moc, które mogą jej pomóc zapomnieć o bólu. Damaya niemal sięga po tę obietnicę ulgi. Ogarnia ją jednak zwątpienie.

„Czy potrafisz się kontrolować?”

– Mogłaś mnie zabić – szepcze jej Schaffa do ucha, a ona, mimo tego wszystkiego, co się stało, milknie, żeby go wysłuchać. – Mogłaś sięgnąć po ogień z wnętrza ziemi albo wyssać siłę z otoczenia. Siedzę wewnątrz twojego torusa. – Nic jej to nie mówi. – To nie jest odpowiednie miejsce dla górotwora, zwłaszcza niewyszkolonego: jeden błąd i przesuńiesz biegnącą pod nami linię uskołu, wywołując trzęsienie ziemi. Mogłabyś zabić w ten sposób również siebie. Zakładając jednak, że przeżyjesz, będziesz wolna. Znajdziesz jakąś wspólnotę i wyblągasz, żeby cię do niej przyjęto, albo przyłączysz się do bandy bezwspólnotowych i spróbujesz jakoś funkcjonować. Jeśli będziesz sprytna, zdołasz ukryć to, kim jesteś. Na chwilę. To iluzja, która szybko się rozwiewa, ale przez pewien czas będziesz czuła się normalnie. Wiem, że tego właśnie pragniesz najbardziej.

Damaya ledwie go słyszy. Ból rozrywa jej dłoń, wędruje po ramieniu i pulsuje w zębach, tłumiąc wszystko inne. Kiedy Schaffa przestaje mówić, ona wydaje z siebie jęk i znowu próbuje się uwolnić. Jego palce zaciskają się ostrzegawczo i Damaya natychmiast się poddaje.

– Bardzo dobrze. Zachowałaś nad sobą kontrolę pomimo bólu. Większość młodych górotworów bez treningu nie potrafi tego dokonać. A teraz pora na prawdziwy sprawdzian – poprawia uścisk, zamykając jej dłoń we własnej. Damaya kuli się, ale jego dotyk jest delikatny. Na razie. – Wydaje mi się, że twoja dłoń jest złamana w trzech miejscach. Jeśli zostanie unieruchomiona i będziesz o nią dbała, prawdopodobnie zagoi się i pozostanie całkowicie sprawna. Jeśli jednak ją zmiażdżę...

Damaya nie może oddychać. Płuca wypełnił jej strach. Wypuszcza ostatni haust powietrza i udaje jej się zamienić go w jedno słowo:

– Nie!

– Nigdy mi nie odmawiaj. – Te słowa ogrzewają jej skórę. Schaffa pochylił się, żeby wyszeptać jej do ucha. – Górotwory nie mają prawa do odmowy. Jestem twoim Stróżem. Złamię ci wszystkie kości w dłoni i w całym twoim ciele, jeśli uznam, że to konieczne, aby uchronić świat przed grożącym mu z twojej strony niebezpieczeństwem.

Nie zmiażdżyłby jej dłoni. Nie. Nie zrobiłby tego. Kiedy ona drży w milczeniu, on przesuwa kciukiem po spuchniętych wypustkach, które pojawiły się na wierzchu jej ręki. W tym ruchu jest jakieś zamyślenie, jakaś ciekawość. Damaya nie może na to patrzeć. Zamyka oczy i czuje, że po policzkach swobodnie spływają jej łzy. Ma mdłości i jest jej zimno. W uszach huczy jej krew.

– Dla... dlaczego?

Głos więźnie jej w gardle. Damaya z trudem chwyta oddech. Wydaje się niemożliwe, że to wszystko dzieje się naprawdę; w ciche, słoneczne popołudnie, na jakiejś drodze w samym sercu pustkowia. Nie rozumie tego. Rodzina pokazała jej, że miłość to kłamstwo. Nie jest trwała jak gład, ale kruszeje niczym zardzewiały metal. Myślała jednak, że Schaffa ją lubi.

Tymczasem on dalej gładzi jej pokiereszowaną rękę.

– Kocham cię – mówi. Damaya wzdyga się, a on nie przestaje przesuwać palcem po dłoni, którą sam złamał. – Nigdy w to nie wątp, mała. Biedne stworzenie, zamknięte w stodole i wystraszone samego siebie tak bardzo, że ledwie może się odezwać. A jednak oprócz ognia ziemi masz w sobie również ogień rozumu i nie potrafisz nie podziwiać obydwu tych rzeczy, niezależnie od tego, jak bardzo niebezpieczna może być pierwsza z nich.

Kręci głową i wzdycha.

– Nienawidzę tego, że muszę ci to robić. Nienawidzę tego, że to konieczne. Ale zrozum: muszę cię skrzywdzić, żebyś ty nie skrzywdziła nikogo innego.

Jej dłoń boli. Jej serce bije szybko, a ból wybucha z każdym jego uderzeniem: PŁONIE, płonie, PŁONIE, płonie, PŁONIE, płonie. Cudownie byłoby schłodzić ten ból, szepcze skała poniżej. W tym celu należałoby jednak zabić Schaffę – jedyne go człowieka na świecie, który ją kocha.

Schaffa kiwa głową, być może do siebie.

– Musisz wiedzieć, że nigdy cię nie okłamię, Damayu. Popatrz w dół.

Otwarcie oczu i podniesienie lewej ręki zajmuje Damai całe wieki. Kiedy to robi, dostrzega, że w wolnej dłoni Schaffa trzyma długi, zakrzywiony czarny sztylet ze szkła. Ostrze dotyka materiału koszuli, tuż pod jej żebrami. Jest wymierzone w serce.

– Powstrzymanie odruchu to jedno. Zupełnie czymś innym jest stłumienie w sobie świadomego pragnienia zabicia kogoś w samoobronie lub z jakiegokolwiek innego powodu. – Jakby w celu pokazania jej, że to pragnienie istnieje, opiera sztylet o skórę na jej brzuchu. Jest tak ostry, że jego czubek kłuje ją nawet przez materiał. – Wygląda jednak na to, że potrafisz się kontrolować, tak jak powiedziałaś.

Mówiąc to, odsuwa nóż od jej ciała, wprawnie obraca go w dłoni i bez patrzenia wsuwa za pas. Następnie chwyta jej pogruchotaną dłoń w swoje dwie.

– Bądź dzielna.

Damaya nie rozumie, o co mu chodzi. Kontrast pomiędzy jego łagodnymi słowami i okrutnymi czynami jest zbyt silny. Chwilę później Damaya znowu wrzeszczy, bo Schaffa zaczyna metodycznie ustawiać każdą z jej połamanych kości. Trwa to zaledwie kilka sekund. Wydaje się, jakby trwało znacznie dłużej.

Kiedy osuwa się na niego, słaba i roztrzęsiona, Schaffa popędza konia do kłusa. Damaya jest już poza bólem i ledwie zauważa, że mężczyzna nadal trzyma jej dłoń, przyciskając ją teraz do jej ciała, żeby

zapobiec dodatkowym obrażeniom. Nie zastanawia się nad tym. O niczym nie myśli, nic nie robi i nic nie mówi. Nie ma już nic do powiedzenia.

Pozostawiają za sobą zielone wzgórza i teren znowu staje się płaski. Damaya nie zwraca na to uwagi; obserwuje niebo i szary obelisk, który mimo kolejnych pokonanych kilometrów wydaje się tak samo odległy. Niebo wokół niego robi się coraz ciemniejsze, aż w końcu obelisk jest tylko czarną smugą na tle gwiazd. Wraz z zapadnięciem zmroku Schaffa zatrzymuje konia obok drogi i schodzi na ziemię, żeby rozbić obóz. Zdejmuje Damayę z siodła, a ona nie rusza się z miejsca, podczas gdy on oczyszcza teren i kopniakami zbiera trochę niewielkich kamieni w jedno miejsce, żeby rozpałcić ognisko. Nie ma tu drewna, ale Schaffa wyjmuje z juków kilka kawałków jakiejś substancji i używa ich jako rozpałki. Zapach wskazuje, że to węgiel albo wysuszony torf. Dziewczynka nie reaguje. Stoi bezczynnie, kiedy mężczyzna zajmuje się koniem, ściąga z niego siodło, rozkłada śpiwory i stawia mały garnek na ogniu. Oleisty smród ogniska zostaje zastąpiony przez aromat gotowanego jedzenia.

– Chcę wrócić do domu – mówi Damaya. Wciąż przyciska rękę do piersi.

Schaffa przerywa przygotowywanie kolacji i podnosi wzrok. W migoczącym świetle ogniska jego lodowobiałe oczy wydają się tańczyć.

– Nie masz już domu, Damayu. Ale wkrótce będziesz go miała, w Yumenes. Będziesz tam miała nauczycieli i przyjaciół. Całe nowe życie – mówi to z uśmiechem.

Po tym, jak nastawił jej kości, ręka prawie zupełnie jej zdrętwiała, ale wciąż czuje tępy, pulsujący ból. Zamyka oczy, marząc, żeby to zniknęło – wszystko: ból, dłoń, cały świat. Dociera do niej zapach czegoś smakowitego, ale nie czuje apetytu.

– Nie chcę nowego życia.

Najpierw odpowiada jej tylko cisza, ale po chwili Schaffa wzdycha, podnosi się i podchodzi do niej. Damaya kuli się, ale on tylko klęka obok i kładzie jej ręce na barkach.

– Boisz się mnie? – pyta.

Początkowo zamierza go okłamać. Uważa, że prawda mu się nie spodoba. Jest jednak zbyt obolała, by chcieć przypodobać mu się kłamstwem. Mówi więc prawdę:

– Tak.

– Dobrze. Powinnaś. Nie żałuję bólu, który ci sprawiłem, mała, ponieważ musiałaś przejść tę lekcję. Co teraz o mnie wiesz?

Damaya kręci głową. A potem odpowiada, bo oczywiście tak trzeba.

– Muszę robić, co mówisz, bo w przeciwnym razie mnie skrzywdzisz.

– I?

Mocno zaciska powieki. W snach sprawia to, że potwory znikają.

– Możesz mnie skrzywdzić, nawet kiedy będę posłuszna. Jeśli uznasz, że powinieneś.

– Tak – w jego głosie da się wyczuć uśmiech. Schaffa przesuwa palcami po jej policzku, odgarniając zabłąkany kosmyk włosów. – To, co robię, nie jest przypadkowe, Damayu. Chodzi o kontrolę. Nie daj mi powodu, abym zwątpił w to, że ją posiadasz, a nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Rozumiesz?

Damaya nie chce tego słuchać, ale słucha, wbrew sobie. Wbrew sobie trochę też się rozluźnia. Nie odpowiada jednak.

– Spójrz na mnie – mówi Schaffa.

Damaya otwiera oczy. Na tle ogniska jego głowa jest tylko ciemnym kształtem okolonym jeszcze ciemniejszymi włosami. Dziewczynka odwraca się.

Schaffa chwyta ją za twarz i obraca ku sobie.

– Rozumiesz?

Oczywiście jest to ostrzeżenie.

– Rozumiem – odpowiada.

Usatysfakcjonowany Schaffa zwalnia uścisk. Następnie przyciąga Damayę do ogniska i gestem wskazuje, żeby usiadła na kamieniu, który tu przyturlał, a ona spełnia jego polecenie. Otrzymuje niewielkie metalowe naczynie z zupą z soczewicy i zaczyna jeść – niezdarnie, bo nie jest leworęczna. Pije z menażki, którą podaje jej Schaffa. Kiedy chce jej się siku, odchodzi od ogniska, potykając się na nierównej ziemi, przez co ból jeszcze bardziej się nasila, ale jakoś daje radę to zrobić. Schaffa poklepuje miejsce obok siebie, a ponieważ mają tylko jeden śpiwór, Damaya kładzie się przy nim. Słyszy, że ma iść spać, więc znowu zamyka oczy, ale bardzo długo nie zasypia.

Kiedy w końcu jej się to udaje, śni o palącym bólu, pękającej ziemi i wielkiej wyrwie pełnej białego światła, które chce ją połknąć. Odnosi wrażenie, że Schaffa budzi ją dosłownie chwilę później. Jest środek nocy, choć gwiazdy zmieniły swoje położenie. Przez chwilę Damaya nie pamięta, że ma złamaną dłoń, i uśmiecha się do Stróża. Schaffa mruga i odpowiada szczerym uśmiechem.

– Wydawałaś odgłosy.

Damaya oblizuje usta i nie uśmiecha się już, bo wszystko sobie przypomina, a poza tym nie chce powiedzieć mu, jak bardzo przeraził ją koszmar. I przebudzenie.

– Chrapałam? – pyta. – Mój brat mówi, że często mi się to zdarza.

Schaffa przez moment przygląda się jej, a uśmiech znika z jego twarzy. Damaya zaczyna nie lubić jego milczenia. To nie są tylko przerwy w rozmowie ani chwile na zebranie myśli; to sprawdziany, ale nigdy nie wie, o co w nich chodzi. Schaffa ciągle ją testuje.

– Tak, chrapałaś – odpowiada w końcu. – Ale nie martw się. Nie będę ci z tego powodu dokuczał jak twój brat.

Uśmiecha się, jakby to było zabawne. Jakby zabawne było rozmawianie o bracie, którego ona już nie ma. I o koszmarze, w który zmieniło się jej życie.

Ten mężczyzna jest jednak jedynym człowiekiem, którego Damaya może kochać, dlatego kiwa głową i znowu zamyka oczy, rozluźniając się przy nim.

– Dobranoc, Schaffa.

– Dobranoc, mała. Spokojnych snów.

SEZON WRZENIA: rok imperialny 1842–1845. Erupcja pod jeziorem Tekkaris wywołała kwaśne deszcze i okluzje nad Somidlatami, Arktyką oraz wspólnotami Wschodniego Wybrzeża. Dzięki silnym wiatrom i prądom oceanicznym zniszczenia nie dosięgnęły Równikady oraz północnych obszarów, dlatego historycy dyskutują, czy był to „prawdziwy” Sezon.

Sezony Sanze, podręcznik dla dwunastolatków

TY PLUS JEDEN TO JUŻ DWOJE

Nad ranem wstajesz i ruszasz dalej, a chłopiec idzie z tobą. Kierujecie się na wschód, pokonując kolejne pagórki, a z nieba pada popiół.

Obecność chłopca to dla ciebie kłopot. Po pierwsze, jest brudny. W ciemności tego nie widziałaś, ale cały jest pokryty zaschniętym błotem, przyklejonymi do ciała gałązkami i Ziemia wie, czym jeszcze. Prawdopodobnie porwała go lawina błotna; podczas wstrząsów to się zdarza. Jeśli tak, to ma szczęście, że żyje – mimo wszystko, kiedy budzi się i przeciąga, krzywisz się na widok smug i grudek błota, które pozostawił na śpiworze. Dopiero po dwudziestu minutach zdajesz sobie sprawę, że pod całym tym brudem jest nagi.

Kiedy pytasz go o to – i o wszystko inne – odpowiada ostrożnie. W tym wieku nie powinno mu to wychodzić, ale wychodzi. Chłopiec nie zna nazwy wspólnoty, z której pochodzi, ani nazwisk ludzi, którzy go wychowali – wie tylko, że było ich „nie za bardzo wielu”. Twierdzi, że nie ma rodziców. I że nie zna swojego nazwiska użytkowego – jesteś pewna, że to akurat kłamstwo. Nawet jeśli jego matka nie знаła jego ojca, odziedziczyłby nazwisko użytkowe po niej. Jest młody i prawdopodobnie osierocony, ale nie na tyle młody, żeby nie znać swojego miejsca na świecie. Wiedzą to dzieci znacznie młodsze od niego. Uche miał tylko trzy lata i wiedział, że jest Innowatorem jak jego tata i że dlatego wszystkie jego zabawki to narzędzia – książki oraz rzeczy, z których da się coś budować. Wiedział też, że są sprawy, o których wolno mu rozmawiać tylko z jego mamą i tylko kiedy są sami. Na przykład Ojciec Ziemia, jego szept i „to wszystko z dołu”, co Uche nazywał...

Ale nie jesteś jeszcze gotowa, żeby o tym myśleć.

Zamiast tego myślisz o tajemnicach Hoa, bo jest o czym. Kiedy chłopiec wstaje, widzisz, że jest niski i drobny; ma najwyżej sto dwadzieścia centymetrów wzrostu. Zachowuje się jak dziesięciolatek, więc jest albo bardzo mały jak na swój wiek, albo nad wyraz rozwinięty umysłowo. Sądziś, że raczej to drugie, choć nie potrafisz stwierdzić dlaczego. Nie możesz powiedzieć o nim zbyt wiele poza tym, że ma prawdopodobnie jaśniejszy odcień skóry, niż ci się wydawało: miejsca, z których odpadło błoto, wyglądają raczej na szare niż brązowe. Być może pochodzi więc z okolic Antarktydy albo z Zachodniego Wybrzeża, gdzie ludzie są bledsi.

A teraz jest tutaj, tysiące kilometrów od północno-wschodnich Somidlatów, sam i nagi. No dobrze.

W takim razie może coś stało się jego rodzinie. Może często zmieniali wspólnoty. Wielu ludzi tak robi: opuszczają swoje rodzinne miejscowości i przez większą część roku podróżują po kontynencie, wyprasząc wstęp do kolejnych wspólnot, gdzie wyróżniają się niczym jasne kwiaty w ciemnej dolinie...

Być może.

No dobrze.

Hoa ma również lodowobiałe oczy. Prawdziwie lodowobiałe. Przestraszyłaś się ich trochę, kiedy się obudziłaś, a on na ciebie spojrział: całe to ciemne błoto wokół dwóch lśniących, skrebrnobłękitnych punkcików. Nie wygląda do końca jak człowiek, ale to częsty przypadek wśród osób z lodowobiałymi oczyma. Słyszałaś, że w kaście Piastunów w Yumenes tacy ludzie są – byli – bardzo pożądanymi.

Sanzeńczykom podobało się, że lodowobiałe oczy wzbudzają szacunek i są trochę przerażające. Bo są. Ale to nie oczy sprawiają, że Hoa wydaje się przerażający.

Jest przesadnie radosny, to po pierwsze. Kiedy się obudziłaś, był już na nogach i bawił się twoim krzesiwem. W dolinie nie było niczego, czym dałoby się rozpaścić ogień – tylko trawa, która gdyby okazała się wystarczająco sucha, wypaliłaby się w kilka sekund i prawdopodobnie wywołała pożar – dlatego poprzedniego wieczoru w ogóle nie wyjęłaś krzesiwa z worka. Chłopiec obracał je jednak w dłoniach, mrucząc do siebie, co oznaczało, że grzebał w twoich rzeczach. Nie nastrajało cię to najlepiej przed nadchodzącym dniem. Kiedy się pakowałaś, ten obraz utkwił ci w pamięci: dziecko, które najprawdopodobniej przeżyło jakiś koszmar, siedzi nagie pośrodku doliny, w deszczu popiołu, i mimo wszystko się bawi. A nawet coś mruczy. Kiedy zobaczył, że nie śpisz i na niego spoglądasz, uśmiechnął się do ciebie.

To dlatego postanowiłaś zatrzymać go przy sobie, mimo przekonania, że cię okłamuje, twierdząc, że nie pamięta, skąd pochodzi. Postanowiłaś tak, bo... No cóż. Jest dzieckiem.

Kiedy masz już na plecach swój worek, spoglądasz na chłopca, a on zerka na ciebie. Przyciska do piersi tłumok, który widziałaś poprzedniego wieczoru – jakiś przedmiot owinięty szmatami. Widzisz, że malec jest niespokojny; jego spojrzenie mówi wszystko. Ma ogromne źrenice. Przenosi ciężar ciała na jedną nogę, a drugą stopą drapie się po łydce.

– Chodź – mówisz, i kierujesz się w stronę Cesarskiego Traktu. Próbujesz nie zwracać uwagi na jego ciche westchnięcie i sposób, w jaki podbiega, żeby się z tobą zrównać.

Kiedy wchodzisz z powrotem na drogę, dostrzegasz kilkoro ludzi; prawie wszyscy zmiierzają na południe. Wzbijają stopami chmury popiołu, który na razie jest jeszcze lekki i sypki. Ma postać dużych płatków i ci, którzy pamiętali o zabraniu masek, nie muszą jeszcze ich zakładać. Mężczyzna prowadzi okulałego konia zaprzęgniętego w chwiejny wóz, na którym znajdują się starzy ludzie oraz ich dobytek – zresztą mężczyzna wcale nie jest od nich dużo młodszy. Wszyscy oni patrzą na was, kiedy schodzicie ze wzgórza. Sześć kobiet, które prawdopodobnie podróżują razem ze względów bezpieczeństwa, szepcze na was widok, a w końcu jedna z nich mówi głośno do innej:

– Na zardzewiałą Ziemię, spójrz tylko...

Najwyraźniej wyglądasz na niebezpieczną. Albo potencjalnie kłopotliwą. Albo jedno i drugie.

Po chwili dochodzisz jednak do wniosku, że być może to Hoa tak je niepokoi, dlatego się do niego odwracasz. Zatrzymujecie się i chłopiec znowu wygląda na zmartwionego, a tobie, mimo że nie prosiłaś się o jego towarzystwo, robi się wstyd, że pozwalasz, aby tak wyglądał.

Rozglądasz się. Po drugiej stronie drogi płynie strumień. Trudno powiedzieć, kiedy napotkacie kolejną gospodę; na Cesarskim Trakcie powinny się one znajdować co czterdzieści kilometrów, ale wstrząs z północy mógł zniszczyć tę najbliższą. Powoli opuszczacie równinę. Drzewa rosną coraz gęściej, ale nie na tyle, aby mogły zapewnić prawdziwą kryjówkę; zresztą wiele z nich zostało połamanych podczas wstrząsu. Pomaga padający z nieba popiół – widoczność ograniczyła się do mniej więcej półtora kilometra. Widzisz, że płaskie tereny po obydwu stronach drogi stają się coraz bardziej surowe. Z map i opowieści wiesz, że poniżej gór Tirimas znajduje się stara, prawdopodobnie zasklepiona już linia uskoku – od czasu ostatniego Sezonu wyrósł tam pas młodego lasu – a po jakichś stu pięćdziesięciu kilometrach równiny zmieniają się w solnisko. Dalej jest pustynia, gdzie wspólnoty pojawiają się bardzo rzadko i są strzeżone jeszcze pilniej niż ośrodki położone na bardziej przyjaznych terenach.

(Jija na pewno nie zawędruje dalej niż na pustynię. Byłoby to głupie, bo kto by go tam przyjął?).

Jesteś pewna, że przy drodze pomiędzy miejscem, w którym się znajdujesz, a solniskiem, napotkacie wspólnoty. Jeśli chłopiec będzie wyglądał w miarę porządnie, któraś z nich prawdopodobnie przyjmie go do siebie.

– Chodź – mówisz do niego i schodzisz z drogi.

Hoa idzie za tobą po żwirowisku, a ty zauważasz, jak ostre są niektóre kamienie, i do listy rzeczy, które musisz dla niego zdobyć, dodajesz buty. Na szczęście chłopiec nie rani sobie stóp – choć w pewnym momencie ślizga się na żwirze, upada i turla się w dół zbocza. Biegniesz do niego, kiedy przestaje się zsuwać, ale on siedzi już z markotną miną, bo wylądował w błocie na brzegu strumyka.

– No, wstajemy – mówisz, podając mu rękę.

Spogląda na twoją dłoń, a ty z zaskoczeniem dostrzegasz na jego twarzy niepewność.

– Nic mi nie jest – mówi, ignorując wyciągniętą w jego stronę rękę i podnosząc się z ziemi. Rozlega się przy tym plusk błota. Następnie chłopiec omija cię, żeby podnieść tłumok, który zgubił podczas upadku.

Niewdzięczny bachor.

– Chcesz, żebym się umył – mówi, i najwyraźniej jest to pytanie.

– Skąd wiedziałeś?

Chyba nie wyczuwa sarkazmu. Odkłada pakunek na żwirowy brzeg i wchodzi do wody, zanurzając się po pas, po czym kuca i próbuje się wyszorować. Przypominasz sobie o czymś i grzebiesz w swoim worku, aż w końcu znajdujesz kawałek mydła. Słyszając twój gwizd, chłopiec się odwraca, a ty rzucasz mu mydło. Krzywisz się, kiedy nie udaje mu się go złapać, ale zaraz nurkuje i wynurza się ze zgrabą w dłoni. Śmiejesz się, bo patrzy na mydło, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

– Pocieraj tym skórę. – Pokazujesz, jak powinien to robić: znowu sarkazm. Chłopiec prostuje się jednak i uśmiecha, jakby rzeczywiście właśnie coś zrozumiał, a potem wykonuje polecenie.

– Włosy też – mówisz, przeszukując worek raz jeszcze, i obracając się tak, żeby móc obserwować drogę. Niektórzy wędrowcy spoglądają na was z zainteresowaniem albo z pogardą, jednak większość nie patrzy. Odpowiada ci to.

Przedmiotem, którego szukałaś, jest twoja druga koszula. Na chłopcu będzie wyglądać jak sukienka, dlatego odcinasz ze szpuli kawałek sznurka, którego malec będzie mógł używać jako paska – zarówno dla przyzwoitości, jak i dla ciepła. Jest to oczywiście rozwiązanie tymczasowe. Mędracy powiadają, że po rozpoczęciu Sezonu szybko robi się zimno. Będziesz musiała sprawdzić, czy w kolejnym mijanym mieście uda ci się kupić jakieś ubrania i dodatkowe zapasy – będzie to możliwe tylko pod warunkiem, że nie wprowadzono jeszcze Prawa Sezonowego.

Chłopiec wychodzi z wody, a ty się na niego gapisz.

No tak. Jest różnica.

Bez błota jego włosy są grube i układają się w strąki, które tak bardzo ceni się w Sanze – wysychając, zaczynają już sztywnieć i pęcznieć. Dzięki temu, że urosły tak długie, chłopcu będzie przynajmniej ciepło w plecy. Są jednak białe, a nie szare. Jego skóra również; nawet mieszkańcy Antarktydy nie są tak bezbarwni. Ponad lodowobiałymi oczami znajdują się białe brwi. Biel, biel, biel. Wśród opadającego popiołu Hoa jest prawie niewidoczny.

Albinos? Być może. Jest też coś z jego twarzą. Zastanawiasz się, o co chodzi, i nagle rozumiesz: oprócz włosów w tym chłopcu nie ma nic sanzeńskiego. Jego wydatne kości policzkowe, kwadratowa szczęka i lekko skośne oczy wydają ci się zupełnie obce. Jego pełne usta są tak małe, że chyba musi mieć problemy z jedzeniem – to oczywiście nieprawda, bo w przeciwnym razie do tej pory umarłby już z głodu. Do tego dochodzi jego niewielki wzrost. Chłopiec jest nie tylko niski, ale i krępy, jakby ludzie z jego okolic przystosowani byli do wykonywania czynności innych niż te, które przez wieki kulturowano w Starym Sanze. Być może wszyscy oni – kimkolwiek są – również są biali.

To wszystko jednak nie trzyma się kupy. W dzisiejszych czasach każda rasa w pewnym stopniu jest już sanzeńska. Sanzeńczycy panowali na Bezruchu przez stulecia i pod wieloma względami nadal to robią. Nie zawsze odbywało się to w pokojowy sposób, dlatego nawet w przedstawicielach najbardziej

odizolowanych i wyspiarskich ras płynie ich krew – czy ich przodkowie chcieli do tego dopuścić, czy nie. Wszystkich ludzi ocenia się pod względem ich różnic względem sanzeńskiego wzorca. Krajanie tego chłopca, kimkolwiek są, zdołali jednak zachować odrębność.

– Na podziemny ogień! Czym ty jesteś? – pytasz, zanim dociera do ciebie, że możesz go w ten sposób zranić. Kilka dni koszmaru i zapominasz, jak należy postępować z dziećmi.

Chłopiec wygląda jednak tylko na zaskoczonego – a potem się uśmiecha.

– Podziemny ogień? Jesteś dziwna. Dobrze się umyłem?

Jesteś tak bardzo zaskoczona faktem, że to on ciebie nazwał dziwną, że dopiero po jakimś czasie uświadomisz sobie, że uniknął w ten sposób odpowiedzi.

Kręcisz głową i wyciągasz rękę po mydło, a on ci je oddaje:

– A, tak. Proszę.

Unosisz koszulę, żeby wsunąć w nią głowę i ramiona. Robi to trochę niezdarnie, jakby nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś go ubiera. Ale to i tak łatwiejsze niż ubieranie Uchego; ten chłopiec przynajmniej się nie wierci...

Przestajesz.

Na chwilę odpływasz.

Kiedy wracasz do siebie, niebo jest jaśniejsze, a Hoa leży wyciągnięty w niskiej trawie. Minęła godzina. Może więcej.

Oblizujesz wargi i niechętnie skupiasz uwagę na chłopcu, spodziewając się, że powie coś o twojej... nieobecności. Ale on tylko podnosi głowę, wstaje i czeka.

W porządku. Może jednak jakoś się dogadacie.

Wracacie na drogę. Pomimo braku butów chłopiec idzie szybko; uważnie obserwujesz go, wypatrując oznak bólu lub zmęczenia, i zatrzymujesz się częściej, niż musisz. Hoa wydaje się wdzięczny za możliwość odpoczynku, ale ogólnie radzi sobie dobrze. To prawdziwy mały piechur.

– Nie możesz ze mną zostać – mówisz mu podczas jednego z postojów. Najlepiej nie rozbudzać w nim zbyt dużych nadziei. – Spróbuję znaleźć ci jakąś wspólnotę. Po drodze odwiedzimy kilka, jeśli wpuszczą nas jako kupców. Ja jednak będę musiała iść dalej. Szukam kogoś.

– Twojej córki – odpowiada, a ty nagle sztywniejesz. Mija chwila. Chłopiec ignoruje twoje zdziwienie, mrużąc coś do siebie i głaszcząc owinięty szmatami pakunek, jakby to było zwierzątko.

– Skąd wiesz? – szepczesz.

– Jest bardzo silna. Oczywiście nie jestem pewien, czy to ona. – Chłopiec zerka na ciebie i uśmiecha się, nie zwracając uwagi na twoje spojrzenie. – Wielu z was podąża w tamtą stronę. To zawsze utrudnienie.

Jest prawdopodobnie bardzo wiele rzeczy, o których powinnaś teraz myśleć. Ale ty zbierasz w sobie siłę, żeby wypowiedzieć na głos tylko jedną z nich:

– Wiesz, gdzie jest moja córka.

Chłopiec znowu coś mruży. Jesteś pewna, że wie, jak wariacko to wszystko brzmi. Jesteś pewna, że gdzieś pod tą niewinną maską się śmieje.

– Skąd?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu wiem.

– Ale skąd?

Nie jest górotworem. Poznałabyś jednego ze swoich. A nawet gdyby nim był, to górotwory nie potrafią tropić się nawzajem i wyczuwać z oddali jak psy. Tylko Stróże umieją robić takie rzeczy i wyłącznie jeśli rogga jest na tyle bezmyślny lub głupi, żeby im na to pozwolić.

Hoa podnosi wzrok, a ty próbujesz się nie wzdrygnąć.

– Po prostu wiem, dobra? Umiem to robić – odwraca wzrok. – Zawsze umiałem.

Zastanawiasz się... bo przecież... Nassun.

Jesteś gotowa na wszelkie dziwactwa, byle tylko móc ją odnaleźć.

– W porządku – mówisz. Powoli, bo to jest szaleństwo. Ty jesteś szalona, ale w tym momencie wiesz już, że chłopiec prawdopodobnie też, a to oznacza, że musisz być ostrożna. Jeśli jednak istnieje choć cień szansy na to, że on nie jest szalony albo że jego szaleństwo polega właśnie na tym, o czym mówi...

– Jak... daleko stąd?

– Wiele dni drogi. Porusza się szybciej niż ty.

To dlatego, że Jija wziął konia i wóz.

– Nassun nadal żyje.

Po tych słowach musisz na chwilę zamilknąć. Zbyt wiele uczuć i zbyt wiele myśli. Rask powiedział ci, że Jija wyjechał z Tirimo razem z nią, ale nie pozwalałaś sobie na nadzieję, że Nassun nadal mogłaby żyć. Choć jakaś część ciebie wciąż nie chce wierzyć, że Jija mógłby zabić własną córkę, to pozostała część nie tylko w to wierzy, ale również w pewnym stopniu się tego spodziewa. To stary nawyk: przygotowywanie się na nadchodzący ból.

Chłopiec kiwa głową, nie spuszczając z ciebie wzroku; jego drobna twarz jest teraz dziwnie poważna. Poniewczasie zdajesz sobie sprawę, że w tym dziecku nie ma właściwie nic dziecinnego.

Jeśli jednak potrafi odnaleźć twoją córkę, to dla ciebie może sobie być nawet wcieleniem Złej Ziemi.

Grzebiesz w worku i znajdujesz manierkę, tę z wodą pitną; drugą napełniłaś wodą ze strumienia, ale najpierw trzeba będzie ją zagotować. Bierzesz łyk i podajesz naczynie chłopcu. Kiedy kończy pić, wręczasz mu garść rodzynek. Hoa kręci głową i ci je oddaje.

– Nie jestem głodny.

– Nic nie jadłeś.

– Nie jem dużo.

Podnosi z ziemi swoje zawiniątko. Może ma tam jakieś zapasy. To nieważne. W każdym razie ciebie to nie obchodzi. Nie jest twoim dzieckiem. Wie tylko, gdzie znajduje się twoje dziecko.

Ruszacie na wschód i tym razem to chłopiec prowadzi.

Słuchajcie, słuchajcie uważnie.

Przed nadejściem Sezonów życie i Ojciec Ziemia istniały w harmonii. (Życie też miało ojca. Stało mu się coś strasznego). Ojciec Ziemia wiedział, że potrzebuje inteligentnego życia, dlatego użył Sezonów, aby odsiać ludzi od zwierząt: chciał mieć zręczne ręce do wytwarzania różnych rzeczy, bystre umysły do rozwiązywania problemów, giętkie języki do wspólnej pracy i wyostrzone sejsody do ostrzegania przed niebezpieczeństwem. Ludzie stali się tym, czym chciał Ojciec Ziemia, a nawet czymś więcej. A potem zwróciliśmy się przeciwko niemu, a on od tamtej pory płonie nienawiścią.

Pamiętajcie, pamiętajcie, co mówię.

Opowieść mędrców, Utworzenie Trzech Ludzi, część pierwsza

SJENIT W DRODZE

W końcu Sjenit musi zapytać swojego nowego mentora o imię. Mężczyzna odpowiada, że brzmi ono Alabaster, a ona przypuszcza, że ktoś nadał mu je dla żartu. Dziewczyna musi używać tego imienia całkiem często, bo dziesięciopierściennik bez przerwy zasypia w siodle, przez co to na nią spada obowiązek kontrolowania drogi i wypatrywania potencjalnych niebezpieczeństw, jak również zapewniania sobie rozrywek. Kiedy tylko wypowiada jego imię, Alabaster natychmiast się budzi, co z początku każe jej przypuszczać, że tylko udaje sen, żeby nie musieć z nią rozmawiać. Kiedy mu to mówi, mężczyzna wydaje się rozzłoszczony.

– Oczywiście, że śpię. Jeśli chcesz, żebym dziś w nocy do czegoś się nadawał, powinnaś mi na to pozwolić.

Sjenit wkurza się na te słowa, bo to nie on będzie musiał rodzić dziecko dla imperium i dla Ziemi. Poza tym ich krótki i nudny seks nie wymaga od niego żadnego wielkiego wysiłku.

Mniej więcej po tygodniu Sjenit uświadamia sobie jednak, co jej mentor robi całymi dniami, a nawet w nocy, kiedy oboje leżą zmęczeni i spoceni we wspólnym śpiworze. Uważa, że takie przeoczenie jest usprawiedliwione, ponieważ Alabaster robi to, co robi, bez przerwy – jest jak cichy szmer w pokoju pełnym rozmawiających ludzi. Jej mentor tłumy wstrząsy w okolicy. Nie tylko te, które wyczuwają ludzie, ale wszystkie. Wszystkie drgnięcia ziemi, spośród których część mogłaby nabrać mocy, a część jest zupełnie nieistotna; w każdym miejscu, które mijają Sjenit i Alabaster, te ruchy ustają. W Yumenes sejsmiczny bezruch nie jest niczym wyjątkowym, ale tutaj, w głębi kraju, gdzie sieć węzłowa jest rzadka, nie powinien się pojawiać.

Kiedy Sjenit zaczyna to rozumieć, czuje się... zdezorientowana. Tłumienie mikrowstrząsów jest bezcelowe, a w przyszłości, kiedy pojawi się silniejszy wstrząs, może przynieść nawet negatywne skutki. Tłumaczono jej to, kiedy była jeszcze żwirem i uczyła się geometrii i sejsmologii: ziemia nie lubi być ograniczana. Celem górotworów nie jest tłumienie energii, ale przemieszczanie jej w inne miejsca.

Sjenit zastanawia się nad tym przez tych kilka dni, kiedy podążają drogą prowadzącą z Yumenes do Allia, pod obracającym się obeliskiem, który w bardziej pogodne dni lśni niczym olbrzymi turmalin. To najszybsza droga pomiędzy tymi dwiema stolicami kwardonów, zbudowana sposobami, jakich mieli odwagę używać jedynie mieszkańcy Starego Sanze: biegnie długimi kamiennymi mostami i ponad głębokimi kanionami, a czasami również przez środek gór, które okazały się zbyt wysokie, by się na nie wspinać. Dzięki temu podróż na wybrzeże zajmie zaledwie kilka tygodni, podczas gdy niską drogą trwałaby dwa razy tyle.

Ale na zardzewiałą, cuchnącą Ziemię: główne drogi są takie nudne. Większość ludzi uważa je za śmiertelne pułapki, choć zazwyczaj jest na nich bezpieczniej niż na zwykłych szlakach; wszystkie Cesarskie Trakty zostały zbudowane przez grupy najlepszych geodziarzy i górotworów, a ich trasy opracowano w taki sposób, aby przebiegały wyłącznie przez stabilne miejsca. Niektóre z nich przetrwały kilka Sezonów. Bywa więc tak, że przez kilka dni Sjenit i Alabaster spotykają jedynie kupców, gońców pocztowych i patroli lokalnych kwardonów – wszyscy oni zwracają uwagę na czarne mundury Fulcrum, ale nie odzywają się do pary wędrowców. W pobliżu drogi znajduje się kilka wspólnot, jednak nie ma tu prawie żadnych sklepów, w których można byłoby kupić zapasy, choć wzdłuż drogi ustawiono specjalne platformy i przybudówki, w których można spędzić noc. Każdego wieczoru Sjen zgniata przy ognisku

robaki, nie mając do roboty nic innego poza gapieniem się na Alabastra. I uprawiania z nim seksu, ale to zajmuje najwyżej kilka minut.

To jednak jest ciekawe.

– Po co to robisz? – pyta wreszcie, trzy dni po tym, jak po raz pierwszy zauważyła, że Alabaster tłumi mikrowstrząsy.

Właśnie znowu to zrobił, kiedy czekali na kolację złożoną z podgrzanego chleba konserwowego z kawałkami wołowiny i suszonymi śliwkami – mniem. Ziewał przy tym, choć oczywiście musiało to wymagać od niego pewnego wysiłku. Górotwórstwo zawsze ma swoją cenę.

– Co takiego? – pyta, zduszając podpowierzchniowy wstrząs następczy i z pozornym znużeniem szturchając patykiem ogień. Sjenit ma ochotę go uderzyć.

– To!

Mężczyzna podnosi brwi.

– Ach. Wyczuwasz to.

– Oczywiście, że to wyczuwam! Robisz to przez cały czas!

– Do tej pory nic nie mówiłaś.

– Bo próbowałam zrozumieć, co robisz!

Wygląda na zakłopotanego.

– To może trzeba było zapytać.

Zaraz go zabije. Najwyraźniej jej emocje da się wyczuć w tej ciszy, bo mężczyzna krzywi się i w końcu wyjaśnia:

– Daję wytchnienie opiekunom węzłów. Każdy wstrząs, który tłumię, zdejmuję część ciężaru z ich barków.

Sjen oczywiście wie, kim są opiekunowie węzłów. Tak jak Cesarskie Trakty łączą byłych wasalów dawnego imperium z Yumenes, tak węzły łączą odległe kwardony z Fulcrum, możliwie najdalej rozciągając zakres jego ochrony. Placówki znajdują się we wszystkich zakątkach kontynentu, które seniorzy uznali za najodpowiedniejsze do manipulacji pobliskimi liniami uskoku lub punktami zapalnymi. W każdej takiej placówce znajduje się wyszkolony w Fulcrum górotwór, którego jedynym zadaniem jest utrzymywanie spokoju w okolicy. Na Równikadzie strefy węzłów się pokrywają, dlatego ziemia nawet tam nie drgnie; właśnie to oraz fakt, że Fulcrum znajduje się w centrum Yumenes, pozwala budować w tym mieście w taki, a nie inny sposób. Poza Równikadą strefy są bardziej rozprzestrzenione w celu zapewnienia ochrony większej liczbie mieszkańców, co jednak powoduje, że w sieci znajdują się luki. Nie ma sensu – przynajmniej tak twierdzą seniorzy z Fulcrum – umieszczać węzłów w pobliżu każdej małej wspólnoty rolniczej czy górniczej w głębi lądu. Ludzie w takich miejscach troszczą się o siebie najlepiej, jak mogą.

Sjen nie zna żadnego z tych durnych biedaków, których przypisano do owego nudnego zadania, ale bardzo, bardzo się cieszy, że nikt nie zaproponował go jej. Pracę tę przydziela się górotworom, które nigdy nie dojdą do poziomu czwartego pierścienia – tym, które posiadają dużo surowej mocy i niewiele nad nią kontroli. Przynajmniej mogą ratować ludziom życie, nawet jeśli oznacza to, że własne muszą spędzać w samotności i zapomnieniu.

– Może powinieneś zostawić mikrowstrząsy opiekunom węzłów – sugeruje Sjenit. Jedzenie jest już wystarczająco ciepłe; zdejmuje je z ognia patykiem. Czuje, że cieknie jej ślinka. To był długi dzień. – Ziemia wie, że prawdopodobnie potrzebują czegoś, dzięki czemu nie zdechną z nudów.

Jest tak zaabsorbowana jedzeniem, że na jego milczenie zwraca uwagę dopiero wtedy, kiedy podaje mu porcję. Marszczy brwi, bo na jego twarzy znowu dostrzega ten specyficzny wyraz. Tę nienawiść. Tym razem przynajmniej drobna jej część jest wymierzona w jej stronę.

– Rozumiem, że nigdy nie byłeś w węźle.

Na zardzewiałą ziemię, o co mu chodzi?

– Nie. Po co miałabym odwiedzać węzeł?

– Po prostu powinnaś. Każdy rogga powinien.

Na słowo „rogga” Sjen nieznacznie się wzdryga. W Fulcrum używanie go jest przewinieniem, dlatego nie słyszy go zbyt często – tylko od mijających ją czasem ludzi albo żwirów zgrywających twardzieli, kiedy w pobliżu nie ma instruktorów. To brzydkie, przykre i obraźliwe słowo, a jego dźwięk jest jak uderzenie w ucho otwartą dłonią. Alabaster używa go jednak w taki sposób, w jaki inni używają słowa „górotwór”.

Kontynuuje tym samym chłodnym tonem:

– Poza tym jeśli potrafisz wyczuć, co robię, to znaczy, że ty również możesz to robić.

To ją zaskakuje, lecz jeszcze bardziej złości.

– Dlaczego, na podziemny ogień, miałabym tłumić mikrowstrząsy? Żeby być tak...

W tym momencie powstrzymuje się, ponieważ zamierzała powiedzieć: „Tak samo zmęczona i bezużyteczna jak ty?”, a to byłoby po prostu grubiańskie. Z drugiej strony przecież on rzeczywiście jest zmęczony i bezużyteczny, prawdopodobnie właśnie dlatego, że to robi.

Skoro jest to dla niego na tyle ważne, że tak się poświęca, to być może nie powinna tak od razu odmawiać. W końcu górotwory muszą troszczyć się o siebie nawzajem. Wzdycha.

– No dobrze. Chyba mogę pomóc jakiemuś biednemu durniowi, który utknął na zadupiu, gdzie nie ma do roboty nic poza utrzymywaniem ziemi w bezruchu.

Przynajmniej zabije w ten sposób trochę czasu.

Alabaster rozluźnia się, tylko odrobinę, a ona z zaskoczeniem dostrzega na jego twarzy uśmiech. To rzadki widok. Ale nie, mięśnie wokół jego ust nadal drgają i drgają. Nadal jest na coś zły.

– Najbliższy węzeł znajduje się jakieś dwa dni jazdy od kolejnego zjazdu z drogi.

Sjen czeka, aż Alabaster dokończy, ale on zabiera się do jedzenia i wydaje pełne zadowolenia odgłosy, wynikające raczej z tego, że jest głodny, niż z faktu, że potrawa jest szczególnie smaczna. Sjen też jest głodna, dlatego przyłącza się do niego – a potem marszczy czoło.

– Czekaj. Ty zamierzasz tam iść?

– Tak, idziemy tam. My. – Alabaster spogląda na nią z błyskiem w oku, a ona nagle nienawidzi go bardziej niż kiedykolwiek.

Jej reakcja jest całkowicie nieracjonalna. Alabaster przewyższa ją o sześć pierścieni i prawdopodobnie przewyższałby ją jeszcze bardziej, gdyby można było zdobyć ich więcej niż dziesięć; słyszała pogłoski na temat jego umiejętności. Gdyby przyszło im ze sobą walczyć, w sekundę zamroziłby ją i wywrócił jej torus na lewą stronę. Już choćby z tego powodu powinna być dla niego miła, a ze względu na jej plany awansu w Fulcrum i potencjalne przysługi, jakie mógłby jej wyświadczyć, powinna nawet spróbować go polubić.

Tylko że próbowała już być dla niego miła i serdeczna i to się nie sprawdziło. Alabaster udaje, że nie rozumie jej pochlebstw, albo obraża ją, żeby przestała mu je prawić. Okazywała mu szacunek, którego seniorzy z Fulcrum oczekują zazwyczaj od juniorów, ale jego tylko to wkurzało. Denerwuje ją to – a co najdziwniejsze, jemu taki stan rzeczy wydaje się odpowiadać najbardziej.

Dlatego też, choć w stosunku do innego seniora nigdy nie odważyłaby się tego zrobić, prycha:

– Tak jest!

I pozwala, aby reszta wieczoru upłynęła w drażniącej, przesyconej niechęcią ciszy.

Idą spać, a ona sięga po niego, jak zwykle, on jednak odwraca się do niej plecami.

– Zrobimy to rano. Jeśli musimy. Czy nie powinnaś już mieć menstruacji?

Sjenit czuje się jak największy prostak na świecie. Nie chodzi nawet o to, że mężczyzna nienawidzi tego seksu tak samo jak ona. To okropne, bo on czekał na przerwę, a ona nie liczyła. Robi to teraz, orientacyjnie, ponieważ nie pamięta, kiedy dokładnie zaczęła się jej ostatnia miesiączka i... tak, on ma rację. Okres jej się spóźnia.

Na wpuł śpiący Alabaster reaguje na jej milczenie westchnieniem.

– To jeszcze nic nie znaczy. Podróżowanie wyczerpuje organizm. – Ziewa, a potem dodaje: – W takim razie rano.

Rano kopulują. Nie ma lepszego słowa, którym mogłaby opisać ten akt – wulgaryzmy nie pasują, bo jest zbyt nudny, a ukrywające intymność eufemizmy są zbędne, bo nie ma w nim nic intymnego. Seks jest powierzchowny i przypomina ćwiczenia rozciągające, które nauczyła się wykonywać przed całodniową jazdą konną. Tym razem jest nieco bardziej energicznie, bo Alabaster wcześniej wypoczął: ona prawie czerpie z tego przyjemność, a on podczas orgazmu nawet wydaje z siebie dźwięk. Ale to wszystko. Potem on leży, a ona szybko myje się w miednicy przy ogniu. Jest już do tego tak przyzwyczajona, że prawie podskakuje na dźwięk jego głosu:

– Dlaczego mnie nienawidzisz?

Sjenit nieruchomieje i przez chwilę rozważa kłamstwo. Gdyby byli w Fulcrum, skłamałaby. Gdyby to był inny senior, obsesyjnie przyzwoity i wyznający zasadę, że górotwory z Fulcrum przez cały czas powinny zachowywać się odpowiednio, skłamałaby. On jednak wyraźnie zaznaczył, że woli szczerość, nawet brutalną. Sjenit wzdycha.

– Bez powodu.

Alabaster obraca się na plecy i patrzy w niebo. Sjen sądzi, że to koniec rozmowy, lecz wtedy on odzywa się znowu:

– Myślę, że mnie nienawidzisz, bo... jestem kimś, kogo możesz nienawidzić. Jestem tutaj, pod ręką. Ale tak naprawdę nienawidzisz świata.

Słyszając to, Sjen rzuca ścierkę do miski z wodą i spogląda na niego.

– Świat nie opowiada takich idiotyzmów.

– Nie interesuje mnie mentorowanie pochlebcom. Chcę, żebyś przy mnie była sobą. A kiedy jesteś sobą, nie potrafisz wypowiedzieć do mnie uprzejmego słowa, niezależnie od tego, jak bardzo uprzejmy ja jestem w stosunku do ciebie.

Słyszając to, Sjen czuje się trochę winna.

– W takim razie co masz na myśli, mówiąc, że nienawidzę świata?

– Nienawidzisz tego, jak żyjemy. Tego, że świat zmusza nas do życia w taki sposób. Albo jesteśmy własnością Fulcrum, albo musimy się ukrywać, bo poluje się na nas jak na zwierzęta. Ewentualnie stajemy się potworami i próbujemy zabić wszystko wokół nas. Nawet jako członkowie Fulcrum musimy ciągle myśleć o tym, jak oni chcieliby, żebyśmy się zachowywali. Nie wolno nam tak po prostu... być. – Wzdycha i zamyka oczy. – Powinien być jakiś lepszy sposób.

– Ale go nie ma.

– Musi myć. Sanze na pewno nie jest pierwszym imperium, które zdołało przetrwać kilka Sezonów. Widzimy, że można było żyć inaczej i że ludzie kiedyś też byli potężni. – Pokazuje otaczający ich krajobraz. Znajdują się w pobliżu Wielkiego Lasu Wschodniego i wszędzie dookoła ciągnie się pofalowany dywan drzew. Z wyjątkiem...

...z wyjątkiem jednego miejsca tuż przy horyzoncie, gdzie z zieleni wystaje coś, co wygląda jak metalowa ręka szkieletu. Kolejne ruiny, najwyraźniej olbrzymie, skoro widać je aż stąd.

– Przekazujemy sobie mądrości kamieni, ale nie próbujemy przypomnieć sobie tego, czego już próbowano, i co okazało się skuteczne – stwierdza Alabaster.

– Bo te rzeczy nie okazały się skuteczne. Ci ludzie umarli. A my wciąż żyjemy. To nasze metody są właściwe, nie ich.

Mężczyzna rzuca jej spojrzenie, które Sjen odczytuje jako: „Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo jesteś głupia”, choć on prawdopodobnie nie powiedziałby tego w taki sposób. Ma rację: Sjen go po prostu nie lubi.

– Rozumiem, że swoje jedyne wykształcenie odebrałaś w Fulcrum, ale postaraj się myśleć, dobrze? Przetrawianie nie oznacza słuszności. Mógłbym cię w tej chwili zabić, ale nie uczyniłoby mnie to kimś lepszym.

Może nie, ale dla niej nie ma to znaczenia. Poza tym nie podoba jej się swoboda, z jaką wytknął jej słabość, mimo że ma całkowitą rację.

– W porządku. – Sjen wstaje i zaczyna się pospiesznie ubierać. – W takim razie powiedz mi, jaki jest ten inny sposób.

Przez chwilę Alabaster nic nie mówi. W końcu Sjen odwraca się do niego i widzi na jego twarzy niepewność.

– No cóż... Moglibyśmy pozwolić górotworom objąć władzę.

Sjen prawie wybucha śmiechem.

– Jakies dziesięć minut później wszyscy Stróże z Bezruchu pojawiliby się na miejscu, żeby nas zlinczować, a połowa mieszkańców kontynentu patrzyłaby na to, wiwatując.

– Zabijają nas, bo mądrość kamieni na każdym kroku mówi im, że urodziliśmy się źli; że jesteśmy swego rodzaju wysłannikami Matki Ziemi i potworami, które nie zasługują, by nazywać ich ludźmi.

– Tak, ale nie możesz zmienić mądrości kamieni.

– Mądrości kamieni zmieniają się cały czas, Sjenit. – Zyskuje jej uwagę, bo nieczęsto zwraca się do niej po imieniu. – Każda cywilizacja coś do nich dodaje, a fragmenty, które nie pasują do danych czasów, zwyczajnie się zapomina. Tablica Druga nie bez powodu została tak zniszczona: ktoś kiedyś uznał, że jest nieważna albo błędna, i o nią nie dbał. A może nawet celowo próbowano ją uszkodzić i dlatego tak wiele wczesnych kopii zostało zniszczonych w ten sam sposób. W jednym z wymarłych miast na Płaskowyżu Tapita archeomeci znaleźli kilka starych tablic i okazało się, że dawni mieszkańcy tamtych okolic również spisali swoje mądrości kamieni, prawdopodobnie dla przyszłych pokoleń. Jednak to, co znajdowało się na Tablicach, bardzo mocno różniło się od tego, czego my uczymy się w szkołach. Z tego, co wiemy, zakaz zmieniania mądrości kamieni został wprowadzony niedawno.

Sjen o tym nie wiedziała. Słuchając, marszczy brwi. Nie chce mu wierzyć, a może po prostu znowu kieruje nią niechęć. Ale przecież... mądrości kamieni są stare jak świat. To one pozwoliły ludzkości przetrwać kolejne Sezony w chłodzie i mroku. Mędrzy opowiadają historie o tym, co dzieje się, kiedy ludzie – politycy, filozofowie, ciekawscy o dobrych intencjach czy ktokolwiek inny – próbują zmienić mądrość kamieni. Nieuchronnie czeka ich wtedy katastrofa.

Sjen w to nie wierzy.

– Skąd wiesz o tych Tablicach z Tapita?

– Przez dwadzieścia lat wykonywałem misje poza Fulcrum. Mam przyjaciół w tamtych stronach.

Przyjaciół, którzy rozmawiają z górotworem? O takich herezjach? Brzmi to absurdalnie. Choć z drugiej strony... no cóż.

– Dobrze, w takim razie jak zmienić mądrość kamieni, żeby...

Nie zwraca uwagi na otaczające ich pokłady ziemi, ponieważ sprzeczka pochłonęła ją bardziej, niż gotowa byłaby przyznać. Najwyraźniej jednak Alabaster nadal tłumi wstrząsy, nawet kiedy rozmawiają. Poza tym jest dziesięciopięściennikiem, dlatego nie powinno dziwić, że nagle bierze głęboki wdech i gwałtownie zrywa się na nogi, spoglądając na zachód. Sjenit zerka w tym samym kierunku. Las po

tamtej stronie drogi jest niejednorodny z powodu licznych wycinek, biegną przezeń dwie naziemne drogi. W oddali widać jeszcze jeden zrujnowany relikwiarz wymarłej cywilizacji: kopułę, która przypomina bardziej stertę kamieni niż jakiś budynek; w morzu zieleni Sjenit dostrzega również trzy czy cztery niewielkie, otoczone murami wspólnoty. Nie wie jednak, na co zareagował tak Alabaster...

...ale nagle to sejszy. Na Złą Ziemię, to jest potężne! Ósemka albo dziewiątka. Nie, silniejsze. Około trzystu kilometrów stąd, pod peryferiami niewielkiego miasteczka Mehi, znajduje się punkt zapalny... ale to nie może być to. Mehi leży na skraju Równiady, co oznacza, że jest dobrze chronione siecią węzłów. Dlaczego więc...

Nie, nieważne dlaczego. Nie w chwili, kiedy Sjen widzi, jak wstrząs wprawia w drżenie całą okolicę. Coś poszło nie tak, sieć zawiodła i punkt zapalny pod Mehi przekazuje drgania na powierzchnię. Wstrząsy początkowe nawet tutaj są tak silne, że dziewczyna czuje w ustach gorzki posmak starego metalu i zaczynają ją swędzić koniuszki palców. Nawet najbardziej odporni nieruchomi muszą wyczuwać ten jednostajny napór fal uderzeniowych, od którego drżą talerze, ludzie chwytają się za głowy, a dzieci wybuchają płaczem. Jeśli nic nie powstrzyma wstrząsu, nieruchomi poczują znacznie więcej, kiedy wulkan wybuchnie im pod stopami.

– Co... – Sjenit odwraca się i zastyga w bezruchu, bo Alabaster klęczy, oparty rękoma o ziemię, i warczy.

Chwilę później czuje falę surowego górotwórstwa, która spływa po filarach utrzymujących drogę i wnika w luźne łupki w ziemi dookoła nich. To nie wstrząs, lecz siła woli Alabastra i napędzana nią moc, a Sjen nie może się powstrzymać i obserwuje, jak ta siła mknie – szybciej, niż ona kiedykolwiek mogłaby się poruszać – w stronę odległej, tętniącej kipieli.

Zanim Sjen zdąży się zorientować, co się dzieje, Alabaster chwytą ją w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Czuje własną więź z ziemią, czuje, że jej własną świadomością nagle zaczyna kierować ktoś inny, i ani trochę jej się nie to podoba. Kiedy jednak próbuje odzyskać kontrolę nad swoją mocą, odczuwa palący ból, a w rzeczywistym świecie skamle i upada na kolana, nie mając pojęcia, co jej jest. Jakimś sposobem Alabaster połączył ją ze sobą, wykorzystując jej moc do spotęgowania własnej, a ona nic nie może z tym zrobić.

Chwilę później są już jednością i wspólnie nurkują w ziemi, spiralnymi ruchami przebijając się przez potężną, kipiącą studnię śmierci, którą tak naprawdę jest punkt zapalny. Ta studnia jest olbrzymia: większa niż góra i szeroka na całe kilometry. Alabaster wykonuje jakiś ruch i strzela czymś w dal, a Sjenit krzyczy w nagłej agonii, która niemal natychmiast ustaje. Przekierowana. Mężczyzna robi to ponownie i tym razem dziewczyna rozumie, co się dzieje: on osłania ją przed ogniem, ciśnieniem i furią punktu zapalnego. Jego to nie dotyka, ponieważ sam stał się ogniem, ciśnieniem i furią, zestrzajając się z wstrząsem tak samo, jak ona zestrzajała się z niewielkimi komorami w stabilnych regionach – w porównaniu z tą szalejącą pożogą były to jednak zaledwie iskry. Z tym, czego doświadcza teraz, nie może się równać absolutnie nic. Alabaster wykorzystuje jej energię, ale też upuszcza z niej moc, której nie byłaby w stanie przetworzyć, i przekazuje ją gdzie indziej, zanim zaleje ona jej świadomość i... i... Sjenit właściwie nie wie, co wtedy mogłoby się stać. Fulcrum uczy górotwory, aby nie przekraczały swoich ograniczeń, nie mówi jednak, co dzieje się z tymi, którzy je przekraczają.

Zanim Sjenit zdąży to przemyśleć i zanim zdąży zebrać w sobie siłę, aby pomóc Alabastrowi – skoro nie może mu uciec, tak będzie najlepiej – ten robi coś innego. Następuje szybkie uderzenie. Coś gdzieś zostało przebite. W jednej chwili ciśnienie bąbla magmy zaczyna uchodzić ku górze. Mężczyzna ciągnie to w dół, ku drżącej nadal ziemi, a Sjen wie już, co robić, bo to tylko wstrząsy, a nie złość Matki Ziemi. Nagle coś się zmienia i teraz to ona może korzystać z jego siły. Jest jej tak dużo; och, Ziemi, to prawdziwy potwór. Wszystko staje się łatwe: wygładzanie powierzchni, zalepianie pęknięć

i wzmacnianie rozerwanych warstw, aby w miejscu osłabienia ziemi nie uformowała się nowa linia uskoku. Sjen sejszy bruzdy na powierzchni ziemi tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy wcześniej. Wygładza je i wzmacnia ich sąsiedztwo z chirurgiczną precyzją, której dotychczas nie była w stanie osiągnąć. A kiedy niebezpieczeństwo mija i punkt zapalny zamienia się z powrotem w to przyczajone, przerażające coś, Sjen wraca do siebie i dostrzega Alabastra, zwiniętego przed nią w kłębek, oraz otaczający ich lodowy wzór, który zaczyna parować.

Sjen jest na kolanach, drży. Próbuje się poruszyć i musi włożyć dużo wysiłku, aby nie runąć na twarz. Ramiona uginają jej się w łokciach. Udaje jej się jednak podpełznąć do Alabastra, który wygląda, jakby nie żył. Dotyka jego ramienia i pod materiałem munduru wyczuwa mięsień, który nie jest wiotki, ale twardy i napięty; to chyba dobry znak. Szturcha go lekko, przybliżyła się jeszcze i widzi, że mężczyzna ma szeroko otwarte oczy – nie dostrzega w nich jednak pustki śmierci, lecz zaskoczenie.

– Jest dokładnie tak, jak powiedziała Hessionite – szepcze, a ona aż podskakuje, bo nie sądziła, że jest przytomny.

Cudownie. Sjen znajduje się więc na drodze w samym środku pustkowia, na wpół martwa, po tym jak wykorzystano jej górotwórstwo wbrew jej woli, a do pomocy ma jedynie zardzewiałego, durnego i absurdalnie potężnego dupka, który to wszystko spowodował. Próbuje dojść jakoś do siebie po... po...

Właściwie nie ma pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło. To nie ma sensu. Wstrząsy sejsmiczne nie zdarzają się tak po prostu. Punkty zapalne, które przez całą wieczność pozostawały uspięne, nie wybuchają ot tak, znienacka. Coś musi uruchomić taką eksplozję: ruch płyt tektonicznych, erupcja wulkanu w jakimś innym miejscu, dziesięciopierściennik wpadający we wściekłość. A ponieważ wstrząs był tak silny, powinna była wysejszyć jego przyczynę. Powinno ostrzec ją coś więcej niż tylko nagłe zdziwienie Alabastra.

A co, do ciężkiej rdzy, zrobił Alabaster? Sjen nie potrafi tego pojąć. Górotwory nie mogą ze sobą współpracować. Dowiedziono tego: kiedy dwa górotwory próbują wpłynąć na to samo zjawisko sejsmiczne, zdoła to zrobić tylko jeden z nich: ten o większej kontroli i precyzji. Słabszy może się wypalić albo pozwolić, by silniejszy rozerwał jego torus i zamroził go razem z całym otoczeniem. To dlatego w Fulcrum dowodzą seniorzy – są nie tylko bardziej doświadczeni, ale też mogą zabić każdego, kto stanie im na drodze, choć oczywiście nie powinni tego robić. Dlatego też dziesięciopierściennicy mają prawo wyboru: nikt nie może zmusić ich do czegokolwiek. Oczywiście z wyjątkiem Stróżów.

To, co zrobił Alabaster, jest niewytłumaczalne.

Niech to wszystko rdza. Sjenit unosi się nieznacznie i obraca. Kiedy opiera ręce na podciągniętych do góry kolanach i na chwilę spuszcza głowę, świat wokół nieprzyjemnie wiruje. Nie wyruszyli dziś w trasę i już nie wyruszą. Sjen nie ma siły jechać, a Alabaster wygląda, jakby nie był nawet w stanie zsunąć się ze śpiwora. Nawet się nie ubrał; leży tylko z nagim tyłkiem, zwinięty w kulkę i zupełnie bezużyteczny.

To Sjenit musi więc w końcu wstać i pogrzebać w zapasach; znajduje dwa derminther mela, czyli niewielkie melony o twardej skórce, które dojrzewają pod ziemią podczas Sezonu – tak przynajmniej twierdzą geodziarze – i wrzuca je w pozostałości ogniska, zadowolona, że nie zdążyli go jeszcze ugasić. Skończyły im się rozpałka i opał, ale węgla powinno jeszcze wystarczyć na upieczenie meli, więc za kilka godzin będą mieli kolację. Daje koniom obroku, do płóciennego wiadra wlewa im trochę wody, spogląda na stertę odchodów i rozważa zepchnięcie ich na pobocze, żeby nie musieć ich wachać.

Następnie wpełza do śpiwora, który na szczęście nie zamókł od szronu. Opiera głowę o plecy Alabastra i odpływa. Nie śpi. Miniaturowe drżenia wywoływane przez stygnięcie punktu zapalnego atakują jej sejsody, nie pozwalając całkowicie się zrelaksować. Już samo leżenie wystarczy jednak, żeby częściowo odzyskała siły, jej umysł stopniowo się uspokaja, aż w końcu chłodne powietrze sprawia, że dziewczyna zupełnie wraca do siebie. Słońce zachodzi.

Sjen mruga, stwierdzając, że przytula się do Alabastra. On nadal leży zwinięty, ale oczy ma teraz zamknięte, a ciało zrelaksowane. Kiedy Sjen siada, on porusza się nieznacznie i w końcu też się podnosi.

– Musimy pojechać do stacji węzła – bełkocze zardzewiałym głosem, co wcale jej nie dziwi.

– Nie – odpowiada, zbyt zmęczona, żeby się złościć, i ostatecznie rezygnuje z prób bycia miłą. – Nie zamierzam zjeżdżać konno z głównej drogi w ciemnościach, kiedy jestem taka wykończona. Skończył nam się torf i kończy się wszystko inne; musimy się udać do jakiejś wspólnoty i dokupić zapasów. A jeśli spróbujesz mi rozkazywać i będziesz nalegał, żebym udała się do węzła na jakimś ostatnim zadupiu, to będziesz musiał mnie ukarać za nieposłuszeństwo.

Nigdy wcześniej nie zignorowała żadnego rozkazu i nie do końca wie, jakie mogą być tego konsekwencje. Jest jednak zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

Alabaster jęczy i przyciska dłonie do czoła, jakby chciał wypchnąć stamtąd ból, a może wcisnąć go głębiej. Następnie przeklina w języku, którego używał już wcześniej. Sjen nadal go nie rozpoznaje, ale jest coraz bardziej przekonana, że to jeden z dialektów z Wybrzeża – co jest dziwne, bo mężczyzna twierdzi, że urodził się i wychował w Fulcrum. Z drugiej strony ktoś musiał przecież się nim opiekować przez pierwsze kilka lat, zanim dorósł na tyle, by można było go podrzucić do schroniska dla żwirów. Słyszała, że wiele ras ze Wschodniego Wybrzeża ma podobny kolor skóry jak on, więc może usłyszy ten język, kiedy dotrą do Allia.

– Jeśli tak, to pojedę sam – odpowiada krótko, przechodząc na sanzeński. Następnie wstaje, rozgląda się za swoim ubraniem i zakłada je na siebie, jakby mówił poważnie. Sjenit widzi, że trzęsie się i ledwie utrzymuje równowagę. Jeśli wsiądzie w takim stanie na konia, zaraz z niego spadnie.

– Hej – mówi, podczas gdy on kontynuuje swoje gorączkowe przygotowania, jakby jej nie słyszał. – Hej!

Alabaster wzdryga się i spogląda na nią, a ona uświadamia sobie, że naprawdę jej nie słyszał. Przez cały czas słuchał ziemi, własnego szaleństwa, a może czegoś jeszcze innego.

– Zabijesz się.

– Nieważne.

– To jest... – Wstaje, podchodzi do niego i chwyta go za ramię w tej samej chwili, kiedy on sięga do siodła. – To jest głupie, nie możesz...

– Nie waż się mówić mi, że czegoś nie mogę. – Kiedy się pochyła, żeby wysyczyć jej te słowa w twarz, jego ręka staje się twarda jak stal. Sjen niemal odsuwa się od niego... ale z bliska widzi jego przekrwione oczy, rozszerzone źrenice i błysk szaleństwa gdzieś za nimi. Coś jest z nim nie w porządku. – Nie jesteś Strózką. Nie rozkazujesz mi.

– Postradałeś rozum? – Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, Sjen czuje się... niepewnie. Alabaster z łatwością użył jej górotwórstwa, a ona nie ma pojęcia, jak to zrobił. Jest tak chudy, że prawdopodobnie mogłaby bez większego wysiłku zbić go do nieprzytomności, ale po pierwszym ciosie on po prostu by ją zamroził.

Nie jest głupi. Sjen musi więc sprawić, żeby przejrzał na oczy.

– Pojadę z tobą – mówi zdecydowanym tonem, a on spogląda na nią z taką wdzięcznością, że jest jej wstyd za to, co przed chwilą o nim myślała. – O świcie, kiedy będziemy mogli zejść na naziemne drogi, nie łamiąc sobie karków ani koniom nóg. Dobrze?

Na jego twarzy maluje się udręka.

– To zbyt późno...

– Spaliśmy przez cały dzień. Kiedy wspominałeś o tym wcześniej, stwierdziłeś, że wyprawa zajmie nam dwa dni. Jak długo będziemy tam iść, jeśli stracimy konie?

To go powstrzymuje. Mężczyzna marszczy się, wzdycha i robi krok do tyłu, na szczęście omijając siodło. W świetle zachodzącego słońca wszystko wydaje się czerwone. W oddali, za plecami Alabastra, znajduje się formacja skalna w kształcie wysokiego cylindra i na pierwszy rzut oka Sjenit nie potrafi stwierdzić, czy to dzieło przyrody, czy człowieka: być może wzniosł je jakiś górotwór, a może to po prostu kolejna starożytna ruina, tylko zakamuflowana lepiej niż inne. Alabaster stoi na jej tle i patrzy w niebo, jakby zaraz miał zacząć wyć. Na zmianę zaciska i rozluźnia pięści.

– Węzeł – mówi w końcu.

– Tak? – Sjenit przeciąga to słowo, próbując ukryć zawartą w nim nutę o treści „pocieszam szaleńca”.

Alabaster waha się przez chwilę i bierze głęboki wdech. Potem jeszcze jeden, żeby się uspokoić.

– Wiesz, że wstrząsy nigdy nie biorą się z niczego. Ten, którego doświadczyliśmy przed chwilą, został wywołany przez węzeł.

– Skąd... – No tak, wie o tym, bo jest dziesięciopierściennikiem. Do Sjen dociera nagle, co tak naprawdę miał na myśli. – Czeka, chcesz powiedzieć, że wywołał to opiekun węzła?

– Dokładnie tak – obraca się do niej, znowu zaciskając pięści. – Czy rozumiesz już, dlaczego chcę tam jechać?

Sjenit kiwa głową w zamyśleniu. Tak, rozumie. Nie może się powstrzymać i spogląda w kierunku węzła. Nic stąd nie widzi, ale gdzieś tam górotwór z Fulcrum zabił wszystko w promieniu kilku kilometrów.

Jest jeszcze ważniejsze pytanie, które brzmi: dlaczego?

– W porządku – stwierdza nagle Alabaster. – Wyruszymy z samego rana i będziemy jechać najszybciej, jak się da. Spokojnym tempem podróż zajęłaby nam dwa dni, ale jeśli popędzimy konie... – Widząc, że Sjen otwiera usta, mówi coraz szybciej, niczym człowiek ogarnięty prawdziwą obsesją. – Jeśli je popędzimy, możemy dotrzeć na miejsce przed zmierzchem.

Prawdopodobnie nic więcej z nim nie wynegocjuje.

– Dobrze, w takim razie o świcie.

Drapie się po głowie. We włosach ma piasek; nie myła się od trzech dni. Jutro mieli mijać Wzgórza Adea, średniej wielkości wspólnotę, gdzie zamierzała przycisnąć go, żeby zatrzymali się w gospodzie... ale on ma rację. Trzeba pojechać do tego węzła.

– Będziemy musieli zatrzymać się przy najbliższym strumieniu albo zajeździe – dodaje. – Kończy nam się woda dla koni.

Słyszając o potrzebach ciała, Alabaster wydaje z siebie jęk frustracji. W końcu jednak odpowiada:

– Dobrze.

Następnie kuca przy węglach, wyjmując spomiędzy nich ostygły już melon, przepoławia go i zjada. Sjen wątpi, czy w ogóle czuje smak. Dla niego to tylko paliwo. Przyłącza się, żeby zjeść drugi melon, i reszta nocy upływa w ciszy, w spokoju.

Następnego dnia – a właściwie jeszcze tej samej nocy – siodłają konie i ruszają w kierunku serpentyny, którą zjadą z drogi. Kiedy docierają na dół, słońce świeci już na niebie, a Alabaster wysuwa się naprzód i popędza konia do pełnego galopu, lecz co jakiś czas zwalnia, żeby dać mu odpocząć. Sjen jest pod wrażeniem: spodziewała się, że w pogoni za swoją obsesją jej towarzysz zwyczajnie zamęczy zwierzęta. Przynajmniej nie jest głupi. Ani okrutny.

Jadą bardziej uczęszczanymi, przecinającymi się drogami naziemnymi i pokonują w tym tempie duży dystans, mijając niewielkie furmanki, zwyczajnych podróżnych oraz kilka oddziałów lokalnej milicji – wszyscy szybko oddalają się na ich widok. Sjen dochodzi do wniosku, że to właściwie ironiczne: normalnie, dostrzegając ich czarne mundury, ludzie omijaliby ich szerokim łukiem, ponieważ nikt nie lubi górotworów. Teraz jednak wszyscy na pewno poczuli wstrząs, który narodził się w punkcie zapalnym.

Chętnie schodzą im więc drogi, a na twarzach każdej z mijanych osób malują się wdzięczność i ulga. Fulcrum przybywa na ratunek. Sjen ma ochotę się rozeźmiać.

Zatrzymują się na noc, śpią przez kilka godzin i ruszają znowu przed świtem, a kiedy przy krętej drodze pomiędzy dwoma niskimi wzgórzami pojawia się węzeł, jest jeszcze prawie zupełnie ciemno. Droga to właściwie piaszczysta ścieżka pociągnięta odrobiną starego, spękanego asfaltu, który ma być chyba ukłonem w stronę cywilizacji. Sama stacja to kolejny ukłon. Po drodze minęli kilkanaście wspólnot, a każdą z nich charakteryzowała dzika różnorodność architektury – elementy typowe dla danego regionu, fanaberie bogatszych członków wspólnoty i tanie imitacje rozwiązań z Yumenes. Stację zbudowano jednak w czystym stylu Starego Imperium: to trzy małe piramidy i jedna większa, umiejscowiona pośrodku, otoczone przez wysokie ściany z czerwonych cegieł magmowych. Bramę wykonano z jakiegoś metalu, na którego widok Sjen mruży oczy. Nikt nie stawia metalowych bram w miejscach, które rzeczywiście chciałby przed czymś ochronić. Z drugiej strony w stacji nie ma nic oprócz mieszkającego tam górotwora i jego współpracowników. W węzłach nie buduje się nawet spiżarni, a ich mieszkańcy polegają na regularnych dostawach zapasów z pobliskich wspólnot. Raczej nikt nie chciałby okradać takiego miejsca.

Sjen jest zaskoczona, kiedy Alabaster gwałtownie ściąga lejce daleko przed bramą.

– Co się dzieje?

– Nikt nie wychodzi – stwierdza mężczyzna, jakby sam do siebie. – Nikogo nie widać za bramą. Nie słyszę nic ze środka. A ty?

Ona też słyszy jedynie ciszę.

– Ile osób powinno tu być? Opiekun węzła, Stróż... Kto jeszcze?

– Opiekunowie węzłów nie potrzebują Stróżów. Zazwyczaj w stacji przebywa grupa od sześciu do dziesięciu żołnierzy cesarskich, których celem jest ochrona opiekuna. Poza tym kucharze i tak dalej. Zawsze jest też przynajmniej jeden lekarz.

Tak wiele zagadek w tak niewielu słowach. Górotwór, który nie potrzebuje Stróża? Opiekunowie węzłów są znacznie poniżej czwartego pierścienia, a takim nie wolno opuszczać Fulcrum bez nadzoru Stróża albo przynajmniej seniora. Obecność żołnierzy jest zrozumiała: czasami przesądni mieszkańcy niektórych regionów nie rozróżniają górotworów wytrenowanych w Fulcrum od wszystkich pozostałych. Ale po co lekarz?

To nieważne.

– Prawdopodobnie wszyscy nie żyją – mówi Sjenit, ale już wypowiadając te słowa, wie, że coś tu się nie zgadza. Las w promieniu kilku kilometrów wokół nich też powinien być martwy; skute lodem drzewa, zwierzęta i ziemia rozmroziłyby się w miękką papkę. Wszyscy ludzie na drodze powinni być martwi. Jak inaczej opiekun węzła mógłby zdobyć tyle mocy na poruszenie punktu zapalnego? Tymczasem wydaje się, że wszystko jest tu w porządku. Poza ciszą.

Nagle Alabaster popędza konia i rusza przed siebie, nie ma więc czasu na zadawanie pytań. Jadą pod górę, w stronę zamkniętej bramy, a Sjen nie ma pojęcia, kto miałby ją otworzyć, skoro nikogo nie ma w środku. Alabaster syczy, pochylając się w siodle, i w tej samej chwili pojawia się lśniący, wąski torus – nie wokół nich, lecz wokół bramy. Sjen nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś wywołał swój torus poza sobą, ale najwyraźniej dziesięciopierścienicy to potrafią. Na widok wirującego śniegu i zimna koń wydaje z siebie ciche rzenie, Sjen ściąga więc lejce i zwierzę cofa się o kilka kroków. Chwilę później za bramą rozlega się trzask. Jedno ze stalowych skrzydeł się otwiera, a Alabaster wygasza swój torus i zeskakuje na ziemię.

– Poczekaj, niech się ociepli – zaczyna Sjen, ale mężczyzna ignoruje ją i kieruje się w stronę bramy, nie patrząc pod nogi na śliski, oszroniony asfalt.

Na zardzewiały podziemny ogień! Sjen schodzi z konia i przywiązuje lejce do pobliskiego drzewka. Będzie musiała dać zwierzętom ochłonać po tak ciężkim dniu, a potem napoić je i nakarmić – powinna je też wyszczotkować – ale coś w tym wielkim, cichym budynku ją niepokoi. Nie wie, co to takiego. Zostawia więc konie osiodłane. Tak na wszelki wypadek. A potem wchodzi do środka za Alabastrem.

Jest cicho i ciemno. Nie ma tu prądu, a lampy olejne już się wypaliły. Za bramą rozciąga się duży, otwarty dziedziniec, a do murów i pobliskich budynków przylegają rusztowania, dzięki czemu potencjalnych odwiedzających otaczają liczne i dogodne pozycje snajperskie. Wygląda to tak samo „przyjaźnie”, jak w każdej dobrze strzeżonej wspólnocie. Jest pusto, choć przy jednej ze ścian Sjen dostrzega krzesła i stół, przy którym jeszcze niedawno ludzie pełniący straż grali zapewne w karty i jadali posiłki. Wszędzie panuje cisza. Dziedziniec wybrukowano kostką magmową, pofalowaną na skutek użytkowania – teraz jednak nie słychać żadnych kroków. Po jednej stronie znajduje się stajnia, ale przegrody są zamknięte i ciche. Przy ścianie najbliższej bramy leżą ubłocone buty; niektóre z nich rzucono tam niedbale. Jeśli Alabaster nie myli się co do stacjonujących tu cesarskich żołnierzy, to nie byli oni przesadnie obowiązkowi. Przepisanie do miejsca takiego jak to raczej nie jest nagrodą.

Sjen kręci głową. A potem czuje piżmowy zapach dobiegający ze stajni i całe jej ciało nagle się napina. Sjen czuje konie, ale ich nie widzi. Podchodząc bliżej – w tym czasie jej dłonie zaciskają się w pięści – zagląda do pierwszej przegrody, a potem do kolejnych.

W słomie leżą trzy martwe konie. Ich truchła nie są jeszcze rozdęte, prawdopodobnie dlatego, że rozkład objął na razie tylko nogi i łby. Całą resztę pokrywa lód, a ich ciała są na wpół zamarznęte. Sjen zgaduje, że padły z zimna jakieś dwa dni temu.

W centralnym punkcie stacji znajduje się zbudowana z cegieł magmowych piramida, której wejścia broni osobna, kamienna brama – teraz szeroko otwarta. Sjenit nie wie, dokąd udał się Alabaster, ale podejrzewa, że jest właśnie wewnątrz piramidy, ponieważ to tam powinien przebywać opiekun węzła.

Wspina się na krzesło i zapala krzemieniem jedną z lamp olejnych, a potem sama wchodzi do środka – teraz, wiedząc, co tam znajdzie, porusza się szybciej. I rzeczywiście, w mrocznych korytarzach piramidy znajduje tutejszych żołnierzy i pracowników: niektórzy z nich upadli w biegu, inni zostali przyciśnięci do ścian albo leżą z rękoma wyciągniętymi w kierunku środka budynku. Część z nich próbowała uciec przed katastrofą, a część usiłowała sięgnąć do jej źródła, aby jej zapobiec. Wszyscy ponieśli klęskę.

Wtedy też Sjen znajduje komnatę węzła.

To musi być ona. Znajduje się w centrum piramidy, a wejścia do niej strzeże elegancki łuk zdobiony blad różowym marmurem i płaskorzeźbami z trójkorzennym motywem. Sama komnata jest wysoko sklepiona, pogrążona w półmroku i pusta – z wyjątkiem środka pomieszczenia, gdzie znajduje się duże... coś. Nazwałaby to fotelem, gdyby zrobione było z czegoś więcej niż tylko skrawków i drutów. Wydaje się niezbyt wygodne, chociaż zapewnia pozycję półleżącą. Z drugiej strony siedzi w nim opiekun węzła, więc musi być...

Och. Och.

Na cholerną, płonąca Ziemię.

Alabaster stoi na podwyższeniu, gdzie ustawiony jest fotel, i spogląda na ciało opiekuna węzła. Nie podnosi wzroku, kiedy Sjen podchodzi bliżej. Jego twarz jest nieruchoma. Nie widać na niej smutku. To tylko maska.

– Nawet najmniejsi z nas muszą służyć większemu celowi – mówi bez ironii.

Ciało w fotelu jest drobne i nagie. Chude, o wysuszonych kończynach. Bezwłose. W patykowatych ramionach, w kroczu i w wystającym gardle znikają rury, przewody oraz inne rzeczy, których Sjen nie potrafi nazwać. Na brzuchu nieboszczyka leży elastyczny worek, przymocowany w jakiś sposób do ciała, i wypełniony... ech, należałoby go już wymienić.

Sjen koncentruje się na detalach, bo to pomaga. Bo jakaś jej część przeżywa szok, a jedynym sposobem na uspokojenie tej części, jest skupianie się na wszystkim, co widzi. To, co tu zrobiono, jest rzeczywiście bardzo pomysłowe. Nie wiedziała, że ciało można utrzymać przy życiu w ten sposób: nieruchome, ograniczone, bezosobowe. Koncentruje się więc na tym, w jaki sposób mu to zrobili. Druciana rama to przejaw geniuszu: wyposażona jest w korbę i dźwignię, dzięki czemu można obrócić ją całą i wyczyścić. Prawdopodobnie druty minimalizują również ryzyko powstawania odleżyn. W powietrzu unosi się zapach choroby, ale nieopodal widać półkę z buteleczkami pełnymi płynów i tabletek; to zrozumiałe, bo żeby zrobić coś takiego, potrzeba zapewne czegoś silniejszego niż zwykła penicylina produkowana we wspólnotach. Być może jedna z rurek służyła do wprowadzania lekarstw do ciała opiekuna węzła. Ta z kolei odpowiadała za doprowadzanie jedzenia, ta za usuwanie moczu, natomiast ta, ach, za zbieranie ciekącej śliny.

Sjen próbuje skupić się na szczegółach, dostrzega jednak również to, co rzucało się w oczy od początku. Opiekun węzła to dziecko trzymane w tym stanie całymi miesiącami, może nawet latami. Dziecko, którego skóra jest niemal tak samo ciemna, jak skóra Alabastra, i które mimo wychudzenia bardzo go przypomina.

– Co... – jest w stanie powiedzieć tylko tyle.

– Czasami rogga nie potrafi się kontrolować. – Teraz Sjen rozumie, że Alabaster używa tego wulgaryzmu celowo. To odczłowieczające określenie kogoś, kto został zamieniony w rzecz. To pomaga. W głosie Alabastra nie słychać żadnych emocji, widać je natomiast w doborze kolejnych słów. – Czasami Stróż łapie dzikusa, który jest już za stary na szkolenie, a jednocześnie na tyle młody, że zabicie go byłoby marnotrawstwem. Bywa też tak, że w schronisku dla żwirów trafia się ktoś szczególnie wrażliwy, kto prawdopodobnie nigdy nie zdobędzie nad sobą kontroli. Fulcrum przez jakiś czas próbuje szkolić takie górotwory, ale jeśli dziecko nie rozwija się w tempie, który Stróże uważają za odpowiednie, Matka Sanze znajduje dla niego inne wykorzystanie.

– Na przykład... – Sjen nie potrafi oderwać wzroku od twarzy tego człowieka, tego chłopca. Jego otwarte brązowe oczy są zamglone i zimne. Dziewczyna dziwi się sobie, że nie wymiotuje. – Na przykład takie? Na ogień w ziemi, Alabastrze, ja sama znałam dzieci, które zabrano do węzłów. Ja nie... to nie...

Alabaster w końcu wykonuje jakiś gest. Nie zdawała sobie sprawy, że zastygł w kompletnym bezruchu, dopóki nie pochyła się, żeby przesunąć dłonią po szyi chłopca, unieść jego nieproporcjonalnie dużą głowę i lekko ją obrócić.

– Powinnaś to zobaczyć.

Sjen nie chce patrzeć, ale patrzy. Z tyłu ogolonej głowy chłopca widać długą, stwardniałą bliznę i ślady starych szwów. Blizna biegnie dokładnie na styku czaszki i kręgosłupa.

– Sejsody roggi są większe i bardziej rozwinięte od sejsod normalnych ludzi – mówi Alabaster, a potem opuszcza głowę dziecka, uznając, że jego towarzyszka widziała już wystarczająco dużo. Głowa uderza o drucianą ramę z twardym, pustym dźwiękiem, który sprawia, że Sjen aż podskakuje. – Wystarczy dokonać kilku nacięć, które całkowicie pozbawiają rogga samokontroli, a jednocześnie umożliwiają dalsze wykorzystywanie jego instynktów. Zakładając, że rogga przeżyje operację.

Pomysłowe. Tak. Górotwórczy noworodek potrafi zatrzymać trzęsienie ziemi. To wrodzona umiejętność, bardziej naturalna niż odruch ssania; jest ona też najczęstszą przyczyną śmierci młodych górotworów. Najlepsi z nich ujawniają swoje moce, na długo zanim dorosną na tyle, aby móc zrozumieć wiążące się z tym niebezpieczeństwo.

Ale ograniczyć dziecko do samego tego instynktu, do samej tej zdolności tłumienia trzęsień ziemi...

Teraz naprawdę powinna zwymiotować.

– Potem jest już łatwo. – Alabaster wzdycha, jakby wygłaszał właśnie jakiś nudny wykład w Fulcrum. – Usuwasz infekcję za pomocą lekarstw i utrzymujesz rogę przy życiu, zdobywając w ten sposób jedyną rzecz, której nie może dać ci Fulcrum: pewne, bezpieczne i całkowicie pożyteczne źródło górotwórstwa. – Tak jak Sjen nie pojmuje, dlaczego jeszcze nie zwymiotowała, tak samo nie potrafi zrozumieć, dlaczego on jeszcze nie krzyczy. – Domyślam się jednak, że ktoś popełnił błąd i pozwolił temu tutaj się obudzić.

Alabaster odwraca wzrok, a Sjenit podąża za jego spojrzeniem, dostrzegając ciało mężczyzny leżące pod przeciwległą ścianą. Nie jest ubrany tak, jak pozostali żołnierze. Ma na sobie elegancki strój cywila.

– Lekarz? – pyta Sjen, naśladując beznamiętny głos Alabastra. Tak jest łatwiej.

– Być może. Albo ktoś z okolicy, kto zapłacił za ten przywilej – mówiąc to, Alabaster wzrusza ramionami i wskazuje siniak widoczny na udzie chłopca. Ma kształt dłoni, a ślady po palcach widać nawet na tak ciemnej skórze. Podobno wielu ludzi bardzo to lubi. To pragnienie, którego nie mogą w sobie zdławić. Wolą, kiedy ofiara jest przytomna i wie, co się dzieje.

– O Ziemi, chyba nie chcesz powiedzieć, że...

Mężczyzna wchodzi jej w słowo, jakby w ogóle jej nie słyszał:

– Problem w tym, że wykorzystując swoje moce górotwórcze, opiekunowie węzłów odczuwają potworny ból. Chodzi o te nacięcia. Ponieważ nie potrafią się powstrzymać przed reagowaniem na każdy, nawet najmniejszy wstrząs w okolicy, uważa się, że najbardziej humanitarne jest utrzymywanie ich w stanie ciągłego ośpienia. A górotwór instynktownie reaguje również na każde zagrożenie.

Ach. Więc w końcu.

Sjen podchodzi do najbliższej ściany i wymiotuje suszonymi morelami oraz mięsem, które wmusiła w siebie po drodze do stacji. To nie w porządku. To wszystko jest bardzo nie w porządku. Myślała... nie sądziła... nie wiedziała...

W końcu ociera usta, podnosi wzrok i widzi, że Alabaster się jej przygląda.

– Jak już mówiłem – stwierdza powoli – każdy rogga powinien zobaczyć węzeł przynajmniej raz w życiu.

– Nie wiedziałam – bełkocze Sjen, przysłaniając usta wierzchem dłoni. To, co mówi, nie ma sensu, ale czuje, że musi to powiedzieć. – Naprawdę.

– Myślisz, że ma to jakiegokolwiek znaczenie? – Jego głos i jego twarz są wyprane z emocji, niemal okrutne.

– Dla mnie tak!

– I uważasz, że ty masz jakiegokolwiek znaczenie? – mówiąc to, nagle się uśmiecha. To brzydki grymas, zimny niczym para unosząca się znad lodu. – Myślisz, że ktokolwiek z nas ma jakieś znaczenie oprócz tego, co może dla nich zrobić? Liczy się tylko to, czy będziemy posłuszni, czy nie. – Ruchem głowy wskazuje ciało zamęczonego, zamordowanego chłopca. – Myślisz, że on liczył się dla nich po tym, co mu zrobili? Jedynym powodem, dla którego nie robią tego z nami wszystkimi, jest fakt, że pozostajemy bardziej wszechstronni i bardziej przydatni, jeśli sami się kontrolujemy. Każdy z nas jest jednak dla nich tylko kolejną bronią. Kolejnym przydatnym potworem, domieszką krwi dodawaną do linii rodowych. Kolejnym pierdolonym rogga.

Sjen nigdy wcześniej nie słyszała tyle wściekłości włożonej w jedno słowo. Jednak stojąc tam, przed martwym, zimnym i cuchnącym dowodem nienawiści świata, nie potrafi nawet drgnąć. Ponieważ... ponieważ jeśli Fulcrum, Stróże, władze Yumenes, geodziarze czy ktokolwiek inny wymyślił tę potworność, to nie ma sensu ubarwiać tego, czym tak naprawdę są osoby takie jak Alabaster i Sjenit. To nie ludzie. I nie górotwory. W obliczu tego, co widziała, uprzejmość byłaby obelgą. Roggi: tym właśnie są.

Po chwili Alabaster odwraca się i wychodzi z pomieszczenia.

Rozbijają obóz na dziedzińcu. W budynkach stacji znajduje się wszystko to, o czym marzy Sjen: ciepła woda, miękkie łóżka oraz jedzenie inne niż konserwowy chleb i suszone mięso. Na dziedzińcu nie ma jednak ludzkich zwłok.

Alabaster je w ciszy, spoglądając w ognisko, które rozpała Sjenit. Jest okryty kocem i trzyma kubek herbaty, którą mu przygotowała; zdołała przynajmniej uzupełnić w stacji zapasy. Nie widziała, żeby pociągnął choćby łyk. Byłoby miło, gdyby mogła dać mu do picia coś mocniejszego. A może nie. Sjen nie wie, co górotwór o jego umiejętnościach mógłby zrobić po pijaku. Właśnie z tego powodu nie wolno im pić... ale rdzewieć w tej chwili to, co wolno. Rdzewieć wszystko.

– Nasze dzieci są unieważnieniem nas samych – mówi Alabaster, a oczy ma pełne ognia.

Sjenit potwierdza ruchem głowy, choć tego nie rozumie. Alabaster mówi. To musi być dobry znak.

– Mam chyba dwanaścioro dzieci. – Mężczyzna szczerzej otula się kocem. – Nie jestem pewien. Nie zawsze mi mówią. Nie zawsze widuję później ich matki. Domyślam się jednak, że jest ich dwunastka. Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się większość z nich.

Przez cały wieczór przytacza takie przypadkowe fakty – jeśli w ogóle się odzywa. W większości przypadków Sjenit nie zdołała zmusić się do jakiegokolwiek komentarza, dlatego przypomina to raczej monolog niż prawdziwą rozmowę. Tym razem jednak się odzywa, bo właśnie o tym myślała. O tym, jak bardzo chłopiec w drucianym fotelu przypominał Alabastrę.

– Nasze dziecko... – zaczyna.

On spotyka jej spojrzenie i znowu się uśmiecha. Tym razem robi to w uprzejmy sposób, ale Sjen nie wie, czy wierzyć temu grymasowi, czy ukrytej pod spodem nienawiści.

– To tylko jedna z możliwych opcji. – Alabaster wskazuje głową wysokie czerwone mury stacji. – Nasze dziecko może być kolejnym mną: legendą pnącą się po szczeblach kariery w Fulcrum i wyznaczającą nowe standardy górotwórstwa. Może też być miernotą i nie zrobić nigdy nic godnego uwagi. Zostać kolejną cztero- czy pięciopierścienniczką, która czyści porty zablokowane koralami, a w wolnym czasie robi dzieci.

Mówi to tak radośnie, że trudno skupić się na słowach zamiast na tonie, którym je wypowiada. Ten ton jest kojący, a jakaś część Sjen potrzebuje w tej chwili ukojenia. Same słowa ranią ją jednak niczym kawałki szkła zatopione w gładkim marmurze.

– Albo będzie nieruchomym – odpowiada mu. – Nawet dwoje roggów... – Trudno jest wypowiadać to słowo, ale jeszcze trudniej mówić „górotwór”, ponieważ każde uprzejme określenie brzmi teraz jak kłamstwo. – Nawet nam może urodzić się nieruchomy.

– Mam nadzieję, że nie.

– Masz nadzieję, że nie? – To najlepszy los dla ich dziecka, jaki Sjen potrafi sobie wyobrazić.

Alabaster wyciąga ręce w stronę ognia, żeby je ogrzać. Sjen dostrzega, że ma na palcach swoje pierścienie. Rzadko się to zdarza; w którymś momencie przed dotarciem do stacji, mimo płonącego w nim strachu o własne dziecko, pomyślał o przyzwoitości i je założył. Niektóre z nich lśnią w blasku płomieni, inne są ciemne i matowe; po jednym na każdym palcu, łącznie z kciukami. Sjen czuje lekkie swędzenie w każdym z sześciu swoich nagich palców.

– Każde dziecko dwóch upierścienionych górotworów z Fulcrum też powinno być górotworem – wyjaśnia mężczyzna. – Ale nie jest to takie proste. Nie jesteśmy dziedziną nauki. Nie ma w tym

wszystkim logiki. – Uśmiecha się nieznacznie. – Ze względów bezpieczeństwa Fulcrum traktuje każde dziecko roggi jak rogge do momentu, kiedy okaże się, że tak nie jest.

– Ale kiedy się okaże, że tak nie jest i że dziecko urodziło się... człowiekiem. – To jedyna nadzieja, jaką Sjen jest w stanie z siebie wykrzesać. – Może ktoś przyjmie je do jakiejś wspólnoty, a potem pośle do prawdziwej szkoły i w końcu zdobędzie nazwisko użytkowe...

Alabaster wzdycha. Słysząc w tym westchnieniu takie znużenie, że Sjen milknie, zdziwiona i przerażona.

– Żadna wspólnota nie przyjmie naszego dziecka – mężczyzna mówi teraz wolno i z namysłem. – Górotwórstwo może ominąć jedno pokolenie, czasem nawet dwa albo trzy, ale prędzej czy później zawsze znowu się pojawi. Ojciec Ziemia nigdy nie zapomina odebrać tego, co jesteśmy mu winni.

Sjenit marszczy brwi. Mówił już wcześniej takie rzeczy, nawiązując do opowieści mędrców o górotworach – że są bronią, lecz nie Fulcrum, tylko nienawistnej i cierplivej planety pod ich stopami. Planety, która pragnie zniszczenia całego życia pleniącego się na jej dziewiczej niegdyś powierzchni. W jego słowach jest coś, co każe jej sądzić, że on naprawdę wierzy w te stare opowieści, przynajmniej częściowo. Może tak jest. Może czerpie pociechę z przekonania, że ich rasa posiada pewien cel, jakkolwiek potworny.

Sjen nie ma jednak zamiaru rozmawiać o teraz mistyce.

– Dobrze, a więc nikt jej nie przyjmie. – Celowo używa rodzaju żeńskiego. – W takim razie co? Przecież Fulcrum nie trzyma u siebie nieruchomych.

Oczy Alabastra są jak jego pierścienie: raz lśniące blaskiem ogniska, raz ciemne i matowe.

– Nie. Zostanie Stróżem.

Ach, niech to rdza. To tak wiele wyjaśnia.

Sjen milczy, a Alabaster podnosi wzrok.

– Dobrze. A teraz odnośnie do tego wszystkiego, co dzisiaj widziałaś: zapomnij o tym.

– Słucham?

– To coś w fotelu nie było dzieckiem. – W jego oczach nie ma już blasku. – Ani moim, ani niczym innym. Nie było niczym. Nikim. Ustabilizowaliśmy punkt zapalny i znaleźliśmy przyczynę, która niemal doprowadziła do wybuchu. Przyjechaliśmy tu, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał, ale nikogo nie znaleźliśmy, i to właśnie napiszemy w telegramie do Yumenes. To samo powiemy, jeśli będą przesłuchiwać nas po powrocie.

– Ja, ja nie wiem, czy będę... – Te otwarte usta chłopca i jego martwy wzrok. To potworne trwanie w niekończącym się koszmarze. Budzenie się w agonii i wzrok jakiegoś wstrętnego pasożyta. Sjen współczuje chłopcu i odczuwa ulgę z faktu, że jego cierpienia dobiegły już końca.

– Zrobisz dokładnie to, co mówię – głos mężczyzny jest jak bicz, a z jej oczu bije wściekłość. – Jeśli chcesz coś opłakiwać, opłakuj zmarnowane zasoby. Jeśli ktokolwiek cię o to spyta, powiesz, że cieszysz się, że nie żyje. Poczuj to. Uwierz w to. Przecież omal nie zabił większej liczby osób, niż byłabyś w stanie porachować. A jeśli cię ktoś zapyta, co o tym wszystkim sądzisz, powiesz, że rozumiesz, że to właśnie dlatego nam to robią. Wiesz, że to dla naszego dobra. Wiesz, że to dla dobra wszystkich.

– Ty zardzewiały gnojku, ja wcale nie...

Mężczyzna śmieje się, a ona drży, bo oto w jednej chwili powróciła jej wściekłość.

– Nie drażnij mnie teraz, Sjen. Proszę. – Nadal się śmieje. – Jeśli cię zabiję, dostanę reprimendę.

To groźba, w końcu. A więc dobrze. Następnym razem, kiedy będzie spał. Zanim go zadźga, będzie musiała zakryć mu twarz. Nawet śmiertelne rany od noża zabijają w ciągu kilku sekund; jeśli w tym czasie dziesięciopierścienik skupi na niej swoje górotwórstwo, Sjen zginie. Mniej prawdopodobne, że robi to z zasłoniętymi oczami albo pozbawiony tchu.

Alabaster wciąż jednak się śmieje. Histerycznie. To wtedy Sjenit wyczuwa drgania wokół nich. Wielkie tuż-tuż czające się w ziemi pod stopami. Zaniepokojona, zastanawia się, czy to znowu punkt zapalny, i wtedy nagle uświadamia sobie, że drgania są rytmiczne. Że odpowiadają salwom śmiechu Alabastra.

Wystraszona patrzy na niego, a on uderza się dłonią w kolano. Wciąż się śmieje, bo chce zniszczyć wszystko dookoła. A jeśli jego na wpół martwy, na wpół dorosły syn potrafił dotknąć superwulkanu, nie sposób stwierdzić, co mógłby zrobić jego ojciec, gdyby bardzo się skupił. Albo gdyby na chwilę stracił nad sobą kontrolę.

Dłonie Sjen, oparte o kolana, zaciskają się w pięści. Dziewczyna siedzi tak, wbijając sobie paznokcie w skórę, a Alabaster w końcu się opanowuje. Kiedy śmiech ustaje, ukrywa twarz w dłoniach, lecz ramiona nadal mu się trzęsą. Być może płacze. Sjen tego nie wie. I nic ją to nie obchodzi.

W końcu jej towarzysz podnosi głowę i bierze głęboki oddech, a potem jeszcze jeden.

– Przepraszam – odzywa się. Nie śmieje się już, ale nadal brzmi wesoło. – Porozmawiajmy o czymś innym, dobrze?

– Gdzie, u rdzy, jest twój Stróż? – Sjen nadal nie rozluźniła dłoni. – Jesteś szalony jak worek dzikich kotów.

Alabaster chichocze.

– Och, już wiele lat temu zadbałem o to, żeby moja Stróżka nie była dla mnie zagrożeniem.

Sjen kiwa głową.

– Zabiłeś ją.

– Nie. Czy wyglądam na idiotę? – wciąż irytująco chichocze. Sjen jest nim przerażona i nie wstydzi się już tego przyznać. On jednak dostrzega to i coś w jego zachowaniu się zmienia. Bierze jeszcze jeden głęboki wdech, a potem się rozluźnia. – Cholera... przepraszam.

Sjen milczy. Alabaster uśmiecha się smutno, jakby nie oczekiwał od niej tego samego. Następnie wstaje i podchodzi do śpiwora. Sjen patrzy, jak kładzie się plecami do ognia, i czeka, aż jego oddech stanie się wolniejszy. Dopiero wtedy się rozluźnia.

Zaraz jednak podskakuje, bo on znowu się odzywa.

– Masz rację. Od lat jestem szalony. Jeśli spędzisz ze mną dużo czasu, też oszalejesz. Jeśli będziesz oglądać takie rzeczy i zrozumiesz, co to wszystko oznacza. – Powoli wypuszcza powietrze z płuc. – Jeśli mnie zabijesz, wyświadczysz światu przysługę.

Potem nic już nie mówi.

Sjen rozważa jego ostatnie słowa prawdopodobnie dłużej, niż powinna.

Następnie układa się do snu na twardym bruku dziedzińca, owinięta kocem i z siodłem w charakterze wyjątkowo niewygodnej poduszki. Konie poruszają się niespokojnie, jak przez cały wieczór; wyczuwają tu śmierć. W końcu jednak zapadają w sen, podobnie Sjenit. Dziewczyna ma nadzieję, że zaśnie również Alabaster.

Ponad drogą, którą tu dotarli, turmalinowy obelisk przesuwają się i znikają za górą, niewzruszony w swej podniebnej wędrówce.

Wiosna, Lato, Jesień, Zima; Śmierć jest piąta, wszystko spina.
przysłowie arktyczne

PRZEJŚCIE

Zmiana schematu. Węzeł na tkaninie. Są rzeczy, które musisz dostrzec. Rzeczy, których tu brakuje i które właśnie przez to rzucają się w oczy.

Zwróć uwagę, że nikt w Somidlatach nie mówi o wyspach. Nie dlatego, że wyspy nie istnieją albo są niezamieszkałe; wręcz przeciwnie. To dlatego, że wyspy tworzą się zazwyczaj w pobliżu linii uskoku albo ponad punktami zapalnymi, co oznacza, że w skali planetarnej są bardzo kruche: powstają wraz z erupcją wulkanu i znikają podczas kolejnego tsunami. Ale w skali planetarnej ludzie również są bardzo krusi. Liczba rzeczy, których nie dostrzegają, jest astronomiczna – dosłownie.

Mieszkańcy Bezruchu nie mówią też o innych kontynentach, choć całkiem prawdopodobne, że jakieś istnieją. Nikt nie okrążył świata, aby stwierdzić, że takowych nie ma; podróże morskie są wystarczająco niebezpieczne z powodu konieczności odnawiania zapasów oraz fal tsunami, choć te osiągają wysokość kilkudziesięciu metrów i nie przypominają legendarnych ścian wody przetaczających się rzekomo przez bezmiar głębokiego oceanu. Wszyscy przyjmują po prostu za pewnik ten fragment mądrości kamieni, który przekazały nam odważniejsze cywilizacje i z którego wynika, że nie ma nic więcej. Nikt nie rozmawia też o niebiańskich obiektach, choć niebo jest tu tak samo bogate, jak wszędzie we wszechświecie. W dużej mierze dzieje się tak dlatego, że tak wielu ludzi skupia uwagę na ziemi, a nie na niebie. Dostrzegają, co się tam znajduje: gwiazdy, słońce, czasem kometę czy spadającą gwiazdę. Nie zauważają tego, czego brakuje.

Ale z drugiej strony jak miałoby to zauważać? Kto odczuwa brak czegoś, czego nigdy sobie nawet nie wyobrażał? Nie leży to w ludzkiej naturze. Jak dobrze zatem, że zamieszkuje ten świat tak wiele osób, które należą do rodzaju ludzkiego.

SJENIT WŚRÓD WROGÓW

Tydzień później docierają do Allia. Niebo jest błękitne, zupełnie czyste z wyjątkiem purpurowego obelisku, który migocze w oddali.

Allia jest duża jak na wspólnotę z Wybrzeża – oczywiście daleko jej do Yumenes, ale to porządne, spore miasto. Większość osiedli, sklepów i obszarów przemysłowych mieści się w stromym zagłębieniu naturalnej przystani uformowanej przez starą, zapadniętą z jednej strony kalderę, ale miejscowość rozciąga się też dookoła, w promieniu kilku dni drogi w każdą stronę. Wjechawszy do miasta, Sjen i Alabaster zatrzymują się przy pierwszym napotkanym skupisku budynków i gospodarstw, zasięgają języka i – ignorując spojrzenia przyciągane przez ich czarne mundury – dowiadują się, że niedaleko znajduje się kilka noclegowni. Mijają pierwszą z nich, ponieważ młody mężczyzna z jednego gospodarstwa postanawia jechać za nimi przez kilka kilometrów, zachowując dystans, który zapewne wydaje mu się bezpieczny. Jest sam i nic nie mówi, ale jeden chłopak szybko może się zmienić w całą bandę, dlatego nie zatrzymują się, w nadziei, że jego nienawiść ustąpi znużeniu. W końcu rzeczywiście zawraca konia i wraca tam, skąd przyjechał.

Następna noclegownia nie jest tak przyjemna, jak pierwsza, ale nie jest też zła: to stary, kanciasty budynek pokryty stiukiem, który przeżył już kilka Sezonów, lecz wciąż jest zadbane i w dobrym stanie. W każdym z jego narożników zasadzono krzak róży, a bluszcz porósł całe ściany, co prawdopodobnie oznacza, że wraz z przyjściem Sezonu budowla legnie w gruzach, ale to nie problem Sjenit. Za podwójny pokój i podwójne miejsce w stajni płacą dwie imperialne masy perłowe: to tak jawne zdzierstwo, że Sjen nie może się powstrzymać i śmieje się właścicielce w twarz. (Kobieta spogląda na nich ponurym wzrokiem). Na szczęście Fulcrum rozumie, że przebywające w terenie górotwory muszą czasem kogoś przekupić. Sjenit i Alabaster zostali hojnie wyposażeni na drogę, dostali również akredytywę, która w razie potrzeby pozwoli im pobrać dodatkowe środki. Płacą więc cenę podaną przez właścicielkę, a widok tych eleganckich białych pieniędzy sprawia, że czarne mundury przestają jej przeszkadzać – przynajmniej na chwilę.

Od czasu galopu do stacji wężła koń Alabastra kuleje, dlatego przed udaniem się na spoczynek odwiedzają poganiacza i wymieniają zwierzę na zdrowe. Dostają narowistą klacz, która obrzuca Alabastra tak sceptycznym spojrzeniem, że Sjenit znowu wybucha śmiechem. To dobry dzień. Następnego ranka, po prawdziwym wypoczynku w prawdziwych łózkach, wyruszają dalej.

Brama główna Allia jest olbrzymia, prawdopodobnie jeszcze większa i bardziej bogato zdobiona niż ta w Yumenes. Wykonano ją jednak z metalu, a nie z kamienia, przez co wygląda jak krzykliwa imitacja – którą w rzeczywistości jest. Sjen nie rozumie, jak takie piętnastometrowe, ryglowane i pięknie udekorowane płyty chromowanej stali miałyby cokolwiek ochronić. Pierwszy kwaśny deszcz po nastaniu Sezonu przeżre te rygle na pół, a jedna dobra szóstka wypaczy całość tak, że bramy nie będzie dało się zamknąć. Wszystko to dowodzi, że wspólnota dysponuje znaczną ilością pieniędzy i niewielką liczbą mędrców, którzy mogliby doradzić Przywódcom.

Bramy strzeże zaledwie garstka Mocarnych ubranych w eleganckie, zielone mundury milicji. Większość z nich siedzi i czyta książki, gra w karty albo w jeszcze inny sposób ignoruje przepływających w tę i w tę handlarzy; Sjen próbuje nie robić pogardliwej miny na widok takiego braku dyscypliny. W Yumenes strażnicy byliby uzbrojeni i czujni przynajmniej na tyle, by zwracać uwagę na każdego wchodzącego do miasta podróżnego. Jeden z Mocarnych dostrzega czarne mundury, zerka na upierścienione palce

Alabastra i znudzony daje ręką znak, żeby weszli. Na dłonie dziewczyny nawet nie spogląda, dlatego kiedy pokonują w końcu labirynt brukowanych uliczek i docierają do posiadłości naczelnika, Sjen nadal jest w złym nastroju.

Allia to jedyne duże miasto w całym kwardonie. Sjen nie pamięta, jak nazywają się pozostałe trzy wspólnoty w okolicy ani jak nazywał się ten kraj, zanim został częścią Sanze – kiedy imperium rozluźniło nieco kontrolę, niektóre kraje z powrotem przyjęły swoje dawne nazwy, ale system kwardonowy i tak funkcjonował lepiej, więc tak naprawdę nie ma to teraz znaczenia. Sjen wie, że to kraj rolniczy i żyjący z połowu ryb, zaściankowy jak wszystkie inne nadbrzeżne regiony. Mimo to posiadłość naczelnika jest prawdziwie imponująca: widać artystyczne detale ymeneseńskiej architektury takie jak gzymsy, szklane okna i... tak, pojedynczy udekorowany balkon z widokiem na przestronne podwórze. To całkowicie niepotrzebna ozdoba, którą prawdopodobnie trzeba naprawiać po każdym najdrobniejszym wstrząsie. I czy naprawdę musieli malować cały budynek na jasną żółć? Wygląda przez to jak jakiś gigantyczny, kwadratowy owoc.

Przy bramie posiadłości oddają konie stajennemu i klękają na podwórzu, a służący Obrońca namydlą i szoruje im dłonie, co należy do lokalnej tradycji i ma na celu zmniejszenie ryzyka zarażenia Przywódców miasta chorobami. Następnie bardzo wysoka, ubrana w białą wersję milicyjnego munduru kobieta, której skóra jest niemal tak ciemna jak ciało Alabastra, wychodzi do nich i oszczędnym gestem nakazuje, aby poszli za nią. Prowadzi ich przez posiadłość do niewielkiego salonu, gdzie zamyka drzwi i siada za biurkiem.

– Dotarcie tutaj zajęło wam dużo czasu – mówi zamiast powitania, szukając czegoś na blacie i z wyższością wskazując im krzesła. Siadają po przeciwnej stronie biurka, a Alabaster zakłada nogę na nogę i łączy palce. Wyraz jej twarzy jest nieprzenikniony. – Spodziewaliśmy się was tydzień temu. Chcecie od razu udać się do portu czy będziecie robić to stąd?

Sjen otwiera usta, żeby odpowiedzieć, że wolałaby jednak udać się do portu, bo nigdy wcześniej nie poruszała rafy koralowej i bliższa odległość pozwoli jej lepiej ją zrozumieć. Zanim zdąży to powiedzieć, odzywa się Alabaster:

– Przepraszam, ale kim ty jesteś?

Sjenit zamyka usta i gapi się na niego. Alabaster uśmiecha się uprzejmie, ale w wyrazie jego twarzy jest coś, co każe jej mieć się na baczności. Kobieta też się na niego gapi, niemal emanując urazą.

– Nazywam się Asael, jestem Przywódczynią Allia – stwierdza wolno, jakby mówiła do dziecka.

– Alabaster – odpowiada mężczyzna, dotykając swojej piersi i kiwając głową. – Moja koleżanka to Sjenit. Ale wybacz, nie chodziło mi tylko o twoje nazwisko. Powiedziano nam, że naczelnikiem kwardonu jest mężczyzna.

Wtedy Sjenit zaczyna rozumieć i decyduje się uczestniczyć w jego grze. Nie wie, dlaczego postanowił to zrobić, ale przecież nigdy tego nie wiadomo. Kobieta jest zbита z tropu; widać, jak zaciska szczęki.

– Jestem zastępczynią naczelnika.

Większość kwardonów ma naczelnika, wicenaczelnika i kasztelana. Być może wspólnota, która tak bardzo stara się prześcignąć sąsiadów z Równikiady, potrzebuje dodatkowych szczebli biurokracji.

– Ilu jest tutaj zastępców naczelnika? – pyta Sjenit, a Alabaster wydaje z siebie ciche cmoknięcie.

– Musimy być uprzejmi, Sjen – mówi. Nadal się uśmiecha, ale widać, że jest wściekły, bo odsłania zbyt wiele zębów. – Jesteśmy w końcu tylko górotworami, a to jest członkini najbardziej szanowanej kasty w Bezruchu. Naszym zadaniem jest okiełznanie mocy, którym ona nie może sprostać, i ocalenie w ten sposób gospodarki całego regionu, podczas gdy ona... – Wskazuje kobietę palcem, nie próbując nawet ukrywać sarkazmu. – Ona jest zwykłą pedantyczną urzędniczką. Jestem jednak przekonany, że to bardzo ważna zwykła pedantyczna urzędniczka.

Ciemna skóra sprawia, że nie widać, jak kobieta zbladła, ale to nic: jej sztywna pozycja i rozszerzone nozdrza wystarczą. Przenosi wzrok z Alabastra na Sjenit, ale zaraz znowu spogląda na niego, co Sjen wydaje się całkowicie zrozumiałe. Nikt nie jest bardziej irytujący niż jej mentor. Sjen czuje nagły przypływ perwersyjnej dumy.

– Jest tu sześciu zastępców naczelnika – oznajmia w końcu kobieta, odpowiadając na pytanie Sjenit i miotając wściekłe spojrzenia w kierunku uśmiechniętej twarzy Alabastra. – A fakt, że jestem zastępczynią, nie powinien mieć w tym wypadku znaczenia. Naczelnik to bardzo zajęty człowiek, a to jest sprawa niskiej wagi. Dlatego też zwykła urzędniczka powinna w zupełności wystarczyć. Rozumiemy się?

– To nie jest sprawa niskiej wagi. – Alabaster już się nie uśmiecha, choć nadal jest zrelaksowany i stuka palcami o palce. Wygląda, jakby rozważał wpadnięcie w złość, ale Sjen wie, że już w nią wpadł. – Sejszę stąd zator rafy koralowej. Wasz port jest praktycznie bezużyteczny; prawdopodobnie cięższe okręty handlowe omijają was od dekady, jeśli nie dłużej. Zgodziliście się zapłacić Fulcrum potężną kwotę... bo skoro wysłano mnie, musiała być potężna. Zatem lepiej módlcie się, by oczyszczenie portu pozwoliło wam odzyskać cały ten utracony handel, bo w przeciwnym razie prędzej zmiecie was kolejne tsunami, niż zwrócą wam się te zainwestowane pieniądze. Dlatego też my, nasza dwójka – wskazuje na Sjen, a potem znowu łączy palce – jesteśmy waszą całą zardzewiałą przyszłością.

Kobieta jest zupełnie nieruchoma. Sjenit nie potrafi odczytać wyrazu jej twarzy, ale jej ciało jest napięte i lekko odchyłone do tyłu. Ze strachu? Być może. Bardziej prawdopodobne jednak, że to reakcja na słowne pociski wystrzelone przez Alabastra.

Tymczasem on kontynuuje:

– Możesz więc przynajmniej okazać nam odrobinę gościnności, a potem przedstawić nas człowiekowi, z powodu którego przejechaliśmy ponad tysiąc sto kilometrów, aby rozwiązać wasz niewielki problem. To standardowa uprzejmość, czyż nie? Tak właśnie traktuje się ważnych gości. Mam rację?

Wbrew samej sobie Sjen ma ochotę bić mu brawo.

– W takim razie... – odpowiada w końcu kobieta, wyraźnie przybita. – Przekażę waszą... prośbę... naczelnikowi. – Po tych słowach uśmiecha się, lecz w tym uśmiechu kryje się groźba. – Poinformuję go również o waszym rozczarowaniu naszą standardową procedurą dotyczącą przyjmowania gości.

– Jeśli to jest wasza standardowa procedura dotycząca przyjmowania gości – odpowiada Alabaster, rozglądając się z tą niezwykłą arogancją, którą okazywać potrafią jedynie wieloletni mieszkańcy Yumenes – to myślę, że naprawdę powinnaś poinformować go o naszym rozczarowaniu. Tak od razu przechodzić do interesów? Nie oferując nam nawet kubka bezpiecznika dla odświeżenia po tak długiej podróży?

– Powiedziano mi, że przenocowaliście na obrzeżach miasta.

– Tak, nocleg odrobinę złagodził zmęczenie. Warunki były jednak... niezbyt optymalne.

Sjen uważa, że to niesprawiedliwe, ponieważ noclegownia była ciepła, a łóżka wygodne; poza tym po otrzymaniu pieniędzy właścicielka stała się wyjątkowo uprzejma. Alabaster nie ma jednak zamiaru przestać.

– Kiedy po raz ostatni pokonała pani taką odległość, zastępczyni? Zapewniam panią, że po takiej wyprawie nie dochodzi się do siebie w jeden dzień.

Nozdrza kobiety znowu się rozszerzają. Mimo wszystko jest Przywódczynią, a jej rodzina na pewno nauczyła ją, jak unikać takich ciosów.

– Przepraszam. Nie pomyślałam.

– Nie. Nie pomyślałaś. – Alabaster nagle wstaje i choć porusza się spokojnie, Asael odchyła się, jakby się spodziewała, że ją zaatakuje.

Sjen również się podnosi – z pewnym opóźnieniem, bo Alabaster ją zaskoczył – ale Asael nawet na nią nie patrzy.

– Zatrzymamy się na noc w zajezdzie, który mijaliśmy po drodze – stwierdza Alabaster, ignorując widoczne zaniepokojenie kobiety. – Jakies dwie ulice stąd. To ten z kamiennym kirkhusem przy wejściu. Nie pamiętam nazwy.

– Koniec Sezonu – stwierdza kobieta niemal uprzejmym głosem.

– Tak, brzmi dobrze. Czy rachunek mam wysłać tutaj?

Asael ciężko oddycha, zaciskając pięści na blacie biurka. Sjen jest zaskoczona, bo wymieniony zajazd wydaje się rozsądnym wyborem, być może trochę za droгим – ach, ale o to właśnie chodzi, prawda? Ta zastępczyni nie ma odpowiednich kompetencji, aby zatwierdzić opłacenie ich hotelu. Jeśli jej przełożeni bardzo się rozzłoszczą, będzie musiała pokryć ten koszt z własnej kieszeni.

Asael nie porzuca jednak uprzejmego tonu i nie zaczyna na nich krzyczeć, czego w pewnym sensie spodziewa się Sjen.

– Oczywiście – odpowiada, zdobywając się nawet na uśmiech, za co Sjen prawie ją podziwia. – Wróćcie, proszę, jutro o tej porze, a przekażę wam dalsze instrukcje.

Wychodzą więc i kierują się do bardzo eleganckiego zajazdu, który wybrał dla nich Alabaster.

Kiedy stoją przy oknie w swoim pokoju – wzięli dwuosobowy i nie zamawiają najdroższego jedzenia, żeby nikt nie mógł nazwać ich wymagań wygórowanymi – Sjenit przygląda się profilowi Alabastra, próbując zrozumieć, dlaczego płonie taką wściekłością.

– Brawo – mówi. – Ale czy to było konieczne? Wolałabym zacząć pracę i możliwie szybko wyruszyć z powrotem.

Alabaster uśmiecha się, ale mięśnie jego twarzy wyraźnie się napinają.

– Myślałem, że się ucieszysz, jeśli raz dla odmiany ktoś potraktuje cię jak człowieka.

– Cieszę się. Ale jaką to robi różnicę? Nawet jeśli pokażesz im, na co cię stać, nie zmienisz tego, co o nas myślą...

– Nie, nie zmienię. I nie obchodzi mnie, co o nas myślą. Nie muszą nas lubić, do ciężkiej rdzy. Liczy się tylko to, co robią.

To mu wystarcza. Sjenit wzdycha i ścisną nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym, próbując się uspokoić.

– Złożą skargę.

A ponieważ teoretycznie jest to jej zadanie, to ona zostanie za to ukarana.

– Niech składają. – Alabaster odwraca się od okna i idzie w stronę łazienki. – Zawołaj mnie, kiedy przyniosą jedzenie. Zamierzam brać kąpiel tak długo, aż cały się pomarszcze.

Sjenit zastanawia się, czy w ogóle jest sens nienawidzić szaleńca. Przecież on i tak tego nie zauważy.

Pojawia się pracownik zajazdu z dwiema tacami skromnego, ale sycącego lokalnego jedzenia. W większości nadbrzeżnych wspólnot ryby są tanie, dlatego Sjen zamówiła filet z temtyra, który w Yumenes stanowi drogi przysmak. W stołówkach w Fulcrum serwują go tylko raz na jakiś czas. Alabaster wychodzi z łazienki w ręczniku, rzeczywiście cały pomarszczony od wody – to wtedy Sjen zauważa, jak przeraźliwe schudł w ciągu ostatnich kilku tygodni podróży. Składa się z samych mięśni i kości, a zamówił jedynie zupę. Jest to wprawdzie spora miska gęstej zupy z owocami morza, którą wzbogacono śmietaną i sporą łyżką ćwikły, ale ewidentnie potrzeba mu czegoś więcej.

Oprócz głównego dania Sjenit zamówiła przystawkę w postaci batatów z czosnkiem i karmelizowanych pszczoł srebrzynek. Przekłada to na jego tacę.

Alabaster spogląda na jedzenie, a potem na nią. Po chwili jego twarz się rozluźnia.

– A więc o to chodzi. Wolisz lepiej zbudowanych mężczyzn.

Alabaster żartuje. Oboje wiedzą, że seks z nim nie sprawiałby jej przyjemności, nawet gdyby uważała go za atrakcyjnego.

– Każda by wolała.

Mężczyzna wzdycha, a potem posłusznie zabiera się do batatów. Pomiedzy kolejnymi kęsami – sprawia wrażenie, jakby nie był głodny, a jedynie ponuro zdeterminowany – oznajmia:

– Nie czuję już tego.

– Czego?

Wzrusza ramionami i gest ten jest chyba nie tyle oznaką zmieszania, co wyrazem niemożności wyartykułowania tego, co myśli.

– Właściwie to wszystkiego. Głodu. Bólu. Kiedy jestem w ziemi... – mówiąc to, mocno się krzywi. Oto prawdziwy problem: nie niemożność wyartykułowania myśli, ale fakt, że słowa wydają się niewystarczające. Sjen kiwa głową na znak, że rozumie. Być może ktoś stworzy kiedyś język, którym górotwory będą mogły się porozumiewać między sobą. Być może taki język istniał, ale został zapomniany. – Kiedy jestem w ziemi, sejszę wyłącznie ziemię. Nie czuję... tego. – Wskazuje pokój, swoje ciało, jej ciało. – A przecież spędzam w ziemi tak dużo czasu. Nic nie mogę na to poradzić. Kiedy jednak wracam, czuję się jakby... jakby część ziemi wracała razem ze mną i... – nagle urywa. Sjen wydaje się, że wie, o co mu chodzi. – Najwyraźniej coś takiego dzieje się górotworom o siedmiu i więcej pierścieniach. Fulcrum wyznaczyło mi rygorystyczną dietę, ale za bardzo jej nie przestrzegam.

Sjen kiwa głową, bo dobrze o tym wie. Przekłada na jego talerz również swoją słodką babeczkę, a on znowu wzdycha. Potem zjada wszystko.

Idą do łóżka. Później, w środku nocy, Sjenit śni o tym, że opada w górę w snopie migoczącego światła, które wiruje wokół niej niczym mętna woda. Na samej górze dostrzega pulsujący blask, który pojawia się i znika, jakby nie był prawdziwy, jakby wcale nie istniał.

Budzi się, nie wiedząc, dlaczego nagle czuje, że coś jest nie tak, ale jest pewna, że powinna coś zrobić. Siada na łóżku i pociera twarz, a kiedy ostatnie echa snu wygasają, odczuwa zapowiedź katastrofy, która wisi w powietrzu wokół niej.

Zaskoczona spogląda na Alabastra, który też już nie śpi i patrzy gdzieś przed siebie z otwartymi ustami. Brzmi, jakby płukał sobie gardło albo bardzo dziwnie chrapał. Co, u rdzy? Nie patrzy na nią, nie rusza się, tylko wydaje ten śmieszny dźwięk.

Jednocześnie jego górotwórstwo zbiera się, zbiera i zbiera, aż zaczyna boleć ją głowa. Sjen dotyka jego ramienia, które jest napięte i sztywne, i dopiero wtedy rozumie, że on nie może się ruszyć.

– Baster? – pochyła się nad nim, patrząc mu w oczy. Mężczyzna nie odwzajemnia spojrzenia. A jednak Sjen sejszy w nim coś, co jest świadome i reaguje. Jego moc tężeje, jego mięśnie wydają się pozbawione siły, a z każdym jego bulgoczącym oddechem jakaś niewidoczna spirala zacieśnia się coraz mocniej i mocniej, jakby w każdej chwili mogła pęknąć. Na płonąca, pulsująca rdzę! Alabaster nie może się ruszyć i wpada w panikę.

– Alabaster!

Górotwory nigdy, przenigdy nie powinny panikować. Zwłaszcza górotwory o dziesięciu pierścieniach. On oczywiście nie może jej odpowiedzieć, ale Sjen mówi to głównie po to, żeby dać mu znać, że tu jest i że pomaga, bo ma nadzieję, że w ten sposób trochę go uspokoi. Być może to jakaś zapaść. Sjenit odrzuca pierzynę, obraca się na kolana i wkłada mu palce między wargi, próbując przytrzymać język. Jego usta są pełne śliny; Alabaster topi się w swoich cholernych wydzielinach. Sjen natychmiast obraca go na bok, układając głowę tak, żeby ślina wyciekała mu z ust, i w tej samej chwili oboje zostają nagrodzeni jego pierwszym czystym oddechem. Oddech ten jest jednak płytki, a zaczerpnięcie go zajmuje

Alabastrowi zbyt wiele czasu. Mężczyzna się męczy. Cokolwiek go dopadło, paraliżuje jego płuca tak samo, jak całą resztę.

Pokój nieznacznie drży, a Sjenit słyszy w zajeździe podniesione głosy. Krzyki szybko jednak się urywają, bo nikt nie widzi powodu do zmartwień. Nikt nie sejszy żadnego wstrząsu. Wszyscy prawdopodobnie tłumaczą to sobie uderzeniem silnego wiatru w ściany budynku... na razie.

– Cholera, cholera, cholera. – Sjen kuca, żeby znaleźć się na linii jego wzroku. – Baster, ty dumny zardzewiały pomocie ludojadów: zapanuj nad tym. Pomogę ci, ale nie uda mi się, jeśli wszystkich nas pozabijasz!

Na jego twarzy nie widać reakcji, oddech też się nie zmienia, ale wisząca w powietrzu zapowiedź katastrofy niemal natychmiast się rozplywa. Lepiej. Dobrze. A teraz...

– Muszę poszukać lekarza...

Wstrząs, który porusza budynkiem, tym razem jest silniejszy; Sjen słyszy grzechotanie naczyń pozostawionych na wózku. Domyśla się, że to oznacza: „nie”.

– Nie potrafię ci pomóc! Nie wiem, co to jest! Umrzesz, jeśli nie...

Spazm targa całym jego ciałem. Sjen nie wie, czy to jego celowe działanie, czy może atak konwulsji. Chwilę później rozumie jednak, że było to ostrzeżenie, bo nagle to coś znowu się dzieje: jego moc zgniata ją niczym imadło. Dziewczyna zaciska zęby i czeka, aż Alabaster wykorzysta jej siłę do czegokolwiek, co zamierza właśnie zrobić... ale nic się nie dzieje. Posiada jednak nad nią kontrolę i najwyraźniej coś z nią robi. Jakby się w niej miotał. Jakby szukał czegoś, ale nie mógł znaleźć.

– Co to jest? – patrzy w jego obwisłą twarz. – Czego szukasz?

Nie odpowiada. Najwyraźniej jest to coś, czego nie może odnaleźć, nie poruszając się.

Co wydaje się bez sensu. Górotwory nie potrzebują oczu, żeby robić to, co robią. Nawet niemowlęta to potrafią. Ale... Sjen intensywnie myśli. Wcześniej, kiedy to samo zdarzyło się na drodze, Alabaster najpierw odwrócił się w kierunku przyczyny katastrofy. Dziewczyna odtwarza tamtą scenę w pamięci, próbując zrozumieć, co wtedy zrobił i w jaki sposób. Nie, to nie tak; stacja węzła znajdowała się bardziej na północny zachód, a on patrzył wyraźnie w kierunku zachodnim. Kręcąc głową i przeklinając własną głupotę, Sjen skacze w stronę okna, otwiera je i wygląda na zewnątrz. Widzi tylko spadziste ulice i wyłożone stiukiem budynki, miasto pogrążone w ciszy. Jedyne ruch odbywa się przy końcu ulicy, za którą widać już doki i ocean: ludzie ładują tam coś na statek. Niebo połatane jest chmurami, a do świtu jeszcze daleko. Sjen czuje się jak idiotka. A wtedy...

Coś zaciska się w jej umyśle. Słyszy, jak za jej plecami Alabaster wydaje z siebie chrapliwy dźwięk, i czuje dygot jego mocy. Coś przykuło jego uwagę. Kiedy? Kiedy patrzyła w niebo. Zdezorientowana robi to ponownie.

To tam. Tam. Niemal czuje jego ekscytację. Zaraz potem jego moc oplata ją, a ona przestaje widzieć cokolwiek oczyma.

To jest jak sen, którego doświadczała przed chwilą. Spada do góry i w pewnym sensie jest to logiczne. Otacza ją lśniąca i kolorowa materia przypominająca wodę – z tą różnicą, że nie jest błękitna, ale bladorożowa, jak niskiej jakości ametyst z domieszką szarego kwarcu. Sjen płynie przez nią, przekonana, że tonie, ale odczuwa to sejsodami, a nie skórą czy za sprawą braku oddechu; nie może przecież płynąć, bo to nie woda, a jej wcale tu nie ma. Poza tym nie może utonąć, bo należy teraz do Alabastra.

Alabaster zabiera ją tam celowo. Ciągnie ją ku górze coraz szybciej, szukając czegoś, a ona niemal słyszy jęk, niemal czuje te poruszające ją siły tak samo jak ciśnienie i temperaturę wokół, która stopniowo się obniża, wywołując pieczenie skóry.

Coś się zmienia. Coś zostaje otwarte. Dzieje się to poza Sjenit i jest zbyt skomplikowane, żeby w pełni tego doświadczyć. Coś płynie, gorące od tarcia. Gdzieś w środku Sjen wygładza się i twardnieje. Płonie.

A potem jest już gdzie indziej: unosi się wśród olbrzymich lodowatych przedmiotów, a na nich – pomiędzy nimi – znajduje się coś jeszcze.

zanieczyszczenie

To nie jest jej myśl.

Zaraz potem wszystko znika. Sjen znowu jest sobą, w prawdziwym świecie obrazu, dźwięku, słuchu, smaku, zapachu i sejszu – prawdziwego sejszu, a nie tego rdzawego czegoś, co pokazał jej właśnie Alabaster – tymczasem Alabaster wymiotuje

Obrażona Sjen odwraca się, ale zaraz sobie przypomina, że jest sparaliżowany: nie powinien być w stanie się poruszać, nie mówiąc o wymiotowaniu. A jednak to robi, na wpół siedząc na łóżku, żeby móc się pochylić. Najwyraźniej paraliż ustąpił.

Nie zwraca zbyt dużo, może łyżeczkę albo dwie białoprzezroczystej mazi. Jedli kilka godzin temu i w górnych częściach jego układu trawienego nie powinno już nic być. Sjen przypomina sobie jednak owo zanieczyszczenie i nagle rozumie już, co zwymiotował. Następnie uświadamia sobie, jak to zrobił.

Alabaster w końcu wyrzuca z siebie to wszystko i na wszelki wypadek – albo tak po prostu – spluwa jeszcze kilka razy, a potem opada na plecy, oddychając z ulgą, jakby zwyczajnie cieszył się tym uczuciem, tą możliwością swobodnego oddychania.

– Na zardzewiałą płonąca Ziemię, co ty właśnie zrobił? – szepcze Sjenit.

Alabaster śmieje się przez chwilę, wywracając oczami. Dziewczyna nie potrafi stwierdzić, czy to jeden z tych wybuchów śmiechu, którymi jej towarzysz wyraża coś innego niż wesołość. Być może tym razem jest to męka albo rezygnacja. On zawsze jest zgorzkniały. Pytanie tylko, do jakiego stopnia to okazuje.

– Sku... skupienie – mówi Alabaster, pomiędzy kolejnymi wdechami. – Kontrola. I kwestia odpowiedniego stopnia.

To pierwsza lekcja górotwórstwa. Każde niemowlę potrafi poruszyć górę – to instynkt. Jednak tylko osoba wytrenowana w Fulcrum jest w stanie celowo i świadomie przenieść głaz. A najwyraźniej tylko dziesięciopierściennik potrafi przemieszczać nieskończenie drobne substancje znajdujące się w jego żyłach i nerwach.

Powinno to być niemożliwe. Sjen nie powinna wierzyć, że to zrobił. Pomogła mu jednak w tym, dlatego nie ma innego wyjścia, jak tylko uwierzyć w niemożliwe.

Niech to Zła Ziemia.

Kontrola. Sjen bierze głęboki oddech, aby opanować nerwy. Następnie wstaje, nalewa wodę do szklanki i przynosi ją Alabastrowi. Mężczyzna nadal jest słaby; Sjen musi pomóc mu usiąść, żeby mógł się napić. Pierwszy łyk wypływa na podłogę, obok jej stóp. Sjen patrzy na niego. Później chwytając poduszkę, podkłada mu ją pod plecy, pomaga mu się oprzeć i przykrywa mu nogi tym fragmentem koca, który nie jest jeszcze poplamiony. Sama siada w fotelu, który jest tak duży i miękki, że spokojnie zdoła przespać w nim resztę nocy. Jest zmęczona babraniem się w wydzielinach swojego towarzysza.

Odczekawszy, aż Alabaster odzyska oddech i zbierze trochę sił – nie jest przecież bezduszna – odzywa się bardzo cicho:

– Powiedz mi, co ty, u rdzy, wyprawiasz.

Sprawia wrażenie, jakby to pytanie wcale go nie zaskoczyło. Nie porusza się, wciąż leży z głową odrzuconą do tyłu.

– Próbuję przeżyć.

– To, co wydarzyło się na drodze do Allia. I teraz. Wyjaśnij mi to.

– Nie wiem, czy... potrafię. I czy powinienem.

Sjen trzyma emocje na wodzy. Boi się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby tego nie robiła.

– To znaczy?

Alabaster powoli bierze głęboki oddech, wyraźnie się nim delektując.

– Nie masz jeszcze... pełnej kontroli. Bez niej... jeśli spróbujesz zrobić to, co zrobiłem przed chwilą... umrzesz. Ale jeśli powiem ci, w jaki sposób to zrobiłem... – Kolejny głęboki wdech i wydech. – Możesz nie zdołać się powstrzymać.

Kontrola nad rzeczami tak małymi, że nawet ich nie widać. Brzmi to jak żart. To musi być żart.

– Nikt nie ma takiej kontroli. Nawet dziesięciopierścienicy.

Słyszała opowieści; oni potrafią robić zadziwiające rzeczy. Ale nie rzeczy niemożliwe.

– „To bogowie w kajdanach. – Alabaster oddycha głęboko i najwyraźniej zasypia. Jest wyczerpany walką o własne życie; a może dokonywanie cudów jest po prostu trudniejsze, niż się wydaje. – Poskramiacze dzikiej ziemi, spętani w uzdy i kagańce”.

– Co to jest?

Alabaster coś cytuje.

– Mądrość kamieni.

– Bzdura. Nie ma tych słów na żadnej z Trzech Tablic.

– To Tablica Piąta.

Pieprzy kompletne farmazony. I odpływa. A niech to Ziemia! Sjen ma ochotę go zabić.

– Alabaster! Odpowiedz na moje zardzewiałe pytanie.

Cisza. Niech to Ziemia.

– Dlaczego ciągle mi to robisz?

Alabaster długo wypuszcza powietrze z płuc, a Sjen sądzi, że zupełnie już odpłynął. Odzywa się jednak po chwili:

– Wysięk równoległy. Zaprzęgnij do wozu jedno zwierzę, a przejdzie tylko pewien dystans. Zaprzęgnij dwa, a to z przodu zmęczy się pierwsze. Lecz zaprzęgnij je w jarzmo, jedno obok drugiego, i zsynchronizuj, a zyskasz więcej, niż uzyskałabyś łącznie dzięki wysiękowi dwóch tych zwierząt wykorzystanych pojedynczo. – Po tych słowach znowu wzdycha. – Przynajmniej w teorii.

– A ty czym jesteś? Jarzmem?

Sjen żartuje. On jednak potwierdza ruchem głowy.

Jarzmo. Jeszcze gorzej. Traktował ją jak zwierzę, zmuszając ją do pracy, żeby on sam się nie wypalił.

– Jak ty... – Sjen urywa to pytanie, które sugerowałyby, że istnieje pewna możliwość, podczas gdy jej nie ma. – Górotwory nie mogą współpracować. Silniejszy torus zawsze jest górą. Zwycięża ten, który ma większą kontrolę.

Oboje uczyli się tego jako żwiry.

– Jeśli tak... – Alabaster jest tak zaspany, że jego słowa zmieniają się w bełkot – to znaczy, że to się nie wydarzyło.

Przez chwilę zaślepia ją wściekłość; świat staje się biały. Górotwory nie mogą pozwalać sobie na taką złość, dlatego Sjen uwalnia ją w słowach.

– Nie wciskaj mi tego gówna! Nie chcę, żebyś tak ze mną postępował. – Ale jak mogłaby go powstrzymać? – Zabiję cię, słyszysz? Nie masz prawa.

– ...mi życie – jego słowa są już ledwie zrozumiałe, ale Sjen słyszy je i czuje, że przebijają jej wściekłość. – Dzięki...

Bo czy może obwiniać tonącego za to, że chwyta się tego, co jest dookoła, żeby ocalić samego siebie?

Albo żeby ocalić tysiące ludzi?

Albo swojego syna?

Alabaster już śpi, siedząc obok niewielkiej plamy śluzu, którym wymiotował. Plama znajduje się oczywiście po stronie łóżka Sjen. Dziewczyna czuje obrzydzenie; podciąga nogi i zwija się w fotelu,

poszukując wygodnej pozycji.

Dopiero kiedy ją znajduje, uświadamia sobie, co właściwie się stało. Nie chodzi o tę niemożliwą rzecz, której dokonał Alabaster, ale o coś więcej.

Kiedy była żywym, pracowała czasem w kuchni i raz na jakiś czas ona lub któryś z jej towarzyszy natrafiali na słoik zepsutych owoców lub warzyw. Te, które pękły albo okazały się nieszczelne, śmierdziały tak bardzo, że kucharze musieli otwierać okna i zaganiać żwirów do wachlowania. W tamtym okresie Sjen zrozumiała jednak, że znacznie gorsze są słoiki, które nie pękły. Ich zawartość wyglądała dobrze, a po otwarciu nie unosił się smród. Jedynym ostrzeżeniem było niewielkie wybrzuszenie na metalowej pokrywce.

– Zabija szybciej niż ugryzienie bagnoroda – mawiał główny kucharz, niedźwiedziowaty stary Obrońca, pokazując im podejrzany słoik, żeby wiedzieli, na co zwracać uwagę. – Czysta trucizna. Mięśnie sztywnieją i przestają pracować. Nie można nawet oddychać. No i bardzo to wydajne. Jednym takim słoikiem mógłbym wymordować wszystkich w Fulcrum.

Mówiąc to, śmiał się, jakby to było zabawne.

Kilka kropli tej trucizny, dodane do zupy, w zupełności wystarczyłoby do zabicia jednego irytującego roggi w średnim wieku.

Czy mógł to być wypadek? Żaden porządny kucharz nie użyłby w serwowanej potrawie niczego ze słoika o wypukłym wieczku, ale być może Koniec Sezonu nie zatrudnia porządnym kucharzy. Sjenit sama składała zamówienie, rozmawiając z dzieckiem, które przyszło zapytać, czy czegoś nie potrzebują. Czy zaznaczyła, która potrawa ma być dla kogo? Próbuje przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała. „A dla mnie ryba i bataty”. Domyślili się więc, że zupa była dla Alabastra.

Ale jeśli ktoś z zajazdu nienawidzi roggów tak bardzo, że posunął się do próby morderstwa, to dlaczego nie postanowił otruć ich obojga? Z łatwością mógł przecież dodać trującego soku warzywnego do wszystkich zamówionych przez nich potraw. A może właśnie tak zrobił, tylko Sjen jeszcze nie wykazuje objawów? Czuje się jednak dobrze.

„Popadasz w paranoję”, mówi do siebie w myślach.

To, że wszyscy jej nienawidzą, to jednak żaden wymysł. W końcu jest roggą.

Sfrustrowana, wierci się w fotelu, obejmując kolana ramionami i usiłując zasnąć. Ta walka jest z góry przegrana. W głowie roi się od pytań, a ciało przyzwyczajone jest do twardej ziemi i co najwyżej śpiwora. Sjen siedzi więc przez resztę nocy, obserwując przez okno świat, który wydaje się mieć coraz mniej sensu, i zastanawiając się, co powinna z tym zrobić.

Rano wychyla się przez okno, żeby w próżnej próbie orzeźwienia się zaczerpnąć przesyconego zapachem rosy powietrza, i przypadkiem zerka w górę. W mdłym świetle świtu lśni zawieszony na niebie ametyst. To tylko obelisk – ten sam, który widziała dzień wcześniej po drodze do Allia. Obeliski są piękne, tak samo jak gwiazdy, ale w normalnych okolicznościach Sjen nie zwraca uwagi ani na jedne, ani na drugie.

Tym razem jednak go dostrzega. Bo dziś znajduje się on znacznie bliżej niż wczoraj.

W sercu każdej struktury umieszczaj elastyczny filar.

Pokładaj ufność w drewnie i w kamieniu, albowiem metal rdzewieje.

Tablica Trzecia, *Struktury*, werset pierwszy

KROCZYSZ OBOK BESTII

Zastanawiasz się, czy nie powinnaś być kimś innym.

Nie wiesz jednak kim. Poprzednie wersje ciebie były silniejsze i chłodniejsze albo cieplejsze i słabsze, w zależności od tego, który zestaw cech lepiej pozwalał ci radzić sobie z aktualnym życiowym bałaganem. Teraz jesteś chłodna i słaba, a to nie pomaga w niczym.

Może mogłabyś stać się kimś nowym. Robiłaś to już wcześniej, to zadziwiająco łatwe. Nowe imię oraz nowa koncentracja, a potem dostosowywanie nogawek i rękawów nowej osobowości, żeby wszystko jak najlepiej pasowało. Kilka dni i będzie ci się wydawało, że nigdy nie byłaś nikiem innym.

Ale... Tylko jedna wersja ciebie jest matką Nassun. To właśnie ona dotychczas popychała cię do przodu i to ona ostatecznie okazuje się decydującym czynnikiem. Kiedy to wszystko się skończy, kiedy Jija będzie martwy, a ty będziesz wreszcie mogła w spokoju opłakiwać swojego syna... to Nassun, jeśli przeżyje, będzie potrzebować tej matki, którą znała przez całe życie.

Musisz więc pozostać Essun, a Essun będzie musiała jakoś złożyć się w całość z tych potrzaskanych kawałków, które pozostawił za sobą Jija. Połączysz je najlepiej, jak potrafisz, brakujące miejsca wypełnisz siłą woli i będziesz ignorować okazjonalne trzeszczenie oraz zgrzyty. Jeśli nic poważnego się nie złamie, wszystko będzie w porządku, prawda? Jakoś sobie poradzisz. Nie masz wyboru. Nie kiedy jedno z twoich dzieci być może nadal żyje.

Budzą cię odgłosy walki.

Ty i chłopiec rozbiliście się na noc przy zajeździe, pośród kilkuset ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł. Nikt nie śpi w samym zajeździe – który w tym wypadku jest zaledwie pozbawioną okien kamienną klitką z pompą w środku – ponieważ zgodnie z niepisaną umową jest to terytorium neutralne. Podobnie żadna z kilkudziesięciu obozujących tam grup nie podjęła wysiłku, żeby wejść w jakąkolwiek interakcję z innymi, ponieważ wszyscy są na tyle przerażeni, że najpierw dźgają, a potem zadają pytania. Świat zmienił się zbyt szybko i zbyt gruntownie. Mądrości kamieni mogły przygotowywać ludzi na pewne rzeczy, ale wszechobecny koszmar Sezonu nadal wzbudza przerażenie, z którym nikt nie potrafi sobie poradzić. Przecież jeszcze tydzień temu było normalnie.

Ty i Hoa rozbiliście się na noc i rozpaliliście ognisko na pobliskiej polanie, wśród traw. Nie masz innego wyboru, jak tylko pełnić straż na zmianę z dzieckiem, choć obawiasz się, że mały po prostu zaśnie, a przy tak wielu ludziach dookoła nieostrożność byłaby zbyt dużym ryzykiem. Największym potencjalnym problemem są złodzieje, ponieważ masz wypchany worek podróżny, a wasza dwójka to po prostu kobieta i dziecko. Zagroza wam również ogień, bo otaczają was ludzie, którzy nocują w morzu schnącej trawy, a niekoniecznie potrafią posługiwać się krzemieniem. Jesteś jednak wyczerpana. Jeszcze tydzień temu wiodłaś swoje wygodne, przewidywalne życie i powrót do rzeczywistości wędrowca zajmie ci trochę czasu. Prosisz więc chłopca, żeby cię obudził, kiedy wypali się bloczek torfu. To powinno dać ci cztery do pięciu godzin.

Krzyki po drugiej stronie prowizorycznego obozowiska rozlegają się wiele godzin później, prawie o świcie. Zaraz potem z wrzaskiem budzą się wystraszeni ludzie śpiący po waszej stronie, a ty podnosisz

się ze śpiwora. Nie wiesz, kto krzyczy. Nie wiesz dlaczego. To nieważne. Jedną ręką chwytasz swój worek podróżny, a drugą chłopca, po czym odwracasz się, żeby stąd uciec.

Chłopiec wyrывa ci się jednak i podnosi swoje zawiniątko. Następnie łapie cię z powrotem za rękę, wytrzeszczając oczy w półmroku.

A potem wszyscy – ty, chłopiec i ludzie wokół was – biegniecie w głąb równiny i z dala od drogi, ponieważ to właśnie stamtąd dotarły pierwsze krzyki i ponieważ złodzieje, milicjanci czy inni sprawcy całego zamieszania prawdopodobnie wrócą drogą, kiedy skończą już to, co tu robią. W szarym świetle przedświt ludzi wokół ciebie wyglądają jak półcienie. Przez pewien czas chłopiec, worek i ziemia pod twoimi stopami są jedynymi elementami świata, który naprawdę istnieje.

Po dłuższej chwili tracisz siły i w końcu się zatrzymujesz.

– Co to było? – pyta Hoa. Nie brzmi wcale, jakby brakowało mu tchu. Dziecięca wytrzymałość. Oczywiście nie biegłaś przez całą drogę; jesteś w zbyt kiepskiej formie. Chodziło tylko o to, żeby ciągle przeć do przodu i maszerować, kiedy brakowało ci sił na bieg.

– Nie widziałam – odpowiadasz. Tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Rozmasowujesz mięśnie ponad biodrem, bo złapał cię skurcz. To z odwodnienia, wyjmujesz więc manierkę. Krzywisz się, bo jest już prawie pusta. Oczywiście nie napełniłaś jej przy zajeździe, kiedy miałaś okazję. Planowałaś zrobić to rano.

– Ja też nie – mówi chłopiec, odwracając się w tamtą stronę, jakby sądził, że powinien być coś zauważyć. – Było tak cicho, aż nagle... – Wzrusza ramionami.

Przyglądasz mu się.

– Nie zasnęłaś, prawda?

Zanim uciekliście, spojrzałaś na ognisko. Ledwie się tliło. Powinien obudzić cię kilka godzin wcześniej.

– Nie.

Posyłaś mu spojrzenie, które poskramiało dwójkę twoich i kilkadziesiąt innych dzieci. On ucieka wzrokiem zakłopotany.

– Naprawdę! – powtarza.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś, kiedy torf się wypalił?

– Potrzebujesz snu. Mnie nie chciało się spać.

Cholera. To oznacza, że będzie mu się chciało później. Niech Ziemia pożre takie mądralińskie bachory.

– Boli cię bok? – Hoa podchodzi bliżej z zaniepokojoną miną. – Coś ci się stało?

– To tylko skurcz. Zaraz mi przejdzie. – Rozglądasz się dookoła, choć padający popiół ogranicza widoczność do jakichś sześciu metrów. W pobliżu nikogo chyba nie ma, nie słyszysz też żadnych odgłosów od strony zajazdu. Tak naprawdę słyhać jedynie bardzo cichy szelest padającego na trawę popiołu. Pozostali ludzie, którzy obozowali w pobliżu zajazdu, nie mogą przecież być daleko, ale masz wrażenie, że nie licząc Hoi, jesteś tu zupełnie sama. – Będziemy musieli wrócić do zajazdu.

– Po twoje rzeczy?

– Tak. I po wodę – patrzysz w kierunku zajazdu, mrużąc oczy, ale równina spowita jest białoszarą mgłą. Nie masz pewności, czy kolejny zajazd będzie do czegokolwiek się nadawał. Może został opanowany przez przyszyłych watażków albo zniszczony przez spanikowany tłum; a może po prostu jest już zamknięty.

– Mogłabyś się cofnąć. – Odwracasz się do chłopca, który siedzi na trawie i, ku twojemu zdziwieniu, coś żuje. Wcześniej nie miał przy sobie jedzenia... Zawija z powrotem swój tłumok i odzywa się znowu. – Do strumienia, gdzie kazałaś mi się wykapać.

Tak, mogłabyś to zrobić. Strumyk zniknął pod ziemią niedługo później; stąd miałabyś do niego jakiś dzień drogi. Ale to dzień drogi z powrotem i...

I nic. Powrót tam jest najbezpieczniejszą opcją. Odrzucenie tego rozwiązania byłoby głupie i niewłaściwe.

Tyle że Nassun jest gdzieś z przodu.

– Co on jej robi? – pytasz spokojnie. – Na pewno wie już, czym ona jest.

Chłopiec tylko na ciebie patrzy. Jeśli martwi się o ciebie, nie okazuje tego.

W takim razie dasz mu więcej powodów do zmartwienia.

– Wrócimy do zajazdu. Minęło już wystarczająco dużo czasu. Złodzieje, bandyci, czy ktokolwiek tam był, wzięli już, co chcieli, i ruszyli dalej.

Chyba że tym, czego chcieli, był sam zajazd. Kilka najstarszych wspólnot w Bezruchu powstało jako źródła wody przejęte przez najsilniejszą grupę w okolicy i utrzymane aż do końca Sezonu. W takich czasach bezwspólnotowi zawsze mają nadzieję, że skoro żadna wspólnota nie chce ich przyjąć, stworzą sobie własną. Mimo to niewiele jest grup wystarczająco zorganizowanych, zgranych i silnych, aby tego dokonać.

Niewiele musiało też zmierzyć się z górotworem, który potrzebuje wody bardziej niż one.

– Jeśli zamierzają pozostać w zajeździe, będą musieli się ze mną podzielić. – Wprawdzie chcesz tylko wody, ale w tym momencie każda przeszkoda wydaje się olbrzymia niczym góra. Z drugiej strony górotwory zjadają przecież góry na śniadanie.

Chłopiec, po którym właściwie się spodziewasz, że słysząc to oświadczenie, ucieknie z krzykiem, podnosi się na nogi. W ostatniej wspólnocie, która minęliście, kupiłaś nie tylko torf, ale też ubranie dla niego. Teraz ma na sobie mocne buty, grube skarpety, jedną z dwóch par odzieży i kurtkę, która zadziwiająco przypomina twoją własną. Podobny ubiór sprawia, że mimo jego egzotycznych rysów wyglądu, jakbyście byli razem. Coś takiego sugeruje pewne zorganizowanie, wspólne cele i przynależność do jednej grupy – to niewiele, ale każdy drobiazg może pomóc. „Wspaniała z nas para: szalona kobieta i mały odmieniec”.

– Chodź – mówisz, ruszając przed siebie. Chłopiec podąża za tobą.

Kiedy docieracie do zajazdu, jest cicho. Spoglądając dookoła, wiesz, że jesteś już blisko: tutaj opuszczone obozowisko z tłącym się wciąż ogniskiem, tam rozpruty worek podróżny i zapasy upuszczone podczas ucieczki. Widzisz okrąg wyrwanej trawy, węgle z ogniska i porzucony śpiwór, który może należeć do ciebie. Podnosisz go i zwijasz, a potem wsuwasz za ramiączka, żeby później lepiej go przymocować. Zaraz potem, szybciej, niż się spodziewałaś, pojawia się sam zajazd.

Z początku myślisz, że nikogo tam nie ma. Słyszysz tylko własne kroki i oddech. Chłopiec milczy, ale kiedy wchodzić z powrotem na drogę, jego stąpania na asfalcie brzmią dziwnie ciężko. Spoglądasz na niego, a on wydaje się to wyczuwać. Zatrzymuje się i patrzy na twoje stopy, kiedy go mijasz. Przygląda się temu, w jaki sposób odklejasz pięty od podłoża i ostrożnie stawiasz je na nim z powrotem. Następnie zaczyna robić to samo i gdybyś nie musiała uważać na otoczenie – gdyby nie rozpraszał cię galop własnego serca – zaśmiałaśbyś się z jego zdziwienia, kiedy zaczął iść bezszelestnie. Jest niemal słodki.

Ale wtedy właśnie wchodziś do zajazdu i uświadamiasz sobie, że nie jesteście tu sami.

Najpierw dostrzegasz pompę wodną i jej betonową osłonę; właściwie cały zajazd jest tylko obudową tego urządzenia. Następnie zauważasz kobietę, która mruczy do siebie, odstawiając na bok napełnioną manierkę i podstawiając pod kurek kolejną, jeszcze większą. Krząta się przy obudowie i dostrzega cię, dopiero kiedy zaczyna poruszać dźwignią. Zastyga w bezruchu, patrzycie na siebie nawzajem.

Nie należy do żadnej wspólnoty – tak brudny może być tylko ktoś, kto od dawna nie miał dachu nad głową. (Albo towarzyszący ci chłopiec, podpowiada ci umysł, istnieje jednak różnica pomiędzy brudem po katastrofie a brudem z niedomycia). W porównaniu z twoimi czystymi lokami jej włosy to zwyczajne kołtuny, ale wynika to z zaniedbania – zwisają jej z głowy w nierównych, tłustych kępach. Brud nie tylko

pokrywa jej skórę, ale wygląda, jakby był w nią wżarty. W niektórych miejscach widać rudę żelaza, zardzewiałą od potu i barwiącą skórę na czerwono. Część ubrań kobiety jest czysta – po tym, jak widziałś, ile rzeczy pozostawiono przy zajeździe, nietrudno ci się domyślić, skąd je wzięła – a u stóp leży jedna z trzech toreb wypełnionych zapasami i wyposażonych w napełnione już manierki. Kobieta potwornie cuchnie i masz nadzieję, że wykorzysta całą tę wodę na kąpiel.

Przebiega wzrokiem po tobie i Hoi, szybko oceniając sytuację, a potem wzrusza ramionami i pompuje dalej, napełniając dużą manierkę dwoma poruszeniami dźwigni. Następnie zakręca ją, przymocowuje do jednej z toreb i podnosi je wszystkie tak zręcznie, że aż cię to przeraża.

– No – mruczy.

Oczywiście widziałś już wcześniej bezwspólnotowych – każdy widział. W miastach, gdzie potrzeba tańszej siły roboczej niż Mocarni – i gdzie związki zawodowe Mocarnych są słabe – bezwspólnotowi żyją w slumsach i żebrzą na ulicach. Wszędzie indziej mieszkają pomiędzy wspólnotami, w lasach i na skrajach pustyń, gdzie polują i budują prowizoryczne obozowiska. Ci, którzy nie chcą kłopotów, szabrują pola i silosy na obrzeżach terytoriów wspólnot; ci, którzy lubią walczyć, napadają na niewielkie, słabo chronione wspólnoty oraz na ludzi podróżujących mniej uczęszczanymi drogami. Naczelnicy kwardonów nie mają nic przeciwko, jeśli dzieje się to na niewielką skalę. Dzięki temu ludzie są uważni, a ci, którzy sprawiają problemy, wiedzą, jak mogą skończyć. Jeśli jednak ataki stają się zbyt brutalne albo kradzieży jest zbyt wiele, na bezwspólnotowych nasyła się milicję.

Teraz to wszystko nie ma znaczenia.

– Nie chcemy żadnych kłopotów – mówisz. – Przyszliśmy tylko po wodę, tak samo jak ty.

Kobieta, która dotąd z zainteresowaniem patrzyła na chłopca, przenosi wzrok na ciebie.

– Ja na pewno kłopotów nie przysporzę – powoli zakręca kolejną manierkę. – Ale mam ich jeszcze trochę do napełnienia – ruchem głowy wskazuje twój worek i przytroczoną do niego manierkę – a napełnienie waszej długo nie zajmie.

Jej naczynia, olbrzymie, prawdopodobnie są ciężkie jak kłody drewna.

– Czekasz na innych?

– Nie – kobieta uśmiecha się, błyskając nieprawdopodobnie białymi zębami. Jeśli jest bezwspólnotowa, to od niedawna; te dziąsła nie zaznały niedożywienia. – Zabijecie mnie?

Musisz przyznać, że tego się nie spodziewałaś.

– Na pewno ma w pobliżu jakąś kryjówkę – odzywa się Hoa. Z zadowoleniem stwierdzasz, że stoi przy drzwiach i wygląda na zewnątrz. Wciąż pełni straż. Mądry chłopiec.

– Tak – stwierdza wesoło kobieta, niewzruszona faktem, że odkryto jej tajemnicę. – Zamierzacie mnie śledzić?

– Nie – zapewniasz. – Ty nas nie interesujesz. Zostaw nas w spokoju, a my zrobimy to samo.

– Dla mnie w porządku.

Odczepiasz manierkę i kierujesz się w stronę pompy. Jest skonstruowana w taki sposób, że najlepiej obsługiwać ją parami: jedna osoba powinna trzymać naczynie, a druga poruszać dźwignią.

Kobieta kładzie rękę na dźwigni, bez słów oferując pomoc. Kiwasz głową, a ona pompuje wodę. Wypijasz kilka łyków, potem podstawiasz manierkę i zapada krępująca cisza. Przerywasz ją z nerwów.

– Przychodząc tu, podjęłaś wielkie ryzyko. Prawdopodobnie wszyscy zaraz wrócą.

– Może paru, ale nie tak prędko. Wy ryzykowaliście tak samo.

– To prawda.

– Poza tym... – Kobieta kiwa głową w stronę sterty swoich pustych manierek, a ty dopiero teraz dostrzegasz... co to jest? Na szyjce jednego z naczyń znajduje się jakieś urządzenie wykonane z patyków, poskręcanych liści i kawałków pogiętego drutu. Stuka cicho, kiedy na nie patrzysz. – Przeprowadzam test.

– Słucham?

Wzrusza ramionami, a w twojej głowie pojawia się myśl: jeśli ta kobieta jest zwyczajną bezwspółnotową, to ty jesteś nieruchoma.

– Ten wstrząs z północy – mówi. – Na powierzchni to była przynajmniej dziewiątka. Ale on sięgał głębiej. – Przerzywa nagle i obraca głowę, marszcząc brwi, jakby usłyszała coś niepokojącego, choć przed nią znajduje się tylko ściana. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Miał dziwny układ fal. – Po tych słowach błyskawicznie skupia uwagę z powrotem na tobie. – Prawdopodobnie naruszył wiele warstw wodonośnych. Oczywiście z czasem wszystko się zasklepi, ale na chwilę obecną trudno powiedzieć, jakie zanieczyszczenia mogą się znajdować w okolicy. Te tereny są doskonałe do budowy miasta, prawda? Płaskie, z dostępem do wody, z dala od linii uskoku. Pewnie kiedyś istniało tu jakieś miasto. A wiesz, jakie paskudne rzeczy miasta pozostawiają po sobie, kiedy giną?

Gapisz się na nią. Hoa też, ale on gapi się tak na wszystko. Następnie urządzenie na manierce przestaje stukać, a bezwspółnotowa pochyła się, żeby je zdjąć. Jakiś podłużny przedmiot – kawałek kory drzewnej? – zwisa z niego, zanurzony w wodzie.

– Bezpiecznie – oświadcza kobieta i dopiero wtedy dostrzega, że się w nią wpatrujesz. Podnosi niewielki pasek. – Wykonano go z tej samej rośliny, z której robi się bezpiecznik. Kojarzysz? To ta powitalna herbatka. Dodałam jednak coś od siebie, żeby wychwycić substancje, których bezpiecznik nie wykrywa.

– Nie ma nic takiego – wykrztuszasz z siebie, a potem milkniesz, zakłopotana, kiedy ona posyła ci wymowne spojrzenie. Teraz musisz dokończyć. – To znaczy... nic, czego nie wykryłby bezpiecznik, nie może człowiekowi zaszkodzić.

To przecież jedyny powód, dla którego ludzie piją to coś, co smakuje jak rozgotowane gówno.

Teraz kobieta wygląda na zdenerwowaną.

– To nieprawda. Gdzie, u rdzy, usłyszałaś coś takiego? – Uczyli was tego w szkole w Tirimo, ale zanim udaje ci się odpowiedzieć, ona ciągnie dalej: – Bezpiecznik jest nieskuteczny przy niskich temperaturach, każdy o tym wie. Płyny muszą być w temperaturze pokojowej. Nie wykrywa też rzeczy, które zabijają cię w ciągu kilku miesięcy zamiast kilku minut. Wielkie to pocieszenie, że nie umrzesz dzisiaj, skoro za rok mięso zacznie ci odchodzić od kości!

– Jesteś geodziarką – wypalasz. Wydaje się to niemożliwe. Spotkałaś w życiu kilku geodziarzy. Posiadają oni wszystkie cechy, które co bardziej życzliwi ludzie przypisują górotworom: są tajemniczy, niepokojący i obdarzeni wiedzą, której nie powinien posiadać żaden śmiertelnik. Tylko geodziarz mógłby tak dobrze znać tak wiele bezużytecznych faktów.

– Nie, nie jestem. – Kobieta podnosi się, niemal puchnąc z wściekłości. – Nie należę do tych, którzy słuchają jakichś durniów z uniwersytetu. Nie jestem głupia.

Znowu gapisz się na nią, zakłopotana. Wtedy też woda w twojej manierce się przelewa, więc rozglądasz się za nakrętką. Kobieta przestaje pompować, a potem wsuwa urządzenie z kory drzewnej do kieszeni ukrytej wśród fałd spódnicy i szybkimi, zręcznymi ruchami zaczyna rozwijać jeden z mniejszych pakunków, które leżą u jej stóp. Wyjmuje manierkę – takiej samej wielkości jak twoja – i ciska ją na bok, a następnie odrzuca też opróżniony worek. Przyglądasz się tym dwóm przedmiotom. Byłoby ci łatwiej, gdyby chłopiec mógł nieść własne zapasy.

– Jak masz zamiar to zabrać, to lepiej zabieraj – odzywa się kobieta, i choć na ciebie nie patrzy, domyślasz się, że odłożyła te przedmioty specjalnie. – Ja tu nie zostaję i wy też nie powinniście.

Nachylasz się po manierkę i pusty worek. Kobieta znowu pomaga ci w nalewaniu wody, a potem wraca do przetrząsania swoich rzeczy. Przywiązujesz do worka swoją manierkę i śpiwór, który wcześniej podniosłaś, a potem przepakowujesz kilka drobiazgów do mniejszej torby, którą poniesie chłopiec.

– Czy wiesz, co się stało? Kto i co tu zrobił? – wskazujesz w kierunku, z którego wcześniej dotarły do ciebie krzyki.

– Wątpię, że to był „ktoś” – stwierdza kobieta. Odrzuca na bok kilka opakowań zepsutego jedzenia, dziecięce spodnie, które mogłyby pasować na Hoę, i książki. Kto podczas ucieczki wkłada książki do worka z najbardziej niezbędnymi przedmiotami? Bezwspółnotowa rzuca jednak okiem na tytuł każdej z nich. Tymczasem ty podnosisz spodnie z rosnącej wciąż sterty. Ona nie zwraca na to uwagi.

– A więc twierdzisz, że to był atak jakichś zwierząt? – pytasz.

– Nie widziałaś ciała?

– Nie wiedziałam w ogóle, że ktoś zginął. Ludzie krzyczeli i uciekali, więc my też uciekliśmy.

Kobieta wzdycha.

– Może to rozsądne, ale tracisz w ten sposób pewne... okazje – Jakby na dowód tego stwierdzenia odkłada kolejny worek, który opróżniła, i wstaje, zarzucając na ramię dwa ostatnie. Jeden z nich wygląda na znacznie bardziej wysłużony i wygodny niż drugi; to ten, z którym tutaj przyszła. Połączyła ze sobą manierki za pomocą szpagatu, dzięki czemu nie zwisają z plecaka, tylko równo przylegają jej do pleców, opierając się o wyraźną krzywiznę jej tyłka. Nagle posyła ci groźne spojrzenie. – Nie idźcie za mną.

– Nie zamierzaliśmy.

Mniejszy worek podróżny dla Hoi jest już gotowy. Zakładasz własny na ramiona, upewniając się, że leży prosto i wygodnie.

– Mówię poważnie. – Kobieta nieznacznie pochyła się do przodu, a jej twarz wydaje się wręcz dzika. – Nie wiesz, do czego wracam. Być może żyję w jakimś otoczonym ścianami miejscu razem z pięćdziesięcioma zardzewiaczami takimi jak ja. Być może mamy tam pilniki do zębów i książkę kucharską pod tytułem *Soczyści głupi ludzie*.

– W porządku, w porządku. – Robisz krok w tył, co chyba nieco ją uspokaja. Kiedy poprawia na plecach swoje bagaże, napięcie na jej twarzy ustępuje. Ty też masz już to, po co przyszłaś, pora więc stąd wyjść. Chłopiec wygląda na zadowolonego, kiedy wręczasz mu jego worek i pomagasz odpowiednio założyć go na plecy. Tymczasem bezwspółnotowa kobieta mija cię w drodze do drzwi, a jakaś pozostałość dawnej ciebie każe ci powiedzieć: – A tak w ogóle to dziękuję.

– Do usług – odpowiada beztrasko i nagle przystaje. Patrzy na coś za drzwiami. Wyraz jej twarzy sprawia, że podnoszą ci się włosy na karku. Szybko podchodzisz do drzwi, żeby też to zobaczyć.

To kirkhus – jedno z tych porośniętych futrem zwierząt o długim ciele, których ludzie ze środka kontynentu używają zamiast psów, ponieważ na posiadanie psów pozwolić sobie mogą co najwyżej najbardziej zamożni mieszkańcy Równikiady. Kirkhus bardziej przypomina jednak wielką wydrę niż psiaka. Zwierzęta te łatwo można wyszkolić, są też bardzo tanie w utrzymaniu, bo jedzą tylko liście niskich krzewów i owady, które lęgną się na ich ciałach. Ich młode są jeszcze słodsze niż psie szczenięta... ale ten kirkhus wcale nie jest słodki. To dobre pięćdziesiąt kilogramów zdrowego mięsa i ciało pokryte lśniącym futrem. Ktoś bardzo go kochał, przynajmniej do niedawna: na szyi ma elegancką skórzaną obrozę. Kirkhus warczy, a kiedy wychodzi z trawy na drogę, widzisz czerwone plamy na sierści wokół jego pyska i na chwytnych łapach zakończonych pazurami.

Na tym właśnie polega problem z kirkhusami. I to dlatego każdy może sobie na nie pozwolić. Jedzą liście, ale tylko do momentu, kiedy wyczują w nich pewną ilość popiołu, bo ten budzi w nich uspięne na co dzień instynkty. Wtedy się zmieniają. Podczas Sezonu wszystko się zmienia.

– Cholera – szepczesz.

Bezwspółnotowa kobieta syczy, a ty cała się napinasz, czując, że twoja świadomość sięga ziemi. (Odruchowo wyciągasz ją z powrotem. Nie wśród innych ludzi. Nie, jeśli masz jakiś wybór). Kobieta stoi przy skraju asfaltu, skąd prawdopodobnie zamierzała zejść w dolinę, a potem udać się w kierunku

odległego skupiska drzew. Jednak niedaleko drogi, w okolicach miejsca, skąd wcześniej dobiegały krzyki, widzisz gwałtownie poruszającą się trawę i słyszysz ciche stęknienia oraz jęki kolejnych kirkhusów – nie wiesz ilu. Wiesz za to, że są zajęte. Jedzą.

Ten najbliżej was był zwierzęciem domowym. Być może pamięta swojego właściciela. Być może zawahał się, kiedy pozostałe zaatakowały, i ledwie skosztował mięsa, które od teraz do końca Sezonu będzie głównym składnikiem jego diety. Jeśli nie zrezygnuje ze swoich dotychczasowych przyzwyczajzeń, pozostanie głodny. Spaceruje po asfalcie tam i z powrotem, jakby próbował zdecydować, co zrobić – jednak nie odchodzi. Ma waszą trójkę w potrzasku, ale walczy ze swoim sumieniem. Biedactwo.

Wykonujesz krok do przodu i szepczesz do Hoi – a także do kobiety, jeśli w ogóle cię słucha:

– Nie ruszajcie się.

Zanim jednak udaje ci się znaleźć coś nieszkodliwego, co mogłabyś wykorzystać – na przykład inkluzję skalną albo zbiornik wodny – aby zabrać ciepło z otoczenia i życie z ciała tej przerośniętej wiewiórki, Hoa spogląda na ciebie i rusza do przodu.

– Powiedziałaś, żebyś... – Chwytasz go za ramię, żeby go zatrzymać, lecz bezskutecznie: to jak próbować poruszyć skałę ubraną w kurtkę.

Słowa zostają ci w gardle, a chłopiec idzie przed siebie. Uświadamiasz sobie, że jest nie tylko nieposłuszny; w jego postawie widać spokój i pewność. Nie jesteś pewna, czy w ogóle zauważył, że próbowałaś go zatrzymać.

Następnie chłopiec staje naprzeciw zwierzęcia. Kirkhus przestał warczeć i stoi w miejscu, napięty jakby... moment. Co się dzieje? On wcale nie zamierza atakować. Opuszcza łeb i niepewnie porusza masywnym ogonem. To gest obronny.

Chłopiec odwrócony jest do ciebie plecami. Nie widzisz jego twarzy, ale w jednej chwili jego krępa i mała sylwetka przestaje wydawać się mała, nie jest też bezbronna. Hoa unosi rękę i wyciąga ją w kierunku kirkhusa, jakby dawał mu ją do powąchania. Jakby to nadal było domowe zwierzątko.

Kirkhus atakuje.

Jest szybki. Widzisz tylko drgnienie jego mięśni i już jest dwa metry dalej, z zębami zaciśniętymi na przedramieniu chłopca. O Ziemi, nie możesz na to patrzeć, nie możesz patrzeć na dziecko umierające przed tobą tak, jak umarł Uche... Jak mogłaś dopuścić do jednego i drugiego? Jesteś najgorszym człowiekiem na świecie.

Ale być może... Jeśli zdołasz się skupić, być może uda ci się zamrozić zwierzę i ocalić chłopca... Opuszczasz więc wzrok i próbujesz się skoncentrować, podczas gdy kobieta obok ciebie wzdycha, a krew chłopca bryzga na asfalt. Spoglądanie na okaleczonego Hoę utrudniłoby ci zadanie, a najważniejsze jest przecież uratowanie mu życia, nawet jeśli miałby stracić rękę. Zaraz jednak...

Zapada cisza.

Podnosisz wzrok.

Kirkhus przestał się poruszać. Stoi nieruchomo, z zębami zaciśniętymi na przedramieniu chłopca i oczami pełnymi... czegoś więcej niż tylko dzika furia. Zaczyna nieznacznie drżeć. Słyszysz, jak wydaje z siebie krótki, urwany dźwięk, coś jak głuchy skowyt.

Następnie porusza się jego futro. (Co...?) Marszczysz brwi i mrużysz oczy, ale z tak niewielkiej odległości wyraźnie to widać. Każdy włos wygina się w inną stronę. Zaraz potem zwierzę zaczyna lśnić. (Co?!). I zastyga w bezruchu. Dociera do ciebie, że nieruchome są nie tylko jego mięśnie, ale też wszystkie inne tkanki. Nieruchome... jak bryła.

Chwilę później widzisz, że cały kirkhus jest nieruchomą bryłą.

Co...

Nie rozumiesz tego, co widzisz, więc patrzysz dalej, zupełnie zbita z tropu. Oczy zwierzęcia zamieniają się w szkło, pazury wyglądają jak kryształy, a kły wydają się wykonane z jakichś włókien w kolorze ochry. Energia zamieniła się w bezruch; mięśnie są twarde jak skała, i to w sensie dosłownym. Futro było ostatnią częścią jego ciała, która się zmieniła – falowało, kiedy torebki włosowe pod spodem przekształcały się w coś innego.

Ty i bezwspółnotowa kobieta po prostu się gapicie.

Wow.

Naprawdę. To właśnie myślisz. Nie stać cię na nic innego. Wow.

Wystarczy to jednak, żebyś się ruszyła. Podchodzisz do przodu, żeby spojrzeć na całą tę nieruchomą scenę z innego kąta, ale nic tak naprawdę się nie zmienia. Chłopiec nadal wydaje się cały i zdrowy, choć jego ramię do połowy znajduje się w gardle zwierzęcia. Kirkhus wciąż jest cholernie martwy. Tak. Cholernie martwy.

Hoa spogląda na ciebie i nagle sobie uświadamiasz, jak bardzo nieszczęśliwy ma wyraz twarzy. Jakby było mu wstyd. Dlaczego? Ocalił wam życie, nawet jeśli sposób, w jaki to zrobił, był... Nie masz pojęcia, co to było.

– Czy ty to zrobiłeś?

Spuszcza wzrok.

– Nie chciałem, żebyście to widziały.

W porządku. Zastanowisz się nad tym później.

– Co właściwie zrobiłeś?

Chłopiec zaciska wargi.

No tak, teraz będzie się dąsał. Ale być może nie jest to odpowiedni moment na rozmowę, zważywszy, że jego ręka nadal tkwi w szklanych zębach potwora. Kły przebiły skórę; po szczęce, która nie jest już ciałem, spływa krew.

– Twoja ręka. Poczekaj... – Rozglądasz się dookoła. – Znajdę coś, żeby ją oswobodzić.

Hoa wygląda, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o własnym ramieniu. Spogląda na ciebie raz jeszcze, najwyraźniej niezadowolony z faktu, że to wszystko widzisz, a potem wzdycha z rezygnacją. Szarpie ręką, zanim zdążysz go poprosić, żeby tego nie robił, bo wyrządzi sobie jeszcze większą krzywdę.

Łeb kirkhusa pęka. Wielkie kawały ciężkiego kamienia uderzają o ziemię, unosi się lśniący pył. Ręka chłopca krwawi mocniej, ale jest uwolniona. Hoa porusza palcami. Są sprawne. Opuszcza ramię wzdłuż tułowia.

Na widok rany reagujesz, chwytając go za dłoń, bo wreszcie możesz coś zrobić. Chłopiec wyrywa ci się jednak, zasłaniając ślady po zębach drugą ręką.

– Hoa, pozwól mi...

– Nic mi nie jest – odpowiada cicho. – Powinniśmy już iść.

Reszta kirkhusów nadal jest blisko, choć pozostaje zajęta pożeraniem jakiegoś biednego durnia leżącego w trawie. Ten posiłek kiedyś jednak się skończy. Co gorsza, to tylko kwestia czasu, kiedy inni zdesperowani ludzie podejmą decyzję o powrocie przed zajazd, licząc na to, że złe stworzenia już sobie poszły.

W końcu cierpienie spycha strach z powrotem w głąb ciebie, zastępując go uczuciami, które lepiej znasz. Czy chłopiec zrobił to, bo nie wiedział, że potrafisz sama się obronić? A może kierowało nim coś innego? Ostatecznie nie ma to znaczenia. Nie masz pojęcia, co począć z potworem, który potrafi zmieniać żywe istoty w posągi, wiesz za to, jak postępować z nieszczęśliwym dzieckiem.

Poza tym masz duże doświadczenie w opiece nad dziećmi, które są potworami.

Podajesz mu więc rękę. Hoa wygląda na zaskoczonego. Patrzy na twoją dłoń, a później na ciebie, a w jego spojrzeniu widzisz coś całkowicie ludzkiego, bo w tym momencie jest ci po prostu wdzięczny. Zaskakujące, ale dzięki temu ty też czujesz się trochę bardziej człowiekiem.

Chwyta twoją dłoń. Wydaje się, że ani trochę nie osłabł z powodu odniesionych ran, pociągasz go więc za sobą, obracając się i ruszając na południe. Bezwspólnotowa kobieta w milczeniu podąża za wami: być może idzie w tym samym kierunku, a może po prostu uznała, że im was więcej, tym lepiej. Żadne z was się nie odzywa, bo nie ma tu już nic do powiedzenia.

W dolinie za wami kirkhusy wciąż jedzą.

Strzeż się terenów na ruchomej skale. Strzeż się krzepkich nieznajomych.

Strzeż się nagłej ciszy.

Tablica Pierwsza, *O Przetrwaniu*, werset trzeci

DAMAYA W SAMYM CENTRUM KŁOPOTÓW

Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem.

Pobudka następuje o świcie. Dla Damai to żaden problem, bo w domu wstawała tak samo wcześniej. Inne żwiry – bo tym właśnie teraz jest, nieistotnym kawałkiem skały, który zostanie wypolerowany przynajmniej na tyle, aby pomagać innym żwirom – budzą się jednak dopiero wtedy, kiedy jeden z instruktorów wchodzi do sali sypialnej i potrząsa boleśnie głośnym dzwonkiem, na dźwięk którego wzdrygają się wszyscy, nawet ci, którzy już nie śpią. Wszyscy stękają, Damaya również. Lubi to. Dzięki temu czuje się częścią czegoś większego.

Wstają i składają pościel w wojskowym stylu. Potem człapią pod prysznic, oświetlone białym elektrycznym światłem, wyłożone lśniącymi kafelkami i pachnące ziołowymi środkami do czyszczenia. Fulcrum zatrudnia Mocarnych i bezwspółnotowych ze slumsów w Yumenes, żeby tu sprząтали. Z tego oraz innych powodów prysznic są cudowne. Damaya nigdy wcześniej nie mogła używać na co dzień ciepłej wody, która całymi tonami spływa tutaj z dziur w suficie niczym najdoskonalszy deszcz. Stara się tego nie okazywać, ponieważ niektóre żwiry pochodzą z Równikiady i na pewno śmiałyby się z wieśniary zafascynowanej tak łatwym i wygodnym sposobem utrzymania czystości. Ale to prawda, jest zafascynowana.

Potem żwiry myją zęby i wracają do sali sypialnej, żeby się ubrać i wyszykować. Na ich mundury składają się sztywne spodnie z szarego materiału oraz bluzy z czarnymi lamówkami – chłopcy i dziewczęta noszą to samo. Dzieci, których włosy są na tyle długie, aby można było uczesać je i związać z tyłu, muszą tak właśnie robić; te z kręconymi, popiołowymi albo krótkimi włosami mają z kolei obowiązek porządnie je układać. Następnie żwiry muszą stać przed swoimi łózkami, podczas gdy instruktorzy chodzą pomiędzy nimi, przeprowadzając inspekcję. Instruktorzy muszą się upewnić, że żwiry są naprawdę czyste. Oglądają również łóżka, żeby sprawdzić, czy nikt nie zasikał pościeli albo nie złożył jej byle jak. Żwiry, które nie są do końca czyste, wysyła się z powrotem pod prysznic – tym razem woda jest zimna, a instruktor stoi obok, nadzorując mycie. (Damaya dba o to, aby nigdy nie musieć tego robić, bo brzmi to okropnie). Żwiry, które nie ubrały się odpowiednio albo nie pościeliły łóżek jak należy, kierowane są na Dyscyplinę, gdzie otrzymują stosowną karę. Nieuczesane włosy obcina się bardzo krótko, a osoby, które dopuściły się podobnego naruszenia kilka razy, golone są na łyso. Nieumycie zębów skutkuje czyszczeniem jamy ustnej za pomocą mydła. Za niewłaściwy ubiór otrzymuje się pięć cięgow na nagie pośladki lub plecy, za niewłaściwe pościelenie łóżka – dziesięć. Podczas chłosty skóra nie pęka – instruktorzy są wyszkoleni, aby uderzać z odpowiednią siłą – ale pozostają na niej pręgi, które podrażnia później sztywny materiał munduru.

– Reprezentujecie nas wszystkich – tłumaczą instruktorzy, jeśli któryś ze żwirów próbuje protestować przeciwko takiemu traktowaniu. – Jeśli jesteście brudni, to tak, jakbyśmy wszyscy byli brudni. Jeśli jesteście leniwi, to jakbyśmy wszyscy byli leniwi. Krzywdzimy was, żebyście nie wyrządzili krzywdy nam wszystkim.

Damaya miała raz ochotę sprzeciwić się niesprawiedliwości takich osądów. Dzieci w Fulcrum różnią się między sobą wiekiem, kolorem skóry i budową ciała. Mówią po sanzeńsku z różnymi akcentami, bo wywodzą się z różnych części świata. Jedna dziewczynka ma zaostrome zęby, ponieważ w okolicach, z których pochodzi, panuje zwyczaj ich piłowania, pewien chłopiec nie ma penisa, ale po każdym prysznicu wkłada w majtki skarpetę, a jeszcze inna dziewczynka jadała w domu bardzo nieregularnie,

dlatego rzuca się na każdy posiłek, jakby nadal głodowała. (Instruktorzy wciąż znajdują jedzenie ukryte w jej łóżku. Każą jej wtedy zjeść wszystko na ich oczach, nawet jeśli miałyby zwymiotować). Nie można oczekiwać tego samego od tak różnych dzieci, a Damaya nie chce być oceniana na podstawie zachowania tych, z którymi łączy ją jedynie przekleństwo górotwórstwa.

Rozumie jednak, że świat nie jest sprawiedliwy. Są górotworami, Misalemami tego świata, istotami przerażającymi i naznaczonymi klątwą. To wszystko jest niezbędne dla celów bezpieczeństwa. W każdym razie jeśli będzie robić to, co do niej należy, nie wydarzy się nic niespodziewanego. Jej łóżko zawsze jest idealnie posłane, a zęby białe i czyste. Kiedy zaczyna zapominać o tym, co jest ważne, spogląda na swoją prawą dłoń, która w chłodniejsze dni wciąż pulsuje bólem, choć kości zrosły się w ciągu kilku tygodni. Damaya pamięta ból i lekcję, jaką otrzymała.

Po inspekcji przychodzi pora na śniadanie – to tylko odrobina owoców i kawałek przyrządzonej po sanzeńsku kiełbaski, które dzieci odbierają w holu przed salą sypialną i zjadają po drodze. W niewielkich grupach chodzą później na lekcje odbywające się w różnych budynkach Fulcrum, które starsze żwiry nazywają donicami, choć nie powinny tak mówić. (Jest wiele rzeczy, które żwiry mówią do siebie, a których nie mogłyby powtórzyć w obecności dorosłych. Dorosli o tym wiedzą, ale udają, że nie wiedzą. Świat jest niesprawiedliwy i czasami bezsensowny).

Pierwszy wykład wygłasza w zadaszonej donicy jeden z instruktorów Fulcrum, a dzieci siedzą na krzesłach z pulpitemi. Czasami odbywają się ustne sprawdziany, polegające na odpytywaniu kolejnych żwirów, aż któryś się zająknie. Osoba, której się to przydarza, czyści później wszystkie pulpity. W ten sposób żwiry uczą się zachowywania spokoju pod presją.

– Jak nazywał się pierwszy cesarz Starego Sanze?

– Wstrząs w Etra emituje fale uderzeniowe o godzinie szóstej trzydzieści pięć i siedem sekund, a fale wibracyjne o szóstej trzydzieści siedem i dwadzieścia siedem sekund. Ile wynosi opóźnienie czasowe? – W starszych klasach to zadanie staje się bardziej skomplikowane; dochodzą do niego funkcje i logarytmy.

– Mądrość kamieni radzi: „Szukajcie środka okręgu”. Dlaczego to stwierdzenie jest błędne?

Na to właśnie pytanie Damaya trafia pewnego dnia. Wstaje, aby udzielić odpowiedzi.

– Stwierdzenie wyjaśnia, w jaki sposób orientacyjnie określić położenie górotwora za pomocą mapy – tłumaczy. – Jest nieprawidłowe, to znaczy zbyt uproszczone, bo obszar konsumpcji górotwora nie jest okrągły, ale toroidalny. Wielu ludzi nie rozumie, że strefa oddziaływania rozciąga się również w górę i w dół i że wykwalifikowany górotwór może nadawać jej inne kształty.

Instruktor Marcasite z uznaniem kiwa głową, co wzbudza w Damai poczucie dumy. Lubi znać właściwe odpowiedzi. Tymczasem Marcasite kontynuuje:

– A ponieważ trudniej byłoby zapamiętać mądrości kamieni, gdyby znajdowały się w nich sformułowania w rodzaju: „Szukajcie centralnego miejsca o stożkowatym torusie”, pozostajemy przy środkach i okręgach. Poświęcamy dokładność na rzecz poezji.

Klasa wybucha śmiechem. To wcale nie jest aż takie zabawne, ale w dni sprawdzianów panuje nerwowe napięcie.

Po wykładach wszyscy idą na obiad wydawany na dużym dziedzińcu wydzielonym specjalnie w tym celu. Dziedziniec zadaszony jest płachtami olejowanego płótna, które można rozwijać w deszczowe dni, choć w Yumenes, położonym głęboko w środku łądu, zdarzają się one bardzo rzadko. Żwiry jedzą więc zazwyczaj pod gołym niebem, usadzone w ławach przy długich stołach, chichocząc, kopiąc się nawzajem i przezywając. Lekkie śniadanie rekompensują obfite i różnorodne potrawy, które najczęściej pochodzą z odległych regionów i których nazw Damaya nie zna. (Zawsze zjada jednak swoją porcję. Babunia nauczyła ją, żeby nie marnować jedzenia).

To jej ulubiona chwila w ciągu dnia, mimo że należy do tych żwirów, które siedzą zazwyczaj same przy pustych stołach. Zauważyła, że wiele innych dzieci też tak robi – zbyt wiele, aby można było uznać, że żadne z nich nie zdołało się z nikim zaprzyjaźnić. Jest w nich coś charakterystycznego, co Damaya natychmiast uczy się rozpoznawać: pewna potajemność ruchów, wahanie, nerwowe spojrzenie i napięte rysy twarzy. Część nosi też bardziej widoczne ślady poprzedniego życia. Na przykład chłopiec z Zachodniego Wybrzeża, którego jedna ręka kończy się powyżej łokcia i który mimo to pozostaje bardzo sprawny. Połowę twarzy sanzeńskiej dziewczynki, starszej od niego może o pięć lat, pokrywają przeplatające się blizny po oparzeniach. Jest też inny żwir, który trafił tu później niż Damaya i którego dłoń znajduje się w specjalnej skórzanej rękawicy bez palców zawiązanej wokół nadgarstka. Damaya rozpoznaje ją, bo przez pierwsze kilka tygodni w Fulcrum, kiedy jej ręka dopiero się goiła, nosiła taką samą.

Ona i pozostali, którzy siadają na osobności, nie patrzą na siebie zbyt często.

Po obiedzie żwiry przemierzają Ogród Pierścienia w długich, milczących kolumnach. Pilnowane są przez instruktorów, którzy dbają o to, żeby ich podopieczni nie rozmawiali ani nie gapili się zbyt na dorosłe górotwory. Damaya oczywiście się gapi. Każdy chce wiedzieć, kim się stanie, kiedy zacznie zdobywać pierścienie. Ogród jest cudowny, podobnie jak same górotwory: to dorośli przedstawiciele różnych ras, wszyscy zdrowi i piękni dzięki swej pewności siebie. W czarnych mundurach i wypolerowanych butach wyglądają groźnie i niedostępnie. Kiedy gestykują, przewracają kartki książek, których wcale nie muszą czytać, albo zakładają kochankom kosmyki włosów za ucho, ich upierścienione palce błyszczą i migoczą.

Damaya widzi w nich coś, czego z początku nie rozumie, choć pragnie tego tak bardzo, że zaskakuje ją to i niepokoi. Kiedy mijają pierwsze tygodnie i miesiące, a ona przyzwyczaja się do panującej w tym miejscu rutyny, zaczyna rozumieć, że tym, co dostrzega w starszych górotworach, jest kontrola. Oni opanowali swoją moc. Żaden upierścieniony górotwór nie zamroziłby dziedzica tylko dlatego, że jakiś chłopiec popchnął go na ziemię. Żaden z tych gładkich, odzianych na czarno zawodowców nie zwróciłby większej uwagi na silny wstrząs czy odrzucenie przez rodzinę. Oni wiedzą, kim są, zaakceptowali to i nie obawiają się niczego – ani nieruchomych, ani samych siebie, ani nawet Ojca Ziemi.

Jeśli osiągnięcie tego będzie wymagało od Damai złamania kilku kości lub spędzenia kilku lat w miejscu, gdzie nikt jej nie kocha ani nawet nie lubi, to w porządku.

Z tą myślą udaje się na popołudniowe szkolenie z zastosowań górotwórstwa. Damaya i pozostałe żwiry o podobnym poziomie zaawansowania stają w rzędzie w jednej z donic usytuowanych w najbardziej wewnętrznym pierścieniu kompleksu Fulcrum. Pod czujnym okiem instruktora uczą się oddychać, wizualizować i wykorzystywać swoją więź z ziemią świadomie, a nie w odruchowej reakcji na jej ruchy czy własne zdenerwowanie. Uczy się kontrolować swój niepokój i inne emocje, które mogłyby sprawić, że drzemiąca w niej moc uwolni się w obliczu nieistniejącego zagrożenia. Będące na tym poziomie żwiry nie mają odpowiedniej samokontroli, dlatego nie pozwala im się niczego poruszać. Jakimś sposobem instruktorzy potrafią stwierdzić, kiedy żwiry są już na gotowe, a ponieważ posiadają pierścienie, umieją też przebić rozwijający się torus dziecka w sposób, którego Damaya jeszcze nie rozumie – jest to jakby ostrzegawczy klaps lodowatego powietrza. Podkreślają w ten sposób ważność lekcji, a jednocześnie nadają wiarygodności plotce, którą starsze żwiry powtarzają po zgaszeniu świateł. „Jeśli popełnisz na szkoleniach zbyt wiele błędów, instruktor cię zamrozi”.

Dopiero wiele lat później Damaya zrozumie, że kiedy instruktor zabija myślącego się ucznia, nie robi tego, aby go ukarać, ale aby okazać mu litość.

Po zastosowaniach górotwórstwa przychodzi pora na kolację i godzinę czasu wolnego, kiedy żwiry mogą robić, co chcą – w ramach wyznaczonych im granic. Nowe żwiry zazwyczaj szybko chodzą spać,

wykończone nauką kontrolowania niewidzialnych mięśni. Starsze dzieci są bardziej wytrzymałe, dlatego przed wydaniem przez instruktorów komendy zgaszenia świateł w sali sypialnej rozbrzmiewają wybuchy śmiechu i odgłosy zabawy. Następnego dnia wszystko zaczyna się od nowa.

Tak mija pół roku.

Podczas obiadu podchodzi do Damai jeden ze starszych żwirów. Jest wysokim Równikejczykiem o rysach niezupełnie sanzeńskich. Ma popiołowe włosy, ale ich kolor to zaściankowy blond. Jest szeroki w ramionach i zaczyna już przypominać Mocarnych, co natychmiast wzbudza w Damai strach. Dziewczynka nadal wszędzie widzi Zaba.

Chłopiec uśmiecha się jednak, a kiedy zatrzymuje się obok stolika, przy którym samotnie siedzi Damaya, w jego ruchach nie widać żadnej agresji.

– Mogę się dosiąść?

Damaya wzrusza ramionami, bo nie chce towarzystwa, ale wbrew sobie odczuwa ciekawość. Chłopak kładzie na stole swoją tacę i siada.

– Jestem Arkete.

– To nie jest twoje imię – odpowiada mu, a jego uśmiech częściowo znika.

– Nadali mi je rodzice – wyjaśnia chłopak poważniejszym tonem – i zamierzam zachować je do momentu, kiedy wymyślą tu sposób, żeby mi je odebrać. Co nigdy im się nie uda, no bo wiesz, to jest przecież imię. Ale oficjalnie jestem Maxixe, jeśli tak wolisz.

To nazwa najwyższej jakości akwamaryny, wykorzystywanej niemal wyłącznie w sztuce. Pasuje do niego; jest przystojny, pomimo ewidentnych korzeni arktycznych lub antarktycznych (Damaya nie zwraca na to uwagi, w przeciwieństwie do Równikejczyków), i jak większość potężnych, przystojnych chłopaków wygląda na niebezpiecznego. Z tego właśnie powodu Damaya postanawia, że będzie go nazywała Maxixe.

– Czego chcesz?

– Wow, naprawdę dbasz o popularność. – Maxixe zabiera się do jedzenia, opierając łokcie na stole. (Najpierw upewnia się jednak, że w pobliżu nie ma żadnych instruktorów, którzy mogliby dać mu upomnienie za taki brak manier).

– Wiesz, jak to zwykle bywa, nie? Przystojny i popularny chłopak nagle okazuje zainteresowanie szarej myszce ze wsi. Wszyscy jej w związku z tym nienawidzą, ale ona zyskuje coraz większą pewność siebie. Następnie chłopak ją zdradza i tego żałuje. To dla niej okropne, ale jednocześnie dziewczyna „odnajduje siebie” i uświadamia sobie, że wcale go nie potrzebuje, no i oprócz tego coś tam jeszcze się dzieje – mówiąc to, przebiera palcami w powietrzu – a potem ona zmienia się w największą piękność, bo w końcu się polubiła. Ale to wszystko nie zadziała, jeśli nie będziesz teraz się rumienić, jąkać i udawać, że mnie nie lubisz.

Słuchając tej paplaniny, Damaya czuje się kompletnie zdezorientowana. Jest tak bardzo rozzłoszczona, że odpowiada:

– Ale ja cię naprawdę nie lubię.

– Au. – Maxixe wykonuje ruch, jakby dźgnięto go w serce. Jego błazeństwa sprawiają, że Damaya rozluźnia się trochę, wbrew sobie. Widząc to, on z kolei się uśmiecha. – No, już lepiej. Co ty, nie czytasz książek? Nie mieliście w tej swojej dziurze żadnego mędrca?

Damaya nie czyta książek, bo nie jest jeszcze zbyt dobra w czytaniu. Jej rodzice nauczyli ją podstaw, a instruktorzy wyznaczyli jej tygodniową normę dodatkowej lektury, żeby podciągnęła się na tym polu.

Nie zamierza jednak się do tego przyznawać.

– Oczywiście, że mieliśmy mędrców. Uczyli nas mądrości kamieni i tłumaczyli, w jaki sposób przygotować się do...

– Aj. Czyli mieliście prawdziwych mędrców. – Chłopak kręci głową. – Tam, gdzie dorastałem, słuchali ich jedynie nauczyciele i najnudniejsi geodziarze. Wszyscy lubili za to mędrców rozrywkowych, wiesz, tych, którzy występują w barach i w teatrach. Ich opowieści niczego nie uczą. Są po prostu ciekawe.

Damaya nigdy o czymś takim nie słyszała, ale może to tylko równiadowa moda, która nie dotarła jeszcze do Nomidlatów.

– Ale mędrzy głoszą mądrości kamieni. O to przecież chodzi. Jeśli ci ludzie tego nie robią, to chyba powinni być nazywani... nie wiem, jakoś inaczej, nie?

– Może. – Chłopak wzrusza ramionami i zabiera kawałek sera z jej talerza; Damaya jest tak podekscytowana historią o rozrywkowych mędrkach, że nawet nie protestuje. – Prawdziwi mędrzy narzekali na nich Przywódcom Yumenes, ale nic więcej nie wiem. Przywieźli mnie tu dwa lata temu i od tamtej pory niczego nie słyszałem – mówiąc to, wzdycha. – Mam nadzieję, że rozrywkowi mędrzy nie znikną. Lubię ich, mimo że ich historie są trochę głupie i przewidywalne. Oczywiście ich akcja dzieje się w prawdziwych szkołach, a nie w miejscach takich jak to. – Z niezadowoleniem rozgląda się dookoła, a kąciki ust nieznacznie mu opadają.

Damaya dobrze wie, o co mu chodzi, ale chce sprawdzić, czy powie to na głos.

– Takich jak to, czyli jakich?

Chłopak spogląda na nią. Odsłania zęby w uśmiechu, który prawdopodobnie częściej oczarowuje innych, niż przeraża.

– No wiesz. W pięknych, cudownych, idealnych miejscach pełnych miłości i blasku.

Damaya wybucha śmiechem i szybko się hamuje. Chwilę później nie wie nawet, dlaczego właściwie zaczęła się śmiać i dlaczego przestała.

– Tak. – Chłopak wraca do jedzenia, które sprawia mu wyraźną radość. – Kiedy tu przyjechałem, też przez jakiś czas powstrzymywałem się od śmiechu.

Damaya zaczyna go lubić; tylko trochę.

Po chwili uświadamia sobie, że on niczego od niej nie chce. Po prostu rozmawia z nią i częstuje się jej jedzeniem, co jest w porządku, bo i tak właściwie już skończyła. Chłopak wydaje się nie mieć nic przeciwko, kiedy nazywa go Maxixe. Damaya nadal mu nie ufa, ale najwyraźniej on potrzebuje po prostu z kimś pogadać. I ona to rozumie.

W końcu Maxixe wstaje i dziękuje jej „za tę pasjonującą rozmowę”, która była niemal wyłącznie jednostronna, a potem wraca do swoich przyjaciół. Damaya zapomina o nim i wraca do swojego życia.

Ale następnego dnia coś się zmienia.

Zaczyna się rano pod prysznicem, kiedy ktoś wpada na nią z takim impetem, że Damaya wypuszcza z ręki myjkę. Kiedy rozgląda się dookoła, nikt nie spogląda w jej stronę ani nie przeprasza. Uznaje więc, że ten ktoś wpadł na nią przypadkiem.

Kiedy jednak wychodzi spod prysznica, okazuje się, że skradziono jej buty. Uszykowała je razem ze swoimi ciuchami na łóżku, żeby przyspieszyć proces ubierania się. Robi to każdego ranka. A teraz buty zniknęły.

Szuka ich wszędzie, próbując się upewnić, czy gdzieś ich nie zostawiła, choć wie, że tak się nie stało. Podczas inspekcji stoi więc w nieskazitelnym mundurze, lecz boso, a kiedy spogląda na inne żwirry, wyraźnie unikające jej wzroku, wie już, co się dzieje.

W ramach kary musi szorować podłogi, a potem dostaje nowe buty i przez resztę dnia bolą ją poobcierane stopy.

To dopiero początek.

Tego samego wieczoru, przy kolacji, ktoś dolewa jej czegoś do soku. Żwiry, które nie potrafią odpowiednio zachować się przy stole, pracują za karę w kuchni, dzięki czemu mają dostęp do wszystkich wydawanych posiłków. Damaya zapomina o tym i nie zwraca uwagi na dziwny smak soku do momentu, kiedy zaczyna boleć ją głowa i trudno jej się skupić. Nawet kiedy, potykając się i chwiejąc, wraca do sali sypialnej, nie jest pewna, co się wydarzyło. Widząc jej nieskoordynowane ruchy, jeden z instruktorów odciąga ją na bok i sprawdza jej oddech.

– Ile wypiałś? – pyta.

W pierwszej chwili Damaya marszczy brwi, bo wypiała tylko zwykłą szklankę soku. Sens pytania zaczyna rozumieć dopiero po chwili, właśnie dlatego, że jest pijana: ktoś dolał jej do soku alkoholu.

Górotworom nie wolno pić. Nigdy. Moc przenoszenia gór plus oszołomienie alkoholowe oznaczają nieuchronną katastrofę. Instruktor, który zatrzymał Damayę, to Galena, jeden z młodszych czteropierścienników prowadzący popołudniowe treningi z górotwórstwa. W donicy jest bardzo surowy, ale z jakiegoś powodu teraz okazuje dziewczynce litość. Wywołuje ją z szeregu i prowadzi do swojej kwatery, która na szczęście znajduje się niedaleko. Tam kładzie ją na kanapie i każe porządnie się wyspać.

Rano, kiedy Damaya pije wodę i krzywi się, czując paskudny smak w ustach, Galena siada obok niej i mówi:

– Musisz natychmiast rozwiązać ten problem. Gdyby przyłapał cię któryś z seniorów...

Mówiąc to, kręci głową. Picie alkoholu jest wykroczeniem tak poważnym, że w przepisach nie określono nawet obowiązującej za nie kary. Konsekwencje byłyby przerażające; oboje to rozumieją.

Nieważne, dlaczego inne żwiry postanowiły ją nękać. Ważne jest, że to robią i że gotowe są posunąć się tak daleko. Próbują doprowadzić do tego, aby została zamrożona. Galena ma rację: trzeba rozwiązać ten problem. Jak najszybciej.

Damaya dochodzi do wniosku, że będzie potrzebować sojusznika.

Wśród innych samotników jest pewna dziewczyna, na którą zwróciła uwagę. Wszyscy zwrócili na nią uwagę; jest z nią coś nie tak. Jej górotwórstwo jest rozedrgane i niebezpieczne, niczym sztylet gotowy w każdej chwili zagłębić się w ziemi, a trening jedynie to pogorszył, bo teraz sztylet jest po prostu jeszcze ostrzejszy. Nie powinno było się to zdarzyć. Dziewczyna zwie się Selu i nie zasłużyła jeszcze na imię górotwórcze, ale pozostałe żwiry dla zabawy nazywają ją Wyrwą, i tak się już przyjęło. Ona reaguje nawet na to przezwisko, bo najwyraźniej uznała, że nie jest w stanie się od niego uwolnić.

Wszyscy plotkują, że sobie nie poradzi. Co oznacza, że doskonale będzie się nadawać.

Damaya wykonuje swój ruch następnego dnia przy śniadaniu. (Pije teraz tylko wodę, której sama zaczerpnęła z pobliskiej fontanny. Musi jeść to, co dostaje na stołówce, ale zanim włoży cokolwiek do ust, dokładnie to sprawdza).

– Cześć – mówi, stawiając swoją tacę na stole.

Wyrwa mierzy ją wzrokiem.

– Serio? Jest tak źle, że potrzebujesz mnie?

To dobrze, że od samego początku mogą być ze sobą szczerze.

– Tak – odpowiada Damaya i siada, skoro Wyrwa tak właściwie się temu nie sprzeciwiła. – Tobie też dokuczają, prawda?

Oczywiście, że tak. Damaya nie widziała, żeby to robili, ale nietrudno się tego domyślić. Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem.

Wyrwa wzdycha. Przez chwilę pomieszczenie lekko drży, a może to tylko wrażenie. Damaya nie reaguje, bo dobra znajomość nie powinna zaczynać się od okazywania strachu. Wyrwa dostrzega ten brak

reakcji i odrobinę się rozluźnia. Dygot, zapowiadający nieuchronną katastrofę, ustaje.

– Tak – odzywa się cichym głosem.

Damaya uświadamia sobie, że Wyrwa jest wściekła, choć ta nie odrywa wzroku od talerza. Jej palce zbyt mocno zaciskają się jednak na widelcu, a jej twarz jest nienaturalnie nieruchoma. W jednej chwili Damaya zaczyna się zastanawiać, czy problemem Wyrwy rzeczywiście jest brak kontroli. A może to jej dręczyciele robią wszystko, żeby wreszcie pękła?

– I co chcesz z tym zrobić?

Damaya przedstawia swój plan. Wyrwa najpierw się krzywi, a potem rozumie, że dziewczyna mówi serio. Kończą jeść w milczeniu, a Wyrwa zastanawia się nad tym, co usłyszała. W końcu oznajmia:

– Wchodzę w to.

Plan jest naprawdę prosty. Muszą znaleźć łeb węża, a najlepiej zrobić to za pomocą przynęty. Postanawiają, że będzie to Maxixe, bo oczywiście trzeba go w to zaangażować. Kłopoty Damai zaczęły się tuż po jego ostentacyjnie przyjacielskim wybryku. Któregoś ranka czekają więc, aż pójdzie z przyjaciółmi pod prysznic, a wtedy Damaya wraca do swojego łóżka.

– Gdzie moje buty? – pyta głośno.

Pozostałe żwiry rozglądają się dookoła, a niektóre wzdychają, gotowe uwierzyć, że dręczyciele są na tyle mało kreatywni, że wycięliby ten sam numer dwa razy. Jasper, który przebywa w Fulcrum tylko o kilka miesięcy dłużej niż Damaya, posyła jej groźne spojrzenie.

– Tym razem nikt nie zabrał ci butów – mówi. – Są w twoim kufrze.

– Skąd wiesz? Czy to ty je zabrałeś? – Damaya rusza w jego stronę, a on spotyka się z nią pośrodku pomieszczenia, urażony i spięty.

– Nic ci nie zabrałem! Jeśli ich nie ma, to znaczy, że je zgubiłeś.

– Ja nie gubię swoich rzeczy. – Dźga go palcem w pierś. Jasper pochodzi z Nomidlatów, tak samo jak ona, ale jest szczupły i blady, więc prawdopodobnie wychował się w jakiejś wspólnotie w pobliżu Arktyki. Kiedy wpada w złość, robi się czerwony; inne dzieci śmieją się z tego, ale tylko trochę, bo zwykle on dokucza im głośniej. (Prawdziwe górotwórstwo polega nie na tłumieniu, a na przesuwaniu mocy). – Jeśli ty ich nie wziąłeś, to wiesz, kto to zrobił.

Damaya dźga go raz jeszcze, a on odtrąca jej rękę.

– Nie dotykaj mnie, ty głupia krowo. Bo ci połamię te zardzewiałe palce.

– Co tu się dzieje?

Wszyscy nagle odwracają się i zapada cisza. W drzwiach, gotowy do rozpoczęcia inspekcji, stoi Carnelian, jeden z niewielu instruktorów-seniorów. To starszy, potężny i surowy brodac z sześcioma pierścieniami; wszyscy się go boją. Żwiry natychmiast biegną na swoje miejsca przed łózkami i stają na baczność. Damaya czuje lekki niepokój, ale spotyka wzrok Wyrwy, a ta daje jej znak głową. Wystarczy.

– Pytam, co tu się dzieje. – Kiedy dzieci są już na swoich miejscach, Carnelian wchodzi do pomieszczenia. Patrzy na Jaspiera, który wciąż jest buraczanoczerwony, choć teraz prawdopodobnie bardziej ze strachu niż ze złości. – Czy jest jakiś problem?

Jasper spogląda na Damayę.

– Nie ze mną, Instruktorze.

Kiedy Carnelian odwraca się do niej, jest już gotowa.

– Ktoś ukradł mi buty, Instruktorze.

– Znowu? – to dobry znak. Ostatnim razem Carnelian po prostu zwymyślał ją za zgubienie obuwia i szukanie wymówek. – Masz dowód na to, że to Jasper je ukradł?

To ta trudna część. Damaya nigdy nie była dobra w kłamaniu.

– Wiem, że to chłopiec. Kiedy chłopcy poszli pod prysznic, wszystkie dziewczyny były tu ze mną. Policzyłam.

Carnelian wzdycha.

– Jeśli próbujesz rzucić na kogoś winę za swoje niedbalstwo...

– Ona ciągle to robi – wtrąca rudowłosa dziewczyna ze Wschodniego Wybrzeża.

– Jest bardzo niedbała – dodaje chłopak, który wygląda, jakby pochodził z tej samej wspólnoty, a może nawet z tej samej rodziny co ona. Połowa żwirów chichocze.

– Proszę przeszukać kufry chłopców – prosi Damaya, przekrzykując ich śmiech. Ostatnim razem nie domagała się tego, bo nie wiedziała, gdzie znajdują się jej buty. Tym razem to wie. – Złodziej nie miał czasu, żeby się ich pozbyć. Muszą tutaj być. Proszę przeszukać kufry.

– To niesprawiedliwe – odzywa się drobny Równikejczyk, który wygląda, jakby właśnie wyszedł ze łożka.

– Zgadza się – potwierdza Carnelian, patrząc na Damayę jeszcze groźniej. – Lepiej, żebyś była pewna tego, co mówisz, skoro prosisz mnie o naruszenie prywatności twoich kolegów. Jeśli się mylisz, tym razem kara nie będzie taka łagodna.

Damaya wciąż pamięta pieczenie obtartych stóp.

– Rozumiem, instruktorze.

Carnelian wzdycha. Następnie odwraca się w kierunku chłopięcej części sali sypialnej.

– Otworzyć kufry, wszyscy. Miejmy to już za sobą.

Chłopcy spełniają to polecenie i głośno narzekają, a widząc skierowane w jej stronę spojrzenia, Damaya wie, że tylko pogorszyła swoją sytuację. Teraz wszyscy jej nienawidzą. I dobrze: jeśli i tak zamierzają jej nienawidzić, to niech przynajmniej mają powód. Jeśli jednak ten numer przejdzie, wszystko może się zmienić.

Maxixe otwiera swoją skrzynię i wzdycha głośno, bo na wierzchu jego złożonych mundurków leżą buty Damai. Obserwując, jak na jego twarzy zdenerwowanie zamienia się w zdziwienie, a później w przerażenie, Damaya czuje się źle. Nie lubi krzywdzić ludzi. Obserwuje go jednak uważnie, a Maxixe, na którego twarzy maluje się teraz wściekłość, odwraca się i spogląda na kogoś. Damaya z napięciem podąża za jego wzrokiem...

...i widzi Jaspera. Tak. Tego właśnie się spodziewała. To on.

Jasper blednie. Kręci głową, jakby chciał strącić z siebie oskarżycielski wzrok Maxixe'a, ale nic z tego.

Instruktor Carnelian widzi to wszystko. Spogląda znowu na Damayę, zaciskając szczęki. Wygląda, jakby był na nią zły. Ale dlaczego? Przecież musi wiedzieć, że nie miała z tym nic wspólnego.

– No tak – stwierdza, jakby odpowiadał na jej myśli. Potem skupia się na Maxisie. – Masz coś na swoją obronę?

Maxixe nie próbuje udowodniać, że jest niewinny. Spoglądając na jego opuszczone ramiona i zaciśnięte pięści, Damaya wie, że chłopak nie widzi w tym sensu. Nie zamierza jednak iść na dno samotnie. Z opuszczoną głową oświadcza:

– Poprzednio to Jasper zabrał jej buty.

– Wcale nie! – Jasper odsuwa się od swojego łóżka w stronę środka pomieszczenia. Cały drży. Drżą nawet jego oczy; wygląda, jakby zaraz miał się rozpłakać. – On kłamie, bo chce to rzucić na kogoś innego... – Kiedy Carnelian odwraca się w jego stronę, Jasper zastyga w bezruchu. Niemal wypływa z siebie kolejne słowa. – Ona je sprzedała. Oddała je jednej ze sprzątających bezwspólnotowych w zamian za alkohol.

Mówiąc to, wskazuje na Wyrwę.

Damaya wzdycha, a żołądek zwija jej się w supeł. Wyrwa?

Wyrwa.

– Ty zardzewiały szmaciarzu! – Wyrwa zaciska pięści. – Pozwoliłeś temu staremu zbokowi wydymać się za alkohol i list, bo dobrze wiesz, że nie dałby nam tego tylko za jedną parę butów...

– To był list od mojej mamy! – Jasper teraz już płacze. – Nie chciałem, żeby on... żeby on... ale nie pozwoliliby mi do niej napisać...

– Podobało ci się to – syczy Wyrwa. – Ostrzegałam cię, że powiem o wszystkim, jeśli tylko się wygadasz. Widziałam was. Wsadzał ci palce, a ty jęczałeś, bo było ci dobrze, jęczałeś jak mały Piastun, którym jesteś, tylko że Piastuni mają pewne zasady...

Coś poszło nie tak. Coś poszło bardzo nie tak. Wszyscy patrzą na siebie, na wrzeszczącą Wyrwę, na Damayę, na płaczącego Jaspera i na Carneliana. Pomieszczenie rozbrzmiewa szeptami i westchnieniami. Powraca znajome uczucie: tłumione, nabrzmiałe górotwórstwo Wyrwy rozpościera się, wprawiając wszystkich w drżenie. A może dzieci drżą na dźwięk wypowiedzianych słów i ich znaczenia, którego przecież nie powinny znać? Wpadanie w kłopoty? Jasne, dla dzieciaków to normalka. Wpadanie w takie kłopoty to jednak coś zupełnie innego.

– Nie! – zawodzi Jasper. – Prosiłem cię, żebyś o tym nie mówiła!

Teraz płacze już bez skrzypowania. Otwiera usta, ale zamiast słów wydobywa się z nich tylko niski, pełen rozpaczny jęk... a może to kontynuacja słowa „nie”. Nie sposób tego stwierdzić, bo inni też hałasują: niektórzy każą Wyrwie się zamknąć, inni pociągają nosami razem z Jasperem, a jeszcze inni chichoczą nerwowo na widok jego łez albo powtarzają sobie szeptem to, co wiedzieli, ale w co do tej pory nie wierzyli...

– Dość. – Na dźwięk spokojnego rozkazu Carneliana w pomieszczeniu zapada cisza i słychać już tylko szloch Jaspera. Carnelian zaciska zęby. – Ty, ty, i ty. – Wskazuje na Maxixe’a, Jaspera oraz Wyrwę. – Za mną.

Wychodzi z sali. Trójka żwirów spogląda na siebie i aż dziwne, że żadne z nich nie staje w ogniu od widocznej w ich wzroku nienawiści. Następnie Maxixe przeklina i idzie za Carnelianem. Jasper ociera twarz przedramieniem, nie przerywa, opuszczając głowę i zaciskając pięści. Wyrwa rozgląda się prowokująco po pomieszczeniu, aż spotyka wzrok Damai. Nagle się krzywi.

Damaya patrzy na nią, ponieważ jest zbyt zdumiona, żeby odwrócić wzrok. I dlatego, że jest na siebie wściekła. Tak właśnie kończy się obdarzanie innych zaufaniem. Wyrwa nie była jej przyjaciółką, Damaya nawet jej nie lubiła, ale pomyślała, że mogłyby pomóc sobie nawzajem. Teraz znalazła łeb węża, który próbował ją pożyć, ale okazało się, że łeb ten tkwi w przełyku zupełnie innego gada. Jest to tak obleśne, że nie sposób na to patrzeć, nie mówiąc już o próbie zabicia czegoś takiego.

– Pomyślałam, że lepiej, żebyś to była ty niż ja – mówi Wyrwa cichym głosem. Damaya nie prosiła o wyjaśnienie, ale Wyrwa mimo wszystko tłumaczy jej się na oczach wszystkich. Nikt inny się nie odzywa. Nikt nawet głośno nie oddycha. – Taki był plan. Jeszcze jedno potknięcie i byłoby po mnie, za to ty jesteś Panną Idealną. Najlepsze wyniki na wszystkich sprawdzianach, perfekcyjna kontrola na zastosowaniach górotwórstwa, wszystko na medal. Instruktorzy nic by ci nie zrobili, przynajmniej na początku. A kiedy zastanawialiby się, dlaczego ich ulubienica zeszła nagle na złą drogę, wszyscy przestaliby czekać, kiedy w końcu wysadzę jakąś górę w powietrze. Albo przestaliby próbować do tego doprowadzić... przynajmniej przez chwilę. – Wyrwa odwraca wzrok, a uśmiech znika z jej twarzy. – Taki był plan.

Damaya nie potrafi nic powiedzieć. Nie potrafi nawet myśleć. Chwilę później Wyrwa kręci głową i z westchnieniem udaje się za Carnelianem oraz chłopcami.

W pomieszczeniu panuje grobowa cisza. Nikt na nikogo nie patrzy.

Następnie w drzwiach pojawiają się dwie instruktorki i zaczynają przeszukiwać łóżko oraz kufer Wyrwy. Żwiry obserwują, jak jedna z nich podnosi materac, a druga zagląda pod spód. Słychać, jak coś rozpruwa, a potem wyłania się z powrotem, trzymając w dłoni dużą, brązową, i napełnioną do połowy butelkę. Otwiera ją i krzywi się, wachając jej zawartość. Kiwa do drugiej kobiety. Obie wychodzą z sali.

Kiedy echo ich kroków cichnie, Damaya podchodzi do kufra Maxixe'a, żeby zabrać stamtąd swoje buty. Zamyka wieko, a towarzyszący temu dźwięk wydaje się bardzo głośny. Nikt inny nie porusza się, kiedy wraca do swojego łóżka i zakłada buty.

Dopiero wtedy, jak na sygnał, rozlega się kilka westchnień, a pozostałe dzieci wracają do przerwanych czynności – wyjmują książki na kolejne lekcje, udają się do donic i podchodzą do bufetu, na którym czeka śniadanie. Kiedy Damaya sama tam podchodzi, jedna z dziewczyn spogląda na nią i szybko odwraca wzrok.

– Przepraszam – mówi. – To ja popchnęłam cię pod prysznicem.

Damaya patrzy na nią i widzi strach zwięzający jej oczy.

– Nic się nie stało – odpowiada. – Nie przejmuj się tym.

Pozostałe żwiry nigdy więcej nie dokuczają Damai. Kilka dni później Maxixe wraca z połamanymi rękoma i wystraszonymi oczami; nigdy więcej nie odzywa się do Damai. Jasper nie wraca, Carnelian informuje wszystkich, że wysłano go do zamiejscowego Fulcrum w Arktyce, ponieważ to w Yumenes wywoływałoby w nim zbyt wiele złych wspomnień. Być może miał to być akt łaski, ale Damaya wie, że tak naprawdę było to wygnanie.

Mogło jednak być gorzej. O Wyrwie nikt nigdy więcej nawet nie wspomina.

SEZON GRZYBA: 602 Rok Imperialny. Seria erupcji oceanicznych podczas wschodnich równikadowych monsunów zwiększyła wilgotność powietrza w całym regionie i przysłoniła słońce na pół roku. Ponieważ był to łagodny Sezon, wytworzyły się warunki idealne do rozwoju grzybów, które rozprzestrzeniły się w całej Równikadzie aż po Nomidlaty i Somidlaty, wymazując z powierzchni ziemi ważny ówczasie dla rolnictwa miroq (dziś już nieistniejący). Głód, jakiego doświadczyli później mieszkańcy tych regionów, zarejestrowany został w oficjalnych sprawozdaniach geodziarzy i przedłużył okres trwania Sezonu do czterech lat (dwa lata trwała zaraza grzybiczna, a przez kolejne dwa odbudowywano rolnictwo oraz sieć dystrybucji żywności). Prawie wszystkie wspólnoty zdołały się utrzymać przy życiu dzięki własnym zapasom, dowodząc tym samym skuteczności reform imperialnych oraz planowania sezonowego. W następstwie tamtego Sezonu wiele wspólnot z Nomidlatów i Somidlatów dobrowolnie dołączyło do Imperium, rozpoczynając tym samym Złoty Wiek.

Sezony Sanze, podręcznik dla dwunastolatków

SJENIT ZNAJDUJE NOWĄ ZABAWKĘ

– Mój kolega jest chory – mówi Sjenit do Asael Przywódczyni, siedząc przy biurku naprzeciw niej. – Przeprasza, ale nie będzie mógł mi asystować. Sama oczyszczę port.

– Przykro mi z powodu choroby twojego kolegi – stwierdza Asael z delikatnym uśmiechem, na widok którego Sjen prawie wpada w szal. Prawie, bo spodziewała się tego i mogła się na to przygotować. Ale mimo wszystko czuje, że wzbiera w niej złość. – Muszę jednak zapytać – kontynuuje Asael z przesadnie zatroskaną miną. – Czy ty... czy dasz sobie radę?

Spogląda na palce Sjenit, która założyła swoje cztery pierścienie w taki sposób, żeby jak najbardziej rzucały się w oczy. Splata dłonie, ukrywając kciuk; niech Asael się zastanawia, czy znajduje się na nim piąty pierścień. Kiedy jednak Sjen znowu spotyka jej wzrok, dostrzega w nim jedynie powątpiewanie. Cztery, czy nawet pięć pierścieni, nie robi na niej wrażenia.

„Dlatego właśnie już nigdy, przenigdy nie wybiorę się na misję z dziesięciopierściennikiem”. Jasne, jakby miała jakiś wybór. Ta myśl poprawia jej jednak samopoczucie.

Sjenit zmusza się do uśmiechu, choć brak jej przesadnej uprzejmości Alabakra. Wie, że w jej grymasie wyraźnie widać złość.

– Podczas mojej poprzedniej misji musiałam zburzyć trzy budynki stojące w rzędzie razem z dwoma innymi. Było to w dzień powszedni w centrum Dibars, niedaleko Siódmego Uniwersytetu, gdzie przebywało wtedy kilka tysięcy mieszkańców. – Sjen zdejmuje nogę z nogi, a potem krzyżuje je odwrotnie. Geodziarze omal nie doprowadzili jej wtedy do szału, nieustannie domagając się zapewnień, że nie wywoła wstrząsu silniejszego niż 5.0. Wrażliwe instrumenty, ważne ustawienia, coś w tym stylu. – Zajęło mi to pięć minut i poza strefą rozbiórki nie wylądował ani jeden kamyk. Było to, zanim przyznano mi mój ostatni pierścień.

Poza tym, ku radości geodziarzy, utrzymała wstrząs na poziomie czwartym.

– Cieszę się, że jesteś tak kompetentna – odpowiada Asael. Następuje cisza, więc Sjen ma się na baczności. – Nie widzę jednak powodu, aby w sytuacji, kiedy twój kolega jest chory, Allia płaciła za usługi dwóch gérotworów.

– To sprawa pomiędzy wami a Fulcrum – oświadcza Sjen lekceważąco. Nic jej to nie obchodzi. – Podejrzewam, że będą się sprzeciwiać, ponieważ Alabaster jest moim mentorem podczas tej wyprawy i nadzoruje moją pracę, nawet jeśli fizycznie nie jest przy tym obecny.

– Ale jeśli go tu nie ma...

– To bez znaczenia. – Jest to dla niej trudne, ale Sjenit postanawia wyjaśnić, co ma na myśli. – On nosi dziesięć pierścieni. Będzie mógł obserwować, co robię, i w razie konieczności interweniować z pokoju hotelowego. Mogłoby to robić nawet nieprzytomny. Co więcej, przez kilka ostatnich dni tłumił wstrząsy w tej okolicy. Robił to w ramach przysługi dla tutejszych opiekunów węzła, a raczej dla waszej wspólnoty, ponieważ tak odosobniona miejscowość nie posiada własnej stacji. – Kiedy pod wpływem tego przytyku czoło Asael zaczyna się marszczyć, Sjen rozpościera ręce. – Największą różnicą pomiędzy nami jest to, że ja muszę patrzeć na to, co robię, a on nie.

– Rozumiem... – W głosie Asael słychać niepewność, i słusznie. Sjen wie, że zadaniem każdego gérotwora z Fulcrum jest łagodzić obawy nieruchomości, a ona zrobiła właśnie na odwrót. Zaczyna

jednak podejrzewać, kto w Allia mógłby chcieć śmierci Alabastro, dlatego dobrym pomysłem jest odwiedzenie Asael (albo jej zwierzchników) od tego planu. Ta pedantyczna podrzędna urzędniczka nie ma pojęcia, że tej nocy jej małe miasto omal nie zostało zrównane z ziemią.

W niezręcznej ciszy, która następuje później, Sjenit postanawia, że pora zadać kilka pytań. I może wrzucić trochę gówna w wentylator, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Widzę, że naczelnik nie dał rady się dziś pojawić.

– Tak. – Uprzejmy uśmiech i puste oczy sprawiają, że twarz Asael staje się nieprzenikniona. – Przekazałam mu prośbę twojego kolegi. Niestety, naczelnik nie znalazł wolnego czasu.

– Wielka szkoda – mówi Sjen, a następnie, zaczynając rozumieć, dlaczego Alabaster był w tej kwestii taki upierdliwy, składa dłonie. – Niestety, to nie była prośba. Czy macie tutaj telegraf? Chciałabym wysłać do Fulcrum wiadomość, że prace się opóźnią.

Asael mruży oczy, bo oczywiście mają tutaj telegraf i oczywiście Sjenit zadała to pytanie jako kolejny przytyk.

– Opóźnią?

– No tak. – Sjenit unosi brwi. Wie, że udawanie niewiniątka średnio jej wychodzi, ale przynajmniej się stara. – Kiedy twoim zdaniem naczelnik będzie mógł się z nami spotkać? Fulcrum z pewnością będzie chciało to wiedzieć.

Po tych słowach wstaje, jakby zamierzała wyjść.

Asael przekrzywia głowę, a Sjen widzi, jak napinają jej się mięśnie ramion.

– Myślałam, że jesteś bardziej rozsądna niż twój kolega. W przyływie złości chcesz wyjść stąd i odmówić oczyszczenia naszego portu.

– To nie jest przyływ złości. – Teraz Sjen jest już naprawdę wściekła. Spogląda na Asael, która, zadowolona z siebie, siedzi sobie wygodnie w swoim wielkim fotelu za swoim wielkim biurkiem. Musi się powstrzymać, żeby nie zaciskać pięści i szczęk. – Czy ty na moim miejscu tolerowałabyś takie traktowanie?

– Oczywiście, że tak! – Asael prostuje się, choć raz zaskoczona. – Naczelnik nie ma czasu na...

– Nie, nie tolerowałabyś tego. Ponieważ na moim miejscu byłabyś członkinią potężnej i niezależnej organizacji, a nie mieszkanką jakiejś podrzędnej dziury. Oczekiwałabyś, że zostaniesz potraktowana jak wykwalifikowany specjalista, który swojego rzemiosła uczy się od dziecka. Jak ktoś, kto wykonuje ważny i trudny zawód i kto przybył tutaj, żeby wykonać zadanie kluczowe dla funkcjonowania całej twojej wspólnoty.

Asael gapi się na nią. Sjenit przerywa, bierze głęboki oddech. Musi pozostać uprzejma i władać tą uprzejmością jak najlepszym szklanym nożem. W swej złości musi pozostać chłodna i opanowana, ponieważ brak kontroli zostanie potraktowany jako dowód jej potworności. Kiedy żar za jej oczami stygnie, postępuje do przodu.

– A jednak ty, Asael Przywódczyni, nawet nie uścisnęłaś nam rąk. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie spojrzałaś nam nawet w oczy. Nadal nie zaproponowałaś tej szklanki bezpiecznika, o której wspomniał wczoraj Alabaster. Czy mianowanego geodziarza z Siódmego Uniwersytetu też byś tak potraktowała? Czy postąpiłabyś w ten sposób z przedstawicielem Związku Mocarnych?

Kiedy dociera to do Asael, porusza się niespokojnie. Sjenit czeka w milczeniu, pozwalając, aby jej słowa nabrały większej mocy. W końcu Przywódczyni odpowiada:

– Rozumiem.

– Być może.

Sjenit nadal czeka, a Asael wzdycha.

– Czego jeszcze chcesz? Przepraszin? Dobrze, przepraszam. Musisz jednak pamiętać, że większość normalnych ludzi nigdy nie widziała górotworów, nie mówiąc już o robieniu z nimi interesów, dlatego... – Rozkłada ręce. – Czy to dziwne, że czujemy się z tym trochę... niezręcznie?

– Niezręczność jest zrozumiała. Chamstwo nie.

A niech to wszystko rdza. Ta kobieta nie zasługuje, aby jej to tłumaczyć. Sjen postanawia oszczędzić ten wysiłek dla kogoś ważniejszego. – A twoje przeprosiny są do dupy. „Przepraszam za to, że jesteś tak nienormalna, że nie potrafię traktować cię jak istoty ludzkiej”.

– Jesteś roggą – warczy kobieta, a potem robi zdziwioną minę.

– No cóż. – Sjenit zmusza się do uśmiechu. – Przynajmniej w jednej kwestii okazałaś się szczerą. – Kręci głową i odwraca się do drzwi. – Wrócę jutro. Być może do tego czasu zdołasz znaleźć lukę w harmonogramie naczelnika.

– Obowiązuje was umowa – mówi Asael drżącym głosem. – Jesteście zobowiązani wykonać usługę, za którą zapłaciliśmy waszej organizacji.

– I wykonamy ją. – Sjenit dociera do drzwi, ale zatrzymuje się z ręką na klamce. – Umowa nie określa jednak daty jej ukończenia. – Błefuje. Nie ma pojęcia, co znajduje się w umowie. Jednak jest gotowa się założyć, że Asael też tego nie wie; funkcja zastępcy naczelnika wydaje się zbyt nieistotna. – Przy okazji, dzięki za opłacenie pobytu w Końcu Sezonu. Łóżka są bardzo wygodne. A jedzenie przepyszne.

To oczywiście okazuje się wystarczające. Asael również wstaje.

– Poczekaj tu. Porozmawiam z naczelnikiem.

Sjen uśmiecha się więc uprzejmie i siada. Asael opuszcza pokój; nie ma jej tak długo, że Sjen zaczyna przysypiać. Budzi się, kiedy drzwi znowu się otwierają, a do środka wchodzi Asael o wzroku zbitego psa oraz inna, starsza i otyła kobieta z Wybrzeża. Naczelnik jest mężczyzną. Sjenit wzdycha w głębi siebie i przygotowuje się na jeszcze ostrzejszą uprzejmość.

– Górotwór Sjenit – mówi kobieta i pomimo wyraźnego gniewu w głosie wywołuje na Sjen duże wrażenie. Słowo „górotwór” przed imieniem nie jest oczywiście niezbędne, ale to miła odrobina szacunku, dlatego Sjen wstaje, a kobieta postępuje krok do przodu i podaje jej rękę. Skóra na jej dłoni jest chłodna, sucha i twardsza, niż oczekiwała tego Sjen. To nie zgrubienia; te dłonie zaznały po prostu codziennej pracy. – Nazywam się Heresmith Przywódczyni Allia. Jestem wicenaczelniczką. Naczelnik jest dziś naprawdę zbyt zajęty, żeby się z wami spotkać, ale ja wygospodarowałam czas w harmonogramie i mam nadzieję, że moje przywitanie okaże się wystarczające... zwłaszcza że chciałabym dołączyć do niego przeprosiny za to, w jaki sposób dotychczas was traktowano. Zapewniam cię, że Asael zostanie ukarana za swoje zachowanie, aby zrozumiała, że dobry przywódca zawsze traktuje innych... *wszystkich* innych z szacunkiem.

No cóż. Być może kobieta bawi się tylko w jakąś polityczną gierkę albo kłamie na temat swojego stanowiska; do odegrania takiej roli Asael mogła znaleźć po prostu dobrze ubraną sprzątaczkę. Ale nawet jeśli tak, to jest to jakiś wysiłek zmierzający do osiągnięcia kompromisu i Sjen to docenia.

– Dziękuję – odpowiada szczerze. – Przekażę twoje przeprosiny mojemu koledze, Alabastrowi.

– Dobrze. Powiedz mu również, proszę, że zgodnie z umową Allia pokryje wasze wydatki w okresie od trzech dni przed oczyszczeniem portu do trzech dni po jego oczyszczeniu.

W jej uśmiechu widać kpiący odcień, a Sjen wie, że na niego zasłużyła. Ta kobieta naprawdę czytała umowę.

Ale to nieważne.

– Dziękuję za wyjaśnienie.

– Czy potrzebujecie czegoś jeszcze? Asael chętnie oprowadzi was na przykład po mieście.

Cholera. Sjen wręcz lubi tę kobietę. Powstrzymuje uśmiech i spogląda na Asael, która w tym czasie zdążyła dojsć do siebie i mierzy ją obojętnym wzrokiem. Sjen ma ochotę zrobić to, co prawdopodobnie zrobiłby Alabaster, czyli skorzystać ze złożonej przez Heresmith oferty upokorzenia Asael. Jest jednak zmęczona, a cała ta wyprawa to prawdziwy koszmar, dlatego im prędzej wróci do domu w Fulcrum, tym lepiej.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada, a na twarzy Asael dostrzega wyraz tłumionej ulgi. – Wolałabym udać się do portu, żeby ocenić skalę problemu.

– Oczywiście. Przedtem z pewnością chciałabyś się jednak posilić lub napić. Przyjmij od nas przynajmniej szklanekę bezpiecznika.

Tym razem Sjenit nie może się już powstrzymać. Kąciki ust lekko się jej unoszą.

– Muszę przyznać, że tak naprawdę to nie lubię bezpiecznika.

– Nikt go nie lubi. – Na twarzy Heresmith pojawia się szczery uśmiech. – Czy potrzebujesz czegoś jeszcze, zanim pójdziemy?

Teraz to Sjen jest zaskoczona.

– Idziesz z nami?

Heresmith wykrzywia twarz.

– Zależy od ciebie utrzymanie całej naszej wspólnoty. Nie widzę innej możliwości.

Ach, tak. Ta kobieta lubi mieć nad wszystkim kontrolę.

– W takim razie chodźmy, Heresmith Przywódczyni.

Sjenit wskazuje na drzwi i wszystkie trzy kierują się do wyjścia.

W porcie jest źle.

Stoją na czymś w rodzaju promenady biegnącej wzdłuż zachodniej krzywizny zatoki. Widać stąd większą część miasteczka Allia, które pnie się po zboczu kaldery wokół nabrzeża. Miejscowość wygląda naprawdę uroczo. Jest piękny, ciepły dzień, a niebo tak czyste, że Sjen wyobraża sobie, jak niesamowicie musi się tutaj oglądać nocą gwiazdy. Gęziej skórki dostaje jednak z powodu tego, czego nie widać – to coś znajduje się pod wodą, na dnie zatoki.

– To nie koral – mówi.

Heresmith i Asael odwracają się do niej i robią zdziwione miny.

– Słucham? – pyta Heresmith.

Sjenit odsuwa się od nich, podchodzi do poręczy i wyciąga dłonie przed siebie. Nie musi wykonywać tego gestu, ale chce, żeby kobiety wiedziały, że coś robi. Górotwory z Fulcrum zawsze dają swoim klientom do zrozumienia, że panują nad sytuacją, nawet jeśli klienci nie mają pojęcia, co się dzieje.

– Na dnie portu. Tylko wierzchnia warstwa jest korałem.

Tak sądzi. Nigdy wcześniej nie czuła koralu, ale doświadczenie jest takie, jak się spodziewała: warstwy drżącego, jasnego życia, z których w razie potrzeby może zaczerpnąć górotwórczej siły, oraz mocna podstawa z wiekowej, zwapniałej śmierci. Znajdujący się na dnie tej zatoki koral oblepia jednak jakiś wypukły grzbiet i choć wydaje się on naturalnym ukształtowaniem terenu – czytała, że w miejscach łączenia wody i ziemi często znajdują się takie wybrzuszenia – Sjen wie, że wcale tak nie jest.

Przede wszystkim garb jest idealnie prosty. I olbrzymi: rozciąga się na całą szerokość zatoki. Najważniejsze jednak, że wcale go tam nie ma.

Pod warstwami mułu i piasku nie ma skał; Sjen ich nie wyczuwa. A powinna, skoro tak bardzo wybrzuszą dno zatoki. Sjen czuje ciężar wody, dno pofałdowane pod wpływem ciśnienia, a także

warstwy skalne dookoła, ale samego wybrzuszenia nie. Równie dobrze na dnie portu mogłaby się znajdować pusta dziura, wokół której ukształtowała się cała zatoka.

Sjenit marszczy brwi. Jej palce rozszerzają się i drżą, podążając za ruchami sesuny. Miękki ślizg luźnych łupków, piasku i materii organicznej, chłodny nacisk ciężkiego podłoża skalnego, prądy i głębia. Dopiero kiedy to robi, przypomina sobie, że miała relacjonować swoje oględziny.

– Pod korałem znajduje się coś innego. Zakopane jest płytko w dnie oceanicznym. Skała pod spodem jest bardzo sprasowana, a więc to coś musi być ciężkie... – Ale jeśli tak, to dlaczego nie może tego wyczuć? Dlaczego wyczuwa to wybrzuszenie tylko za pośrednictwem efektów jego oddziaływania na otoczenie? – To dziwne.

– Czy ma to duże znaczenie? – to Asael, która chce chyba wyjść na inteligentną profesjonalistkę i tym samym wrócić do łask Heresmith. – Potrzebujemy tylko, aby koralowy zator został zniszczony.

– Tak, ale koral jest tylko na wierzchu. – Sjen sięga po koral i znajduje go głównie na obrzeżach zatoki. W głowie pojawia jej się pewna teoria. – To dlatego jest to jedyne miejsce w głębokiej części portu, które zostało zablokowane przez koral. Rosną one na tym czymś, co wybrzuszyło dno oceaniczne. Korale żyją na płyciznach, a tutaj mają dużo nagrzanej słońcem wody.

– Na zardzewiała Ziemię. Czy to znaczy, że rafa koralowa po prostu odrośnie? – pyta jeden z mężczyzn, którzy przyszedli tu razem z Asael i Heresmith. Sjen sądzi, że to urzędnicy, ale zapomina o ich istnieniu, kiedy się nie odzywają. – A chodzi przecież właśnie o to, żeby oczyścić port na dobre.

Sjenit wypuszcza powietrze z płuc i rozluźnia sejsody, otwierając równocześnie oczy, żeby pokazać, że skończyła.

– Tak, prędzej czy później tak się stanie – stwierdza, obracając się do nich. – Posłuchajcie, jak to wygląda. To jest wasza zatoka. – Unosi lewą dłoń i formuje z niej otwarty okrąg. Zatoka Allia ma bardziej nieregularny kształt, ale zgromadzeni wokół Sjen ludzie rozumieją, co ma na myśli, i podchodzą bliżej. Sjen umieszcza więc kciuk prawej dłoni w otwartej części okręgu, prawie całkowicie go zamykając. – A to jest ten zator. Z powodu ukształtowania terenu z jednej strony podniesiony jest trochę wyżej. – Porusza kciukiem. – To tam znajduje się najwięcej koralu. Przy drugim, niżej położonym końcu, woda jest chłodniejsza. – Teraz niezręcznie porusza dłonią, żeby wskazać podstawę kciuka. – To otwarty kanał, którego używacie do transportu wodnego. Jeśli koral nie polubi nagle zimnej wody albo nie pojawi się jakaś ich odmiana, która ją lubi, ta część portu może nigdy nie zostać zablokowana.

Jiedy jednak to mówi, dociera do niej, że koral wyrastają na sobie nawzajem. Nowe stworzenia rosną na kościach swoich przodków; w ten sposób z czasem nawet chłodniejsza część zatoki zostanie podniesiona do strefy optymalnej dla ich wzrostu. Wykazując się doskonałym wyczuciem czasu, Asael marszczy czoło i mówi:

– Tyle tylko, że kanał od lat powoli się zamyka. Relacje sprzed kilku dekad wyraźnie wskazują, że mogliśmy wtedy przeprowadzać duże statki przez środek zatoki; dzisiaj jest to niemożliwe.

Na podziemny ogień. Kiedy Sjen wróci do Fulcrum, zasugeruje, żeby do planu lekcji żwirów dopisano przedmiot o życiu morskich stworzeń rafotwórczych; to absurd, że jeszcze się tego nie uczą.

– Skoro wasza wspólnota istnieje od tak wielu Sezonów i problem pojawił się dopiero teraz, to najwyraźniej ten rodzaj koralowców nie rośnie zbyt szybko.

– Allia istnieje dopiero od dwóch Sezonów – wyjaśnia Heresmith z zakłopotanym uśmiechem. To i tak godne podziwu osiągnięcie. W środkowych obszarach Bezruchu i na Arktyce wiele wspólnot nie przeżywa nawet jednego Sezonu, a na wybrzeżach bywa jeszcze gorzej. Ale oczywiście Heresmith myśli, że rozmawia z osobą urodzoną i wychowaną w Yumenes.

Sjenit próbuje przypomnieć sobie lekcje historii, których nie przespała. Ostatnią Piątą Porą Roku był Sezon Dławienia, który zaczął się nieco ponad sto lat temu; okazał się on stosunkowo łagodny i siał

spustoszenie głównie na Antarktydzie, w pobliżu góry Akok. A przedtem był Sezon Kwasy? Czy może Sezon Wrzenia? Zawsze myliła te dwa. Tak czy inaczej, miał on miejsce jakieś dwieście albo trzysta lat przed Sezonem Dławienia i był naprawdę paskudny. No tak – na wybrzeżu nie została wtedy po nim ani jedna wspólnota, więc Allia mogła zostać utworzona najwyżej kilka lat później, kiedy wody osłodziły się i cofnęły, umożliwiając ponowne zaludnienie tych terenów.

– Tak więc korale zablokowały port w ciągu około czterystu lat – myśli na głos Sjenit. – Być może podczas Sezonu Dławienia ich rozrost został spowolniony... – W jaki sposób korale przeżywają Sezony? Sjen nie ma pojęcia, ale stworzenia te potrzebują ciepła i światła, musiały więc wymrzeć w trakcie Sezonu Dławienia. – No dobrze, wychodzi na to, że tak naprawdę rozrosły się w ciągu stu lat.

– Na podziemny ogień – mówi inna kobieta z przerażeniem na twarzy. – Chcesz powiedzieć, że już za sto lat będziemy musieli robić to od nowa?

– Za sto lat nadal będziemy płacić Fulcrum – wzdycha Heresmith, natomiast spojrzenie, które rzuca Sjenit, nie ma w sobie urazy, a jedynie rezygnację. – Twój przełożeni liczą sobie za tę usługę bardzo słono.

Sjenit powstrzymuje się przed wzruszeniem ramion. To prawda.

Zgromadzeni ludzie patrzą na siebie nawzajem, a później na nią, dlatego Sjen wie, że zaraz poproszą ją, żeby zrobiła coś bardzo głupiego.

– To bardzo zły pomysł – odpowiada z wyprzedzeniem, podnosząc ręce. – Naprawdę. Nigdy wcześniej nie przenosiłam niczego pod wodą; dlatego właśnie przydzielono mi seniora. – Nie żeby jakoś bardzo jej się przydał. – A co ważniejsze, nie wiem, czym jest to coś. Może się okazać, że to bąbel ropy albo gazu. – To nieprawda. Sjen wie o tym, ponieważ żaden bąbel ropy ani gazu nie mógłby być tak prosty i zbity, a poza tym potrafi sejszyć obydwie te substancje. – Może to być nawet pozostałość po jakiejś wyjątkowo głupiej wymarłej cywilizacji, która naszpikowała wszystkie swoje porty bombami. – Ach, to było genialne. Teraz patrzą na nią ze strachem. Sjen próbuje raz jeszcze.

– Przeprowadźcie badania. Sprowadźcie geodziarzy, którzy specjalizują się w analizach dna oceanicznego, i może jeszcze żynierów, którzy wiedzą coś na temat... – macha ręką i zgaduje – prądów oceanicznych. Przemyślcie wszystkie plusy i minusy. I dopiero potem wezwijcie kogoś takiego jak ja – Ma nadzieję, że nie będzie to ona. – Górotwórstwo powinno być waszą ostatnią, a nie pierwszą ewentualnością.

Już lepiej. Słuchają. Dwaj mężczyźni zaczynają szeptać do siebie, a Heresmith wygląda na zamyśloną. Asael robi urażoną minę, ale to niekoniecznie musi oznaczać coś złego. Asael nie jest zbyt inteligentna.

– Obawiam się, że musimy wziąć to pod uwagę – stwierdza w końcu Heresmith, która wygląda na tak bardzo sfrustrowaną, że Sjenit jej współczuje. – Nie możemy sobie pozwolić na kolejny kontrakt z Fulcrum i najprawdopodobniej nie stać nas również na przeprowadzenie badań; Siódmy Uniwersytet oraz Cech Żynierów cenią swoje usługi prawie tak samo wysoko, jak Fulcrum. Co ważniejsze, nie możemy pozwolić sobie na to, aby port dłużej pozostawał zablokowany. Jak słusznie zauważyłaś, tracimy już umowy handlowe na rzecz innych miast z wybrzeża, które są w stanie przyjąć u siebie cięższe statki. Jeśli zatoka zostanie zablokowana całkowicie, nasza wspólnota nie będzie miała racji bytu.

– Współczuję wam – zaczyna Sjen, ale w tym samym momencie jeden z mężczyzn, którzy jak dotąd tylko szeptali, naskakuje na nią:

– Jesteś agentką Fulcrum, a my zatrudniliśmy cię do wykonania zadania.

Możliwe więc, że wcale nie jest kupcem.

– Wiem o tym. I jeśli chcecie, zrobię to w tej chwili. – Teraz, kiedy już wysejszyła koral, wie, że to drobnostka. Może usunąć go, nie poruszając nawet zbytnio zacumowanymi łodziami. – Jeśli dzisiaj pozbędę się koralu, wasz port będzie zdalny do użytku już jutro...

– Ale zostałam zatrudniona do oczyszczenia portu – wtrąca Asael. – Chodziło o trwałe udroźnienie, nie tylko tymczasowe. Nawet jeśli problem okazał się poważniejszy, niż sądziłam, nie jest to wymówka, aby nie kończyć zadania – mówiąc to, zwięża oczy. – Chyba że istnieje jakiś powód, dla którego tak bardzo nie chcesz poruszać tej blokady.

Sjen powstrzymuje się, żeby nie obrzucić Asael jednym z wielu wyzwisk.

– Przedstawiłam moją argumentację, Przywódczyni. Gdybym chciała w jakiś sposób was oszukać, po co mówiłabym wam cokolwiek na temat blokady? Oczyszczyłabym koral i pozwoliła, żebyście dowiedzieli się prawdy, dopiero kiedy znowu powstanie zator.

Widać, że jej słowa do nich docierają; obydwaj mężczyźni spoglądają na nią już mniej podejrzliwie. Nawet Asael rezygnuje z oskarżycielskiej postawy i prostuje się odrobinę zdezorientowana. Heresmith kiwa głową i odwraca się do pozostałych.

– Uważam, że powinniśmy omówić to z naczelnikiem – oznajmia w końcu. – Przedstawmy mu wszystkie opcje.

– Z całym szacunkiem, Przywódczyni Heresmith – odzywa się jedna z kobiet, marszcząc czoło. – Nie widzę żadnych innych opcji. Możemy oczyścić port na stałe lub tylko tymczasowo. W obydwu przypadkach musimy zapłacić Fulcrum tę samą kwotę.

– Możecie też nic nie robić – wtrąca Sjenit. Wszyscy zwracają się w jej stronę, a ona głośno wzdycha. Postępuje głupio, wspominając o tym; Ziemia wie, co zrobią jej seniorzy, jeśli spartaczy tę misję. Nie może się jednak powstrzymać. Ci ludzie stoją w obliczu gospodarczej klęski. Nie ma Sezonu, dlatego mogą przenieść się gdzieś indziej i zacząć od nowa. Mogą też rozwiązać całą wspólnotę i spróbować rozproszyć się po innych miejscowościach...

...co powinno się udać, ale nie w przypadku mieszkańców, którzy są biedni, chorzy albo starzy. Albo tych, których rodzeństwo lub rodzice okazali się górotworami – tych nikt do siebie nie przyjmie. To samo dotyczy osób, które udadzą się do wspólnoty posiadającej już zbyt wielu mieszkańców z ich kasty.

Niech to rdza.

– Jeśli ja i mój kolega wrócimy teraz, nic tutaj nie robiąc – kontynuuje mimo wszystko – złamiemy warunki kontraktu. Będziecie mieli prawo domagać się zwrotu opłaty pomniejszonej o koszty naszej podróży i pobytu w Allia – mówiąc to, spogląda z powagą na Asael, a ta zaciska szczękę. – Jeszcze przez kilka lat będziecie mogli korzystać z portu. Wykorzystajcie ten czas i zaoszczędzone pieniądze, żeby przeprowadzić badania oraz dowiedzieć się, co leży na dnie... albo przenieść wspólnotę w inne miejsce.

– To nie wchodzi w grę – odpowiada Asael z przerażoną miną. – To jest nasz dom.

Sjen przychodzi na myśl spleśniały koc.

– Dom to ludzie – mówi spokojnym głosem. Asael mruga. – Dom to wszystko to, co zabieracie, a nie to, co zostawiacie za sobą.

Heresmith wzdycha.

– To bardzo poetyckie, górotworze Sjenit. Ale Asael ma rację. Przeprowadzka oznaczałaby utratę tożsamości naszej wspólnoty, a prawdopodobnie również zmniejszenie naszej populacji. Oznaczałaby również utratę wszystkiego, co zainwestowaliśmy w tę lokalizację. – Wskazuje wokół siebie i Sjen rozumie, co ma na myśli: przenieść można ludzi, ale nie budynki. Nie infrastrukturę. Te rzeczy to prawdziwy majątek, a majątek oznacza przetrwanie, nawet poza Sezonem. – Poza tym nie ma gwarancji, że w innym miejscu nie napotkamy jeszcze poważniejszych problemów. Doceniam twoją szczerość, naprawdę. Ale... lepszy jest wulkan, który już znamy.

Sjenit wzdycha. Próbowwała.

– Co w takim razie chcecie zrobić?

– To chyba oczywiste, prawda?

Tak, to oczywiste. Na Złą Ziemię, tak.

– Czy potrafisz to zrobić? – pyta Asael. I może nawet nie jest to z jej strony prowokacja. Może ta kobieta po prostu się boi: w końcu Sjen mówi o losach wspólnoty, w której się wychowała i którą nauczyła się ochraniać. Poza tym jako urodzona w kaście Przywódców Asael zna swoje miasto tylko z tej dobrej strony. Nie ma powodu, aby spoglądać na jego mieszkańców z nieufnością, nienawiścią czy strachem.

Sjen nie chce jej rozgniewać. Jest jednak w kiepskim nastroju, a poza tym odczuwa silne zmęczenie, ponieważ poprzedniej nocy nie wyspała się, ratując Alabastra przed zatruciem, natomiast pytanie Asael ma na celu umniejszenie jej pozycji. Podczas tej długiej, okropnej wyprawy przydarzyło jej się to już zbyt wiele razy.

– Tak – ucina więc, odwracając się i prostując ręce. – Powinniście wszyscy cofnąć się o przynajmniej dziesięć stóp.

Rozlegają się westchnienia i pełne zaniepokojenia szepty, a Sjen czuje, że na rozpościerającej się mapie jej świadomości szybko zanikają kolejne osoby: to jasne, drżące punkty, które wysuwają się poza strefę łatwego dostępu. Nadal jednak ma do nich dostęp. Tak samo jak do całej wspólnoty, która stanowi rój ruchu i życia, tak łatwy do chwycenia i wykorzystania. Ale zgromadzeni nie muszą o tym wiedzieć. Sjen jest profesjonalistką.

Wbija więc w ziemię zaostrzony rdzeń swojej mocy; jej torus jest wysoki i wąski. Następnie znowu bada podłoże, szukając najbliższego punktu uskoku albo odrobiny ciepła pozostałej po nieczynnym wulkanie, który niegdyś uformował kalderę miasteczka Allia. To coś w zatoce jest ciężkie; aby to poruszyć, będzie potrzebowała czegoś więcej niż otaczająca ją moc.

Wtedy jednak dzieje się coś bardzo dziwnego – i bardzo znajomego. Jej świadomość się zmienia.

Nagle nie jest już w ziemi. Coś odsuwa ją, a potem ciągnie w dół, do środka. Sjen, całkowicie zagubiona, unosi się w bezkresie czarnego, duszącego zimna, a moc, która ją wypełnia, nie jest ciepłem ani ruchem, ale czymś zupełnie innym.

Czymś podobnym do tego, co poczuła poprzedniej nocy, kiedy Alabaster przejął kontrolę nad jej gérotwórstwem. Ale to nie jest Alabaster.

A ona nadal ma kontrolę – w pewnym sensie. Nie może wprawdzie zatrzymać tego, co się dzieje; przyjęła już zbyt wiele mocy i jeśli spróbuje ją uwolnić, zamrozi połowę wspólnoty oraz wywoła wstrząs, w wyniku którego obecny kształt zatoki przejdzie do historii. Sjen jest jednak w stanie wykorzystać ten napływ siły. Może na przykład skierować ją w podłoże skalne znajdujące się pod tą rzeczą, której nie widzi. Może pociągnąć to wszystko do góry: nie będzie w tym wielkiej finezji, ale przynajmniej załatwi tę zardzewiałą sprawę. Sjen czuje, że olbrzymia pustka się unosi. Jeśli Alabaster obserwuje to z pokoju hotelowego, musi być pod wrażeniem.

„Ale skąd pochodzi ta moc? Jak mogę...”

Dopiero teraz z pewnym przerażeniem uświadamia sobie, że na skutek nagłego przypływu energii kinetycznej woda porusza się bardzo podobnie jak skała, ale reaguje na nią znacznie, znacznie szybciej. Do tego Sjen sama może teraz reagować, i to szybciej niż kiedykolwiek, ponieważ jest przepełniona mocą, która niemal uwalnia się z niej porami na skórze, i, na podziemny ogień, to uczucie jest niewyobrażalnie cudowne, a powstrzymanie potężnej fali, która za chwilę zniszczy cały port, to bułka z masłem. Sjen po prostu rozprasza jej siłę, przesyłając część z powrotem do morza, a resztę wykorzystując do uspokojenia wód, kiedy przedmiot z dna oceanicznego zostaje uwolniony z unieruchamiającego go osadu – oraz koralu, który zsuwa się z niego i pęka – a potem zaczyna się unosić.

Ale...

To coś nie chce wypełniać jej poleceń. Sjenit zamierzała zepchnąć przedmiot na bok zatoki; dzięki temu nawet gdyby korał się odbudował, port nie zostałby zablokowany. Zamiast tego...

– na Złą Ziemię – co, u rdzy...?

Zamiast tego przedmiot sam się porusza. Ona nie może go utrzymać. Kiedy próbuje to zrobić, cała moc, którą przed chwilą w sobie miała, ulatuje z niej tak szybko, jak w nią wniknęła.

Sjen wraca do swojego ciała i chwytą powietrze, osuwając się na drewnianą poręcz promenady. Minęło zaledwie kilka sekund. Godność nie pozwala jej upaść na kolana, ale poręcz jest jedyną rzeczą, która utrzymuje ją w pionie. Sjen szybko uświadamia sobie jednak, że nikt nie zauważy jej słabości, ponieważ deski pod jej stopami i poręcz, na której się opiera, trzęsą się złowieszczo.

Na wieży za plecami dziewczyny ogłuszająco wyje syrena wstrząsowa. Ludzie biegną po nadbrzeżu pod promenadą i otaczających ją ulicach; gdyby nie syrena, Sjen prawdopodobnie słyszałaby ich krzyki. Z pewnym wysiłkiem unosi głowę i widzi, jak Asael, Heresmith oraz pozostali uciekają z promenady, trzymając się z dala od budynków. Oczywiście zostawiają Sjenit samą.

Ale to nie to ostatecznie wrywa ją z odrętwienia. Robi to bryzg morskiej wody chłuszczącej nabrzeże niczym deszcz. Chwilę później całą tę część zatoki zasnuwa cień. Dziewczyna się odwraca.

Przed nią, zrzucając z siebie ostatnie pozostałości ziemskiej skorupy, nad wodę wznosi się powoli brzęcząca i szumiąca obelisk.

Jest inny od tego, który Sjen widziała poprzedniej nocy. Dziewczyna jest pewna, że tamten, różowy, nadal znajduje się kilka kilometrów od brzegu, ale nie spogląda w jego kierunku, żeby się upewnić. Obelisk unoszący się przed nią skupia cały jej wzrok i całą uwagę, ponieważ jest zardzewiałe olbrzymi, a nawet nie wynurzył się jeszcze w całości. Ma barwę głębokiej czerwieni przechodzącej w granat i kształt kolumny o sześciokątnej podstawie oraz nieregularnie zaostrozonym wierzchołku. Jest całkowicie jednolity i nie błyszczy tak, jak większość obelisków, a szerokością przekracza kilka statków ustawionych w rzędzie. Kiedy wyłania się z wody, widać też, że jest wystarczająco długi, aby zablokować prawie całą zatokę. Od jednego do drugiego końca ma jakieś półtora kilometra.

Coś jest z nim jednak nie w porządku – kiedy wznosi coraz wyżej, staje się jasne, co to takiego. W połowie długości gładką i krystaliczną powierzchnię pokrywają pęknięcia. Wielkie, brzydkie i poczerńiałe, jakby jakieś zanieczyszczenie z dna oceanicznego wsączało się tam przez całe wieki, które obelisk musiał spędzić pod wodą. Poszarpane, pajęczne linie tworzą na powierzchni kryształu gwiazdzisty wzór. Sjenit czuje, że szum obelisku rwie się i zacina w miejscu, gdzie jakaś niepojmowalna energia przenika przez jego uszkodzony fragment.

Pośrodku pajęczyny pęknięć Sjen widzi coś jeszcze. Coś małego. Mruży oczy i jeszcze mocniej opiera się o balustradę, wodząc wzrokiem za wznoszącym się punktem. Następnie obelisk obraca się nieznacznie w jej stronę, a krew ścina się w żyłach Sjenit, kiedy dziewczyna uświadamia sobie, na co tak naprawdę patrzy.

Na człowieka. W tym czymś, zamknięty niczym owad w bursztynie, jest jakiś człowiek o powyrywanych ze stawów kończynach i włosach zastygłych w nieładzie. Nie potrafi dostrzec twarzy tego kogoś, ale wyobraźnia podpowiada jej, że jego oczy są otwarte, podobnie jak usta. Że te usta krzyczą.

To właśnie wtedy rozpoznaje dziwne wzory na jego skórze, przyciemnionej przez głęboką czerwień obiektu. Promienie słońca migoczą, a ona uświadamia sobie, że włosy tego człowieka są przezroczyste, a przynajmniej na tyle prześwitujące, że wtapiają się w otaczające je ciemne barwy. Jest coś jeszcze, coś, co dostrzega być może dlatego, że przez chwilę była częścią tego obelisku – to stamtąd pochodziła jego moc, z miejsca, któremu nie może przyjrzeć się zbyt dokładnie, bo, na Złą Ziemię, nie zniesie tego! Ta wiedza znajduje się w jej umyśle i Sjen nie może jej zaprzeczyć, nieważne jak bardzo by tego chciała.

Kiedy logicznie rozumujący umysł zmuszony jest raz za razem konfrontować się z niemożliwym, w końcu nie ma innego wyjścia, jak tylko się do tego dostosować.

Dlatego Sjenit akceptuje, że tym, na co patrzy, jest uszkodzony obelisk, który leżał zapomniany na dnie zatoki Allia od Ziemia wie kiedy. Akceptuje, że tym, co jest uwięzione w jego sercu i co jakimś sposobem uszkodziło ten olbrzymi, wspaniały i tajemniczy obiekt, jest... zjadacz kamieni.

I że jest on martwy.

Ojciec Ziemia myśli wiekami, ale nigdy, nigdy nie zasypia.

Ani nie zapomina.

Tablica Druga, *Prawda Niekompletna*, werset drugi

13

JESTEŚ NA SZLAKU

Oto, czym jesteś w środku: drobnym i nieważnym stworzeniem. Oto fundament twojego istnienia. Ojciec Ziemia słusznie tobą pogardza, ale nie wstydz się. Wprawdzie jesteś potworem, ale jesteś też wielka.

Bezwspółnotowa kobieta nazywa się Tonkee. Podaje ci tylko imię, żadnego nazwiska użytkowego ani wspólnotowego. Pomimo jej zaprzeczeń jesteś pewna, że to geodziarka; potwierdza to – w pewnym sensie – kiedy pytasz ją, dlaczego za wami idzie.

– Cholera, on jest po prostu zbyt interesujący – mówi, wskazując brodą na Hoę. – Gdybym nie spróbowała go rozszyfrować, moi dawni mistrzowie z uniwerku nasłaliby na mnie zabójców. Nie żeby już tego nie zrobili! – śmieje się jak koń, rycząc i odsłaniając wielkie białe zęby. – Wspaniale byłoby zdobyć próbkę jego krwi, ale bez odpowiedniego sprzętu na niewiele mi się to zda. Zadowolę się więc obserwacją.

(Hoa reaguje na jej słowa złością i próbuje iść tak, żebyś ty zawsze znajdowała się pomiędzy nim a Tonkee).

Jesteś przekonana, że mówiąc „uniwerek”, kobieta miała na myśli Siódmy Uniwersytet w Dibars – najśłynniejszy ośrodek oświatowy dla geodziarzy i mędrców w całym Bezruchu, położony w drugim co do wielkości mieście Równikiady. Ale jeśli Tonkee szkoliła się właśnie na tej prestiżowej uczelni, a nie w jakiejś regionalnej szkole dla dorosłych czy u lokalnego majsterkowicza, to rzeczywiście nisko upadła. Jesteś jednak zbyt uprzejma, żeby powiedzieć to na głos.

Wbrew temu, co mówiła, rzucając swoje wymyślne groźby, Tonkee nie mieszka w wiosce kanibali. Dowiadujesz się tego, kiedy po południu prowadzi was do swojego domu. Jest nim jaskinia usytuowana w pozostałości po pęcherzu zastygłej lawy, który rozmiarami musiał niegdyś przypominać niewielki pagórek. Teraz jest to odosobniona i zalesiona dolina, a drzewa poprzetykane są tu zakrzywionymi kolumnami lśniącego czarnego szkła. Na obrzeżach znajduje się mnóstwo mniejszych jaskiń – drobne pęcherze lawy musiały tam przylegać do tego większego – a Tonkee ostrzega cię, że w niektórych, położonych na skraju doliny, mieszkają dzikie koty i inne zwierzęta. Większość z nich normalnie nie stanowi zagrożenia, ale podczas Sezonu wszystko się zmienia, dlatego poruszasz się ostrożnie.

Grota Tonkee jest zawałona przyrządami, książkami i śmieciami, wśród których znajdują się całkiem przydatne rzeczy, na przykład lampy czy suszone jedzenie. Pachnie tu żywicą, ale kiedy Tonkee zaczyna krzątać się w środku, czuć już tylko jej smród. Postanawiasz jakoś to znieść, natomiast Hoa wygląda, jakby w ogóle nie zwracał na to uwagi; zazdrościsz mu tego spokoju. Na szczęście okazuje się, że Tonkee rzeczywiście przyniosła tutaj całą tę wodę, aby wziąć kąpiel. Robi to na waszych oczach, bezwstydnie rozbierając się i kucając w drewnianej balii, żeby wyszorować pachy, krocze oraz całą resztę. W całym tym zamieszaniu z pewnym zaskoczeniem dostrzegasz penisa, ale, no cóż, i tak żadna wspólnota nie wzięłaby jej na Piastunkę. Na koniec Tonkee płucze włosy i ubranie w ciemnozielonym płynie, który, zgodnie z jej zapewnieniami, ma zapobiegać grzybicy. (Wątpisz w to).

W każdym razie po jej kąpeli miejsce pachnie znacznie lepiej, dlatego spędzasz przyjemną noc w swoim śpiworze – kobieta ma zapasowe łóżko, ale nie chcesz złapać wszy – i pozwalasz nawet, żeby

Hoa zwinął się obok ciebie, chociaż odwracasz się do niego plecami, na wypadek gdyby próbował się przytulać. Nie próbuje.

Następnego dnia wznawiasz wędrówkę na południe, w której towarzyszy ci teraz bezwspólnotowa geodziarka Tonkee oraz Hoa... kimkolwiek jest. Bo jesteś już pewna, że to nie człowiek. Nie martwi cię to, teoretycznie ty też nie jesteś człowiekiem. (Na mocy „Deklaracji praw istot górotwórczych” ustanowionej przez Drugą Radę Mędrców Yumenes jakieś tysiąc lat temu). Martwi cię natomiast, że Hoa nie chce o tym mówić. Pytasz go o to, co zrobił z kirkhusem, ale robi tylko zboląłą minę i powtarza:

– Chciałem, żebyś mnie lubiła.

Podróżowanie z tą dwójką sprawia, że czujesz się prawie normalnie. Tak czy inaczej, droga pochłania większość twojej uwagi. W ciągu następnych kilku dni opady popiołu stają się coraz bardziej intensywne, aż w końcu wyciągasz ze swojego worka maski – na szczęście masz cztery, co z drugiej strony jest też przerażające – i wręczasz je towarzyszom podróży. Na razie wokół widać tylko pozlepiany popiół, a nie unoszącą się mgłę śmierci, przed którą ostrzega mądrość kamieni, ale lepiej dmuchać na zimne. Maski założyli też inni ludzie, którzy wyłaniają się z szarości, kolorem skóry, włosów i ubrań ledwie odróżniając się od pokrytego popiołem krajobrazu. Zakryte twarze sprawiają, że wszyscy są tak samo anonimowi i nierozpoznawalni. I dobrze. Nikt nie zwraca już uwagi na ciebie, Hoę czy Tonkee. Cieszy cię, że stanowisz część bezimiennej masy.

Pod koniec tygodnia tłumy ludzi podróżujących drogą zaczynają się przerzedzać, kolejne grupy są coraz mniej liczne. Każdy, kto należy do jakiejś wspólnoty, wraca do niej, a coraz mniejszy ruch na drodze oznacza, że większość podróżujących znajduje dla siebie jakieś miejsce. Teraz pozostali już tylko ci, którzy udają się do najdalej wysuniętych miejsc, oraz ci, którzy nie mają dokąd wrócić – jak na przykład liczni Równikejczycy o zapadniętych oczach i okropnych oparzeniach lub ranach spowodowanych przez spadający gruz. Równikejczycy stanowią tutaj duży problem, ponieważ jest ich na drodze bardzo wielu, mimo że gdy zostaną ranni, łapią najczęściej infekcje i powoli umierają. (Każdego dnia mijasz co najmniej jedną albo dwie osoby, które po prostu siedzą na poboczu drogi, blade lub zaczerwienione, skulone lub drżące, czekając na nadejście końca). Wciąż jednak jest ich wielu: to zazwyczaj krzepcy ludzie, którzy teraz nie mają już wspólnoty. Coś takiego zawsze stanowi problem.

Przy następnym zajeździe rozmawiasz z niewielką grupą złożoną z pięciu kobiet w różnym wieku i jednego młodego mężczyzny sprawiającego wrażenie zagubionego. Spostrzegasz, że pozbyli się oni większości obszernych, ozdobnych i bezużytecznych ubrań, które Równikejczycy uznawali dotychczas za modne, i gdzieś po drodze ukradli albo kupili wytrzymałą odzież oraz obuwie odpowiednie do wędrówki. Każde z nich ma jednak na sobie jakąś pamiątkę po dawnym życiu: najstarsza kobieta nosi na głowie niebieską chustę z plisowanej i poplamionej satyny, spod praktycznej bluzy najmłodszej wystają rękawy cienkiej koszuli, a mężczyzna ma na sobie miękką przepaskę biodrową w brzoskwiniowym kolorze, która, z tego co widzisz, pełni funkcję wyłącznie ozdobną.

A jednak to nie tylko ozdoba. Zauważasz, w jaki sposób patrzą na ciebie, kiedy do nich podchodzisz: mierzą wzrokiem twoje nadgarstki, szyję i kostki, a na ich twarzach pojawiają się nieprzyjemne grymasy. Niepraktyczna odzież ma jedno praktyczne zastosowanie: to dowód przynależności do nowego, tworzącego się właśnie plemienia. Plemienia, do którego nie należysz.

To jeszcze nie problem. Na razie.

Pytasz ich, co wydarzyło się na północy. Wiesz to, ale znajomość geologicznych przyczyn danego zjawiska i jego znaczenia w świecie ludzi to dwie zupełnie różne rzeczy. Kiedy podnosisz ręce i jasno dajesz do zrozumienia, że nie stanowisz (widocznego) zagrożenia, odpowiadają na twoje pytanie.

– Wracałam do domu po koncercie – mówi jedna z młodszych kobiet; nie przedstawia ci się, ale widzisz, że powinna być Piastunką (jeśli jeszcze nią nie jest). Wygląda jak ideał sanzeńskiej kobiety: jest

wysoka, silna, opalona i niemal wyzywająco zdrowa, a na dodatek ma szerokie biodra, ładne rysy twarzy oraz gęstwinę szarych popiołowych włosów, które niemal przygniatają jej ramiona. Obraca się do młodego mężczyzny, który skromnie spuszcza wzrok. Jest tak samo ładny i prawdopodobnie również należy do Piastunów, choć wygląda na odrobinę wychudzonego. Jeśli jednak opiekuje się nim pięć kobiet, na pewno przybierze na wadze. – On grał w sali improwizacji przy ulicy Shemsheny, w Alebid. Muzyka była taka piękna...

Mówiąc to, odpływa i widzisz, że przez chwilę przebywa zupełnie gdzie indziej. Wiesz, że Alebid jest – było – średniej wielkości wspólnotą miejską znaną ze swojej sceny artystycznej. Zaraz jednak dziewczyna wraca do siebie, ponieważ oczywiście jest dobrą Sanzenką, a dobrzy Sanzeńczycy potępiają marzycielstwo.

– Zobaczyliśmy, że coś... tak jakby odrywa się na północy – ciągnie dalej. – To znaczy, wzdłuż horyzontu. Widzieliśmy to... czerwone światło, które nagle rozbłysło, a potem rozprzestrzeniło się na wschód i na zachód. Nie wiem, jak daleko dotarło, ale widzieliśmy, jak odbija się od chmur. – Dziewczyna znowu odpływa, jednak tym razem przypomina sobie coś okropnego, bo jej twarz nieruchomieje w grymasie wściekłości. To uczucie bardziej akceptowalne społecznie niż nostalgia. – Rozprzestrzeniło się naprawdę szybko. Staliśmy na ulicy, obserwując to i próbując zrozumieć, co tak naprawdę widzimy i sejszymy, a wtedy ziemia zaczęła drżeć. Zaraz potem jakaś chmura przysłoniła czerwień i zrozumieliśmy, że to się do nas zbliża.

Wiesz, że nie była to chmura piroklastyczna, bo wtedy ta dziewczyna nie rozmawiała by z tobą. Musiała to być więc burza popiołowa. Alebid znajduje się dość daleko na wschód od Yumenes i dotarły tam tylko pozostałości tego, co uderzyło w północne wspólnoty. Całe szczęście, ponieważ same te pozostałości niemal zniszczyły Tirimo, położone znacznie bardziej na południe. Teoretycznie Alebid powinno być więc w gruzach.

Podejrzewasz, że tę dziewczynę ocaliło górotwórstwo. Bo rzeczywiście, w pobliżu Alebid znajduje się – albo znajdowała – stacja węzła.

– Wszystko wciąż stało – mówi dziewczyna, potwierdzając twoje przypuszczenia. – Ale popiół, który spał później... nie dało się oddychać. Wcisnął się ludziom do ust i do płuc, zamieniając się w cement. Na twarzy zawiązałam sobie bluzę, która wykonana była z tego samego materiału co maski. To mnie ocaliło. Nas. – Spogląda na swojego chłopaka, a ty uzmysławiasz sobie, że chusta, którą nosi on wokół bioder, to po prostu fragment jej ubrania. – Był wieczór po pięknym dniu. Ludzie nie mieli przecież przy sobie worków na czarną godzinę.

Zapada cisza. Tym razem cała szóstka poddaje się i na moment odpływa. Wspomnienie musi być bardzo silnie. Pamiętasz, że niewielu Równiejczyków w ogóle posiadało worki na czarną godzinę. Przez całe wieki węzły w zupełności wystarczały, aby utrzymać bezpieczeństwo w większych miastach.

– Pobiegliśmy więc – stwierdza nagle kobieta, wzdychając. – I nie zatrzymaliśmy się do tej pory.

Dziękujesz im za informację i odchodzisz, zanim sami zdążą zadać jakieś pytania.

Mijają kolejne dni, a ty słyszysz więcej podobnych historii. Zauważasz również, że żaden z Równiejczyków, których spotykasz na drodze, nie pochodzi z Yumenes ani z innych miejscowości z tamtej szerokości geograficznej. Alebid jest prawdopodobnie najdalej wysuniętą na północ wspólnotą, która ocalała.

Nie ma to jednak znaczenia. Nie idziesz na północ. I niezależnie od tego, jak bardzo cię to wszystko niepokoi – chciałabyś wiedzieć, co się stało i co to wszystko oznacza – wiesz, że nie warto zbyt się w to zagłębiać. Twoją głowę wypełnia już i tak zbyt wiele paskudnych wspomnień.

Dlatego więc razem ze swoimi towarzyszami dalej przedzieras się przez szare dni i czerwone noce, a jedynym, co tak naprawdę cię martwi, jest utrzymywanie pełnej manierki i zapasów jedzenia, a także

wymienianie butów, kiedy przestają się nadawać do użytku. To wszystko jest łatwe – na razie – ponieważ ludzie wciąż mają nadzieję, że to będzie krótki Sezon: rok bez słońca, może dwa lub trzy. Tak właśnie wygląda większość Sezonów, a ocalałe wspólnoty utrzymują w tym czasie handel, wzbogacając się na kiepskim planowaniu innych i najczęściej w ogólnym rozrachunku zyskują na katastrofie. Ty jednak wiesz lepiej – ten Sezon będzie zdecydowanie zbyt długi, aby dało się na niego przygotować. Nie powstrzymaj cię to jednak przed wykorzystywaniem niewiedzy innych.

Co jakiś czas zatrzymujesz się w mijanych wspólnotach; niektóre z nich to olbrzymie, rozłożyste miasta o wysokich granitowych ścianach, inne z kolei są zabezpieczane jedynie przez drut kolczasty, zaostrome piki i kiepsko uzbrojonych Mocarnych. Ceny zaczęły już wariować. Jedna wspólnota przyjmuje pieniądze i wykorzystujesz niemal całą swoją gotówkę na zakup śpiwora dla Hoi. Następnie nie chcą już pieniędzy, ale wymieniają się towarami za przydatne narzędzia, a ty trzymasz na dnie worka stare młotki Jiji. Kupujesz za nie konserwowy chleb i trzy słoiki słodkiego masła orzechowego, co pozwoli wam przetrwać kilka kolejnych tygodni.

Rozdzielasz jedzenie między waszą trójkę, ponieważ to ważne. Mądrości kamieni pełne są przestróg odnośnie do tworzenia podziałów w grupach – a wy jesteście już grupą, czy ci się to podoba, czy nie. Hoa wykonuje swoje obowiązki i przez większą część nocy trzyma wartę; nie śpi zbyt wiele. (I prawie nie je. Po pewnym czasie próbujesz jednak o tym nie myśleć, tak samo jak o tym, że zmienił kirkhusa w kamień). Tonkee nie lubi zbliżać się do wspólnot, mimo że w świeżym ubraniu i z raczej przeciętnym zapachem ciała spokojnie może podawać się za kolejną osobę nagle pozbawioną domu. Musisz więc zajmować się tym sama. Tonkee pomaga jednak, jak może. Kiedy twoje buty przestają się nadawać do użytku, a mieszkańców wspólnoty, do której dotarliście, nie interesuje żaden z przedmiotów, które oferujesz im w ramach wymiany, Tonkee zaskakuje cię, wyjmując kompas. W czasach, kiedy niebo zasnuwają chmury, a popiół bardzo utrudnia widoczność, kompasy są bezcenne. Powinnaś dostać za niego dziesięć par butów. Mieszkanka wspólnoty, z którą dobijasz targu, wie jednak, że masz nóż na gardle, dlatego otrzymujesz jedynie dwie pary – jedną dla siebie i jedną dla Hoi, ponieważ te, które ma na sobie, wyglądają już na zniszczone. Tonkee, która do plecaka przywiązane ma własne zapasowe buty, lekceważy zawyżoną cenę, kiedy wspominasz o tym jakiś czas później.

– Nie ma innych sposobów na znalezienie właściwej drogi – odpowiada i patrzy na ciebie w taki sposób, że czujesz się niezręcznie.

Twoim zdaniem ona nie ma pojęcia, że jesteś roggą. Ale z nią tak naprawdę nigdy nie wiadomo.

Pokonujecie kolejne kilometry. Droga często się rozwidla, ponieważ w centralnej części Bezruchu znajduje się wiele dużych wspólnot, a Cesarski Trakt przecinają lokalne ścieżki przeznaczone do pędzenia krów, rzeki oraz stare metalowe szyny, które jedna z wymarłych cywilizacji musiała jakoś wykorzystywać do transportu. To właśnie z powodu tych skrzyżowań Cesarski Trakt wytyczono właśnie tutaj: drogi zawsze stanowiły podstawę funkcjonowania Starego Sanze. Niestety, oznacza to, że jeśli nie wiesz, dokąd iść, łatwo możesz się zgubić – zwłaszcza jeśli nie posiadasz kompasu ani mapy, a na szlaku nie pojawiają się kierunkowskazy z napisem „Synobójcy”.

Twoim wybawieniem jest chłopiec. Wierzysz, że w jakiś sposób potrafi wyczuć Nassun, bo na razie jest bardziej przydatny niż kompas: za każdym razem, kiedy zbliżacie się do rozstaju dróg, potrafi wskazać kierunek, w którym powinniście się udać. Przez większość czasu idziecie Cesarskim Traktem – ten konkretny przebiega pomiędzy Yumenes a Ketteker, a ponieważ to drugie miasto położone jest na Antarktydzie, modlisz się, żebyś nie musiała wędrować aż tak daleko. W pewnym momencie Hoa prowadzi cię lokalną drogą łączącą dwa różne odcinki Cesarskiego Traktu, dzięki czemu prawdopodobnie nadrabiasz wiele czasu, zwłaszcza jeśli Jija trzyma się głównych szlaków. (Korzystanie ze skrótu jest o tyle problematyczne, że we wspólnocie, która wybudowała tę drogę, roi się od

uzbrojonych Mocarnych, którzy na wasz widok krzyczą i oddają ostrzegawczy strzał z kuszy. Nie otwierają bram miasta, aby z wami handlować. Czujesz na sobie ich wzrok jeszcze długo po tym, jak mijacie tę miejscowość). Jednak im dalej na południe się znajdujecie, tym Hoa wypowiada się z coraz z mniejszym przekonaniem. Kiedy go o to pytasz, odpowiada, że zna ogólny kierunek, w jakim podąża Nassun, ale nie potrafi wyczuć dokładnej drogi, którą ona i Jija podążają. Może jedynie wskazać tę najbardziej prawdopodobną.

W ciągu kolejnych tygodni ma coraz większe problemy nawet z tym. Na jednym ze skrzyżowań stoicie przez całe pięć minut, a Hoa przygryza wargę, aż w końcu pytasz, o co chodzi.

– Jest was teraz bardzo wielu w jednym miejscu – odpowiada niepewnie, a ty szybko zmieniasz temat, ponieważ jeśli Tonkee nie ma pojęcia, czym jesteś, to po takiej rozmowie od razu się zorientuje.

„Jest was teraz bardzo wielu”. Chodziło mu o ludzi? Nie, to bez sensu. O roggów? Zbierających się razem? To jeszcze bardziej bezsensowne. Fulcrum przestało istnieć razem z Yumenes. Są wprawdzie zamiejscowe oddziały, na przykład na niedostępnej teraz Arktyce, daleko na północy, a także na Antarktydzie, ale od tej ostatniej dzieli cię kilka miesięcy drogi. Pozostałe na szlaku górotwory to osoby takie jak Tonkee: ukrywające to, czym są, i usiłujące przetrwać tak samo jak reszta. Zbieranie się w grupy nie miałoby sensu, bo tylko zwiększyłyby ryzyko zdemaskowania.

Na skrzyżowaniu Hoa wybiera drogę, a ty idziesz za nim, lecz patrząc na zmarszczone czoło chłopca, wiesz, że po prostu zgadywał.

– To już blisko – oznajmia w końcu pewnego wieczoru.

Jecie konserwowy chleb i masło orzechowe, próbując nie wyobrazić sobie, że mogłoby to być coś lepszego. Zaczynasz odczuwać brak świeżych warzyw, ale te już wkrótce zaczną być – jeśli już nie są – bardzo rzadkim towarem, dlatego starasz się stłumić w sobie apetyt. Tonkee oddaliła się gdzieś; prawdopodobnie się goli. Kilka dni temu wyczerpała zapasy jakiegoś bio-eliksiru, który trzymała w plecaku, próbując ukrywać się z jego piciem – jakby cokolwiek cię to obchodziło – a w wyniku jego odstawienia co kilka dni odrasta jej broda. Denerwuje ją to.

– To miejsce pełne górotworów – kontynuuje Hoa. – Nie widzę nic, co znajduje się dalej. Oni są jak... jak światła. Łatwo jest zobaczyć jedno, na przykład Nassun, ale razem tworzą coś bardzo jasnego, a ona przeszła obok albo przez sam środek. Teraz nie mogę... – Wydaje się szukać odpowiednich słów. Ale na takie rzeczy nie ma odpowiednich słów. – Nie mogę...

– Wysejszyć? – podpowiadasz.

Hoa ściera brwi.

– Nie. To nie to, co robię.

Postanawiasz nie pytać, co w takim razie robi.

– Nie mogę... nie mogę dowiedzieć się niczego więcej. To jasne światło nie pozwala mi skupić się na żadnym mniejszym.

– Jak wielu – pomijasz kolejne słowo, na wypadek gdyby Tonkee właśnie wracała – tam jest?

– Nie wiem. Więcej niż jeden. Mniej niż całe miasto. Ale zmierzają tam kolejni.

To cię niepokoi. Niemożliwe, żeby wszyscy oni szukali porwanych córek i mężów-morderców.

– Dlaczego? I skąd wiedzą, że powinni tam iść?

– Nie wiem.

Tak, to bardzo pomocne.

Jedyne, co wiesz na pewno, to fakt, że Jija udał się na południe. Jednak „południe” odnosi się do bardzo dużego obszaru: to ponad jedna trzecia całego kontynentu. Tysiące wspólnot. Dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych. Dokąd on idzie? Nie wiesz. A co jeśli skręci na wschód albo na zachód? Co jeśli się zatrzyma?

Pochylasz się nad tą myślą.

– Czy mogli się tam zatrzymać? Jija i Nassun? W tamtym miejscu?

– Nie wiem. Ale na pewno tamtędy szli. Do tego momentu ich czułem.

Czekasz więc, aż wróci Tonkee, i mówisz jej, dokąd zamierzasz się udać. Nie zdradzasz jej, dlaczego tak postanowiłaś, a ona nie pyta. Nie wyjaśniasz jej też, co tam jest – bo tak naprawdę sama tego nie wiesz. Może ktoś próbuje stworzyć nowe Fulcrum. Może wydano w tej sprawie jakieś ogłoszenie. Tak czy inaczej, dobrze znowu mieć jasny cel podróży.

Ignorujesz wzbierającą w tobie niepewność i wchodzisz na drogę, którą – masz taką nadzieję – podróżowała Nassun.

Osądzaj innych na podstawie ich przydatności: przywódców i tych o sercach wielkich, piastunów i tych o dłoniach sprawnych, mędrców i tych, co śmiertelni, a prócz tego również kilku mocarnych, by strzegli ich wszystkich.

Tablica Pierwsza, *O Przetrwaniu*, werset dziewiąty

SJENIT PSUJE SWOJE ZABAWKI

W wiadomości z Yumenes napisano: „Pozostańcie na miejscu. Czekać na instrukcje”.

Sjenit bez słowa podaje telegram Alabastrowi, a on spogląda na niego i zaczyna się śmiać.

– Proszę, proszę. Coś mi się wydaje, że zapracowałeś właśnie na kolejny pierścień, górotworze Sjenit.

Albo na wyrok śmierci. Po powrocie zapewne się tego dowiemy.

Znajdują się w swoim pokoju hotelowym w Końcu Sezonu i są nadzy po codziennym wieczornym ruchaniu. Sjenit wstaje, niespokojna i rozzłoszczona, a potem zaczyna chodzić po pomieszczeniu. Pokój jest mniejszy niż ten, w którym mieszkali tydzień wcześniej, ponieważ w związku z faktem, że kontrakt z Allia został zrealizowany, wspólnota nie opłaca już ich pobytu w mieście.

– „Po powrocie”? – Spogląda na niego. Alabaster jest całkiem zrelaksowany: podłużny zarys pozytywnej energii rozciągnięty na bieli łóżka w mdłym świetle wieczoru. Patrząc na niego, Sjen przypomina sobie granatowy obelisk: jest tak samo nierealny i wywołuje podobną frustrację. Dziewczyna nie potrafi zrozumieć, dlaczego jej towarzysz nie wpada w złość. – I co ma znaczyć to idiotyczne „pozostańcie na miejscu”? Dlaczego nie pozwalają nam wrócić?

Alabaster karcni ją krótkim: „Tsss!”.

– Wyrażaj się! W Fulcrum byłaś taka ułożona. Co się z tobą stało?

– Poznałam ciebie. Odpowiedz na pytanie!

– Może chcą zafundować nam wakacje. – Alabaster ziewa i sięga do kosza z owocami, który leży na stoliku nocnym. Od tygodnia sami kupują sobie jedzenie. Przynajmniej nie trzeba mu już przypominać o posiłkach. Nuda wychodzi mu na dobre. – Co za różnica, czy marnujemy czas tutaj, czy w drodze powrotnej do Yumenes? Tutaj przynajmniej jest wygodnie. Wracaj do łóżka.

Sjenit obnaża zęby.

– Nie.

– Żeby odpocząć – wzdycha Alabaster. – Zrobiliśmy już dzisiaj, co do nas należy. Na podziemny ogień, mam wyjść, żebyś mogła się masturbować? Czy to poprawiłoby ci nastrój?

Właściwie to tak, ale Sjen nie ma zamiaru tego przyznać. W końcu, z braku innych rzeczy do roboty, wraca do łóżka. Alabaster podaje jej kawałek pomarańczy, a ona przyjmuje go od niego, ponieważ to jej ulubiony owoc. Pomarańcze są tutaj bardzo tanie. Od czasu przyjazdu do Allia wiele razy myślała o życiu w nadmorskiej wspólnocie. Łagodna pogoda, dobre jedzenie, niskie koszty życia i ludzie ze wszystkich regionów świata, podróżnicy i handlarze pojawiający się w porcie. A do tego zachwycający ocean; Sjen potrafi godzinami patrzeć na niego z okna. Gdyby nie to, że nadmorskie wspólnoty co kilka lat zmywa z powierzchni ziemi tsunami... no cóż.

– Po prostu tego nie rozumiem – mówi po raz chyba tysięczny. Bastra dawno już pewnie znudziły jej narzekania, ale ona nie ma nic innego do roboty, więc będzie musiał to wytrzymać. – Czy to jakiś rodzaj kary? Czy wykonując nasze zadanie, nie powinnam była znaleźć tego zardzewiałego, wielkiego nie-wiadomo-czego ukrytego na dnie zatoki? – mówiąc to, unosi rękę. – Jakby ktokolwiek mógł to przewidzieć.

– Prawdopodobnie chcą mieć cię na miejscu, kiedy przyjadą tu geodziarze – na wypadek gdyby okazało się, że Fulcrum może jeszcze zrobić na tym jakiś interes.

Alabaster mówił to już wcześniej, a ona wie, że to zapewne prawda. Geodziarze zaczęli już zbierać się w mieście – podobnie jak archeomeści, mędrzy i biomeści, a nawet kilku lekarzy, którzy obawiają się

wpływu, jaki na mieszkańców Allia może mieć tak bliskie położenie obelisku. Przybyli również oczywiście wszelkiej maści szarlatani i wariaci: metalomędrzy, astromeści i pasjonaci innych pseudonauk. Jest tu chyba każdy mieszkaniec tego i sąsiednich kwardonów, który odbył jakikolwiek trening albo ma jakieś hobby. Sjenit i Alabaster w ogóle mają pokój tylko dlatego, że to właśnie oni odkryli przedmiot w zatoce i że odpowiednio wcześniej zajęli sobie miejsce; teraz każdy zajazd i hotel w całym kwardonie jest już przepełniony.

Do tej pory cholerne obeliski nikogo nie obchodziły. Ale nigdy wcześniej żaden z nich nie unosił się tak blisko, tak dobrze widoczny ponad dużym skupiskiem miejskim i na dodatek z martwym zjadaczem kamieni w środku.

Oprócz przesłuchiwania Sjenit w sprawie podniesienia obelisku – teraz dziewczyna krzywi się za każdym razem, kiedy ktoś obcy przedstawia się jej jako jakiś Dureń Innowator Cośtam – geodziarze niczego jednak od niej nie chcieli. To dobrze, bo nie upoważniono jej do prowadzenia negocjacji w imieniu Fulcrum. Być może Alabastra tak, ale Sjen nie chce, żeby rozmawiał z kimkolwiek o jej usługach. Nie sądzi, że celowo zatrudniłby ją do czegoś, czego nie chciałyby robić; nie jest aż takim dupkiem. Chodzi raczej o zasadę.

Co gorsza, Sjen nie do końca wierzy Alabastrowi. Pozostawienie ich tutaj wydaje się bezsensowne. Fulcrum powinno chcieć sprowadzić ją do Równikiady, gdzie mogłaby zostać przesłuchana przez Cesarskich Uczonych Siódmego Uniwersytetu i gdzie seniorzy, nikt inny, mogliby ustalać wysokość opłat od geodziarzy za dostęp do Sjenit. Powinni chcieć sami ją przesłuchać i lepiej zrozumieć tę dziwną moc, którą czuła już trzy razy i o której wie, że pochodzi z obelisku.

(Również Stróże powinni chcieć z nią porozmawiać. Oni zawsze mają własne tajemnice. Najbardziej dotknęło Sjen właśnie to, że nie wykazali nią żadnego zainteresowania).

Alabaster ostrzegął ją, aby o tym nie wspominała. „Nikt nie musi wiedzieć, że potrafisz połączyć się z obeliskiem”, powiedział następnego dnia po tamtym wydarzeniu. Był wtedy jeszcze słaby z powodu trucizny i ledwie dawał radę wstać z łóżka; okazało się, że wbrew temu, co Sjen naopowiadała Asael o jego umiejętnościach zdalnego działania, był zbyt wyczerpany, żeby zrobić cokolwiek, kiedy podniosła obelisk. A jednak, pomimo wycieńczenia, mocno złapał ją wtedy za rękę, żeby się upewnić, że go słucha. „Powiedz im, że po prostu próbowałam przemieścić skały, a to coś samo wyskoczyło z wody jak korek; nawet nasi w to uwierzą. To tylko kolejna bezsensowna pozostałość po wymarłej cywilizacji i nikt nie będzie cię o nią wypytywał, jeśli nie dasz im do tego powodów. Dlatego nie rozmawiaj o tym. Nawet ze mną”.

To oczywiście sprawia, że Sjen jeszcze bardziej ma ochotę o tym rozmawiać. Kiedy raz spróbowała, Baster jedynie spojrział na nią wymownie, a ona zrozumiała, co miała zrozumieć, i zajęła się czymś innym.

To właśnie wkurza ją najbardziej.

– Idę na spacer – oznajmia w końcu i wstaje.

– W porządku – odpowiada Alabaster, przeciągając się i podnosząc z łóżka; słychać, jak strzelają mu stawy. – Idę z tobą.

– Nie prosiłam o towarzystwo.

– Nie, nie prosiłaś. – Znowu się do niej uśmiecha, tym razem jednak w ten nieprzyjemny sposób, którego ona zaczyna nienawidzić. – Ale jeśli zamierzasz wyjść sama w nocy na teren wspólnoty, gdzie ktoś już raz próbował zabić jedno z nas, to niech mnie rdza, ale będziesz miała towarzystwo.

Słyszając to, Sjenit się odwraca.

– Ach.

To drugi temat, którego nie poruszają – nie dlatego że Alabaster zabronił jej o tym wspominać, ale ponieważ żadne z nich nie wie wystarczająco dużo, aby powiedzieć cokolwiek, co byłoby czymś więcej niż tylko spekulowaniem. Sjenit chce wierzyć, że najprostsze wytłumaczenie jest zarazem najbardziej prawdopodobne: jakiś pracownik kuchni okazał się niekompetentny. Alabaster wskazała jednak lukę takiego rozumowania: nikt inny w hotelu ani w całym mieście nie zachorował. Sjenit uważa, że i to da się łatwo wytłumaczyć – Asael kazała kucharzom zatruć tylko jedzenie Alabastra. Takie właśnie rzeczy robią Przywódcy w historiach, które się o nich opowiada – pełno w nich trucizn i zabijania w sposób przebiegły i podstępny. Sjen woli opowieści o Obrońcach przewyciężających przeciwności losu, Piastunach ocalających ludzkie życie dzięki zawieraniu przemyślanych politycznie małżeństw albo o Mocarnych, rozwiązujących problemy starą, dobrą przemocą.

Alabaster, jak to Alabaster, wydaje się sądzić, że za zamachem na jego życie kryje się coś więcej. A Sjenit nie chce przyznać, że może mieć rację.

– No to proszę bardzo – mówi, ubierając się.

Jest przyjemny wieczór. Kiedy idą pochyłą alejką prowadzącą do portu, słońce dopiero zachodzi. Cienie wydłużają się przed nimi i przed budynkami, w większości pokrytymi stiukiem i pomalowanymi na piaskowy kolor. Tylko niektóre z nich zaskakują głębszymi barwami czerwieni, fioleto i złota. Alejka, którą podążają, przecina krętą boczną uliczkę kończącą się niewielkim placem w ruchliwej części zatoki; kiedy przystają tam, żeby się rozejrzeć, Sjen dostrzega grupkę młodych mieszkańców wspólnoty, którzy bawią się i śmieją na plaży. Wszyscy są szczupli, opaleni, zdrowi i w oczywisty sposób szczęśliwi. Sjen patrzy na nich i zastanawia się, czy to właśnie tak wygląda normalne dorastanie.

Wtedy obelisk – na końcu alejki wyraźnie widać, jak unosi się około trzech albo czterech metrów ponad wodami zatoki – emituje kolejny niski, lewie wyczuwalny puls. To sprawia, że Sjen zapomina o młodych mieszkańcach Allia.

– Coś jest z tym nie w porządku – stwierdza bardzo spokojnie Alabaster.

Sjenit spogląda na niego, rozzłoszczona i gotowa powiedzieć coś w rodzaju: „Co, nagle chcesz o tym porozmawiać?”, a wtedy dostrzega, że on wcale nie patrzy na obelisk. Grzebie w ziemi jedną stopą, trzyma ręce w kieszeniach i wygląda... ech. Sjen prawie wybuchła śmiechem. Wygląda jak nieśmiały chłopiec, który chce zaproponować swojej koleżance coś zdrożnego. Z tą różnicą, że Alabaster nie jest młody ani nieśmiały, a poza tym nie ma znaczenia, czy ona wygląda ładnie i czy on ma zdrożne myśli, bo przecież i tak się ruchają. Zwyczajny obserwator nie powiedziałaby, że Alabaster zwraca choćby najmniejszą uwagę na obelisk.

I właśnie wtedy Sjenit uświadamia sobie, że tylko oni dwoje go sejszą. Puls tak naprawdę nie jest pulsem. Nie jest rytmiczny ani urywany, to raczej nagły i złowieszczy dreszcz, który Sjen wyczuwa co jakiś czas, w zupełnie przypadkowych odstępach czasu – coś jak ból zęba. Gdyby jednak mieszkańcy wspólnoty też go sejszyli, nie śmialiby się, nie wygłupiali i nie relaksowali beztrudnie pod koniec pogodnego dnia. Wszyscy obserwowaliby ten potężny, unoszący się nad wodą obiekt, który Sjenit w głowie coraz częściej łączy ze słowem „niebezpieczny”.

Odczytuje wskazówkę Bastra i sięga po jego ramię, przytulając się do niego, jakby naprawdę go lubiła. Mówi szeptem, mimo że nie wie, przed kim albo przed czym miałyby ukrywać treść tej rozmowy. Pod koniec dnia na ulicach miasta przebywają wprawdzie ludzie, ale w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na nich dwoje.

– Czekam, aż wzniesie się wyżej, tak jak pozostałe.

Bo przecież znajduje się stanowczo zbyt blisko ziemi, a właściwie wody. Wszystkie inne obeliski, które Sjen widziała w życiu – łącznie z tym, który ocalił Alabastrowi życie i który wciąż unosi się kilka kilometrów od brzegu – znajdowały się na wysokości najniższych chmur albo jeszcze wyżej.

– Pochyla się też na jedną stronę. Jakby ledwie dawał radę w ogóle utrzymać się w powietrzu.

„Co?” Sjen nie może się powstrzymać i spogląda na obelisk. Baster natychmiast ściska jej rękę, żeby ją przed tym powstrzymać. Rzut oka wystarczy jednak, aby potwierdzić to, co powiedział: obelisk, skierowany wierzchołkiem na południe, rzeczywiście się przechyla. Obracając się, bardzo nieznacznie drży. Przechył jest tak niewielki, że Sjen nie zauważyłaby go, gdyby nie otaczały jej same budynki o prostych ścianach. Teraz nie potrafi jednak już tego nie widzieć.

– Chodźmy tędy – proponuje. Zamarudzili tu już zbyt długo. Alabaster oczywiście się zgadza i ruszają boczną uliczką w stronę placu, utrzymując spacerowe tempo.

– To dlatego nas tu trzymają.

Sjen nie zwraca uwagi na jego słowa. Rozprasza ją piękno zachodzącego słońca i długich, eleganckich ulic wspólnoty. I jeszcze para mijająca ich na chodniku: wyższa kobieta kiwa głową w ich stronę, mimo że oboje mają na sobie czarne mundury. Ten prosty gest wydaje się dziwny. I miły. Ymenes to wspaniałe osiągnięcie ludzkości i szczyt pomysłowości oraz żynierstwa; ta mała, nędzna wspólnota nie dorównałaby mu, nawet gdyby przetrwała jeszcze kilkanaście Sezonów. A jednak w Ymenes nikt nie ukłoniłby się rodzcie nawet w najpiękniejszy dzień.

W końcu słowa Alabastra przebijają się przez jej zamyślenie.

– Co?

Alabaster idzie spokojnie i dostosowuje krok do tempa Sjen.

– Możemy porozmawiać w pokoju. Tutaj ryzykowne jest nawet to. Ale chciałaś wiedzieć, dlaczego trzymają nas tutaj i nie każą nam wracać: właśnie dlatego. Ten obelisk niedomaga.

Tyle Sjen sama wie, ale...

– A co to ma wspólnego z nami?

– Ty go podniosłaś.

Zanim zdąży się powstrzymać, rzuca mu wściekłe spojrzenie.

– Sam się podniosł. Ja tylko odsunęłam to, co trzymało go w dole, i może w ten sposób go obudziłam.

Sjen nie chce zbyt głęboko zastanawiać się nad tym, dlaczego umysł każe jej wierzyć, że wcześniej to coś spało.

– I był to największy przejaw kontroli nad obeliskami, jaką osiągnięto w ciągu całych trzech tysięcy lat historii istnienia Imperium – mówi Baster, wzruszając ramionami. – Gdybym to ja był małym pedantycznym pięciopierściennikiem czytającym telegram na ten temat, to właśnie tak bym pomyślał i właśnie tak bym zareagował: próbując kontrolować osobę, która potrafi kontrolować to. – Rzuca spojrzenie w kierunku obelisku. – Ale to nie małymi pedantycznymi pięciopierściennikami z Fulcrum powinniśmy się martwić.

Sjen nie ma pojęcia, o czym on, u rdzy, mówi. Nie chodzi o to, że jego słowa brzmią nieprawdziwie; doskonale potrafi sobie wyobrazić, że ktoś taki jak Feldspar wpada na podobny pomysł. Ale po co? Aby uspokoić lokalnych mieszkańców obecnością dziesięciopierściennika? O Basterze wie tutaj przecież zaledwie garstka biurokratów, którzy są prawdopodobnie zbyt zajęci opanowywaniem nagłego napływu turystów, żeby się nim przejmować. A może chodzi o to, żeby został tutaj, na wypadek gdyby obelisk nagle... coś zrobił? Nie, to wydaje się bez sensu. I kim właściwie Sjen powinna się martwić? Chyba że...

Nagle marszczy brwi.

– Powiedziałaś coś wcześniej. – Coś o... łączeniu się z obeliskiem? Co miał na myśli? – No i... no i zrobiłaś coś, tamtej nocy. – Sjen rzuca mu niespokojne spojrzenie, ale tym razem Alabaster nie karci jej wzrokiem. Patrzy w stronę placu, jakby urzeczoną tym widokiem, ale jego twarz jest poważna i skupiona.

Wie, o co jej chodzi. Sjen waha się jeszcze przez chwilę, a potem mówi: – Ty potrafisz coś z nimi robić, prawda? – Na Ziemię, ale z niej idiotka. – Ty potrafisz je kontrolować! Czy Fulcrum o tym wie?

– Nie. I ty też nie wiesz. – Jego ciemne oczy na moment kierują się w jej stronę.

– Dlaczego jesteś taki... – To nawet nie tajemniczość. Przecież z nią rozmawia. Zachowuje się jednak, jakby podejrzewał, że jakimś cudem ktoś ich podsłuchuje. – W pokoju nikt nas nie słyszał. – Mówiąc to, wskazuje głową grupkę przebiegających obok dzieci, z których jedno potrąca Alabastra w tej wąskiej uliczce i przeprosza go. Przeprosza. Naprawdę.

– Nie wiesz tego. Główna kolumna wspierająca ten budynek jest wykonana z jednolitego bloku granitu, nie zauważyłaś? Fundament wydaje się zrobiony z tego samego tworzywa. Jeśli opiera się bezpośrednio na podłożu skalnym... – Przez chwilę na jego twarzy widać niepewność, która jednak szybko znika.

– Ale co to ma wspólnego z... – I nagle Sjen rozumie... Ale nie, to nie może być prawda. – Twierdzisz, że ktoś mógł słuchać nas za pomocą ścian? Za pomocą... skały? – Nigdy wcześniej nie słyszała o czymś takim. Oczywiście wydaje się to możliwe, bo tak właśnie działa górotwórstwo; kiedy Sjen zakotwicza się w ziemi, sejszy nie tylko skałę, do której przywarła jej świadomość, ale również wszystko, czego ta skała dotyka. Nawet jeśli jej samej nie potrafi wyczuć, jak stało się w przypadku obelisku. Ale żeby wyczuwać nie tylko wibracje, ale również dźwięk? To niemożliwe. Sjen nigdy nie słyszała, żeby jakikolwiek roggą miał tak wyostrzone zmysły.

Alabaster przez chwilę patrzy prosto na nią.

– Ja to potrafię – mówi i wzdycha, kiedy Sjen na niego spogląda. – Zawsze potrafiłem. Prawdopodobnie ty też to umiesz, ale jest to jeszcze niewyraźne. Dla ciebie są to na razie tylko drobne wibracje. Dopiero w okolicach mojego ósmego albo dziewiątego pierścienia zacząłem dostrzegać w nich pewne prawidłowości. Szczegóły.

Sjen kręci głową.

– Ale ty jesteś jedynym dziesięciopierścienikiem.

– Większość moich dzieci ma predyspozycje do zdobycia dziesięciu pierścieni.

Sjenit wzdryga się, przypominając sobie nagle martwe dziecko w stacji węzła nieopodal Mehi. Fulcrum kontroluje wszystkich opiekunów węzłów. Co, jeśli zna sposób, aby zmusić te biedne, okaleczone dzieci do podsłuchiwania i powtarzania wszystkiego, co usłyszą, jakby były jakimiś żywymi telegrafami? Czy tego właśnie obawia się Alabaster? Czy Fulcrum jest jak pająk sadowiący się w sercu Yumenes i używający swojej sieci węzłów do podsłuchiwania wszystkich rozmów w Bezruchu?

Jakaś myśl pojawiająca się z tyłu głowy odciąga Sjen od tych spekulacji. To coś, co powiedział Alabaster. Ten cholerny wpływ, który na nią wywiera, zmuszając ją do kwestionowania wszystkich swoich przekonań. Powiedział, że większość jego dzieci ma predyspozycje do zdobycia dziesięciu pierścieni, ale w Fulcrum nie ma innych dziesięciopierścieników. Dzieci górotworów są wysyłane do węzłów tylko wtedy, kiedy nie potrafią się kontrolować. Prawda?

Och.

Nie.

Sjen postanawia nie mówić tego na głos.

Alabaster poklepuje ją po dłoni i być może znowu jest to tylko gra, a może naprawdę chce ją pocieszyć. Oczywiście wie – i to lepiej niż ona – co zrobili z jego dziećmi. Następnie powtarza:

– To nie o seniorów z Fulcrum powinniśmy się martwić.

Co w takim razie ma na myśli? Seniorzy to niezła banda, wiadomo. Sjen interesuje się ich polityką, ponieważ pewnego dnia do nich dołączy i ważne jest, aby wiedziała, kto rzeczywiście sprawuje władzę, a kto tylko sprawia takie wrażenie. Istnieje co najmniej kilkanaście odłamów, w których znaleźć można

wszystkie rodzaje nieudaczników: lizusów, marzycieli i tych, którzy zarznęliby szklanymi nożami własne matki, żeby tylko się wybić. Nagle jednak Sjenit uświadamia sobie, przed kim wszyscy oni odpowiadają.

Przed Stróżami. Jest tak, ponieważ nikt nie zaufałby grupie brudnych roggów na tyle, aby pozwolić im zarządzać własnymi sprawami, tak samo jak Shemshena nie zaufała Misalemowi. Nikt w Fulcrum nie mówi o polityce Stróżów, prawdopodobnie dlatego, że nikt w Fulcrum ich nie rozumie. Stróże mają własną radę i stanowczo sprzeciwiają się wszelkim próbom jej zbadania.

Nie po raz pierwszy Sjenit zastanawia się, przed kim odpowiadają Stróże.

Kiedy pogrąża się w tych rozmyślaniach, docierają do placu i zatrzymują się przy balustradzie promenady. Ulica kończy się tutaj, a bruk znika pod nawianym piaskiem i drewnianym chodnikiem. Niedaleko znajduje się piaszczysta plaża, inna niż ta, którą przed chwilą widzieli. Piszczące dzieci biegają po promenadzie tam i z powrotem, a nieco dalej Sjen dostrzega grupkę starych kobiet brodzących nago w wodzie. Zauważa również mężczyznę siedzącego na balustradzie kilka stóp od miejsca, w którym stoją: jest bez koszuli i patrzy prosto na nich. Brak koszuli przyciąga jej uwagę – z grzeczności Sjen patrzy tylko przez chwilę – ponieważ Alabaster nie stanowi zbyt ciekawego widoku i ponieważ minęło już sporo czasu, od kiedy po raz ostatni uprawiała seks, który dawał jej przyjemność. Fakt, że mężczyzna na nich patrzy, też normalnie by zignorowała, bo w Yumenes ludzie ciągle się na nią gapią.

Ale nie są w Yumenes.

Sjen stoi przy balustradzie, wsłuchana w głosy bawiących się dzieci, a Baster wygląda na wyjątkowo zrelaksowanego. Trudno jej skupić się na tych tajemniczych sprawach, o których rozmawiają. Polityka Yumenes wydaje się tutaj bardzo odległa – zagadkowa, ale nieistotna i nieuchwytna. Niczym obelisk.

Sjen dostrzega, że stojący przy niej Baster zeszywniał. I choć jego twarz zwrócona jest w stronę dzieci biegających po plaży, widać, że nie zwraca na nie uwagi. Wtedy właśnie dociera do Sjen, że ludzie w Allia nie gapią się nawet na parę czarnomundurowych, która wybrała się na wieczorny spacer. Wszyscy ludzie, których spotkała w tej wspólnotie – z wyjątkiem Asael – są na to zbyt dobrze wychowani.

Sjen wraca wzrokiem do mężczyzny na balustradzie. Ten uśmiecha się do niej, co wydaje się miłe. Jest od niej starszy o jakieś dziesięć lat i ma wspaniałe ciało: szerokie barki, wyrzeźbione mięśnie naramienne, idealnie smukłą talię.

Nosi burgundowe spodnie. Koszula, która zwisa z balustrady obok niego i którą zdjął, aby złapać trochę słońca, również jest burgundowa. Dopiero teraz Sjen zauważa specyficzny i znajomy szum w sejsodach, ostrzegający przed obecnością Stróżów.

– Twój? – pyta Alabaster.

– Miałam nadzieję, że twój – odpowiada mu, oblizując wargi.

– Nie – Alabaster odstawia przedstawienie, postępując do przodu i opierając ręce o balustradę, a potem pochyla głowę, jakby zamierzał rozciągnąć ramiona. – Nie pozwól, żeby dotknął cię swoją nagą skórą.

Mówi to szeptem i Sjen ledwie słyszy jego słowa. Następnie Alabaster prostuje się i zwraca do młodego mężczyzny:

– Jakiś problem, Strózu?

Stróż śmieje się i zeskakuje z balustrady. Przynajmniej częściowo płynie w nim krew ludzi z wybrzeża: ma cerę o brązowym odcieniu i kręcone włosy i choć jest trochę bledszy niż mieszkańcy Allia, to pasuje do tego miejsca. Chociaż... nie do końca. Niby pasuje, ale jest w nim coś nieokreślonego, co Sjenit widziała również u wszystkich innych Stróżów, których miała nieprzyjemność spotkać. Nikt w Yumenes nigdy nie myli Stróżów z górotworami – ani z nieruchomymi. Jest w nich po prostu coś innego, co wszyscy dostrzegają.

– Właściwie to tak – odpowiada Stróż. – Alabaster Dziesięciopierściennik. Sjenit Czteropierściennik. – Na dźwięk tych słów Sjen zaciska zęby. Woląaby zwyczajowe określenie „górotwór”, jeśli musi już być nazywana czymś więcej niż imieniem. Oczywiście Stróże doskonale rozumieją różnicę pomiędzy dziesięcio- i czteropierściennikiem. – Nazywam się Edki Stróż Warrant. Rany, mieliście tu urwanie głowy.

– Jak zwykle – stwierdza Alabaster, a Sjenit nie może się powstrzymać i spogląda na niego z zaskoczeniem. Jest spięty jak nigdy: ma nabrzmiałe żyły na szyi i rozczapierzone dłonie, jakby chciał się na coś... przygotować? Ale na co...? Sjen nie wie nawet, dlaczego w głowie pojawiło jej się słowo „przygotować”. – Jak widzisz, ukończyliśmy zadanie zlecone przez Fulcrum.

– Ach, naturalnie. Dobra robota, – Edki niemal beznamiętnym wzrokiem spogląda w kierunku pochylającego się, tętniącego obelisku. Sjenit obserwuje natomiast jego twarz. Widzi, że uśmiech Stróża znika, jakby nigdy go tam nie było. To nie może oznaczać nic dobrego. – Dobrze byłoby jednak, gdybyście wykonali tylko to, o co was proszono. Jesteś tak niezwykle gorliwy, Alabastrze.

Sjenit pochmurnieje. Znowu została pominięta.

– To ja wykonałam tę pracę, Strózu. Czy coś jest nie tak?

Stróż odwraca się do niej zaskoczony i właśnie wtedy Sjen rozumie swój błąd. Duży błąd, bo na jego twarzy nie ma już cienia uśmiechu.

– Naprawdę?

Alabaster syczy i, niech to rdza, Sjen czuje jego świadomość wbijającą się w ziemię, niewiarygodnie głęboko. Jego siła sprawia, że drży już całe jej ciało, nie tylko sejsody. Nie nadaża za nim; Alabaster w mgnieniu oka znajduje się już poza jej zasięgiem i z łatwością przekłuba magmę odległą o wiele kilometrów. Ma całkowitą kontrolę nad tą czystą energią ziemi. Niesamowite. Czymś takim mógłby spokojnie przesunąć górę.

Ale dlaczego to robi?

Stróż nagle się uśmiecha.

– Stróżka Leshet przesyła pozdrowienia, Alabastrze.

Kiedy Sjenit wciąż próbuje przetrwać te słowa i fakt, że Alabaster szykuje się do walki ze Stróżem, jej towarzysz cały sztywnieje.

– Znaleźliście ją?

– Oczywiście. Musimy porozmawiać o tym, co jej zrobiłeś. I to jak najszybciej.

W jego dłoni niespodziewanie pojawia się czarny szklany nóż, Sjenit nie ma pojęcia, kiedy mężczyzna go wyciągnął i właściwie skąd. Ostrze noża jest szerokie, ale absurdalnie krótkie; ma najwyżej pięć centymetrów długości. Trudno w ogóle nazywać to nożem.

„Co on, u rdzy, zamierza tym zrobić? Przyciąć nam paznokcie? I dlaczego właściwie wyciąga broń na dwójkę Cesarskich Górotworów?”

– Strózu, na pewno zaszło tutaj nieporozumienie...

Stróż wykonuje jakiś ruch. Sjenit mruga, ale wszystko wygląda tak samo jak przed chwilą: ona i Alabaster stoją naprzeciw Edkiego na promenadzie pokrytej cieniami i krwawym blaskiem zachodzącego słońca, a za nimi dokazują dzieci i kręcą się starsze panie. Coś jednak się zmieniło. Sjen przez chwilę nie wie, co takiego, aż w końcu Alabaster krztusi się i upada na nią, przyciskając ją do ziemi.

Sjenit nie ma pojęcia, jak to możliwe, że tak chudy mężczyzna może tyle ważyć. Sama uderza w deski tak mocno, że traci oddech; jak przez mgłę dostrzega kilkoro dzieci, które przerywają zabawę i patrzą w ich kierunku. Jedno z nich się śmieje. Zaraz potem Sjen próbuje się podnieść i otwiera już usta, żeby z powodu Alabastra przeklinać, na czym Ziemia stoi.

Alabaster jednak również znajduje się na deskach, zaledwie pół metra dalej. Leży na brzuchu, patrzy na nią i... wydaje z siebie dziwny dźwięk. Niezbyt głośny. Ma otwarte usta, ale to, co się z nich wydobywa, przypomina co najwyżej pisk dziecięcej zabawki albo świst powietrznego pęcherza metalomędrca. Poza tym cały się trzęsie, jakby był to jedyny ruch, który mógł wykonać, co wydaje się bezsensowne, bo przecież nic mu nie jest. Sjen nie wie, co myśleć, dopóki poniewczasie uświadamia sobie, że on krzyczy.

– Dlaczego myślałeś, że będę celował w nią? – Edki patrzy na Alabastrę, a Sjenit drży na widok jego radosnej twarzy, z której aż bije satysfakcja, choć przecież Alabaster leży tam, bezradny i... z nożem Edkiego wbitym głęboko w ramię. Sjen gapi się na tę broń, zszokowana, że wcześniej ją przeoczyła. Rękojeść widać wyraźnie nawet na tle czarnego munduru.

– Zawsze byłeś głupcem, Alabastrze.

W dłoni Edkiego znajduje się kolejny szklany nóż. Tym razem jest to długi i złowieszczo cienki sztylet.

– Dlaczego... – Sjenit nie potrafi myśleć. Dłonie bolą ją, kiedy pełźnie w tył po deskach pomostu, próbując jednocześnie wstać i się odsunąć. Instynktownie sięga w głąb ziemi i wtedy właśnie uświadamia sobie, co zrobił Stróż, bo nie ma tam nic, z czego mogłaby zaczerpnąć. Sejszy ziemię jedynie na głębokość metra pod dłońmi i pośladkami: sam piasek, słone błoto i glisty. Kiedy próbuje dostać się dalej, jej sejsody odzywają się nieprzyjemnym, pulsującym bólem. Przypomina to uczucie po uderzeniu w łokieć, które ogarnia całe przedramię i dłoń aż po koniuszki palców. Zupełnie jakby część jej umysłu poszła spać. I choć coś mrowi ją w głowie, coś wraca, na razie nie ma tam niemal nic.

Sjen słyszała, jak żwiry szeptały o tym po zgaszeniu świateł. Wszyscy Stróże są dziwni, ale to właśnie czyni ich tym, kim są: w jakiś sposób potrafią zablokować górotwórstwo samą siłą woli. Poza tym niektórzy z nich są wyjątkowo dziwni, jakby wyspecjalizowali się w byciu dziwniejszymi od innych. Niektórzy nie opiekują się żadnymi górotworami i nie pozwalają im się zbliżać do niewyszkolonych dzieci, ponieważ są niebezpieczni już ze względu na samą swoją obecność. Ci Stróże zajmują się wyłącznie tropieniem najpotężniejszych i najbardziej niebezpiecznych górotworów, a kiedy już im się to udaje... cóż. Sjenit nigdy wcześniej nie próbowała się dowiedzieć, co wtedy robią, ale teraz najwyraźniej się dowie. Na podziemny ogień, jest zdrętwiała jak jakiś starzec o zardzewiałej głowie. Czy tak to właśnie jest być nieruchomym? Czy oni czują tylko tyle? Przez całe życie zazdrościła im normalności – aż do teraz.

Kiedy jednak Edki idzie w jej stronę ze sztyletem w dłoni, jego oczy są nieruchome, a ponury grymas na ustach przywołuje Sjen na myśl chwile, kiedy dręczył ją silny ból głowy. Bełkocze więc:

– Czy dobrze, ech... się czujesz? – Nie ma pojęcia, dlaczego o to pyta.

Na te słowa Edki przechyla głowę i znowu się uśmiecha, tym razem uprzejmie i jakby z zaskoczeniem.

– Jak miło, że pytasz. Nic mi nie jest, mała. Nic mi nie jest.

Nie przestaje iść w jej kierunku.

Sjen znowu pełźnie do tyłu, znowu próbuje wstać i znowu sięga po moc do ziemi, ale nic z tego nie wychodzi. Zresztą nawet gdyby się udało, ten człowiek jest przecież Stróżem. Sjen ma obowiązek go słuchać. Ma obowiązek umrzeć, jeśli on będzie tego chciał.

To nie w porządku.

– Proszę – mówi zdesperowana. – Proszę, my nie zrobiliśmy nic złego, ja nie rozumiem, ja nie...

– Nie musisz rozumieć – odpowiada mężczyzna uprzejmym głosem. – Musisz zrobić tylko jedno.

Po tych słowach atakuje, mierzając sztyletem w jej pierś.

Później Sjen zrozumie sekwencję wydarzeń.

Później uświadomi sobie, że wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Na razie jednak dzieje się to powoli. Upływ czasu przestaje mieć znaczenie. Sjen widzi tylko szklany nóż: olbrzymi, ostry i błyszczący

w blasku zachodzącego słońca. Wydaje się zbliżać do niej stopniowo, powoli, wzbudzając w niej przerażenie.

To zawsze było nie w porządku.

Sjen czuje jedynie pokryte piaskiem deski pod palcami i bezużyteczną odrobinę ciepła oraz ruchu, które może w tej chwili wysejszyć. Czymś takim mogłaby przesunąć co najwyżej kamyk.

Czuje Alabastra cierpiącego w konwulsjach. Jak mogła wcześniej tego nie widzieć? Przecież on nie kontroluje swojego ciała, bo w szklanym nożu wbitym w jego ramię jest coś, co pozbawia go całej jego mocy, a na jego twarzy malują się bezradność, strach i ból.

Zaczyna też czuć, że jest zła. Wściekła. Niech szlag trafi poczucie obowiązku. To, co robi ten Stróż – to, co robią wszyscy Stróże – jest nie w porządku.

I wtedy...

Wtedy...

Sjen czuje obelisk.

(Alabaster drży coraz silniej, otwiera szeroko usta i mimo że reszty swojego ciała nie jest w stanie kontrolować, patrzy uważnie na Sjen. Ona przypomina sobie jego ostrzeżenie, ale nie pamięta dokładnych jego słów).

Nóż znajduje się w połowie drogi do jej serca. Sjen dobrze o tym wie.

„Jesteśmy bogami w kajdanach, a to jest zardzewiałe nie w porządku”.

Dlatego sięga raz jeszcze, tym razem nie w dół, ale w górę, odrobinę w bok...

Mimo konwulsji Alabaster bezgłośnie wypowiada jedno słowo:

– Nie.

Wtedy obelisk wciąga ją w swoje pulsujące, krwistoczerwone światło. Sjen spada ku górze. Jest ciągnięta ku górze, ale też do wewnątrz. Zostaje całkowicie pozbawiona kontroli, och, Matko Ziemi, Alabaster miał rację, to coś jest dla niej zbyt potężne...

...a potem krzyczy, ponieważ zapomniała, że obelisk jest zniszczony. Odczuwa ból, przebijając się przez uszkodzoną strefę, a każde pęknięcie rozrywa ją, rozbija ją na kawałki, aż w końcu...

...Sjen zatrzymuje się, skulona, przepełniona bólem, wśród spękanej czerwieni.

To nie jest prawdziwe. To nie może być prawdziwe. Sjen czuje, że leży na drewnianej promenadzie, a zachodzące słońce ogrzewa jej skórę. Nie czuje szklanego noża Stróża, przynajmniej na razie. Ale jest również tutaj. I widzi, choć sejsody to nie oczy, a jej wzrok bazuje teraz tylko na wyobraźni:

Unosi się przed nią zjadacz kamieni ze środka obelisku.

Po raz pierwszy jest tak blisko któregoś z nich. Z wszystkich ksiązek wynika, że zjadacze kamieni nie mają płci, ale ten przypomina smukłego chłopca wyrzeźbionego w czarnym marmurze o białych żyłach i ubranego w gładką szatę z opalu. Rozkłada marmurowe, wypolerowane ręce i nogi, jakby zastygł podczas wykonywania skoku. Głowę odchyłoną ma do tyłu, a jego rozwiane kręcone włosy mają postać przezroczystej chmury. Pęknięcia pokrywają jego skórę i sztywną imitację ubrania, wnikając również w głąb niego samego.

„Czy nic ci nie jest?”, zastanawia się Sjen, nie mając pojęcia, dlaczego o tym myśli, kiedy sama rozpada się na kawałki. Jego ciało jest potwornie popękane; chciałaby wstrzymać oddech, żeby nie zniszczyć go jeszcze bardziej. Ale to irracjonalne, bo przecież nie ma jej tutaj, a to wszystko nie dzieje się naprawdę. Sjen leży na ulicy i za chwilę umrze, a ten zjadacz kamieni jest martwy już od wieków.

Zjadacz kamieni zamyka usta i otwiera oczy, a potem obniża głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Nic mi nie jest – mówi. – Dziękuję, że pytasz.

A potem

obelisk

się rozpada.

JESTEŚ WŚRÓD PRZYJACIOŁ

Docierasz do „miejsca pełnego górotworów”, które jest czymś innym, niż się spodziewałaś. Przede wszystkim zostało już opuszczone. Poza tym wcale nie jest wspólnotą.

Przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Kiedy zbliżacie się do celu, droga rozszerza się i zlewa z gruntem, aż w końcu znika całkowicie w centrum miasta. Wiele wspólnot pozbywa się drogi, aby zachęcić podróżnych do handlu, ale wspólnoty te posiadają zwykle jakieś miejsce, w którym można handlować, a ty nie widzisz tutaj nic, co przypominałoby sklep, rynek albo chociaż zajazd. Co gorsza, miejsce to nie jest nawet ogrodzone – ani kamiennym murem, ani drutem kolczastym, ani nawet zaostrzonymi palami wbitymi w ziemię. Nie ma tu nic, co oddzielałoby je od otaczających je lasów i zarośli, które stanowią idealną kryjówkę dla potencjalnych napastników.

To, że miasto najwyraźniej zostało opuszczone i że brakuje mu ogrodzenia, to jednak niejedyne rzeczy, które cię tu dziwią. Rozglądając się, dostrzegasz ich więcej. Przede wszystkim nie ma tu wystarczająco wielu pól. Kilkusetosobowa wspólnota – a ta na taką wygląda – powinna dysponować czymś więcej niż pojedynczym (i ogołoconym) hektarem wybiedzonych łodyg choi, który widziałaś, wchodząc tutaj. Powinna mieć pastwisko zdecydowanie większe niż ten drobny placyk wyschniętej zieleni, który dostrzegasz w centrum miasta. Nie widzisz też spichlerza – ani nadziemnego, ani żadnego innego. No dobrze, może jest ukryty; wiele wspólnot tak robi. Zauważasz też jednak, że budynki zostały wybudowane w bardzo różnych stylach: jeden jest wysoki i po miejsku wąski, inny szeroki i płaski w sposób typowy dla miejscowości z cieplejszych regionów, jeszcze inny przypomina pokrytą darnią kopułę, zagłębioną częściowo w ziemi jak twój dawny dom w Tirimo. Istnieje powód, dla którego większość wspólnot wybiera jeden styl i się go trzyma: jednolitość stanowi pewien wizualny sygnał. Ostrzega potencjalnych napastników, że członkowie wspólnoty są podobnie zjednoczeni w gotowości do obrony swojego miasta. Wizualny sygnał wysyłany przez tę miejscowość jest... dziwny. Być może nic nie znaczy. A może nie potrafisz go odczytać. W każdym razie wzbudza w tobie większy niepokój niż pobyt we wspólnotach pełnych wrogo nastawionych ludzi.

Ty i twoi towarzysze ostrożnie i powoli przemierzacie puste ulice. Tonkee nawet nie udaje, że jest spokojna. Zaciska dłonie na dwóch szklanych nożach o czarnych ostrzach; nie wiesz, gdzie je ukrywała, chociaż domyślasz się, że w fałdach jej spódnicy mógłby się zmieścić cały pułk wojska. Hoa sprawia wrażenie opanowanego, ale kto może wiedzieć, co on czuje? Kiedy zamieniał kirkhusa w kamień, też wydawał się spokojny.

Ty nie wyciągasz noża. Jeśli rzeczywiście jest tu wielu roggów, przed ich ewentualnym gniewem uratować cię może tylko jedna broń.

– Jesteś pewien, że to właściwe miejsce? – pytasz Hoę.

Chłopiec kiwa głową z przekonaniem. Co oznacza, że jest tu wiele osób, które prawdopodobnie się ukrywają. Ale dlaczego? I jak zauważyły was w tym padającym z nieba popiele?

– Musieli się wynieść niedawno – szepcze Tonkee. Przygląda się wyschniętemu ogrodowi przed jednym z domów. Podróźni albo poprzedni właściciele oberwali tu wszystko, co się dało, pozostawiając jedynie gołe łodygi. – Domy wyglądają na zadbane. A ten ogród jeszcze kilka miesięcy temu był w całkiem dobrym stanie.

Nagle zdajesz sobie sprawę, że jesteś w drodze już od dwóch miesięcy. Minęły dwa miesiące od śmierci Uchego. I niewiele mniej, od kiedy zaczął padać popiół.

Zaraz jednak skupiasz się na tu i teraz. Kiedy w trójkę zatrzymujecie się na środku miasta i przez chwilę stoicie tak, zagubieni, drzwi jednego z pobliskich budynków otwierają się, a na ganek wychodzą trzy kobiety.

Pierwsza, na którą spojładasz, trzyma przed sobą kuszę. Przez chwilę nie widzisz nic więcej, tak jak tamtego dnia w Tirimo, ale nie zamrażasz jej w tym samym momencie, bo kusza nie jest w was wycelowana. Kobieta opiera ją o przedramię, i choć po jej twarzy widzisz, że nie miałaby problemu z jej użyciem, to wydaje ci się też, że nie zrobiłaby tego bez powodu. Ma prawie tak samo jasną skórę jak Hoa, ale na szczęście jej włosy są żółte, a oczy mają normalny odcień brązu. Jest drobna, koścista i tak wąska w biodrach, że przeciętny Równiwejczyk skwitowałby pod nosem jej wygląd jakąś uwagą na temat złego wykarmienia. Pochodzi najprawdopodobniej z Antarktydy, z jakiejś biednej wspólnoty, która nie była w stanie zapewnić dzieciom odpowiednio dużo żywności. Kobieta znajduje się daleko od domu.

Ta, która przyciąga twój wzrok jako druga, jest jej niemal zupełnym przeciwieństwem i prawdopodobnie najbardziej onieśmielającą kobietą, jaką w życiu widziałas. Nie ma to nic wspólnego z jej wyglądem. Jest on typowo sanzeński: gęstwina ciemnoszarych włosów, brązowy kolor skóry i emanująca siłą budowa ciała. Jej oczy są zadziwiająco czarne – jest to zadziwiające nie dlatego, że czarne oczy zdarzają się szczególnie rzadko, ale ponieważ kobieta używa szarego cienia do powiek i czarnej kredki do oczu, aby jeszcze bardziej podkreślić ich barwę. Makijaż w obliczu końca świata. Nie wiesz, czy powinno cię to wystraszyć, czy urazić.

Kobieta używa tych czarno obwiedzionych oczu jak broni, przypatrując się najpierw kolejno twarzom waszej trójki, a dopiero później przesuwając wzrokiem po odzieży i bagażach. Nie dorównuje wzrostem typowym sanzeńskim kobietom – jest niższa od ciebie – ale ma na sobie grubą kamizelkę z brązowego futra, która sięga jej do kostek. Kamizelka ta upodabnia ją do małego, ale eleganckiego niedźwiedzia. W twarzy kobiety jest jednak coś, co sprawia, że przechodzi cię dreszcz. Nie potrafisz stwierdzić, co to takiego. Uśmiecha się, odsłaniając zęby, a jej wzrok jest spokojny i obojętny. W końcu rozpoznajesz ten spokój, bo widziałas go wiele razy: to oznaka pewności siebie. Taką absolutną, bezwarunkową pewność siebie często spotyka się u nieruchomych, ale w takim miejscu się jej nie spodziewałaś.

Bo oczywiście jest to roggą. Potrafisz wysejszyć swojego. Tak samo jak ona sejszy ciebie.

– W porządku – odzywa się, opierając ręce na biodrach. – Ilu was jest? Trójka? Rozumiem, że nie chcecie się rozdzielać.

Gapisz się na nią przez chwilę albo dwie.

– Cześć – odpowiadasz w końcu. – Eee.

– Ykka – stwierdza kobieta. Domyślasz się, że to jej imię. – Ykka Rogga Castrima. Witamy. A wy kim jesteście?

– „Rogga?” – dziwisz się. Ciągłe używasz tego słowa, ale wypowiedziane w taki sposób, jako nazwisko użytkowe, podkreśla jego wulgarność. Nazywać się roggą to jak nazywać się kupą gówna. Jak wymierzyć policzek samemu sobie. Jest to swego rodzaju komunikat, ale nie masz pojęcia, co miałyby oznaczać.

– Ekhm, to nie należy do siedmiu głównych nazwisk użytkowych – zauważa Tonkee. Mówi to w beztroski sposób i jesteś przekonana, że próbuje w ten sposób ukryć zdenerwowanie. – Ani nawet do tych pięciu mniej akceptowalnych.

– Przyjmijmy, że to nowość. – Ykka mierzy wzrokiem twoich towarzyszy, a potem znowu spogląda na ciebie. – A więc twoi przyjaciele wiedzą, czym jesteś.

Zaskoczona patrzysz na Tonkee, która patrzy na Ykkę w taki sam sposób, w jaki patrzy na Hoę, kiedy ten nie ukrywa się za tobą – jakby Ykka była jakąś nową, fascynującą tajemnicą, od której być może da się zdobyć próbkę krwi. Następnie spogląda na ciebie, okazując całkowity brak zdziwienia i strachu, a ty

uświadamiasz sobie, że Ykka ma rację: prawdopodobnie bezwspólnotowa kobieta domyśliła się prawdy już dawno temu.

– Rogga jako nazwisko użytkowe – Tonkee w zamyśleniu zwraca się do Ykki. – Ile w tym znaczeń. A Castrima? W Cesarskim Rejestrze nie ma takiego nazwiska wspólnotowego dla Somidlatów, choć przyznaję, że mogę go nie pamiętać. Są ich przecież setki. Choć nie wydaje mi się, mam dobrą pamięć. To jakaś nowa wspólnota?

Ykka pochyla głowę, częściowo w ramach potwierdzenia, a częściowo w ironicznym geście przyjęcia do wiadomości fascynacji Tonkee.

– Teoretycznie. Ta wersja Castrimy istnieje od około pięćdziesięciu lat. Oficjalnie nie jest nawet wspólnotą; to tylko kolejne miejsce postoju dla osób podążających szlakami Yumenes–Mecemera i Yumenes–Ketteker. Prowadzimy więcej interesów niż inni, bo w okolicy znajdują się kopalnie.

Po tych słowach milknie, wpatrując się w Hoę, a jej twarz tężeje na chwilę. Ty też spoglądasz na chłopca, bo co prawda wygląda dziwnie, ale nie masz pojęcia, co sprawiło, że obca kobieta tak na niego zareagowała. To wtedy właśnie uświadamiasz sobie, że Hoa całkowicie znieruchomiał, a rysy jego drobnej, radosnej zwykle twarzy wyostrzyły się, nadając jej wyraz niemal dziki. Chłopiec patrzy na Ykkę, jakby chciał ją zabić.

Nie. Nie na Ykkę. Podążasz za jego wzrokiem i dostrzegasz trzecią kobietę, która do tej pory stała z tyłu i której się nie przyjrzałaś, ponieważ Ykka tak bardzo przyciąga uwagę. To wysoka, smukła kobieta... Nagle przerywasz tę myśl, bo nie jesteś pewna swojego opisu. Część się zgadza: jej włosy są długie, rzadkie jak u mieszkańców Antarktydy i mają barwę głębokiej czerwieni. Okalają twarz o pięknych rysach. Jasne jest, że ich właścicielka chce być uważana za kobietę, choć ma na sobie jedynie długą szatę o szerokich rękawach, przy takiej pogodzie stanowczo zbyt cienką.

Natomiast jej skóra... Patrzysz na nią, choć to nieuprzejme, a wzbudzanie złości u tych ludzi to nie najlepszy pomysł, ale nie możesz się powstrzymać. Jej skóra jest zbyt gładka, jakby... połyskliwa. Niemal wypolerowana. To najbardziej niesamowita cera, jaką kiedykolwiek widziałaś albo... to wcale nie jest skóra.

Rudowłosa kobieta uśmiecha się, a na widok jej zębów przeszywa cię dreszcz.

W odpowiedzi na ten uśmiech Hoa syczy jak kot. Kiedy to robi, po raz pierwszy wyraźnie dostrzegasz jego zęby. Nigdy przecież nie jadł w twojej obecności. Nigdy nie odsłonił ich w uśmiechu. Podczas gdy zęby rudowłosej kobiety są przezroczyste, jego wyglądają na pokolorowane, ale kształtem bardzo je przypominają. Są spiłowane. Diamentowe.

– Na Złą Ziemię – szepcze Tonkee. Masz wrażenie, że mówi za was obie.

– Nie. – Ykka mierzy swoją towarzyszkę ostrym wzrokiem.

Rudowłosa kobieta spogląda na Ykkę. Porusza jedynie oczami, a reszta jej ciała pozostaje idealnie nieruchoma. Nieruchoma jak posąg.

– Mogę zrobić to tak, że tobie i twoim towarzyszom nie stanie się krzywda. – Jej usta również się nie poruszają. Głos brzmi dziwnie dudniąc, jakby odbijał się echem gdzieś wewnątrz jej klatki piersiowej.

– Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek – Ykka opiera ręce na biodrach. – To moje miejsce i zgodziłaś się przestrzegać moich zasad. Uspokój się.

Blondynka nieznacznie się porusza. Nie podnosi kuszy, ale odnosisz wrażenie, że jest gotowa zrobić to w ułamku sekundy. Nie masz pojęcia, co dobrego mogłoby z tego wyniknąć. Rudowłosa jeszcze przez chwilę pozostaje w bezruchu, aż w końcu zamyka usta, ukrywając te ohydne diamentowe zęby. Kiedy to robi, uświadamiasz sobie jednocześnie kilka rzeczy. Po pierwsze, że wcale się nie uśmiechała. Był to ostrzegawczy grymas; w podobny sposób kirkhus szczyrzy kły. Po drugie, z zamkniętymi ustami i tym spokojnym wyrazem twarzy kobieta wygląda znacznie mniej niepokojąco.

Trzecie spostrzeżenie dotyczy faktu, że Hoa przybrał ten sam ostrzegawczy grymas. Teraz jednak, kiedy rudowłosa wycofuje się za towarzyszkę, on też rozluźnia się i zamyka usta.

Ykka wzdycha. Przenosi wzrok z powrotem na ciebie.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli wejdziecie do środka.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł – mówi do ciebie Tonkee spokojnym głosem.

– Ja też nie – stwierdza blondynka, wpatrując się w głowę Ykki. – Jesteś pewna?

Ykka wzrusza ramionami, choć twoim zdaniem tylko udaje obojętną.

– A kiedy ja czegokolwiek byłam pewna? Na razie jednak wydaje mi się, że to dobry pomysł.

Ty nie jesteś co do tego przekonana. Mimo wszystko – niezależnie od spotkania z przedstawicielkami tej dziwnej wspólnoty i nieprzyjemnych niespodzianek – przybyłaś tu w pewnym celu.

– Czy przechodził tędy mężczyzna z dziewczynką? – pytasz. – Ojciec i córka? Mężczyzna jest w moim wieku, dziewczynka ma osiem... – Minęły dwa miesiące. Prawie o tym zapomniałaś. – Dziewięć lat. Ona... – zacinasz się. – Ona wygląda jak ja.

Ykka mruga i widzisz, że naprawdę ją zaskoczyłaś. Najwyraźniej spodziewała się zupełnie innych pytań.

– Nie – odpowiada i...

...czujesz, jakby coś się w tobie obsunęło.

Proste słowo „nie” sprawia ci ból. Uderza w ciebie jak topór, a szczerzy wyraz zakłopotania na twarzy Ykki jest solą w świeżej ranie. Oznacza bowiem, że kobieta nie kłamie. Chwiejesz się pod wpływem tego uderzenia, a cała twoja nadzieja nagle umiera. Zanurzona w mgłę niewyraźnych myśli uświadamiasz sobie, że od kiedy Hoa powiedział ci o tym miejscu, miałaś na coś nadzieję. Zaczęłaś myśleć, że znajdziesz ich tutaj, że odzyskasz córkę i znowu będziesz matką. Teraz wiesz już, że to nieprawda.

– E... Essun? – na twoich przedramionach zaciskają się jakieś dłonie. Czyje? Tonkee. Jej dłonie utwardziły trudy życia. Słyszysz, jak jej odciski drapią o skórę twojej kurtki. – Essun... Och, na rdzę, nie rób tego.

Zawsze wiedziałaś, że to nieprawda. Jak śmiałaś liczyć na cokolwiek? Jesteś tylko kolejnym parszywym roggą o zardzewiałej duszy, kolejną wysłanniczką Złej Ziemi, kolejnym błędem wychowawczym, kolejnym narzędziem, które porzucono. Przede wszystkim nigdy nie powinnaś mieć dzieci, a kiedy już je urodziłaś, nie powinnaś oczekiwać, że z tobą pozostaną, a tak właściwie to dlaczego Tonkee ciągnie cię za rękę?

Ponieważ uniosłaś je do twarzy. Och, i zalewasz się łzami.

Powinnaś była powiedzieć o wszystkim Jiji, jeszcze przed ślubem, przed tym, jak poszłaś z nim do łóżka, przed tym, jak spojrzałaś na niego i pomyślałaś: „Być może”, czego nie miałaś przecież prawa pomyśleć. W ten sposób, gdyby ogarnęło go pragnienie zabicia roggi, skierowałby tę złość na ciebie, a nie na Uchego. To ty zasługujesz na śmierć, i to dziesięć tysięcy razy bardziej niż mieszkańcy tamtych dwóch wspólnot.

Możliwe też, że trochę krzyczysz.

Nie powinnaś krzyczeć. Powinnaś być martwa. Powinnaś umrzeć przed swoimi dziećmi. Powinnaś umrzeć przy narodzinach i nigdy nie wydać ich na świat.

Powinnaś...

Powinnaś...

Nagle coś przez ciebie przepływa.

Przypomina to trochę falę energii, która nadeszła z północy i przed którą osłoniłaś się w dniu, kiedy zmienił się świat. Albo to uczucie, kiedy weszłaś do domu po męczącym dniu i zobaczyłaś swojego synka

na podłodze. To podmuch nieujarzmionej mocy. Muśnięcie czegoś nieuchwytnego, a jednocześnie znaczącego, co w równie oszałamiający sposób znika, jak i się pojawia.

Mrugasz i opuszczasz rękę. Widzisz niewyraźnie, bołą cię oczy i masz spocone dłonie. Ykka zeszła z ganku i stoi teraz zaledwie pół metra przed tobą. Nie dotyka cię, ale patrzysz na nią, uświadamiając sobie, że... coś zrobiła. Coś, czego nie rozumiesz. To górotwórstwo, na pewno, ale zastosowane w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłaś.

– Hej – mówi. Na jej twarzy nie widać nawet cienia współczucia. Mimo wszystko jej głos jest cieplejszy, kiedy odzywa się do ciebie; choć może tylko tak ci się wydaje, bo stoi teraz bliżej. – Hej. Już dobrze?

Przełykasz ślinę. Boli cię gardło.

– Nie – odpowiadasz. (To zardzewiałe słowo! Prawie zaczynasz chichotać, ale przełykasz znowu i to pragnienie znika). – Nie. Ale... ale dam sobie radę.

Ykka kiwa głową.

– To dobrze.

Stojąca za nią blondynka wydaje się co do tej kwestii sceptyczna.

Następnie z ciężkim westchnięciem Ykka odwraca się do Tonkee i Hoi, który wygląda teraz łudząco spokojnie i normalnie. Przynajmniej jak na jego standardy.

– W porządku – mówi Ykka. – Sprawa wygląda następująco: możecie zostać albo odejść. Jeśli postanowicie zostać, zabiorę was do wspólnoty. Uprzedzam jednak z góry: Castrima to miejsce zupełnie nietypowe. Żyjemy tutaj całkowicie inaczej. Jeśli ten Sezon okaże się krótki, to w chwili nadejścia Sanze będziemy się znajdować nad jeziorem lawowym. Nie sądzę jednak, żeby ten Sezon miał się okazać krótki.

Spogląda na ciebie, ale chyba nie szuka potwierdzenia swojej wypowiedzi. „Potwierdzenie” to nie jest właściwe słowo, ponieważ ona nie ma żadnych wątpliwości. Każdy rogga jest pewien takich rzeczy równie mocno jak własnego imienia.

– Ten Sezon nie będzie krótki – przytakujesz. Masz zachrypły głos, ale dochodzisz do siebie. – Będzie trwał przez całe dekady. – Słyszając to, Ykka unosi brew. Tak, ma rację: próbujesz być delikatna ze względu na swoich towarzyszy, ale oni nie potrzebują delikatności. Potrzebują prawdy. – Całe wieki.

To i tak mało powiedziane. Jesteś przekonana, że ta Piąta Pora Roku potrwa co najmniej tysiąc lat. Może kilka tysięcy.

Tonkee lekko marszczy brwi.

– No cóż, wszystko wskazuje zatem na wielką lądowórczą deformację albo po prostu zwykłe przerwanie izostazji na całej sieci płyt tektonicznych. Ale rozmiar górotwórstwa niezbędnego do przewyciężenia takiej inercji jest... ogromny. Więc jesteś pewna?

Wpatrujesz się w nią, chwilowo zapominając o rozpaczach. Patrzą na nią również Ykka i blondynka. Tonkee i spogląda na ciebie ze złością.

– Och, na rdzę, przestań udawać zdziwioną. Koniec z tajemnicami, dobra? Wiesz, czym jestem, i ja wiem, czym ty jesteś. Możemy już skończyć te gierki?

Kręcisz głową, ale tak naprawdę nie jest to odpowiedź na jej pytanie. Postanawiasz natomiast odpowiedzieć na to, które zadała wcześniej.

– Jestem pewna. Całe wieki. Może nawet dłużej.

Tonkee aż się krzywi.

– Żadna wspólnota nie ma odpowiednich zapasów, żeby przetrwać tak długo. Nawet Yumenes.

Legendarne, olbrzymie magazyny Yumenes są już tylko popiołem w jakiejś jaskini lawowej. Jakaś część ciebie ubolewa nad tym, że całe to jedzenie się zmarnuje. Inna dochodzi do wniosku, że dzięki temu

rasę ludzką spotka szybszy i mniej dramatyczny koniec.

Kiwasz głową, a Tonkee milknie i zapada okropna cisza. Ykka patrzy to na ciebie, to na Tonkee, i najwyraźniej postanawia zmienić temat.

– Są tu dwadzieścia dwa górotwory – stwierdza, wyrywając cię z zamyślenia. – Spodziewam się, że z czasem będzie ich jeszcze więcej. Nie macie z tym problemu?

Kieruje te słowa głównie do Tonkee.

Zmiana tematu to doskonała okazja do tego, aby wszystkich zaskoczyć.

– Ale jak? – pyta Tonkee. – Jak ich tutaj ściągasz?

– Nieważne. Odpowiedz na pytanie.

Mogłabyś zapewnić Ykkę, że nie musi się niczym przejmować.

– Nie, nie mam z tym problemu – odpowiada natychmiast Tonkee. Dziwisz się, że jeszcze się nie ślini. Perspektywa nieuchronnej zagłady ludzkości nie zrobiła na niej większego wrażenia.

– Dobrze – Ykka odwraca się do Hoi. – Przejdźmy do ciebie. Jest tu kilku takich jak ty.

– Więcej niż sądzisz – stwierdza Hoa, bardzo spokojnie.

– Tak. No cóż – Ykka przyjmuje jego słowa z zadziwiającym opanowaniem. – Słyszałeś, jak to wygląda. Jeśli chcesz tu zostać, musisz przestrzegać reguł. Żadnych bójek. Żadnego... – Macha palcami i odsłania zęby. O dziwo, ten gest jest całkowicie zrozumiały. – I robisz, co mówię. Zrozumiano?

Hoa przekrzywia lekko głowę, a z oczu bije mu czysta złość. Ten widok jest równie szokujący co widok jego diamentowych zębów; zaczęłaś już przecież uważać go za może trochę ekscentryczną, ale raczej słodką istotę. Teraz nie wiesz już, co myśleć.

– Nie będziesz mi rozkazywać.

Ku twojemu jeszcze większemu zaskoczeniu Ykka pochyła się i zrównuje z nim twarzą.

– Ujmę to w ten sposób – mówi. – Możesz dalej robić to, co robisz, próbując okazywać wszystkim delikatność schodzącej lawiny, albo zacznę opowiadać wszem i wobec, co tak naprawdę zamierzasz.

W tym momencie Hoa... drży. Potem nieruchomieje i zerka w stronę stojącej na ganku niekobiety. Ta uśmiecha się znowu, ale tym razem nie odsłania zębów, a w wyrazie jej twarzy jest coś smutnego. Nie masz pojęcia, co to wszystko znaczy, ale wydaje się, jakby z Hoi zeszło trochę powietrza.

– Dobrze – odzywa się do Ykki oficjalnym tonem. – Zgadzam się na twoje warunki.

Ykka kiwa głową i się prostuje, a potem patrzy na niego jeszcze przez chwilę i w końcu się odwraca.

– Przed waszą, hmm, sprzeczką, miałam zamiar powiedzieć, że przyjęliśmy do nas kilka osób – odzywa się do ciebie. Mówi przez ramię, wchodząc z powrotem po schodach. – Nie było wśród nich żadnych mężczyzn z dziewczynkami, nie sądzę, tylko podróżni szukający schronienia, w tym kilku z Kwardonu Cebak. Przyjęliśmy tych, których uznaliśmy za przydatnych.

Tak właśnie w podobnych momentach postępują wszystkie rozsądne wspólnoty: wywalają niepotrzebnych ludzi i przyjmują tych, którzy dysponują cennymi umiejętnościami. Wspólnoty dowodzone przez silnych przywódców robią to systematycznie i bezwzględnie, wykazując tylko minimalny poziom chłodnego humanitaryzmu. Gorzej zarządzane wspólnoty robią to tak samo bezwzględnie, lecz bardziej niechlujnie: przykładem może być to, jak pozbyło się ciebie Tirimo.

Jija to tylko kamieniarz. Wprawdzie przydatny, ale kamieniarstwo nie jest szczególnie rzadką umiejętnością. Z kolei Nassun jest jak ty albo Ykka. A z jakiegoś względu ludzie w tej wspólnocie najwyraźniej chcą mieć wśród siebie górotwory.

– Chciałabym się z nimi zobaczyć – odpowiadasz. Istnieje cień szansy, że Jija albo Nassun używają przebrania. Albo że ktoś inny widział ich na drodze. Albo, że... no tak. To naprawdę zaledwie cień szansy.

Mimo to chcesz spróbować. To twoja córka. Zrobisz wszystko, żeby ją odnaleźć.

– W porządku. – Ykka odwraca się i przyzywa was ruchem ręki. – Chodźcie, pokażę wam parę cudów.

Jakby dotychczas żadnego nie pokazała. Podążasz jednak za nią, bo wszelkie baśnie i tajemnice tracą na znaczeniu w obliczu nawet najmniejszej iskierej nadziei.

Ciało niszczy. Przywódca, który ma rządzić dłużej, polega na czymś więcej.

Tablica Trzecia, *Struktury*, werset drugi

SJEN W UKRYTEJ KRAINIE

Sjenit budzi się ze zziębniętym bokiem. To lewa strona: biodro, bark i większa część pleców. Ostry wiatr boleśnie rozwiewa jej włosy i uderza ją w tył głowy, co oznacza, że kok – uczesanie narzucane przez Fulcrum – musiał się jej rozplątać. Sjen czuje też w ustach posmak ziemi, choć język ma czysty.

Próbuje się poruszyć i całe jej ciało odzywa się tępyim bólem. To dziwny ból: ani ostry, ani pulsujący, ani zlokalizowany w żadnym konkretnym miejscu. Jakby jej ciało było jednym wielkim siniakiem. Wydając z siebie jęk, Sjen porusza dłonią i trafia na twardą ziemię. Opiera się o nią, usiłując odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, ale nie udaje jej się wstać. Jedyne, co jej wychodzi, to otwarcie oczu.

Pod jej dłonią i naprzeciw jej twarzy znajduje się kruchy, srebrzysty kamień: to monzonit albo jakiś łupek. Nie pamięta nazw głazów pochodzenia wulkanicznego, ponieważ nauczyciel geometrii w Fulcrum był niesłychanie nudny. Jakiś metr dalej skałę, jakkolwiek brzmi jej nazwa, rozsadziła kępa trawy, koniczyny i jakichś roślin o bujnych liściach. (Na biomesirii uważała jeszcze mniej). Rośliny poruszają się niespokojnie na wietrze, choć od najsilniejszych podmuchów osłania je ciało Sjen.

„Niech je szlag”, myśli dziewczyna i budzi się ostatecznie, zszokowana własnym grubiaństwem.

Siada. Robi to z trudem i w bólu, ale jakoś jej się udaje. Odkrywa, że znajduje się na nieznacznie pochyłym zboczu skalnym, otoczona większą ilością trawy. Dalej rozciąga się jednolity bezkres lekko zachmurzonego nieba. Sjen czuje zapach oceanu, ale inny niż ten, do którego przywykła w ciągu ostatnich kilku tygodni: mniej słony, bardziej rozrzedzony. Powietrze jest bardziej suche. Położenie słońca wskazuje, że jest późny ranek, natomiast chłód sugeruje późną zimę.

A przecież powinno być późne popołudnie. Poza tym Allia należy do Równiakiady, więc powinno być gorąco. A zimna, twarda powierzchnia, na której siedzi, powinna być ciepłym piaskiem. „W takim razie gdzie jestem, do ciężkiej rdzy?”

Okej. Dowie się tego. Skała znajduje się wysoko nad poziomem morza, stosunkowo blisko znajomej granicy: krańca Maximalu, czyli jednej z dwóch głównych płyt tektonicznych tworzących Bezruch. Minimal leży daleko na północy. Sejszyła ten kraniec płyty już wcześniej; znajduje się on nie tak daleko od Allia.

Ale przecież nie są w Allia. Tak naprawdę nie są nawet na kontynencie.

Odruchowo Sjenit próbuje zrobić coś więcej, niż tylko to wysejszyć, i sięga w stronę skraju płyty tektonicznej, jak robiła to już kilka razy wcześniej...

...ale nic się nie dzieje.

Siedzi tak przez chwilę, drżąc silniej niż wskazywałaby na to siła wiatru.

Nie jest jednak sama. Alabaster leży obok, skulony w pozycji embrionalnej – nieprzytomny albo martwy. Nie, jego pierś unosi się i opada. Okej, to dobrze.

Za nim, na szczycie zbocza, stoi wysoka i smukła postać w białej, powiewającej szacie.

Zaskoczona Sjen zastyga w bezruchu.

– Cześć? – jej głos przypomina skrzek.

Postać – zdaniem Sjen jest to kobieta – nie odwraca się. Spogląda w dal, na coś za wzgórzem, czego Sjen nie widzi.

– Witaj.

To już coś. Sjen próbuje się rozluźnić, choć to trudne, skoro nie może sięgnąć do ziemi po uspokajającą moc. Nie ma powodów do niepokoju, strofuje samą siebie; kimkolwiek jest ta kobieta, gdyby chciała

wyrządzić im krzywdę, dawno już by to zrobiła.

– Gdzie jesteśmy?

– Na wyspie, prawdopodobnie jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Wschodniego Wybrzeża.

– Na wyspie? – To przerażające. Wyspy są śmiertelnymi pułapkami. Jedyne gorsze miejsca do życia to tereny ponad liniami uskoku i kaldery usypionych, choć jeszcze nie wygasłych wulkanów. Ale rzeczywiście, teraz Sjenit słyszy odległy szum fal rozbijających się o skały gdzieś poniżej zbocza, na którym siedzi. Jeśli znajdują się tylko sto pięćdziesiąt kilometrów od krańca Maximalu, to znaczy, że podwodna linia uskoku przebiega zdecydowanie zbyt blisko – właściwie to bezpośrednio pod nimi. Dlatego właśnie ludzie nie żyją na wyspach, na litość Ziemi: w każdej chwili mogłoby ich zabić tsunami.

Sjen wstaje, żeby zobaczyć, jak źle przedstawia się sytuacja. Nogi zdrętwiały jej od leżenia na skale, ale kuśtyka jakoś wokół Alabastra, aż w końcu zatrzymuje się obok kobiety na szczycie zbocza. Widzi ocean, jak okiem sięgnąć – otwarty i nieprzerwany. Skalne zbocze urywa się jakiś metr od miejsca, w którym stoi Sjen, i zmienia się w poszarpany klif zawieszony około trzydziestu metrów nad wodą. Kiedy dziewczyna podchodzi do jego krawędzi i spogląda w dół, dostrzega kłęby piany wokół skał ostrych jak noże; upadek stąd musiałby skończyć się śmiercią. Szybko odchodzi do tyłu.

– Jak się tutaj znaleźliśmy? – szepcze przerażona.

– Ja was sprowadziłam.

– Ty... – Sjenit odwraca się do kobiety, a jej wściekłość na krótką chwilę staje się większa niż szok. Zaraz jednak znika zupełnie, a szok ogarnia ją całkowicie.

Posąg kobiety o wytwornych rysach: niewysokiej, z włosami zwiniętymi w prosty kok, zastygłej we wdzięcznej pozie. Skóra i ubranie w kolorze kości słoniowej, ale opuszki, tęczęwki i włosy ciemniejsze. To kolor bladej rdzy, coś jak błoto. Albo krew.

Zjadacz kamieni.

– Na Złą Ziemię – szepcze Sjenit. Kobieta nie odpowiada.

Zanim Sjen zdąży powiedzieć coś jeszcze (choć co właściwie mogłaby powiedzieć?), za jej plecami rozlega się jęk. Sjenit odrywa wzrok od zjadaczki kamieni i spogląda na Alabastra, który wierci się i któremu to wszystko nie podoba się najwyraźniej tak samo, jak jej. Przez chwilę go ignoruje, bo w końcu wpada na to, co powiedzieć.

– Po co? – pyta. – Po co nas tu sprowadziłaś?

– Żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Jest dokładnie tak, jak mawiają mędrzy. Usta zjadaczki kamieni nie otwierają się podczas mówienia. Jej oczy się nie poruszają. Równie dobrze mogłaby być posągiem, który przypomina. Dopiero po chwili Sjenit uświadamia sobie, co ta istota powiedziała.

– Żeby zapewnić bezpieczeństwo... jemu?

Zjadaczka kamieni znowu nie odpowiada.

Alabaster dalej jęczy, Sjenit w końcu podchodzi więc do niego i pomaga mu usiąść. Kiedy koszula zahacza mu się o ramię, dziesięciopierściennik syczy z bólu, a Sjenit przypomina sobie rzucony przez Stróża nóż. Nie ma go już w płytkiej ranie, ale pokrywający ją strup przywarł do materiału. Alabaster otwiera oczy, przeklinając.

– *Decaye, shisex unrelabbemet.*

To ten dziwny język, którego używał już wcześniej.

– Mów po sanzeńsku – Sjen podnosi głos, choć tak naprawdę nie jest zdenerwowana na niego. Patrzy na zjadaczkę kamieni, ale ta nadal się nie porusza.

– ...cholerna, pierdolona rdza! – mówi Alabaster, chwytając się za skaleczone miejsce. – Boli.

Sjenit strąca jego dłoń.

– Zostaw to. Jeszcze odnowisz ranę.

Znajdują się przecież setki kilometrów od jakiejkolwiek cywilizacji, oddzieleni od niej bezkresną wodą. Poza tym są na łasce przedstawicielki rasy uznawanej powszechnie za „tajemniczą” i „śmiertelnie niebezpieczną”.

– Mamy towarzystwo.

Słyszając to, Alabaster całkowicie się wybudza: patrzy na Sjenit i za jej plecy, a na widok zjadaczki kamieni rozszerzają mu się oczy. Zaraz potem jęczy.

– Kurwa. Kurwa. Co tym razem odwaliłaś?

O dziwo Sjenit nie jest całkowicie zaskoczona faktem, że Alabaster zna zjadaczkę kamieni.

– Ocaliłam ci życie – odpowiada nieruchoma istota.

– Co?

Ramię zjadaczki kamieni unosi się tak powoli, że ruchu tego nie sposób nawet określić słowem „wdzięczny” – prędzej „nienaturalny”. Nie porusza się żadna inna część jej ciała. Istota wskazuje na coś. Sjenit spogląda w tamtym kierunku i widzi zachodni horyzont. Nie jest on rozerwany tak jak po innych stronach: na prawo i lewo rozciąga się prosta linia oddzielająca wodę od nieba, a na jej środku widać dużą, czerwoną i dymiącą kropkę.

– Allia – mówi zjadacz kamieni.

Okazuje się, że na wyspie jest wioska. Sama wyspa to tylko wzgórza i skały – żadnych drzew ani ziemi, którą dałoby się uprawiać. To miejsce kompletnie nie nadaje się do zamieszkania. A jednak, kiedy docierają na drugi kraniec wyspy, gdzie klify są nieco mniej poszarpane, widzą zatoczkę całkiem podobną do tej, która znajduje się (znajdowała się) w Allia. Podobieństwa szybko się jednak kończą, ponieważ ta zatoka jest mniejsza, a wioskę wydrążono bezpośrednio w ścianie skalnej.

Z początku trudno to zauważyć. Najpierw Sjen wydaje się, że to, co widzi, to wejścia do jaskiń, które gęsto podziurawiły tutaj skałę. Następnie uświadamia sobie, że otwory te, nawet jeśli różnią się rozmiarami, mają taki sam kształt: proste krawędzie u dołu i po bokach, a na górze elegancki łuk. Wokół każdego otworu wykuto również w skale fasadę: filary, prostokątne framugi oraz misterne zdobienia przedstawiające splecione kwiaty i brykające zwierzęta. Widziała już dziwniejsze rzeczy. Niedużo dziwniejsze, to prawda, ale życie w Yumenes, w cieniu Czarnej Gwiazdy i wieńczącego ją Cesarskiego Pałacu, a także w Fulcrum o ścianach z rzeźbionego obsydianu, uodparnia człowieka na cuda architektury.

– Ona nie ma imienia – mówi Alabaster, kiedy schodzą po kamiennych schodach prowadzących najwyraźniej do wioski. Ma na myśli zjadaczkę kamieni, która zostawiła ich u szczytu schodów. (Sjen spojrzała w tamtym kierunku, ale zjadaczki kamieni już tam nie było. Alabaster zapewnił ją jednak, że ta istota nadal jest w pobliżu. Sjen nie jest pewna, czy chce wiedzieć, skąd on ma tę pewność).

– Nazywam ją Antymoną. Wiesz, bo jest prawie cała biała. Wybrałem metal zamiast kamienia, bo ona nie jest roggą, a zresztą „Alabaster” było już zajęte.

To słodkie.

– A ona... to znaczy to coś... reaguje na to imię?

– Reaguje. – Alabaster odwraca się, żeby spojrzeć na Sjenit, co jest ryzykowne, ponieważ te schody są bardzo, bardzo strome. Z boku biegnie wprawdzie balustrada, ale potknięcie i tak skończyłoby się upadkiem w przepaść. – Nie ma nic przeciwko, a zakładam, że powiedziałyby coś, gdyby jej się to nie podobało.

– Dlaczego nas tu sprowadziła?

Aby ich ocalić. Tak, oboje widzą dymiące Allia w oddali. Ale przedstawiciele rasy Antymony ignorują zazwyczaj poczynania ludzkości, chyba że ludzkość zaczyna ich wkurzać.

Alabaster kręci głową, z powrotem skupiając uwagę na schodach.

– W ich działaniach nie ma żadnego celu. A nawet jeśli jest, to na pewno nam o nim nie powiedzą. Szczerze mówiąc, ja przestałem już pytać, to strata czasu. Antymona odwiedza mnie od, hmm, pięciu lat? Pojawia się zazwyczaj, kiedy nikogo nie ma w pobliżu – mówiąc to, Alabaster wzdycha. – Kiedyś myślałem, że ją sobie wyobrażam.

No tak.

– I nic ci nie mówi?

– Tylko tyle, że jest tu dla mnie. Nie potrafię stwierdzić, czy to coś pokrzepiającego, no wiesz – „jestem tu dla ciebie, Baster, zawsze będę cię kochała, nieważne, że jestem żyjącym posągiem, który tylko wygląda jak ładna kobieta, po prostu cię wspieram” – czy może coś bardziej złowieszczonego. Ale czy ma to znaczenie, skoro ocaliła nam życie?

Zdaniem Sjen nie ma.

– A gdzie jest teraz? – pyta.

– Odeszła.

Sjen powstrzymuje chęć posłania go kopniakiem w przepaść.

– Do... ach. – Pamięta, o czym czytała, ale powiedzenie tego na głos wydaje się absurdalne. – Do ziemi?

– Tak myślę. Oni poruszają się w skałach, jakby te były powietrzem; sam widziałem, jak to robią. – Alabaster zatrzymuje się na jednym z licznych podestów, a Sjen prawie wpada mu na plecy. – Wiesz, że najprawdopodobniej tak właśnie nas tutaj sprowadziła, prawda?

To coś, o czym Sjen starała się nie myśleć. Na samą myśl o byciu dotykanym przez zjadacza kamieni robi jej się nieprzyjemnie. Wyobrażając sobie, że ta istota ciągnie ją na głębokość kilku kilometrów, pod ocean i skały, drży na całym ciele. Istnienie zjadacza kamieni to coś, co przeczy zdrowemu rozsądkowi – jak górotwórstwo, artefakty wymarłych cywilizacji i wszystko, czego nie można w sensowny sposób zmierzyć albo przewidzieć. Ale podczas gdy górotwórstwo da się przynajmniej zrozumieć (w jakimś stopniu) i kontrolować (z wysiłkiem), a artefaktów wymarłych cywilizacji można przynajmniej unikać, dopóki na twoich oczach nie wyłonią się z zardzewiałego oceanu, zjadacze kamieni robią, co chcą, i chodzą, gdzie im się podoba. W opowieściach mędrców wiele jest ostrzeżeń przed tymi istotami.

Z tą myślą Sjen się zatrzymuje, a Alabaster zauważa to dopiero na kolejnym podeście.

– Zjadacz kamieni – mówi Sjen, kiedy on odwraca się do niej z irytacją na twarzy. – Ten z obelisku.

– To nie ten sam – odpowiada jej cierpliwym tonem zarezerwowanym dla ludzi, którzy są wyjątkowo głupi, ale nie zasłużyli, aby powiedzieć im to w twarz, bo mieli ciężki dzień. – Mówiłem ci, że znam ją od jakiegoś czasu.

– Nie to miałam na myśli – „Debilu”. – Zjadacz kamieni spojrział na mnie zanim... No, wtedy. Poruszył się. Nie był martwy.

Alabaster gapi się na nią.

– Kiedy to widziałaś?

– Ja... – Sjen zacina się, bezradnie gestykułując. Nie ma na to właściwych słów. – To było... to było, kiedy... wydaje mi się, że go widziałam. – A może to były tylko halucynacje wywołane szklanym nożem Stróża? Coś w rodzaju „życia przelatującego przed oczami”? Ale zdawało się to takie prawdziwe.

Alabaster przygląda jej się przez chwilę, a jego żywa zwykle twarz zastyga w wyrazie, który Sjen zaczyna już kojarzyć z dezaprobatą.

– Zrobiłaś coś, co powinno było cię zabić. Nie stało się tak, ale tylko dlatego, że miałaś szczęście. Jeśli... widziałaś pewne rzeczy... nie jestem zdziwiony.

Sjenit kiwa głową, nie podważając jego słów. Czuła wtedy moc obelisku. Gdyby nie był uszkodzony, zabiłby ją. Tak naprawdę od tamtej pory czuje się... zdrętwiła, jakby wypalona. Czy to dlatego nie może już wykorzystywać swojego górotwórstwa? A może to skutek tego, co zrobił jej Stróż?

– Co tam się stało? – pyta sfrustrowana. To wszystko jest tak niezrozumiałe. Dlaczego ktoś próbował zabić Alabastra? Dlaczego dokończyć to zadanie chciał Stróż? Co to wszystko ma wspólnego z obeliskiem? I dlaczego znajdują się tutaj, w tej śmiertelnej pułapce pośrodku zardzewiałego oceanu? – Co właściwie dzieje się teraz? Baster, niech cię Ziemia, nie mówisz mi wszystkiego.

Alabaster krzywi się, jakby z bólu, a potem wzdycha i zakłada ręce na piersi.

– Wcale nie. Wbrew temu, co myślisz, nie posiadam wszystkich odpowiedzi. I nie mam pojęcia, dlaczego tak uważasz.

Dlatego, że wie znacznie więcej niż ona. I dlatego, że jest dziesięciopierściennikiem: robi rzeczy, których ona nie potrafi sobie wyobrazić i których nie umie nawet opisać, a jakaś jej część uważa, że Alabaster rozumie też pewne rzeczy, których ona nie jest w stanie pojąć.

– Wiedziałaś o tamtym Strózu.

– Tak – teraz jest wściekły, ale nie na nią. – Spotykałem już wcześniej takich jak on. Nie wiem jednak, dlaczego ten akurat tam był. Mogę tylko zgadywać.

– To lepsze niż nic!

Alabaster wygląda na rozdrażnionego.

– No dobrze. A więc zgaduję: ktoś, albo wielu ktosów, wiedział o tym zniszczonym obelisku w zatoce Allia. Ktokolwiek to był, wiedział też, że dziesięciopierściennik wyczuje coś takiego w pierwszej chwili, kiedy tylko zacznie sejszyć po okolicy. A ponieważ do reaktywacji tego czegoś wystarczył zaledwie czteropierściennik, to najwyraźniej ci ktosie nie mieli pojęcia, jak czuły albo jak niebezpieczny jest ten obelisk. W przeciwnym razie ty i ja nie opuścilibyśmy Allia żywi.

Sjenit marszczy czoło i chwyta się balustrady, kiedy wyjątkowo silny podmuch wiatru uderza w skalną ścianę.

– Ktosie.

– Ugrupowania. Odłamy zaangażowane w jakiś konflikt, o którym nie mamy pojęcia i w który przypadkiem się wpakowaliśmy.

– Odłamy Stróżów?

Alabaster prychna szyderczo.

– Mówisz w taki sposób, jakby to było niemożliwe. Czy wszystkie roggi mają te same cele, Sjen? Wszyscy nieruchomi też? Nawet zjadacze kamieni prawdopodobnie sprzecząją się między sobą.

I chyba tylko Ziemia wie, jak coś takiego wygląda.

– Więc jeden z tych, no... odłamów wysłał Stróża, żeby nas zabił – Nie. Zaatakował ich dopiero, kiedy Sjenit powiedziała mu, że to ona aktywowała obelisk. – Żeby zabił mnie.

Alabaster pośepnie kiwa głową.

– Podejrzewam, że właśnie on mnie otruł, sądząc, że to ja uruchomię obelisk. Stróże nie lubią dyscyplinować nas w miejscach, gdzie mogą zobaczyć to nieruchomi, bo moglibyśmy zyskać w ten sposób niepożądaną z ich perspektywy sympatię ludzi. Ten atak w biały dzień był ostatecznością – rozważając te słowa, wzrusza ramionami. – Chyba mamy szczęście, że nie próbował cię otruć. Zresztą ze mną też powinno było mu się wtedy udać. Paraliż obejmuje również sejsody; byłbym kompletnie bezużyteczny. Gdyby nie...

Gdyby nie potrafił zaczerpnąć mocy z ametystowego obelisku, zaprzęgając do tego zadania sejsody Sjenit. Teraz, kiedy Sjen lepiej rozumie, co wydarzyło się tamtego wieczoru, właściwie czuje się jeszcze gorzej. Przygląda się uważnie Alabastrowi.

– Nikt tak naprawdę nie wie, do czego jesteś zdolny, prawda?

Alabaster odwraca wzrok, wzdychając cicho.

– Nawet ja nie wiem, do czego jestem zdolny, Sjen. To, czego nauczono mnie w Fulcrum... W pewnym momencie musiałem to wszystko odrzucić. Musiałem wyszkolić się sam. I czasami wydaje mi się, że wystarczy, abym pomyślał inaczej, wyzbył się tego, co mi wpojono, i spróbował czegoś nowego, a wtedy... – Odpływa na chwilę, zagubiony w myślach. – Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Domyślam się jednak, że to chyba dobrze, że nie wiem, bo w przeciwnym razie Stróże zabiliby mnie już dawno temu.

Po części jest to tylko bełkot, ale Sjen kiwa głową ze zrozumieniem.

– Kto w takim razie ma możliwość wysłania Stróża z misją...

Tropienia dziesięciopierścienników. I śmiertelnego straszenia czteropierścienników.

– Wszyscy Stróże to zabójcy – stwierdza gorzko Alabaster. – Nie mam natomiast pojęcia, kto posiada nad nimi władzę – dodaje, wzruszając ramionami. – Krąży plotka, że Stróże odpowiadają przed Cesarzem; że to ostatni okrucuch władzy, jaką on sprawuje. A może to kłamstwo i kontrolują ich rodziny Przywódców z Yumenes, tak jak wszystko inne. A może tak naprawdę władzę sprawuje nad nimi samo Fulcrum? Nie wiem.

– Ja słyszałam z kolei, że sami się kontrolują – mówi Sjen. To prawdopodobnie tylko plotka, którą rozpuścił któryś ze żwirów.

– Być może. Kiedy trzeba utrzymać jakąś ich tajemnicę albo kiedy po prostu ktoś staje im na drodze, Stróże równie chętnie zabijają roggów i nieruchomych. Jeśli mają jakąś hierarchię, to tylko Stróż mógłby ją zrozumieć. A jeśli chodzi o to, jak robią to, co robią... – Alabaster bierze głęboki oddech. – To wynik swego rodzaju operacji chirurgicznej. Wszyscy Stróże są dziećmi roggów, ale sami nie należą do tego gatunku, ponieważ z ich sejsodami jest coś nie tak, co sprawia, że na Strózu łatwiej przeprowadzić taki zabieg. Polega on na wszczepieniu do mózgu jakiegoś implantu. Ziemia wie, gdzie oni się tego nauczyli i kiedy zaczęli to robić, ale daje im to możliwość neutralizowania górotwórstwa u roggów. A także zapewnia inne umiejętności. Jeszcze gorsze.

Sjenit wzdryga się, przypominając sobie odgłos zrywanych ścięgien. Dłoń mocno ją piecze.

– Ale ciebie nie chciał zabić – mówi. Spogląda na ramię Alabastra, gdzie materiał nadal jest wyraźnie ciemniejszy niż w innych miejscach, ale podczas schodzenia po schodach strup zapewne się oderwał i tkanina nie przylega już do rany. Widać też świeżą plamę wilgoci, co oznacza krwawienie, lecz na szczęście niezbyt silne. – Ten nóż...

Alabaster kiwa głową.

– Specjalność Stróżów. Wyglądają jak zwyczajne szklane noże, ale nimi nie są. W pewnym sensie przypominają samych Stróżów, bo potrafią przeciąć w górotwórstwie to, co sprawia, że jesteśmy, kim jesteśmy – mówiąc to, drży. – Wcześniej nie wiedziałem, jakie to uczucie; boli jak podziemny ogień. I nie... – dodaje szybko, widząc otwarte usta Sjen. – Nie wiem, dlaczego mnie tym zaatakował. Unieruchomił wtedy nas oboje; byłem równie bezradny jak ty.

No tak.

Sjenit oblizuje wargi.

– Czy możesz... czy nadal jesteś...

– Tak. Po kilku dniach to mija – uśmiecha się na widok ulgi na jej twarzy. – Mówiłem ci, że spotykałem już wcześniej Stróżów.

– A dlaczego miałam nie pozwolić, żeby dotknął mnie swoją skórą?

Alabaster milknie. Z początku Sjenit sądzi, że znowu jest uparty, ale kiedy spogląda na jego twarz, widzi, że nagle spochmurniał. Po chwili Alabaster mruga i odzywa się:

– Kiedy byłem młodszy, znałem innego dziesięciopierścienika. To było, kiedy... On był moim mentorem. Kimś, kim dla ciebie jest Feldspar.

– Feldspar nie jest... nieważne.

Alabaster nie zwraca na nią uwagi, zatopiony w swoich wspomnieniach.

– Nie wiem, dlaczego tak się stało. Ale pewnego dnia spacerowaliśmy po Ogrodzie Pierścienia, ciesząc się przyjemnym wieczorem... – Nagle przerywa i spogląda na nią z wyrazem bólu na twarzy. – Szukaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy być sami.

Ach. To wiele wyjaśnia.

– Rozumiem – mówi Sjen, niepotrzebnie.

Alabaster kiwa głową, też niepotrzebnie.

– W każdym razie pojawia się ten Stróż. Jest bez koszuli, tak samo jak tamten, którego widziałas. I też nie mówi, po co przyszedł. Po prostu... atakuje. Nie widziałem... To stało się tak szybko. Jak w Allia – Pociera twarz dłońmi. – Zaczął dusić Hessionite, ale nie tak mocno, żeby go zabić. Potrzebował kontaktu skóry ze skórą. A potem tylko trzymał Hessa i się uśmiechał, kiedy to się stało. Jakby to była najpiękniejsza rzecz na świecie. Chory skurwiel.

– Ale... – Sjen właściwie nie chce wiedzieć, a jednocześnie chce. – Jak oddziałuje na nas skóra Stróża?

Alabaster zaciska zęby.

– Kieruje twoją górotwórczą siłę do wewnątrz. Tak myślę. Nie znam lepszego wytłumaczenia. Wszystko to, co mamy w sobie i co pozwala nam rozdzielać płyty tektoniczne oraz zamykać linie uskoku, ta cała moc, z którą się rodzimy... Stróże zwracają ją przeciwko nam samym.

– Nie rozu... – Przecież górotwórstwo nie oddziałuje na ciało, w każdym razie nie bezpośrednio. Gdyby tak było...

...Och.

Alabaster milknie. Tym razem Sjenit o nic już nie dopytuje.

– No i tyle. – Alabaster kręci głową, a potem spogląda w kierunku wioski wykutej w skale. – Możemy ruszać dalej?

Trudno rozmawiać po takiej opowieści.

– Buster – Sjen wskazuje na samą siebie i na swój mundur, który mimo pokrywającego go pyłu wciąż ma wyraźną barwę czerni Cesarskiego Górotwórstwa. – Żadne z nas nie jest teraz w stanie poruszyć choćby kamyka. Nie wiemy, co to za ludzie.

– Tak. Ale boli mnie ramię i jestem spragniony. Widzisz tu jakieś źródło wody?

Nie. Jedzenia też nie widzi. Nie mogą popłynąć z powrotem na stały ląd; to stanowczo za daleko. Zresztą Sjenit nie umie pływać, a jeśli opowieści o oceanie są prawdziwe, pełno w nim potworów. Pewnie są prawdziwe.

– W porządku – oznajmia więc i wyprzedza Alabastra. – Ja z nimi porozmawiam, bo ty mógłbyś tylko sprowadzić na nas śmierć. – „Zardzewiały szaleńcu”.

Alabaster śmieje się, jakby usłyszał tę niewypowiedzianą myśl, ale nie sprzeciwia się i rusza w dół za Sjenit.

Schody przechodzą w końcu w gładko wykuty chodnik, który wije się po zboczu jakieś trzydzieści metrów ponad najwyższym śladem wody. Sjen domyśla się, że dzięki takiemu wysokiemu położeniu wioska jest bezpieczna przed atakami tsunami. (Oczywiście nie może być tego pewna. Cała ta woda jest dla niej dziwna). Częściowo rekompensuje to również brak ogrodzenia – choć z drugiej strony ocean

stanowi całkiem skuteczną barierę oddzielającą tych ludzi od tego, co znajduje się poza ich... wspólnotą, jeśli można to tak nazwać. Poniżej widać kilkanaście łodzi zacumowanych przy pomostach, które wyglądają, jakby wykonano je z kamieni i przykryto deskami – są brzydkie i prymitywne w porównaniu z czystymi przystaniami z Allia, ale najwyraźniej spełniają swoje zadanie. Same łodzie też wyglądają dziwnie, przynajmniej w porównaniu z łodziami, które Sjen widywała do tej pory: niektóre z nich są proste i eleganckie, jakby wyrzeźbiono je z pojedynczych pni drzew, a ich burty chronią swego rodzaju podpory. Są też większe, z żaglami, ale nawet one różnią się kształtem od łodzi, do których Sjen jest przyzwyczajona.

Wokół łodzi krzątają się ludzie noszący kosze i pracujący przy skomplikowanym olinowaniu jednej z nich. Nie podnoszą wzroku, a Sjenit powstrzymuje chęć krzyknienia do nich. Zresztą ona i Alabaster i tak zostali już zauważeni. Przed wejściem do najbliższej jaskini – teraz, z poziomu „ziemi”, widać, że każda z nich jest olbrzymia – zaczęła zbierać się grupa ludzi.

Zbliżając się do nich, Sjenit oblizuje wargi i bierze głęboki oddech. Nie wyglądają na wrogo nastawionych.

– Cześć – odzywa się i czeka. Na razie nikt nie próbuje jej zabić. To już coś.

Większość z około dwudziestu czekających na nich osób wydaje się ogłupiona ich widokiem. Są to głównie dzieci w różnym wieku, kilku dorosłych, paru starców i kirkhus na smyczy, który, oceniając po ruchach grubego ogona, wydaje się nastawiony przyjacielsko. Ci ludzie ewidentnie pochodzą ze Wschodniego Wybrzeża: w większości są wysocy i ciemni jak Alabaster, choć znajduje się wśród nich również kilka bledszych osób, a Sjen dostrzega też jedną grzywę popiołowych włosów rozwiewanych przez wiatr. Nie wyglądają na zaniepokojonych, choć Sjen odnosi wrażenie, że nie przywykli do widoku niespodziewanych gości.

Następnie z tłumu występuje starszy mężczyzna, któremu towarzyszy aura Przywództwa, a przynajmniej przywództwa. I mówi coś kompletnie niezrozumiałego.

Sjen patrzy na niego. Nie potrafi nawet stwierdzić, co to za język, choć w pewnym sensie wydaje się jej znajomy. A wtedy – och, na rdzę, oczywiście – Alabaster jak gdyby otrząsa się i odpowiada w tym samym języku, po czym wszyscy śmieją się, rozluźniają i zaczynają rozmawiać. Wszyscy oprócz Sjenit.

Dziewczyna posyła Basterowi piorunujące spojrzenie.

– Przetłumaczysz?

– Powiedziałem im, że się bałaś, że jeśli odezwę się jako pierwszy, sprowadzę na nas śmierć – wyjaśnia Alabaster, a Sjen ma ochotę zabić go tu i teraz.

I tak to dalej idzie. Ludzie z tej dziwnej wioski i Alabaster rozmawiają ze sobą, a Sjen pozostaje jedynie stać tam i próbować nie dać po sobie poznać, że jest sfrustrowana. Alabaster tłumaczy jej treść rozmowy, kiedy tylko może, ale czasami się zacina – tutejsi mówią naprawdę szybko. Sjen odnosi wrażenie, że jej towarzysz tylko streszcza jej rozmowę. Że bardzo ją streszcza. Okazuje się, że wspólnota nazywa się Meov, a mężczyzna, który wystąpił do przodu, to jej przywódca, Harlas.

A poza tym to piraci.

– Tutaj nie da się uprawiać żywności – tłumaczy Alabaster. – Robią, co muszą, aby przetrwać.

Rozmawiają jakiś czas później, już po tym jak ludzie Meoviańczycy zapraszają ich do wykutych w skale pomieszczeń. Całe miasto znajduje się właśnie tam, w środku – co nie powinno dziwić, skoro cała wyspa to właściwie wyłącznie pionowa, jednolita skała. Niektóre jaskinie powstały w naturalny sposób, inne jakimś sposobem tu wydrążono. Wszystko to jest zdumiewająco piękne: artystycznie

sklepione sufity, akwedukty ciągnące się wzdłuż ścian i wystarczająco wiele pochodni oraz lamp, aby zapobiec uczuciu klaustrofobii. Sjen nie czuje się komfortowo ze świadomością, że taka olbrzymia skała wisi nad ich głowami, gotowa zmiażdżyć ich podczas kolejnego wstrząsu, ale jeśli już musi siedzieć w śmiertelnej pułapce, to lepiej, że w tak przyjemnej.

Meoviańczycy umieścili ich w domu gościnnym – a właściwie w domu, który od pewnego czasu jest już opuszczony, ale jest w nie najgorszym stanie. Sjen i Alabaster otrzymali jedzenie z publicznych ognisk, dostęp do łaźni publicznych i kilka zestawów ubrań. Zapewniono im nawet odrobinę prywatności – choć ciekawskie dzieci i tak zaglądną do ich domu przez wykute w ścianie i pozbawione zasłon okna, a potem uciekają ze śmiechem. To niemal urocze.

Sjen siedzi na stercie złożonych koców, które najprawdopodobniej służą właśnie do tego celu, i patrzy, jak Alabaster owija zranione ramię czystą szmatką, trzymając w zębach jej drugi koniec, żeby mocniej zawiązać opatrunek. Oczywiście mógłby poprosić ją o pomoc, ale tego nie robi, więc ona nie wychodzi z inicjatywą.

– Nie handlują zbyt często z lądem – kontynuuje Alabaster. – Mają do zaoferowania jedynie ryby, a wspólnoty z Wybrzeża posiadają ich pod dostatkiem. Meoviańczycy napadają więc na innych. Atakują statki pływające po głównych szlakach handlowych albo wymuszają na wspólnotach haracze za ochronę przed atakami... tak, przed własnymi atakami. Nie pytaj mnie, jak to funkcjonuje; powiedział mi o tym przywódca.

Brzmi to... ryzykownie.

– Ale co oni robią tutaj? – Sjen rozgląda się po wykutych w skale ścianach i suficie. – Przecież to wyspa. Te jaskinie w pewnym sensie są przyjemne, ale tylko do następnego tsunami, które zmyje całe to miejsce z powierzchni Ziemi. Poza tym, jak zauważyłeś, nie da się uprawiać tu żywności. Czy mają chociaż magazyny? Co się stanie, jeśli nadejdzie Sezon?

– Wtedy wszyscy zginą, tak sądzę. – Alabaster wzrusza ramionami, głównie po to, żeby poprawić świeżo zawiązany bandaż. – Zadałem im to pytanie, a oni właściwie skwitowali je śmiechem. Zwróciłaś uwagę, że ta wyspa leży nad punktem zapalnym?

Sjen mruga. Nie, umknęło jej to, ale jej górotwórstwo jest teraz odrętwiałe jak palec uderzony młotkiem. Górotwórstwo Alabastra też, ale drętwota najwyraźniej jest względna.

– Jak głęboko on się znajduje?

– Bardzo głęboko. Jest bardzo mało prawdopodobne, że wybuchnie w najbliższym czasie, albo w ogóle, ale jeśli kiedykolwiek tak się stanie, będzie w tym miejscu krater zamiast wyspy. – Alabaster krzywi się, mówiąc te słowa. – Oczywiście jeśli wcześniej nie dotrze tutaj tsunami, a jesteśmy przecież bardzo blisko krawędzi płyty tektonicznej. Można tu zginąć na bardzo wiele sposobów. Oni wiedzą jednak o nich wszystkich, naprawdę, i z tego, co widzę, mają to gdzieś. Mówią, że przynajmniej umrą jako ludzie wolni.

– Wolni od czego? Od życia?

– Od Sanze. – Alabaster uśmiecha się, widząc jak Sjen opada szczęką. – Harlas twierdzi, że Meov należy do grupy wspólnot rozmieszczonych wzdłuż archipelagu, czyli skupiska wysp, jeśli nie wiedziałaś, który ciągnie się stąd prawie do Antarktydy i który powstał w wyniku wybuchu tego punktu zapalnego. Niektóre należące do tej grupy wspólnoty, jak choćby ta, istnieją od dziesięciu Sezonów, a nawet dłużej...

– Bzdura!

– ...a ci ludzie nie pamiętają nawet, kiedy Meov został utworzony i, ekhm, wydrążony, więc może nawet jest jeszcze starszy. Oni byli tutaj jeszcze przed Sanze. Z tego, co im wiadomo, Sanze nie wie, że istnieją, albo go to nie obchodzi. Nigdy nie zostali przyłączeni – mówiąc to, Alabaster kręci głową. –

Wspólnoty z Wybrzeża zawsze oskarżają się nawzajem o utrzymywanie piratów, ale nikt zdrowy na umyśle nie zapuścił się tak daleko w te strony, więc może mieszkańcy stałego lądu nie wiedzą nawet, że istnieją tu wyspiarskie wspólnoty. To znaczy, wiedzą prawdopodobnie o istnieniu samych wysp, ale zakładają pewnie, że nikt nie byłby na tyle głupi, żeby na nich zamieszkać.

Rzeczywiście, nikt nie powinien być tak głupi. Sjen nie może pojąć zuchwałości tych ludzi.

Kiedy kolejne dziecko wystawia głowę ponad parapet i bez skrepowania zaczyna im się przyglądać, Sjen daje za wygraną i się uśmiecha, a dziewczynka robi wielkie oczy i wybucha śmiechem, bełkocząc coś w tym dziwnym języku, po czym zostaje odciągnięta przez inne dzieciaki. Odważne, szalone maleństwo.

– Powiedziała: „Ta wredna się uśmiecha!” – wyjaśnia Alabaster z rozbawieniem.

„Zardzewiała gówniara”.

– Nie wierzę, że są na tyle szaleni, aby tu mieszkać – ciągnie Sjen, kręcąc głową. – Ta wyspa już sto razy powinna zostać rozerwana na kawałki, zmiażdżona albo zatopiona.

Alabaster porusza się niespokojnie, a Sjen wie, że powinna uważać.

– No cóż, przetrwali w dużej mierze dzięki temu, że odżywiają się rybami i wodorostami. Oceany nie wymierają w czasie Sezonu tak jak lądy czy mniejsze zbiorniki wodne. Jeśli potrafisz łowić, jedzenia nigdy ci nie zabraknie. Nie sądzę, żeby w ogóle mieli tu coś takiego jak magazyny – mówiąc to, rozgląda się w zamyśleniu. – Jeśli potrafią zabezpieczyć swoją wspólnotę przed wstrząsami i sztormami, to domyślam się, że jest to całkiem dobre miejsce do życia.

– Ale w jaki sposób mieliby...

– Roggi – spogląda na nią i się uśmiecha, a Sjen uświadamia sobie, że czekał, żeby jej to powiedzieć. – To właśnie dzięki nim przetrwali tak długo. Tutaj nie zabija się roggów. Tutaj daje się im władzę. Dlatego mieszkańcy bardzo cieszą się z naszych odwiedzin.

Zjadacz kamieni to postać utkana z szaleństwa. Czerp z jego mądrości i strzeż się jego darów.

Tablica Druga, *Prawda Niekompletna*, werset siódmy

DAMAYA W SYTUACJI OSTATECZNEJ

Wszystko się zmienia. Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem, ale świat nie jest niezmienny. Mija rok.

Po zniknięciu Wyrwy Maxixe ani razu nie rozmawia z Damayą. Kiedy widzi ją na korytarzu albo po inspekcji, po prostu się odwraca. Nie ma jednak okazji zbyt często krzyżować z nią wzroku, bo ona zwykle na niego nie patrzy. Nie przeszkadza jej, że Maxixe jej nienawidzi. I tak był tylko potencjalnym przyjacielem. Teraz wie już, że nie warto o takich zabiegać i że na prawdziwego przyjaciela nigdy nie zasłuży.

(Przyjaciele nie istnieją. Fulcrum nie jest szkołą. Żwirzy to nie dzieci. Górotwory to nie ludzie. Broń nie posiada ani nie potrzebuje przyjaciół).

A jednak Damai jest trudno, ponieważ bez przyjaciół się nudzi. Instruktorzy nauczyli ją czytać, ale kiedy spędza czas z książką, po pewnym czasie słowa zaczynają rozsypywać się na kartkach jak kamienie podczas wstrząsu. Poza tym w bibliotece nie ma zbyt wielu pozycji, które służyłyby wyłącznie rozrywce. (Broń nie potrzebuje rozrywki). Damaya może ćwiczyć się w wykorzystywaniu swojej mocy wyłącznie podczas zajęć z górotwórstwa stosowanego i choć czasami leży na łóżku, powtarzając w głowie ich przebieg – moc górotwórców opiera się w końcu na skupieniu – to tego również nie da się robić w nieskończoność.

Żeby zająć się czymś podczas Wolnej Godziny i pozostałych godzin, kiedy nie jest zajęta ani nie śpi, Damaya wałęsa się więc po Fulcrum.

Żwirom nikt tego nie zabrania. Nikt nie pilnuje ich sal sypialnych podczas Wolnej Godziny ani później. Instruktorzy nie wprowadzają ciszy nocnej; jeśli żwir jest gotów przetrwać kolejny dzień niewyspany, Wolna Godzina może stać się dla niego Wolną Nocą. Dorośli nie zabraniają też żwirom opuszczać budynku. Każde dziecko przyłapano w Ogrodzie Pierścienia, zamkniętym dla nieupierścienionych, albo przy bramach wyjściowych Fulcrum, będzie musiało odpowiadać przed seniorami. Drobniejsze wykroczenia karane są jednak łagodnie, a konsekwencje odpowiadają skali przewinienia. To wszystko.

W końcu z Fulcrum nikogo się nie wyrzuca. Wadliwą broń po prostu usuwa się z magazynu. A sprawna powinna umieć o siebie zadbać.

Dlatego też Damaya wałęsa się po najmniej interesujących częściach Fulcrum – ma jednak dokąd chodzić, ponieważ Fulcrum jest olbrzymie. Poza Ogradem i terenami przeznaczonymi na edukację żwirów znajdują się tu skupiska kwater mieszkalnych dla upierścienionych górotworów, a także biblioteki, teatry, szpital i miejsca, w których dorosłe górotwory pracują, kiedy nie przebywają akurat na misjach. Są tu również całe kilometry wybrukowanych obsydianem chodników i liczne tereny zielone, których nie przygotowano na ewentualną Piątą Porę Roku ani nie pozostawiono, żeby leżały ugorem; dba się tylko o ich wygląd. Po prostu mają być ładne. Damaya dochodzi do wniosku, że w takim razie ktoś powinien na nie patrzeć.

To właśnie te miejsca zwiedza późnymi wieczorami, wyobrażając sobie, gdzie i jak będzie żyła, kiedy zasili już szeregi upierścienionych. Dorośli z tych okolic najczęściej ją ignorują, zajęci własnymi obowiązkami, pograżeni w rozmowach z innymi, skupieni na swoich dorosłych sprawach. Niektórzy z nich dostrzegają ją, ale wruszają ramionami i po prostu idą dalej. Oni też byli kiedyś żwirami. Tylko raz jakaś kobieta zatrzymuje się i pyta:

– Na pewno wolno ci tu być?

Damaya kiwa głową i idzie dalej, a kobieta daje jej spokój.

Budynki administracyjne są bardziej interesujące. Damaya odwiedza duże pomieszczenia treningowe, których używają upierścienione górotwory: to pozbawione dachu sale wielkości amfiteatrów, w których nagie podłogi wyłożono mozaikami w kształcie koncentrycznych kręgów. Czasami leżą tam olbrzymie bazalty, a czasami mozaika jest zniszczona, a bazaltów nie ma. Zdarza się, że Damaya spotyka tam dorosłych, którzy akurat ćwiczą: przesuwają głazy jak dziecięce zabawki, wbijają je głęboko w ziemię i wyciągają z powrotem wyłącznie siłą woli, rozmywając powietrze wokół siebie śmiertelnymi kręgami chłodu. To ekscytujące i zarazem przerażające, a Damaya przygląda się tym treningom z wielką uwagą, jednak niewiele jej to daje. Zanim zacznie robić podobne rzeczy, czeka ją jeszcze długa droga.

Najbardziej fascynuje ją Główny. Ten budynek jest rdzeniem kompleksu Fulcrum: to olbrzymi, zadaszony kopułą sześciobok, większy niż wszystkie pozostałe budynki razem wzięte. To właśnie tutaj ustala się wszystkie sprawy ważne dla Fulcrum. To tutaj upierścienione górotwory mają swoje biura, gdzie zajmują się pracą papierkową i płaceniem rachunków, bo oczywiście wszystko to muszą robić same. Nikt nie może powiedzieć, że górotwory to bezużyteczne pasożyty czerpiące zasoby z Yumenes; Fulcrum jest samodzielne pod każdym względem. Wolna Godzina rozpoczyna się po standardowych godzinach pracy, w budynku nie dzieje się więc już zbyt dużo, a jednak za każdym razem, kiedy Damaya się tutaj zapuszcza, dostrzega, że w wielu biurach nadal palą się świeczki albo lampy elektryczne.

W Głównym mają swoje skrzydło również Stróże. Czasami wśród wszechobecnej czerni Damaya dostrzega burgundowe mundury, a wtedy odwraca się w inną stronę. Nie robi tego ze strachu. Stróże prawdopodobnie widzą ją, ale jej nie zaczepiają, bo nie robi niczego, czego jej nie wolno. Jest tak, jak powiedział jej Schaffa: Stróżów należy się obawiać tylko w konkretnych sytuacjach. Damaya unika ich jednak, bo zdobywając coraz większe umiejętności, coraz silniej odczuwa w ich obecności coś dziwnego. To... cierpkie i nierównomierne uczucie, które bardziej słyszy i czuje na języku, niż sejszy. Nie rozumie tego, ale spostrzega, że nie jest jedynym górotworem, który omija Stróżów szerokim łukiem.

W Głównym znajdują się całe nieużywane skrzydła, ponieważ Fulcrum jest zbyt duże jak na swoje potrzeby – a może tylko instruktorzy powiedzieli jej tak, kiedy ich o to zapytała. Przed zbudowaniem Fulcrum nikt tak naprawdę nie wiedział, ile górotworów znajduje się na świecie; być może konstruktorzy budynku spodziewali się też, że więcej tych istot przeżywać będzie dzieciństwo. Tak czy inaczej, kiedy Damaya po raz pierwszy otwiera podejrzane wyglądające, najwyraźniej nieużywane drzwi i trafia do pustego ciemnego korytarza, jest zaintrygowana.

Jest tam ciemno i niewiele widać. Damaya dostrzega kontury zniszczonych mebli, koszy transportowych i tym podobnych przedmiotów, postanawia więc na razie nie zapuszczać się dalej. Istnieje zbyt duże ryzyko, że zrobi tu sobie krzywdę. Wraca więc do budynku zajmowanego przez żwiry i przez kolejne kilka dni się przygotowuje. Zabranie niewielkiego szklanego noża do krojenia mięsa z jednej z tac z jedzeniem nie stanowi problemu, a w pomieszczeniach żwirów znajduje się mnóstwo lamp olejnych, przywłaszcza więc sobie jedną z nich, nie zwracając niczyjej uwagi. Z poszewki na poduszkę zwędzonej podczas zajęć z szycia – poszewka ma wystrzępione rogi i znajdowała się na stercie odrzutów – robi sobie plecak. Kiedy wreszcie uznaje, że jest gotowa, wyrusza.

Z początku idzie jej wolno. Aby się nie zgubić, tu i ówdzie oznacza ściany przy pomocy noża, aż w końcu uzmysławia sobie, że ta część Głównego ma dokładnie taki sam rozkład jak pozostałe: centralny korytarz z rozmieszczonymi w regularnych odstępach kłatkami schodowymi i drzwiami prowadzącymi po obydwu stronach do kolejnych pomieszczeń. To właśnie te pomieszczenia Damaya lubi najbardziej, choć wiele z nich jest nudnych. Natrafia na sale konferencyjne, biura i komnaty tak przestronne że mogłyby służyć jako sale wykładowe, ale najczęściej są to magazyny starych książek i ubrań.

Książki! Bardzo wiele z nich to rozrywkowe historie, których w bibliotece jest jak na lekarstwo: romanse, opowieści przygodowe i odrobina nieważnych mądrości kamieni. Czasami drzwi prowadzą do niesamowitych miejsc. Damaya odkrywa piętro, na którym najwyraźniej znajdowały się kiedyś kwatery mieszkalne – być może wykorzystywano je w czasach boomu, kiedy przebywało tutaj zbyt wiele górotworów, aby dało się je wszystkie rozmieścić w przeznaczonych do tego budynkach. Najwyraźniej z jakiegoś powodu tutejsi mieszkańcy opuścili swoje lokum, pozostawiając za sobą cały swój dobytek. Damaya znajduje w szafach długie eleganckie suknie, które zdążyły już zbutwieć, zabawki dla niemowląt i biżuterię, na widok której jej matka by się śliniła. Przymierza niektóre błyskotki i chichocze na widok swojego odbicia w lustrze poplamionym przez muchy, ale zaraz milknie, zaskoczona odgłosem własnego śmiechu.

Są też dziwniejsze rzeczy. Na przykład pokój pełen pluszowych, zdobionych foteli – nadjedzonych już przez mole – które z niewiadomych przyczyn ustawiono w okrąg. Albo pomieszczenie, którego przeznaczenie odgaduje dopiero później, po tym jak trafia do obiektów Fulcrum przewidzianych do celów badawczych – uświadamia sobie wtedy, że pomieszczenie, w którym się znalazła, to swego rodzaju laboratorium pełne dziwnych pojemników i przyrządów, które, jak się w końcu dowiaduje, musiały służyć do analizy poziomów energii oraz manipulowania związkami chemicznymi. Być może geodziarze nie zajmują się nauką górotwórstwa i zgłębianie jej jest domeną górotworów? Damaya może tylko zgadywać.

Jest tego więcej, nieskończenie więcej. Po zajęciach z Górotwórstwa Stosowanego te wyprawy to jej ulubiona część każdego dnia. Zdarza się, że Damaya wpada w szkole w kłopoty, bo podczas sprawdzianów omija niektóre pytania pogrążona w rozmyślanie o rzeczach, które znalazła. Uważa, żeby nie działo się to zbyt często i żeby nauczyciele nie zaczęli niczego podejrzewać, choć tak naprawdę wydaje jej się, że i tak wiedzą o jej nocnych wyprawach. Wałęsając się po Fulcrum, dostrzega nawet kilku z nich: w czasie wolnym odpoczywają i wydają się zaskakująco ludzcy. Nie wypytuje jej o te wędrówki, co jej schlebia. Miło jest czuć, że dzieli z nimi jakiś sekret, choć przecież wcale tak nie jest. Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem, ale to jest jej rytm; sama go ustala i nikt w to nie ingeruje. Dobrze jest mieć coś tylko dla siebie.

A potem, pewnego dnia, wszystko się zmienia.

Dziwna dziewczyna wpycha się w szereg żwirów tak dyskretnie, że Damaya prawie tego nie zauważa. Znowu przechodzą przez Ogród Pierścienia, wracając do swoich pomieszczeń po Górotwórstwie Stosowanym, a Damaya jest zmęczona, lecz zadowolona. Instruktor Marcasite pochwalił ją za to, że zamroziła ziemię wokół siebie w promieniu zaledwie pół metra, rozszerzając jednocześnie strefę kontroli na głębokość około trzydziestu metrów.

– Jesteś już prawie gotowa na egzamin pierwszego pierścienia – powiedział jej pod koniec lekcji. Jeśli to prawda, mogłaby do niego przystąpić rok wcześniej niż większość innych żwirów, a także jako pierwsza ze swojego rocznika.

Ponieważ Damaya jest tak bardzo zafascynowana tą perspektywą, ponieważ jest to wieczór po długim dniu i ponieważ Ogród jest wyludniony, a instruktorzy rozmawiają pomiędzy sobą, prawie nikt nie zauważa, że ta dziwna dziewczyna wpycha się przed Damayę. Nawet Damai prawie to umyka, bo dziewczyna sprytnie poczekała do zakrętu przy żywopłocie i nagle, pomiędzy jednym krokiem a drugim, pojawiła się tam, dostosowując tempo do całej kolumny i spoglądając przed siebie, jak większość pozostałych żwirów. Damaya wie jednak, że wcześniej jej tam nie było.

Nie ma pojęcia, o co tu chodzi. Nie zna zbyt dobrze pozostałych dziewcząt, ale kojarzy je z widzenia i tę z pewnością widzi po raz pierwszy. Kim w takim razie jest? Damaya zastanawia się, czy powinna coś powiedzieć.

Nagle dziewczyna odwraca się i przyłapuje Damayę na gapieniu się na nią. Uśmiecha się i puszcza do niej oko. Kiedy odwraca się z powrotem, Damaya podąża za nią w milczeniu, zbyt zdezorientowana, żeby z kimkolwiek rozmawiać.

Idą dalej przez Ogród i docierają do budynków dla żwirów, gdzie instruktorzy opuszczają ich na czas Wolnej Godziny. Dzieci rozpraszają się: niektóre idą do bufetu po jedzenie, a te, które są tu od niedawna, udają się do łóżek. Kilka najbardziej energicznych żwirów zaczyna jakąś głupią zabawę polegającą na ganianiu się wokół łóżka. Jak zwykle wszyscy ignorują Damayę.

Odwraca się więc do żwira, który nie jest żwirem.

– Kim jesteś?

– Czy na pewno właśnie o to chcesz zapytać? – Dziewczyna wygląda na autentycznie zdziwioną. Ma mniej więcej tyle lat co Damaya, jest wysoka, chuda i ma ciemniejszą skórę niż większość Sanzeńczyków, a jej włosy są ciemne i kręcone. Nosi mundurek żwira i związała włosy w ten sam sposób, w jaki robią to pozostałe dzieci. Złudzenie psuje tylko fakt, że jest tu zupełnie obca.

– To znaczy, tak naprawdę nie obchodzi cię, kim jestem, prawda? – kontynuuje, sprawiając wrażenie, jakby pierwsze pytanie Damai prawie ją uraziło. – Na twoim miejscu chciałabym wiedzieć, co tutaj robię.

Damaya patrzy na nią bez słowa. Dziewczyna rozgląda się, ściągając brwi.

– Myślałam, że zauważy mnie dużo więcej osób. W tym pokoju nie ma was zbyt wielu. Trzydziestka? To mniej niż u mnie w szkole, a ja na pewno zwróciłabym uwagę, gdyby nagle ktoś nowy pojawił się...

– Kim jesteś? – powtarza Damaya, prawie sycząc. Instynktownie nie podnosi jednak głosu, tylko chwyta dziewczynę za ramię i ciągnie ją w stronę narożnika, gdzie jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek je zauważył. Zresztą wszyscy i tak mają już za sobą długą praktykę w niezwracaniu uwagi na Damayę.

– Powiedz mi albo zawołam instruktorów.

– O, już lepiej – dziewczyna się uśmiecha. – Tego właśnie oczekiwałam! Ale mimo wszystko to dziwne, że tylko ty... – Damaya otwiera usta do krzyku, a wyraz twarzy dziewczyny nagle się zmienia.

– Mam na imię Binof! – odpowiada szybko. – Binof! A ty?

To pytanie tak idealnie wpisuje się w grzecznościowy schemat, do którego Damaya przywykła przez większość życia przed Fulcrum, że odpowiada automatycznie:

– Damaya Mocarn...

Nie myślała o swoim nazwisku użytkowym – ani o tym, że już jej ono nie dotyczy – od tak dawna, że słysząc, jak sama wymawia je na głos, jest zdziwiona.

– Damaya – poprawia się. – Co tutaj robisz? Skąd jesteś? Dlaczego...

Bezradnie wskazuje na mundur Binof, na jej włosy i na nią całą.

– Ciii. Teraz nagle chcesz zadać milion pytań? – Binof kręci głową. – Słuchaj, nie zamierzam tu zostawać i nie zamierzam przysparzać ci kłopotów. Muszę jednak wiedzieć: widziałaś gdzieś tutaj coś dziwnego? – Damaya znowu się na nią gapi, a Binof się krzywi. – Chodzi mi o miejsce. O pewnym kształcie. Tak jakby. Duże... duże coś... – Wykonuje serię skomplikowanych gestów, najwyraźniej próbując w ten sposób wyjaśnić, co ma na myśli. To kompletnie bez sensu.

A jednak nie. Nie do końca.

Fulcrum jest okrągłe. Damaya wie o tym, choć wrażenie to odnosi tylko wtedy, kiedy wspólnie z innymi żwirami przechodzi przez Ogród Pierścienia. Czarna Gwiazda majaczy na zachód od terenów Fulcrum,

a na północy Damaya widziała kompleks budynków wysokich na tyle, że wystają ponad obsydianowe ściany. (Często zastanawia się, co myślą sobie mieszkańcy tych budynków kiedy obserwują Damayę i pozostałych ze swoich okien i dachów). Co ważniejsze, Główny też jest okrągły – prawie. Damaya wałęsa się po jego ciemnych korytarzach już wystarczająco długo, żeby na widok sześciobocznego kształtu, który pokazuje dłońmi Binof, od razu wiedzieć, co ta dziwna dziewczyna ma na myśli.

Otóż ściany i korytarze Głównego nie odpowiadają jego zewnętrznym rozmiarom. Dach budynku pokrywa znajdujący się pośrodku teren, do którego nie można dostać się z części biurowej ani prywatnej; musi się tam znajdować olbrzymia pusta przestrzeń. Może jest to dziedziniec, a może teatr, choć przecież w Fulcrum znajduje się wiele innych teatrów. Damaya znalazła otaczające to miejsce ściany i szła wzdłuż nich, odkrywając, że nie są okrągłe: to proste boki stykające się pod równymi kątami. Jest ich sześć. Jeśli jednak istnieją jakieś drzwi do tego sześciokątnego pomieszczenia, to na pewno nie znajdują się w nieużywanych skrzydłach budynku – przynajmniej Damaya na żadne takie drzwi nie trafiła.

– Pokój bez drzwi – szepcze bez namysłu. Tak właśnie zaczęła nazywać w myślach tanto pomieszczenie. Binof bierze głęboki wdech i pochyła się do przodu.

– Tak. Tak! Czy właśnie tak to się nazywa? Czy to jest w tym wielkim budynku w środku Fulcrum? Tak myślałam. Tak!

Damaya rzuca jej groźne spojrzenie.

– Kim jesteś?

Dziewczyna ma rację: tak naprawdę Damaya wcale nie o to chce zapytać. Tak czy inaczej, to pytanie zawiera w sobie kilka innych.

Binof znowu się krzywi. Rozgląda się, myśli przez chwilę, porusza ustami i w końcu się odzywa:

– Binof Przywódczyni Yumenes.

Damai prawie nic to nie mówi. W Fulcrum nikt nie posiada nazwisk użytkowych ani wspólnotowych. Każdy, kto przed sprowadzeniem tutaj przez Stróża był Przywódcą, już nim nie jest. Żwirry, które urodziły się tutaj albo które przywieziono tu bardzo wcześnie, noszą imię górotwórcze, a pozostałe otrzymują je po zdaniu egzaminu pierwszego pierścienia. To wszystko.

W końcu jednak kilka elementów łączy się w całość i Damaya nagle uzmysławia sobie, że Binof nie chodzi wcale o błędnie pojmowaną wierność społecznym konwenansom, które już nie obowiązują. W przypadku Binof one obowiązują, ponieważ Binof nie jest górotworem.

To tak nieprawdopodobne i tak zwariowane, że Damai opada szczęka. Binof dostrzega w jej oczach zrozumienie i przybliża się, ścisząc głos:

– Powiedziałam ci, że nie zamierzam narobić ci kłopotów. Pójdę teraz, żeby odnaleźć ten pokój, a ciebie proszę tylko, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Chciałaś jednak wiedzieć, dlaczego tu jestem. Właśnie dlatego. To tego pokoju szukam.

Damaya zamyka usta.

– Dlaczego?

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiada Binof, a potem unosi dłonie, widząc groźne spojrzenie Damai. – To dla twojego i mojego bezpieczeństwa. Są rzeczy, o których wiedzieć powinni tylko Przywódcy, a nawet ja nie mam jeszcze do tego prawa. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że ci powiedziałam... – nagle urywa. – Nie wiem, co zrobiliby nam obu, i nie chcę się dowiedzieć.

Wyrwa. Damaya kiwa głową w zamyśleniu.

– Złapią cię.

– Pewnie tak. Ale wtedy powiem im po prostu, kim jestem. – Dziewczyna wzrusza ramionami z beztroską osoby, która nigdy w życiu nie poznała prawdziwego strachu. – Nikt się nie dowie, dlaczego tam jestem. Ktoś wezwie moich rodziców i będę miała kłopoty, ale ja tak czy inaczej ciągle mam kłopoty.

Jeśli najpierw zdołam poznać odpowiedzi na niektóre pytania, to będzie warto. A więc gdzie jest ten pokój bez drzwi?

Damaya kręci głową, natychmiast wyczuwając podstęp.

– Ja też mogę mieć przez to kłopoty. – Nie jest Przywódczynią ani nawet człowiekiem; nikt jej nie uratuje. – Powinnaś wyjść stąd tą samą drogą, którą się tu dostałaś. I to natychmiast. Jeśli nic nikomu nie powiesz, ja też tego nie zrobię.

– Nie. – Binof wygląda na zadowoloną z siebie. – Dotarcie tutaj kosztowało mnie sporo wysiłku. A poza tym i tak masz już kłopoty, bo nie zawołałaś instruktora, kiedy się zorientowałaś, że nie jestem zwirem. Teraz jesteś moją współpracowniczką. Rozumiesz?

Damaya czuje ścisk w żołądku, bo uświadamia sobie, że dziewczyna ma rację. Jest wściekła, bo Binof próbuje ją manipulować, a ona tego nienawidzi.

– Lepiej, żebym zaczęła krzyczeć teraz, niż pozwoliła ci dać się złapać później – mówiąc to, wstaje i rusza w kierunku drzwi.

Binof szybko chwyta powietrze i biegnie za nią, a potem pociąga ją za ramię i szepcze ochryplym głosem:

– Nie rób tego! Proszę... Posłuchaj, mam pieniądze. Trzy czerwone diamentowe żetony i cały aleksandryt! Chcesz pieniędzy?

Damaya z każdą chwilą jest coraz bardziej wściekła.

– A na co mi zardzewiałe pieniądze?

– W takim razie załatwię ci specjalne przywileje. Następnym razem, kiedy opuścisz Fulcrum...

– My nie opuszczamy Fulcrum – odpowiada Damaya, rzucając jej piorunujące spojrzenie i wyrywając się z jej uścisku. Jakim cudem ta nieruchoma idiotka w ogóle się tu dostała? Bram wejściowych do Fulcrum strzegą przecież strażnicy i funkcjonariusze miejskiej milicji. Zadaniem strażników jest jednak niewypuszczanie na zewnątrz górotworów, a nie zatrzymywanie nieruchomych; poza tym być może młoda, nieustraszona Przywódczyni ze swoimi pieniędzmi i przywilejami znalazłaby sposób, aby dostać się do środka, nawet gdyby przy bramie próbowano ją zatrzymać. – Przebywamy tutaj, bo to jedyne miejsce, gdzie nie zagraża nam nic ze strony takich jak ty. Wynoś się.

Nagle Damaya musi się odwrócić, zaciskając pięści i oddychając szybko, bo jest tak wściekła, że ta część jej, która wie, jak przesuwać linie uskoku, zaczyna wnikać w ziemię. To karygodny brak kontroli i Damaya modli się, żeby żaden z instruktorów tego nie wyczuł, bo wtedy nie będzie już uważana za prawie gotową do egzaminu pierwszego pierścienia. Nie mówiąc już o tym, że przy okazji mogłaby zamrozić tę dziewczynę.

Jakby tego było mało, Binof pochyla się w jej stronę i mówi:

– Och! Jesteś wściekła? Czy robisz teraz górotwórstwo? Jak to jest?

Jej pytania są tak głupie, a brak strachu tak idiotyczny, że zapędy górotwórcze Damai słabną. Nagle nie jest już wściekła, a jedynie zdziwiona. Czy wszystkie dzieci Przywódców są właśnie takie? Palela była tak małą miejscowością, że nie mieszkał tam żaden Przywódca; ludzie z tej kasty wybierają zazwyczaj miejsca, w których warto byłoby sprawować władzę. Być może tylko Przywódcy z Yumenes są tacy. A może to po prostu ta dziewczyna jest dziwna.

Jakby samo milczenie Damai stanowiło wystarczającą odpowiedź, Binof uśmiecha się i tańczy przed nią.

– Nigdy wcześniej nie miałam okazji poznać górotwora. To znaczy widziałam tych dorosłych, z pierścieniami w czarnych mundurach, ale dziewczyny takiej jak ja to nie. Nie jesteś taka przerażająca, jak mówią mędrcy. Ale z drugiej strony oni często kłamią.

Damaya kręci głową.

– Kompletnie cię nie rozumiem.

Ku jej zdumieniu Binof nagle poważnieje.

– Mówisz jak moja mama. – Na chwilę odwraca wzrok, a potem zaciska usta i spogląda na Damayę, wyraźnie zdeterminowana. – Pomożesz mi znaleźć ten pokój czy nie? A jeśli nie, to przynajmniej nikomu nic nie mów.

Mimo wszystko Damaya jest zaintrygowana – dziewczyną, perspektywą znalezienia wejścia do pokoju bez drzwi i całą tą sytuacją. Nigdy wcześniej nie wyruszała na wyprawę z kimś. To... ekscytujące. Niepewnie rozgląda się wokół, ale jakaś część jej podjęła już decyzję.

– Okej. Ale pamiętaj, że ja nie znalazłam wejścia, a myszkuję w Głównym już od kilku miesięcy.

– Główny? Tak właśnie nazywa się ten wielki budynek? Ale tak, nie jestem zdziwiona; na pewno nie jest łatwo się tam dostać. A może kiedyś było tam jakieś normalne wejście, ale teraz jest już zamknięte? – Binof drapie się po brodzie, nie dostrzegając pełnego zdziwienia wzroku Damai. – Chyba jednak wiem, gdzie powinniśmy poszukać. Widziałam jakieś stare szkice... No, w każdym razie to powinno być w południowej części budynku. Na parterze.

Niestety, południowa część nie jest opuszczona. Damaya mówi jednak:

– Wiem, jak się tam dostać.

Widok twarzy Binof, rozpromienionej na dźwięk tych słów, jest wzruszający.

Damaya prowadzi dziewczynę tą samą drogą, którą zazwyczaj chodzi sama. Dziwne, ale wydaje jej się, że zwraca na nią uwagę więcej ludzi – być może dlatego, że jest zdenerwowana. Przechodnie częściej odwracają się za nią, a kiedy w pobliżu fontanny Damaya natyka się na Instruktora Galenę, który kiedyś przyłapał ją pijaną i ocalił jej życie, nie zgłaszając jej wybryku, ten uśmiecha się i wraca do rozmowy ze swoim gadatliwym towarzyszem. To właśnie wtedy Damaya zaczyna rozumieć, dlaczego ludzie na nią patrzą: bo wiedzą o tej dziwnej, cichej dziewczynie, która ciągle gdzieś się wałęsa. Prawdopodobnie słyszeli o niej jakieś plotki i cieszą się, że wreszcie ma kogoś do towarzystwa. Myślą, że znalazła sobie koleżankę. Damaya zaśmiałaby się, gdyby prawda nie była tak mało zabawna.

– Dziwne – mówi Binof, kiedy idą obsydianową ścieżką przez jeden z mniejszych ogrodów.

– Co?

– Wydawało mi się, że wszyscy będą na nas patrzeć, a prawie nikt nie zwraca na nas uwagi. A przecież jesteśmy tu jedynymi dziećmi.

Damaya wzrusza ramionami i idzie dalej.

– Spodziewałabym się, że ktoś nas zatrzyma, zaczniesz zadawać pytania i tak dalej. Mogłybyśmy robić coś niebezpiecznego.

Damaya kręci głową.

– Jeśli stanie nam się krzywda i ktoś znajdzie nas, zanim zdążymy się wykrwawić, zabierze nas do szpitala.

A wtedy Damaya będzie miała w kartotece skazę, która prawdopodobnie uniemożliwi jej podejście do egzaminu pierwszego pierścienia. Wszystko, co teraz robi, może jej w tym przeszkodzić. Wzdycha.

– To miłe – odpowiada Binof – ale może lepszym pomysłem byłoby zatrzymać dzieci, zanim zrobią sobie krzywdę.

Damaya przystaje pośrodku ścieżki i odwraca się do Binof.

– Nie jesteśmy dziećmi – wyjaśnia zdenerwowana. Binof mruga. – Jesteśmy żwirami: Cesarskimi Górotworami w trakcie szkolenia. Tak właśnie wyglądasz, dlatego inni tak o tobie myślą. Nikogo nie obchodzi, czy dwa górotwory zrobią sobie krzywdę.

Binof gapi się na nią.

– Och.

– Poza tym, za dużo gadasz. Żwiry tyle nie gadają. Rozluźniamy się tylko w swoich salach sypialnych, i to tylko wtedy, kiedy w pobliżu nie ma instruktorów. Jeśli zamierzasz udawać jedną z nas, rób to dobrze.

– W porządku, w porządku! – Binof podnosi ręce, jakby chciała ją udobruchać. – Przepraszam, ja po prostu... – Pod wpływem groźnego wzroku Damai robi zbolałą minę. – Dobrze. Koniec gadania.

Zamyka się, więc Damaya rusza dalej.

Docierają do Głównego i wchodzą do środka tą samą drogą, z której zawsze korzysta Damaya. Tym razem kierują się jednak w prawo zamiast w lewo i idą w dół, a nie do góry. W tym korytarzu sufit znajduje się niżej, a ściany są udekorowane w sposób, jakiego Damaya nigdy wcześniej nie widziała: w równych odstępach znajdują się tutaj niewielkie freski przedstawiające przyjemne i niewinne sceny. Po chwili Damaya zaczyna się niepokoić, ponieważ coraz bardziej zbliżają się do skrzydła, którego nigdy nie zwiedzała i którego nie chce zwiedzać: skrzydła Stróżów.

– Gdzie w południowej części budynku?

– Co? – Binof, zajęta rozglądaniem się wokół siebie, jeszcze gorszym niż to nieustanne gadanie, spogląda na Damayę ze zdziwieniem. – Och. Tak... gdzieś w południowej części. – Widząc surowy wzrok Damai, dodaje: – Nie wiem gdzie! Wiem tylko, że kiedyś tam były. Czy możesz... – Porusza palcami. – Górotwory powinny umieć robić takie rzeczy.

– Co, znajdować drzwi? Nie, chyba że są w ziemi – mówiąc to, Damaya ściąga jednak brwi, bo... no cóż. W pewnym sensie mogłaby wysejszyć drzwi. Ściany nośne w dużym stopniu przypominają skałę, a framugi są jak przerwy w podłożu skalnym: to miejsca, gdzie nacisk budynku na ziemię jest mniejszy. Czy gdyby zamurowano na tym piętrze drzwi, usunięto by również framugę? Być może. Ale czy nawet wtedy tego miejsca nie czułoby się w inny sposób?

Damaya odwraca się już, rozsuwając palce jak zawsze, kiedy próbuje powiększyć swoją strefę kontroli. Pod ziemią w salach do nauki Górotwórstwa Stosowanego znajdują się znaczki: niewielkie bloki marmuru z wrytymi na powierzchni słowami. Potrzeba niezwykle dużej kontroli, żeby nie tylko znaleźć te bloki, ale również odczytać słowa; to jak przesuwaczką językiem po stronie książki i rozpoznawać tekst na podstawie różnic w smaku papieru i atramentu. Ale ponieważ Damaya bez końca robiła to pod okiem instruktorów, dochodzi do wniosku, że to samo mogłaby zrobić teraz.

– Czy robisz górotwórstwo? – pyta podekscytowana Binof.

– Tak, ale zamknij się, inaczej przypadkowo cię zamrozę. – Na szczęście Binof spełnia jej polecenie, choć sejszenie nie jest górotwórstwem i nie grozi zamrożeniem kogokolwiek. Damaya po prostu cieszy się jej milczeniem.

Po omacku porusza się wzdłuż ścian budynku. W porównaniu z prawdziwą skałą są one ledwie wyczuwalne, ale zachowując ostrożność, potrafi je wyczuć. W niektórych miejscach wzdłuż wewnętrznych ścian otaczających ukryte pomieszczenie – dokładnie tutaj, tutaj i tutaj – czuje, że są one... przerwane. Bierze głęboki wdech i otwiera oczy.

– I co? – Binof praktycznie się ślini.

Damaya odwraca się i rusza wzdłuż jednej ze ścian. Kiedy dociera do właściwego miejsca, zatrzymuje się i widzi przed sobą drzwi. Otwarcie pokoju w używanej części budynku byłoby ryzykowne; to prawdopodobnie czyjeś biuro. Korytarz jest cichy i pusty, ale pod niektórymi drzwiami Damaya widzi światła, co oznacza, że przynajmniej kilka osób pracuje do późna. Najpierw więc puka. Kiedy nikt nie odpowiada, bierze głęboki oddech i naciska klamkę. Zamknięte.

– Poczekaj – mówi Binof, grzebiąc w kieszeniach. Po chwili znajduje coś, co wygląda jak przyrząd, którego Damaya używała kiedyś do wyciągania kawałków skorup z orzechów kurge rosnących w sadzie jej rodziców. – Czytałam, jak to się robi. Mam nadzieję, że to prosty zamek.

Zaczyna poruszać narzędziem w dziurce od klucza, a na jej twarzy maluje się skupienie.

Damaya czeka przez chwilę, opierając się swobodnie o ścianę, nasłuchując wszelkich potencjalnych głosów oraz sejsząc wibracje kroków oraz, co byłoby najgorsze, szum nadchodzącego Stróża. Jest już jednak po północy i nawet najbardziej sumienni pracownicy szykują się do snu w swoich biurach albo opuszczają budynek, więc nikt nie przeszkadza dwóm dziewczynom przez ten boleśnie długi czas, kiedy Binof próbuje się zorientować, jak działa jej przyrząd.

– Wystarczy – oznajmia w końcu Damaya. Jeśli ktokolwiek je tu przyłapie, ona już się z tego nie wywinie. – Przyjdziemy jutro i spróbujemy ponownie...

– Nie mogę – mówi Binof. Poci się i drżą jej ręce, co wcale nie pomaga. – Wymknęłam się niańkom na jedną noc, ale więcej razy to nie zadziała. Przed chwilą prawie mi się udało. Daj mi jeszcze minutę.

Damaya czeka więc, coraz bardziej niecierpliwa, aż w końcu rozlega się kliknięcie, a Binof robi zdziwioną minę.

– Czy to było to? Chyba tak! – Pociąga za klamkę, a drzwi się otwierają. – Na płonące pierdy Ziemi, udało się!

Pomieszczenie za drzwiami to rzeczywiście czyjś gabinet: są tam dwa krzesła z wysokimi oparciami, biurko i regały z książkami na ścianach. Biurko jest nietypowo duże, a krzesła mają misterne wykończenie: pracuje tu ktoś ważny. Po tyłu mieszkańca zwiedzania nieużywanych pomieszczeń w starych skrzydłach budynku wejście do gabinetu, z którego ktoś aktualnie korzysta, jest dla Damai dużym przeżyciem. Nie ma tutaj kurzu, a lampy się palą, choć je przygaszono. Wszystko to jest dziwne.

Binof rozgląda się ze zmarszczonym czołem; w gabinecie nie widać żadnych innych drzwi. Damaya mija ją i podchodzi do czegoś, co wygląda jak szafa. Otwiera ją, a w środku dostrzega jedynie szczotki i czarny mundur na zmianę.

– To wszystko? – pyta Binof i przeklina głośno.

– Nie – Damaya sejszy, że gabinet jest zbyt krótki w stosunku do szerokości budynku. Szafa nie jest na tyle głęboka, żeby zrównoważyć tę różnicę.

Damaya ostrożnie sięga za szczotki i popycha ścianę. Nic się nie dzieje, to solidny mur z cegieł. Cóż, warto było spróbować.

– Ach, no tak. – Binof wpycha się obok niej i maca ściany wokół siebie, odsuwając na bok zapasowy mundur. – W tych starych budynkach zawsze są ukryte drzwi prowadzące do magazynów albo...

– W Fulcrum nie ma magazynów – zanim Damaya wypowiada to zdanie do końca, uświadamia sobie, że nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Co przywódcy Fulcrum zrobiliby, gdyby zaczęła się Piąta Pora Roku? Nie wydaje jej się, by mieszkańcy Yumenes chcieli dzielić się żywnością z tłumem górotworów.

– Ach – krzywi się Binof. – No dobrze. Ale Fulcrum znajduje się przecież w Yumenes. A w Yumenes zawsze...

Nagle urywa, a oczy jej się rozszerzają, kiedy trafia palcami na poluzowaną cegłę. Uśmiecha się i popycha jeden jej koniec, a potem chwytą za drugi i wyciąga całą cegłę ze ściany. Pod spodem znajduje się klamka, wykonana najwyraźniej z żelaza.

– ...zawsze pod powierzchnią dzieje się coś innego – kończy.

Damaya przybliżyła się do niej.

– Pociągnij.

– Teraz to ty jesteś ciekawa? – Binof kładzie jednak dłoń na klamce i naciska ją.

Cała tylna ściana szafy porusza się, odsłaniając dodatkową przestrzeń wyłożoną takimi samymi cegłami. Wąski tunel zakręca niemal od razu, prowadząc w ciemność.

Damaya i Binof patrzą w tamtą stronę, ale żadna nie wykonuje pierwszego kroku.

– Co tam jest? – szepcze Damaya.

Binof oblizuje wargi, wpatrując się w ciemny tunel.

– Nie jestem pewna.

– Gówno prawda – mówienie w taki sposób, w jaki mówią upierścienieni dorośli, sprawia Damai wstydliwą przyjemność. – Przyszedł tu w nadziei, że coś znajdziesz.

– Zobaczmy najpierw... – Binof próbuje przecisnąć się obok, ale Damaya chwyta ją za rękę. Binof wzdryga się, napinając mięśnie i spoglądając na nią z urazą. Damayę nic to nie obchodzi.

– Nie. Powiesz mi, czego szukasz, albo zamknę za tobą te drzwi i wywołam wstrząs, który zawali ściany i cię tam uwięzi. A potem pójdę po Stróżów. – To blef. Nieuprawnione użycie górotwórstwa pod nosem Stróżów i powiedzenie im o tym byłoby najgłupszą rzeczą na świecie. Ta dziewczyna jednak tego nie wie.

– Mówiłam ci, że tylko Przywódcy mogą o tym wiedzieć! – próbuje zbyć ją Binof.

– Jesteś Przywódczynią; zmień tę zasadę. Czy nie tym właśnie się zajmujecie?

Binof gapi się na nią. Przez dłuższą chwilę milczy. Następnie wzdycha i pociera oczy, a jej ramię się rozluźnia.

– Dobra. W porządku. – Bierze głęboki oddech. – Tam, w sercu Fulcrum, znajduje się jakiś artefakt.

– Artefakt?

– Nie wiem dokładnie, co to jest. Naprawdę! – Binof unosi ręce, uwalniając się przy tym, ale Damaya nie próbuje z powrotem jej schwytać. – Wiem tylko, że... w historii czegoś brakuje. Jest w niej dziura, luka.

– Co?

– W historii. – Binof patrzy na Damayę, jakby miało to coś znaczyć. – No wiesz, w tym czego uczą cię nauczyciele. O tym, jak powstało Yumenes.

Damaya kręci głową. W szkole dowiedziała się tylko tyle, że Yumenes jest najstarszym miastem Starego Sanze. Być może Przywódcy otrzymują lepsze wykształcenie.

Binof wywraca oczami, ale tłumaczy:

– Trwał wtedy Sezon. Rozpoczął się tuż po utworzeniu Imperium i nazwano go Tułaczym: ziemia na północy nagle się przesunęła i utraciono wszystkie uprawy, bo ptaki i owady nie mogły znaleźć pól. Potem na większości obszarów władzę przejęli watażkowie, co dzieje się zawsze po Piątej Porze Roku. Ludzie kierowali się wtedy wyłącznie mądrościami kamieni, pogłoskami i uprzedzeniami. I to właśnie z powodu plotek bardzo długo nikt nie zamieszkiwał tej okolicy – mówiąc to, wskazuje na podłogę. – Yumenes stanowiło idealne miejsce na utworzenie miasta: dobra pogoda, środek płyty tektonicznej, dostęp do wody, daleko od oceanu i tak dalej. Ale ludzie od wieków bali się tego miejsca, bo coś tutaj było.

Damaya nigdy nie słyszała czegoś podobnego.

– Ale co?

Binof wygląda na zdenerwowaną.

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć! Bo właśnie tego brakuje. Historia Cesarstwa rozpoczyna się po Sezonie Tułaczym. Sezon Szaleństwa przyszedł niedługo później, a watażka Verishe – Cesarzowa Verishe, pierwszy władca – utworzyła wtedy Sanze. Dała początek Imperium w miejscu, którego wszyscy się obawiali, i zbudowała miasto wokół przedmiotu wzbudzającego ten lęk. W pierwszych latach tak naprawdę pomogło to Yumenes w utrzymaniu bezpieczeństwa. A później, kiedy Imperium było już silniejsze, gdzieś pomiędzy Sezonem Zęba a Sezonem Duszenia, utworzono tutaj Fulcrum. Celowo. Ponad tym czymś, czego się bali.

– Ale czego... – Damaya przerywa, nagle rozumiejąc. – Historia nie mówi, czego się bali.

– Dokładnie. I ja myślę, że to coś jest tutaj – mówi Binof, wskazując otwarte drzwi.

– A dlaczego tylko Przywódcy mają prawo o tym wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Dlatego tu jestem. Idziesz ze mną czy nie?

Zamiast odpowiedzieć, Damaya mija Binof i rusza korytarzem o ceglanych ścianach. Binof przeklina i się z nią zrównuje.

Tunel prowadzi do olbrzymiej, ciemnej przestrzeni. Damaya zatrzymuje się, kiedy tylko czuje wokół siebie ogrom powietrza; jest tu zupełnie ciemno, ale wyczuwa kształt ziemi przed sobą. Chwyta Binof, która – jak idiotka! – prze naprzód wbrew ciemności, i mówi:

– Czekał. Ziemia przed nami jest czymś ściśnięta.

Odzywa się szeptem, bo tak właśnie robi się w mroku. Jej głos wraca echem po dłuższej chwili. To bardzo duże pomieszczenie.

– Ściśnięta?

– Tak – Damaya próbuje to wyjaśnić, ale trudno jest tłumaczyć nieruchomym takie rzeczy. Inny górtnwór po prostu by to wiedział. – Tak jakby... jakby leżało tu coś ciężkiego – Coś jak góra. – Warstwy podłoża są zdeformowane i... jest tam jakaś wklęsłość. Wielka dziura. Wpadłabyś w nią.

– Kurwa rdza – szepcze Binof. Damaya prawie się wzdyga, choć pod nieobecność instruktorów co bardziej wulgarne zwiry wyrażają się czasem jeszcze gorzej. – Potrzebujemy światła.

Światła pojawiają się na podłodze przed nimi, jedno po drugim. Włączeniu każdego z nich towarzyszy ciche kliknięcie, które również odbija się echem. To małe okrągłe i białe lampki biegnące w dwóch równoległych liniach, a także znacznie większe, prostokątne i maślanożółte, które rozchodzą się na boki. Te żółte płytki tworzą powoli olbrzymi sześciobok i stopniowo oświetlają przepastne atrium o sześciu ścianach, osłonięte dachem Głównego. Sufit znajduje się tak wysoko, że ledwie widać rozchodzące się stamtąd wsporniki. Pozbawione zdobień ściany wykonano z tego samego gładkiego kamienia co resztę Głównego, za to większa część posadzki w tym pomieszczeniu pokryta została asfaltem albo czymś bardzo podobnym – płaskim, przypominającym kamień, lekko chropowatym i wytrzymałym.

Na środku rzeczywiście znajduje się wgłębienie. Zresztą mało powiedziane: zięje tam olbrzymia, zwężająca się dziura o płaskich ścianach i gładkich, idealnie prostych krawędziach – jest ich sześć i wyglądają, jakby precyzyjnie wycięto je w diamencie.

– Na Złą Ziemię – szepcze Damaya, zbliżając się oświetlonym chodnikiem do miejsca, gdzie żółte lampki wydobywają z mroku kształt dziury.

– Żebyś wiedziała – stwierdza Binof, tak samo wstrząśnięta.

Otwór jest stromy i głęboki na kilka pięter. Gdyby Damaya wpadła do środka, stoczyłaby się po jego ścianie i prawdopodobnie połamala na dnie wszystkie kości. Kształt dziury nie daje jej jednak spokoju. Zwęża się ona ku pojedynczemu punktowi na dole. Nikt nie wykopuje w ziemi takich otworów. Po co ktokolwiek miałby to robić? Wydostanie się stamtąd, nawet za pomocą drabiny, byłoby właściwie niemożliwe.

Ale z drugiej strony nikt nie wykopał tej dziury. Damaya to sejszy: coś olbrzymiego wybiło ją po prostu w ziemi i przebywało tam tak długo, że ściany stały się zupełnie gładkie. A potem to coś uniosło się gładko, jak nasmarowane masłem, pozostawiając po sobie jedynie swój kształt.

Choć zaraz: ściany otworu nie są w całości gładkie. Damaya kuca, żeby lepiej im się przyjrzeć, podczas gdy Binof stoi obok niej, tylko się gapiąc.

Tam: wzdłuż każdego gładkiego zbocza widać cienkie, ledwie widoczne wypustki. Igły? Wystają z pęknięć w gładkich ścianach, rozmieszczone przypadkowo jak korzenie drzew. Wykonane są z żelaza; Damaya czuje w powietrzu zapach rdzy. Jej wcześniejsze wyobrażenie było błędne: gdyby wpadła w tę dziurę, zostałaby poćwiartowana jeszcze przed dotarciem na dno.

– Nie tego się spodziewałam. – Binof wypuszcza w końcu powietrze z płuc. Mówi szeptem, prawdopodobnie ze strachu. – Wielu rzeczy, ale nie... czegoś takiego.

– Co to jest? – pyta Damaya. – Do czego to służy?

Binof powoli kręci głową.

– To powinno być...

– Ukryte – odzywa się jakiś głos za ich plecami, a wtedy obie podskakują. Damaya stoi bliżej krawędzi otworu w ziemi, a kiedy się potyka, przez jedną przerażającą chwilę jest przekonana, że spadnie. Rozluźnia się jednak i nie próbuje pochylać się do przodu, łapać równowagi ani robić czegokolwiek, co mogłoby pozwolić jej uniknąć katastrofy. Czuje się ciężka, a ze znajdującego się za nią otworu bije jakaś nieuchronność.

Binof chwytą ją za rękę i pociągają do przodu, a wtedy Damaya uświadamia sobie, że znajdowała się dobry metr od przepaści. Spadłaby tylko wtedy, gdyby sama sobie na to pozwoliła. To tak dziwne, że prawie zapomina, dlaczego omal nie spadła, a wtedy oświetlonym chodnikiem nadchodzi Stróżka.

Jest wysoka, opalona i szeroka w ramionach; ma dość ładne rysy twarzy i popiołowe włosy spięte w najeżony kok. Wydaje się starsza niż Schaffa, choć trudno to stwierdzić; ma gładką skórę, a wokół oczu w kolorze miodu nie rozchodzą się kurze łapki. Jej obecność wydaje się po prostu... jakby cięższa. Jej uśmiech stanowi natomiast to samo połączenie spokoju i groźby, które Damaya widziała u wszystkich innych napotkanych Stróżów.

„Powinnam obawiać się tylko wtedy, jeśli uzna mnie za niebezpieczną”, myśli.

Pytanie jednak brzmi: czy górotwór, który chodzi tam, gdzie nie powinien, jest niebezpieczny? Damaya oblizuje wargi i próbuje nie wyglądać na przerażoną.

Binof wodzi wzrokiem pomiędzy Damayą, kobietą, dziurą w ziemi i drzwiami. Damaya chce jej powiedzieć, żeby zapomniała o tym, o czym myśli – czyli najprawdopodobniej o ucieczce. Ze Stróżem to nie przejdzie. Binof nie jest jednak górotworem; być może ją to ocali, nawet jeśli zrobi coś głupiego.

– Damayu – odzywa się kobieta, choć Damaya nigdy wcześniej jej nie widziała. – Schaffa będzie zawiedziony.

– Ona jest ze mną – wypala Binof, zanim Damaya zdąży cokolwiek odpowiedzieć. Damaya spogląda na nią z zaskoczeniem, ale Binof mówi dalej, bo kiedy już zaczęła, to nic jej nie powstrzyma. – Ja ją tutaj przyprowadziłam. Kazałam jej tu przyjść. Nie wiedziała nawet o tych drzwiach i o tym... miejscu... dopóki jej nie powiedziałam.

Damaya chce wyjaśnić, że to nieprawda, bo przecież domyślała się, że to miejsce istnieje, nie wiedziała tylko, jak je znaleźć. Stróżka spogląda jednak na Binof z zainteresowaniem, a to pozytywny znak, bo nikomu nie zламаła jeszcze ręki.

– A kim ty właściwie jesteś? – pyta z uśmiechem. – Nosisz mundur, jednak domyślałam się, że nie należysz do górotworów.

Binof porusza się niespokojnie, jakby zapomniała, że odgrywa rolę małego i zagubionego żwira.

– Och. Ekhm. – Prostuje się i unosi głowę. – Nazywam się Binof Przywódczyni Yumenes. Proszę wybaczyć to najście, Stróżko; miałam kilka pytań, które wymagały odpowiedzi.

Damaya zwraca uwagę, że Binof mówi to w inny sposób: jej głos jest stabilny, a postawa nie tyle wyniosła, co poważna. Jakby od znalezienia odpowiedzi na jej pytania zależał los całego świata. Jakby nie była wcale rozpieszczoną dziewczyną z wysoko postawionej rodziny, która spontanicznie postanowiła zrobić coś głupiego.

Stróżka zatrzymuje się, przekrzywiając głowę, a uśmiech natychmiast znika jej z twarzy.

– Przywódczyni Yumenes? – Nagle cała się rozpromienia. – To cudownie! Ach, taka młoda, a już masz nazwisko wspólnotowe. Miło cię widzieć, Binof Przywódczyni. Gdybyś uprzedziła nas o swojej wizycie,

pokazalibyśmy ci to, czego szukasz.

Słyszając tę przyganę, Binof lekko się krzywi.

– Chciałam po prostu zobaczyć to sama. Być może nie było to rozsądne, ale moi rodzice wiedzą już zapewne, że tu jestem, dlatego śmiało może pani z nimi o tym porozmawiać.

Damaya ze zdziwieniem stwierdza, że to sprytne zagranie – dotychczas nie uważała Binof za sprytną. Zapewnienie, że inni wiedzą, dokąd poszły, może im pomóc.

– Tak zrobię – odpowiada Stróżka, a potem uśmiecha się do Damai, sprawiając, że zaciska się jej żołądek. – Pomówię również z twoim Stróżem, wszyscy razem sobie porozmawiamy. To byłoby wspaniałe, prawda?

Odchodzi na bok i pochyla się nieznacznie, zapraszając gestem, aby poszły pierwsze, i choć sprawia wrażenie uprzejmej, obie dziewczyny wiedzą, że nie jest to prośba.

Stróżka wyprowadza je z pomieszczenia. Wchodzą z powrotem do tunelu, a światła za nimi gasną. Kiedy drzwi gabinetu zostają zamknięte na klucz, a one kierują się do skrzydła Stróżów, kobieta dotyka ramienia Damai, zatrzymując ją, podczas gdy Binof pokonuje jeszcze krok czy dwa. W końcu ona również przystaje i ogląda się, zdziwiona, a wtedy Stróżka mówi do Damai:

– Poczekaj tu, proszę.

I podchodzi do Binof.

Binof spogląda na Damayę, być może próbując przekazać jej coś wzrokiem. Damaya odwraca się i nie odczytuje wiadomości, kiedy Stróżka prowadzi dziewczynę korytarzem, a potem znika z nią za jakimiś drzwiami. Binof narobiła już wystarczająco dużo kłopotów.

Damaya oczywiście czeka. Nie jest głupia. Stoi przed wejściem do użytkowanego skrzydła; pomimo późnej godziny inni Stróże pojawiają się tu co jakiś czas i na nią patrzą. Damaya nie odwzajemnia spojrzeń i najwyraźniej ich to zadowala, bo żaden z ich jej nie zaczepia.

Po kilku chwilach Stróżka, która przyłapała je w komnacie z dziurą w ziemi, wraca i prowadzi Damayę przez drzwi, delikatnie trzymając dłoń na jej ramieniu.

– No dobrze. Porozmawiajmy. Posłałam już po Schaffę; na szczęście jest w mieście, a nie na objeździe, jak zwykle. Jednak zanim tutaj dotrze...

Za drzwiami znajduje się duże pomieszczenie z dywanem na podłodze i wieloma małymi biurkami. Niektóre są zajęte, a inne nie, natomiast ludzie, którzy poruszają się pomiędzy nimi, mają na sobie czarno-burgundowe mundury. Zaledwie kilku z nich nosi ubrania cywilne. Damaya patrzy na to wszystko zafascynowana, aż w końcu Stróżka kładzie jej rękę na głowie i delikatnie, ale stanowczo, obraca dziewczynę w kierunku drzwi.

Damaya zostaje poprowadzona do niewielkiego gabinetu, który mieści się na końcu tego pomieszczenia. Biurko jest tu zupełnie puste, a powietrze wydaje się lekko zatęchłe. Po obydwu stronach biurka znajdują się krzesła, Damaya zajmuje więc to przeznaczone dla gości.

– Przepraszam – mówi, kiedy Stróżka siada z drugiej strony. – Ja... ja w ogóle nie pomyślałam.

Stróżka kręci głową, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

– Dotykałaś któregoś z nich?

– Słucham?

– W gnieździe. – Stróżka nadal się uśmiecha, ale oni bez przerwy to robią i nic to nie znaczy. – Widziałaś wypustki w ścianach gniazda. Nie byłaś ich ciekawa? Jedna z nich znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

„Gniazdo?” Ach tak, chodzi jej o te stalowe igły wystające ze ścian.

– Nie, nie dotykałam żadnej z nich.

„Ale gniazdo czego?”

Stróżka pochyła się do przodu, a uśmiech natychmiast znika z jej twarzy. Nie próbuje zastąpić go żadnym innym grymasem. Jej twarz staje się nieruchoma.

– Czy to cię wołało? Czy odpowiedziałaś?

Coś jest nie tak. Damaya czuje to, nagle i instynktownie, a słowa więzną jej w gardle. Stróżka nawet brzmi inaczej: jej głos jest głębszy i bardziej miękki, prawie jak szept – jakby nie chciała, żeby ktokolwiek inny ją usłyszał.

– Co to do ciebie powiedziało? – Stróżka wyciąga rękę i Damaya natychmiast posłusznie podaje jej własną, choć wcale tego nie chce. Robi to tylko dlatego, że Stróżów należy słuchać. Kobieta chwyta jej dłoń i odwraca ją ku górze, wodząc kciukiem po długiej bruździe. Po linii życia. – Możesz mi powiedzieć.

Damaya kręci głową, skołowana.

– Ale co miało do mnie mówić?

– Jest wściekłe – głos kobiety staje się jeszcze niższy i bardziej monotony, a Damaya uświadamia sobie, że nie chodzi wcale o strach przed byciem podsłuchaną. Stróżka mówi inaczej, bo... to nie jest jej głos. – Wściekłe i... wystraszone. Słyszę, jak zbierają się i rosną, słyszę ich złość i ich strach. Słyszę, jak przygotowują się na czas powrotu.

To tak jakby... jakby ktoś inny znajdował się w środku Stróżki i mówił, używając jej ust, strun głosowych oraz wszystkiego innego. Wypowiadając te słowa, kobieta zaciska rękę na dłoni Damai. Jej kciuk, dotykający dokładnie tego miejsca, gdzie półtora roku wcześniej Schaffa połamał Damai kości, zaczyna naciskać, a Damaya nagle drętwieje, podczas gdy jakaś jej część myśli: „Nie chcę znowu zostać skrzywdzona”.

– Powiem ci wszystko, co chcesz – obiecuje, ale Stróżka nadal uciska jej dłoń. Jakby w ogóle tego nie słyszała.

– Poprzednim razem zrobiło to, co musiało zrobić. – Jeszcze silniejszy ucisk. W przeciwieństwie do Schaffy, Stróżka ma długie paznokcie; ten na kciuku zaczyna wbijać się w ciało Damai. – Przesączyło się przez ściany i skaziło ich czyste stworzenie, wykorzystało ich, zanim oni zdążyli wykorzystać to. Kiedy utworzono tajemne połączenia, zmieniło tych, którzy je kontrolowali. Połączyło ich, los z losem.

– Proszę, nie – szepcze Damaya. Jej dłoń zaczyna krwawić. Niemal w tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi. Kobieta ignoruje jedno i drugie.

– To ja sprawiłam, że są tego częścią.

– Nie rozumiem – odpowiada Damaya. Bardzo ją boli. Dziewczynka trzęsie się, czekając, aż kość pęknie.

– Liczyłam na sojusz. Na kompromis. A zamiast tego bitwa... przybrała jeszcze większe rozmiary.

– Nie rozumiem! Mówisz bez sensu! – Damaya nie powinna podnosić głosu na Stróża i wie o tym, ale to jest nie w porządku. Schaffa obiecał jej, że skrzywdzi ją, tylko jeśli będzie miał po temu ważny powód. Wszyscy Stróże kierują się tą zasadą; Damaya wie o tym, bo widziała, jak postępują z innymi żwirami i upierścienionymi górotworami. Życie w Fulcrum płynie ustalonym rytmem, a ta kobieta go łamie. – Puść mnie! Zrobię wszystko, co chcesz, tylko mnie puść!

Drzwi otwierają się i do środka wpada Schaffa. Damaya zamiera, ale on wcale na nią nie patrzy. Wpatruje się w Stróżkę, która trzyma rękę Damai. Kiedy za nią staje, wcale się nie uśmiecha.

– Timay. Panuj nad sobą.

– Teraz przemawia tylko po to, aby nas ostrzec – ciągnie kobieta. – Następnym razem nie będzie żadnego kompromisu...

Schaffa wzdycha cicho, a potem naciska palcami tył głowy Timay.

Z miejsca, w którym siedzi Damaya, nie widać, co robi. Dziewczynka dostrzega tylko jakiś nagły ruch, a potem głowa Timay gwałtownie pochyła się w przód. Kobieta wydaje z siebie dźwięk tak ochrypły i gardłowy, że niemal obsceniczny, a jej oczy się rozszerzają. Schaffa pociąga ręką z beznamiętnym wyrazem twarzy, a po szyi Timay zaczynają spływać pierwsze czerwone strużki. Krew wsiąka w jej bluzę i kapie na uda. Jej dłoń natychmiast się rozluźnia, a twarz wiotczeje.

Damaya zaczyna krzyczeć. Krzyczy do momentu, w którym Schaffa ponownie kręci dłonią, a nozdrza rozszerzają mu się z wysiłku; odgłosu pękających kości i zrywanych ścięgien z niczym nie da się pomylić. Następnie Schaffa unosi dłoń, pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym trzymając jakiś mały, zakrwawiony przedmiot. Timay upada na twarz i Damaya widzi krwawą masę, która kiedyś była jej czaszką.

– Bądź cicho, maleńka – mówi spokojnie Schaffa i Damaya milknie.

Kolejny Stróż wchodzi do środka, spogląda na Timay, a potem na Schaffę. Wzdycha:

– Niestety.

– Niestety – potwierdza Schaffa i podaje zakrwawiony przedmiot mężczyźnie, który ostrożnie kładzie go sobie na dłoni. – Chciałbym się tego pozbyć – dodaje, wskazując na ciało Timay.

– Tak. – Mężczyzna wychodzi z tym czymś, co Schaffa wyjął z ciała Timay, po czym w pomieszczeniu pojawiają się dwaj inni Stróże. Również wzdychają, a następnie podnoszą zwłoki z krzesła. Wynoszą je na zewnątrz, a jeden z nich zatrzymuje się jeszcze i wyjmuje chustkę, żeby wytrzeć krew ze stołu w miejscu, gdzie upadła głowa Timay. Wszystko to dzieje się bardzo sprawnie. Schaffa siada na miejscu Timay, a Damaya podnosi wzrok tylko dlatego, że musi. Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu.

– Pokaż – odzywa się Schaffa, a ona podaje mu rękę. Zdziwiałe, ale dłoń wcale jej nie drży.

Mężczyzna chwytą ją lewą ręką – tą, która wciąż jest czysta, bo drugą wyrwał z głowy Timay pień mózgu. Obraca dłoń Damai, uważnie ją oglądając i krzywiąc się na widok krwi w miejscu, gdzie paznokieć Timay przebił jej skórę. Pojedyncza kropla krwi Damai odrywa się od jej dłoni i kapie na stół w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się krew Timay.

– Dobrze. Bałem się, że zrobiła ci większą krzywdę.

– Cc... – zaczyna Damaya. Nie jest w stanie wykrztusić nic więcej.

Schaffa uśmiecha się ze smutkiem.

– Coś, czego nie powinnaś była widzieć.

– Ale co? – wypowiedzenie tego wymaga od niej wysiłku dziesięciopierścienika.

Schaffa myśli przez chwilę, a potem odpowiada:

– Wiesz, że my, Stróże, jesteśmy... inni. – Uśmiecha się, jakby chciał przypomnieć jej w ten sposób, jak bardzo są inni. Wszyscy Stróże dużo się uśmiechają.

Damaya w milczeniu kiwa głową.

– Istnieje pewien... zabieg. – Mężczyzna na chwilę puszcza jej dłoń i dotyka własnej głowy ukrytej pod lawiną długich czarnych włosów. – Przeprowadza się go na nas, żebyśmy mogli stać się tym, kim jesteśmy. Polega to na wszczepieniu implantu. Czasami zabieg przebiega niepomyślnie i implant trzeba usuwać, czego właśnie byłaś świadkiem. – Wzrusza ramionami. Jego prawa ręka nadal jest umazana krwią. – Połączenie Stróżów z przypisanymi im górotworami pozwala częściowo odsunąć od siebie to niebezpieczeństwo, ale Timay to zaniedbała. Była głupia.

Zimna stodoła w Nomidlatach; chwila pozornej czułości; dwa ciepłe palce przytknięte do podstawy czaszki Damai. „Najpierw obowiązki”, powiedział wtedy. I jeszcze: „Coś, co pomoże mi cię znaleźć, gdybyś się zgubiła”.

Damaya oblizuje wargi.

– Ona... ona była... Mówiła takie rzeczy. Bez sensu.

– Słyszałem część z tego, co mówiła.

– Ona nie była... sobą – teraz to Damaya mówi bez sensu. – Nie była już tym, kim wcześniej. To znaczy, była kimś innym. I mówiła tak, jakby... jakby był tam ktoś inny. – W jej głowie. W jej ustach. – Mówiła o jakimś gnieździe. I o czymś, co „jest wściekłe”.

Schaffa unosi głowę.

– Na Ojca Ziemię, oczywiście. To częste przywidzenie.

Damaya mruga.

– Ale co? Co jest wściekłe? Co?

– Masz rację, Tamaya nie była już sobą. Przykro mi, że cię zraniła. Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć. Przykro mi, maleńka – w jego głosie brzmi szczerzy żal, a na twarzy widać takie współczucie, że Damaya robi coś, czego nie robiła od czasu tamtego zimnego wieczoru w stodole w Nomidlatach: płacze.

Po chwili Schaffa wstaje, okrąża stół i podnosi Damayę, a potem siada na krześle, bierze ją na kolana i pozwala płakać sobie w rękaw. Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem, a Stróże, jeśli niczym ich nie rozzłości, jako jedyni mogą zapewnić ci pewne poczucie bezpieczeństwa. Damaya płacze więc bardzo długo, nie tylko z powodu tego, co dzisiaj widziała. Płacze, ponieważ jest tak niewypowiedzianie samotna, a Schaffa... no cóż. Na swój czuły i przerażający sposób Schaffa ją kocha. Damaya nie przejmuje się krwawym śladem, jaki jego prawa ręka pozostawia na jej biodrze, ani dotykiem jego palców – tak silnych, że mogą zabić – na skórze jej głowy. W szerszej perspektywie to wszystko jest nieważne.

Kiedy największa fala smutku przemija, Schaffa głaszcze ją po plecach czystą dłonią.

– Jak się czujesz, Damayu?

Damaya nie odrywa głowy od jego ramienia. Męczyzna pachnie potem, skórą i żelazem, czyli tym wszystkim, co Damaya zawsze już będzie kojarzyć z bezpieczeństwem.

– Nic mi nie jest.

– To dobrze. Bo chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Co takiego?

Schaffa delikatnie przyciska ją do siebie.

– Zaprowadzę cię do jednej z donic, gdzie podejdziesz do egzaminu pierwszego pierścienia. Chcę, żebyś go dla mnie zdała.

Damaya ściąga brwi i unosi głowę. Schaffa uśmiecha się do niej z czułością. Ona rozumie jednak, że ma to być sprawdzian czegoś więcej niż tylko jej górotwórstwa. Większość roggów dowiaduje się o egzaminie z wyprzedzeniem, żeby mogli się do niego przygotować. Ona ma poddać się testowi już teraz, bez ostrzeżenia, bo to jej jedyna szansa. Okazała się nieposłuszna. Niegodna zaufania. Dlatego też będzie musiała udowodnić, że jest użyteczna. Jeśli jej się to nie uda...

– Chcę, żebyś żyła, Damayu. – Schaffa dotyka jej czoła własnym. – Dobre dziecko. Moje życie przepełnione jest śmiercią. Proszę, zdaj dla mnie ten test.

Tak wielu rzeczy chciałaby się dowiedzieć. O czym mówiła Timay? Co czeka Binof? Czym jest gniazdo i dlaczego znajduje się w ukryciu? Co rok temu stało się z Wyrwą? Dlaczego w ogóle Schaffa daje jej tę szansę? Życie w Fulcrum biegnie ustalonym rytmem, a ona zajmuje w nim określone miejsce i nie powinna kwestionować decyzji Stróży.

Ale...

Odwraca głowę i spogląda na pojedynczą kroplę swojej krwi na stole.

To jest nie w porządku.

– Damayu?

To, co jej robią, jest nie w porządku. Tak samo jak to, co ten budynek robi z osobami znajdującymi się w środku. I tak jak to, do czego Schaffa zmusza ją, aby mogła przeżyć.

– Czy zrobisz to? Dla mnie?

Damaya nadal go kocha. To też jest nie w porządku.

– Jeśli zdam... – Damaya zamyka oczy. Nie może patrzeć na niego, kiedy to mówi. W przeciwnym razie zobaczyłby w jej oczach, że to wszystko jest nie w porządku. – Ja... wybrałam dla siebie imię roggi.

Schaffa nie łąja ją za ten język.

– Wybrałaś już? – wydaje się zadowolony. – Jakie?

Dziewczynka oblizuje wargi.

– Sjenit.

Schaffa opiera się wygodniej, zamyślony.

– Podoba mi się.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Przecież to ty je wybrałaś – śmieje się, ale w miły sposób. Do niej, a nie z niej. – Sjenit tworzy się na skraju płyty tektonicznej. Pod wpływem temperatury i ciśnienia nie niszczy, ale staje się mocniejszy.

On rozumie. Damaya przygryza wargę i czuje, że w oczach zbierają jej się nowe łzy. To nie w porządku, że go kocha, ale wiele rzeczy na świecie jest nie w porządku. Dlatego powstrzymuje łzy i podejmuje decyzję. Płacz jest oznaką słabości. Damaya płakała. Sjenit będzie silniejsza.

– Zrobię to – mówi. – Zdam ten egzamin dla ciebie, Schaffo. Obiecuję.

– Moja dziewczynka – odpowiada Schaffa i uśmiecha się, przytulając ją mocniej.

[ukryte] ci, którzy zbyt blisko dopuszczają do siebie ziemię. Nie są mistrzami dla siebie; nie wolno pozwolić, aby stali się mistrzami dla innych.

Tablica Druga, *Prawda Niekompletna*, werset ósmy

ODKRYWASZ PODZIEMNE CUDA

Ykka prowadzi cię do domu, z którego wcześniej wyszła razem ze swoimi towarzyszkami. W środku znajduje się niewiele mebli, a ściany są nagie. Podłoga jest porysowana, a w powietrzu unosi się stary zapach jedzenia oraz odór ciała. Do niedawna ktoś tutaj mieszkał, być może do nadejścia Sezonu, obecnie jednak dom to tylko pusta skorupa. Ty i pozostali schodzicie do piwnicy. Schody prowadzą do dużego, pustego pomieszczenia oświetlonego jedynie pochodniami.

To tutaj po raz pierwszy uświadamiasz sobie, że to coś więcej niż tylko dziwaczna wspólnota ludzi i nieludzi, bo ściany piwnicy zbudowane są z jednolitego granitu. Nikt nie wykorzystuje granitu do budowy zwykłej piwnicy, a poza tym... nie jesteś pewna, czy ktokolwiek w ogóle wykopywał ten materiał. Wszyscy zatrzymują się, podczas gdy ty podchodzisz do jednej ze ścian i jej dotykasz. Zamykasz oczy i sięgasz. Tak, czuć tu coś znajomego. Jakiś rogga utworzył tę idealnie gładką ścianę za pomocą niewyobrażalnej siły woli i skupienia. (Choć kiedyś zdarzyło ci się wysejszyć jeszcze większe skupienie). Nigdy wcześniej nie słyszałaś, żeby ktokolwiek zrobił coś takiego, używając górotwórstwa. Tu nie chodziło o postawienie budynku.

Odwracasz się i widzisz, że Ykka cię obserwuje.

– To twoje dzieło? – pytasz.

Kobieta uśmiecha się.

– Nie. To i pozostałe ukryte wejścia są tu już od wieków.

– Ludzie z tej wspólnoty współpracowali z górotworami od tak dawna? – Przecież wcześniej powiedziała, że wspólnota ma zaledwie pięćdziesiąt lat.

Ykka wybucha śmiechem.

– Nie, chodzi o to, że ten świat wiele razy przechodził z rąk do rąk. Nie wszystkie cywilizacje były w kwestii współpracy z górotworami tak głupie jak nasza.

– Teraz nie jesteśmy już głupi – mówisz. – Wszyscy doskonale wiedzą, jak z nas korzystać.

– Och. – Ykka uśmiecha się współczująco. – Jesteś wyszkolona w Fulcrum? Ci, którzy przeżywają naukę w tym miejscu, zawsze brzmią tak samo.

Zastanawiasz się, ile wyszkolonych w Fulcrum górotworów spotkała w życiu ta kobieta.

– Tak.

– W takim razie zobaczysz teraz, na ile więcej nas stać, jeśli tylko tego chcemy – mówiąc to, Ykka wskazuje w kierunku szerokiego otworu w ścianie za jej plecami, którego, zafascynowana konstrukcją piwnicy, wcześniej nie zauważyłaś.

Płynie stamtąd delikatny ciąg powietrza. Trzy osoby stojące przy wejściu obserwują cię z mieszaniną wrogości, czujności i zdziwienia. Nie mają przy sobie żadnej broni – tę oparto o pobliską ścianę – ale nie wydają się z tego powodu zaniepokojone, a ty nagle uświadamiasz sobie, że to strażnicy bramy tej wspólnoty, z tym że samej bramy nie ma. Stoją więc tutaj, w piwnicy.

Blondynka mówi coś cicho do jednego ze strażników, a to sprawia, że jeszcze wyraźniej widać, jaka jest drobna – niższa o jakieś trzydzieści centymetrów i prawdopodobnie pięćdziesiąt kilogramów lżejsza od najmniejszego z nich. Kilku jej przodków naprawdę powinno zrobić jej przysługę i przespać się z jakimś Sanzeńczykiem. W każdym razie ruszasz w tamtym kierunku, a strażnicy zostają w tyle: dwaj siadają na pobliskich krzesłach, a trzeci wraca do góry, zamierzając prawdopodobnie pełnić wartę w pustym budynku.

Wtedy rewidujesz swoje wcześniejsze spostrzeżenia: murem tej wspólnoty jest cała opuszczona wioska na górze. Stanowi raczej kamuflaż niż przeszkodę.

Ale kamuflaż dla czego? Przechodzisz za Ykką przez otwór w ścianie i wkraczasz w ciemność.

– Rdzeń tego miejsca zawsze tu był – wyjaśnia Ykka, kiedy idziecie długim i ciemnym tunelem przypominającym opuszczony szyb górniczy.

Są tu szyny dla wagoników, ale tak stare i tak głęboko zatopione w żwirowej skale, że właściwie ich nie widzisz. To tylko dziwne krawędzie, które czujesz pod stopami. Drewniane podpory tunelu też wydają się stare, podobnie jak kinkiety z lampami elektrycznymi połączonymi kablem – wyglądają, jakby początkowo miały służyć do podtrzymywania drewnianych pochodni i zostały później zmodyfikowane przez jakiegoś żyniera. Światła nadal działają, co oznacza, że wspólnota posiada czynną sieć geo lub hydro, albo obie – to lepiej niż w Tirimo. W szybie jest też ciepło, choć nie widać nigdzie typowych rur grzewczych. Jest po prostu ciepło, a kiedy zapuszczacie się lekko pochyłym korytarzem coraz dalej, robi się coraz cieplej.

– Mówiłam ci, że znajdowały się tu kopalnie. Tak właśnie znaleziono kiedyś to miejsce. Ktoś rozwalił ścianę, której nie powinien ruszać, i trafił na całą sieć tuneli, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia.

Kiedy szyb zaczyna się rozszerzać, Ykka milknie na dłużej i ruszacie wszyscy w dół po ryzykownie wyglądających metalowych schodach. Jest ich wiele. Wyglądają staro, a mimo to metal nie jest zniszczony ani zardzewiały. Jest gładki i lśniący. Schody wcale nie są chybotliwe.

Po jakimś czasie zauważasz, że rudowłosa zjadaczka kamieni zniknęła. Nie weszła za wami do szybu. Ykka wydaje się nie zwracać na to uwagi, więc dotykasz jej ramienia.

– Gdzie jest twoja koleżanka? – pytasz, choć tak naprawdę przecież wiesz.

– Moja... Ach, ona. Trudno im się poruszać w taki sposób, w jaki my to robimy, dlatego mają swoje metody. Również takie, na które nigdy bym nie wpadła. – Spogląda na Hoę, który schodzi po schodach za tobą. Chłopiec rzuca jej chłodne spojrzenie, a ona wybucha śmiechem. – Bardzo ciekawe.

U podstawy schodów znajduje się kolejny tunel, choć zupełnie inny niż poprzedni. Jego sufit nie jest prosty, lecz łukowaty, natomiast wsporniki mają postać grubych kolumn ze srebrzystego kamienia i wspinają się po ścianach niczym żebra. Niemal czujesz przez skórę wiek tych korytarzy.

Ykka mówi dalej:

– Całe podłoże skalne w tym regionie jest podziurawione tunelami, komorami i niezliczonymi kopalniami. Kolejne cywilizacje rozbudowywały to, co pozostawiały po sobie poprzednie.

– Aritussid – wtrąca Tonkee. – Jyamarria. Niższe Stany Ottey.

Wiesz o Jyamarii, bo uczyłaś w szkole historii. Był to duży kraj, jeden z tych, które dały początek rozwijanemu później systemowi drogowemu Sanze; kiedyś zajmował prawie cały teren dzisiejszych Somidlatów. Przestał istnieć jakieś dziesięć Sezonów temu. Pozostałe nazwy odnoszą się prawdopodobnie do innych wymarłych cywilizacji; brzmią jak coś, czym mogliby się interesować geodziarze, nawet jeśli nikogo innego to nie obchodzi.

– To niebezpieczne – mówisz, starając się, żeby nie brzmiało to zbyt złowieszczo. – Jeśli te skały zostały tak bardzo wyeksploatowane...

– Tak, tak. Podobne ryzyko dotyczy jednak każdego rodzaju górnictwa i wynika zarówno z braku kompetencji, jak i z faktu występowania wstrząsów.

Tonkee przez cały czas się rozgląda, chłonąc wszystko dookoła i na nikogo przy tym nie wpadając – zdumiewające.

– Wstrząs z północy był tak silny, że nawet coś takiego powinno się zawalić – stwierdza.

– Masz rację. Ten wstrząs, który z braku lepszych pomysłów nazywamy zresztą Pęknięciem Yumenes, był najsilniejszym, jaki świat widział od wieków. Wcale nie przesadzam. – Ykka wzrusza ramionami

i spogląda na ciebie. – Ale oczywiście tunele się nie zawaliły, bo ja tu byłam. Nie pozwoliłam na to.

Powoli kiwasz głową. To samo zrobiłaś dla Tirimo, z tą różnicą, że Ykka musiała ochronić więcej niż tylko to, co znajduje się na powierzchni. Tak czy inaczej, ten region musi jednak być stabilny – w przeciwnym razie tunele zawaliłyby się już dawno temu.

– Ale nie zawsze tu będziesz.

– Wtedy będzie ktoś inny. – Ykka znów wzrusza ramionami. – Jak już mówiłam, jest nas tu wielu.

– Odnośnie do tego... – Tonkee obraca się na jednej nodze i nagle całą uwagę skupia na Ykce. Ta wybucha śmiechem.

– Słaba podzielność uwagi, co?

– Wcale nie. – Podejrzewasz, że nawet w trakcie rozmowy Tonkee nadal równocześnie analizuje konstrukcję wsporników i skład ścian albo liczy wasze kroki czy coś w tym stylu. – No więc jak ty to robisz? Jak zwabiasz tutaj górotwory?

– Zwabiam? – Ykka kręci głową. – To zbyt ostre słowo. Trudno to opisać. Jest tu... pewna rzecz. Coś jak... – I nagle milknie.

W tej samej chwili się potykasz. Na podłodze nie ma nic, o co mogłaś zahaczyć, po prostu nagle trudno ci utrzymać równowagę, jakby grunt opadał w jakiś niewidzialny sposób. W stronę Ykki.

Zatrzymujesz się i patrzysz na nią. Ona też przystaje, odwraca się uśmiechnięta.

– Jak ty to robisz? – pytasz.

– Nie wiem. – Widząc niedowierzanie na twojej twarzy, rozkłada ręce. – To coś, co wypróbowałam kilka lat temu. Niedługo po tym, jak zaczęłam to robić, przyszedł do mnie mężczyzna, który twierdził, że czuł to z odległości wielu kilometrów. Następnie pojawiły się dzieci; nie wiedziały nawet, na co reagują. A potem kolejny mężczyzna. I od tamtej pory to robię.

– Ale co? – pyta Tonkee, spoglądając to na ciebie, to na Ykkę.

– Tylko roggi to czują – wyjaśnia Ykka, choć zdążyłaś się już tego domyślić. Następnie spogląda na Hoę, który obserwuje was, stojąc zupełnie nieruchomo. – I oni, jak się później okazało.

– Ano właśnie? – wypala Tonkee.

– Na podziemny ogień i zardzewiałe wiadra, zadajecie za dużo pytań – wtrąca blondynka, która kręci głową i gestem nakazuje wam ruszać dalej.

Co chwilę z przodu dobiegają jakieś odgłosy, czuć też wyraźne ruchy powietrza. Ale jak to możliwe? Korytarz znajduje się jakiś kilometr pod ziemią, może nawet dwa. Bryza jest ciepła i niesie ze sobą zapachy, które niemal zapomniałaś już po tygodniach wdychania przez maskę siarki i popiołu. Nuta przyrządzanego posiłku, gnijących śmieci, płonącego drewna. Ludzie. Czujesz ludzi. Wielu. Przed wami pojawia się też światło, znacznie silniejsze niż to, które rzucają elektryczne lampy na ścianach.

– Podziemna wspólnota? – Tonkee wypowiada na głos to, o czym myślisz, ale brzmi bardziej sceptycznie. (Ty wiesz o niemożliwych rzeczach więcej niż ona). – Nikt nie jest tak głupi.

Ykka tylko się śmieje.

Później, kiedy to dziwne światło rozjaśnia szyb wokół was, powietrze porusza się szybciej, a hałas narasta, tunel przechodzi nagle w szeroką, otoczoną balustradą półkę skalną. To taras widokowy: jakiś żynier albo Innowator dobrze rozumiał, jak nowo przybyli będą na to reagować. Robisz dokładnie to, co przewidział ten dawny projektant: zafascynowana gapisz się z otwartymi ustami.

To geoda. Sejszysz to, jak skały wokół ciebie zmieniają się nagle w coś innego. To jak kamyk w potoku albo wypaczenie na powierzchni tkaniny: niezliczone eony temu przepływ płynnych minerałów uformował w Ojcu Ziemi bąbel powietrza. Wewnątrz tego otworu, poddanego działaniu olbrzymiego ciśnienia i skapanego w ogniu oraz wodzie, powstały kryształki. Ten bąbel ma rozmiary miasta.

I to pewnie dlatego ktoś zbudował tutaj miasto.

Stoisz przed olbrzymią, sklepioną jaskinią porośniętą kryształami o rozmiarach pni drzew. Pni wielkich drzew. Albo budynków. Wielkich budynków. Kryształy wyrastają ze ścian w całkowicie przypadkowy sposób: mają różne długości, różne obwody, jedne są białe i przezroczyste, inne przydymione lub lekko różowe. Niektóre kończą się zastrzonymi wierzchołkami zaledwie kilka metrów od ściany, z której wystają, ale większość z nich ciągnie się daleko poza zasięg wzroku. Tworzą podpory i drogi skierowane w bezsensowne strony albo zbyt strome, aby dało się po nich wspinać. Zupełnie jakby ktoś znalazł architekta i kazał mu zbudować miasto z najpiękniejszych możliwych materiałów, a potem wrzucił wszystkie budynki do pudła i dla zabawy mocno nim potrząsnął.

Ludzie naprawdę tu mieszkają. Gapiąc się na to wszystko, dostrzegasz mnóstwo wąskich mostów linowych i drewnianych platform. Są tu liny obwieszane lampami elektrycznymi oraz niewielkie windy wciągane i opuszczane pomiędzy platformami. W oddali jakiś człowiek schodzi po drewnianych schodach zbudowanych wokół olbrzymiej, pochyłej kolumny bieli, a w dole, pomiędzy kryształami wielkości domów, bawi się dwójka dzieci.

Część tych kryształów rzeczywiście jest domami. Wycięte w nich otwory to drzwi i okna. Wewnątrz niektórych z nich dostrzegasz poruszających się ludzi. Z otworów kominowych, wydrążonych w podłużnych wierzchołkach kryształów, unoszą się wstążki dymu.

– Na Złą Ziemię – szepczesz.

Ykka stoi z dłońmi opartymi na biodrach i obserwuje twoją reakcję z czymś w rodzaju dumy.

– Większości z tego nie zbudowaliśmy my – przyznaje. – Najnowsze dodatki i mosty są naszym dziełem, ale wszystko to było już wydrążone. Nie wiem, jak nasi poprzednicy zdołali to zrobić, nie krusząc kryształów. Metalowe chodniki wykonano w ten sam sposób co schody w tunelach, którymi szliśmy. Żylnicy nie mają pojęcia, jak to zrobiono, a metalomędrzy i alchemicy na sam ten widok dostają orgazmu. Są tu też mechanizmy pompujące nieświeże powietrze do porowatych warstw ziemi; jest ono oczyszczane, a następnie wypuszczane z powrotem na powierzchnię – mówiąc to, wskazuje w kierunku ledwie widocznego sklepienia jaskini, które znajduje się kilkaset metrów ponad waszymi głowami. Ledwie ją słyszysz, bo jesteś oszołomiona, a oczy zaczynają cię już szczytać od patrzenia bez mrugania. – Inne pompy dostarczają czyste powietrze. Na zewnątrz geody znajdują się również poruszane przez podziemne źródła turbiny, które zapewniają nam elektryczność i wodę do codziennego użytku; rozgryzienie tego zajęło całe wieki – wzdycha. – Ale tak zupełnie szczerze, nie wiemy, jak działa połowa rzeczy, które tu znaleźliśmy. Wszystko to zbudowano dawno temu. Na długo przed powstaniem Starego Sanze.

– Jeśli naruszyć konstrukcję ścian geody, staje się ona niestabilna. – Nawet Tonkee wydaje się oszołomiona. Stoi nieruchomo chyba po raz pierwszy, od kiedy ją poznałaś. – Sam pomysł budowania czegokolwiek w jej wnętrzu jest absurdalny. I dlaczego te kryształy świecą?

Ma rację. Rzeczywiście świecą.

Ykka wzrusza ramionami i zakłada ręce na piersi.

– Nie mam pojęcia. Ale ludzie, którzy to zbudowali, chcieli, żeby przetrwało nawet wstrząsy, dlatego zrobili z geodą różne rzeczy, dzięki czemu jest to możliwe. I geoda przetrwała, ale oni nie. Kiedy ludzie z Castrimy natrafili na to miejsce, było pełne szkieletów: niektóre z nich były tak stare, że zdążyły obrócić się w proch.

– Czyli wasi przodkowie postanowili przeprowadzić się do olbrzymiego artefaktu po wymarłej cywilizacji, który zabił wszystkich swoich poprzednich mieszkańców – cedzisz przez zęby. Twój sarkazm nie jest jednak zbyt silny. Jesteś za bardzo wstrząśnięta, żeby skupić się na odpowiednim tonie głosu. – Oczywiście. Dlaczego nie powtórzyć takiej gigantycznej pomyłki?

– Uwierz mi, że jest to temat naszych nieustających sporów – Ykka wzdycha i opiera się o balustradę, co sprawia, że przechodzi cię dreszcz. Gdyby się poślizgnęła, upadłaby z bardzo wysoka, a niektóre kryształy na dole geody wyglądają na piekielnie ostre. – Nikt nie chciał pozostać tu na dłużej. Castrimowie używali tego miejsca i prowadzących do niego tuneli jako magazynów, ale nigdy nie trzymali tutaj ważnych zapasów takich jak żywność czy lekarstwa. Przez cały ten czas, mimo wielu wstrząsów, na geodzie nie pojawiła się jednak choćby rysa. Historia tylko to później potwierdziła: wspólnota, która zamieszkiwała te tereny podczas ostatniego Sezonu, była prawdziwą, normalną wspólnotą z murami wokół miasta i tak dalej. Została podbita przez bandę bezwspólnotowych. Miasto doszczętnie spalono, a najważniejsze zapasy skradziono. Ocalali mogli przenieść się tutaj albo próbować przetrwać na górze w zimnie i bez murów, stając się ofiarą każdej przechodzącej tędy bandy rzezimieszków. Nie mieli więc wyjścia.

„Jedynym prawem jest konieczność”, jak mawia mądrość kamieni.

– Nie poszło jednak gładko. – Ykka prostuje się i daje znak, żebyście ruszyli za nią. Idziecie wszyscy szeroką, płaską pochylnią, która łagodnie opada w stronę dna pieczary. Dopiero po chwili uświadamiasz sobie, że stąpacie po kryształach. Ktoś wybetonował jego powierzchnię dla lepszej przyczepności, ale poza skrajem szarego pasa widzisz lśniąca biel. – Większość ludzi, którzy przeprowadzili się tutaj podczas tamtego Sezonu, zmarła. Nie potrafili uruchomić mechanizmów regulujących przepływ powietrza, a bez nich przebywanie tu dłużej niż przez kilka dni kończy się uduszeniem. Nie mieli też jedzenia, dlatego choć mogli cieszyć się bezpieczeństwem, ciepłem i wodą, większość z nich zmarła z głodu, zanim na nowo wzeszło słońce.

To stara opowieść, odświeżona jedynie dzięki tej wyjątkowej scenerii. Kiwasz głową w zamyśleniu i próbujesz się nie potknąć, obserwując starszego, podwieszonoego na linie mężczyznę, który przemierza jaskinię z tyłkiem w wygodnej pętli. Ykka zatrzymuje się, żeby mu pomachać, a on odpowiada tym samym i mknie dalej.

– Osoby ocalałe z tego koszmaru utworzyły punkt handlowy, który ostatecznie stał się Castrimą. Przekazywano sobie opowieści o tym miejscu, ale nikt nie chciał tu zamieszkać... do momentu, kiedy moja prababka zrozumiała, dlaczego mechanizmy nie działają. Do momentu, kiedy uruchomiła je, po prostu wchodząc tutaj tym wejściem. – Ykka wskazuje wylot tunelu, którym was przyprowadziła. – Zadziałało również, kiedy ja przyszedłam tu po raz pierwszy.

Zatrzymujesz się. Przez chwilę wszyscy pozostali idą dalej. Hoa jako pierwszy spostrzega, że stanęłaś w miejscu. Z odległości widzisz, że w wyrazie jego twarzy jest jakaś ostrożność, coś, czego wcześniej tam nie było; dziwi cię to i martwi. Będziesz musiała później z nim porozmawiać. Teraz są jednak ważniejsze rzeczy.

– Te mechanizmy – mówisz, czując suchość w ustach. – One są zasilane górotwórstwem.

Ykka kiwa głową, uśmiechając się nieznacznie.

– Tak sądzą żynierzy. Oczywiście fakt, że teraz wszystko to działa, wydaje się tę teorię potwierdzać.

– Czy to... – Szukasz właściwych słów i nie znajdujesz ich. – Ale jak?

Ykka śmieje się i kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Po prostu działa.

Jej słowa przerażają cię bardziej niż wszystko, co wam tutaj pokazała. Ykka wzdycha i opiera dłonie na biodrach.

– Essun – mówi, a ty poruszasz się niespokojnie. – Tak masz na imię, prawda?

Oblizujesz wargi.

– Essun Obrończy... – nagle urywasz. Miałaś zamiar podać jej nazwisko, którym przez lata posługiwałaś się w Tirimo i które jest nieprawdziwe. – Essun – powtarzasz i nie mówisz nic więcej.

Kłamstwo ograniczone.

Ykka spogląda na swoich towarzyszy.

– Tonkee Innowatorka Dibars – oznajmia Tonkee. Rzuca ci niemal wstydlive spojrzenie, a potem opuszcza wzrok na swoje stopy.

– Hoa – mówi Hoa. Ykka patrzy na niego jeszcze przez chwilę, najwyraźniej oczekując czegoś więcej, ale on nic już nie dodaje.

– No dobrze. – Ykka rozpościera ramiona, jakby chciała objąć nimi całą geodę, i mierzy was wszystkich wzrokiem, unosząc przy tym głowę w niemal wyzywającym geście. – Oto, co próbujemy robić w Castrimie: przetrwać. Tak samo jak wszyscy inni. Usiłujemy jednak wprowadzać też trochę innowacji. – Kiwa w stronę Tonkee, która śmieje się nerwowo. – Być może przy tym umrzemy, ale na rdzę, to i tak może się zdarzyć; trwa przecież Sezon.

Oblizujesz wargi.

– Czy możemy stąd wyjść?

– Jak to, rdza, wyjść? Nie mieliśmy jeszcze nawet czasu się tu rozejrzeć... – Tonkee wygląda na rozłoszczoną, ale nagle przerywa, rozumiejąc, co miałaś na myśli. Jej żółtawa twarz staje się jeszcze bardziej żółtawa. – Och.

Uśmiech Ykki jest ostry jak diament.

– No cóż. Nie jesteście głupi; to dobrze. Chodźcie. Musicie poznać parę osób.

Kiwa na was, ruszając dalej po pochylni, i nie odpowiada na twoje pytanie.

Okazało się, że sejsody, organy ulokowane u podstawy pnia mózgu, zdolne są wyczuwać znacznie więcej niż tylko ruchy sejsmiczne i ciśnienie powietrza. Podczas testów zaobserwowano reakcje na obecność drapieźników, emocje innych osób, krańcowe temperatury w dużej odległości oraz ruchy obiektów niebieskich. Mechanizm działania tych organów pozostaje niewyjaśniony.

Nandvid Innowatorka Murkettsi, *Obserwacje sejsodycznych mutacji u nadmiernie rozwiniętych osobników*, katedra biomesirii, Siódmy Uniwersytet. Dzięki uprzejmości Fulcrum, które udostępniło organy do analizy.

SJENIT NA CZATACH

Trzeciego dnia ich pobytu w Meov coś się zmienia. Przez te trzy dni Sjenit czuła się wyobcowana, i to pod wieloma względami. Pierwszy problem polega na tym, że nie rozumie tutejszego języka – eturpickiego, jak wyjaśnił jej Alabaster. Posługują się nim niektóre wspólnoty z wybrzeża, choć dla celów handlowych większość ich mieszkańców uczy się również sanzeńskiego. Alabaster uważa, że społeczności wyspiarskie tworzą ludzie wywodzący się najczęściej właśnie ze wspólnot nadmorskich, co wydaje się dość oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę kolor ich skóry i charakterystyczne kręcone włosy – ale ponieważ Meoviańczycy częściej napadają, niż handlują, to sanzeński nigdy nie był im do niczego potrzebny. Alabaster próbuje nauczyć Sjen eturpickiego, ale ona nie jest w nastroju do uczenia się czegokolwiek. Ma to związek z drugim problemem, na który Alabaster zwraca jej uwagę, kiedy dochodzą do siebie po trudach ostatnich dni: nie mogą opuścić tego miejsca. A raczej: nie mają dokąd się udać.

– Jeśli Stróże raz próbowali nas zabić, będą próbowali ponownie – wyjaśnia.

Przechadzają się akurat po jednym z jałowych szczytów wyspy; to jedyny sposób na zyskanie jakiejś prywatności, bo w osadzie przez cały czas chodzą za nimi dzieci próbujące mówić po sanzeńsku. Malcy mają tu dużo do roboty – po zakończeniu pracy przy połowach ryb, krabów i tak dalej, wieczorami chodzą jeszcze do szkoły – ale ewidentnie brakuje im rozrywek.

– Nie wiedząc, co takiego zrobiliśmy, żeby ich rozgniewać, bylibyśmy głupi, wracając do Fulcrum – kontynuuje Alabaster. – Moglibyśmy dostać nożem jeszcze przed przekroczeniem bramy.

Teraz, kiedy Sjenit o tym myśli, wydaje jej się to oczywiste. A jednak jest jeszcze inny oczywisty fakt, o którym przypomina sobie za każdym razem, kiedy spogląda w stronę horyzontu i widzi dymiącą pozostałość po Allia.

– Oni myślą, że jesteśmy martwi – odrywa wzrok od tego dymiącego punktu i próbuje nie wyobrazić sobie, w co musiała zmienić się ta urocza nadmorska miejscowość, którą zapamiętała. Wszystkie systemy alarmowe Allia i wysiłki jej mieszkańców były dostosowane do ochrony przed uderzeniem tsunami, a nie przed wybuchem wulkanu, który w tak nieprawdopodobny sposób doprowadził do katastrofy. Biedna Heresmith. Nawet Asael nie zasługiwała na śmierć, jaka prawdopodobnie ją spotkała.

Sjenit nie może o tym myśleć. Skupia się więc na Alabastrze.

– To właśnie chcesz powiedzieć, prawda? Bycie martwymi w Allia pozwala nam być żywymi i wolnymi tutaj.

– Dokładnie! – Alabaster uśmiecha się i niemal tańczy w miejscu. Nigdy wcześniej nie widziała go tak podekscytowanego. Jakby nie był świadomy ceny, jaką inni zapłacili za ich wolność... a może po prostu go to nie obchodzi. – Tutejsi mieszkańcy nie mają właściwie żadnego kontaktu z kontynentem, a nawet jeśli go mają, to nie opiera się on na przyjaźni. Przypisani do nas Stróże mogą nas wysejszyć, ale tylko z bliska, a żaden z nich nie zapuszcza się w te strony. Tych wysp nie ma nawet na większości map! – Ekscytuje się, zaraz jednak się opanowuje. – Na kontynencie nie mielibyśmy szans na ucieczkę przed Fulcrum. Każdy Stróż na wschód od Yumenes będzie węszył wśród szczątków Allia, próbując się dowiedzieć, czy przeżyliśmy. Prawdopodobnie plakaty z naszymi podobiznami krążą już wśród funkcjonariuszy Patrolu Cesarskich Traktów i milicji tamtejszych kwardonów, a ty figurujesz na nich jako moja współniczka. A może wreszcie doczekałaś się pewnego szacunku i uznano, że to ty za wszystkim stoisz.

Tak, no cóż.

Baster ma rację. Po tak makabrycznym zniszczeniu wspólnoty Fulcrum będzie potrzebowało koźłów ofiarnych. Dlaczego nie obwinić dwóch górotworów, którzy przebywali akurat w okolicy i byli na tyle wykwalifikowani, że mogli wspólnie wywołać trzęsienie ziemi? Zniszczenie Allia przeczy wszystkim składanym Bezruchowi przez Fulcrum obietnicom o opanowanych, posłusznych roggach i zapewnianiu bezpieczeństwa na wypadek najgorszych wstrząsów. Wolność od strachu, przynajmniej do nadejścia kolejnej Piątej Pory Roku. Oczywiście Fulcrum oczerni ich na wszelkie możliwe sposoby, ponieważ w przeciwnym razie ludzie obaliliby jego obsydianowe mury i wyrzneli wszystkich łącznie z najmłodszymi żwirami.

Nie pomaga wcale fakt, że, kiedy jej sejsody uwalniają się wreszcie ze stanu odrętwienia, Sjen sejszy, jak bardzo zły przebieg przybrały sprawy w Allia. Odczuwa to na skraju swojej świadomości – która sama w sobie jest zresztą niespodzianką, bo ostatnio Sjen potrafi sięgnąć dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Jest dla niej jasne, że na gładkim krańcu wschodniego brzegu Maximalu znajduje się wypalony szyb sięgający do samego płaszcza planety. Dalej Sjen nie sięga – i nie musi, bo wie, co wydrążyło ten szyb. Otwór ma kształt sześcioboku i dokładnie taki sam obwód jak granatowy obelisk.

Tymczasem Alabaster wydaje się beztrocki. Widząc jednak wyraz jej twarzy, przestaje się uśmiechać.

– Na Złą Ziemię, czy ty kiedykolwiek jesteś szczęśliwa?

– Znajdą nas. Nasi Stróże potrafią nas namierzyć.

Alabaster kręci głową.

– Moja Stróżka nie potrafi.

Sjen przypomina sobie, że wspominał o niej ten dziwny Stróż z Allia.

– Jeśli chodzi o twojego, to stracił cię, kiedy twoje górotwórstwo zostało stłumione. Coś takiego odcina wszystko, nie tylko nasze umiejętności. Żeby wasza więź znowu się pojawiła, musiałyby cię najpierw dotknąć.

Nie miała o tym pojęcia.

– Ale na pewno nie przestanie szukać.

Alabaster przystaje.

– Czy tak bardzo lubiłaś życie w Fulcrum?

To pytanie zbija ją z tropu i wprawia w jeszcze większą złość.

– Przynajmniej mogłam tam być sobą. Nie musiałam ukrywać tego, czym jestem.

Alabaster powoli kiwa głową, a coś w wyrazie jego twarzy mówi jej, że doskonale rozumie, co Sjen ma na myśli.

– A kim jesteś, kiedy tam przebywasz?

– Pierdol się. – Nagle ogarnia ją taka wściekłość, że właściwie nie wie, co ją spowodowało.

– Na razie pierdoliłem tylko ciebie. – Jego uśmiech sprawia, że policzki Sjen płoną niczym Allia. – Pamiętasz? Ktoś dał nam rozkaz i pieprzyliśmy się, Ziemia wie ile razy, choć przecież się nie znosimy. A może wmówiłaś sobie, że sama tego chcesz? Czy tak bardzo potrzebowałaś fiuta, że zadowoliliś się tak kiepskim i nudnym jak mój?

Nie odpowiada mu słowami. Nie myśli już ani nie mówi. Jest w ziemi i wprawia ją w drżenie swoją złością: pojawiający się wokół niej torus jest wysoki i tworzy kilkucentymetrowy pierścień lodu tak twardego, że powietrze zaczyna syczeć i skwierczeć. Zamrozi go i pośle aż na Arktykę.

Alabaster wzdycha jednak tylko i lekko się napina, przysłaniając jej torus własnym z taką łatwością, z jaką gasi się świeczkę. Jest delikatny, bo mógłby zrobić to na wiele innych sposobów, ale fakt, że tak zręcznie i bezproblemowo okiełznał jej furie, sprawia, że Sjen aż się zatacza. Alabaster rusza w jej stronę, jakby chciał ją podtrzymać, a ona odsuwa się od niego z prychnięciem. Mężczyzna wycofuje się natychmiast i unosi ręce, jakby proponował rozejm.

– Przepraszam – mówi. Brzmi to szczerze, więc Sjen nie ucieka od razu. – Chciałem ci po prostu pokazać, jak to wygląda.

I udało mu się. Nie żeby nie wiedziała tego wcześniej: jest niewolnicą, wszystkie górotwory są niewolnikami, a zapewniane w Fulcrum bezpieczeństwo i poczucie własnej wartości wiąże się z ograniczeniem prawa do życia oraz do kontroli własnego ciała. Co innego jednak przyznać to przed sobą, a co innego używać tego faktu przeciwko sobie nawzajem: jest to okrutne i zupełnie niepotrzebne. To właśnie dlatego Sjen nienawidzi Alabastra: nie dlatego, że jest od niej potężniejszy i że jest szaleńcem, ale ponieważ odmawia jej prawa do wiary w nieszkodliwe kłamstwa, które przez lata zapewniały jej spokój i bezpieczeństwo.

Mierzą się wzrokiem jeszcze przez chwilę, a potem Alabaster kręci głową i odwraca się. Sjenit rusza za nim, bo nie ma tu innej drogi. Kierują się z powrotem na poziom jaskini. Kiedy schodzą po schodach, Sjenit nie ma wyjścia i musi stanąć oko w oko z trzecim powodem, dla którego czuje się w Meov wyobcowana.

W zatoce wspólnoty kołysze się olbrzymi i elegancki żaglowiec, który swoimi rozmiarami przyćmiewa wszystkie inne łodzie – może to fregata, a może galeon, Sjen ich nie rozróżnia. Drewno, z którego zbudowano kadłub, jest tak ciemne, że niemal czarne, i tylko gdzieniegdzie widać jaśniejsze fragmenty. Jego żagle wykonano z brązowego płótna, również połatanego i odbarwionego przez słońce oraz wodę... A jednak mimo tych wszystkich plam i łat, statek wygląda zadziwiająco pięknie. Nazywa się Clalsu – a przynajmniej tak brzmi to słowo w uszach Sjen – i przyplłynął do Meov dwa dni po tym, jak dotarli tutaj ona i Alabaster. Na jego pokładzie znajdowało się wielu krzepkich ludzi i sporo towarów zdobytych nieuczciwie podczas siedmiu tygodni pływania wzdłuż tras handlowych wykorzystywanych przez lądowe wspólnoty.

Na Clalsu przyplłynął również kapitan Meov, a tak właściwie zastępca przywódcy, który jest zastępcą tylko dlatego, że więcej czasu spędza poza wyspą niż na niej. W tej samej chwili, kiedy zszedł z trupu, witając uradowany tłum, Sjen wiedziała już, że to prawdziwy przywódca Meov, ponieważ nawet bez znajomości tutejszego języka zorientowała się, jak ludzie go kochają. Ma na imię Innon – zgodnie z lądowymi zasadami: Innon Obrońca Meov. To potężny mężczyzna o skórze ciemnej jak u większości Meoviańczyków, ale zbudowany raczej jak Mocarny niż jak Obrońca i obdarzony charakterem, który mógłby przyćmić niejednego Przywódcę Yumenes.

Tak naprawdę nie jest jednak ani Obrońcą, ani Mocarnym, ani Przywódcą, które to nazwy nie znaczą zresztą zbyt wiele w tym miejscu, gdzie odrzuca się większość sanzeńskich zwyczajów. To górotwór. Dzikus, urodzony na wolności i wychowany przez Harlasa – który sam również jest roggą. Wszyscy tutejsi przywódcy są roggami. Dzięki temu wyspa przetrwała więcej Sezonów, niż jej mieszkańcy potrafią zapamiętać.

A poza tym... no cóż. Sjen nie bardzo wie, jak zachowywać się w stosunku do Innona.

Wchodząc do jaskini, słyszy jego głos, zupełnie jakby wywołała go myślami. Wszyscy go słyszą, ponieważ pod ziemią Innon mówi tak samo głośno jak na pokładzie statku. Nie musiałby tego robić, bo echo powtarza tutaj nawet najcichsze dźwięki. Innon nie jest jednak mężczyzną, który w jakikolwiek sposób się hamuje – nawet jeśli wie, że powinien.

Na przykład teraz.

– Sjenit, Alabaster!

Mieszkańcy wspólnoty zebrali się wokół publicznych ognisk, aby wspólnie zjeść posiłek. Wszyscy siedzą na kamiennych albo drewnianych ławach, relaksują się i rozmawiają, natomiast wokół Innona zebrała się grupka osób, których ten czymś częstuje. Natychmiast przechodzi na sanzeński: zna ten język jako jeden z niewielu Meoviańczyków, choć mówi z silnym akcentem.

– Czekaliśmy na was. Zostawiliśmy dla was najciekawsze historie. Siadajcie!

Wstaje i kiwa do nich, jakby krzyczenie na całe gardło nie wystarczało, aby zyskać ich uwagę, i jakby prawie dwumetrową płataninę warkoczy i ubrań zdobytych w trzech różnych krajach – wszystkie w jaskrawych barwach – dało się przeoczyć.

A jednak Sjenit uśmiecha się, kiedy podchodzi do kręgu ław, z których jedną Innon zostawił najwyraźniej wolną specjalnie dla nich. Inni członkowie wspólnoty wypowiadają słowa powitania, które Sjen zaczyna już rozpoznawać; z uprzejmości próbuje wydusić z siebie coś podobnego i słucha śmiechów, kiedy jej to nie wychodzi. Innon uśmiecha się do niej i powtarza słowa w odpowiedni sposób, a ona próbuje raz jeszcze i widzi pełne aprobaty skinienia głów dookoła.

– Doskonale – stwierdza Innon z takim entuzjazmem, że Sjen mu wierzy. Następnie mężczyzna uśmiecha się do Alabastra. – Myślę, że dobry z ciebie nauczyciel.

Alabaster lekko pochyla głowę.

– Nie do końca. Chyba nie potrafię sprawić, żeby moi uczniowie mnie nie nienawidzili.

– Mmm – niski i głęboki głos Innona drży niczym najsilniejsze wstrząsy. Kiedy zastępca przywódcy się uśmiecha, wygląda to, jakby na powierzchni pęcherza pojawiało się pęknięcie, uwalniające coś gorącego i niepokojącego; wyraźne jest to zwłaszcza z bliska. – Musimy spróbować to zmienić, prawda? – mówiąc to, spogląda na Sjen, niespeszony tak jawnie okazywanym jej zainteresowaniem i śmiechami pozostałych członków wspólnoty.

Na tym właśnie polega problem. Ten zabawny, głośny i wulgarny mężczyzna nie kryje faktu, że pożąda Sjen. Niestety – ponieważ w innym wypadku byłoby to proste – jest w nim coś, co rzeczywiście pociąga Sjen. Być może to ta jego dzikość. Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego.

Problem w tym, że mężczyzna wydaje się pożądać również Alabastra. A Alabaster też chyba nie pozostaje obojętny na jego względy.

To trochę krępujące.

Podnieciwszy ich oboje, Innon obdarza swym nieskończonym urokiem pozostałych.

– Słuchajcie! Oto jesteśmy, z mnóstwem jedzenia i wspaniałymi nowymi rzeczami, które inni ludzie zrobili i za które zapłacili. – Następnie przechodzi na eturpicki, powtarzając swoje słowa innym; ludzie śmieją się z tego ostatniego sformułowania, w dużej mierze dlatego, że od czasu przybicia statku do Meov wielu z nich nosi nowe ubrania, biżuterię i inne ozdoby. Innon kontynuuje, a Sjen nie potrzebuje objaśnień Alabastra, żeby zrozumieć, że potężny mężczyzna opowiada pozostałym jakąś historię, robi to bowiem całym swoim ciałem. Pochyla się do przodu i mówi trochę ciszej, a wszyscy zgromadzeni z uwagą słuchają o jakimś niebezpiecznym momencie, który właśnie opisuje. Następnie naśladuje kogoś, kto z skądś spada, i klaszcząc imituje plaśnięcie. Słuchając tego, młodsze dzieci praktycznie wywracają się ze śmiechu, starsze parskają, a dorośli uśmiechają się.

Alabaster trochę jej tłumaczy. Okazuje się, że Innon opowiada o ostatnim napadzie na niewielką nadmorską wspólnotę oddaloną o jakieś dziesięć dni drogi na północ. Sjen jednym uchem słucha streszczenia Bastra, skupia się jednak przede wszystkim na ruchach Innona i wyobraża go sobie, jak wykonuje on zupełnie inne ruchy. Nagle Alabaster milknie. Kiedy Sjen wreszcie ze zdziwieniem to zauważa, on patrzy na nią uważnie.

– Chcesz go? – pyta.

Sjen krzywi się, głównie ze wstydu. Alabaster powiedział to cicho, ale siedzą blisko Innona, który nagle postanawia ich słuchać... A co, gdyby rzeczywiście usłyszał? Być może ułatwiłoby to całą sprawę. Sjen naprawdę wolałaby jednak mieć w tej kwestii jakiś wybór, a Alabaster jak zwykle go jej odbiera.

– Jesteś chodzącą delikatnością, wiesz?

– Tak, wiem. Odpowiedz.

– Ale o co chodzi? Czy to jest jakieś wyzwanie? – Widziała przecież, w jaki sposób Alabaster spogląda na Innona. Widok czterdziestoletniego mężczyzny czerwieniącego się i jękającego niczym dziewczica jest niemal uroczy. – Chcesz, żebym się wycofała?

Alabaster krzywi się, wyraźnie dotknięty. Wygląda na zmieszanego własną reakcją – a więc jest ich dwoje – i nieznacznie się odsuwa. Następnie pyta półgębkiem:

– A zrobiłabyś to, gdybym powiedział, że tak? Naprawdę byś to zrobiła?

Sjenit mruga. No tak, zasugerowała to. Ale czy wycofałaby się? Nagle nie jest już tego pewna.

Nie udaje jej się udzielić odpowiedzi, więc na twarzy Alabastra pojawia się frustracja. Mruczy pod nosem coś, co brzmi jak: „Nieważne”, a potem wstaje i wychodzi z kręgu ław, uważając, żeby nikogo nie potrącić. Oznacza to, że Sjenit traci możliwość dalszego śledzenia opowieści, ale to nic. Innon stanowi przyjemny widok nawet bez słów, a ponieważ Sjen nie musi już skupiać się na opowiadanej przez niego historii, może zastanowić się nad pytaniem Alabastra.

Po chwili opowieść dobiega końca i wszyscy klaszczą, niemal natychmiast domagając się kolejnej. W ogólnym harmidrze, kiedy ludzie ruszają po dokładkę do wielkiego kotła z krewetkami, ryżem i ikłą, Sjenit postanawia odnaleźć Alabastra. Nie wie, co mu powie, ale... no cóż. Jej towarzysz zasługuje na jakąś odpowiedź.

Znajduje go w ich domu, skulonego w rogu wielkiego i pustego pokoju, jakiś metr od łóżka wykonanego z suszonych wodorostów oraz wygarbowanych skór. Nie zapalił nawet lamp; jest tylko ciemniejszą plamą wśród cieni.

– Odejdź – warczy na nią, kiedy Sjen wchodzi do pokoju.

– Ja też tutaj mieszkam – odpowiada mu. – Jeśli chcesz płakać, czy cokolwiek tam robisz, rób to gdzie indziej.

Na Ziemię, Sjen ma nadzieję, że on jednak nie płacze.

Alabaster wzdycha. Nie brzmi, jakby płakał, choć nogi ma podciągnięte, łokcie oparł na kolanach, a głowę częściowo ukrył w dłoniach. Właściwie nie wiadomo.

– Masz serce z kamienia, Sjen.

– Ty też, jeśli tylko chcesz.

– Ale nie chcę. Nie zawsze. Na rdzę, Sjen, czy ciebie to nie męczy? – pyta, poruszając się nieznacznie. Kiedy jej oczy przyzwyczajają się do ciemności, Sjen widzi, że Alabaster na nią patrzy. – Czy ty nigdy nie masz ochoty być po prostu... człowiekiem?

Sjen opiera się o ścianę nieopodal drzwi, krzyżując ręce i stopy.

– Nie jesteśmy ludźmi.

– Owszem. Jesteśmy – mówi z zawziętością. – Mam w dupie, co stwierdziła jakaś rada wielkich i ważnych pierdzieli, jak geodziarze dzielą sobie różne rzeczy i tak dalej. To, że nie jesteśmy ludźmi, to kłamstwo, które powtarzają sobie, żeby nie czuć się źle z tym, jak nas traktują...

Wie to każdy rogg. Ale tylko Alabaster jest na tyle prostacki, aby wypowiedzieć to na głos. Sjenit wzdycha i z powrotem opiera głowę o ścianę.

– Jeśli go pragniesz, to powiedz mu to, idioto. Możesz go mieć – i tak oto udziela odpowiedzi na jego pytanie.

Alabaster milknie, patrząc na nią.

– Ty też go pragniesz.

– Tak – powiedzenie tego nic ją nie kosztuje. – Ale przeżyję, jeśli... – wzrusza ramionami. – Tak.

Alabaster bierze głęboki oddech, a potem jeszcze jeden. I jeszcze. Sjen nie ma pojęcia, co te oddechy oznaczają.

– Powiniennem złożyć ci taką samą propozycję – stwierdza w końcu. – Zrobić coś szlachetnego, a przynajmniej udać, że to robię. Ale ja... – Porusza się w półmroku i mocniej ściska kolana ramionami. Kiedy odzywa się znowu, ledwie go słysząc. – Sjen, ja od tak dawna...

Nie chodzi oczywiście o to, że od dawna nie miał nikogo w łóżku. Po prostu nie miał w łóżku nikogo, kogo by pragnął.

W centrum wspólnej jaskini wybuchają śmiechy, a ludzie rozchodzą się na noc, rozmawiając między sobą. Sjen i Alabaster słyszą w pobliżu donośny głos Innona; nawet kiedy zastępca przywódcy prowadzi zwyczajną rozmowę, słysząc go praktycznie wszędzie. Sjen ma nadzieję, że w łóżku nie jest tak głośny.

Bierze głęboki oddech.

– Chcesz, żebym po niego poszła? – a potem, żeby było jasne, o co jej chodzi, dodaje: – Dla ciebie.

Abalaster przez dłuższą chwilę milczy. Sjen czuje, że wpatruje się w nią, a w pokoju tworzy się napięcie, które nie do końca potrafi zinterpretować. Być może czuje się urażony. Być może jest wzruszony. Niech to rdza, nigdy nie zdoła go zrozumieć... Nie wie nawet, po jaką rdzę to robi.

Wtedy Alabaster kiwa głową i pociera dłonią czoło.

– Dziękuję.

Jego głos jest niemal chłodny, ale dziewczyna zna ten ton, ponieważ sama go używała. Robiła to za każdym razem, kiedy musiała desperacko uczeplić się swojej godności.

Wychodzi więc z pokoju i podąża za donośnym głosem, aż w końcu znajduje Innona pogrążonego w rozmowie z Harlasem w pobliżu publicznych ognisk. Wszyscy inni już się rozeszli, a jaskinia odbija echem odgłosy śmiechu, rozmów, narzekań grymaśnych brzdąców i skrzypienia łodzi zacumowanych w zatoce. A ponad tym wszystkim unoszą się pomruki oceanu. Sjenit zajmuje miejsce przy ścianie i czeka, wsłuchana w te egzotyczne dźwięki. Po jakichś dziesięciu minutach Innon kończy rozmowę i wstaje. Harlas odchodzi, śmiejąc się z czegoś, co powiedział Innon. Tak jak spodziewała się Sjen, potężny żartowniś podchodzi następnie do niej i siada obok, opierając się o ścianę.

– Moi ludzie uważają, że postępuję głupio, próbując cię podrywać – stwierdza swobodnie, wpatrując się w sufit, jakby było tam coś ciekawego. – Twierdzą, że mnie nie lubisz.

– Każdy myśli, że go nie lubię – odpowiada Sjen. W większości przypadków jest to prawda. – Lubię cię.

Innon spogląda na nią uważnie, a jej się to podoba. Flirtowanie ją stresuje. Znacznie lepiej jest mówić bezpośrednio, tak jak teraz.

– Spotykałem już takich jak ty – mówi Innon. – Takich, których zabrano do Fulcrum. – Z powodu jego akcentu Fulcrum brzmi jak „Tfu-sru”, co wydaje się jej bardzo adekwatne. – Jesteś z nich wszystkich najweselsza.

Sjenit parska ze śmiechu, a potem, dostrzegając smutny cień na jego twarzy i współczucie w jego wzroku, uświadamia sobie, że on wcale nie żartuje. Och.

– Alabaster jest całkiem wesoły – stwierdza.

– Nie, nie jest.

Nie. Nie jest. Ale Sjenit też nie bardzo lubi żarty. Wzdycha.

– Właściwie... jestem tu w jego imieniu.

– Ach, tak? A więc postanowiliście się podzielić?

– On... – zaczyna Sjen i dopiero wtedy docierają do niej jego słowa. – He?

Innon wzrusza ramionami – to imponujący gest, biorąc pod uwagę jego posturę i szelest, jaki wydają przy tym jego warkoczki.

– Ty i on jesteście przecież kochankami. Tak tylko pomyślałem.

Co za pomysł!

– Ekhm... nie. Ja nie... ach. Nie. – O pewnych rzeczach nie jest jeszcze w stanie myśleć. – Może później.

Dużo później.

Innon śmieje się, ale nie z niej.

– Tak, tak. W takim razie przyszedł tu, żeby co? Poprosić mnie, abym zobaczył się z twoim przyjacielem?

– On nie jest... – ale przecież właśnie załatwia mu kochanka. – Niech to rdza!

Innon znowu się śmieje – cicho, jak na niego – a potem opiera się bokiem o ścianę, siadając prostopadle do Sjen, żeby nie czuła się jak w potrzasku, ale żeby docierało do niej ciepło jego ciała. Potężni mężczyźni zachowują się w ten sposób, kiedy chcą być taktowni, a nie napastliwi. Sjen docenia tę jego delikatność. Nienawidzi natomiast samej siebie za to, że postanowiła ustąpić Alabastrowi, bo, na podziemny ogień, Innon nawet pachnie obłudnie!

– Myślę, że jesteś bardzo dobrą przyjaciółką – mówi.

– Tak, rdza, jestem – odpowiada, pocierając oczy.

– No już, już. Każdy widzi, że z waszej dwójki to ty jesteś silniejsza. – Sjenit spogląda na niego, ale on wydaje się całkiem poważny. Unosi dłoń i w czułym geście przesuwając palcem po jej policzku, od skroni aż po brodę. – Dużo przeżył. Trzyma się w jednym kawałku tylko na ślinę i swój nieustanny uśmiech, ale każdy widzi pęknięcia. Ty natomiast, choć poobijana i posiniaczona, jesteś cała. To miłe z twojej strony, że tak się o niego troszczysz.

– Za to o mnie nikt nigdy się nie troszczy – mówi Sjen, a potem zamyka usta tak mocno, że zgrzytają jej zęby. Nie chciała, żeby tak to zabrzmiało.

Innon uśmiecha się, ale to przyjemny uśmiech.

– Ja się o ciebie zatroszczę – mówi i pochyla się, żeby ją pocałować. To drapiący pocałunek: jego usta są suche, broda kłująca. Większość mężczyzn z Wybrzeża nie nosi zarostu, ale Innon widocznie ma w sobie coś z Sanzeńczyka, zwłaszcza jeśli chodzi o tę brodę. W każdym razie, pomimo całej tej szorstkości, jego pocałunek jest tak delikatny, że sprawia wrażenie raczej podziękowania niż próby uwiedzenia. Prawdopodobnie dlatego, że takie właśnie wrażenie ma sprawiać. – Później, obiecuję.

Zaraz potem odchodzi, kierując się w stronę domu, który Sjen dzieli z Alabastrem, a ona patrzy na niego i dopiero teraz zadaje sobie pytanie: „To gdzie ja, u rdzy, mam dzisiaj nocować?”.

Pytanie okazuje się nieistotne, bo i tak nie jest śpiąca. Wchodzi więc na półkę skalną na zewnątrz jaskini, gdzie parę innych osób również korzysta z wieczornego powietrza, rozmawia na osobności albo, tak jak ona, stoi przy balustradzie i w zadumie spogląda na wodę. Fale uderzają o brzeg powoli, sprawiając, że mniejsze łodzie oraz Clalsu kołyszą się i trzeszczą, a światło gwiazd muska powierzchnię wody, sięgając pozornie w nieskończoność.

W Meov panuje spokój. Miło jest być kimś, kim naprawdę się jest, i to na dodatek w miejscu, w którym jest się akceptowanym. Jeszcze przyjemniejsza jest świadomość, że Sjen nie musi się niczego bać. Wyjaśniła jej to kobieta poznana w łaźni – członkini załogi Clalsu, która w miarę zna sanzeński – mocząc się razem z nią w wodzie ogrzewanej kamieniami, które dzieci przynoszą tam z ognisk w ramach swoich codziennych obowiązków. To naprawdę proste.

– Żyjemy dzięki wam – powiedziała, wzruszając ramionami i opierając głowę o krawędź wanny. Najwyraźniej nie przejęła się tym, że jej słowa mogły zabrzmieć dziwnie. Na łodzi wszyscy przecież są przekonani, że w obecności roggów grozi im śmierć. Zaraz potem dodała coś, co naprawdę zaniepokoiło Sjen: – Harlas jest stary. Innona spotyka na morzu wiele niebezpieczeństw. Ty i ten roześmiany... – Tak właśnie lokalni mieszkańcy nazywają Alabastra, ponieważ ci, którzy nie znają sanzeńskiego, nie potrafią

wymówić jego imienia. – Jeśli będziecie mieli dzieci, dacie nam jedno, prawda? Bo inaczej będziemy musieli ukraść jakieś z ładu.

Sjen drży na samą myśl, że ci ludzie, którzy w tłumie wyróżniają się niczym zjadacze kamieni, mieliby spróbować dostać się do Fulcrum, żeby ukraść jakieś dzikie dziecko pod samym nosem Stróżów. Niespecjalnie podoba jej się też pomysł, że mieliby zachłannie czekać, aż zajdzie w ciążę. Pod tym względem nie różnią się od tych z Fulcrum. Może z wyjątkiem tego, że tutaj dziecko Sjen i Alabastra nie zostałoby wysłane do stacji węzła.

Sjen sterczy na półce skalnej jeszcze przez kilka godzin, zatracając się w dźwiękach fal i stopniowo popadając w odrętwienie. W końcu uświadamia sobie, że bolą ją plecy i stopy, a wiatr znad wody się ochłodził; nie może stać tutaj przez całą noc. Wraca więc do jaskini, ale nie wie, dokąd pójść, pozwala więc, aby po prostu niosły ją stopy. Pewnie dlatego ostatecznie dociera przed „swoją” dom i staje przed firanką, słuchając szlochów Alabastra.

To z całą pewnością on. Sjen zna ten głos, mimo że teraz składa się on głównie z pochlipywań. Mimo braku drzwi i okien ledwie go słyszczyć... ale Sjen wie dlaczego. Każdy, kto dorasta w Fulcrum, uczy się płakać bardzo, bardzo cicho.

To właśnie ta myśl, a także poczucie koleżeństwa, sprawiają, że Sjen powoli odsuwa firankę.

Leżą na materacu, na szczęście częściowo przykryci futrami – nie żeby miało to jakieś znaczenie, bo Sjen widzi przecież ubrania rozrzucone po podłodze, a w powietrzu unosi się zapach seksu, więc oczywiste jest, co robili. Alabaster leży zwinięty na boku, obrócony plecami do niej; drżą mu ramiona. Innon opiera się na łokciu, gładząc go po głowie. Kiedy Sjenit odsuwa firankę, mężczyzna podnosi wzrok, ale nie wydaje się zdenerwowany czy zdziwiony. W świetle ich ostatniej rozmowy nie powinna być zaskoczona, lecz mimo wszystko jest – Innon unosi rękę. W zapraszającym geście.

Sjen nie wie, dlaczego korzysta z tego zaproszenia. Nie wie, dlaczego przechodząc przez pokój, rozbiera się, a potem unosi skóry obok Alabastra i wsuwa się w wonne ciepło. Nie wie też, dlaczego przytula się do jego pleców i otacza go w pasie ramieniem, a potem spogląda na smutny uśmiech Innona. Ale to robi.

Zasypia w ten sposób. Z tego co wie, Alabaster płacze przez resztę nocy, a Innon nie śpi, żeby go pocieszać. Kiedy więc następnego dnia Sjen wygrzebuje się z łóżka i głośno wymiotuje do nocnika, żaden z nich się nie budzi. Siada później, rozdygotana, i nikt jej nie pociesza, ale to żadna nowość.

No cóż. Przynajmniej mieszkańcy Meov nie będą już musieli kraść dziecka.

Nie wyceniaj ciała.

Tablica Pierwsza, *O Przetrwaniu*, werset szósty

PRZEJŚCIE

W twoim życiu mija czas radości, którego nie będę ci opisywać. Być może sądzisz, że to źle, że tak głęboko nurzam się w koszmarach i w bólu, ale przecież to właśnie ból nas kształtuje. Jesteśmy istotami zrodzonymi z ciepła, ciśnienia i tarcia, z nieustannego ruchu. Być nieruchomym to... nie żyć.

Najważniejsze jednak, że wiesz, że nie wszystko to było straszne. Pomiędzy kolejnymi kryzysami występowały długie okresy spokoju. Szanse na schłodzenie się i okrzepnięcie.

Oto, co musisz zrozumieć. Podczas każdej wojny istnieją następujące stronnictwa: ci, którzy chcą pokoju, ci, którzy z takich czy innych powodów pragną jeszcze większej wojny, oraz ci, których marzenia wykraczają daleko poza to wszystko. A ta wojna ma przecież więcej stron niż dwie. Wydawało ci się, że chodzi tylko o nieruchomych i o górotwory? Nie, nie. Pamiętaj o zjadaczach kamieni i o Stróżach – och, a także o Piątym Porach Roku. Nigdy nie zapominaj o Ojcu Ziemi. On nie zapomina o tobie.

Dlatego więc, kiedy ona odpoczywała – kiedy ty odpoczywałaś – to właśnie te siły zebrały się dookoła. I w końcu ruszyły do natarcia.

SJENIT ZNUDZONA I WRACAJĄCA DO SIEBIE

Bezczyne siedzenie – nie tak Sjenit wyobrażała sobie resztę życia, dlatego pewnego dnia, kiedy załoga Clalsu szykuje statek do kolejnej wyprawy, idzie odszukać Innona.

– Nie – odpowiada Innon, patrząc na nią jak na wariatkę. – Nie zostaniesz piratem. Przecież właśnie urodziłaś.

– Urodziłam dwa lata temu.

Nie może wiecznie zmieniać pieluch, zamęczać ludzi prośbami o naukę eturpickiego i pomagać w połowach, bo w końcu oszaleje. Argument, którego właśnie użył Innon, jest już nieaktualny, bo Sjen przestała karmić dziecko piersią, a poza tym w Meov i tak robi się to wspólnie, tak jak wszystko inne. Kiedy nie ma jej w pobliżu, Alabaster zanosí po prostu dziecko do jednej z innych matek – Sjen też karmiła obcych malców, jeśli akurat była w pobliżu i miała mleko w piersiach. A ponieważ to głównie Baster zajmuje się zmienianiem pieluch, śpiewaniem małemu Korundowi do snu, uspokajaniem go, zabawianiem i zabieraniem na spacer, Sjenit musi czymś się zająć.

– Sjenit.

Innon zatrzymuje się w trakcie załadunku rampy prowadzącej do ładowni. Jego ludzie wnoszą na statek beczki ze słodką wodą i jedzeniem oraz całe kosze bardziej specjalistycznych przedmiotów – łańcuchów do katapult, pęcherzy smoły i tranu – a nawet belkę ciężkiej tkaniny, na wypadek gdyby trzeba było wymienić żagiel. Kiedy Innon zatrzymuje się przy Sjen, wszyscy inni też muszą przerwać pracę – słysząc narzekania ludzi z doków, mężczyzna podnosi głowę i rzuca im groźne spojrzenie. Wszyscy się zamykają. Oczywiście wszyscy oprócz Sjenit.

– Nudzę się – mówi sfrustrowana. – Nie ma tu nic do roboty oprócz łowienia i czekania, aż ty i pozostali wrócicie z kolejnego napadu, żeby plotkować o ludziach, których nie znam, i opowiadać historie o rzeczach, które mnie nie obchodzą! Zawsze uczyłam się albo pracowałam i na litość Ziemi, nie możesz oczekiwać, że teraz całymi dniami będę siedzieć i gapić się w wodę.

– Alabastrowi to nie przeszkadza.

Sjenit wywraca oczami, choć rzeczywiście to prawda. Alabaster, kiedy nie zajmuje się dzieckiem, większość czasu spędza na skałach ponad osadą, patrząc na świat i bez końca oddając się rozmyślaniom. Sjen wie o tym, bo widziała, jak to robi.

– Ale ja nie jestem nim! Innon, mogę się wam przydać.

Wyraz twarzy Innona się zmienia, ponieważ... ach, tak. To go ruszyło.

To ich niepisana umowa, ale Sjenit nie jest głupia. Istnieje wiele rzeczy, w których uzdolniony rogga mógłby pomóc załodze Innona podczas tego rodzaju wypadów. Nie chodzi o wywoływanie wstrząsów czy kataklizmów – nie zrobiłaby tego, a on by o to nie poprosił – ale na przykład o proste wydobycie mocy z ziemi w celu obniżenia temperatury na powierzchni wody, a tym samym ukrycia statku we mgłę podczas ataku albo ucieczki. Równie łatwo byłoby wywołać w przybrzeżnych lasach bardzo nieznaczne wibracje ziemi i wypłoszyć stamtąd chmary ptaków lub gromady myszy, aby uciekły do pobliskich osad i zasiały tam chaos. Jest tego znacznie więcej. Sjenit zaczyna rozumieć, że górotwórstwo jest cholernie przydatne i że można wykorzystywać je znacznie szerzej niż tylko do tłumienia wstrząsów.

A raczej mogłoby być przydatne, gdyby Innon potrafił korzystać w ten sposób ze swojego górotwórstwa. Jednak mimo całej swojej charyzmy i niezwykłego męstwa Innon to wciąż dzikus, który zna tylko to, czego nauczył go Harlas, sam będący dzikusiem o niedużej wiedzy. Sjen czuła górotwórstwo

Innon, kiedy tłumił drobne lokalne wstrząsy, i czasami dziwiła się surowej nieudolności jego mocy. Próbowwała nauczyć go lepszej kontroli, a on słuchał jej i się starał, ale nic to nie dało. Sjen nie rozumie dlaczego. Bez tego poziomu umiejętności załoga Clalsu zdobywa swoje łupy starodawnymi sposobami: o wszystko musi walczyć, a czasem też ginąć.

– Alabaster może robić dla nas te rzeczy – stwierdza Innon z niepewną miną.

– Alabaster ma mdłości na sam jego widok. – Sjen wskazuje na obły kadłub Clalsu, próbując zachować cierpliwość. Po wspólnocie krąży dowcip, że mimo swojej czarnej skóry Baster robi się zielony, kiedy tylko musi wejść na statek. Sjen rzadziej wymiotowała podczas porannych ciężowych mdłości. – A co gdybym tylko osłoniła statek? Albo zrobiła to, co mi rozkażesz?

Innon opiera dłonie na biodrach i spogląda na nią szyderczo.

– Chcesz udawać, że słuchasz moich poleceń? Nie robisz tego nawet w łóżku.

– Ty draniu! – Innon zachowuje się jak dupek, bo tak naprawdę wcale nie próbuje jej w łóżku rozkazywać. Dokuczanie na temat seksu to po prostu dziwny meoviański zwyczaj. Teraz, kiedy Sjen rozumie, co mówią inni, co drugie zdanie wydaje się dotyczyć faktu, że dzieli swój czas w łóżku pomiędzy dwóch najprzystojniejszych mężczyzn we wspólnocie. Innon twierdzi, że ludzie robią to, ponieważ słuchając wulgarnych żarów staruszek na temat różnych pozycji i gadżetów, Sjen bardzo ciekawie się rumieni. Dziewczyna próbuje się do tego przyzwyczaić. – To nie ma żadnego znaczenia!

– Na pewno? – Innon dźga ją w pierś swoim wielkim palcem. – Żadnych kochanków na pokładzie; zawsze przestrzegałem tej zasady. Wyruszając w morze, nie powinniśmy być nawet przyjaciółmi. Wszyscy robią to, co ja mówię, w przeciwnym razie byśmy zginęli. Ty natomiast wszystko kwestionujesz, Sjenit, a na morzu nie ma czasu na kwestionowanie czegokolwiek.

To jest... niesprawiedliwe. Sjen porusza się niespokojnie.

– Potrafię wypełniać rozkazy bez ich kwestionowania. Ziemia wie, że długo to robiłam. Innon... – Bierze głęboki oddech. – Na litość Ziemi, Innon, zrobię wszystko, byle tylko choć na chwilę się stąd wyrwać.

– I to kolejny problem. – Innon podchodzi bliżej i ścisza głos. – Korund to twój syn, Sjenit. Czy nic do niego nie czujesz, skoro ciągle tylko kombinujesz, jak stąd uciec?

– Dbam o to, żeby miał dobrą opiekę. – Rzeczywiście to robi. Korund zawsze jest czysty i najedzony. Sjen nigdy nie chciała dziecka, ale teraz, kiedy je ma, kiedy trzyma je na rękach i się nim opiekuje... Czuje coś w rodzaju spełnienia i smutnej satysfakcji, ponieważ ona i Alabaster zdołali stworzyć wspólnie coś pięknego. Czasami spogląda na twarz swojego syna i dziwi się, że on istnieje; że wydaje się taki normalny i zdrowy, choć jego rodzice żywili do siebie jedynie gorzką niechęć. Kogo ona oszukuje? To miłość. Kocha swojego syna. Nie oznacza to jednak, że chce spędzać z nim każdą zardzewiałą godzinę.

Innon kręci głową i odwraca się, unosząc rękę.

– Dobrze! Dobrze, niedorzeczna kobieto. A więc płyń, tylko powiedz Alabastrowi, że nie będzie nas obojga.

– W porzą... – Ale jego już nie ma: poszedł po rampie do ładowni, gdzie krzyczy na kogoś, jednak Sjen nie rozpoznaje poszczególnych słów, ponieważ nie potrafi rozszyfrować tak niewyraźnego eturpickiego.

Sjen schodzi po rampie, podskakując i machając przeproszająco do innych członków załogi, którzy stoją dookoła i patrzą na nią ze złością. Następnie kieruje się w stronę wspólnoty.

Alabastra nie ma w domu, a Korund nie bawi się u Selsi – kobiety, która najczęściej opiekuje się małymi dziećmi z osady, kiedy ich rodzice są zajęci. Sjen zagląda do środka, a Selsi unosi brwi.

– Zgodził się?

– Zgodził. – Sjenit nie potrafi zdusić uśmiechu, a Selsi chichocze.

– W takim razie zapewne nigdy już cię nie zobaczymy. Fale czekają jedynie na sieci. – Sjenit domyśla się, że to jakieś meoviańskie powiedzenie, ale nie ma pojęcia, co oznacza. – Alabaster poszedł z Koru na skały.

Znowu.

– Dzięki – odpowiada Sjen, kręcąc głową. Aż dziwne, że ich dziecku nie wyrosły jeszcze skrzydła.

Wchodzi po schodach na najwyższy poziom wyspy i pokonuje pierwszy szczyt skalny; Alabaster i Korund rzeczywiście siedzą na kocu nieopodal klifu. Kiedy Sjen podchodzi bliżej, Koru podnosi wzrok, uśmiecha się i wskazuje ją palcem. Alabaster, który prawdopodobnie czuł jej kroki już na schodach, nawet się nie odwraca.

– A więc Innon w końcu cię ze sobą zabiera? – pyta, kiedy Sjen podchodzi na tyle blisko, że słyszy jego miękki głos.

– Ech. – Sjenit siada na kocu obok niego i wyciąga ręce w stronę Koru, który schodzi Alabastrowi z kolan i przytula się do niej. – Gdybym wiedziała, że już o tym wiesz, nie wspinałabym się tutaj.

– Zgadywałem. Po prostu zazwyczaj nie przychodzisz tu z uśmiechem na twarzy. Wiedziałem, że coś musi być na rzeczy. – Alabaster w końcu odwraca się, patrząc na Koru, który staje Sjen na kolanach i opiera się o jej piersi. Sjenit odruchowo chwyta go, ale chłopiec nieźle radzi sobie z utrzymywaniem równowagi. W końcu Sjen uświadamia sobie, że Alabaster patrzy nie tylko na dziecko.

– Co? – pyta, marszcząc czoło.

– Wróćcis?

To pytanie, jakkolwiek absurdalne, sprawia, że Sjen opadają ręce. Na szczęście Koru opanował sztukę stania na jej nogach i tylko chichocze, spoglądając na Alabastra. – Skąd ci to w ogóle przyszło...

Alabaster wzrusza ramionami i dopiero wtedy Sjenit dostrzega bruzdę pomiędzy jego brwiami oraz jego pusty wzrok – dopiero wtedy uświadamia sobie, co tak naprawdę próbował powiedzieć jej Innon. Jakby chcąc dodatkowo to podkreślić, Alabaster stwierdza gorzko:

– Nie musisz ze mną być. Jesteś wolna, tak jak chciałaś. Innon też dostał to, co chciał: dziecko roggi, które będzie mogło się zaopiekować wspólnotą, jeśli cokolwiek mu się stanie. Wie też, że wyszkolę to dziecko lepiej niż Harlas, bo nie opuszczę tego miejsca.

Na podziemny ogień. Sjenit wzdycha i odsuwa rączki Koru, których uścisk sprawia jej ból.

– Nie, głodomorze, nie mam już mleka.

A ponieważ na dźwięk tych słów twarz Koru wykrzywia się w smutnym grymasie, Sjen przytula go i zaczyna bawić się jego stopami, co zazwyczaj w takich momentach odwraca jego uwagę. Tym razem też działa. Najwyraźniej małe dzieci są niezwykle zafascynowane własnymi palcami u stóp: nie miała o tym pojęcia.

Kiedy dziecko jest już okiełznane, Sjen może skupić się na Alabastrze, który znowu spogląda w wodę i prawdopodobnie zaraz się rozklei.

– Mógłbyś je opuścić – odpowiada, wskazując na oczywisty fakt, jak zawsze w rozmowach z nim. – Innon proponował już wcześniej, że jeśli chcemy, zabierze nas na ląd. Jeśli nie zrobimy nic głupiego, jak na przykład tłumienie wstrząsu na oczach tłumu ludzi, prawdopodobnie oboje będziemy mogli spędzić gdzieś przyzwoite życie.

– Mamy przyzwoite życie. Tutaj. – Z powodu wiatru słysząc go niewyraźnie, ale Sjen wyczuwa to, czego Alabaster nie mówi na głos. „Nie zostawiaj mnie”.

– Na kruchą rdzę, Baster, co z tobą nie tak? Nie zamierzam opuszczać tego miejsca. – „W każdym razie jeszcze nie teraz”. Źle, że w ogóle prowadzą tę rozmowę, Sjen nie musi tego dodatkowo pogarszać. – Chcę po prostu być użyteczna...

– Jesteś użyteczna tutaj. – Teraz Alabaster odwraca się i patrzy prosto na nią, a ból i samotność kryjące się pod maską złości na jego twarzy trochę ją martwią. Jeszcze bardziej martwi się tym, że ją to martwi.

– Nie. Nie jestem – odpowiada, a kiedy Alabaster otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ona szybko dodaje. – Nie jestem, naprawdę. Sam to powiedziałaś: Meoviańczycy mają teraz dziesięciopierścienika, który może ich ochronić. Nie myśl, że nie zauważyłam, że od kiedy tu jesteśmy, w zasięgu mojej świadomości ziemia nawet nie drgnęła. Tłumisz wszelkie potencjalne zagrożenia, na długo zanim Innon albo ja moglibyśmy je poczuć... – Sjen przerywa i marszczy brwi, bo Alabaster kiwa głową, a uśmiech na jego twarzy wprawia ją w zakłopotanie.

– To nie ja – stwierdza.

– Co?

– Nie tłumię niczego już chyba od roku – mówiąc to, kiwa głową w kierunku chłopca, który teraz w wielkim skupieniu ogląda palce mamy. Sjenit spogląda na Koru, a on podnosi wzrok i szeroko się uśmiecha.

Korund jest dokładnie tym, na co Fulcrum miało nadzieję, przypisując ją do Alabastra. Fizycznie nie odziedziczył po ojcu zbyt wiele i jest tylko o odcień ciemniejszy niż Sjen, a meszek na jego głowie zmienia się już w popiołową czuprynę, którą również ma po niej – to przecież ona ma sanzeńskie korzenie. Po Alabastrze Korund odziedziczył natomiast potężną świadomość ziemi. Nigdy wcześniej nie przyszło nawet Sjen do głowy, że jej dziecko mogłoby umieć wysejszyć, a co dopiero stłumić mikrowstrząs. To nie instynkt – to umiejętność.

– Na Złą Ziemię – szepcze. Koru chichocze. Nagle Alabaster wyrywa jej chłopca z rąk i wstaje. – Poczekaj, to jest...

– Śmiało – oświadcza Alabaster, chwytając kosz, który ze sobą przyniósł, i wrzucając do środka zabawki oraz zwiniętą pieluchę. – Śmiało, płyn na tym swoim zardzewiałym statku i daj się zabić razem z Innonem, co mnie to obchodzi. Ja będę tu dla Koru niezależnie od tego, co zrobisz.

Po tych słowach oddała się szybkim krokiem, cały spięty, ignorując protesty Koru i zostawiając za sobą koc, na którym przycupnęła Sjen.

Na podziemny ogień!

Sjenit jeszcze przez chwilę siedzi na skałach, próbując zrozumieć, jak doszło do tego, że została emocjonalną niańką szalonego dziesięciopierścienika i utknęła na tym zardzewiałym końcu świata ze swoim nieludzko potężnym dzieckiem. W końcu słońce zachodzi, a ona jest już zmęczona myśleniem o tym wszystkim, wstaje więc, zabiera koc i wraca do wspólnoty.

Wszyscy gromadzą się na wieczorny posiłek, ale Sjenit nie ma ochoty na towarzystwo, odchodzi więc na bok z talerzem pieczonej tulicy, duszonych liści i słodzonego jęczmienia, który musiał zostać skradziony z jakiejś lądowej wspólnoty. Znosi jedzenie do domu i nie jest zdziwiona, kiedy zastaje tam Alabastra, który leży zwinięty na łóżku razem ze śpiącym Koru. Ze względu na Innona dostali większe łóżko: materac zwisa z czterech mocnych słupków niczym hamak i jest zadziwiająco wygodny, a także wytrzymały, jeśli wziąć pod uwagę ciężar i aktywność, jakie musi znosić. Alabaster milczy, ale nie śpi, Sjen podchodzi więc, wzdycha i przenosi Koru do mniejszego wiszącego łóżka, które znajduje się niżej nad ziemią, na wypadek gdyby chłopiec sturlał się z niego w nocy. Potem sama kładzie się obok Alabastra i tylko patrzy na niego, a po chwili on daje za wygraną i przysuwa się trochę bliżej. Robi to, nie patrząc na nią. Sjenit wie jednak, czego potrzebuje, dlatego wzdycha i obraca się na plecy, a on przybliży się jeszcze bardziej, aż w końcu opiera głowę na jej ramieniu, gdzie prawdopodobnie chciał położyć ją od samego początku.

– Przepraszam – mówi.

Sjenit wzrusza ramionami.

– Nic się nie stało – odpowiada, a potem, ponieważ Innon ma rację i jest to po części jej wina, dodaje: – Wróć. Lubię to miejsce. Tylko po prostu... jestem znudzona.

– Ty zawsze jesteś znudzona. Czego właściwie chcesz?

Sjen kręci głową.

– Nie wiem.

Myśli jednak, i to nie całkiem podświadomie: „Chcę coś zmienić. Bo to jest nie w porządku”.

Alabaster zawsze potrafił odgadywać jej myśli.

– Nie możesz niczego naprawić – mówi ponuro. – Świat jest, jaki jest. Nie możesz go zmienić, chyba że zniszczyłabyś go i zbudowała na nowo. – Wzdycha i ociera się głową o jej piersi. – Czerp z niego tyle, ile możesz, Sjen. Kochaj swojego syna. Zaczynaj nawet wieść pirackie życie, jeśli cię to uszczęśliwi. Ale przestań szukać lepszego świata niż ten.

Sjen oblizuje wargi.

– Korund powinien żyć w lepszym.

– Tak. Powinien – Alabaster nie mówi nic więcej, ale to, co niewypowiedziane, wydaje się oczywiste: „Powinien, ale nie będzie”.

To nie w porządku.

Sjen zasypia. Kilka godzin później budzi się, bo Alabaster mamrocze:

– O kurwa, proszę, o Ziemi, nie mogę, Innon. – Przyciska się od ramienia Innona i porusza w taki sposób, że całe łóżko delikatnie zaczyna się kołysać, a Innon wzdycha i jęczy, ocierając się śliskim futem o jego fiuta. A potem, ponieważ w przeciwieństwie do Alabastra Innon nie ma jeszcze dość, całuje go tylko, po czym wsuwa się między nogi Sjenit. Oczywiście jest mokra. Innon i Alabaster zawsze pięknie razem wyglądają.

Innon jest delikatnym kochankiem: muska językiem jej piersi i robi wspaniałe rzeczy palcami, ale nie przestaje ocierać się o Alabastra, aż w końcu Sjen przeklina i domaga się choć na chwilę całej jego uwagi, na co on reaguje śmiechem i przysuwa się do niej.

Alabaster patrzy, jak Innon ją zadowala, a jego spojrzenie staje się coraz bardziej pożądlive, czego Sjenit wciąż nie rozumie, choć jest z nim od niemal dwóch lat. Baster nie pragnie jej – przynajmniej nie w taki sposób – a ona nie pragnie jego. A jednak obserwowanie, jak Innon doprowadza go do jęków i błagań, bardzo ją podnieca; Alabaster reaguje tak samo, patrząc, jak Sjen zatracą się w łóżku kimś innym. Tak naprawdę Sjen woli robić to, kiedy Baster na nią patrzy. Nie mogą znieść seksu ze sobą nawzajem, ale jeśli między nimi pojawia się ktoś trzeci, jest wspaniale. Jak to właściwie nazwać? To nie trójką – prędzej „dwaipółką” albo miłosny dwuścian. (A może po prostu miłość). Sjen powinna się martwić, że znowu zajdzie w ciążę, a biorąc pod uwagę dziwactwa, które wyprawia cała ich trójka, ojcem znowu może być Alabaster, ale nie martwi się tym, bo nie ma to znaczenia. Ktoś tak czy inaczej będzie kochał jej dzieci. Najważniejsze, żeby ona sama nie zastanawiała się zbyt nad tym wszystkim, bo tak naprawdę nikogo w Meov nie obchodzi, co Sjen robi w łóżku i jak wygląda jej związek. To chyba kolejny afrodyzjak: brak strachu. Wystarczy to sobie wyobrazić.

Zasypiają: Innon chrapie pośrodku, a oni opierają głowy na jego olbrzymich ramionach i Sjen nie po raz pierwszy myśli: „Gdyby tak mogło być już zawsze”.

Wie jednak, że to niemożliwe.

Następnego dnia Clalsu stawia żagle. Alabaster stoi na przystani razem z żegnającą załogę połową mieszkańców wspólnoty. Kiedy Sjenit i Innon unoszą ręce, on sam nie macha, ale zachęca do tego Koru,

wskazując ich palcem. Koru macha więc i Sjenit przez chwilę czuje coś na kształt żalu. Uczucie to szybko mija.

A potem jest już tylko otwarte morze oraz praca do wykonania: zarzucanie sieci i wspinanie się wysoko na maszty, żeby robić z żaglami to, co Innon każe z nimi robić, a w pewnym momencie również zabezpieczenie w ładowni kilku poluzowanych beczek. To ciężka praca, dlatego niedługo po zachodzie słońca Sjenit zasypia na swojej małej koi pod jedną z grodzi; nie ma już siły na przejście do kajuty.

Jest jednak coraz lepiej: w ciągu kolejnych kilku dni Sjen nabiera siły, zaczyna też rozumieć, dlaczego załoga Clalsu zawsze wydawała jej się trochę bardziej interesująca niż inni mieszkańcy Meov. Czwartego dnia rozlega się krzyk z lewej strony – to znaczy, rdza, od lewej burty – a ona podbiega razem z innymi do relingu i widzi coś niesamowitego: pióropusze morskiej piany wzburzanej przez wielkie potwory z głębin, które uniosły się bliżej powierzchni, aby płynąć obok statku. Jeden z nich wynurza się, żeby na nich spojrzeć: to nieprawdopodobny olbrzym, a jego oko jest większe od głowy Sjen. Mógłby wywrócić statek jednym machnięciem ogona. Zwierzę nie robi im jednak krzywdy; jeden z członków załogi tłumaczy Sjen, że jest tylko ciekawe. Mężczyzna wydaje się zdziwiony przerażeniem na jej twarzy.

Nocami patrzą w gwiazdy. Sjen nigdy nie zwracała większej uwagi na niebo; ważniejsza zawsze była ziemia pod jej stopami. Innon pokazuje jej jednak, w jaki sposób poruszają się konstelacje, i tłumaczy, że „gwiazdy” to tak naprawdę inne słońca świecące nad innymi światami, gdzie być może żyją inni ludzie, mierzący się z własnymi problemami. Sjen słyszała o pseudonaukach takich jak astronomestria i wie, że ich zwolennicy wymyślają podobne niewiarygodne teorie, ale teraz, patrząc na nieustannie zmieniające się niebo, rozumie już, dlaczego w nie wierzą. Rozumie, dlaczego się tym interesują, choć w codziennym życiu niebo jest tak niezmiennie i nieistotne. Jedna noc na morzu i ona sama też zaczyna się tym interesować.

Tej samej nocy załoga pije i śpiewa. Sjenit błędnie wymawia wulgaryzmy, niechcący dodając im jeszcze wulgarności i tym samym zjednując sobie sympatię połowy załogi.

Druga połowa wstrzymuje się z osądem nowej uczestniczki do siódmego dnia wyprawy, kiedy w pobliżu pojawia się prawdopodobny cel. Clalsu pływa wzdłuż szlaków handlowych pomiędzy dwoma gęsto zaludnionymi półwyspami, a kilku piratów z lunetami wypatruje statków, które warto byłoby ograbić. Innon czeka z wydaniem rozkazu ataku do momentu, kiedy z bocianiego gniazda dociera do niego informacja, że zauważono wyjątkowo dużą jednostkę, której najczęściej używa się w tych rejonach do transportu towarów zbyt ciężkich lub zbyt niebezpiecznych, aby można przewozić je lądem: nafty, kamieni szlachetnych, groźnych chemikaliów oraz drewna. To dokładnie te rzeczy, których odcięta od świata wspólnota z jałowej wyspy potrzebuje najbardziej. Statkowi towarzyszy drugi, mniejszy, na którym – zdaniem obserwatorów z bocianiego gniazda – pełno jest żołnierzy, taranów oraz broni. (Być może jeden z tych statków to karaka, a drugi to karawela – to określenia używane przez żeglarzy, ale Sjen nie pamięta, które jest które, dlatego trzyma się nazw „duży statek” oraz „mały statek”). Sposób, w jaki załoga przygotowała się do ewentualnej walki z piratami, oznacza że frachtowiec przewozi coś, co warto ukraść.

Innon zerka na Sjenit, a ta szeroko się uśmiecha.

Tworzy dwa obłoki mgły. Pierwszy wymaga zaczerpnięcia energii aż z krańca zasięgu jej mocy, ale Sjen robi to, ponieważ tam właśnie znajduje się mniejszy statek. Drugi obłok mgły unosi pomiędzy statkiem towarowym a Clalsu, żeby piraci mogli podpłynąć do celu niezauważeni.

Wszystko idzie jak z płotka. Załoga Innona to ludzie w dużej mierze wyszkoleni, ale niedoświadczeni: ci, którzy nie wiedzą jeszcze, jak przebiega atak – w tym Sjenit – zostają zepchnięci na bok, podczas gdy pozostali przygotowują się do działania. Clalsu wyłania się z mgły, a na pokładzie drugiego statku biją na alarm, ale jest już za późno. Ludzie Innona uruchamiają katapulty i rozrywają żagle pociskami

z łańcuchów. Następnie Clalsu podpływa bliżej – Sjen sądzi, że zaatakują już teraz, ale Innon wie, co robi – i załoga rzuca na pokład drugiej jednostki haki, szczepiając statki ze sobą, a potem przyciągając ofiarę długimi bosakami, które zajmują większą część pokładu.

Robi się niebezpiecznie i kiedy żeglarze ze statku towarowego zaczynają obsypywać Clalsu strzałami, kamieniami i nożami, jeden ze starszych członków załogi wysyła Sjen pod pokład. Dziewczyna siedzi w cieniu schodów, po których biegają pozostali, i czuje, że wali jej serce i pocą się dłonie. Podskakuje, kiedy coś ciężkiego uderza w kadłub niecałe półtora metra od jej głowy.

Ale, na Złą Ziemię, to nieporównywalnie lepsze niż siedzenie na wyspie, łowienie ryb i śpiewanie kołysanek.

Wszystko trwa jakieś dziesięć minut. Kiedy odgłosy zamieszania cichną i Sjenit ośmiela się wyjść z powrotem na pokład, widzi, że pomiędzy statkami przerzucono trapy, a ludzie Innona biegają po nich w tę i w tę. Niektórzy schwytali parę osób ze statku towarowego i zaciągnęli je na pokład Clalsu, grożąc im szklanymi nożami; w obawie o ich życie reszta załogi napadniętej jednostki składa broń i oddaje cenne przedmioty. Tymczasem ludzie Innona schodzą już do ładowni i przenoszą na pokład Clalsu skrzynie i beczki. Później posortują łupy. Teraz liczy się czas.

Nagle rozlegają się krzyki, a ktoś przy takielunku wściekle bije w dzwon – z mgły wyłania się uzbrojony statek, który towarzyszył jednostce towarowej. Zmierza w ich kierunku, a Sjen uświadamia sobie swój błąd: zakładała, że ta jednostka zatrzyma się z powodu ograniczonej widoczności, aby nie doprowadzić do zderzenia. Ludzie nie zachowują się jednak tak logicznie. Teraz statek naciera na nich z pełną prędkością i choć Sjen słyszy krzyki członków jego załogi, kiedy ci dostrzegają zagrożenie, widzi, że nie da się już zapobiec kolizji rozpędzonej jednostki z dwoma pozostałymi i prawdopodobnie również... zatonięciu wszystkich trzech.

Sjenit jest przepełniona mocą zaczerpniętą z bezkresnych fal. Reaguje instynktownie, jak podczas setek ćwiczeń w Fulcrum. Sięga w dół, przez dziwną śliskość morskich minerałów, przez rozmokłą bezużyteczność podwodnego osadu. W dół. Pod morskim dnem znajduje się stara, surowa i posłuszna jej skała.

Sjen zaciska dłonie i myśli: „W górę!”, a w tej samej chwili uzbrojony statek nagle trzeszczy i zatrzymuje się w miejscu. Zszokowani ludzie na pokładach wszystkich trzech jednostek przestają krzyczeć. To dlatego, że kadłub uzbrojonego statku przebija olbrzymia, postrzępiona skała w kształcie noża.

Roztrzęsiona Sjenit powoli opuszcza ręce.

Na pokładzie Clalsu okrzyki przerażenia ustępują wiwatom. Ulga maluje się nawet na twarzach niektórych członków załogi jednostki towarowej: zniszczenie jednego statku to lepszy scenariusz niż zatonięcie wszystkich trzech.

Ponieważ załoga przebitego statku pozostaje całkowicie bezradna, dalej wszystko toczy się szybko. W tej samej chwili, kiedy ludzie Innona meldują mu, że ładownia towarowego została opróżniona, on sam odnajduje Sjen. Ta zdążyła już przejść na dziób, skąd widzi, jak załoga uzbrojonej jednostki próbuje przeciąć skalny szpikulec.

Innon zatrzymuje się obok niej, a ona podnosi wzrok, gotowa na jego atak wściekłości. On jednak daleki jest od gniewu.

– Nie wiedziałem, że ktokolwiek potrafi robić takie rzeczy – mówi zafascynowany. – Myślałem, że ty i Alabaster tylko się przechwalacie.

To pierwszy raz, kiedy ktoś spoza Fulcrum chwali Sjenit za jej górotwórstwo i gdyby nie zakochała się w Innonie już wcześniej, zrobiłaby to teraz.

– Nie powinnam była unosić tego aż tak wysoko – tłumaczy głupekowato. – Gdybym to przemyślała, podniosłabym kolumnę tylko na tyle, aby przebić kadłub, bo wtedy załoga uznałaby, że uderzyła w podwodną przeszkodę.

Innon nagle rozumie, o co jej chodzi.

– Ach. A teraz wiedzą, że mamy na pokładzie wykwalifikowanego górotwora. – Jego twarz zastyga w grymasie, którego znaczenia Sjen nie rozumie, ale postanawia o to nie pytać. Cudownie jest stać tutaj razem z nim i grać się w blasku sukcesu. Przez chwilę wspólnie obserwują rozładowywanie statku towarowego.

Następnie do Innona podbiega jeden z członków załogi i informuje go, że wszystko zrobione: trapy wciągnięte na pokład, liny z hakami nawinięte z powrotem na wały korbowe. Statek gotowy jest do odwrotu.

– Czekaście – poleca Innon niskim głosem.

Sjen właściwie już wie, co się zaraz stanie. Mimo to kiedy Innon spogląda na nią lodowatym wzrokiem, robi jej się niedobrze.

– Zatop je obydwu.

Obiecała nie kwestionować jego rozkazów. A jednak się waha. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiła, przynajmniej nie z rozmysłem. Wydobyła skalny szpikulec na taką wysokość zupełnie przypadkowo. Czy ludzie muszą ginąć z powodu jej pomyłki? Innon podchodzi bliżej, a ona wzdryga się, choć nigdy przecież jej nie uderzył. Mimo wszystko w kościach jej dłoni odzywa się kłujący ból. Innon mówi jej tylko do ucha:

– Dla Bastra i Koru.

To bez sensu. Bastra i Koru tutaj nie ma. Zaraz jednak dociera do niej pełne znaczenie jego słów – że bezpieczeństwo wszystkich Meoviańczyków zależy od tego, czy mieszkańcy lądowych wspólnot będą widzieć w nich poważne zagrożenie, czy tylko zwykłą niedogodność – i robi jej się zimno.

– Powinniśmy się oddalić – mówi.

Innon odwraca się i wydaje rozkaz postawienia żagli. Kiedy odpływają na bezpieczną odległość, Sjenit bierze głęboki oddech.

To dla jej rodziny. Dziwnie myśleć o nich w ten sposób, ale przecież tym właśnie dla niej są. Jeszcze dziwniej jest robić coś takiego z konkretnego powodu, a nie dlatego, że po prostu dostała taki rozkaz. Czy oznacza to, że nie jest już bronią? A jeśli tak, to czym właściwie?

To nieważne.

Siłą woli sprawia, że kolumna skalna wysuwa się z kadłuba uzbrojonego statku, pozostawiając w nim trzymetrową dziurę przy rufie. Statek natychmiast zaczyna tonąć, przechylając się niemal do pionu. Następnie, czerpiąc jeszcze więcej mocy z powierzchni oceanu i unosząc mgłę, która przysłoni widok w promieniu kilku kilometrów, Sjenit kieruje skalne ostrze w stronę kilku statków towarowych. Szybki cios, jeszcze szybsze wycofanie. Jak zabijanie kogoś za pomocą sztyletu. Kadłub statku pęka niczym skorupka jajka i po chwili rozpada się na dwie części. Jest po wszystkim.

Kiedy Clalsu odpływa, mgła całkowicie przysłania tonące statki. Wrzaski członków obydwu załóg jeszcze długo ścigają Sjenit wśród unoszącej się bieli.

Tej nocy Innon robi dla niej wyjątek. Później, siedząc na jego kapitańskim łóżku, Sjen mówi:

– Chcę zobaczyć Allia.

– Nie – wzdycha Innon. – Nie chcesz.

Wydaje jednak rozkaz, ponieważ ją kocha. Statek zmienia kurs.

Legenda głosi, że na początku Ojciec Ziemia wcale nie pałał do życia nienawiścią.

Mędrzy twierdzą, że tak naprawdę dawno temu robił wszystko, co mógł, żeby umożliwić życie na swojej powierzchni. Stworzył powtarzalne pory roku, samooczyszczającą się wodę i niebo, które wypogadzało się po każdej burzy, a zmiany kierunku wiatru i temperatury powietrza wprowadzał tak powoli, aby każde żywe stworzenie mogło się do nich dostosować. Nie stworzył życia – powstało ono przypadkiem – ale cieszył się nim i fascynował, dumny z wykształcenia na swojej powierzchni czegoś tak dzikiego i pięknego.

A potem ludzie zaczęli robić Ojcu Ziemi potworne rzeczy. Zatruli wodę tak bardzo, że nie był w stanie jej oczyścić, i zabijali wszystkie inne stworzenia żyjące na jego powierzchni. Przebijali się przez jego kruchą skórę i pokonywali podziemne rzeki krwi, aby dostać się do słodkiego szpiku jego kości. Sięgając szczytów pychy i zarozumiałości, górotwory zrobiły natomiast coś, czego nawet Ojciec Ziemia nie mógł im wybaczyć: zniszczyły jego jedyne dziecko.

Żaden z mędrców, z którymi kiedykolwiek rozmawiała Sjenit, nie wiedział, co tak naprawdę to tajemnicze stwierdzenie oznacza. Nie jest to jedno z przykazań skałowiedzy, lecz jedynie ustna opowieść utrwalana co jakiś czas na tak ulotnych nośnikach jak papier, a potem ukrywana – po tylu Sezonach jej treść uległa więc dużym zmianom. Czasami górotwory niszczą w niej ulubiony szklany nóż Ojca Ziemi, innym razem zabijają jego cień, bywa też, że ich ofiarą pada jego najcenniejszy Piastun. Niezależnie od wersji mędrzy i geodziarze zgadzają się co przebiegu wydarzeń, które nastąpiły po popełnieniu przez górotwory tego wielkiego grzechu: powierzchnia Ojca Ziemi pękła niczym skorupa jaja. Kiedy jego wściekłość znalazła ujście w postaci pierwszej, najstraszliwszej ze wszystkich Piątej Pory Roku – nazwanej Sezonem Zniszczenia – zginęły niemal wszystkie żyjące na tej planecie istoty. Pozbawieni jakiegokolwiek ostrzeżenia, tamci pierwotni ludzie, choć bardzo potężni, nie mieli ani czasu na budowę magazynów, ani przykazań skałowiedzy, które mogłyby ich poprowadzić. Tylko dzięki łutowi szczęścia przetrwało ich tylu, że mogli później znowu się rozmnożyć. Życie nigdy jednak nie odzyskało dawnej świetności.

Sjenit zawsze zastanawiała się nad sensem tych opowieści. Jest w nich oczywiście odrobina fantazji, typowej dla prób opisanego tego, czego się nie rozumie... ale każda legenda zawiera również ziarno prawdy. Być może starożytne górotwory w jakiś sposób skruszyły powierzchnię planety. Ale jak? Dziś Sjen wie już, że górotwórstwo to coś więcej niż tylko to, czego naucza się w Fulcrum – i być może, jeśli legendy mówią prawdę, Fulcrum nie uczy pewnych rzeczy celowo. Fakty pozostają jednak faktami: nawet jeśli jakimś sposobem wszystkie żyjące górotwory połączyłyby siły, nie zdołałyby zniszczyć powierzchni ziemi. Mogłyby wszystko zamrozić, a i tak nie znalazłyby wystarczająco dużo ciepła i ruchu, żeby dokonać aż takich zniszczeń. Prędzej same wypaliłyby się i zmarły.

Co znaczy, że część opowieści nie może być prawdziwa: górotworów nie wolno winić za wściekłość Ziemi. Ale oczywiście nikt poza roggami w to nie wierzy.

To naprawdę zdumiewające, że ludzkość zdołała przetrwać ogień tamtego pierwszego Sezonu. Bo jeśli cały świat wyglądał wtedy tak, jak Allia... Sjenit dobrze teraz rozumie, jak bardzo Ojciec Ziemia wszystkich ich nienawidzi.

Allia to nocny krajobraz czerwieni i śmierci. Po wspólnocie nie zostało nic oprócz kaldery, która niegdyś ją otaczała, choć nawet ją trudno teraz rozpoznać. Mrużąc oczy w czerwonej rozedrganej mgłę,

Sjen dostrzega na zboczach kaldery pozostałości kilku budynków i ulic, ale równie dobrze może jej się tylko tak wydawać.

Nocne niebo pokrywają chmury popiołu rozświetlone blaskiem ognia. Tam, gdzie była zatoka, znajduje się teraz stożek wulkanu, który wyłaniając się z morza, tryska rozpaloną czerwienią i zabójczym dymem. Jest już olbrzymi i zajmuje prawie całą powierzchnię kaldery, a przecież dopiero powstał. Obok niego widać dwa dodatkowe ujścia, ziejące gazem i lawą identycznie jak ich rodzic. Wszystkie trzy wkrótce urosną i staną się jednym potworem, pożerając pobliskie góry i zagrażając okolicznym wspólnotom kolejnymi wstrząsami i chmurami gazu.

Wszyscy mieszkańcy Allia, których poznała Sjenit, są już martwi. Załoga Clalsu nie może podpłynąć bliżej niż na osiem kilometrów, w przeciwnym razie ryzykowałyby własnym życiem – gorąca woda mogłaby wypaczyć kadłub, a oni mogliby udusić się w jednej z chmur, które regularnie wypływa z siebie wulkan. Albo ugotować się w jednym z dodatkowych wylotów, które nadal tworzą się w okolicy: wyrastają z tego, co niegdyś było zatoką Allia, jak szprychy i czają się pod wodą niczym śmiertelne miny. Sjen sejszy każdy z tych punktów zapalnych: to rozpalone, spienione burze złości tuż pod powierzchnią Ziemi. Nawet Innon je sejszy: nawiguje statkiem tak, aby omijać najbardziej niebezpieczne z nich. Jednak ziemia jest tak krucha, że w każdej chwili bezpośrednio pod nimi może otworzyć się nowy wylot, a Sjen nie będzie miała czasu na jego wykrycie. Poblązając jej, Innon bardzo ryzykuje.

– Wielu mieszkańców obrzeży miasta zdołało uciec – stwierdza spokojnie Innon, stojąc obok niej. Cała załoga Clalsu wyszła na pokład, aby w milczeniu obserwować Allia. – Mówią, że zobaczyli czerwone światło w zatoce, a potem serię rytmicznych błysków. Jakby coś... pulsowało. Pierwszy wstrząs, który nastąpił po tym, jak wyparowała cała ta cholerna zatoka, zniszczył większość budynków wspólnoty. Tak właśnie zginęło najwięcej ludzi. Bez żadnego ostrzeżenia.

Sjenit drży.

Żadnego ostrzeżenia. W Allia żyło blisko sto tysięcy ludzi – to niewiele jak na standardy Równikiady, ale dużo jak na wspólnotę nadmorską. Mieszkańcy Allia byli z tego dumni, i słusznie. Wiązali ze swoim miastem wielkie nadzieje.

Niech to wszystko rdza. Niech rdza przeżre to w cuchnących, nienawistnych wnętrznościach Ojca Ziemi.

– Sjenit? – Innon przygląda się jej. To dlatego, że Sjen uniosła pięści, jakby ścisnęła w nich lejce narowistego konia. I dlatego, że pojawił się wokół niej wąski, wysoki torus. Nie jest zimny – wokół znajduje się mnóstwo ziemskiej mocy, z której można czerpać. Jest jednak potężny i nawet niewyszkolony rogga może wysejszyć wzbierającą siłę jej woli. Innon bierze głęboki oddech i wykonuje krok w tył. – Sjen, co ty...

– Nie mogę tego tak zostawić – szepcze do siebie.

Cała okolica puchnie niczym zabójczy pęcherz gotowy zaraz pęknąć. Wulkan był tylko pierwszym ostrzeżeniem. Większość podziemnych ujść to niewielkie, ściśnięte bąble, które walcząc z własnym bezwładem, usiłują pokonać kolejne warstwy skały i metalu. Przesiłekają w górę, schładzają się i zatykają, a potem przesiłekają jeszcze wyżej, obracając się przy tym i wiercąc w każdą stronę. To jednak jest gigantyczna rura lawowa skierowana prosto w górę z miejsca, w którym znajdował się granatowy obelisk, i wydobywająca na powierzchnię czystą wściekłość Ziemi. Jeśli nikt nic z tym nie zrobi, cały region wyleci wkrótce w powietrze w olbrzymim wybuchu, który z pewnością wywoła Piątą Porę Roku. Sjen nie może uwierzyć, że Fulcrum tak to zostawiło.

Dlatego wbija się w ten rozedrgany, coraz silniejszy żar, i rozrywa go swoją wściekłością, którą odczuwa na widok Allia – bo przecież to było zamieszkane miejsce, tu żyli ludzie... Ludzie, którzy nie

zasłużyli na śmierć tylko dlatego, że byli głupi i pozwalali uśpionym obeliskom leżeć w zatoce albo marzyli o przyszłości. Nikt nie zasługuje na śmierć z takiego powodu.

To niemal proste. Przecież właśnie tym zajmują się górotwory, a punkt zapalny jest dojrzały i gotowy do użycia. Tak naprawdę niebezpiecznie byłoby go nie użyć. Jeśli Sjen przyjmie cały ten żar i moc, nie kierując ich nigdzie indziej, zginie. Na szczęście – śmieje się sama do siebie, a jej ciało drży – ma wulkan, który musi usnąć.

Zaciska więc jedną dłoń w pięść i pcha ją w gardziel wulkanu samą swoją świadomością, nie paląc, ale chłodząc, i wykorzystując własną furię do zalepienia każdego pęknięcia. Wpycha powiększającą się komorę lawy z powrotem w dół, w dół, a jednocześnie nakrywa ją kolejnymi warstwami ziemi, żeby zatrzymały ją tam przynajmniej do momentu, kiedy nie znajdzie sobie innej drogi na powierzchnię. To zadanie wymagające precyzji, choć wymaga poruszania milionów ton skał i kontrolowania ciśnienia tworzącego diamenty. Sjenit jest jednak dzieckiem Fulcrum, a Fulcrum dobrze ją wyszkoliło.

Sjen otwiera oczy: znajduje się w ramionach Innona, a pod nimi kołysze się statek. Zaskoczona, spogląda na Innona, który przygląda jej się wielkimi oczyma. Wyraży ulgi i strachu na jego twarzy są rozczulające, a jednocześnie szybko ją otrzeźwiają.

– Powiedziałem wszystkim, że nas nie zabijesz – mówi, przekrzykując szum morza i wrzaski załogi. Sjen rozgląda się i widzi, że jego ludzie gorączkowo próbują opuścić żagle, aby móc lepiej zapanować nad statkiem na morzu, które wcale nie jest już spokojne. – Proszę, nie rób ze mnie kłamcy, dobra?

Cholera. Sjen jest przyzwyczajona do używania górotwórstwa na lądzie i nie wzięła pod uwagę wpływu zamykania punktów zapalnych na wodę. Były to pożyteczne wstrząsy, ale jednak wstrząsy i... och, na Ziemię, czuje to. Wywołała tsunami. Na dodatek... krzywi się i jęczy, kiedy z tyłu jej głowy sejsody odzywają się tępym bólem. Przesadziła.

– Innon. – Ból rozsadza jej czaszkę. – Musisz...mmm. Wywołać podwodne fale o takim samym zasięgu...

– Co? – Mężczyzna odwraca się od niej, żeby krzyknąć coś do jednej z członkiń załogi, a Sjen przeklina w myślach. Oczywiście Innon nie ma pojęcia, o czym do niego mówi. Nie zna języka Fulcrum.

Nagle powietrze się ochładza. Drewniany kadłub statku trzeszczy pod wpływem zmiany temperatury. Sjen rozgląda się zaniepokojona, ale zmiana nie jest duża. To jakby w ciągu kilku minut letni wieczór stał się wieczorem jesiennym, a zmianie tej towarzyszy jakaś obecność, znajoma niczym dotyk ciepłych dłoni. Innon bierze głęboki wdech, również to rozpoznając: Alabaster. Jego moc sięga oczywiście aż tutaj. W jednej chwili dziesięciopięściennik tłumi wzbierające fale.

Kiedy kończy to robić, statek osiada na spokojnej wodzie, naprzeciw wulkanu w Allia... który teraz jest już ciemny i cichy. Nadal dymi, i będzie dymił jeszcze przez kilka dekad, ale nie uwalnia już lawy ani gazu. Niebo ponad nim staje się nieco bardziej przejrzyste.

Leshiye, pierwszy oficer Innona, podchodzi bliżej, rzucając Sjen niepewne spojrzenie. Mówi coś zbyt szybko, żeby Sjen zdołała to sobie przetłumaczyć, ale ogólny sens jego wypowiedzi jest jasny: „Powiedz jej, żeby następnym razem, kiedy postanowi zatykać wulkan, najpierw zeszła ze statku”.

Leshiye ma rację.

– Przepraszam – szepcze Sjen po eturpicku, a mężczyzna burczy coś, odwracając się na pięcie.

Innon kręci głową i odsuwa się od niej, ponownie krzycząc, żeby rozwinięto żagle. Następnie spogląda na nią.

– Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. – Sjen pociera sobie skronie. – Po prostu nigdy nie pracowałam z czymś tak wielkim.

– Nie sądziłem, że potrafisz to zrobić. Myślałem, że podobnych wyczynów mogą dokonywać tylko tacy jak Alabaster, którzy mają dużo więcej pierścieni niż ty. Ale ty jesteś tak samo potężna.

– Nie! – Sjenit wybucha śmiechem i chwyta za reling, nie chcąc dłużej opierać się na Innonie. – Ja robię tylko to, co jest możliwe. On natomiast zmienia cholerne prawa natury.

– Ha – mówi Innon nieodgadnionym tonem, a Sjenit ze zdziwieniem dostrzega na jego twarzy coś w rodzaju smutku. – Czasami, kiedy widzę, co ty i on potraficie zrobić, żałuję, że nie trafiłem do tego waszego Fulcrum.

– Nie żałuj tego. – Sjen nie chce nawet myśleć, kim stałby się Innon, gdyby dorastał w zamknięciu z resztą górotworów. Pozbawiony swojego tubalnego śmiechu, hedonistycznej otwartości i radosnej pewności siebie. Innon, którego silne ręce pod wpływem złamań utraciłyby swoją moc i zgrabność. Nie-Innon.

Innon uśmiecha się do niej, jakby usłyszał te myśli.

– Kiedyś musisz mi opowiedzieć, jak tam jest. Musisz powiedzieć mi, dlaczego wszyscy, którzy stamtąd pochodzą, są tak bardzo uzdolnieni... I tak bardzo przerażeni.

Mówiąc to, poklepuje ją po plecach i odchodzi, żeby nadzorować zmianę kursu.

Sjenit zostaje jednak przy relingu, czując przeraźliwy chłód, który nie ma nic wspólnego z mocą Alabastra.

To dlatego, że kiedy podczas zmiany kursu statek przechyliła się na burtę, ona spogląda po raz ostatni na miejsce, które kiedyś, zanim doprowadziła do jego zniszczenia, było miastem Allia...

...i widzi kogoś.

A może wydaje jej się, że widzi. Z początku nie jest tego pewna. Mruży oczy i dostrzega tylko jeden jaśniejszy pasek przy południowym brzegu niecki, który teraz, gdy czerwonawy blask wokół wulkanu przygasł, jest lepiej widoczny. Nie może to być Cesarski Trakt, którym ona i Alabaster przybyli do Allia dawno temu, jeszcze przed popełnieniem pewnej kolosalnej pomyłki. To, na co patrzy, to najprawdopodobniej używana przez lokalnych mieszkańców polna droga, którą wytyczono w pobliskim lesie i wydeptywano przez kolejne dziesięciolecia.

Po tej drodze porusza się niewielki pyłek, który z tej odległości wygląda jak schodzący ze zbocza człowiek. Ale to niemożliwe. Nikt zdrowy na umyśle nie przebywałby tak blisko aktywnego, śmiertelnie niebezpiecznego wulkanu, który zabił już tysiące osób.

Sjen jeszcze bardziej mruży oczy, przechodząc na rufę, żeby dalej móc obserwować ten punkt, kiedy Clalsu oddała się od brzegu. Gdyby tylko miała przy sobie lunetę Innona. Gdyby tylko mogła być pewna.

Bo przez chwilę myśli – przez chwilę widzi, a może tylko wyobraża sobie ze strachu albo halucynuje ze zmęczenia...

„Seniorzy z Fulcrum na pewno uporządkowaliby miejsce tak wielkiej katastrofy. Chyba że mieliby bardzo ważny powód, aby tego nie robić. Chyba że ktoś wydał im taki rozkaz”.

...że idąca postać ma na sobie burgundowy mundur.

Niektórzy mawiają, że Ziemia jest zły,

Bo nie chce towarzystwa;

Ja twierdzę, że Ziemia jest zły,

Bo żyje w samotności.

Stara (przedimperialna) pieśń ludowa

ODZYSKUJESZ SWOJĄ BANDE

– Ty – mówisz nagle do Tonkee. Która nie jest Tonkee.

Kobieta podchodzi do jednej z kryształowych ścian. Błyszczą się jej oczy. Trzyma małe dłuto, które skądś wyciągnęła, a potem zatrzymuje się, spoglądając na ciebie, zakłopotana.

– Co?

Jest wieczór, a ty jesteś zmęczona. Odkrywanie niesamowitych wspólnot ukrytych w podziemnych geodach potrafi człowieka wykończyć. Ludzie Ykki umieścili ciebie i innych w mieszkaniu położonym pośrodku jednego z najdłuższych kryształów. Żeby do niego dotrzeć, musiałaś przejść po moście linowym i krętej drewnianej platformie. Mieszkanie jest poziome, choć kryształ wcale nie; ci, którzy je zbudowali, nie rozumieli chyba, że człowiek nie zapomni o fakcie, że tkwi w obiekcie pochylonym o czterdzieści pięć stopni, tylko dlatego, że podłoga jest prosta. Próbujesz jednak o tym nie myśleć.

Kiedy rozglądasz się wokół siebie i odkładasz swój worek, myśląc: „Dopóki nie ucieknę, to będzie mój dom”, dochodzisz nagle do wniosku, że znasz Tonkee. Że w pewnym sensie znałaś ją od samego początku.

– Binof Przywódczyni Yumenes – mówisz, a każde słowo uderza w Tonkee niczym cios. Kobieta krzywi się i wykonuje krok w tył, a potem jeszcze jeden. W końcu dotyka plecami gładkiej kryształowej ściany. Na twarzy maluje jej się przerażenie, a może smutek tak głęboki, że staje się przerażeniem. W pewnym momencie to przecież jedno i to samo.

– Nie sądziłam, że pamiętasz – stwierdza cicho.

Wstajesz z rękoma opartymi o stół.

– To nie przypadek, że zaczęłaś z nami podróżować. To nie może być przypadek.

Tonkee próbuje się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywia usta.

– Nieprawdopodobne zbiegi okoliczności się zdarzają...

– Nie z tobą. – Nie z dzieckiem, które wślizgnęło się do Fulcrum i odkryło pewną tajemnicę, doprowadzając tym samym do śmierci Stróżki. Kobieta, która była tym dzieckiem, nie pozostawia niczego przypadkowi. Jesteś tego pewna. – Przynajmniej potrafisz się teraz lepiej zamaskować.

Hoa, który stoi przy drzwiach do mieszkania – znowu pełni straż, jak sądzisz – wodzi wzrokiem od jednej z was do drugiej. Być może obserwuje przebieg tej konfrontacji, żeby przygotować się na kolejną, która czeka ciebie i jego.

Tonkee odwraca wzrok. Lekko drży.

– Nie. To nie przypadek. To znaczy... – Bierze głęboki oddech. – Nie śledziłam cię. Robili to dla mnie inni, a to różnica. Zaczęłam śledzić cię dopiero kilka lat temu.

– Kazałaś mnie śledzić? Przez prawie trzydzieści lat?

Tonkee wzdryga się, a potem rozluźnia nieznacznie i zaczyna chichotać. To gorzki śmiech.

– Moja rodzina ma więcej pieniędzy niż Cesarz. W każdym razie przez pierwsze dwadzieścia lat było łatwo. Dziesięć lat temu prawie cię straciliśmy. Ale... no cóż.

Uderzasz dłońmi o stół i może to tylko twoja wyobraźnia, ale kryształowe ściany mieszkania wydają się przez chwilę lśnić nieco jaśniej. To prawie cię rozprasza. Prawie.

– Naprawdę nie zniosę dzisiaj więcej niespodzianek – syczysz.

Tonkee wzdycha i osuwa się przy ścianie.

– Przepraszam...

Potrząsasz głową tak gwałtownie, że rozplątują ci się włosy.

– Nie chcę twoich przeprosin! Wy tłumacz mi to! Kim jesteś: Innowatorką czy Przywódczynią?

– Jednym i drugim?

Zaraz ją zamroziś. Ona widzi to w twoich oczach i tłumaczy:

– Urodziłam się jako Przywódczyni. Naprawdę! Jestem Binof. Ale... – Rozkłada ręce. – Komu niby mam przewodzić? Nie jestem w tym dobra. Widziałas, jakim byłam dzieckiem. Kompletnie brak mi subtelności. Nie radzę sobie z... ludźmi. Za to z rzeczami idzie mi dobrze.

– Nie interesuje mnie twoja zardzewiała historia...

– Ale to ważne. Historia zawsze jest ważna. – Tonkee, Binof czy kim ona jest, odsuwa się od ściany z błagalnym wyrazem twarzy. – Naprawdę jestem geodziarką. Naprawdę chodziłam do Siódmego, chociaż... – Robi minę, której nie potrafisz rozszyfrować. – Nie skończyło się to zbyt dobrze. Ale naprawdę całe życie spędziłam, badając to coś, to gniazdo, które znalazłyśmy w Fulcrum. Essun, chcesz wiedzieć, co to jest?

– Nie obchodzi mnie to.

Słyszając to, Tonkee-Binof rzuca ci groźne spojrzenie.

– To ważne – mówi. Teraz to ona wygląda na rozżłoszczoną, a ty wycofujesz się, zaskoczona. – Rozwiązaniu tej tajemnicy poświęciłam swoje życie. To ważne. Dla ciebie też, bo jesteś jedną niewielu osób w Bezruchu, które mogą coś z tym zrobić.

– O czym ty, na Podziemny Ogień, mówisz?

– To tam je budowali – Binof-Tonkee podchodzi do ciebie szybkim krokiem, a jej twarz niemal płonie. – Gniazdo w Fulcrum. To stamtąd pochodzą obeliski. I to tam wszystko zaczęło się psuć.

Po raz kolejny wszystkich sobie przedstawiasz. Tym razem właściwie.

Tonkee to tak naprawdę Binof. Woli jednak imię Tonkee, które przyjęła po rozpoczęciu nauki na Siódmym Uniwersytecie. Okazuje się, że dla dziecka z kasty Przywódców Yumenes niemożliwe jest wybranie zawodu w innej branży niż polityka, sądownictwo i handel na dużą skalę. Równie niemożliwe dla kogoś, kto urodził się chłopcem, jest być dziewczynką – najwyraźniej rodziny Przywódców nie korzystają z usług Piastunów i wychowują dzieci samodzielnie, dlatego dziewczęcość Tonkee przeszkodziła w zawarciu jednego czy dwóch zaaranżowanych małżeństw. Jej rodzina mogła zaaranżować kolejne, ale zważywszy na tendencję młodej Tonkee do mówienia tego, czego nie powinna mówić, i robienia tego, co nie miało sensu, uznano, że to już zbyt wiele. Dlatego też krewni ukryli ją w najlepszym centrum oświatowym w Bezruchu, dając jej nową tożsamość i fałszywe nazwisko użytkowe, a jednocześnie wydziedziczyli ją po cichu, bez wzbudzania skandalu.

A jednak, pomimo zacieklej sporów, które toczyła z wybitnymi wykładowcami – i które zwykle wygrywała – Tonkee lubiła przebywać w murach Siódmego Uniwersytetu. Całe swoje zawodowe życie poświęciła studiowaniu przedmiotu swojej obsesji, która wiele lat wcześniej zaprowadziła ją do Fulcrum, czyli obelisków.

– To nie ty tak bardzo mnie interesowałaś – wyjaśnia. – To znaczy ty też... Pomogłaś mi i chciałam mieć pewność, że nie będziesz cierpieć z tego powodu, ale kiedy zaczęłam ci się przyglądać, zrozumiałam, że masz potencjał. Byłaś jedną z tych, którzy pewnego dnia mogli rozwinąć swój talent na tyle, żeby kontrolować obeliski. To rzadka umiejętność. I miałam nadzieję, że... no cóż.

Gdy snuła swoją opowieść, znowu usiadłaś i obie jesteście już spokojne. Nie potrafisz dłużej być zła; masz teraz zbyt wiele na głowie. Spoglądasz na Hoę, który stoi w rogu pokoju, obserwując was obie

i zachowując czujność. Wiesz, że tak czy inaczej będziesz musiała przeprowadzić z nim rozmowę. Koniec z tajemnicami. Z twoimi również.

– Umarłam – mówisz. – To był jedyny sposób na ukrycie się przed Fulcrum. Umarłam, żeby przed nimi uciec, ale ciebie najwyraźniej nie udało mi się pozbyć.

– No tak. Moi ludzie nie używali żadnych tajemniczych mocy, aby cię wytropić; opieraliśmy się na dedukcji. – Tonkee siada przy stole, na krześle naprzeciw ciebie. W mieszkaniu znajdują się trzy pokoje: ta służąca za salon otwarta przestrzeń i dwie odchodzące od niej sypialnie. Tonkee potrzebuje dla siebie osobnego pomieszczenia, bo znowu zaczyna śmierdzieć. Na zajęcie pokoju wspólnie z Hoą zdecydujesz się najprędzej, kiedy otrzymasz od niego pewne odpowiedzi, dlatego przez jakiś czas możesz być zmuszona spać tutaj.

– Przez ostatnie kilka lat pracowałam z... pewnymi ludźmi. – Tonkee nagle staje się ostrożna, co przychodzi jej z łatwością. – Głównie z innymi geodziarzami, również zadającymi pytania, na które nikt nie chce odpowiadać. I ze specjalistami z innych dziedzin. Przez kilka lat śledziliśmy ruchy wszystkich możliwych obelisków. Czy zwróciłaś uwagę, że poruszają się według pewnego wzorca? Skupiają się powoli tam, gdzie znajduje się górotwór o odpowiedniej mocy. Ktoś, kto mógłby ich użyć. Gdy byłaś w Tirimo, tylko dwa przemieszczały się w twoim kierunku, ale wystarczyło to, żeby wyciągnąć wnioski.

– Przemieszczały się w moim kierunku? – Podnosisz wzrok.

– Tak. Albo w kierunku innego górotwora, który znajdował się niedaleko ciebie. – Tonkee rozluźniła się już i je suszony owoc, który wyjęła ze swojego plecaka. Nie zwraca uwagi na to, że gapisz się na nią, zmrożona jej słowami. – Linie triangulacji były całkiem wyraźne. Tirimo znajdowało się w środku okręgu, że tak powiem. Musiałaś być tam od lat, bo jeden z obelisków, które podążały w twoją stronę, przez niemal dekadę poruszał się po nieziennej trajektorii, aż od Wschodniego Wybrzeża.

– Ametystowy – szepczesz.

– Tak. – Tonkee ci się przygląda. – To dlatego podejrzewałam, że wciąż żyjesz. Obeliski tworzą z niektórymi górotworami pewną... więź. Nie wiem, jak to działa. I nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Ale jest to wyraźny i przewidywalny schemat.

Dedukcja. Kręcisz głową, oniemiała ze zdziwienia, a ona mówi dalej:

– W każdym razie w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat obydwa obeliski przyspieszyły, dlatego aby móc lepiej im się przyjrzeć, przeniosłam się w tę okolicę, udając bezwspólnotową. Nie zamierzałam się z tobą spotykać. Ale wtedy wydarzyło się to coś na północy i doszłam do wniosku, że dobrze byłoby mieć przy sobie kogoś, kto potrafi kontrolować obeliski. Dlatego... próbowałam cię odnaleźć. Idąc do Tirimo, zobaczyłam cię w tamtym zajeździe. Miałam szczęście. Zamierzałam iść za tobą przez kilka dni i w tym czasie zdecydować, czy zdradzę ci swoją prawdziwą tożsamość... Ale wtedy on zamienił kirkhusa w posąg. – Wskazuje głową Hoę. – Uznałam, że lepiej będzie przez jakiś czas trzymać gębę na kłódkę i tylko was obserwować.

Dość zrozumiałe.

– Powiedziałaś, że do Tirimo zmierzał więcej niż jeden obelisk. – Oblizujesz wargi. – Powinien być tylko jeden.

Ametystowy to jedyny, z którym nawiązałaś więź. Jedyny, który pozostał.

– Były dwa. Ametystowy i jeden z Merz.

Merz to duża pustynia na północnym wschodzie. Kręcisz głową.

– Nigdy nie byłam na Merz.

Tonkee milczy przez chwilę, być może zaintrygowana, być może rozzłoszczona.

– A ilu górotworów było w Tirimo?

Trzech. Ale...

– Przyspieszyły. – Nagle nie potrafisz myśleć. Nie potrafisz odpowiedzieć na pytanie. Nie jesteś w stanie skleić zdania. „W ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat obydwa obeliski przyspieszyły”.

– Tak. Nie wiem dlaczego. – Tonkee milknie i rzuca ci uważne spojrzenie, mrużąc oczy. – A ty?

Uche miał dwa lata. Prawie trzy.

– Odejdź stąd – szepcesz. – Weź kąpiel czy coś. Muszę pomyśleć.

Tonkee waha się, bo najwyraźniej chciała cię zapytać o coś jeszcze. Spoglądasz jednak na nią, a wtedy natychmiast wstaje i rusza do wyjścia. Kilka minut po opuszczeniu przez nią mieszkania – nie ma tutaj drzwi, ale prywatność zapewniają kotary – siedzisz w ciszy, z zupełnie pustą głową.

Podnosisz wzrok na Hoę, który stoi obok pustego krzesła Tonkee, najwyraźniej czekając na swoją kolej.

– Jesteś zjadaczem kamieni – mówisz.

Hoa z powagą kiwa głową.

– Wyglądasz... – Wykonujesz nieokreślony gest, bo nie wiesz, jak to powiedzieć. Nigdy nie wyglądał normalnie, to fakt, ale na pewno nie przypomina typowych zjadaczy kamieni. Ich włosy się nie poruszają, ich skóra nie krwawi. Potrafią w mgnieniu oka przejść przez skałę, ale pokonanie schodów zajęłoby im kilka godzin.

Hoa porusza się niespokojnie, kładąc sobie plecak na kolanach. Przez chwilę przetrząsa jego zawartość, aż w końcu wyciąga swoje szmaciane zawiniątko, którego od pewnego czasu nie widziałaś. A więc to tam je schował. Rozwiązuje tobolek i w końcu pokazuje ci, co niósł ze sobą przez cały ten czas.

Zawiniątko zawiera wiele drobnych i nieoszlifowanych kryształów – tak przynajmniej to wygląda. Kryształy przypominają kwarc, a może gips, z tą różnicą, że niektóre nie są białe, a krwistoczerwone. Nie jesteś pewna, ale wydaje ci się, że tobolek jest mniejszy niż wcześniej. Czy Hoa zgubił część jego zawartości?

– Kamienie – mówisz. – Przez cały ten czas nosiłeś... kamienie?

Hoa waha się przez chwilę, a potem sięga po jeden z białych kryształków. Ma rozmiar połowy twojego kciuka, jest mniej więcej kwadratowy i obtłuczony z jednej strony. Wygląda na twardy.

Hoa go zjada. Gapisz się na niego, a on patrzy na ciebie. Przez chwilę obraca kamyk w ustach, jakby szukał właściwego ułożenia albo po prostu cieszył się jego smakiem. Być może jest słony.

Następnie zaciska szczęki. Rozlega się chrzęst, zadziwiająco głośny. Potem słyszysz jeszcze kilka kolejnych, już nie tak głośnych, ale niepozostawiających wątpliwości, że to, co gryzie Hoa, nie jest jedzeniem. Chłopiec w końcu przełyka i oblizuje wargi.

Po raz pierwszy widziałaś, żeby cokolwiek jadł.

– Jedzenie – mówisz.

– Ja. – Wyciąga rękę i delikatnie kładzie ją na kupce kamieni.

Marszczysz czoło, bo zachowuje się jeszcze dziwniej niż zazwyczaj.

– Czyli właściwie... co to jest? Czy dzięki temu możesz wyglądać jak jeden z nas? – Nie wiedziałaś nawet, że to możliwe. Ale zjadacze kamieni nie mówią przecież nic o sobie i nie tolerują wścibiania nosa w ich sprawy. Czytałaś gdzieś o tym, jak dwa Sezony temu Szósty Uniwersytet w Arcarze próbował schwytać jednego z nich dla celów badawczych. W rezultacie utworzono Siódmy Uniwersytet w Dibars, ale najpierw trzeba było wydobyć książki z ruin po Szóstym.

– Struktury krystaliczne są wydajnym nośnikiem – to, co mówi, nie ma sensu. Następnie powtarza: – To jestem ja.

Chcesz go o to dopytać, ale ostatecznie rezygnujesz. Gdyby chciał, żebyś zrozumiała, wytłumaczyłby to. Zresztą to nie to jest najważniejsze.

– Dlaczego? – pytasz. – Dlaczego to sobie robisz? Dlaczego nie chcesz być po prostu... tym, czym jesteś?

Hoa posyła ci spojrzenie tak sceptyczne, że nagle dociera do ciebie, jak głupie musiało być to pytanie. Czy pozwoliłabyś mu podróżować ze sobą, gdybyś wiedziała, czym jest? Poza tym gdybyś to wiedziała, nie próbowałabyś go przed niczym powstrzymać. Nikt nie próbuje powstrzymać zjadaczy kamieni przed robieniem tego, na co mają ochotę.

– To znaczy, po co cały ten wysiłek? – pytasz. – Nie mógłbyś po prostu... Potraficie przecież przemieszczać się przez skały.

– Tak. Ale chciałem podróżować z tobą.

I tak oto dochodzicie do sedna sprawy.

– Dlaczego?

– Lubię cię. – Wzrusza ramionami. Jak każde inne dziecko zapytane o coś, na co nie potrafi albo nie chce odpowiedzieć. Być może to nieistotne. Być może to był tylko impuls. Możliwe, że za jakiś czas Hoa odczepi się, kierowany jakimś nowym kaprysem. Fakt, że nie jest dzieckiem – że nie jest nawet zardzewiałym człowiekiem, że żyje pewnie od kilku Sezonów i należy do rasy, która nie potrafi kierować się kapryсами – oznacza jednak, że to wszystko nieprawda.

Pocierasz twarz. Na dłoniach zostaje ci popiół; ty też potrzebujesz kąpieli. Wzdychasz, a wtedy on odzywa się cicho:

– Nie zrobię ci krzywdy.

Zdziwiona, powoli opuszczasz dłoń. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mógłby cię skrzywdzić. Nawet teraz, wiedząc, czym jest i co potrafi zrobić, nie potrafisz myśleć o nim jak o przerażającej, tajemniczej i niezrozumiałej istocie. I właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, pokazuje ci, dlaczego tak postąpił. Lubi cię. Nie chce, żebyś się go bała.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadasz. Nie macie już sobie nic więcej do powiedzenia, przez chwilę patrzycie więc tylko na siebie.

– Tu nie jest bezpiecznie – odzywa się w końcu Hoa.

– Domyśliłam się.

Słowa zostały wypowiedziane – sarkastyczny ton i tak dalej – zanim zdążyłaś się nad nimi zastanowić. Ale czy to dziwne, że jesteś zgryźliwa? Od czasu odejścia z Tirimo wciąż komuś dogryzasz. Uświadamiasz sobie jednak, że przed śmiercią Uchego nie zachowywałaś się w ten sposób w stosunku do Jiji ani do nikogo innego. Zawsze byłaś delikatna i spokojna. Nigdy sarkastyczna. Jeśli się złościłaś, nie dawałaś tego po sobie poznać. Taka właśnie powinna być Essun.

No tak, ale ty nie do końca jesteś już Essun. Nie tylko Essun. Już nie.

– Jest tu więcej takich jak ty – zaczynasz. Jego drobna twarz tężeje ze złości. Milkiesz, zaskoczona.

– Oni nie są tacy jak ja – stwierdza chłodno Hoa.

No dobrze, a więc tak. Ale ty masz już dość.

– Muszę odpocząć – mówisz. Od rana jesteś na nogach i choć bardzo chciałabyś wziąć kąpiel, nie wiesz, czy jesteś gotowa się rozebrać i jeszcze bardziej odsłonić przed ludźmi z Castrimy. Zwłaszcza że najwyraźniej zostaliście ich więźniami.

Hoa kiwa głową. Zaczyna zawijać z powrotem swój tobołek z kamieniami.

– Będę stał na warcie.

– Czy ty w ogóle sypiasz?

– Czasami. Rzadziej niż wy. Teraz nie muszę.

Jest ci to na rękę. Ufasz mu bardziej niż mieszkańcom tej wspólnoty. Nie powinnaś, ale tak po prostu jest.

Wstajesz więc, idziesz do sypialni i kładziesz się na materacu. Wykonano go z siana i bawełny upchniętych w płóciennym pokrowcu, ale lepsze to niż twarda ziemia, a nawet twój śpiwór. Po kilku sekundach zasypiasz.

Po przebudzeniu nie wiesz, ile czasu minęło. Hoa leży skulony obok ciebie, tak jak przez ostatnie kilka tygodni. Siadasz i patrzysz na niego, marszcząc brwi, a on posyła ci czujne spojrzenie. W końcu kręcisz głową i wstajesz, mrużąc coś do siebie.

Tonkee jest w swoim pokoju. Słyszysz, jak chrapie. Kiedy wychodzisz z mieszkania, uświadamiasz sobie, że nie wiesz, która jest godzina. Na zewnątrz, mimo chmur i opadów popiołu, mogłaś przynajmniej stwierdzić, czy jest dzień, czy noc, bo chmury były jasne albo czerwone. Tutaj jednak... rozglądasz się i widzisz tylko olbrzymie lśniące kryształy. Oraz miasto, które w niemożliwy sposób na nich zbudowano.

Wychodzisz na prowizoryczną drewnianą platformę za drzwiami i rozglądasz się ponad chwiejną balustradą. Na dole kilkadziesiąt osób zajmuje się swoimi sprawami. No cóż, tak czy inaczej musisz dowiedzieć się więcej na temat tej wspólnoty. Zanim ją zniszczysz – bo zrobisz to, jeśli będą próbowali cię tu zatrzymać siłą.

(Ignorujesz cichy głos z tyłu głowy, który szepcze: „Ykka też jest roggą. Naprawdę zamierzasz z nią walczyć?”).

(Jesteś całkiem dobra w ignorowaniu cichych głosów z tyłu głowy).

Znalezienie drogi na sam dół jest trudne, bo wszystkie platformy, mosty i schody zbudowano tutaj w taki sposób, aby łączyły ze sobą kryształy. A skoro kryształy rozciągają się we wszystkie strony, to łączenia pomiędzy nimi również. Nie ma w tym żadnej logiki. Żeby znaleźć kolejne schody w dół, musisz na przykład wejść innymi do góry i okrążyć jeden z szerszych kryształów, a potem i tak okazuje się, że platforma nie prowadzi nigdzie dalej, więc musisz się cofnąć. Mijasz kilku ludzi, którzy patrzą na ciebie z zainteresowaniem albo wrogością, prawdopodobnie dlatego, że jesteś tutaj nowa. Wyglądają na bardzo czystych, a ty masz na sobie szarą warstwę popiołu.; wyglądają na dobrze odżywionych, a na tobie wiszą ubrania, bo przez ostatnie tygodnie bez przerwy maszerowałaś, kiepsko się odżywiając. Nie możesz sprawić, żeby przestali odczuwać do ciebie wstręt, ale uparcie pytasz o drogę.

W końcu docierasz na sam dół. Tutaj wyraźniej niż w innych miejscach czujesz, że przebywasz wewnątrz olbrzymiego bąbla w kamieniu, ponieważ grunt zakrzywia się wokół ciebie w kształt misy. To czubek jajowatej Castrimy. Tutaj też znajdują się kryształy, ale krótsze; większość sięga ci do piersi, a najwyższe mają zaledwie trzy albo cztery metry wysokości. Wokół niektórych stoją drewniane przegrody, a w kilku miejscach na ziemi dostrzegasz bledsze place po kryształach, które usunięto zapewne, żeby zyskać w ten sposób więcej miejsca. (Na próżno zastanawiasz się, jak to zrobili). Powstał w ten sposób swego rodzaju labirynt przecinających się ścieżek, z których każda prowadzi do jakiegoś ważnego miejsca: suszarni, kuźni, szklowni czy piekarni. Przy kilku ścieżkach widzisz namioty i obozowiska, z których część jest zamieszkana. Najwyraźniej nie wszystkim mieszkańcom tej wspólnoty odpowiada chodzenie po deskach, które zawieszono sto metrów nad dnem jaskini najeżonym olbrzymimi sztyletami. Zabawne.

(Znowu ten sarkazm, który nie pasuje do Essun. Niech to rdza, masz już dość hamowania samej siebie).

Odnalezienie łaźni jest proste, bo na szarozielonej kamiennej podłodze widać ślady mokrych stóp. Podążasz za nimi i z miłym zaskoczeniem odkrywasz, że łaźnia to tak naprawdę olbrzymi basen z czystą, parującą wodą. Został zbudowany nieco powyżej naturalnego dna geody i jest wyposażony w specjalny kanał, który łączy się z jedną z kilku grubych miedzianych rur prowadzących... dokądś. Po drugiej stronie basenu dostrzegasz coś w rodzaju wodospadu spływającego z innej rury. Strumień jest tak silny, że co kilka godzin w basenie woda zostaje całkowicie wymieniona, ale mimo wszystko z boku znajduje się

specjalna przestrzeń przeznaczona do mycia, wyposażona w długie drewniane ławy oraz półki z różnymi akcesoriami. Parę osób szoruje się tam przed wejściem do większego basenu.

Kiedy jesteś już rozebrana i sama też się szorujesz, pada na ciebie cień – zrywasz się na nogi, przewracając ławkę, i sięgasz do ziemi zanim przychodzi ci do głowy, że być może twoja reakcja była przesadzona. A potem prawie upuszczasz namydloną gąbkę, ponieważ...

...to Lerna.

– Tak – mówi, kiedy mu się przyglądasz. – Podejrzywałem, że to możesz być ty, Essun.

Wciąż tylko na niego patrzysz. Wygląda jakoś inaczej. Jakby był silniejszy, a jednocześnie chudszy, podobnie jak ty; to wynik długiej wędrówki. Minęło już dobrych kilka... tygodni? Miesiący? Zaczynasz tracić poczucie czasu. I co on tu w ogóle robi? Powinien być w Tirimo; Rask nigdy nie wypuściłby lekarza...

Ach. No tak.

– A więc Ykka zdołała przyciągnąć również ciebie – mówisz. – Ciekawe.

Wygląda na zmęczonego. Na brodzie ma bliznę w kształcie półksiężyca; skóra raczej nie odzyska już swojego koloru. Patrzysz na niego, a on przestępuje z nogi na nogę i mówi:

– Ze wszystkich miejsc, do których mogłem trafić... znalazłem się tu, gdzie ty. Może to przeznaczenie, a może naprawdę istnieją bogowie inni niż Ojciec Ziemia; tacy, których chociaż trochę obchodzimy. A może oni też są źli, a to tylko ich żart. Niech to rdza, jeśli wiem, co jest prawdą.

– Lerna – mówisz. I to ci pomaga.

On spogląda na ciebie, a ty dopiero teraz przypominasz sobie, że jesteś naga.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać – odpowiada, szybko odwracając wzrok. – Porozmawiajmy, kiedy skończysz.

Nie obchodzi cię, czy widzi cię nagą – na rdzę, przecież odbierał poród jednego z twoich dzieci. Ale jest po prostu uprzejmy. To cały on: zawsze traktował cię jak człowieka, choć wiedział, czym jesteś. To dziwnie poruszające po tym wszystkim, co wydarzyło się ostatnio w twoim życiu. Nie jesteś przyzwyczajona do tego, że życie, które zostawiasz z tyłu, podąża za tobą.

Lerna odchodzi, okrążając mniejszy basen, a ty chwilę później z powrotem siadasz w wodzie i kończysz kąpiel. Nikt ci już nie przeszkadza, choć dostrzegasz ciekawskie spojrzenia kilkorga mieszkańców Castrimy. Nie ma w nich wrogości, ale to nic dziwnego; nie wyglądasz na szczególnie niebezpieczną. Nienawiść wzbudza jednak to, czego nie widać.

Ale... czy ci ludzie wiedzą, czym jest Ykka? Blondynka, która była z nią na powierzchni, na pewno wie. Być może Ykka ma na nią jakiegoś haka, dzięki czemu zapewniła sobie jej milczenie. Ale to chyba nie tak. Ykka zbyt otwarcie mówi o tym, czym jest – nawet w rozmowach z obcymi. Jest zbyt charyzmatyczna i za bardzo rzuca się w oczy. Zachowuje się, jakby górotwórstwo było jedną z cech albo umiejętności człowieka. Widziałaś już kiedyś takie nastawienie i taką akceptację całej wspólnoty.

Kiedy masz już dość moczenia się i czujesz, że jesteś czysta, wychodzisz z kąpieli. Nie masz żadnego ręcznika, tylko swoje brudne od popiołu ubranie, dlatego cierpliwie je pierzesz. Nie jesteś na tyle odważna, żeby przejść nago przez obcą wspólnotę, ale w tej geodzie jest ciepło. Zakładasz więc na siebie mokrą odzież, uznając, że szybko na tobie wyschnie.

Lerna czeka przed łaźnią.

– Tędy – mówi, wskazując drogę.

Idziesz za nim, a on prowadzi cię przez labirynt schodów i platform, aż w końcu docieracie do przysadzistego szarego kryształu, który wystaje ze ściany na jakieś sześć metrów. Mieszkanie Lerna jest mniejsze niż to, które dzielisz z Tonkee i Hoą, ale widzisz tu półki wypełnione ziołami oraz zwiniętymi

bandażami, nietrudno też odgadnąć, że stare ławki w głównym pomieszczeniu mogą służyć za prowizoryczne łóżka. Lekarz musi być przygotowany na wizyty domowe.

Lerna wskazuje ci jedną z ławek i sam siada naprzeciwko.

– Opuściłem Tirimo dzień po tobie – stwierdza cicho. – Oyamar... – Zastępca Raska i kompletny debil, pamiętasz go. – Próbował zorganizować wybory na nowego naczelnika. Nie chciał brać odpowiedzialności za miasto w obliczu nadchodzącego Sezonu. Wszyscy wiedzieli, że Rask nigdy sam by go nie wybrał, ale rodzina Oyamara wyświadczyła mu kiedyś przysługę w związku z prawami do handlu drewnem na zachodzie... – Lerna przerywa, bo to wszystko nie ma już znaczenia. – W każdym razie połowa cholernych Mocarnych biegała po wspólnocie, pijana i uzbrojona, oskarżając każdego o bycie roggą albo kochankiem roggi. Druga połowa robiła to samo, ale po cichu i na trzeźwo, co było jeszcze gorsze. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy pomyślą o mnie. Wszyscy wiedzieli, że byłem twoim przyjacielem.

A więc jesteś winna również temu. To przez ciebie Lerna musiał uciekać z miejsca, gdzie powinien być bezpieczny. Zakłopotana spuszczasz wzrok. On też używa teraz słowa „rogga”.

– Myślałem, że uda mi się dotrzeć do Brilliance, skąd pochodzi rodzina mojej mamy. Ci ludzie ledwie mnie znają, ale słyszeli o mnie, a poza tym jestem lekarzem... Uznałem więc, że mam szansę. Na pewno byłoby lepsze niż zostać w Tirimo i dać się zlinczować. Albo umrzeć z głodu, kiedy przyjdą chłody, a Mocarni wszystko już zjedzą. Pomyślałem też... – Milknie, zerka na ciebie, a potem znowu patrzy sobie na dłonie. – Pomyślałem też, że jeśli będę szedł wystarczająco szybko, być może spotkam cię po drodze. Ale to było głupie; oczywiście cię nie spotkałem.

To zawsze było pomiędzy wami, niewypowiedziane. Podczas twojego pobytu w Tirimo Lerna dowiedział się, czym jesteś; to nie ty mu o tym powiedziałaś. Domyślił się tego, ponieważ jest bystry i ponieważ obserwował cię na tyle uważnie, aby dostrzec pewne objawy. Zawsze cię lubił. Chłopak Makenbów. Sądziłaś, że w końcu z tego wyrośnie. Poprawiasz się na ławce, dochodząc do wniosku, że jednak nie wyrósł.

– Wymknąłem się nocą przez jedną ze szczelin w murze niedaleko miejsca, gdzie... gdzie próbowali cię zatrzymać. – Opiera ręce na kolanach i spogląda na swoje splecione dłonie. Powoli pociera kłykcie kciukiem. Jakby chciał się w ten sposób uspokoić. – Szedłem z innymi ludźmi, posługując się mapą... ale nigdy nie byłem w Brilliance. Na podziemny ogień, wcześniej prawie nie opuszczałem Tirimo. Tak naprawdę zrobiłem to tylko raz, kiedy musiałem ukończyć szkolenie medyczne w Hilde. W każdym razie mapa okazała się niedokładna, a może po prostu nie umiałem jej czytać. Prawdopodobnie jedno i drugie. Nie miałem ze sobą kompasu. Chyba zbyt szybko zszedłem z Cesarskiego Traktu... Myślałem, że idę na południe, a tak naprawdę szedłem na południowy wschód... nie wiem. – Wzdycha i pociera twarz dłonią. – Kiedy dotarło do mnie, że się zgubiłem, byłem już tak daleko, że postanowiłem iść dalej w tym samym kierunku, aby znaleźć jakąś drogę. Na jednym z rozdroży czekała jednak grupka ludzi: bandyci, bezwspółnotowi i tak dalej. Szedłem wtedy w towarzystwie starszego mężczyzny, któremu opatrywałem poważną ranę na piersi, oraz jego może piętnastoletniej córki. Tamci bandyci... – Przerywa, twarz mu tężeje. Domyślasz się, co się stało. Lerna nie jest wojownikiem. Nadal jednak żyje i tylko to się liczy. – Malard, bo tak miał na imię tamten mężczyzna, rzucił się na jednego z nich. Nie był uzbrojony, a należąca do bandy kobieta miała maczetę. Nie wiem, co on chciał zrobić. – Bierze głęboki wdech. – Spojrzał na mnie, a ja... chwyciłem jego córkę i uciekłem – mówiąc to, mocno zaciska szczęki. Jesteś zdziwiona, że nie słyszysz zgrzytania zębów. Zostawiła mnie jakiś czas później. Nazwała mnie tchórzem i samotnie ruszyła w drogę.

– Gdybyś jej stamtąd nie zabrał, zabiliby ją i ciebie również – stwierdzasz. Mówi o tym skałowiedza: „Okazuj honor w chwilach bezpieczeństwa, w zagrożeniu walcz zaś o przetrwanie”. Lepszy żywy tchórz

niż martwy bohater.

Kąciki ust Lerna nieznacznie się unoszą.

– Tak to sobie wtedy tłumaczyłem. Ale później, kiedy odeszła... Na podziemny ogień. Być może tylko odwlekłem to, co nieuchronne. Nieuzbrojona dziewczyna w jej wieku, która samotnie przemierza te tereny...

Nic nie odpowiadasz. Jeśli dziewczyna jest zdrowa i ma odpowiedni rodowód, ktoś ją przygarnie, choćby na Piastunkę. Jeśli ma lepsze nazwisko użytkowe albo jeśli zdoła zdobyć broń lub zapasy, będzie jej łatwiej. To fakt, większe szanse miałyby z Lerną niż bez niego, ale sama dokonała wyboru.

– Nie wiem nawet, czego oni chcieli. – Lerna spogląda na swoje dłonie. Być może gryzie się z tym od tamtej pory. – Nie mieliśmy nic oprócz dwóch ratujworków.

– Jeśli oszczędnie korzystasz z zapasów, to wystarcza – odpowiadasz, zanim zdążysz się powstrzymać. On chyba i tak jednak nie słucha.

– Szedłem więc dalej, samotnie – śmieje się gorzko. – Tak bardzo się o nią martwiłem, że nie docierało do mnie, że jestem w tak samo beznadziejnej sytuacji.

To prawda. Lerna to typowy mieszkaniec Midlatów, tak samo jak ty, z tą różnicą, że nie odziedziczył sanzeńskiej postury ani wzrostu – prawdopodobnie właśnie dlatego zawsze pracował tak ciężko: aby udowodnić, że jest sprawny przynajmniej umysłowo. Dzięki przypadkowi albo genom wyrósł jednak na przystojnego mężczyznę – czasami tak się zdarza. Długi nos Cebakich, sanzeńskie ramiona i kolor skóry, usta mieszkańców Zachodniego Wybrzeża... To zbyt duże pomieszanie jak na gust Równikejczyków, ale według standardów z Somidlatów Lerna jest przystojniakiem.

– Kiedy przechodziłem przez Castrimę, wyglądała na opuszczoną – ciągnie dalej. – Byłem wykończony po ucieczce przed... Nieważne. Pomyślałem, że zaszyję się na noc w jednym z tych domów i może spróbuję rozpałcić małe ognisko w nadziei, że nikt go nie zauważy. Że dla odmiany zjem porządny posiłek. Że będę mógł się zastanowić nad tym, co dalej – uśmiecha się krzywo. – A kiedy się obudziłem, byłem otoczony. Powiedziałem im, że jestem lekarzem, a oni przyprowadzili mnie tutaj. To było jakieś dwa tygodnie temu.

Kiwasz głową. A potem opowiadasz mu własną historię, niczego nie ukrywając. Mówisz o wszystkim, nie tylko o wydarzeniach z Tirimo. Być może czujesz się winna. On zasługuje na całą prawdę.

Kiedy zapada między wami cisza, Lerna kręci głowę i wzdycha.

– Nie spodziewałem się, że będę musiał żyć podczas Sezonu – mówi cicho. – To znaczy, przez całe życie słuchałem przykazań skałowiedzy, tak jak inni... Ale zawsze sądziłem, że akurat mnie to się nie przydarzy.

Każdy tak myśli. Ty też nie spodziewałaś się takiego końca świata.

– Nassun tutaj nie ma – stwierdza Lerna po chwili. Mówi powoli, ale i tak podrywasz głowę. Wzdycha smutno na widok twojej miny. – Przykro mi. Jestem tu od tak dawna, że zdążyłem poznać wszystkich nowo przybyłych. Wiem, że miałaś nadzieję ją tu odnaleźć.

Nie ma tu Nassun. A ty nie wiesz, jak ją odnaleźć ani w jakim kierunku się udać. Pozbawiono cię już nawet nadziei.

– Essun. – Lerna pochyla się nagle w twoją stronę i chwyta cię za rękę. Uświadamiasz sobie, że trzęsą ci się dłonie; on próbuje je uspokoić. – Znajdziesz ją.

Słowa nie mają znaczenia. To tylko odruchowy bełkot, który ma cię uspokoić. Uderza cię to jednak jeszcze mocniej niż tam, u góry, kiedy zaczęłaś się rozklejać przed Ykką. „To koniec”. Cała ta dziwaczna podróż, to ciągle branie się w garść, skupianie się na swoim celu... Wszystko to było bezcelowe. Nassun tu nie ma, straciłaś ją i Jija nigdy nie odpowie za to, co zrobił, a ty...

A kogo, u rdzy, to obchodzi? Kogo ty obchodzisz? W tym właśnie problem, prawda? Kiedyś miałaś bliskich, którym na tobie zależało. Kiedyś były dzieci, które szanowały cię i słuchały. Raz–dwa, a właściwie trzy razy, ale dwa pierwsze się nie liczą – miałaś mężczyznę, obok którego budziłaś się co rano i który coś do ciebie czuł. Kiedyś żyłaś wśród ścian, które on zbudował, w domu, który stworzyliście wspólnie, i we wspólnocie, która zechciała cię przyjąć.

Wszystko to było zbudowane na kłamstwie. Było tylko kwestią czasu, kiedy się rozpadnie.

– Posłuchaj – mówi Lerna. Jego głos sprawia, że mrugasz, a to z kolei wywołuje łzy. Jeszcze więcej łez. Już od jakiegoś czasu płaczesz w milczeniu. Lerna siada obok ciebie na ławce, a ty opierasz się o niego. Wiesz, że nie powinnaś. Robisz to jednak, a kiedy on otacza cię ramieniem, pozwalasz mu na to. To twój przyjaciel. Zawsze nim będzie. – Być może... być może pobyt tutaj to wcale nie takie złe rozwiązanie. Biorąc pod uwagę to wszystko, co się dzieje. Ta wspólnota jest dziwna – krzywi się. – Nie wiem, czy podoba mi się, że tu jestem, ale w tej chwili lepsze to niż przebywanie na górze. Być może z czasem wpadniesz na to, dokąd udał się Jija.

Bardzo się stara. Kręcisz głową, ale jesteś zbyt pusta w środku, żeby wyrazić sprzeciw.

– Masz gdzie się zatrzymać? – pyta. – Dali mi to mieszkanie, więc tobie pewnie też coś przydzielili. Jest tu sporo miejsca. – Potwierdzasz ruchem głowy, a Lerna bierze głęboki oddech. – W takim razie chodźmy. Przedstawisz mnie swoim znajomym.

Bierzesz się w garść. Prowadzisz go w kierunku, gdzie, jak sądzisz, znajduje się przydzielone wam mieszkanie. Po drodze znowu masz okazję się przekonać, jak dziwna jest ta wspólnota. Mijasz wydrążone w białym kryształach pomieszczenie, w którym znajdują się stopy płaskich tac przypominających te, które spotyka się w stołówkach. W innej, zakurzonej i nieużywanej, sali znajdują się przedmioty, które twoim zdaniem muszą być nieumiejętnie wykonanymi narzędziami tortur; nie wiesz, w jaki sposób można kogoś skrzywdzić za pomocą dwóch pierścieni zwisających na łańcuchach z sufitu. Widzisz też metalowe schody – te, które zbudowali założyciele tego miejsca. Są też inne, wykonane niedawno, ale łatwo odróżnić je od oryginalnych, ponieważ tamte nie rdzewieją, nie niszczejają i nie pełnią wyłącznie funkcji użytkowych. Na balustradach i wzdłuż chodników widnieją dekoracje przedstawiające twarze, winorośle o kształtach, jakich nigdy nie widziałaś, i coś, co bierzesz za pismo, choć składa się wyłącznie z zaokrąglonych kształtów różnej wielkości. Próbując zrozumieć, co oglądasz, odrywasz się od swoich myśli.

– To szaleństwo – mówisz, przesuwając dłonią po wzorze przypominającym wyszczerzonego kirkhusa. – To miejsce to jedna wielka ruina po wymarłej cywilizacji, podobna tysiącom innych w całym Bezruchu. Ruiny to śmiertelne pułapki. Wspólnoty z Równikiady zrównują takie miejsca z ziemią i to najmądrzejsze, co można z nimi zrobić. Jeśli ludzie, którzy zbudowali te rzeczy, nie zdołali w nich przetrwać, to dlaczego my mielibyśmy próbować to zrobić?

– Nie wszystkie ruiny są śmiertelnymi pułapkami. – Lerna chodzi po platformie, trzymając się blisko kryształu, wokół którego ją zbudowano, i patrząc prosto przed siebie. Nad jego górną wargą błyszczą kropelki potu. Nie wiedziałaś, że ma lęk wysokości, ale przecież Tirimo jest równie płaskie, co nudne. – Mówi się, że Yumenes zbudowano na całym skupisku ruin po wymarłej cywilizacji.

„I zobacz, jak świetnie się to skończyło”. Nie wypowiadasz tego na głos.

– Ci ludzie powinni byli postawić mury wokół miasta, tak samo jak inni – mówisz, ale nagle przerywasz, bo uświadamiasz sobie, że chodzi tu o przetrwanie, a ono czasami wymaga zmian. Sam fakt, że standardowe metody, czyli budowanie murów, przyjmowanie przydatnych osób, wydalanie bezużytecznych, zbrojenie się, magazynowanie żywności i liczenie na szczęście, się sprawdzały, nie oznacza, że nie będą sprawdzać się inne. Ale coś takiego? Wchodzenie pod ziemię i ukrywanie się

w najeżonym ostrymi skałami bąblu razem ze zjadaczami kamieni i roggami? Brzmi to wyjątkowo nierozsądnie.

– A jeśli spróbują mnie tu zatrzymać, przekonają się o tym na własnej skórze – dodajesz.

Nie wiesz, czy Lerna cię słyszy; nie odpowiada.

W końcu odnajdujesz swoje mieszkanie. Tonkee wstała już i siedzi w salonie, jedząc z miski coś, co nie pochodzi z waszych zapasów. Wygląda to jak owsianka i ma w środku żółtawe drobinki, na widok których cię odrzuca. Kiedy jednak Tonkee przechyla miskę, widzisz, że to tylko kielki. Typowe jedzenie magazynowe.

(Tonkee przygląda ci się uważnie, kiedy podchodzisz bliżej, ale w porównaniu ze wszystkim, co dzisiaj usłyszałaś, jej wyznanie jest tak nieistotne, że tylko witasz się z nią machnięciem ręki i siadasz naprzeciwko niej, jak zwykle. Wtedy ona się rozluźnia).

W obecności Tonkee Lerna jest uprzejmy, ale czujny, tak samo jak ona przy nim – do momentu, kiedy Lerna wspomina, że poddawał mieszkańców Castrimy badaniom krwi i moczu, aby sprawdzić, czy nie cierpią na niedobór witamin. Niemal się uśmiechasz, kiedy ze swoim charakterystycznym, wyrażającym chciwość wyrazem twarzy Tonkee pochyla się i pyta:

– Z jakich urządzeń korzystałaś?

Następnie do mieszkania wchodzi Hoa. Jesteś zdziwiona, bo nie wiedziałaś, że był na zewnątrz. Chłopiec natychmiast skupia swój lodowobiały wzrok na Lerne i bezczelnie mu się przygląda. Zaraz jednak rozluźnia się i jest to tak wyraźne, że dopiero teraz sobie uświadamiasz, jak bardzo spięty był przez cały ten czas. Od chwili, kiedy trafiliście do tej dziwnej wspólnoty.

Odsuwasz to jednak od siebie jako kolejne dziwactwo, którym będziesz musiała zająć się później, ponieważ Hoa mówi:

– Essun. Powinnaś kogoś poznać.

– Kogo?

– Mężczyznę. Z Yumenes.

Wszyscy troje mu się przyglądacie.

– Dlaczego miałabym chcieć poznać kogoś z Yumenes? – pytasz powoli, bo możliwe, że źle coś zrozumiałaś.

– Pytał o ciebie.

Postanawiasz spróbować zachować cierpliwość.

– Hoa, ja nie znam nikogo z Yumenes.

Już nie.

– On twierdzi, że cię zna. Wysłędził cię i kiedy zrozumiał, że zmierzasz do tego miejsca, dotarł tu przed nami. – Hoa chmurzy się odrobinę, jakby sprawiało mu to trudność. – Mówi, że chce się z tobą zobaczyć i sprawdzić, czy możesz już to zrobić.

– Co zrobić?

– Tak powiedział. – Hoa spogląda na Tonkee, potem na Lerne, a w końcu znowu na ciebie. Wolałby chyba, żeby oni tego nie słyszeli. – Jest taki jak ty.

– Co... – Okej. Pocierasz oczy, bierzesz głęboki wdech i mówisz to na głos, żeby przekonać chłopca, że nie musi tego ukrywać. – Jest roggą, tak?

– Tak. Nie. Jest taki jak ty. Jego... – Hoa porusza dłonią, nie mogąc znaleźć właściwego słowa. Tonkee otwiera usta, a ty powstrzymujesz ją gwałtownym gestem. Ona spogląda na ciebie z wyrzutem. Po chwili Hoa wzdycha. – Powiedział, że jeśli nie będziesz chciała przyjść, mam powiedzieć, że jesteś mu to winna. Za Korunda.

Zastygasz w bezruchu.

– Alabaster – szepczesz.

– Tak. Tak ma na imię – Hoa nagle się rozpromienia. Zaraz jednak marszczy czoło. – On umiera.

SEZON SZALEŃSTWA: trzeci rok przedimperialny – siódmy rok imperialny. W wyniku wybuchu Pułapek Kiash, czyli wielu ujść starego superwulkanu (tego samego, który, jak się powszechnie uważa, dziesięć tysięcy lat wcześniej rozpoczął Sezon Bliźniaczy), w powietrze dostały się olbrzymie ilości oliwinu oraz innych ciemnych skał piroklastycznych. Dekada mroku, która później nastąpiła, okazała się bardziej katastrofalna niż inne Piąte Pory Roku, ponieważ poskutkowała również znacznym nasileniem chorób psychicznych. Sanzeńska przywódczyni bandy rozbójniczej Verishe podbiła wiele sąsiednich wspólnot za pomocą psychologicznych metod mających na celu przekonanie wrogów, że bramy i mury nie zapewniają właściwej ochrony i że wszędzie czają się widziadła. Pierwszego dnia, kiedy na niebie pojawiło się słońce, Verishe została mianowana Cesarzową.

Sezony Sanze, podręcznik dla dwunastolatków

SJENIT, PEKNIĘTA

Jest ranek po hucznej zabawie, którą Meoviańczycy wyprawili w celu uczczenia szczęśliwego powrotu Clalsu i zdobycia wyjątkowych dóbr: wysokiej jakości kamieni do rzeźbiarstwa, aromatycznego drewna na meble, eleganckich ubrań z wyłaczanymi wzorami wartych dwukrotności swojej wagi w diamentach oraz walut handlowych, w tym również papierów wartościowych i całych sztabek masy perłowej. Żadnego jedzenia, ale mając tyle pieniędzy, meoviańscy kupcy będą mogli popłynąć na ląd i kupić wszystko, co potrzeba. Harlas otworzył beczkę piekielnie mocnego antarktycznego miodu i połowa mieszkańców wspólnoty śpi już pijana.

Minęło pięć dni od chwili, kiedy Sjenit uśpiła wulkan, który sama wzbudziła i który zniszczył całe miasto, oraz osiem dni od chwili, kiedy zatopiła dwa statki pełne ludzi, aby utrzymać istnienie swojej rodziny w tajemnicy. Wygląda to tak, jakby wszyscy świętowali z okazji tej masakry, której się dopuściła.

Ona sama nadal leży w łóżku, w którym położyła się, kiedy tylko rozładowano statek. Innon nie przyszedł jeszcze do domu; kazała mu iść do ludzi i opowiadać historie z podróży, ponieważ wszyscy tego oczekiwali, a ona nie chce przytłaczać go własnym smutkiem. Jest z nim Koru, który uwielbia takie okazje – wszyscy go karmią i przytulają. Próbuje nawet pomagać Innonowi w opowiadaniu historii, wrzeszcząc niezrozumiale na całe gardło. Chłopiec przypomina Innona bardziej, niż powinien.

To Alabaster pozostał ze Sjen, mówi do niej i zmusza ją do odpowiedzi, choć wolałaby w ogóle przestać myśleć. Twierdzi, że zna to uczucie, choć nie chce jej opowiedzieć, co takiego zrobił. Ona mimo wszystko mu wierzy.

– Powinieneś iść – odzywa się w końcu Sjen. – Dołącz do biesiadujących. Przypomnij Koru, że ma dwoje rodziców, którzy są coś warci.

– Nie bądź głupia. Ma ich troje.

– Innon uważa, że jestem okropną matką.

Alabaster wzdycha.

– Nie. Po prostu nie jesteś matką, którą Innon chciałby, żebyś była. Ale jesteś matką, której potrzebuje nasz syn. – Sjen odwraca się do niego, ściągając brwi. Alabaster wzrusza ramionami. – Pewnego dnia Korund będzie silny. Potrzebuje silnych rodziców. Ja... – nagle przerywa. Sjen czujesz, że postanowił zmienić temat. – Proszę. Przyniosłem ci coś.

Kobieta wzdycha i podnosi się na łokciach, podczas gdy on, kucając przy łóżku, rozwija niewielki tobołek. Zaciekawiona, wbrew sobie, Sjen pochyła się, a wtedy dostrzega dwa wypolerowane kamienne pierścienie, które powinny pasować na jej palce. Jeden wykonano z jadeitu, drugi z masy perłowej.

Patrzy na niego, a on wzrusza ramionami.

– Czteropierścienicy nie zamykają aktywnych wulkanów.

– Jesteśmy wolni – odpowiada mu z zawziętą miną, choć wcale nie czuje się wolna. Może zrobiła to za późno i w niewłaściwy sposób, ale w końcu dokończyła przecież w Allia misję, którą zleciło jej Fulcrum. Na samą myśl o tym wybucha zazwyczaj niekontrolowanym śmiechem, dlatego powstrzymuje się, póki jeszcze może. – Nie musimy już nosić pierścieni. Ani czarnych mundurów. Od miesiąca nie zwiążuję włosów w kok. Nie musisz już sypiać z każdą kobietą, którą przysyłają do ciebie jak jakieś zwierzę rozplodowe. Zapomnijmy o Fulcrum.

Baster uśmiecha się smutno.

– Nie możemy, Sjen. Jedno z nas będzie musiało nauczyć Korunda...

– Nie musimy niczego go uczyć. – Sjen znowu opada na łóżko. Chciałaby, żeby już sobie poszedł. –

Niech nauczy się podstaw od Innona i Harlasa. To wystarczyło tym ludziom do przeżycia wielu stuleci.

– Innon nie stłumiłby tego wstrząsu, Sjen. Gdyby spróbował, mógłby wysadzić cały punkt zapalny i wywołać Piątą Porę Roku. Ty ocaliłaś przed tym świat.

– W takim razie daj mi medal, a nie pierścienie – mówi, patrząc w sufit. – Tylko że to ja wywołałam tamten wstrząs, więc może jednak nic mi nie dawaj.

Alabaster odgarnia jej włosy z twarzy. Od kiedy Sjen nosi je luźno, często to robi. Zawsze trochę wstydziała się swoich włosów – są kręcone, ale nie mają w sobie sanzeńskiej sztywności ani twardości typowej dla ludzi z Wybrzeża. Jest Midlackim Kundlem, nie wie nawet, jakich przodków powinna winić za włosy. Ale przynajmniej fryzura w niczym jej nie przeszkadza.

– Jesteśmy tym, czym jesteśmy – mówi Alabaster z taką czułością, że chce jej się płakać. – Jesteśmy Misalemami, nie Shemshenami. Znasz tę historię?

Palce Sjenit drżą na wspomnienie bólu.

– Tak.

– Znasz ją od swojego Stróża, prawda? Lubią opowiadać ją dzieciom.

Baster opiera się swobodnie o słupek łóżka, plecami do niej. Sjenit chciałaby go poprosić, żeby wyszedł, ale nie mówi tego na głos. Nie patrzy na niego, więc nie ma pojęcia, co robi z pierścieniami, których nie chciała przyjąć. Jeśli o nią chodzi, może je nawet zjeść.

– Mój Stróż też opowiadał mi te bzdury, Sjen. Historię potwornego Misalema, który bez żadnego powodu postanowił wypowiedzieć wojnę całemu krajowi i Cesarzowi Sanze.

Sjenit marszczy czoło.

– A miał powód?

– Och, na Złą Ziemię, oczywiście. Pomyśl trochę.

Skarcona odczuwa złość, a to z kolei jeszcze bardziej popycha ją w apatię. Stary dobry Alabaster pocieszający ją wkurzaniem. Sjen odwraca się i wściekła spogląda na tył jego głowy.

– To jaki był ten powód?

– Najprostszy i najmocniejszy powód z możliwych: zemsta. Cesarzem był wtedy Anafumeth, a wszystko to wydarzyło się tuż po zakończeniu Sezonu Zęba. O tej Piątej Porze Roku w szkołach zbyt dużo się nie mówi. We wspólnotach na północnej półkuli ludzie masowo umierali z głodu. Odczuli Sezon bardziej dotkliwie, bo wstrząs, który go rozpoczął, miał miejsce bliżej północnego bieguna. Do Równikiady i na południe tamta Piąta Pora Roku dotarła dopiero rok później...

– Skąd to wszystko wiesz? – Sjen nigdy tego nie słyszała: ani podczas lekcji dla żwirów, ani nigdzie indziej.

Alabaster wzrusza ramionami, potrząsając jednocześnie całym łóżkiem.

– Nie mogłem uczyć się z innymi żwirami z mojego roku; nosiłem pierścienie, zanim większości z nich wyrosły włosy łonowe. Instruktorzy zostawiali mnie więc samego w bibliotece dla seniorów. Nie zwracali większej uwagi na to, co czytam. – Wzdycha. – Również podczas mojej pierwszej misji... Był pewien acheometa, który... No cóż. Oprócz innych rzeczy również... rozmawialiśmy.

Sjen nie ma pojęcia, dlaczego Alabaster wstydzi się swoich romansów. Nieraz widziała przecież, jak Innon rżnie go do nieprzytomności. Ale może to nie seksu Alabaster się wstydzi.

– W każdym razie... To wszystko jest w księgach; wystarczy zebrać fakty i zastanowić się nad nimi, wykraczając poza to, czego uczy nas Fulcrum. Sanze było wtedy nowym, rozwijającym się Imperium u szczytu swoich możliwości. Zajmowało jednak głównie północną część Równikiady, a Yumenes nie było jeszcze wtedy stolicą. Niektóre większe wspólnoty nie były przygotowane na nadejście Sezonu tak

dobrze, jak dzisiaj. Straciły swoje magazyny z żywnością w wyniku ognia, zagrzybienia albo Ziemia wie czego. Aby przetrwać, wszystkie wspólnoty Sanze postanowiły współpracować i atakować wspólnoty należące do gorszych ras. – Kąciki jego ust unoszą się, kiedy to mówi. – To wtedy zaczęli nazywać nas „gorszą rasą”.

– Zabrali więc zapasy innym wspólnotom. – Tyle Sjen potrafi odgadnąć. Zaczyna być znudzona.

– Nie. Pod koniec tamtego Sezonu nikt nie miał już zapasów. Sanzeńcy brali ludzi.

– Ludzi? Po co... – Ale nagle rozumie.

Podczas Sezonu nikt nie potrzebuje niewolników. Każda wspólnota ma swoich Mocarnych, a jeśli potrzebuje więcej ludzi, jest mnóstwo bezwspółnotowych, którzy chętnie będą pracować za jedzenie. Kiedy jednak jest bardzo źle, ludzkie ciało najwyraźniej okazuje się cenne z innych powodów.

– To właśnie podczas tamtej Piątej Pory Roku Sanzeńcy zasmakowali w pewnych rzadkich rarytasach – mówi Alabaster, nieświadomy, że Sjen walczy z mdłościami. – I nawet kiedy Sezon się zakończył, ziemia zazieleniła, a zwierzęta stały się roślinożerne albo wyszły ze stanu hibernacji, Sanzeńcy pozostali przy swojej nowej diecie. Napadali na mniejsze osady i nowe wspólnoty zamieszkiwane przez rasy pozbawione związków z Sanze. Relacje różnią się co do szczegółów, jednak wszystkie zgadzają się co do tego: że Misalem jako jedyny ocalał podczas napadu na jego rodzinę. Jego dzieci zostały podobno zarżnięte na stole samego Anafumetha, choć osobiście uważam, że tę część historii ubarwiono dla większego dramatyzmu. Tak czy inaczej, cała jego rodzina zginęła i była to wina Anafumetha, dlatego Misalem pragnął jego śmierci. Tak samo jak pragnąłby tego każdy człowiek na jego miejscu.

Ale rogga to nie człowiek. Roggi nie mają prawa być wściekłe, żądać sprawiedliwości i chronić tego, co kochają. Shemshena zabiła Misalema za jego arogancję i dzięki temu została bohaterką.

Sjenit zastanawia się nad tym w ciszy. Następnie Alabaster porusza się, a ona czuje, że wciska jej w rękę zawiniątko z pierścieniami, których nie chciała.

– Górotwory zbudowały Fulcrum – tłumaczy. Chyba nigdy jeszcze nie słyszała, żeby używał słowa „górotwór”. – Zrobiliśmy to w obliczu groźby ludobójstwa i sami zacisnęliśmy sobie w ten sposób obroże na szyjach, ale zrobiliśmy to. To my jesteśmy powodem, dla którego Stare Sanze stało się tak potężne i istniało tak długo, a także dla którego nadal po części sprawuje władzę nad światem, choć nikt nie chce tego przyznać. To my odkryliśmy, jak wspaniała może być nasza rasa, jeśli nauczymy się szlifować dar, z którym się urodziliśmy.

– To nie dar, ale przekleństwo. – Sjenit zamyka oczy. Nie odkłada jednak zawiniątko.

– Jeśli czyni nas lepszymi, jest darem. Jeśli pozwalamy, żeby nas zniszczyło, jest przekleństwem. To my o tym decydujemy – nie instruktorzy, Stróże ani nikt inny.

Alabaster znowu się porusza, a łóżko przesuwają się odrobinę pod jego ciężarem. Chwilę później czuje na czole jego suche, delikatne usta. Następnie mężczyzna schodzi z powrotem na podłogę i nie mówi nic więcej.

– Wydaje mi się, że widziałam Stróża – odzywa się po chwili Sjen. Bardzo cicho. – W Allia.

Przez chwilę Alabaster nie odpowiada. Kiedy Sjen dochodzi już do wniosku, że w ogóle jej nie odpowie, on stwierdza:

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek nas skrzywdzą, rozszarpie świat na kawałki.

„Ale i tak zostaniemy skrzywdzeni”, myśli Sjen.

Jego słowa są jednak kojące. Potrzebowała usłyszeć takie kłamstwo. Przez długi czas nie otwiera oczu i się nie porusza. Nie śpi – myśli. Alabaster zostaje z nią, a ona jest mu za to niewymownie wdzięczna.

Trzy tygodnie później, kiedy kończy się świat, przychodzi najpiękniejszy dzień, jaki Sjenit kiedykolwiek widziała. Niebo jest czyste i tylko niekiedy przepływa po nim jakaś chmurka. Morze jest spokojne, nawet wszechobecny wiatr choć raz wydaje się ciepły i wilgotny, a nie zimny i nieprzyjemny.

Jest tak pięknie, że cała wspólnota postanawia wyjść na wzgórza. Sprawni niosą tych, którzy nie mogą pokonać schodów, podczas gdy dzieci wchodzą pod nogi, omal wszystkich nie zabijając. Osoby, które pełnią akurat dyżur w kuchni, wkładają ciasto rybne, pokrojone owoce i kulki zbożowe obtoczone w przyprawach do niewielkich, poręcznych garnków, a wszyscy inni zabierają ze sobą koce. Innon ma instrument muzyczny, którego Sjenit nigdy wcześniej nie widziała – to coś w rodzaju bębna ze strunami – i który w Yumenes musiałby zrobić furorę. Alabaster niesie Korunda. Sjenit zabiera ze sobą naprawdę fatalną powieść, którą ktoś znalazł na szabrowanym statku; już podczas lektury pierwszej strony krzywiła się i chichotała. A potem oczywiście czytała dalej. Uwielbia książki, które służą wyłącznie rozrywce.

Meoviańscy rozpraszają się na zboczu osłoniętym od wiatru, a jednocześnie skąpanym w słońcu. Sjenit rozkłada koc w odosobnieniu, inni jednak szybko ją otaczają, uśmiechając się w odpowiedzi na jej groźne spojrzenia.

W ciągu ostatnich trzech lat zrozumiała, że większość członków wspólnoty traktuje ją i Alabastrę jak swego rodzaju dzikie zwierzęta, które przyjęły ludzkie zachowania i są nieoswajalne, ale sympatyczne i ciekawe. Dlatego kiedy widzą, że Sjen czegoś potrzebuje, ale nie chce się do tego przyznać, i tak jej pomagają. Poza tym nieustannie zajmują się Alabastrem: przytulają go, ściskają go za ręce i ciągną do tańca, a Sjen cieszy się tylko, że nie próbują robić tego z nią. Mimo jego pozorowanej nieprzystępności wszyscy widzą, że Alabaster lubi być dotykany. Prawdopodobnie nie wyniósł tego z Fulcrum, gdzie inni bali się go ze względu na jego moc. Być może z tego samego powodu mieszkańcy Meov sądzą, że Sjen lubi, aby przypominać jej, że jest teraz częścią większej społeczności i że nie musi się już przed wszystkim bronić.

Mają rację. Ale to nie znaczy, że im się do tego przyzna.

Innon podrzuca Koru wysoko w powietrze, a Alabaster udaje, że wcale nie jest przerażony, choć z każdym podrzutem jego górotwórstwo wywołuje podwodne mikrowstrząsy; Hemoo rozpoczyna coś w rodzaju poetyckiej zabawy w rytm melodii, którą wydają się znać wszyscy zgromadzeni; córka Ougha, Owel, próbuje biec po rozłożonych kocach i trąca co najmniej dziesięć osób, zanim wreszcie ktoś chwyta ją i unieruchomi łąskotkami; pomiędzy ludźmi krąży kosz pełen małych glinianych butelek z płynem, którego zapach pali Sjen w nosie...

Czasami myśli, że mogłaby pokochać tych ludzi.

Być może już ich kocha. Nie jest pewna. Kiedy jednak Innon opada na koc, żeby się zdrzemnąć – Koru zasypia na jego piersi – śpiewanie poezji zamienia się w konkurs wulgarnych dowcipów, a Sjenit jest już tak bardzo pijana, że świat sam zaczyna się poruszać... Unosi wzrok i widzi Alabastrę. Oparł się na łokciu i przegląda tę okropną książkę, którą w końcu jednak porzuciła. Przewracając strony, robi zabawne miny. Jednocześnie drugą ręką bawi się jednym z warkoczyków Innona. W ogóle nie przypomina na wpaół szalonego potwora, z którym Feldspar wysłała ją w podróż.

Kiedy na nią spogląda, w jego wzroku widać czujność. Sjen jest tym zdziwiona. Ale to przecież ona jako jedyna wie, jak wyglądało wcześniej jego życie. Czy jest na nią zły za to, że swoją obecnością wciąż przypomina mu o tym, o czym wolałby zapomnieć?

Alabaster uśmiecha się, a ona odruchowo marszczy brwi. Jego uśmiech staje się coraz szerszy.

– Nadal mnie nie lubisz, prawda?

– A co cię to obchodzi? – prychnęła.

Alabaster kręci głową, potem wyciąga rękę i gładzi włosy Koru. Chłopiec porusza się i mruży coś przez sen, a twarz Alabastra łagodnieje.

– Chciałabyś mieć więcej dzieci?

Sjen patrzy na niego z otwartymi ustami.

– Oczywiście, że nie. Nie chciałam nawet tego.

– Ale on już tu jest. I jest piękny. Prawda? Rodzisz piękne dzieci. – To prawdopodobnie największy idiotyzm, jaki mógł powiedzieć, ale w końcu to Alabaster. – Mogłabyś mieć kolejne z Innonem.

– Może Innon też powinien wypowiedzieć się w tej kwestii, zanim zaplanujemy mu przyszłość?

– Kocha Koru i jest dobrym ojcem. Ma już dwójkę innych, udanych dzieci. To jednak nieruchomi. – Przez chwilę się nad czymś zastanawia. – Ty i Innon moglibyście mieć dziecko, które będzie nieruchome.

W takim miejscu nie byłoby to nic strasznego.

Sjenit kręci głową, ale myśli o małej wkładce dopochwowej, której nauczyły ją używać tutejsze kobiety. Myśli o tym, że może mogłaby przestać z niej korzystać. Mówi jednak:

– Wolność oznacza, że możemy decydować o tym, co robimy. My, nikt inny.

– Tak. Ale kiedy myślę o tym, czego chcę... – Alabaster swobodnie wzrusza ramionami, lecz kiedy spogląda na Innona i Koru, w jego wzroku widać skupienie. – Nigdy nie chciałem od życia zbyt wiele. Właściwie tylko tyle, by móc żyć. Nie jestem taki jak ty, Sjen. Nie chcę niczego sobie udowadniać. Nie chcę zmieniać świata, pomagać ludziom ani dokonywać wielkich rzeczy. Chcę tylko... tego.

Sjen to rozumie. Kładzie się więc po jednej stronie Innona, a Alabaster po drugiej i odpoczywają, ciesząc się poczuciem jedności.

Oczywiście, coś takiego nie może trwać długo.

Sjenit budzi się, kiedy Innon wstaje, rzucając na nią cień. Nie zamierzała ucinać sobie drzemki, a jednak spała całkiem długo i teraz słońce zsuwa się już w stronę oceanu. Koru wydaje niespokojne dźwięki, Sjenit siada więc i pociera twarz jedną dłonią, a drugą sprawdza, czy nie narobił w pieluchę. Pielucha jest czysta, ale odgłosy, które chłopiec wydaje, stają się niepokojące, a kiedy Sjen rozbudza się całkowicie, dostrzega ich przyczynę. Innon wstaje, unosząc Koru na jednym ramieniu, ale marszczy czoło i spogląda na Alabastra. Alabaster stoi, cały napięty.

– Coś... – szepcze. Stoi zwrócony twarzą do lądu, ale widok zasłania mu grzbiet góry. Z drugiej strony nie patrzy przecież oczami.

Sjen sejszy w obawie, że wyczuje tsunami albo coś jeszcze gorszego. Ale nic tam nie ma.

To nic jest wręcz podejrzane. Powinna coś wyczuć. Pomiędzy wyspą a lądem znajduje się kraniec płyty tektonicznej, a takie miejsca nigdy nie są nieruchome. Podskakują, drżą i wibrują na milion różnych sposobów, które wysejszyć może tylko rogga – to jak elektryczność, którą zynierowie tworzą za pomocą turbin wodnych i beczek z substancjami chemicznymi. Teraz jednak – to niemożliwe – kraniec płyty tektonicznej jest nieruchomy.

Zaskoczona Sjen spogląda na Alabastra. Jej uwagę zwraca jednak zasmarkany, rozwrzeszczany Korund, który wierci się i szarpie na rękach Innona, choć właściwie nigdy się tak nie zachowuje. Alabaster też na niego patrzy. Na jego twarzy maluje się coś przerażającego.

– Nie – mówi. Potrząsa głową. – Nie. Nie, nie pozwolę im.

– Co się dzieje? – Sjenit spogląda na niego, próbując zignorować narastający w niej lęk oraz to, że pozostali również wstają i szepczą, zaalarmowani. Kilka osób biegnie na szczyt wzgórza, żeby się stamtąd rozejrzeć. – Baster, co się dzieje? Na litość Ziemi...

On jednak wydaje z siebie dźwięk, który nie jest słowem, a jedynie negacją, a potem nagle puszcza się biegiem pod górę. Sjenit patrzy na niego, później na Innona, który kręci głową i wygląda na jeszcze bardziej zagubionego niż ona. Ludzie, którzy dotarli na szczyt przed Basterem, krzyczą i wołają pozostałych. Coś jest nie tak.

Sjenit i Innon ruszają w górę zbocza wraz z innymi. Docierają na szczyt i spoglądają na bezkres oceanu ciągnący się w stronę lądu.

Na horyzoncie widać cztery maleńkie, ale wyraźnie powiększające się statki.

Innon przeklina i podaje chłopca Sjenit, a ta o mały włos go nie upuszcza, ale zaraz mocno przyciska go do piersi. Innon szpera po kieszeniach i wyciąga niewielką lunetę. Rozsuwa ją i przez chwilę patrzy uważnie, a potem się krzywi, podczas gdy Sjenit bezskutecznie próbuje uspokoić Koru. Koru po prostu nie daje się uspokoić. Kiedy Innon opuszcza lunetę, Sjen chwyta ją i oddaje mu chłopca.

Cztery statki są już większe. Mają zwyczajne białe żagle, dlatego Sjen nie rozumie, co tak zdenerwowało Alabastra. Wtedy też dostrzega postaci stojące na dziobie jednego ze statków.

Postaci w burgundowych strojach.

Zszokowana nie może oddychać. Cofa się i wypowiada słowo, które Innon musi usłyszeć, ale robi to bezsilnie, bezgłośnie. Innon zabiera jej lunetę, bo wygląda, jakby miała ją upuścić. Zaraz potem, ponieważ muszą coś zrobić, ponieważ ona musi coś zrobić, skupia się i mówi, tym razem głośniej:

– Stróże.

Innon marszczy brwi.

– Jak...

Sjen widzi, że Innon zaczyna rozumieć to samo, co ona. Odwraca wzrok, zamyślony, po czym kręci głową. Nieważne, jak Stróże znaleźli Meov. Nie wolno wpuścić ich na wyspę. Nie wolno pozwolić im przeżyć.

– Niech ktoś zajmie się Koru – mówi, odsuwając się od krawędzi skały; jego twarz tężeje. – Będziemy cię potrzebować, Sjen.

Sjenit kiwa głową i rozgląda się dookoła. Deelashet, jedna z niewielu mieszkających tu Sanzenek, spieszy ku niej z własnym synem, może o pół roku starszym od Koru. Kilka razy opiekowała się Korundem, kiedy Sjen była zajęta; Sjen dostrzega ją i rusza w jej stronę.

– Proszę... – mówi, wpychając jej Koru w ramiona. Deelashet kiwa głową.

Korundowi jednak ten plan się nie podoba. Kopie, krzyczy i nie chce puścić Sjenit, a cała wyspa – na Złą Ziemię – zaczyna nagle drżeć. Deelashet chwieje się, z przerażeniem patrząc na Sjenit.

– Kurwa. – Sjenit bierze Koru z powrotem i opiera go sobie na biodrze, a chłopiec natychmiast się uspokaja.

Kobieta zrównuje się z Innonem, który biegnie już w stronę metalowych schodów i krzyczy do członków załogi, rozkazując wejście na statek i przygotowanie go do odpływu.

To szaleństwo. To wszystko szaleństwo, myśli Sjen, biegnąc. To niemożliwe, że Stróże znaleźli tę wyspę. To niemożliwe, że tu płyną – dlaczego akurat tutaj? I dlaczego akurat teraz? Meov jest tu od pokoleń i od pokoleń atakuje wybrzeże. Jedyne, co się zmieniło, to obecność Sjenit i Alabastra.

Sjen ignoruje cichy głos, który szepcze jej z tyłu głowy: „Wyśledzili cię, wiesz o tym, nie powinnaś była płynąć do Allia, to była pułapka, nie powinnaś była się tu osiedlać, zawsze przynosisz ze sobą śmierć”.

Nie patrzy na swoje palce, na które – tylko po to, żeby pokazać Alabastrowi, że docenia jego gest – założyła cztery pierścienie z Fulcrum i dwa otrzymane od niego. Nie zdobyła ich w ramach żadnego egzaminu. Ale kto może wiedzieć lepiej, czy na nie zasłużyła, niż człowiek, który sam zdobył ich dziesięć? Poza tym, do ciężkiej cholery, uspokoiła wulkan utworzony przez zniszczony obelisk ze zjadaczem kamieni w środku.

Nagle postanawia więc pokazać tym zardzewiałym Stróżom, na co stać sześcioletniego.

Dociera na poziom wspólnoty, gdzie panuje chaos: ludzie wyciągają szklane noże, pakują się, wrzucają do łodzi harpuni i skąd tylko się da, wyprowadzają katapulty oraz kule łańcuchów. Sjen biegnie po

deskach do Clalsu, gdzie Innon rozkazuje wciągnąć kotwicę, a wtedy do głowy przychodzi jej pytanie: gdzie podział się Alabaster?

Zatrzymuje się na pokładzie. Kiedy to robi, czuje tak potężny przypływ górotwórstwa, że przez chwilę wydaje jej się, jakby drżał cały świat. W całej zatoce marszczy się woda. Sjen podejrzewa, że nawet w chmurach dałoby się wyczuć ten wstrząs.

Nagle z morza, niecałe pięćset metrów od brzegu, wyrasta ściana. To olbrzymia skała ociosana w kształt idealnego kwadratu i tak wielka, że mogłaby – och, na pieprzoną rdzę, nie! – przykryć całą tę cholerną zatokę.

– Baster! Niech to Ziemia...

Nie słyszy nic w huku wody i skały, którą podnosi Alabaster i która rozmiarem dorównuje całej wyspie Meov. Jak udaje mu się to zrobić bez żadnego wstrząsu i bez żadnego pobliskiego punktu zapalnego? Połowa wyspy powinna być już zamrożona. Wtedy jednak coś migocze na skraju wzroku Sjen, a ona odwraca się i dostrzega w oddali ametystowy obelisk. Jest coraz bliżej. Podąża w ich stronę. A więc właśnie tak.

Innon przeklina, jest wściekły; doskonale rozumie, że w jakikolwiek sposób Alabaster robi to, co robi, zachowuje się niczym nadopiekuńczy głupek. Innon zamienia wściekłość w czyn. Z wody wokół statku unosi się mgła, a deski pokładu trzeszczą, zamrożone, kiedy Innon próbuje rozbić najbliższy fragment skały, żeby móc wypłynąć za niego i walczyć. Ściana kruszy się, a z drugiej strony rozlega się huk. Kiedy fragment zniszczonej przez Innona ściany wali się w morze, okazuje się, że z tyłu jest jeszcze jedna ściana.

Sjenit ma ręce pełne roboty, bo próbuje ukształtować fale. Można używać górotwórstwa na wodzie, ale jest to trudne. Po tak długim okresie mieszkania pośrodku olbrzymiego zbiornika wodnego Sjen w końcu zaczyna sobie z tym radzić; to jedna z niewielu rzeczy, których Innon mógł nauczyć ją i Alabastra. Morze jest wystarczająco ciepłe i jest w nim wystarczająco dużo minerałów, aby mogła je poczuć, a woda porusza się całkiem podobnie do kamienia – tylko szybciej – i można nią manipulować. Delikatnie. Sjen robi to właśnie teraz, trzymając Koru blisko siebie, w bezpiecznej strefie swojego torusa, i skupiając się na rozbijaniu nadpływających fal odpowiednio silnymi wstrząsami. W dużej mierze jej się to udaje; wprawdzie Clalsu kołysze się szaleńczo i zrywa się z cum, a jedna z przystani wpada do wody, ale nic się nie przewraca i nikt nie umiera. Sjenit uważa to za sukces.

– Co on, u rdzy, wyprawia?! – pyta Innon, dysząc, a ona podąża za jego spojrzeniem i w końcu dostrzega Alabastra.

Stoi w najwyższym miejscu wyspy, na skałach. Nawet stąd Sjen widzi jego lśniący i zimny torus; cieplejsze powietrze dookoła faluje pod wpływem zmiany temperatury, a cała wilgoć zamienia się w śnieg. Jeśli używa obelisku, to nie powinien już potrzebować otaczających go zasobów, prawda? Chyba że robi coś, do czego sam obelisk nie wystarcza.

– Na podziemny ogień – mówi Sjen. – Muszę tam iść.

Innon chwyta ją za rękę. Sjen podnosi wzrok i dostrzega jego wystraszone spojrzenie.

– Będziemy mu tylko przeszkadzać.

– Ale nie możemy siedzieć tu i czekać! Nie możemy... na nim polegać – kiedy to mówi, ściska ją w łożądku. Innon nigdy nie widział, jak Alabaster traci kontrolę. I Sjen nie chce, żeby to widział.

Alabaster zachowywał się w Meov tak dobrze; prawie jakby opuściło go szaleństwo. Sjen myśli jednak: „Co raz pękło, pęknie znowu, tym razem szybciej”. Kręci głową, próbując wcisnąć Innonowi Koru.

– Muszę. Być może uda mi się mu pomóc. Koru nie chce zostać z nikim innym, proszę...

Innon przeklina, ale bierze chłopca, który uczepia się jego koszuli i wsuwa sobie kciuk do ust. Tymczasem Sjen rusza wzdłuż krawędzi półki skalnej i w górę, po schodach.

Kiedy wychodzi ponad skalną barierę, może w końcu zobaczyć, co dzieje się dookoła, i przystaje nagle, zszokowana. Statki są już znacznie bliżej, tuż za ścianą, którą Baster wznosił, aby ochronić zatokę. Są jednak tylko trzy, ponieważ jeden z nich zboczył z kursu i mocno przechyliła się na burtę – nie, on tonie. Sjen nie ma pojęcia, jak Alabaster zdołał to zrobić. Drugi statek ma złamany maszt i dziób uniesiony tak wysoko, że widać kil; na tyłach jego pokładu Sjen dostrzega otoczaki. Alabaster rzuca w tych drani kamieniami. Kobieta nie wie, jak to możliwe, ale ten widok sprawia, że ma ochotę bić mu brawo.

Pozostałe dwa statki rozdzieliły się: jeden płynie prosto w kierunku wyspy, a drugi odbija w bok, prawdopodobnie po to, aby okrążyć ją i być może uciec przed rzucanymi przez Alabastra głazami. „Nie ma mowy”, myśli Sjenit i próbuje zrobić to, co zrobiła ze statkiem podczas ostatniej wyprawy, czyli wyciągnąć z oceanicznego dna skalny szpikulec i przebić nim kadłub. Zamraża wszystko w promieniu trzech metrów wokół siebie i sprawia, że wodę pomiędzy nią a statkiem pokrywają kawałki lodu. W końcu udaje jej się ukształtować szpikulec, oderwać go i pociągnąć w górę...

I wtedy skała się zatrzymuje, a wzbierająca w Sjen moc górotwórstwa po prostu... znika. Kobieta wzdycha, kiedy uchodzą z niej moc i ciepło, i uświadamia sobie, że ten statek zapewne też ma swojego Stróża. Być może dotyczy to ich wszystkich, co wyjaśniałoby, dlaczego Baster jeszcze ich nie zniszczył. Nie może bezpośrednio atakować Stróżów; może jedynie ciskać głazy spoza ich neutralizującego zasięgu. Sjen nie potrafi sobie nawet wyobrazić, ile wymaga to mocy. Gdyby nie obelisk – i gdyby Alabaster nie był szalonym dziesięciopierściennikiem – nie zdołaliby tego zrobić.

Ale cóż, sam fakt, że ona nie może bezpośrednio uderzyć w statek, nie znaczy, że nie może znaleźć jakiegoś innego sposobu. Sjen biegnie wzdłuż krawędzi klifu, nie tracąc z oczu jednostki, którą próbowała zniszczyć. Czy jej załoga spodziewa się znaleźć inne dojście na górę? Jeśli tak, będzie zawiedziona: zatoka Meov to jedyne miejsce, z którego można się dostać na wyspę. Wszędzie dookoła są tylko postrzępione, wysokie skały.

To podsuwa jej pewien pomysł. Sjen uśmiecha się i zwalnia, po czym opada na kolana, żeby lepiej się skoncentrować.

Nie ma siły Alabastra. Bez jego pomocy nie wie nawet, jak sięgnąć do ametystowego obelisku – a po tym, co wydarzyło się z Allia, boi się próbować. Brzeg płyty tektonicznej znajduje się zbyt daleko, a w pobliżu nie ma żadnych ujść ani punktów zapalnych. Sjen ma jednak samo Meov. I te cudowne, ciężkie, kruche łupki.

Rzuca się więc w dół. Głęboko. Jeszcze głębiej. Przeciska się przez kolejne warstwy skał tworzących Meov, szukając najlepszego miejsca na pęknięcie. W końcu je znajduje – dobrze. Tymczasem zza wyspy wyłania się statek. Tak.

Sjenit wydobywa ze skał całe ciepło oraz nieskończenie drobne życie i skupia je w jednym miejscu. Jest tu również woda, która zamarza i rozszerza się, kiedy Sjenit ją chłodzi, obracając swój torus w taki sposób, że tnie skałę z podobną łatwością, z jaką nóż kroi masło. Wokół niej tworzy się pierścień szronu, ale to nic w porównaniu z długą kolumną lodu, która powstaje wewnątrz skały i rozsadza ją od środka.

Kiedy statek pojawia się we właściwym miejscu, Sjen uwalnia całą siłę, jaką dała jej wyspa, i wpycha ją z powrotem na jej miejsce.

Od powierzchni klifu odrywa się olbrzymi, wąski fragment skały. Przez chwilę pozostaje w bezruchu, a potem odpryskuje od wyspy z głuchym hukiem i pędzi ponad powierzchnią wody. Sjenit otwiera oczy i potykając się na własnym lodowym pierścieniu, rusza biegiem w kierunku tamtego krańca wyspy. Jest zmęczona, po kilku krokach zwalnia, z trudem chwytając oddech i trzymając się za bok. Dociera tam jednak na tyle szybko, by zobaczyć, co się stało.

Kolumna skalna trafiła prosto w statek. Słyszając krzyki i widząc pęknięty pokład oraz ludzi skaczących do wody, Sjen uśmiecha się dziko. Większość członków załogi nosi różnobarwne ubrania, co oznacza, że są najemnikami. Sjen wydaje się jednak, że pod powierzchnią wody dostrzega również burgundową szatę, wciągana coraz niżej przez jedną z tonących części statku.

– Strzeż sobie tego, zardzewiały pomociu ludojadów.

Uśmiechając się, wstaje i rusza z powrotem w stronę Alabastra.

Kiedy schodzi ze szczytu, dostrzega go – małą postać własnoręcznie tworzącą zimny front – i przez chwilę go podziwia. Mimo wszystko jest niesamowity. Wtedy jednak z morza dobiega niski huk, a wokół Alabastra wybuchają chmura kamieni i dymu.

Armata. Zardzewiała armata. Innon mówił jej o tym; to wynalazek, z którym wspólnoty z Równikiady eksperymentują już od kilku lat. Oczywiście Stróże też muszą mieć coś takiego. Sjen biegnie niezdarnie napędzana strachem. Nie widzi Alabastra pośród dymu, ale wie, że upadł.

Kiedy dobiega do niego, spostrzega, że jest ranny. Lodowaty wiatr przestał wiać. Alabaster klęczy, opierając się rękoma o ziemię, otoczony kilkumetrowym kręgiem lśniącego lodu. Sjenit zatrzymuje się na jego skraju; dzięki temu Alabaster może się nie zorientować, że znajduje się w zasięgu jego mocy.

– Alabaster!

On porusza się odrobinę i jęczy. Jak poważnie jest ranny? Sjenit kołysze się bezradnie na skraju lodowego kręgu, postanawia jednak zaryzykować i wbiega w czystą strefę wokół Alabastra. Mężczyzna z trudem zachowuje świadomość: głowa zwisa mu bezwładnie, a Sjen na widok plam krwi na skałach wstrzymuje oddech.

– Zniszczyłam tamten drugi statek – mówi, wyciągając rękę w jego stronę. – Ten też mogę zniszczyć, jeśli ty nie zdążyłeś.

To czysta brawura. Sjen nie wie, ile zostało jej sił. Ma nadzieję, że Alabastrowi się udało. Podnosi jednak wzrok i przeklina w myślach, bo ocalały statek wciąż unosi się na falach, najwyraźniej niezniszczony. Wygląda, jakby opuścił kotwicę. Jakby czekał. Na co? Sjen może tylko zgadywać.

– Sjen – odzywa się Alabaster. Ledwie mówi. Ze strachu czy może z innego powodu? – Obiecuj mi, że nie pozwolisz im zabrać Koru.

– Co? Oczywiście, że nie pozwolę. – Podchodzi bliżej i kuca przy nim. – Baster...

On podnosi wzrok i spogląda na nią oszołomiony, być może z powodu wybuchu. Rozcięcie na jego czole, jak każda rana głowy, obficie krwawi. Sjen bada go całego i dotyka jego piersi w nadziei, że nie ma więcej obrażeń. Żyje, a więc pocisk armatni musiał o włos chybić celu, ale wystarczy, że zaledwie jeden odprysk trafi w nieodpowiednie miejsce...

I wtedy wreszcie to dostrzega. Jego nadgarstki. Jego kolana i nogi pomiędzy udami a kostkami – nie ma ich. Nie zostały odcięte ani oderwane; każda kończyna kończy się gładko w miejscu, gdzie zaczyna się ziemia. Alabaster porusza nimi, jakby był zanurzony w wodzie, a nie wbity w twardą skałę. Jakby próbował się wyrwać. Nie klęczy na czworakach dlatego, że nie ma siły; coś po prostu ciągnie go w dół, wbrew jego woli.

Zjadacz kamieni. Na zardzewiałą Ziemię.

Sjenit chwytając go za ramiona i próbuje wyciągnąć, ale równie dobrze mogłaby szarpać skałę. Alabaster jest dziwnie ciężki, jego ciało wydaje się nie być ciałem. Zjadacz kamieni wtłoczył go w skałę, zmieniając go w coś podobnego do kamienia, a Sjenit nie może go stamtąd wydostać. Z każdym oddechem Alabaster zanurza się coraz głębiej; tkwi już w skale po ramiona i biodra, a jego nóg w ogóle już nie widać.

– Puść go! Niech cię Ziemia! – Ironia tego przekleństwa dotrze do niej dopiero później. W tym momencie uświadamia sobie jedynie to, że mogłaby wbić swoją świadomość w skałę. Próbuje wyczuć

zjadacza kamieni...

Jest tam coś, ale nie przypomina niczego, z czym kiedykolwiek się spotkała: to ciężkość. Masa zbyt twarda i zbyt potężna, niemożliwa... – nie w tak małej przestrzeni. To tak, jakby znajdowała się tam góra ciągnąca Alabastra w dół swoim ciężarem. On z tym walczy; to jedyny powód, dla którego wciąż tu jest. Słabnie jednak i przegrywa tę walkę, a ona nie ma pojęcia, jak mu pomóc. Zjadacz kamieni jest po prostu zbyt... zbyt wielki, zbyt silny – Sjen wycofuje się w głąb siebie z poczuciem, że jej się nie udało.

– Obiecaj – dyszy Alabaster, kiedy ona znowu ciągnie go za ramiona i z całej siły próbuje wyrwać go ze skały, sprzeciwiając się temu potwornemu ciężarowi... temu wszystkiemu. – Wiesz, co mu robią, Sjen. Takie silne dziecko, moje dziecko, wychowane poza Fulcrum... Wiesz.

Druciane krzesło w stacji węzła... Sjen nie może o tym myśleć. Nic nie przynosi rezultatu, a Baster niemal cały zniknął już w skale; wystają ramiona oraz twarz, ale tylko dlatego, że z całych sił usiłuje utrzymać je na powierzchni. Sjen bełkocze coś, załzawiona, szukając słów, które mogą to jakoś naprawić.

– Wiem. Obiecuję. Och, rdza, Baster, proszę, nie mogę... Nie sama, nie mogę...

Ze skały wyłania się białe, twarde i pokryte plamami rdzy ramię zjadacza kamieni. Zaskoczona Sjen krzyczy i krzywi się, sądząc, że stworzenie ją atakuje. Ale nie. Kamienna ręka bardzo delikatnie otacza szyję Alabastra. Nikt nie spodziewa się delikatności po górach. Są one też jednak nieubłagane i kiedy ręka pociąga go w dół, Alabaster znika. Jego ramiona wymykają się Sjen z uścisku. Tak jak jego broda, a potem usta, nos, jego przerażone oczy...

Nie ma go.

Sjenit klęczy samotnie na twardej, zimnej skale. Krzyczy. Płacze. Jej zły spadają tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Alabastra. Nie wsiąkają w skałę, rozpryskują się na niej.

I wtedy Sjen to czuje: tąpnięcie. Szarpnięcie. Wyrwana z rozpacz podnosi się na nogi i podchodzi do brzegu klifu, skąd widać ocalały statek. A właściwie statki, bo ten, który Baster obrzucił głazami, zdołał jakoś przetrwać. Nie, nie jakoś – powierzchnię wody wokół obydwu jednostek pokrywa warstwa lodu. Na którejś z nich musi się znajdować służący Stróżom górotwór. Co najmniej czteropięściennik; Sjen wyczuwa jego moc. I tyle lodu... Widzi grupę morświnów uciekających przed powiększającą się taflą, lecz lód chwilę później dogania je, otacza ich ciała i je zamraża, w połowie wynurzone na powierzchnię.

Co, u diabła, ten rogga robi z taką mocą?

Wtedy też Sjen spostrzega, że część skalnej ściany, którą wzniósł Baster, zaczyna drżeć.

– Nie... – Sjenit odwraca się, a potem znowu biegnie, pozbawiona tchu i raczej sejsząc, niż widząc, jak rogga Stróżów atakuje podstawę ściany. Skalna zaporą najsłabsza jest w miejscu, gdzie się zakrzywia, dopasowana do naturalnej krzywizny zatoki Meov. Rogga zamierza ją zniszczyć.

Dotarcie na poziom wspólnoty zajmuje całe wieki. Sjen boi się, że Innon postawił żagle bez niej. On też musiał wysejszyć, co się dzieje. Lecz dzięki skale Clalsu wciąż tu jest, a kiedy Sjen wpada chwiejnym krokiem na pokład, kilku członków załogi podtrzymuje ją i pomaga jej usiąść. Sjen widzi, że opuszczają żagle.

– Innon – wykrztusza z siebie, próbując złapać oddech. – Proszę.

Prowadzą ją do niego. Innon znajduje się na górnym pokładzie; jedną rękę zaciska na sterze, a drugą przytrzymuje Koru na biodrze. Nie patrzy na nią, bo całą uwagę skupia na ścianie; w górnej części widać już dziurę, a kiedy Sjenit podchodzi bliżej, rozlega się huk. Ściana rozpada się na kawałki, które z hukiem walą się do wody, kołysząc statkiem, ale Innon jest całkowicie opanowany.

– Płyniemy im naprzeciw – mówi ponurym głosem i opada na ławę, kiedy statek odbija od brzegu. Wszyscy są już gotowi do walki. Załadowano katapulty, przygotowano oszczepy. – Najpierw odciągniemy ich od wspólnoty. Dzięki temu wszyscy będą mogli się ewakuować w łodziach wędkarskich.

„Łodzi wędkarskich jest zbyt mało”, chce powiedzieć Sjen, ale tego nie robi. Innon i tak o tym wie.

Gdy Clalsu przepływa przez wąską szczelinę wybitą przez górotwora Stróżów, wrogi statek atakuje niemal natychmiast. Na pokładzie pojawia się chmura dymu, a w powietrzu rozlega się niski świst; to kolejny wystrzał z armaty. Pocisk chybia o włos. Innon wrzeszczy i załoga obsługująca jedną z katapult odpowiada koszem ciężkiego łańcucha, który niszczy główny żagiel wrogiej jednostki i cały jego środkowy maszt. Podczas kolejnej wymiany ludzie Innona wysyłają w powietrze beczkę podpalonej smoły, a Sjen widzi, jak z pokładu jednostki Stróżów skaczą do wody płonący ludzie. Clalsu pędzi przed siebie, podczas gdy ogarnięty płomieniami statek Stróżów dryfuje w stronę ściany skalnej.

Zanim udaje im się odpłynąć na dostateczną odległość, pojawia się kolejny obłok dymu, a powietrze przecina kolejny huk i tym razem Clalsu trzęsie się pod wpływem uderzenia. Na rdzę i podziemny ogień, ile oni mają jeszcze tych pocisków? Sjenit podnosi się i podbiega do relingu, próbując dojrzeć armatę, choć nie ma pojęcia, co mogłaby z nią zrobić. W burcie Clalsu zieje dziura, a spod pokładu słychać krzyki załogi, lecz wciąż płyną przed siebie.

Przed nimi unosi się na wodzie statek, który Alabaster obrzucił głazami. Część otoczków zniknęła z pokładu przy rufie i kadłub wrócił do normalnej pozycji. Sjen nie widzi armaty, dostrzega jednak trzy postaci stojące na dziobie. Dwie z nich są ubrane na burgundowo, jedna na czarno. Podchodzi do nich trzecia osoba w burgundowym stroju.

Sjen czuje na sobie wzrok ich wszystkich.

Statek Stróżów lekko zmienia kurs, jakby chciał się oddalić. Sjenit zaczyna mieć nadzieję, że rzeczywiście tak się stanie, ale chwilę później dostrzega armaty. To trzy wielkie, czarne maszyny ustawione przy relingu sterburty; podczas wystrzału drżą i równocześnie cofają się odrobinę. Rozlega się potężny trzask i zgrzyt, a Clalsu kołysze się, jakby targało nim tsunami. Sjenit podnosi wzrok w tej samej chwili, kiedy maszt pęka, a potem wszystko trafia szlag.

Maszt upada niczym zwalone drzewo i z niesłychaną siłą uderza o pokład. Ludzie krzyczą. Statek jęczy i zaczyna się przechylać na sterburtę, obciążony przez połamany maszt. Sjen widzi dwóch mężczyzn wpadających do wody razem z żaglami, zmiażdżonych pod ciężarem płótna, lin i drewna, ale, na Ziemię, nie może teraz o nich myśleć. Maszt znajduje się pomiędzy nią a mostkiem kapitańskim. Sjen jest odcięta od Innona i Koru.

A statek Stróżów się zbliża.

Nie!

Sjenit sięga do wody, próbując dobyć stamtąd cokolwiek, nic jednak tam nie ma. Jej umysł jest gładki jak szkło. Stróże są zbyt blisko.

Nie może myśleć. Brnie wśród szczątków masztu i grzęźnie pośród lin; wyswobodzenie się z nich trwa wieki. W końcu jej się udaje, ale wszyscy biegną w przeciwnym kierunku, z oszczepami i szklanymi nożami w dłoniach, wrzeszcząc, bo statek Stróżów jest już tutaj, a jego załoga wchodzi na pokład Clalsu.

Nie.

Sjen słyszy krzyki ludzi umierających wszędzie wokół niej. Stróże przywieźli ze sobą jakichś zakupionych albo przywłaszczonych sobie żołnierzy i funkcjonariuszy wspólnotowej milicji, przez co bitwa w żadnym razie nie jest wyrównana. Ludzie Innona potrafią walczyć i mają doświadczenie, ale zazwyczaj napadali na kiepsko chronione statki kupieckie albo pasażerskie. Kiedy Sjenit dociera na mostek kapitański, Innona już tam nie ma, musiał zejść pod pokład. Widzi, jak jego kuzynka, Ecella, tnie milicjanta po twarzy szklanym nożem. Mężczyzna chwije się pod wpływem ciosu, ale szybko dochodzi do siebie i wbija własny nóż w brzuch Ecelli. Kiedy ta upada, milicjant przewraca ją na ciało innego martwego Meoviańczyka. Na statku wciąż pojawiają się kolejni żołnierze.

Wszędzie wygląda to tak samo. Meoviańczycy przegrywają.

Sjen musi odnaleźć Innona i Koru.

Pod pokładem nie ma już prawie nikogo. Wszyscy wyszli na górę, żeby walczyć. Sjen czuje jednak drżenie, które musi być strachem Koru, i podąża za nim do kajuty Innona. Kiedy tam dociera, drzwi otwierają się i Innon wychodzi ze szklanym nożem w dłoni, omal jej nie dźgając. Zatrzymuje się, zaskoczony, a ona spogląda za jego plecy i dostrzega Koru, który leży zawinięty w szmaty, w koszu pod dziobową grodzią – to najbezpieczniejsze miejsce na statku. Kiedy stoi tak, ogłupiała, Innon chwytą ją i wpycha do kajuty.

– Co...

– Zostań tu – rozkazuje jej. – Muszę walczyć. Zrób, co będzie trzeba...

Nie mówi nic więcej. Ktoś porusza się za nim, zbyt szybko, żeby Sjenit zdążyła go ostrzec. To mężczyzna, nagi od pasa w górę. Chwytą głowę Innona – rozczapierzone na policzkach dłonie wyglądają jak pająki – i uśmiecha się do Sjen, kiedy oczy Innona nagle się rozszerzają.

A później...

Och, na Ziemię...

Sjen czuje to, kiedy to się dzieje. Nie tylko sejsodami. To zgrzyt kamienia o jej skórę, to trzask jej kości, to... to... to wszystko, co jest w Innonie, cała jego moc, cała żywotność, całe piękno i cała siła zamienione w zło. Spotęgowane, skoncentrowane i zwrócone przeciwko niemu z największym okrucieństwem. Innon nie ma czasu poczuć strachu. Sjenit nie ma czasu krzyknąć, kiedy Innon rozpada się na kawałki.

To jak obserwować wstrząs z bliska. Jakby widzieć rozstępującą się ziemię i jej warstwy, w jednej chwili całe, a zaraz potem rozdarte. Z tą różnicą, że tutaj rozdarte jest ciało.

„Baster, nigdy mi nie powiedziałaś, że to było...”

Innon leży na podłodze i jest już tylko krwawą masą. Stróż, który go zabił, stoi tam, umazany krwią, uśmiechnięty.

– Ach, maleńki – mówi, a jej krew zamienia się w kamień. – Tu jesteś.

– Nie – szepcze Sjen. Kręci głową i wykonuje krok w tył. Koru płacze. Sjen wciąż się cofa, potyka się o łóżko Innona, szuka kosza i bierze Koru w ramiona. Chłopiec wczepia się w nią, roztrzęsiony. – Nie.

Półnagi Stróż spogląda w bok i przesuwa się, robiąc miejsce kolejnemu. „Nie”.

– Darujmy sobie to udawanie, Damayu – mówi uprzejmie Schaffa Stróż Warrant. Przerzywa i patrzy na nią przepraszącą. – Sjenit.

Nie widziała go od lat, ale głos mu się nie zmienił. Twarz też jest taka sama. On nigdy się nie zmienia. Uśmiecha się nawet, choć kąciki ust opadają mu lekko z obrzydzenia na widok krwawej masy, która była Innonem. Spogląda na półnagiego, wyszczerzonego Stróża. Wzdycha, lecz odwzajemnia uśmiech. Obaj zwracają te potworne uśmiechy ku Sjenit.

Ona nie może tam wrócić. Nie wróci.

– A cóż to? – Schaffa patrzy na Koru. – Jak słodko. To Alabastra? Czy on też żyje? Wszyscy chcielibyśmy się zobaczyć z Alabastrem, Sjenit. Gdzie on jest?

Nawyk udzielania mu odpowiedzi jest zbyt silny.

– Zabrał go zjadacz kamieni.

Jej głos drży. Sjen znowu się cofa i dotyka głową grodzi. Nie ma dokąd uciec.

Po raz pierwszy, od kiedy go zna, Schaffa robi zdziwioną minę.

– Zjadacz... hmm – Szybko się jednak opanowuje. – Rozumiem. Powinniśmy byli go zabić, zanim go dopadli. W ramach przysługi, oczywiście; nie wyobrażasz sobie, Sjenit, co oni z nim robią. Niestety.

Następnie Schaffa znowu się uśmiecha, a ona przypomina sobie wszystko, o czym próbowała zapomnieć. Znowu czuje się samotna i bezradna, tak jak tamtego dnia w pobliżu Paleli, zagubiona

w pełnym nienawiści świecie, gdzie jedyną osobą, na jakiej można polegać, jest mężczyzna ofiarowujący swoją miłość opakowaną w ból.

– Jego dziecko będzie jednak więcej niż godnym zastępstwem – stwierdza Schaffa.

Są chwile, kiedy wszystko się zmienia.

Przerażony Koru wyje i być może nawet w pewnym sensie rozumie, co stało się z jego ojcami. Sjenit nie może go pocieszyć.

– Nie – mówi znowu. – Nie. Nie. Nie.

Uśmiech Schaffy blednie.

– Sjenit. Tłumaczyłem ci. Nigdy mi nie odmawiaj.

Nawet najtwardszy kamień może pęknąć. Wystarczy w odpowiedni sposób użyć odpowiedniej siły. Nacisk i słabość.

„Obiecaj mi”, powiedział Alabaster.

„Zrób, co będzie trzeba...”, próbował powiedzieć Innon.

Sjenit mówi więc:

– Nie, skurwielu.

Koru płacze. Sjen zaciska mu dłoń na nosie i ustach, żeby uciszyć go i uspokoić. Zapewni mu bezpieczeństwo. Nie pozwoli im go zabrać, zniewolić, zamienić jego ciała w narzędzie, jego umysłu w broń, a jego życia w parodię wolności.

Myślę, że instynktownie rozpoznajesz te chwile. To leży w naszej naturze. Rodzimy się w takim ciśnieniu i czasami, kiedy coś staje się nie do zniesienia...

Schaffa nieruchomieje.

– Sjenit...

– To nie jest moje zardzewiałe imię! Będę mówiła do ciebie, co mi się podoba, ty gnoju! – wykrzykuje te słowa. Ślina pieni jej się na ustach. W środku Sjen znajduje się mroczne i ciężkie miejsce, cięższe od zjadacza kamieni, cięższe od góry, które pożera wszystko dookoła niczym lej krasowy. Wszyscy, których kochała, nie żyją. Wszyscy oprócz Koru. A jeśli go zabiorą...

...czasami nawet my... pękamy.

Lepiej, żeby ten chłopiec nie żył, niż żeby żył jako niewolnik.

Lepiej, żeby umarł.

Lepiej, żeby ona też umarła. Alabaster zniechęci ją za to, że zostawiła go samego, ale Alabastra tu nie ma, a przetrwanie to nie to samo, co życie.

Sjen sięga więc w górę. I na boki. Ametyst jest tam: czeka cierpliwie, jakby wiedział, że ten moment nadejdzie.

Sjen sięga po niego i modli się, żeby słowa Alabastra, który powiedział, że obelisk to dla niej zbyt wiele, okazały się prawdziwe.

Kiedy jej świadomość rozpada się w bursztynowym świetle i wśród wygładzonych fal, kiedy Schaffa zaczyna rozumieć, co się dzieje i rzuca się w jej stronę, a Koru otwiera oczy pod naciskiem jej dłoni...

Sjen przyjmuje całą moc tego starożytnego, nieznanego czegoś i rozrywa świat.

Oto Bezruch. Oto miejsce przy Wschodnim Wybrzeżu, nieco poniżej równika.

Jest tu wyspa – jeden z tych małych, niebezpiecznych kawałków lądu, którym rzadko udaje się przetrwać dłużej niż sto lat. Ta jednak dzięki mądrości jej mieszkańców istnieje od kilku tysięcy lat. W tej chwili wyspa ginie, ale co najmniej kilku z nich powinno zdołać przetrwać. Być może dzięki temu poczujesz się lepiej.

Fioletowy obelisk unoszący się ponad nią pulsuje pojedynczym uderzeniem mocy, która mogłaby wydać się znajoma świadkom zagłady Allia. Kiedy puls wygasa, ocean rozstępuje się pod wpływem drżenia skalistego dna. Ostre, mokre szpikulce wyłaniają się spomiędzy fal i dziurawią kołyszące się przy brzegu statki. Część osób stojących na ich pokładach – są wśród nich piraci oraz ich wrogowie – znikają w potężnej eksplozji śmierci.

Wstrząs rozchodzi się wokół wyspy długą, pomarszczoną falą, formując łańcuch postrzępionych, potwornych ostrzy od zatoki Meov aż po to, co zostało z Allia. To most. Nikt jednak nie chciałby po nim chodzić.

Kiedy śmierć zbiera swoje żniwo, a obelisk pozostaje niewzruszony, tylko garstka ludzi utrzymuje się przy życiu w oceanie. Jeden z nich, kobieta, unosi się nieprzytomna wśród szczątków rozbitego statku. Niedaleko od niej mniejsza sylwetka – dziecko – także kołysze się na falach, lecz twarzą w dół.

Inni ocalali odnajdą kobietę i zabiorą ją na stały ląd. Tam będzie się włóczyć przez dwa lata, coraz bardziej zagubiona i oddalona od samej siebie.

A jednak nie sama – bo wtedy ją odnalazłem. W chwili, kiedy zapulsował obelisk, jej obecność obiegnęła świat: obietnica, żądanie, zaproszenie zbyt kuszące, aby mu się oprzeć. Wielu z nas wyruszyło wtedy w jej stronę, ale to ja odnalazłem ją pierwszy. Pokonałem pozostałych i śledziłem ją, obserwowałem, chronilem. Cieszyłem się, kiedy znalazła niewielkie miasto Tirimo, a wraz z nim pocieszenie, może nawet szczęście.

W końcu, dziesięć lat później, kiedy opuściła Tirimo, pokazałem się jej. Oczywiście to nie tak zazwyczaj załatwiamy swoje sprawy; nie szukamy kontaktów z przedstawicielami jej rodzaju. Ona jednak jest – była – wyjątkowa. Ty byłaś, jesteś, wyjątkowa.

Powiedziałem jej, że nazywam się Hoa. To imię dobre jak każde inne.

Tak to się zaczęło. Słuchaj. Tak właśnie zmienił się świat.

NIE POTRZEBUJESZ NIKOGO OPRÓCZ SIEBIE

W Castrimie jest pewna lśniaca konstrukcja. Znajduje się na najniższym poziomie wielkiej geody i sądzisz, że nie wyrosła tam, lecz została zbudowana: jej ściany to nie rżnięty kryształ, ale płyty białej miki upstrzone niezwykle drobnymi okruchami kryształu, równie pięknymi jak ich więksi kuzyni. Nie masz pojęcia, po co ktoś miałby przynosić tutaj te minerały i budować z nich dom wśród innych, istniejących już i niezamieszkałych. Nie pytasz. Nie interesuje cię to.

Towarzyszy ci Lerna, bo to oficjalny szpital tej wspólnoty, a człowiek, z którym masz się zobaczyć, jest jego pacjentem. Zatrzymujesz go jednak przed drzwiami, a w wyrazie twojej twarzy jest coś, co ostrzega go przed niebezpieczeństwem. Lerna nie protestuje, kiedy wchodzisz do środka bez niego.

Powoli pokonujesz próg i zatrzymujesz się na widok zjadacza kamieni po drugiej stronie głównego pomieszczenia. To Antymona – tak, prawie zapomniałaś już imię, jakie dał jej Alabaster. Spogląda na ciebie obojętnie, odróżniając się od białej ściany tylko opuszkami palców i całkowitą czernią oczu oraz włosów. Nie zmieniła się od czasu, kiedy ostatnio ją widziałaś: było to dwanaście lat temu, podczas zagłady Meov. Dla takich jak ona dwanaście lat jest niczym.

Kiwasz głową w jej stronę. To uprzejmy gest, a w tobie pozostało jeszcze kilka nawyków wyniesionych z Fulcrum. Potrafisz być miła dla wszystkich, niezależnie od tego, jak bardzo ich nienawidzisz.

– Nie podchodź bliżej – ostrzega zjadaczka kamieni.

Nie mówi do ciebie. Odwracasz się i nie jesteś zdziwiona, widząc za sobą Hoę. Skąd on się tutaj wziął? Jest tak samo nieruchomy, jak Antymona – to aż nienaturalne i dopiero teraz spostrzegasz, że on nie oddycha. Nie oddychał przez cały ten czas, od kiedy go poznałaś. Jak, u rdzy, mogłaś to przeoczyć? Hoa patrzy przed siebie tym samym groźnym wzrokiem, którym wcześniej mierzył zjadaczkę kamieni Ykki. Być może oni wszyscy wzajemnie się nie lubią. Ich spotkania zawsze muszą przebiegać niezręcznie.

– On mnie nie interesuje – oświadcza Hoa.

Antymona spogląda na ciebie. Zaraz potem wraca wzrokiem do Hoi.

– Ona interesuje mnie tylko z jego powodu.

Hoa nie odpowiada. Być może zastanawia się nad tym; być może to propozycja rozejmu, a może postawienie warunków. Kręcisz głową i mijasz ich oboje.

Na tyłach głównego pomieszczenia, na stercie poduszek i koców, leży czarna, dysząca postać. Podchodzisz bliżej, a człowiek ten porusza się nieznacznie i unosi głowę. Kiedy kucasz tuż poza zasięgiem jego ramion, rozpoznajesz go. Wszystko się zmieniło, ale jego oczy pozostały takie same.

– Sjen – mówi. Jego głos jest szorstki jak żwir.

– Teraz nazywam się Essun – odpowiadasz odruchowo.

Alabaster kiwa głową. Najwyraźniej sprawia mu to ból, bo na chwilę zamyka oczy. Następnie bierze kolejny oddech, próbuje się rozluźnić i ożywić.

– Wiedziałem, że nie umarłaś.

– To dlaczego do mnie nie przyszedłeś? – pytasz.

– Miałem własne problemy – uśmiecha się lekko. Niemal słyszysz, jak marszczy się skóra na jego twarzy. Dostrzegasz duży ślad po oparzeniu. Alabaster przenosi wzrok na Antymonę tak powoli, jak powolne są ruchy zjadacza kamieni. Potem znowu skupia go na tobie.

(Na niej, na Sjenit).

Na tobie, Essun. Niech to rdza, chciałabyś w końcu zrozumieć, kim naprawdę jesteś.

– Byłem zajęty. – Alabaster unosi prawą rękę, która kończy się w połowie przedramienia; mężczyzna jest nagi od pasa w górę i wyraźnie widzisz, co mu się przydarzyło. Niewiele z niego zostało. Z kikutów i ran unosi się smród krwi i ropy, czujesz też woń moczu i przypalonego mięsa. Rana na rękę nie powstała jednak w wyniku wstrząsu w Yumenes, a przynajmniej nie bezpośrednio. Kikut pokrywa coś twardego i brązowego, co z pewnością nie jest skórą: jest zbyt twarde i zbyt jednolite.

Kamień. Jego ręka zmieniła się w kamień. Większość ramienia zniknęła, a kikut...

...ślady zębów. Są na nim ślady zębów. Spoglądasz na Antymonę i myślisz o diamentowym uśmiechu zjadaczy kamieni.

– Słyszałem, że ty też byłaś zajęta – mówi Alabaster.

Kiwasz głową, w końcu odrywając wzrok od zjadaczki kamieni. (Teraz wiesz już, jaki rodzaj kamieni oni jedzą).

– Po Meov. Ja byłam... – Nie wiesz, jak to powiedzieć. Istnieje żal zbyt głęboki, aby go znosić, a jednak ty wciąż go znosisz. – Musiałam stać się kimś innym.

Brzmi to absurdalnie. Alabaster wydaje z siebie jednak cichy pomruk, jakby rozumiał.

– Przynajmniej pozostałaś wolna.

Jeśli ukrywanie wszystkiego, czym jesteś, oznacza wolność.

– Tak.

– Ustatkowałaś się?

– Wyszłam za męża. Miałam dwójkę dzieci. – Alabaster milczy. Liczne oparzenia i brązowe kamienne plamy sprawiają, że nie potrafisz stwierdzić, czy jego twarz wykrzywia uśmiech, czy jakiś inny grymas. Przypuszczasz, że jednak to drugie, dodajesz więc: – Oboje byli... tacy jak ja. Ja... mój mąż...

Słowa urzeczywistniają pewne rzeczy tak, jak nie potrafią zrobić tego wspomnienia, dlatego milkniesz.

– Rozumiem, dlaczego zabiłaś Korunda – stwierdza Alabaster bardzo spokojnym głosem. A potem, kiedy kołyszysz się pod wpływem tego uderzenia, dodaje: – Ale nigdy ci tego nie wybaczę.

Niech to wszystko szlag trafi. Niech szlag trafi jego. I ciebie.

Znalezienie odpowiedzi zajmuje ci chwilę.

– Rozumiem, jeśli chcesz mnie zabić – wykrztuszasz w końcu. Następnie oblizujesz wargi. Przełykasz. I wypluwasz słowa. – Ale najpierw muszę zabić mojego męża.

Alabaster wydaje z siebie świszczące westchnięcie.

– Twoja pozostała dwójka dzieci.

Kiwasz głową. Nieważne, że Nassun być może wciąż żyje. Jija ci ją odebrał, a to wystarczy.

– Nie zamierzam cię zabić, Sje... Essun. – Alabaster wydaje się zmęczony. Być może nie słyszy tego cichego dźwięku, który wydobywa się z twojego gardła i który nie jest wyrazem ulgi ani rozczarowania. – Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym chciał.

– Jeśli...

– Czy potrafisz już to zrobić? – Ignoruje twoje zdziwienie jak zawsze. Nie licząc fizycznych obrażeń, nie zmienił się ani trochę. – Zaczepnęłaś moc z granatowego w Allia, ale on był na wpół martwy. W Meov musiałaś użyć ametystowego, ale to była... ostateczność. Czy potrafisz teraz zrobić to świadomie?

– Ja...

Nie chcesz rozumieć. Odsuwasz wzrok od tego przerażającego czegoś, co zostało z twojego mentora, kochanka i przyjaciela. Spoglądasz za jego plecy, na dziwny przedmiot oparty o ścianę. Wygląda jak szklany nóż, ale jego ostrze jest zdecydowanie zbyt długie i zbyt szerokie. Przedmiot ten ma olbrzymią

rękojeść – być może właśnie dlatego, że ostrze jest tak idiotycznie długie – i jelec, który pokrzyżowałby każdą próbę pokrojenia mięsa albo rozsoplania węzła. Nie jest też wykonany ze szkła, a przynajmniej nie z takiego, które znasz. Ma barwę różu przechodzącego w czerwień i...

Gapisz się na to. W to. Czujesz, że ten przedmiot usiłuje ciągnąć gdzieś twój umysł. Spadasz. Spadasz w górę, przez bezkresny tunel migoczącego, różowego światła...

Zamierasz na moment, a potem dochodzisz do siebie i wpatrujesz się w Alabastra. On znowu boleśnie się uśmiecha.

– To spinel – mówi, potwierdzając twoje przypuszczenia. – Ten jest mój. Czy sama opanowałaś już któryś z nich? Czy obeliski przybywają, kiedy je wołasz?

Nie chcesz rozumieć, ale rozumiesz. Nie chcesz wierzyć, ale tak naprawdę wierzysz już od dawna.

– To ty wywołałaś ten wstrząs na północy – oddychasz ciężko. Dłonie zaciskają ci się w pięści. – To ty rozdarłaś kontynent. To ty zaczęłaś Piątą Porę Roku. Z obeliskiem! To wszystko... ty.

– Tak, z obeliskiem i z pomocą opiekunów węzłów. Wszyscy oni zaznali już spokoju. – Oddech Alabastra jest coraz bardziej świszczący. – Potrzebuję twojej pomocy.

Odruchowo kręcisz głową, choć wcale nie chodzi ci o odmowę.

– Żeby to naprawić?

– Nie, nie, Sjen.

Tym razem nawet go nie poprawiasz. Nie potrafisz oderwać wzroku od jego rozbawionej, niemal trupiej twarzy. Kiedy się odzywa, dostrzegasz, że niektóre jego zęby również zostały zamienione w kamień. Z iloma jego organami stało się to samo? Jak długo może – i powinien – żyć w ten sposób?

– Nie chcę, żebyś to naprawiała – oświadcza Alabaster. – To były przypadkowe straty, ale Yumenes dostało, na co zasłużyło. Nie, moja Damayu, moja Sjenit, moja Essun, ja chcę, żebyś zniszczyła to jeszcze bardziej.

Patrzysz na niego oniemiała. On pochyla się do przodu. Wyraźnie widać, że sprawia mu to ból; słyszysz skrzypienie i chrzęst jego ciała, a także cichy trzask, kiedy pęka w nim coś kamiennego. Kiedy jednak znajduje się wystarczająco blisko, uśmiecha się znowu, a do ciebie wreszcie to dociera. Na Złą, cholerną Ziemię. On wcale nie jest szalony, nigdy nie był. A wtedy mówi:

– Powiedz mi, słyszałaś kiedyś o czymś takim jak księżyc?

DODATEK 1

Katalog Piątych Pór Roku zarejestrowanych przed i po założeniu Równikowego Stowarzyszenia Sanzedu

Sezon Dławienia – 2714 rok imperialny–2719 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: Antarktyda, w pobliżu Deveteris. W wyniku erupcji góry Akok w promieniu ośmiuset kilometrów niebo przysłoniła chmura pyłu, który osiadał w płucach i śluzówkach. Pięć lat bez światła słonecznego, choć północna półkula została dotknięta w mniejszym stopniu (brak światła przez dwa lata).

Sezon Kwasu – 2322 rok imperialny–2329 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wstrząs o sile plus dziesięć. Lokalizacja: nieznana, daleki ocean. Nagły ruch płyty tektonicznej uaktywnił łańcuch wulkanów biegnący wzdłuż jednego z głównych prądów strumieniowych. Prąd ten został zakwaszony i zanieczyszczenia dotarły do Zachodniego Wybrzeża, a następnie pojawiły się w całym Bezruchu. Większość nadmorskich wspólnot zdmuchnęło tsunami; pozostałe upadły albo zostały zmuszone do zmiany lokalizacji, kiedy ich statki i porty uległy zniszczeniu, a ryby wymarły. Zachmurzenie trwało przez siedem lat, wskaźniki pH w rejonach nadmorskich pozostawały nieprawidłowe znacznie dłużej.

Sezon Wrzenia – 1842 rok imperialny–1845 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch punktu zapalnego pod wielkim jeziorem. Lokalizacja: Somidlaty, kwardon jeziora Tekkaris. Wybuch sprawił, że do atmosfery przedostały się miliony metrów sześciennych pary oraz pyłu, co doprowadziło do kwaśnych deszczów i całkowitego zachmurzenia południowej części kontynentu na okres trzech lat. Północna część nie doświadczyła żadnych negatywnych skutków erupcji, dlatego archeomeci zastanawiają się, czy kataklizm ten kwalifikuje się jako „prawdziwa” Piąta Pora Roku.

Sezon Duszenia – 1689 rok imperialny–1798 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wypadek górniczy. Lokalizacja: Nomidlaty, kwardon Sadth. Sezon ten został wywołany przez górników z północno-wschodniego skraju Nomidlatów, którzy doprowadzili do wybuchu podziemnego pożaru. Była to stosunkowo łagodna Piąta Pora Roku: co jakiś czas na niebie pojawiało się słońce, opady popiołu i zakwaszenie wody odnotowano tylko w jednym regionie, a Prawo Sezonowe wprowadzono w niewielu wspólnotach. Około czternastu milionów mieszkańców miasta Heldine zmarło w wyniku wybuchu gazu i gwałtownie powiększającego się leja ogniowego, zanim Cesarskie Górotwory skutecznie stłumiły ogień i zapobiegły jego dalszemu rozprzestrzenianiu się. Żarzącą się masę można było tylko odizolować; tliła się jeszcze przez sto dwadzieścia lat. Przez kilka kolejnych dziesięcioleci dym roznoszony przez silne wiatry co jakiś czas przyczyniał się do problemów z oddychaniem i masowych uduszeń. Drugorzędnym skutkiem utraty kopalń w Nomidlatach był katastrofalny wzrost kosztów opału i coraz bardziej powszechne wykorzystanie ogrzewania geotermalnego i hydroelektrycznego, co doprowadziło ostatecznie do wprowadzenia Licencji Żywnościowych.

Sezon Zęba – 1553 rok imperialny–1566 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: oceaniczny wstrząs, który wywołał wybuch superwulkanu. Lokalizacja: Rysy Arktyczne. Wstrząs następczy naruszył nieznaną wcześniej punkt zapalny w pobliżu bieguna północnego. Wywołało to eksplozję superwulkanu; świadkowie twierdzili, że odgłos wybuchu słyszeć było nawet na Antarktydzie. Popiół dostał się do górnych warstw atmosfery i szybko rozprzestrzenił się wokół całego globu, jednak najsilniej została dotknięta Arktyka. Konsekwencje tej Piątej Pory Roku były spotęgowane przez kiepskie przygotowanie wielu wspólnot wynikające z faktu, że od poprzedniego Sezonu minęło już dziewięćset lat; powszechnie uważano wtedy, że Piąte Pory Roku to tylko legenda. Od północy aż po Równikową pojawiały się

doniesienia o aktach kanibalizmu. Pod koniec Sezonu w Yumenes utworzono Fulcrum oraz jego zamiejscowe placówki na Arktyce i Antarktydzie.

Sezon Grzyba – 602 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: zachodnia Równikiada. Seria wybuchów w okresie monsunowym zwiększyła wilgotność powietrza i na pół roku przysłoniła słońce na powierzchni mniej więcej dwudziestu procent kontynentu. Wprawdzie była to łagodna Piąta Pora Roku, jednak okres, w którym nastąpiła, okazał się idealny dla rozwoju grzybów, które rozprzestrzeniły się od Równikiady na północ i południe, wymazując z powierzchni ziemi ważny ówczasie dla rolnictwa miroq (dziś już nieistniejący). Głód, jakiego doświadczyli później mieszkańcy tych regionów, trwał przez cztery lata (przez dwa lata utrzymywała się zaraza grzybiczna, a przez kolejne dwa przywracano rolnictwo oraz odbudowywano sieć dystrybucji żywności). Prawie wszystkie wspólnoty zdołały utrzymać się przy życiu dzięki własnym zapasom, dowodząc tym samym skuteczności reform imperialnych oraz planowania sezonowego, a Imperium hojnie postanowiło podzielić się własnymi zasobami ziarna z regionami, których rolnictwo opierało się na miroqu. W następstwie tamtego Sezonu wiele wspólnot Midlatów i z regionów nadbrzeżnych dobrowolnie dołączyło do Imperium, podwajając jego obszar i rozpoczynając tym samym Złoty Wiek.

Sezon Szaleństwa – 3 rok przedimperialny–7 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: erupcja wulkanu. Lokalizacja: Pułapki Kiash. W wyniku wybuchu wielu ujść starego superwulkanu (tego samego, którego erupcja, jak się powszechnie uważa, dziesięć tysięcy lat wcześniej rozpoczęła Sezon Bliźniaczy) w powietrze dostały się olbrzymie ilości augitu. Dekada mroku, która nastąpiła później, okazała się bardziej katastrofalna niż inne Piąte Pory Roku, ponieważ poskutkowała również znacznym nasileniem chorób psychicznych. Sanzeńska przywódczyni bandy rozbójniczej Verishe podbiła wiele sąsiednich wspólnot za pomocą psychologicznych metod mających na celu przekonanie wrogów, że bramy i mury nie zapewniają właściwej ochrony i że wszędzie czają się widziadła. (Patrz: *Sztuka szaleństwa*, opracowanie zbiorowe, Wydawnictwo Szóstego Uniwersytetu). Utworzono wtedy Równikiadowe Stowarzyszenie Sanzedu (nazywane powszechnie Imperium Sanze). Pierwszego dnia, kiedy na niebie pojawiło się słońce, Verishe została mianowana Cesarzową.

[**Nota od wydawcy** – informacje na temat Sezonów, które miały miejsce przed utworzeniem Sanze, często są niepotwierdzone lub wzajemnie się wykluczają. Listę poniższych Sezonów opracowano podczas Konferencji Acheometów na Siódmym Uniwersytecie w roku 2532].

Sezon Tułaczy – około 800 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: nieznana. Lokalizacja: niepotwierdzona. Z nieznanymi przyczynami na wiele lat zmieniły się kierunki najsilniejszych wiatrów. Choć nie nastąpiło wtedy przesłonięcie światła słonecznego, uważa się, że była to Piąta Pora Roku, ponieważ wywołać coś takiego mogły tylko potężne wstrząsy sejsmiczne (prawdopodobnie pochodzenia oceanicznego).

Sezon Metali Ciężkich – około 4200 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: erupcja wulkanu. Lokalizacja: Somidlaty w pobliżu Wschodniego Wybrzeża. Wybuch wulkanu (prawdopodobnie góry Yrga) spowodował przesłonięcie nieba na okres dziesięciu lat oraz zanieczyszczenie rtęcią całego wschodniego Bezruchu.

Sezon Żółtych Mór – około 9200 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: nieznana. Lokalizacja: Wschodnie Wybrzeże i Zachodnie Wybrzeże, a także obszary nadbrzeżne na południu kontynentu aż po Antarktydę. Informacje na temat tej Piątej Pory Roku pochodzą wyłącznie z zapisków znalezionych w ruinach na terenie Równikiady. Z nieznanymi przyczynami silny rozkwit kolonii bakterii doprowadził do zanieczyszczenia niemal całej wody morskiej, a tym samym do kilkudziesięciu lat głodu w regionach nadbrzeżnych.

Sezon Bliźniaczy – około 9800 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: Somidlaty. Zgodnie z treścią pieśni oraz ustnych opowieści z tamtych czasów wybuch jednego z ujść wulkanu doprowadził do trzyletniego przesłonięcia światła słonecznego. Kiedy niebo zaczęło się przejaśniać, nastąpił wybuch innego ujścia, co przedłużyło kataklizm o kolejne trzydzieści lat.

DODATEK 2

Słownik pojęć używanych powszechnie we wszystkich kwardonach Bezruchu

Antarktyda – południowe szerokości geograficzne kontynentu.

Arktyka – północne szerokości geograficzne kontynentu.

Bezpiecznik – napój serwowany tradycyjnie podczas negocjacji, pierwszych spotkań potencjalnie wrogich stron i innych forlamnych okazji. Zawiera mleko roślinne reagujące z każdą obcą substancją.

Bezwspólnotowi – przestępcy oraz inne niepożądane osoby, których nie chce przyjąć żadna wspólnota.

Cebaki – przedstawiciel rasy o tej nazwie. Cebak to nazwa państwa (przestarzałego tworu geograficzno-politycznego) w Somidlatach, które zostało przeorganizowane wiele wieków temu, po podbiciu lądu przez Stare Sanze.

Cesarski Trakt – jeden z największych wynalazków Starego Sanze; drogi nadziemne (zbudowane na pewnej wysokości trasy dla ruchu pieszego oraz konnego) łączące wszystkie większe wspólnoty i kwardony. Szlaki nadziemne zostały wzniesione przez zespoły żynierów i Cesarskich Górotworów, przy czym ci ostatni wytyczali najbardziej stabilne drogi przez obszary aktywności sejsmicznej (albo tłumili te aktywności, jeśli stabilnej drogi nie było), a żynierowie doprowadzali wodę i inne ważne zasoby w pobliże dróg, aby umożliwić w ten sposób podróżowanie podczas Piątych Pór Roku.

Fulcrum – paramilitarna jednostka utworzona za czasów Starego Sanze po Sezonie Zęba (1560 rok imperialny). Siedziba Fulcrum mieści się w Yumenes, a na Arktyce i Antarktydzie znajdują jej się oddziały zamiejskowe. Wyszkolone w Fulcrum górotwory (nazywane Górotworami Cesarskimi) mogą, pod warunkiem stosowania się do ścisłych reguł i pozostawania pod nadzorem zakonu Stróżów, używać zakazanej w innych wypadkach sztuki górotwórstwa. Fulcrum jest tworem autonomicznym i samowystarczalnym. Cesarskie Górotwory noszą czarne mundury i powszechnie nazywa się je „czarnymi kurtkami”.

Geodziarz – osoba zajmująca się studiowaniem budowy skał i ich miejsca w środowisku naturalnym; ogólne określenie naukowca. Geodziarze specjalizują się przede wszystkim w litologii, chemii i geologii, których na Bezruchu nie uważa się za osobne dziedziny nauki. Nieliczna grupa geodziarzy zajmuje się górotworogenezą – badaniami górotwórstwa oraz jego następstw.

Górotwór – wyszkolona lub niewyszkolona osoba mająca zdolności górotwórcze.

Górotwórstwo – umiejętność manipulowania termalnymi, kinetycznymi i innymi formami energii w celu wywoływania wpływu na zdarzenia sejsmiczne.

Innowator – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Innowatorzy to osoby wybierane ze względu na ich kreatywność oraz inteligencję; są one odpowiedzialne za rozwiązywanie problemów technicznych i logistycznych podczas Sezonu.

Kirkhus – średniej wielkości ssak hodowany czasami jako zwierzę domowe; niekiedy pilnuje domów i bydła. W normalnych warunkach roślinożerny, podczas Sezonów mięsożerny.

Kwardon – środkowa jednostka systemu zarządczego Imperium. Kwardon tworzą cztery sąsiadujące ze sobą wspólnoty. Każdy kwardon ma swojego naczelnika, przed którym odpowiada dana wspólnota i który odpowiada przed naczelnikiem regionalnym. Największa wspólnota w kwardonie pełni funkcję jego stolicy, natomiast największe kwardony są połączone systemem Cesarskich Traktów.

Linia uskoku – miejsce, gdzie pęknięcia ziemi występują regularnie, a silne wstrząsy są bardziej prawdopodobne niż w innych regionach.

Mela – roślina Midlatów przypominająca melony rosnące w klimacie równikowym. Mela to roślina pnąca, która w normalnych warunkach owocuje nad ziemią. Podczas Piątej Pory Roku owoce rosną pod ziemią w postaci bulw. Niektóre gatunki meli są owadożerne.

Metalomestria – podobnie jak alchemia i astromestria, zdyskredytowana pseudonauka potępiana przez Siódmy Uniwersytet.

Mędrzec – osoba zajmująca się studiowaniem skałowiedzy i historii starożytnej.

Midlaty – środkowe szerokości geograficzne kontynentu. Uważa się je za zaściankowe, choć ich mieszkańcy wytwarzają większość znajdującej się na świecie żywności i innych kluczowych zasobów. Północna część tych obszarów to Nomidlaty, a południowa – Somidlaty.

Mieszkaniec wybrzeża – osoba zamieszkująca jedną z nadmorskich wspólnot. Niewiele wspólnot z nabrzeża może pozwolić sobie na zatrudnienie Cesarskich Górótworów, które mogłyby wznieść rafy lub inne zabezpieczenia przeciwko tsunami, dlatego nadmorskie miasta muszą nieustannie się odbudowywać, w konsekwencji czego posiadają niewiele zasobów. Mieszkańcy Zachodniego Wybrzeża są zazwyczaj bladzi i mają proste włosy oraz zmarszczki nakątne przy oczach. Mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża są zazwyczaj ciemni, mają kręcone włosy i również zmarszczki nakątne.

Mocarny – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Mocarni to osoby wybierane ze względu na swoją siłę fizyczną; wykonują ciężkie prace i pilnują bezpieczeństwa podczas Piątych Pór Roku.

Nazwisko użytkowe – pierwsze nazwisko noszone przez większość mieszkańców miast, wskazujące przynależność do danej kasty użytkowej. Istnieje dwadzieścia oficjalnych kast, jednak od czasów Starego Sanze powszechnie używa się głównie siedmiu nazwisk. Dziecko dziedziczy nazwisko użytkowe po rodzicu tej samej płci zgodnie z teorią, że użyteczne cechy są przekazywane częściej właśnie w tej linii.

Nazwisko wspólnotowe – drugie nazwisko noszone przez większość mieszkańców Bezruchu, wskazujące na przynależność do danej wspólnoty. Nazwisko to jest zazwyczaj przyznawane w okresie dojrzewania i oznacza, że osoba została uznana jako wartościowy członek społeczności. Imigranci przybywający do danej wspólnoty mogą ubiegać się o przyjęcie do grona jej członków, a po otrzymaniu zgody dostają również nazwisko wspólnotowe.

Nieruchomi – obraźliwe określenie używane przez górótwory na osoby niedysponujące mocą górótwórstwa.

Obrońca – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Obrońcy to osoby wybierane ze względu na zdolność znoszenia głodu lub epidemii. Są one odpowiedzialne za opiekę nad chorymi i ochronę ciał zmarłych podczas Piątej Pory Roku.

Piastun – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Piastuni to osoby wybierane ze względu na dobry stan zdrowia i pożądaną budowę ciała. Podczas Piątej Pory Roku są one odpowiedzialne za utrzymywanie czystości rasowej oraz ulepszanie składu wspólnoty dzięki właściwej selekcji jej członków. Piastuni urodzeni w kaście, która nie spełnia wymaganych przez daną wspólnotę standardów, mogą otrzymać pozwolenie na noszenie nazwiska wspólnotowego bliskiego krewnego.

Piąta Pora Roku – długa zima – zgodnie z wytycznymi Imperium musi trwać co najmniej sześć miesięcy – wywołana przez aktywność sejsmiczną lub inny kataklizm.

Pierścienie – używa się ich do oznaczania rangi Cesarskich Górótworów. W celu otrzymania pierwszego pierścienia górótwór musi przejść serię sprawdzianów. Można zdobyć maksymalnie dziesięć pierścieni. Każdy pierścień jest wykonany z wypolerowanego kamienia szlachetnego.

Popiołowe włosy – charakterystyczna cecha rasy sanzeńskiej, zgodnie z aktualnymi wytycznymi kasty Piastunów uznawana za przymiot i dająca ich posiadaczom pierwszeństwo w selekcji. Popiołowe

włosy są grube, szorstkie i najczęściej rosną pionowo; przy określonej długości opadają wokół twarzy i na ramiona. Są odporne na kwas, zatrzymują bardzo niewiele wody i, jak udowodniono, w ekstremalnych sytuacjach skutecznie filtrują popiół. W większości wspólnot wytyczne Piastunów dotyczą wyłącznie budowy samych włosów, jednak w Równikiadzie wymaga się również ich naturalnej „popiołowej” barwy (od ciemnoszarej po białą, wyraźną już od urodzenia).

Prawo Sezonowe – stan wojenny, który może zostać wprowadzony przez każdego przywódcę wspólnoty, naczelnika kwardonu, naczelnika regionu albo członka Przywództwa Yumenes. Podczas Prawa Sezonowego zarządcy kwardonów i regionów zostają zawieszani i wspólnoty funkcjonują jako niezależne socjopolitycznie jednostki, choć polityka Imperium stanowczo zaleca współpracę z innymi wspólnotami.

Ratujworek – niewielka, poręczna torba z zapasami, którą większość osób trzyma w domu na wypadek wstrząsów lub innych nagłych sytuacji.

Region – największa jednostka systemu zarządczego Imperium. Uznany przez Imperium regionami są – Arktyka, Nomidlaty, Zachodnie Wybrzeże, Wschodnie Wybrzeże, Równikiada, Somidlaty i Antarktyda. Oficjalnie naczelnicy regionów są mianowani przez Cesarza, jednak w rzeczywistości wybiera ich Przywództwo Yumenes, z którego z reguły się wywodzą.

Równikiada – szerokości geograficzne wokół równika, z wyjątkiem obszarów nadmorskich. Równikowcami są nazywani mieszkańcy wspólnot należących do Równikiady. Dzięki umiarkowanej pogodzie i stosunkowo spokojnym warunkom w środkowej części płyty kontynentalnej wspólnoty z Równikiady zazwyczaj dobrze prosperują i mają znaczący wpływ polityczny. Równikiada stanowiła niegdyś trzon Imperium Starego Sanze.

Sanze – początkowo kraj (przestarzały, przedimperialny twór geograficzno-polityczny) w Równikiadzie, z którego wywodzi się rasa sanzeńska. Pod koniec Sezonu Szaleństwa (7 rok imperialny) państwo Sanze zostało zniesione, a na jego miejscu powstało Równikiadowe Stowarzyszenie Sanzedu składające się z sześciu głównie sanzeńskich wspólnot pod panowaniem Cesarzowej Verishe Przywódczyni Yumenes. Po zakończeniu Sezonu Stowarzyszenie szybko się rozrosło i ostatecznie w 800 roku imperialnym objęło wszystkie regiony Bezruchu. Mniej więcej z okresie Sezonu Zęba Stowarzyszenie zaczęło funkcjonować jako Imperium Starego Sanze, a potem po prostu jako Stare Sanze. Na podstawie Porozumienia z Shilteen z 1850 roku imperialnego Stowarzyszenie oficjalnie przestało istnieć, kiedy w następstwie Sezonu uznano, że skuteczniejsze jest zarządzanie lokalne. W praktyce większość wspólnot wciąż opiera się na zarządczych, finansowych i oświatowych systemach Imperium, a większość naczelników regionalnych nadal uiszcza podatki na rzecz Yumenes.

Sanzeńczyk – przedstawiciel rasy sanzeńskiej. Zgodnie ze standardami Piastunów z Yumenes Sanzeńczyk charakteryzuje się idealnie brązową skórą, popiołowymi włosami i mezomorficzną albo endomorficzną budową ciała. Po osiągnięciu dorosłości mierzy minimum sto osiemdziesiąt centymetrów.

Sanzeński – język, którym posługują się Sanzeńczycy, a także oficjalny język Imperium Starego Sanze, obecnie *lingua franca* w prawie całym Bezruchu.

Sesuna – zbiór impulsów towarzyszących ruchom ziemi. Organy zmysłowe, które odpowiadają za ich rejestrowanie, to umiejscowione w pniu mózgu sejsody. Forma czasownikowa – sejszyć.

Siódmy Uniwersytet – uczelnia słynąca z badań nad geometrią i skałowiedzą, obecnie finansowana przez Imperium i położona w równikiadowym mieście Dibars. Wcześniejsze wersje Uniwersytetu utrzymywane były ze środków prywatnych lub składek, a Trzeci Uniwersytet w Am-Elat (około 3000 lat przed utworzeniem Imperium) swego czasu był uznawany nawet za suwerenne państwo. Mniejsze

uczelnie kwardonowe lub regionalne płacą daninę na rzecz Uniwersytetu, otrzymując w zamian niezbędne informacje i ekspertyzy.

Stróż – członek zakonu istniejącego podobno jeszcze przed utworzeniem Fulcrum. Stróże namierzają górotwory, ochraniają je, pilnują ich i im doradzają.

Węzły – sieć zarządzanych przez Imperium stacji rozmieszczonych na całym Bezruchu w celu ograniczenia lub całkowitego stłumienia wstrząsów sejsmicznych. Ze względu na stosunkowo niewielką liczbę wytrenowanych w Fulcrum górotworów węzły skupiają się głównie wokół Równikiady.

Wspólnota – najmniejsza jednostka socjopolityczna systemu zarządczego Imperium, odpowiadająca zazwyczaj miastu, choć zdarza się, że bardzo duże miejscowości składają się z kilku wspólnot. Oficjalnymi członkami wspólnoty są osoby, którym przyznano prawo do korzystania z ochrony oraz zapasów i które w zamian za to wspierają wspólnotę poprzez płacenie podatków i zapewnianie rozmaitych usług.

Wstrząs – ruch sejsmiczny ziemi.

Zajazdy – stacje rozmieszczone w regularnych odległościach przy każdym Cesarskim Trakcie i przy wielu mniejszych drogach. Wszystkie zajazdy są wyposażone w źródło wody i umiejscowione w pobliżu gruntów ornych bądź lasów. Wiele z nich wybudowano w miejscach o minimalnej aktywności sejsmicznej.

Zapasy – zmagazynowana żywność i inne zasoby. Na wypadek nadejścia Piątej Pory Roku wspólnoty przez cały czas utrzymują strzeżone, zamknięte magazyny. Tylko oficjalni członkowie wspólnoty są uprawnieni do korzystania z takiego magazynu, choć dorośli mogą rozdysponować swoje udziały między inne osoby, na przykład obce dzieci. Prywatne gospodarstwa domowe często utrzymują własne magazyny, których w ten sam sposób strzegą przed obcymi.

Zjadacze kamieni – rzadko spotykany gatunek humanoinalny, którego ciało, włosy itp. przypominają kamień. O zjadaczach kamieni wiadomo niewiele.

Żwir – nieupierścieniony młody górotwór odbywający podstawowe szkolenie.

Żytnier (od „geożyniera”) – inżynier zajmujący się ziemią – mechanizmami energii geotermalnej, tunelami, podziemną infrastrukturą oraz górnictwem.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść fantasy częściowo narodziła się w kosmosie.

Jeśli doczytaliście do ostatniej strony, pewnie już to wiecie. Pomysł na książkę narodził się podczas finansowanych przez NASA warsztatów Launch Pad, w których uczestniczyłam w lipcu 2009 roku. Celem programu Launch Pad było zebranie wpływowych przedstawicieli mediów i kultury – co zadziwiające, znaleźli się wśród nich również pisarze fantasy i science fiction – i zadbanie o to, aby właściwie rozumieli teorie naukowe, które chcieliby wykorzystać w swoich pracach. Wielu ludzi błędnie uważa, że astronomia została rozpowszechniona przez pisarzy. Niestety nie wiem, czy łączenie astronomii z bohaterami o kamiennych ciałach jest najlepszym sposobem na rozpowszechnianie informacji naukowych. Przepraszam, koledzy z Launch Pad.

Nie mogę opowiedzieć wam o natchnionej, niesamowitej dyskusji, za sprawą której w mojej głowie pojawił się projekt tej powieści. (Podziękowania powinny być krótkie). Mogę was jednak zapewnić, że takie natchnione, niesamowite dyskusje były normą podczas warsztatów Launch Pad, dlatego jeśli jesteście przedstawicielami mediów albo kultury i będziecie mieli okazję wziąć w czymś takim udział, gorąco was do tego zachęcam. Chciałabym podziękować uczestnikom tego projektu – bo wszyscy oni, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie – przyczynili się do powstania tej książki. Są to między innymi Mike Brotherton (dyrektor warsztatów, profesor na University of Wyoming i pisarz science fiction), Phil Plait, czyli inaczej Zły Astronom (to tylko pseudonim, w rzeczywistości nie jest taki zły, to znaczy... no dobra, sami o nim poczytajcie), Gay i Joe Haldemanowie, Pat Cadigan, naukowiec i komik Brian Malow, Tara Fredette (obecnie Malow) oraz Gord Stellar.

Wielkie dzięki również dla mojej redaktorki Devi Pillai oraz mojej agentki Lucienne Diver za to, że nie pozwoliły mi porzucić moich pisarskich planów. Trylogia *Pęknięta ziemia* była dla mnie wielkim pisarskim wyzwaniem i w pewnym momencie pracy nad *Piątą Porą Roku* zadanie to wydało mi się tak przytłaczające, że uznałam, iż dam sobie spokój. (Dokładnie pamiętam, co wtedy pomyślałam: „Wykasować cały ten śmietnik, wymazać kopie zapasowe z Dropboxa, zrzucić laptop w przepaść, przejechać po nim samochodem, a potem podpalić laptop i samochód i przy użyciu koparki zasypać szczątki pod ziemią. Czy na koparkę trzeba mieć specjalne prawo jazdy?”). Kate Elliott (podziękowania za bycie moją mentorką i przyjaciółką) nazywa takie chwile „otchłaniami zwątpienia” i twierdzi, że każdy pisarz ma takie myśli podczas pracy nad dużym projektem. Moja otchłań była głęboka niczym Pęknięcie Yumenes.

Znad przepaści odciągali mnie również: Rose Fox, moja konsultantka medyczna Danielle Friedman, Mikki i Kendall, członkowie mojej grupy pisarskiej, mój szef (który chyba nie chciałby być wymieniony z nazwiska), a także mój kot, Król Ozymandiasz. Tak, nawet kot! Żeby powstrzymać pisarkę przed odpięzeniem takiego numeru, potrzeba całej armii.

Jak zawsze dziękuję również wam wszystkim, którzy to czytacie.

The Fifth Season. The Broken Earth: Book One

Copyright © by N.K. Jemisin 2015

Excerpt from The Hundred Thousand Kingdoms copyright © by N.K. Jemisin 2010

Excerpt from The Killing Moon copyright © by N.K. Jemisin 2012

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Copyright © for the translation by Jakub Małecki 2016

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Justyna Yiğitler

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2016

ISBN EPUB: 978-83-7924-700-4

ISBN MOBI: 978-83-7924-699-1



wsqn.pl



WydawnictwoSQN



wydawnictwosqn



SQNPublishing



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN



Sprzedaż internetowa labotiga.pl



E-booki



Zrównowazona gospodarka leśna



Tempori serviendum est

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Prolog. Jesteś tutaj](#)

[1. Ty, pod koniec](#)

[2. Damaya, podczas minionych zim](#)

[3. Ruszasz w drogę](#)

[4. Sjenit, gładka i błyszcząca](#)

[5. Nie jesteś sama](#)

[6. Damaya, zmuszona do postoj](#)

[7. Ty plus jeden to już dwoje](#)

[8. Sjenit w drodze](#)

[9. Sjenit wśród wrogów](#)

[10. Kroczysz obok bestii](#)

[11. Damaya w samym centrum kłopotów](#)

[12. Sjenit znajduje nową zabawkę](#)

[13. Jesteś na szlaku](#)

[14. Sjenit psuje swoje zabawki](#)

[15. Jesteś wśród przyjaciół](#)

[16. Sjen w ukrytej krainie](#)

[17. Damaya w sytuacji ostatecznej](#)

[18. Odkrywasz podziemne cuda](#)

[19. Sjenit na czatach](#)

[20. Sjenit znudzona i wracająca do siebie](#)

[21. Odzyskujesz swoją bandę](#)

[22. Sjenit, pęknięta](#)

[23. Nie potrzebujesz nikogo oprócz siebie](#)

[Dodatek 1](#)

[Dodatek 2](#)

[Podziękowania](#)

[Strona redakcyjna](#)

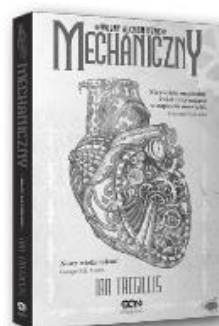
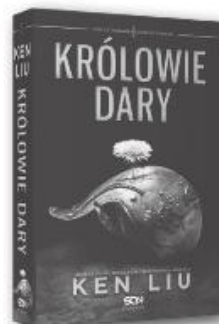
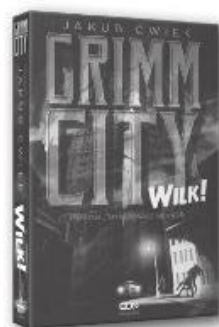


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

-  WydawnictwoSQN
 -  SQNPublishing
 -  wydawnictwosqn
 -  wydawnictwosqn
 -  WydawnictwoSQN
- www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labetiga.pl



1-1-1

PIĄTA PORA ROKU

KAŻDA ERA MA SWÓJ KRES

N.K. JEMISIN

LAUREATKA NAGRODY

HUGO

NOMINOWANA
DO NAGROD
NEBULA I LOCUS

EQN
imaginatio